FRAZA

POEZJA PROZA ESEJ

nr 4 (86) 2014

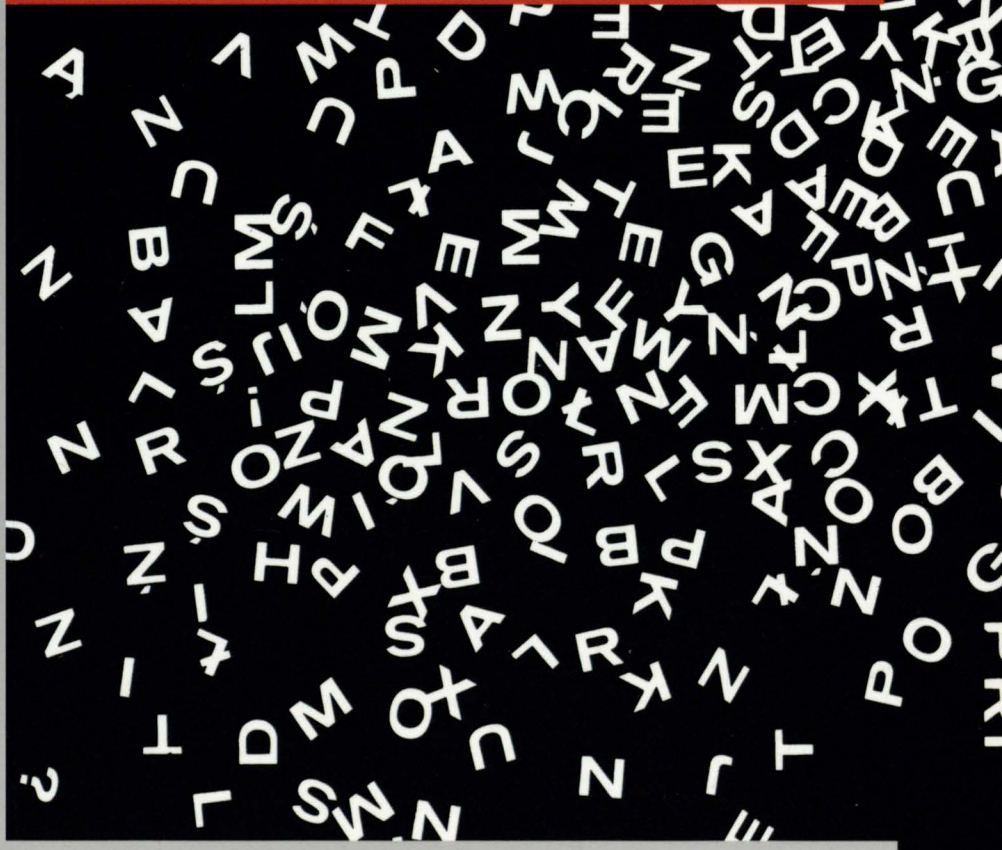

Rozmowy z Elżbietą WITTLIN-LIPTON, Andrzejem STASIUKIEM, Tomaszem MIELCARKIEM. Polacy w świecie: Banach, BUSZA, Cader, JASTRZĘBSKA, Kovacik, MIRABEL, Pluta, ŚMIEJA, Zyman. Wiersze, proza, esej, dziennik: Bagłajewski, DŁUSKI, Dybczak, DRZEWUCKI, Dziurzyński, KUCZERA-CHACHULSKA, Kudyba, MARCIŃCZAK, Matuszkiewicz, POKRYWKA, Turaj-Kalińska i inni. Poeci z Ziemi Świętej: Kazim ALI, Nadżwan DARWISZ, Amir OR. Szkice o twórczości A. STASIUKA i W. MYŚLIWSKIEGO.

„Fraza" poleca:

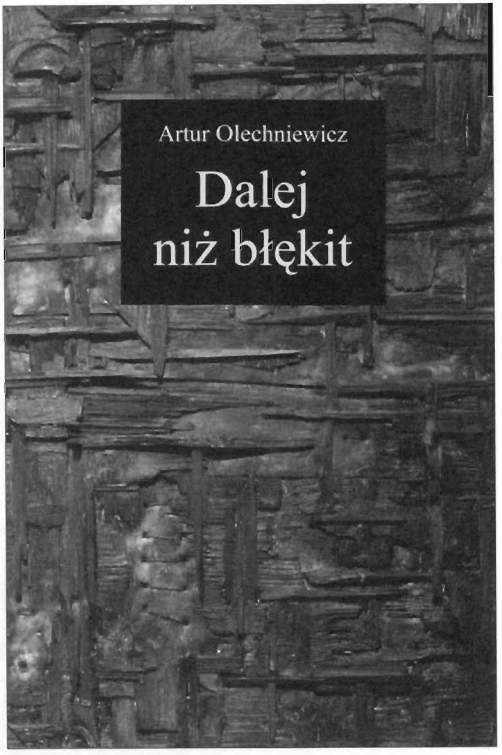

Artur Olechniewicz, *Dalej niż błękit*, redakcja Jan Wolski, projekt okładki A. Olechniewicz, [Biblioteka „Frazy": seria prozatorska], Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza", Rzeszów 2014, ss. 124.

Tom pochodzącego z Sanoka malarza i pisarza [...] to zbiór czterech opowiadań [...]. Powracają w nich znane już motywy fabularne i światopoglądowe: nieszczęśliwa miłość, zawikłane relacje damsko-męskie, samotność przemijanie, rozczarowanie życiem. Ten katalog dystynkcji pisarz wzmacnia jeszcze – obecną w niemal wszystkich tekstach – atmosferą schyłkowości, nieuniknionego niszczenia, atrofii.

Jan Burnatowski, *Szkice do powieści*,
„Nowe Książki" 2014, nr 11.

Cena 18 zł

FRAZA
POEZJA PROZA ESEJ
nr 4 (86) 2014

Motto:

***

Pięknie
milczymy

w wielu
językach

Edward Zyman

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA I CZYTELNIA ROZEWOZIA
2111 Fra/2014
25422

FRAZA
POEZJA PROZA ESEJ

© Copyright by Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza"
Rok XXIII nr 4/2014 (86)
PL ISSN 1230-4832
Nr indeksu 332593

Redaguje zespół:
Magdalena Rabizo-Birek – redaktor naczelna, Anna Jamrozek-Sowa, Iwona Misiak, Zenon Ożóg, Janusz Pasterski, Jan Wolski

Współpracownicy:
Judith Arlt (Meldorf), Adam Bienias, Kazimierz Maciąg, Marlena Maklel-Hędrzak, Ryszard Mścisz, Grzegorz Strumyk, Joanna Ślósarska, Krystyna Walc, Edward Zyman (Toronto)

Projekt okładki: Antoni Nikiel

Recenzenci:
prof. dr hab. Aleksander Madyda
dr hab. prof. UŁ Arkadiusz Morawiec

Adres do korespondencji:
„Fraza", ul. Rejtana 16 C, p. 107, 35-310 Rzeszów
e-mail: fraza@univ.rzeszow.pl
„Fraza" w Internecie:
http://fraza.univ.rzeszow.pl
Wydawca: Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza"
35-310 Rzeszów
ul. Rejtana 16 c, p. 107
Nr konta: PKO BP I O / Rzeszów
89 1020 4391 0000 6602 0043 7079

Numer zamknięto: 15 listopada 2014 r.

Prosimy o teksty w wersji elektronicznej. Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy. Zastrzegamy sobie prawo do zmiany tytułów i skrótów.

Korekta: Zenon Ożóg
Skład i łamanie: „Otwarty Rozdział"
Druk: „Bonus Liber"

Spis treści

PORTRETY

Podróże (sentymentalne). Z Elżbietą WITTLIN LIPTON rozmawiała Ewa Wielgosz ... 4
Bernadetta KUCZERA-CHACHULSKA, wiersze ... 13
Dwugłos o poezji B. Kuczery-Chachulskiej: Małgorzata ŁUKASZUK-PIEKARA, Anita JARZYNA ... 16
Tomasz MIELCAREK, Proste historie, Zabawy z ogniem, Morning-after pill, Kartki z kalendarza, Dzień z życia, Wyspy ptaków, Ślad, Harmonia, Lód, Blizna, Przystanek końcowy ... 23
Wielka Brytania jest moim drugim domem. Z Tomaszem MIELCARKIEM rozmawia Joanna Kosmalska ... 28

MIEJSCA, LUDZIE, OPOWIEŚCI. TWÓRCZOŚĆ ANDRZEJA STASIUKA

Dzikość lektury. Spotkanie z Andrzejem STASIUKIEM ... 32
Marek NALEPA, „Trzeba wciąż gdzieś jechać, wyruszać, przemierzać..." Andrzej Stasiuk i jego niekończąca się opowieść ... 44
Matylda ZATORSKA, „Brud i wolność zawsze się splatają". Estetyka brzydoty w prozie Andrzeja Stasiuka ... 57
Damian NIEZGODA, „Przegadam ten świat": Stasiuk i Hrabal ... 66

WĘDROWCY, EGZULE, WYGNAŃCY

Richard MIRABEL, Przesiać proch, Eleutheria, Z cyklu *W świecie aniołów*: 3. Lęk, Malowany pejzaż, przełożyła Grażyna Zambrzycka ... 73
Edward ZYMAN, Richard Mirabel – poeta samotny ... 76
Florian ŚMIEJA, Łatwe sukcesy, Może dziś, Kombinezon, Pociąg fantom, Poję kolibry ... 78
Andrzej BUSZA, Trzej mędrcy, przełożyła Justyna Fruzińska ... 81
Amir OR, Barbarzyńcy przychodzą, Gdzie oni są?, Przyjdź, Księżyc, Chciałem powiedzieć, Pustka, przełożyła Beata Tarnowska ... 88
Aleksandra PLUTA, O powojennej emigracji polskiej do Chile ... 92
Maria JASTRZĘBSKA, Osy, Trzmiele, Kalami, Drewniany plaszek, Święto Matki Boskiej Gromnicznej, Szczupak Lolka, Pokój zapachów. Wewnętrzny ogród, Twoja matka Ewa w londyńskim zoo w 1932 roku, Dziennik demencji, przełożyli Paweł Gawroński, Wioletta Grzegorzewska i Anna Błasiak ... 98
Teresa CADER, Sumeryjski symbol ptaka, Wymówka, Skamieniałe światło, Potem, przełożyła Joanna Banach ... 108
Karen KOVACIK, Czytając *Baśnie Braci Grimm*, Maszyna do zasypiania, Miasto przenośne, Pandora przemawia, przełożyli Jacek Dehnel i Ewa Chruściel ... 111
Andrzej DYBCZAK, Przyszedł marzec ... 117
Nadżwan DARWISZ, W raju [I], W raju [II], Zarezerwowane, Między bramami, Syjon, Matka Charlesa, Ormiański koniak, Pomówienia, Cristo, Wszystko będzie dobrze, Dowód osobisty, przełożył Roman Sabo ... 144
Andrzej GAŁOWICZ, Oferta ... 151
Kazim ALI, Modlitwa poranna, Drogi ojcze, drogi dźwięku, Drogi zachodzie słońca, droga lawino, Rok zimy, Droga latarnio, droga filiżanko, Czekając na pociąg, List marynarski, przełożyli Ewa Chruściel i Miłosz Biedrzycki ... 157
Igor OWCZAREK, „Niby wieś, a [...] pięć sfer wtajemniczenia, dziesięć kręgów pokuty". O powieściach Wiesława Myśliwskiego *Widnokrąg* i *Traktat o łuskaniu fasoli* ... 161
Joanna BANACH, *** Nic trwalszego, Fotografia, 1913, Jedwab, Portret pana Z. ... 172
Arkadiusz BAGŁAJEWSKI, Biblioteka, Kawa z mlekiem, Tylko śnieg ... 175
Stanisław DŁUSKI, Oczodoły, Prośba do Eurydyki, Jaśniej ... 180
Wojciech KUDYBA, Anioły, Gwiazda na końcu świata ... 182
Łukasz MARCIŃCZAK, Mistyczny zakapior, czyli pustelnik in flagranti ... 184
Dariusz DZIURZYŃSKI, Wiadomość dnia, 1863, Ikonografia, Olbrzymki, Nekrolog ... 194

Janusz PASTERSKI, Przeciw zwątpieniu ... 198
Edward ZYMAN, Stary Bóg czeka, Poezja, *** A jednak wciąż, I znów staniemy się wolni, Język, Nie śpiesz się, *** Pięknie milczymy, *** Umrzeć można wszędzie ... 200

FRAZY OSOBISTE

Antoni MATUSZKIEWICZ, Sen, Most ... 208
Grzegorz STRUMYK, Łatanina 21 ... 213
Roman SABO, Heaney a sprawa polska ... 214
Katarzyna TURAJ-KALIŃSKA, Go West! ... 223
Robert SUWAŁA, Doskonały zamysł, czyli fizyka oniryczności ... 232
Rafał POKRYWKA, Fatum przez duże F (Daniel Kehlmann) ... 237
Jacek UGLIK, Bojaźń i drżenie ... 242
Janusz DRZEWUCKI, Dni 2014 (zapiski pięćdziesięciopięciolatka) część II ... 245
Aleksandra NIZIOŁ, Janów (Lubelski) będzie mu na imię ... 261

TEMATY WSCHODNIE

Aleksandra PLUTA, Jedyna polonistyka w całej Ameryce Łacińskiej ... 264

O KSIĄŻKACH

Mariusz KALANDYK, Persefona rozmawia z Orfeuszem i z... pastuszkiem (J.M. Rymkiewicz, *Pastuszek Chełmońskiego*) ... 269
Ewelina RADION, Gościna i inne bieslady (F. Maguder, *Gościna i Inne wiersze*) ... 274
Anna JAWORSKA, W oczekiwaniu na deszcz (D. Dziurzyński, *Epitafia. Remake*) ... 276
Edyta KULCZAK, Lęk przed pustką (M. Czuku, *Nietrwała kompozycja*) ... 279
Gustaw OSTASZ, Pisarstwo samorodne (R. Czerniak, *Notatki niepokornej duszy*) ... 281
Paweł Wiktor RYŚ, Knausgård. Pierwsze starcie (K.O. Knausgård, *Moja walka. Księga pierwsza*) ... 283
Dwugłos o *Wschodzie* A. Stasiuka (Jacek LECH, Paweł NOWICKI) ... 285
Jan WOLSKI, Traktat o dojrzewaniu i utracie (W. Grzegorzewska, *Guguły*) ... 289
Anna BIELENDA, Oczami imigrantki (S. Savrasova, *Masz tylko dziadka, Lenina i Boga*) ... 291
Kazimierz MACIĄG, Kraj przed zamkniętą kurtyną (A. Nowaczewski, *Dwa lata w Phenianie*) ... 292
Alicja JAKUBOWSKA-OŻÓG, O miłości i śmierci (A. Augustyniak, *Kochałam, kiedy odeszła*) ... 294
Stanisław DŁUSKI, Karasek polifoniczny (G. Kociuba, *Twarze rozbitka. Poezja i eseistyka Krzysztofa Karaska*) ... 296
Ryszard KOŁODZIEJ, Po nitce do kłębka (W. Smaszcz, *Serce nie do pary: o księdzu Janie Twardowskim i jego wierszach*) ... 299
Krystyna JANUSZEWSKA, Norwesko-polskie pejzaże kulturalne (J. Januszewska-Skreiberg, *Sercem w dwóch krajach. Norwesko-polskie pejzaże kulturalne*) ... 300

KRONIKA

Sztuka w Beskidzie Niskim: Sanockie pejzaże i ikony Jerzego Wojtowicza, Sztuka ekspresji, Teatr życia, Pejzaż nowoczesny (Paweł NOWICKI) ... 303
Głosy nieobecnych – siódma Ulica Poetycka oczami błazna (brzydka postać na k) ... 310
Duchowa ojczyzna – Polska. O wizycie Amira Ora w Polsce (Beata TARNOWSKA) ... 316
Uzbrojeni w Muzę (Krystyna LENKOWSKA) ... 318

AUTORZY „FRAZY" ... 322
ZAPROSILI NAS ... 333
PUBLIKACJE NADESŁANE ... 337
KOMUNIKATY ... 339

W galerii Frazy:

Prace Elżbiety Wittlin-Lipton

nakład 300 egz.

„Fraza" jest pismem redagowanym społecznie, a wszystkie dochody z pisma przeznaczamy na wydawanie nowych numerów. Dziękujemy wszystkim autorom za nieodpłatne udostępnienie zamieszczonych w numerze tekstów i ilustracji

PODKARPACKIE
przestrzeń otwarta

Numer wydany przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podkarpackiego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

PORTRETY

PODRÓŻE (SENTYMENTALNE)

Z Elżbietą Wittlin Lipton rozmawia Ewa Wielgosz

Ewa Wielgosz: Anglojęzycznego pierwodruku pani wspomnień zatytułowanych *From One Day to Another. A fashion reportage in a period of conflict* dokonało w 2011 roku wydawnictwo hiszpańskie. Polski przekład opublikowano pod koniec 2012 roku pod tytułem *Z dnia na dzień. Reportaż z modą w tle z czasów zawieruchy*. Czy język angielski i Hiszpania stały się pani bliższe niż polszczyzna i rodzinny kraj?

Elżbieta Wittlin Lipton: To jest bardzo dziwne, bo chociaż okropnie mówię po polsku, mam tu dzisiaj może więcej polskich przyjaciół niż Hiszpanów. Tak nie było, kiedy tu przyjechałam. Są bliscy przyjaciele, codziennie do mnie dzwonią. Ja już tyle nie mówię po hiszpańsku, co po polsku. Polszczyzna ciągle jest bliższa. Język angielski jest moim naturalnym językiem, chociaż nieraz brak mi słów, ale to jest senilność, to znaczy „starość nie radość" *(śmiech)*. Hiszpański znam lepiej niż polski. Łatwiej mi się porozumiewać po hiszpańsku i angielsku.

– Kto był inicjatorem przetłumaczenia książki na język polski i kto go dokonał?

– Wydawnictwo Literackie. Pojechałam do Polski, kiedy nosili mojego ojca (na rękach), nosili jak nosi się suknię tego roku. Mówiłam, że właśnie to robię dla moich dzieci. Powiedzieli: niech pani zrobi to dla nas. Jedyne, co chciałam robić, to rysunki i sztuki. Był nawet wywiad, mieli już wysłać kontrakt i nagle... Nie mają pieniędzy... Przestali się interesować. Nie mam pojęcia dlaczego. To jest to, czego w Polsce się boję. Dwie, trzy, a czasem nawet cztery twarze... Jak już zaczęłam pisać, chyba Jan Zieliński zobaczył moje rysunki i zrobił mi wystawę. We Francji lub Szwajcarii... Była to wystawa różnych rysunków, także tych umieszczonych później w książce. Powiedziałabym, że on był jednym z inicjatorów, bardzo mnie namawiał do wydania książki w Polsce. Miała tłumaczyć Alicja Zielińska, ale nagle Wydawnictwo Literackie powiedziało: nie. Postanowiłam do Krakowa już nie jechać, żeby z płaczem z Polski nie wracać... Teraz już nie pamiętam Krakowa

tylko źle, bo był Jerzy Jarzębski, Wojciech i Małgorzata Ligęzowie, Wojtek Wocław i pełno wspaniałych osób, jak pani.

Innego wydawcy szukała Renata Gorczyńska (to była przyjaciółka mamy, z Nowego Jorku) i Jan Zieliński. Książkę na język polski przetłumaczyła Lisko MacMillan, ostatecznie we współpracy z Towarzystwem Przyjaciół Archiwum Emigracji w Toruniu. Potem dużo pracowała nad tym przekładem Anna Supruniuk z jeszcze jedną osobą. Tylko jeśli chodziło o oprawę artystyczną, szatę graficzną, powiedziałam: użyjcie tego, co zrobiłam w wersji angielskiej. Nie posłuchali. Trudno nam było czasem znaleźć dobry moment na rozmowę, bo wszyscy jesteśmy zajęci. Przyczynił się do tego mój wypadek w Nowym Jorku i potem od razu huragan Sandy.

– W słowie wstępnym i rozmowach na temat *Z dnia na dzień* podkreśla pani, że nie jest pisarką, a córką pisarza. Czy podczas redagowania reportażu naśladowała pani w czymkolwiek Józefa Wittlina?

– Tak, myślę, że we wstępie najwięcej, chociaż nieświadomie. Nie tak pedantycznie, ale poprawiałam tekst bardzo wiele razy. Poza tym pisałam na amerykańskiej klawiaturze, która nie miała ani polskich, ani hiszpańskich znaków. To była szalona praca. Starałam się też znaleźć jak najwięcej synonimów (mój mąż mi w tym pomagał i za to mu dziękuję). Podświadome, niewielkie naśladownictwo ojca pewnie było w całej książce, ale pisząc wstęp, myślałam, jak on wyobrażałby sobie powrót do kraju. Używałam *Raptus Europae. Dziennika*, żeby sprawdzać wspomnienia. Także starych paszportów, biletów, policyjnych kart, które ciągle mam.

– Które z zawartych w książce wspomnień są dla pani najważniejsze, a które najtrudniejsze?

– Hiszpania jest bardzo ważna, Japonia, moje dzieciństwo. Wybuch wojny. Bardzo mnie fascynują zawsze początki, na przykład w Paryżu ta cisza, zanim się coś stanie. Przeddzień. Opisuję to. Był taki film – *Szpital Przemienienia*, w którym ukazano początek wojny bardzo dobrze. Jest normalne życie, źli ludzie, dobrzy ludzie, ale gdy przyjeżdża autem gestapowiec, to jest jak poród. Nie można wrócić, nie ma powrotu. Są rzeczy takie jak okupacja, których nie mogę sobie dobrze przypomnieć. Na przykład nie mogłam znaleźć tej szkoły, w której dowiedziałam się, że jestem inna, że jestem Żydówką (chociaż ochrzczoną), gdzie zaczęłam się bać, a nie bałam się wcześniej. Strach był też u Iwaszkiewiczów, jak ciocia Marynia powiedziała: co zrobimy z tobą? I dostałam w twarz... Należało mi się – uciekłam. Ja dużo w życiu uciekałam. Mój ojciec nazywał to ataraksją. Jest taki esej ojca *Pierwszy lot* – trochę Chaplinowski. Nasza rodzina była skomplikowana, nie była łatwa do zaszufladkowania.

– Od jak dawna mieszka pani przy Calle Magdalena w Madrycie?

– Przyjechaliśmy w październiku 2006 roku. Przeprowadzka z Nowego Jorku to było tsunami – wszystko trzeba było szybko sprzedać, bo mój mąż się bał, że nie dożyje i chciał widzieć mnie już usytuowaną w Madrycie. A usytuować się jako rezydentka w Madrycie to jest koszmar! Wszędzie kolejki, papiery, biurokracja. Myślę, że to przyspieszyło jego śmierć. Kiedy mój mąż po raz pierwszy zobaczył to mieszkanie, to była rudera.

– Czy sama pani je urządziła?

– Sama. Płaciłam za to swoimi pieniędzmi, więc nikt nie miał prawa się wtrącać *(śmiech)*. Drugiego dnia naszego pobytu w Madrycie i mojego urządzania domu, mąż wyjechał do pracy w Afryce. Powiedział, że nie może tego oglądać. Mamy fotografię z tymi pudłami – zupełnie jak ze sztuki Ionesco. Mąż bardzo lubił tę dzielnicę, bo to jest bardzo swojskie miejsce.

– Czy zawsze mieszkała pani w Madrycie pod tym adresem?

– Ani mi się śniło tam mieszkać! Najpierw długo, od 1962 roku byliśmy w Hotelu Plaza, na Plaza Espagna. Potem wynajęliśmy bardzo ładne, umeblowane mieszkanie z dużym tarasem (co zawsze było dla mnie bardzo ważne), ale z bardzo złym ogrzewaniem. Jak zawsze *(śmiech)*. Nigdy nie było mi za gorąco w Hiszpanii, raczej zimno. Marzłam, bo Hiszpanie piją dużo wina i mają gorącą krew, a ja nie. No, może i mam, ale nie fizycznie. Metafizycznie *(śmiech)*. To był adres: Diego de Leon. Następnie, od 1967 roku mieszkaliśmy na Padre Damian, blisko Ambasady Amerykańskiej, przy drodze na cmentarz (dlatego piszę w mojej książce o tych karawanach).

Na zajęcia z dekoratorstwa, które prowadziłam, przyszedł podstarzały student. Zaczął jakiś biznes. Bardzo mnie polubił. Musiałam dekorować różne straszne miejsca, bo on był pułkownikiem Guardia Civil, więc lepiej było nie wiedzieć o niektórych rzeczach, ale był uroczy, bardzo śmieszny. Dzięki niemu moje meble przeszły bez cła. Wtedy wynajęliśmy z mężem mieszkanie na Padre Damian, do którego przyjeżdżali poeci (przychodzili także do Diego de Leon) i tam zaczęłam właściwie dekoratorstwo. To była nowa strefa, do której można się było dostać tramwajem (wtedy jeszcze jeździły). Na Padre Damian mieszkaliśmy dwanaście lat. Miałam tam bardzo łatwe życie, bardzo dużo się uczyłam i pracowałam. Miałam pomoc, więc mogłam być w pracy już o ósmej rano. Byłam jedyną „wnętrzarką" wykształconą w Ameryce, dostałam więc dosyć dużo zleceń z Ambasady Amerykańskiej. Wtedy też zaczęłam studiować u Francisco Nieva (potem uczyłam się u Paula Steinberga w New School w Nowym Jorku). Poczułam się zupełnie chora, kiedy musiałam w 1975 roku wrócić do Nowego Jorku. I wtedy mój mąż znalazł podobne mieszkanie. Kiedy przyjaciele przyjechali do nas do Nowego Jorku, powiedzieli, że to jest ten sam dom, że po prostu wszystko przeniosłam.

Jeździliśmy do Hiszpanii. Do Hiszpanii jeździłam prawie co roku na sześć tygodni. Obecne mieszkanie znalazły dzieci i mieszkały tam przez cztery lata: mój syn z żoną i moim wnukiem, Jasonem. Mój syn, Jimmy pracował w Radio Exterior de Espagna, w którym mówił regularnie o sprawach kultury za granicą, aby zarobić na utrzymanie. Najpierw mieliśmy mieszkać wszyscy razem. Potem jednak od 1983 roku przez trzy lata byliśmy z mężem w Chicago, gdzie pracował. Tam mąż miał atak serca, stracił pracę przed emeryturą. Zdaliśmy sobie sprawę, że nie mamy dość pieniędzy, aby utrzymać oba mieszkania – w Madrycie i w USA. Komorne w Nowym Jorku wzrastało. W 2006 roku zamieszkaliśmy w Madrycie, bo tu był mój syn, który miał wtedy jeszcze hiszpańską narzeczoną. No i tu jestem.

– Czy myślała pani potem o przeprowadzce?

– Dobrze mi tu. Gdyby jednak oddali mi to duże mieszkanie na Padre Damian to nie odmówiłabym, o nie! Bardzo lubię światło i przestrzeń, a tam było tego dużo więcej. Poza tym taras, biblioteka, trzy duże sypialnie, cztery łazienki.

– A gdyby zaproponowano pani powrót do Nowego Jorku albo Polski?

– Do Nowego Jorku? Najlepiej było, gdy tam mieszkałam, miałam męża i pracę, i mogłam jeździć do Europy. Teraz, bez mojego męża... Na Manhattanie nie można już żyć, jeśli się nie jest biedakiem albo milionerem. Nie ma nic pośrodku. Nie mogłabym się poruszać metrem, byłaby to więc dla mnie większa izolacja. A w Polsce? To jest nieznane. Teraz jest ta epifania, a jak się skończy? Zacznę być nudziarą i już mnie nie będą dobrze widzieli. Nosi się na rękach mojego ojca, jak suknię tego roku, a gdyby się nie nosiło? Hiszpan jest szalenie *directo*, nie obchodzi go, czyją jestem córką, a Polaka tak. Gdyby mój ojciec się znudził lub skończył, nie wiem, gdzie byłabym. W Hiszpanii czuję się pewniej, mam śródziemnomorską duszę. W Hiszpanii droga jest prosta. Nawet się mówi, kiedy jest jakieś nieszczęście – *se le puede ver cómo venir* (widać, jak przychodzi), a w Polsce ciągle jeszcze nie wiem, gdzie jestem. Twoje młode pokolenie jest dla mnie wspaniałym wyjątkiem.

– Wywiady i recenzje związane z pani książką dotyczą przede wszystkim jej głównego nurtu – problematyki wojennej i emigracyjnej widzianej oczyma dziecka, następnie dojrzałej obywatelki świata, wreszcie kostiumologa i scenografa. Ale mnie zaciekawiły dygresje poświęcone przemierzaniu i odkrywaniu świata, jak na przykład podróż Amazonką czy pobyt w Japonii. Kiedy odwiedziła pani te miejsca? Czy miała pani okazję być też na innych kontynentach?

– Pobyt w Japonii był niezwykle interesujący, bo jedyne, co wiedziałam o tym kraju, było wynikiem mojej fascynacji filmami i teatrem japońskim – wizualnie teatrem, a filmami jako niezwykłym misterium. Lubię wyjeżdżać do miejsc całkowicie nowych, jak na nową planetę. W Japonii byłam w 1974 roku. Mój mąż miał jechać ze mną, ale jego szef kazał mu zostać. To było rok po moim złamaniu nogi, powiedziałam, że nie pojadę. Dzieci (mój syn z żoną) poszły do konsulatu po wizę, bo wiedziały, że jak nie pojadę wtedy, to już nigdy. I miały rację. To była grupa, ale ja z tej grupy uciekałam. Ani słowa nie umiałam po japońsku, rysowałam. Tak się komunikowałam. Koniecznie chciałam kupić te stare lalki, które widziałaś, które mam, więc rysowałam lalkę. Japończycy zaczynali się śmiać (bo oni tak robią), potem ja się śmiałam i oni znowu – to była taka rozmowa. Zupełny surrealizm – oni mi odpowiadali: 3 marca. Potem się dowiedziałam, że to było święto dziewczynek, zabiera się lalki do świątyni.

A Amazonka? Wyszłam za mąż w 1951 roku i troszeczkę później odbyła się ta podróż. Byliśmy w Południowej Ameryce, ponieważ mój mąż tam pracował i tam dostał pierwszego ataku serca. Uparł się i pojechaliśmy do Machu Picchu i w pociągu (z Indianami) zaczęło go boleć serce. Myślałam, że tam go stracę. Pojechaliśmy potem do Limy. Lima jest położona dużo niżej, więc poczuł się lepiej. W ciągu doby

musieliśmy wrócić do Ameryki, bo był strajk naszej linii lotniczej. Mieszkaliśmy wtedy w Chicago, ale nie czułam się tam szczęśliwa. Najlepszą sytuacją było mieszkać w Nowym Jorku i przyjeżdżać tutaj, do Hiszpanii. W Nowym Jorku była praca i to cudne mieszkanie, i studio.

– Źródło pani wspomnień stanowiły – jak głosi słowo wstępne – rysunki strojów. Dołączono do nich projekty kostiumów, które stworzyła pani dla teatru. Które z osiągnięć w tej dziedzinie sztuki są dla pani najważniejsze? Czy pracuje pani nad nowymi projektami?

– Tak, tak. Absolutnie. Pamięć była inspiracją, ale rysunki dały *focus* inspiracji. Jak już zaczęłam myśleć o tym, to najpierw do głowy przyszły mi obrazy. Jestem wizualistką. Po prostu opisuję to, co widzę. Jeśli czegoś nie widzę, nie potrafię opisać. Zaczęłam to chyba w 1981 roku... Pisałam powoli, na początku parę anegdot dla moich dzieci. Ten fragment o Kamilu Witkowskim był pierwszy, *Tango*. Powstał do wcześniejszego rysunku, który wysłałam do „Przeglądu", ale on się tam wcale nie spodobał. To się zmieniło, kiedy przyszli Czesław Karkowski i Grażyna Drabik. Wielu Polaków miało dla mnie pogardę, bo byłam inna i nie mówiłam dobrze po polsku. Nie byłam dosyć zorientowana. Wróciłam z Hiszpanii stęskniona i byłam jak na innej planecie, w innej Polsce – emigracyjnej. Czułam odrzucenie. Byłam wtedy u mojego profesora hiszpańskiego. Zaprosiłam wielu ludzi do zbierania pieniędzy na „Solidarność" i przyszedł jeden milioner, dał bardzo dużo (potem się dowiedziałam, że kupili za to komputery; byłam wściekła, bo to miało iść na więźniów, na inne rzeczy). Bardzo ładnie się zrobiło, pełno ludzi, a potem Barańczak, Brodski, Irena Lasota mówili w Teatrze La MaMa oraz w innym teatrze. Poszłam tam z moimi hiszpańskimi przyjaciółmi i oni, oprócz Ireny Lasoty, w ogóle się ze mną nie przywitali. A jak Irena się przywitała, to ci Hiszpanie zaczęli bić brawo. Rozumiesz? Tu tego się nie robi. Oni byli na tym wieczorze, czułam odrzucenie mojego ojca i mnie.

Projekty kostiumów umieszczone w książce zrobiłam dla teatru amerykańskiego, hiszpańskiego, polskiego w Nowym Jorku – dla śp. Niny (Katelbach) Polan, do przedstawienia *Halka* i *Powtórka z Czerwonego Kapturka*. To musiał być 2004 rok. Dla mnie szalenie podniecające było przygotowywanie sztuki Calderona w Harvardzie w American Repertory Theatre. Bardzo wielcy ludzie tam pracowali. W budżecie były grosze... jak ja się męczyłam nad tą pracą! Jeździłam do Bostonu z walizką kostiumów i dodatków scenicznych, prawie wszystko sama zrobiłam. Tak. I to się podobało.

Projektuję chyba więcej niż miesiąc, a potem idzie szybko. Teraz chciałam trochę od tego odejść, żeby się zająć papierami ojca i wziąć do czystego malarstwa, po prostu zobaczyć, czy mi wyjdzie. Jeszcze nie zaczęłam, ale już kupiłam książki – przede wszystkim akwarele Fałata i Delacroix. Ostatnie, co zrobiłam, to ilustracje dla Alicji Coleman Schelling, do książki o jej Holocauście. Ona nie mogła o tym pisać, dopiero pięćdziesiąt lat później napisała tę książkę. Tak mnie psuła, przysyłała cudne prezenty... Podobno moja matka bardzo jej w życiu pomogła, jak mnie już

nie było, bo byłam w Hiszpanii. Chciałam się odwdzięczyć, więc powiedziałam, że zilustruję jej książkę. Nie chciałam wziąć pieniędzy. Ona bardzo dobrze mi zapłaciła, bo normalnie to jest zupełnie inaczej. Za projektowanie wnętrz płacą, teatr nie płaci. Ale ja byłam taka szczęśliwa i moją ceną było to, że robię, co chcę, że nikt się nie wtrąca.

Dużo się nauczyłam – zaczęłam na przykład robić maski. Zrobiłam bardzo interesującą sztukę w Nowym Jorku, która się nazywała *Czas 1898 roku*. Akurat było stulecie. Młody reżyser powiedział, że to łatwe: dziesięć kostiumów i trochę scenografii, ale nie powiedział, że dziesięciu aktorów przebiera się siedem razy. To było szaleństwo. *(śmiech)* Ale zrobiłam to i mam bardzo dużo ilustracji. To też było dla mnie wielkie przeżycie. Powinnaś to była widzieć: zabrakło aktora, który miał dać ostatnie rozgrzeszenie skazańcowi. Nie było nikogo, no więc ja byłam tym księdzem. *(śmiech)* Bardzo ładnie to zrobili, dlatego że śmiercią była tancerka *flamenco* i ona tego skazańca wiodła na śmierć przez *garrote vil*, jak u Goyi. I uwiodła go jak kobieta.

Picasso i *Guernica* to było potem. W roku 2001, przed moim wypadkiem wykonałam scenografię i kostiumy do sztuki Goldoniego pokazanej w dwudziestu trzech parkach nowojorskich, a tu, w Madrycie przed wypadkiem na łyżwach zrobiłam *Iwonę, księżniczkę Burgunda* Gombrowicza. Bardzo dużo pracowałam. I prowadziłam biuro projektów, bo przecież w teatrze nie zarabiałam. Jeśli nie chcieli opłacić czegoś, robiłam to z własnych pieniędzy. W Fundacji Kościuszkowskiej zorganizowano czytanie dramatyzowane *Prologu* do *Soli ziemi* (pięciu aktorów) – byłam Franciszkiem Józefem i przygotowałam scenografię. Mam taśmę.

Może najważniejsza jest dla mnie *Medea*... Nigdy jej nie wystawiono. Miał ją reżyserować Wirth w Sound Carolina; szalenie się tym interesował. To było solidnie planowane. Zgodzili się, ale on wyjechał. To byłaby moja pierwsza sztuka. Mam cały zapis. Zrobiłam to w latach 1976–1978. Najpierw do szkoły. Jest album.

Widziałam to jako wygnanie: dzieci Medei były już asymilowane i starsze. Nosiły czapki baseballowe. Policja. Dragon-smok, który porywa Medeę w złotej bramie – to miało stać się na południu, na ulicy przed gestapowskim bankiem. Zmrok. Nagle zjawiają się sprzątaczki – Arabki, muzułmanki w paltach i chustach. Trzy. Wchodzą po schodach z kubłami, żeby te schody umyć. I światło z semafora. Czerwone. Czerwone zmienia się na zielone, kobiety zdejmują palta. Jedna z nich to Medea.

– Fragmenty poświęcone sztuce japońskiej zrodziła – jak się zdaje – pani pasja do japońskiego teatru. Czy Japonia interesuje panią jako projektantkę ubioru, scenografii, wnętrz, autorkę obrazów, kolekcjonerkę dzieł sztuki?

– To była dla mnie zupełna nowość. Widziałam tylko parę japońskich filmów, ale to, co się działo w tym teatrze, ten chór, te krzyki przypominało tragedię grecką. W Ameryce mają Japan House i tam pokazują japońskie filmy. Oddają to te lalki, które pochodzą z XVIII i XIX wieku. Mam ich sześć. Dawno, jeszcze przed podróżą do Japonii, kolekcjonowałam różne rzeczy. Lubię formy, lubię rzeczy,

które do siebie pasują formą, są podobne. Zobacz, tu są kreski i tu, obraz autorstwa Afrykańczyka i afrykańskie maski, tu jest kontrast. Niektóre rzeczy już były w tym mieszkaniu. Mieszam zupełnie tandetne rzeczy – ten bukiet gwoździ jest z tego domu, z dachu, te kominy, które wyglądają jak prehistoryczne japońskie rzeźby, a obok bardzo stara hiszpańska rzeźba. Chodzi o to, żeby przedmioty inspirowały. Cenię przyjaźnie i doświadczenia, które mnie pchają przez mgłę negatywności, żeby kreować. Wolę pisać nieraz o tym, co odległe, a malować to, co bliskie. Może jeszcze się do tego wezmę.

Fascynująca była też Etiopia, Afryka. Chcieliśmy jechać do Chin, ale mąż był już zbyt chory. Meksyk jest niesamowity – zwłaszcza kult śmierci (mają Muzeum Śmierci). Można się było sfotografować z trupem – trup, turysta, trup, turysta... Coś okropnego, ale bardzo interesującego. Zrobiłam sztukę Fridy Kahlo – jej życie jest interesujące. Nie bardzo ją cenię jako artystkę, ale jej życie – tak. Napisałam o niej wiersz (w sumie napisałam trzy wiersze, niepublikowane – nie daj Boże! *(śmiech)* – a może w kubańskim uchodźczym piśmie były drukowane?), *Podwójny portret*. Dwa inne były do mojego męża i syna, może do ojca... Nie pamiętam dokładnie.

Chicago było miejscem bardzo groźnym, zimnym. Miałam tam dużo klientów – Polaków, lekarzy, ale nie za bliski z nimi kontakt. Miałam cudne mieszkanie, bardzo łatwe stanowisko, służącą, wszystko, ale się skarżyłam. Zaczęłam bardzo dużo malować, rysować do teatru (mój mąż miał dość mojego narzekania) i nagle powiedzieli, że w teatrze w Evanston (to było koło Uniwersytetu Northwestern) będzie *Medea* reżyserowana przez Japończyka w stylu *kabuki*. To było wspaniałe. To był teatr, który nie miał żadnego szyldu. W programie była zachęta, żeby artyści przynieśli *portfolio*. Wzięłam *portfolio* tylko z tego, co zrobiłam w Kutrze i bałam się tam pojechać, bo był lód i śnieg. Poszłam na piechotę, a miałam wtedy prawie 50 lat. Rozmawiałam z asystentem reżysera, a potem usłyszałam, jak on mówi reżyserowi, Robertowi Fallsowi, że jakaś podstarzała wariatka przyszła i ma portfolio, mówi o Europie i jakimś tam wygnaniu, jest Polką, ale mówi po hiszpańsku (w Chicago może być jedno albo drugie). *(śmiech)* Na drugi dzień przyszli do mnie ze sztuką w ręku, bardzo interesującą, parafrazą von Horvatha *Tales of Hollywood* [*Opowieści Hollywood*]. O niemieckich pisarzach (Mann, Brecht, całe to towarzystwo), którzy uciekają do Hollywood. Sztuka Christophera Hamptona *Tales of Hollywood* polega na tym, że tuż przed wojną ginie Von Horvath, bo przygniata go drzewo zwalone przez piorun. Dzieje się to przed Teatrem Marigny w Paryżu. Z drzewa wychodzi diabeł i mówi mu: dam ci rok jak Mefisto. Von Horvath jedzie z pisarzami do Hollywood. Falls robił wspaniałe rzeczy; powiedział mi tylko, że to ma wyglądać jak obrazy Hockneya. I zaczęłam pracować. Później zrobiłam *Kuchnię* Arnolda Weskera, sztukę angielską. Nagle przyjeżdża do Chicago Ian McKellan i wystawia trzy sztuki. Jedna była tym, co widziałam najlepszego w teatrze w ogóle – Webstera *Dutchess of Malfi*. Morderca, który zabija za pieniądze. Pusty teatr, Ian McKellan przez telewizję błagał o przyjście. To był uroczy człowiek. Posłałam mu artykuł Jana Kotta o Websterze i on mi odpisał. Mam ten list. Po powrocie do Nowego Jorku

drzwi zaczęły się otwierać. Po surrealistycznym Chicago to się zaczęło.

Chciałam tak żyć. Być kimś innym niż prezesową. Nie chciałam się mieszać z tym towarzystwem, z żonami inżynierów. Zbuntowałam się. Mojemu mężowi zaszkodziło to zawodowo. On był małomówny, mogłam mu pomóc, bo jestem „wyszczekana", ale uważałam już, że czas zacząć coś innego. I nagle odnalazłam się w teatrze. Miałam wtedy 50 lat. Tak chciałam pracować od początku, ale w Ameryce żadna kobieta nie mogła wówczas wejść, ot tak, w świat teatru. Dopiero później się to stało. Mój profesor, dekorator teatralny i scenograf, Paul Steinberg powiedział: jesteś moją najstarszą studentką i najlepszą. Teatru uczyli mnie też Jan Kott, Francisco Nieva, Ruiz Ramón i Antonio Regalado.

– W Hiszpanii odbyły się w sumie trzy pani spotkania z czytelnikami: w Casa Sefarad-Israel w Madrycie, na wydziale slawistyki Uniwersytetu Madryckiego oraz w Ambasadzie Polskiej. Podobne spotkania odbywają się aktualnie w Polsce, przy okazji pani pobytu w kraju...

– Wspaniale przygotowano spotkania w Hiszpanii. Młodzi się tym zajęli. Nic nie wiem o dotychczasowej promocji książki w kraju. Jako autorka na pewno wiedziałabym, gdyby ktoś chciał zrobić coś takiego. Instytut Cervantesa w Warszawie zaprosił mnie i gościł w pierwszej połowie maja. Potem byłam w Krakowie, a teraz jestem tu, w Rzeszowie. Jest kilka recenzji, są wywiady ze mną po tych spotkaniach dzięki takim osobom jak ty.

– Do jakich odbiorców życzyłaby sobie pani dotrzeć za pośrednictwem swoich wspomnień?

– Przede wszystkim do ludzi młodych. Tak jak mój ojciec. Do ludzi bez atawizmów, bez uprzedzeń.

– Czy chciałaby pani jeszcze opowiedzieć o czymś lub o kimś?

– Chciałabym powiedzieć jeszcze o Lwowie, o mojej podróży śladami ojca, w towarzystwie Aleksandry Sołowij Watkins i jej ojca. Pisać o Hiszpanii czasów Franco. To chciałabym jeszcze zrobić.

– Czy zaczęła pani pisanie? I czy ma pani w planach także ilustracje?

– Zaczęłam rysować Wielki Tydzień. To, czego nie mogłam złapać na ulicy, złapałam w TV. Kiedy maluję, nieraz zapisuję, co widzę i potem to konstruuję. Żebracy, ludzie na ulicy, żebracy przed kościołem rumuńsko-cygańskim, muzykanci rumuńscy (ten człowiek, który grał wczoraj na rzeszowskim rynku, wyglądał zupełnie jak Janosik – wspaniałe!).

I piszę, i rysuję. Muszę widzieć, co piszę. Nie potrafię pisać, o czymś, czego nie widzę. Na przykład napisać jakąś nowelkę – nie. Widzę dużo. Może to być rysunek, który widzę „w środku". A piszę o pewnych, chyba interesujących sprawach i w Polsce, i w Hiszpanii. Dlatego tak mnie poruszył film *Ida*. Kocham miejsca, gdzie mogę się podniecać, nawet kupując cytrynę...

– Czy zdecyduje się pani opublikować to, co teraz pisze i rysuje?

– Nie myślę o tym. Tak jak nie myślałam o publikacji moich wspomnień. To Wydawnictwo Literackie namówiło mnie, aby przygotować je jako książkę. I moja

francuska przyjaciółka, krytyczka sztuki, która właściwie wprowadziła Kantora na wystawy – Rosette Lamont. Jestem jej bardzo wdzięczna.

Najpierw jednak tłumaczenie *Mojego Lwowa* i może *Soli ziemi* na angielski, a potem zobaczę. Wielkim uczuciem darzę czas. Szekspir powiedział: *I have wasted time, now is the time wasted me*. Jak on to dobrze powiedział. Teraz muszę napisać coś jeszcze o Janie Kotcie. I zorganizować swoje życie. Być lepszą prababką, żeby dzieci mnie częściej odwiedzały.

– Życzę pani realizacji wszystkich pomysłów i postanowień. Dziękuję bardzo za rozmowę.

Rozmowę zarejestrowano 6 marca 2013 roku w Madrycie, w domu Elżbiety Wittlin Lipton i uzupełniono 24 maja 2014 roku w Hotelu Prezydenckim w Rzeszowie, gdzie zatrzymała się Elżbieta Wittlin Lipton.

E. Wittlin Lipton, projekt kostiumu do sztuki C. Goldoniego, rysunek na papierze.

Bernadetta Kuczera-Chachulska

***

moja mama
stawiała pod ścianą
wszystkie biblioteki
kropla goryczy
ach kropla
jakiej goryczy
jednoznacznie
ostatecznie
odsłoniła rąbka
ach jakiego rąbka
przyszłości

***

bo może
dojrzeliśmy właśnie
do genezis
wpatrywania się
w każdy szczegół
świata
i spiętrzonych
losów
chwila i cisza
wieków
dziesięcioleci
jasne
i jaśniejsze
spojrzenie

PRZYŁUKI

pamięci Józefa Czapskiego

natury cisz
rozmaite
wyjechał przed chwilą
a tu kolejny wiek
dziecko biegnie
drzemie kierowca
przed pałacem
podrapany
w dziwnych może
dla kapisty kolorach
mur
świadczy tu jeszcze
póki zostajemy

***

na podobieństwo jednak
kształtować chcemy
własne losy
a tu nic nie jest możliwe
stary wzór fragment labiryntu
nie wciśnie się w miejsce
jeszcze czekające
dziś rozstrzyga się
na obrzeżach nieznanych części
stara całość
bezradnie
rozkłada ręce

***

zdumiewa mnie
dobry łotr
ani jednego ruchu
ani kropli
żalu nad przeszłością

i spojrzał tylko
nazwał
co prawdziwe

***

jeszcze muchy wzbieranie pamięci
wiatr firanka uchylone okno
chłód pory roku przywołuje inny
kończą się i otwierają lata
jak zwykle w tylu słowach u tylu poetów
Małgorzata pyta o drogę
o drogę o drogę
Faust węszy nie zaprzecza
nieruchomo czeka
anielskie chóry z racją i bez racji
jakby spodziewały się jeszcze
jakby na chwilę przyciszyły głosy

Bernadetta Kuczera-Chachulska

Dwugłos o poezji Bernadetty Kuczery-Chachulskiej

Małgorzata Łukaszuk-Piekara

UWAŻNIE I BEZ POŚPIECHU

Cztery zbiorki wierszy Bernadetty Kuczery-Chachulskiej – *Aneks* (2005), *Gałązka z Dukli* (2009), *Fragmenty* (2009), *Hiob i inne figury* (2013) – to całość szczególna jak na dzisiejsze zwyczaje wydawnicze oraz samą praktykę pisarską. Leżą przede mną trzy skromne tomiki i autorski, niemal kompletny wybór; książki, w których zapisany został świat wyjątkowy nie dlatego tylko, że z definicji poezji lirycznej jest wewnętrzny, osobny, fragmentaryczny. I nie dlatego, że refleksję o życiu, a taką są każde wiersze, wspiera tu rzeczywista dojrzałość kontekstów. Wyjątkowość tego świata polega na tym głównie, że został opowiedziany niezwykle starannie i bez pośpiechu. Nie wolno się jest spieszyć – tak myślę – z wymawianiem rzeczy świata, bo nie ma w nich naprawdę niczego, co usprawiedliwiałoby wobec nich niestaranność czy przypadkowość referencji, charakteryzującą większość dzisiejszych publikacji. Nie upoważniła do pośpiechu i nieuważności ani własna, choć przecież krucha i ograniczona czasem, obecność w świecie, ani zda się banalne okruchy istnień i rozmów, wypełniających przestrzeń intymnych spotkań. One zwłaszcza – drobne istnienia, dźwięki, barwy, sytuacje, wspomnienia czy czynności – w tych wierszach nie milczą. I nie są do przemilczenia. Mają i zyskują głos, znajdują słowa, przepatrywane i korygowane, by były blisko, bardzo blisko rzeczy. Wiersze te to takie właśnie spojrzenia, dotknięcia czy wysłuchania tego, co mówią nam znaki, bo to one są „dowodami", „dają oparcie, udzielają rękojmi" historiom tak prywatnym, i tak bardzo zarazem kulturowym.

Pisząc o „oparciu" i „rękojmi", udzielanych przez cierpliwe doświadczanie świata i będących argumentem za wyjątkową powagą tych wierszy, przepisuję na użytek mojej lektury jedną z konstatacji Paula Ricoeura. Dokonując krytyki pojęcia „dokumentu" (zapisu) i pojęcia „śladu" (zasobu), twierdził on, że materialność dowodów nie jest niezbędna, by relacja o ich historii była prawdziwa. Dowody to dowolne „ślady", poddające się interpretacji i tym cenniejsze, im bardziej „nie przeznaczone do naszej wiadomości"[1]. I jeszcze – istotą „śladu", istotą „odcisku obecności" jest „pokrywanie się" (nakładanie, skrzyżowanie) „tego, co egzystencjalne, z tym, co empiryczne"[2].

[1] P. Ricoeur, *Poetyka opowieści: historia, fikcja, czas*, w: tenże, *Czas i opowieść*, T. 3: *Czas opowiadany*, przekł. U. Zbrzeźniak, Kraków 2008, s. 168–169 (fragment Działu drugiego, zatytułowany: *Archiwa, dokument, ślad*).

[2] Tamże, s. 177.

Nie chcę, choć oczywiście mogłabym, skorzystać z innych kontekstów dyskursywnych, wśród których dziś dominują diagnozy, dowodzące nieskuteczności poezji, jej „ułomności", „niespełnień", „zatrzymywania się na powierzchni, naskórku rzeczy". Jeśli teraz przywołuję, za Ryszardem Nyczem, ale nie bez oporów, te rewelacje „osłabionego", śladowego właśnie podmiotu „nowoczesności", który „nie mając poczucia udziału w historii, pozbawiony jest też możliwości uczestnictwa w porządku egzystencjalnym"[3], to jedynie po to, by ostatecznie odsunąć ułudę i fałsz rewizji, raz po raz zamierzających wieść mnie na manowce własnego życia. Nie są tym samym i nie są tożsame „inflacja słów" i myśl słaba słabego podmiotu dzisiejszej literatury oraz – krucha obecność własna, odciśnięta niedowolnymi słowami w kamieniach kultury i poezji.

Może w ogóle powinnam zrezygnować z takich zewnętrznych interpretacji, bo Bernadetta Kuczera-Chachulska, poetka, historyk literatury i aksjolog, podane w tomiku ostatnim wiersze, dodatkowo przeszeregowane, ułożone na nowo w autorski cykl, poprzedziła esejem *Sztuka poetycka – dziś*, dając mi tym samym najbardziej zobowiązującą ramę lektury. Motto tego minieseju, z Hansa Georga Gadamera, jest skierowane do mnie, skoro nie czytam wszystkich, a jeszcze tylko niektórych: „Żaden tekst poetycki nie przemówi bez gotowości czytelnika, by zmienić się całkowicie w słuch". Drugi akapit tego szkicu uchyla kolejny rąbek prawdy o trudnej dziś wiarygodności poezji: jest ona, pisze Kuczera-Chachulska, rzeczą skupienia, jest „okruchem" wydobytym ze złożoności i zróżnicowania świata poprzez „doświadczenie", a to dzieje się tylko wtedy, „kiedy piszący był uważny".

Uważność piszącego – skupienie czytelnika, ich obu serdeczny trud wspólnego bycia w świecie przeżywanym i nazywanym? Wiem przeciwko komu kieruje autorka tych kilka wstępnych akapitów, zdań pełnych, choć równoważnikowych o marnowanej dziś (także czy przede wszystkim przez nieumiejętną krytykę?) krainie wzruszeń, odpowiedzialności, prawdziwości. Wiem też, że miniatury, ujęte w cztery zbiorki poetyckie, mają istotną rolę do spełnienia w zachowaniu granic tego terytorium.

Poezje, pisze autorka, nie są narracjami. Są natomiast spiętrzeniem znaków i znaczeń, z których można by ułożyć także narrację. Jeśli nie powstała, to może dlatego, że byłaby rozpraszaniem uwagi, nadmiarem słów-kontekstów, zbędnością odniesień wiodących poza siebie i swój świat? Ale tak skrótowo wywiedziona przeze mnie zasada „skupienia podmiotowości" przeczyłaby samym wierszom, zarówno tym z pierwszego, jak i z ostatniego tomiku...

Oto dwa pierwsze fragmenty tych zbiorków: „poruszona / stojąca woda / dusza moja / odbiciem" (z tomu *Aneks*; s. 77) – „śniła mi się Lozanna / już dawno po wyjeździe / Mickiewicza" (z tomu *Hiob i inne figury*; s. 11)[4]. Oto mocna, w także

[3] R. Nycz, *Literatura: litery lektura. O tekście, interpretacji, doświadczeniu rozumienia i doświadczeniu czytania. Z dodaniem studium przypadku „Wagonu" Adama Ważyka*, [w:] tenże, *Poetyka doświadczenia. Teoria – nowoczesność – literatura*, Warszawa 2012, s. 316.

[4] Wiersze cytuję z tomiku *Hiob i inne figury* (Oficyna Wydawnicza Volumen), z podaniem strony; zawsze – z adnotacją, z którego tomu pochodzą.

narracyjnej jednak formie zanotowana, pamięć słów cudzych, naznaczających tę poezję, cierpliwe trwanie w niej obrazów notowanych innym, przecież, losem niż własny[5]. To może tylko jedna ze ścieżek przecinających krainę dobrej poezji, ale może – jeśli „jednym tchem" przeczytać wszystkie wiersze Kuczery-Chachulskiej – w istocie ta „gra z wersami / ilu wierszy" (*Hiob*..., s. 28) to ścieżka w tej poezji główna, dobrze ugruntowana, pielona, utrzymywana w gotowości? Czy to by znaczyło, że z niej wywodzą się pozostałe dukty, więc i ten, który jest najbliższy osobie piszącej, z uwagą i w skupieniu doświadczającej siebie w świecie? A może czynienie takiego rozróżnienia nie ma podstaw, bo nie ma w tych wierszach strukturalnej granicy między cudzym i własnym wzruszeniem, zdziwieniem, zachwytem?

Nazwałabym te miniatury (które zapewne nazywano epifaniami) zapisem czuwania. Jest nim bycie wśród innych osób, w ich pobliżu, na wyciągnięcie ręki, na bliskość wzroku, w gotowości zbliżenia się, choć niespiesznego (tak przecież można czytać wiele wyrażeń, np. „więc nauczyli mnie"; *Hiob*..., s. 22; „to ciągle ludzie / nie do pomyślenia bliscy / nie do nazwania / dalecy obojętni"; *Hiob*, s. 23); ale może najbardziej – bycie w gotowości przyjęcia znaku, jaki przez poetów i przez Boga został zdeponowany w świecie. Nie chodzi tylko o „słynne, znane" pamiątki ze słów i wartości, ale – o rzeczywiste okruchy tajemnicy, tak proste i banalne (bo w banalności ma źródło powaga), że właśnie ledwo widoczne. Braku czasu na czekanie, by się ujawniły, nic nie usprawiedliwia; tak naprawdę nic w tej poezji nie jest szybko i nagle zobaczone:

w górę
i wokoło
na przecięciu
pamiętaj
patrz
bez przerwy
(*Hiob*..., s. 25)

– to zalecenie, które ogarnia w całość tematyczne i formalne wybory. Każde słowo w tym wierszu waży, każde wyznacza kierunek, precyzuje formę aktywności, każde jest umocowane w czasie. W tym małym, osobnym, fragmentarycznym czasie, który sprawia, że nie zdążamy; i w tym „bez przerwy" motywującym troskliwą, spokojną obserwację, w której pośpiech jest bez znaczenia. Pamięć – i obserwacja; czy któryś z tych sposobów postrzegania jest w wierszach Kuczery-Chachulskiej ważniejszy, bardziej brzemienny w „dziwną prawdziwość", w pewność?

Powracają w tych tomikach obrazy prostej, nieruchomej (ale nie zasklepionej w pomnikach) urody prawdziwego świata; powraca też tęsknota za rozumiejącym zbliżeniem do nich twarzy, dłoni, słów. Tęsknota za wypełnieniem obrazów wielkich, niezatartych, nierelatywnych, choć ciągle niezrozumiałych:

[5] „Poeta mówił": Mickiewicz i Rilke chyba najbardziej w wierszach Kuczery-Chachulskiej.

Hiob i inne
figury
czekają na wyciągnięcie
ręki słowa
dalej i dalej
bo to jednak ciągle
nie oni
(*Hiob*..., s. 29)

– i tych drobnych „małych łupinek" (*Hiob*..., s. 35), których nie gromadzą ani katedry, ani muzea, ani kościoły, bo podobno rozumienia krytycznego nie wymagają. O nie trzeba jednak zapytać, bo tylko ich dostrzeżenie może usankcjonować kolejne „pytania zasadnicze".

Gdybym miała wybrać wiersz, w którym zdziwienie sięga jądra naszego istnienia w jedynym „teraz", jakie zostało nam dozwolone, meta-wiersza, w którym kruchość i potęga życia zostały wypowiedziane najczyściej, byłby to chyba ostatni fragment z *Gałązki z Dukli*:

w tym samym miejscu
sprzed dwudziestu lat
na moście
wpychając w ręce
trzyletniej dziewczynki
kulki chleba
karmię karpie.
(*Ryba*, s. 59)

– w istocie nie chodzi o to, czy od tych dwóch zdarzeń minęło dwadzieścia, może dwieście, może dwa tysiące lat, bo w opowieści prawdziwej ważne jest jedynie to, co w skupieniu zostało zrobione naprawdę, i dlatego ustanawia świąteczny wymiar banalnej sytuacji; chodzi o to, że jest prawdziwa dłoń „trzyletniej dziewczynki" i wkładane w nią ręką własną „kulki chleba". Cała reszta – kulturowa, symboliczna reszta „świata" – to właściwie pochodna tej zdarzeniowej drobiny.

Jednak czytam te wiersze jak narrację, choć być nią nie miały; kolejne sytuacje, widoki, zapachy, dźwięki, zbliżenia twarzy i dłoni „dają oparcie", udzielają mi „rękojmi"... W tomiku *Hiob i inne figury*, autorskim wyborze z utworów najnowszych i wcześniej drukowanych (właśnie w takiej kolejności!), trzy strony po zacytowanym powyżej utworze pojawia się ostatni wiersz trzeciego tomiku *Fragmenty*. Jak większość wierszy nietytułowany, bez znaków interpunkcyjnych jako wskaźników lektury, z dyskretnie zaznaczoną dominantą zakończenia, utwór ten ujmuje „głupstwo" życia i „pomnik" idei w najbardziej naturalną i wiarygodną relację:

jedna czynność
zdaje się być środkiem

i osią
wokół której
zbiera się
wszechświat

jedna czynność
wyuczona do końca.
(s. 62)

Ta poezja nie ma być kontynuacją świata, nie ma być wzorem jego rozumienia, nie ma być bandażem na rany życia. Jest natomiast próbą zatrzymania okrucha świata w nieprzypadkowym miejscu i w nie dowolnym czasie. To czas i miejsce, w których „fragment świata" dał znak o swojej wartości osobie uważnej i cierpliwie czekającej. Udzielił jej swojej poważnej tajemnicy.

Małgorzata Łukaszuk-Piekara

Anita Jarzyna

UPARTE (CZUŁE) SPOJRZENIA

Kiedy myślę o, nazwijmy to tak, drodze poetyckiej Bernadetty Kuczery-Chachulskiej, autorki czterech tomików wierszy, symptomatyczna i wiele tłumacząca (zwłaszcza gdy dysponuje się ograniczonym miejscem) wydaje mi się lektura tytułów jej kolejnych książek. Są to, poczynając od najstarszego: *Aneks* wydany w 2005 roku, rówieśne *Gałązka z Dukli* i *Fragmenty* (oba z 2009 roku), wreszcie najnowszy *Hiob i inne figury* (2013). Jakby autorka najpierw ostrożnie, może nawet nieśmiało, odnajdywała i zakreślała swoje miejsce w języku poezji, co zdaje się sugerować czytelna semantyka „aneksu".

Chyba z tego czasu pozostało Bernadecie Chachulskiej przyzwyczajenie i przeświadczenie, do którego jest przywiązana i które postaram się uszanować. W prywatnej rozmowie autorka zdradziła, że nie lubi, kiedy nadużywa się słowa „poetka" w odniesieniu do jej literackich zatrudnień. Rozumiem, że bliska jest jej Norwidowska wątpliwość „czy poetą się jest, czy raczej się bywa". I dalej, kontynuując lekturę tytułów – myślenie „fragmentem", by odwołać się do kolejnego, również mieści się w tej logice, wyborze pozostawania na marginesach. Wreszcie najnowszy tytuł brzmi nieco inaczej, jakby autorka nie tyle aspirowała, czy poszukiwała własnego miejsca w poezji, co już pewniej umieszczała w niej swoją twórczość – wszak powołuje się na rozpoznawalne w kulturze imię własne i daje do zrozumienia, że dołączy do niego (analogiczne?) figury swojej wyobraźni. Może należałoby ująć tę kwestię jeszcze inaczej i powiedzieć, iż to, co działo się już w jej wcześniejszych zbiorkach,

teraz zostaje wyrażone wprost. Nie jest przypadkiem, że w najnowszym tomiku Bernadetta Kuczera-Chachulska pomieściła niektóre utwory z trzech poprzednich książek, szeregując je tym razem od najnowszych, opublikowanych po raz pierwszy, do najstarszych – w tej partii znajdziemy nawet zapisy sprzed dwudziestu kilku lat.

Nie jest przypadkiem, że autorka wraca do tych wcześniejszych utworów, także dlatego, iż poetyka jej wierszy w zasadzie nie zmieniła się przez lata. Są to raczej krótkie, skondensowane, skupione utwory, często bez tytułów (ale za to zwykle opatrzone datą), przez co tym wyraźniej wchodzą ze sobą w dialog i układają się w migawkowe cykle. To na pewno krój, kontur w sam raz na impresję, ale także na epifanię. Zacytuję może stosowny fragment (nie jedyny):

wyobrazić sobie coś
lub zrozumieć
na przykład wieczność
stanęła kiedyś
na skraju śpieszącego się
dnia
olśniewająca niemowa
jeden raz

(s. 36)

Jednak najczęściej metafizyczna podszewka świata poezji Bernadetty Kuczery-Chachulskiej wylania się spod „upartych spojrzeń", jak w wierszu, z którego wzięłam tę frazę:

więc nauczyli mnie
trwania
upartych spojrzeń
na zwisające z dachu
sople lodu
i na poduszki śniegu
u dołu okna
na zmiany pogód
w takt czynności
schować szklankę
umyć nóż
przesunąć krzesło
wykonywanych rano
w południe
wieczorem
i ciszy sunącej po przedmiotach
i braku czekania
bo wydawało się
że było i będzie.

Chyba stąd, z tego zapatrzenia, autorka odnajduje się w formule Simone Weil, iż kultura, a w nade wszystko poezja, jest „kształceniem uwagi". Właśnie w tomie *Hiob i inne figury* szczególnie istotne okazuje się ocalanie ujrzanego, zapamiętanego, choć równocześnie składają się na tę książkę wiersze o utratach (myślę na przykład o *elegii drugiej*). Autorka nie ulega jednak rozpaczy, stając w obliczu nieuchronności strat, cierpliwie szuka i pochwytuje smaki, wszelkie doznania świata – zapisuje czerwce i październiki, liczy, że choć jedno popołudnie, jedna herbata na werandzie przetrwają. Znikliwość przejawia się także w upodobaniu tych wierszy do elipsy, zdają się one powtarzać na różne sposoby: „nad forum romanum / dyszy teraźniejszość / przeszłość jak pergamin / rozwija się w słońcu".

Utwory Bernadetty Kuczery-Chachulskiej zbierają więc szczegóły, ale codzienność trafia do nich rzadko, autorka szuka jednak dla poezji przestrzeni w jakiś sposób odświętnej, tym samym wieczność i trwanie spotykają się w jej zapisach z kruchością, jak w jednym z wierszy klocek lego zauważony w baptysterium. Pozwolę sobie wynotować jeszcze dwa inne drobiazgi: lodówkę i żarówkę energooszczędną. Można zastanawiać się, czy są tego świata kontrapunktem, czy raczej pochwyconymi czułym okiem rekwizytami doczesności, ponad którą autorka na ogół chce budować rzeczywistość swoich wierszy. Dlatego zatrzymuję się przy nich, zasadniczo liczy się tu trwanie rzeczy większych, jak Dolina Kościeliska (s. 35). Cząstki elementarne tego świata poetyckiego, żywioły w swej istocie niezmieniane: woda, powietrze, ziemia – w dużym stopniu określają wiersze z tomu *Hiob i inne figury*. Ważna dla opisu tej poezji zdaje się także kategoria zdziwienia wszystkim, co „szybko odchodzące": mijanymi ludźmi, miejscami, własnymi spostrzeżeniami, jak w *Chartes*. Jeszcze innym przejawem zdziwień i wypatrzeń jest otwarcie utworów Bernadetty Kuczery-Chachulskiej na przeczytane i tym sposobem doświadczane, otwarcie na to, do czego wzywają poeci, szczególnie Rainer Maria Rilke.

Pisząc choćby pokrótce, jak ja teraz, o tomie *Hiob i inne figury*, nie można pominąć zwięzłego, a jednocześnie mocnego i deklaratywnego autorskiego wstępu, mogącego kojarzyć się z Norwidowską tradycją – słowem *Do czytelnika* otwierającym *Vade-mecum*. Wszelako dziś tego rodzaju wystąpienia nie są praktyką częstą i oczywistą. Autorka nie tylko sugeruje, jak życzyłaby sobie, aby wiersze były czytane – wiersze własne i cudze. Przede wszystkim wyraźnie i – powiedziałabym – ostro dystansuje się do współczesnych praktyk krytycznoliterackich. Jeśli dobrze rozumiem, ta intuicja wyraża się również w jednym z wierszy, zacytuję kilka linijek: „poezja miasta / święci triumfy / na konkursach / piękności / przez pomyłkę można / zapomnieć" (s. 27). Nie chciałabym rozwijać tego polemicznego wątku, a jedynie go zasygnalizować.

Zanotuję jeszcze tylko, że czytając wiersze Bernadetty Kuczery-Chachulskiej ułożone w tom *Hiob i inne figury* cały czas odnosiłam wrażenie, iż choć nie zwracają się one wprost do jakiegokolwiek „ty", to jednak bardziej chcą, aby z nimi rozmawiać, niż o nich monologować.

Anita Jarzyna

Tomasz Mielcarek

PROSTE HISTORIE

Znajduję to wszystko tak, jak ktoś to zostawił:
walające się dookoła odpadki
z rozszarpanych przez lisy worków na śmieci,
lśniące posadzki banków i brudne szyby autobusów.

Znajduję mężczyznę, który po trzydziestu latach
stracił pracę i czeka w ten sobotni poranek,
aż jego żona wyjdzie nareszcie z domu,
żeby mógł się w spokoju powiesić.

Znajduję jego brązowe kapcie i ciemnozielony szlafrok,
ciasno przewiązany w pasie. Słyszę skrzypienie podłogi
gdy podnosi się z fotela, żeby zdjąć z gazu czajnik,
który właśnie zaczął gwizdać.

ZABAWY Z OGNIEM

Chciałbym dotknąć czasu,
poczuć w ustach jego gorzki smak;
chciałbym włożyć palec w tę otwartą ranę.

Tak to się wszystko zmienia:
pole przykryte śniegiem,
wypolerowane przez wiatr jak sucha kość.
Ktoś, nad brzegiem rzeki, twardymi,
zmarzniętymi od wiatru dłońmi,
wybiera z koryta nierówne kawałki lodu,
podnosi do góry i szuka w nich światła.

Wiatr przesuwa wskazówki zegara –
czas zgubiony, czas odkupiony;
kto będzie o wszystkim pamiętał
a komu dane będzie zapomnieć?
Ten wiersz to podróż bez mapy,
to piosenka o rozebranych torach.
Ten wiersz to czas i jego kruche wnętrze.

MORNING-AFTER PILL

Mokre parapety, mokre sny, odwilż.
Wszędzie wilgoć, soczysta jak twój język.
Wypływamy na głęboką wodę
i zaczyna chlupać nam w butach.

To nieprawda, że wszyscy byliśmy młodzi,
a teraz wygładzamy nierówności –
naczynie mojej drogi wypełniło się już dawno
i wkrótce zanurzę się w nim, bez ciebie.

Tymczasem twoje oczy ciągną się
jak dwie smugi światła, dwa bąbelki powietrza
gdzieś głęboko pod kołdrą,
w odmętach której rozmrażamy się po zimie.

KARTKI Z KALENDARZA

Nigdy nie byliśmy sami
a przerwy były zbyt krótkie żeby złapać oddech.
Spotykaliśmy po drodze wszystkich,
których później musieliśmy zapomnieć,
zostawić gdzieś pod powierzchnią.

To wszystko było nasze; znaliśmy na pamięć
dworce autobusowe porośnięte czasem i dziurawe okna studni,
łąki pełne potłuczonych butelek, śmieci

i puste koryta ulic, na których dnie
nieświadomie stawialiśmy pierwsze kroki.

Pamiętam moją pierwszą miłość,
pamiętam jak podglądała nas przez dziurkę od klucza
gdy zatrzasnąłem przed nią drzwi.
Nie krępuj się, nigdy nie będziemy sami, nawet pod powierzchnią.
To było nasze, znamy na pamięć.

DZIEŃ Z ŻYCIA

W fabryce zwalniają.
Do kasy stoi długa, cicha kolejka.
Reklamówki i torby wypełniły się zawartością
wąskich metalowych szafek.
W dłoniach, niedbale upchane
kawałki papieru, które nagle nabrały znaczenia.

Wieczorem miasto zapełni się grupkami mężczyzn
pijących najtańsze piwo przy białych,
chwiejących się plastikowych stolikach,
na ławkach w parku, albo w bramach.
Będą rozmawiać ściszonymi głosami.
Będą nieruchomieć.

WYSPY PTAKÓW

Moje imiona wypisane są na ścianach miejskich toalet,
wyplute do rynsztoka.
Nie ma we mnie światła, jest proch
szary i gorzki, i jest miejsce odludne, i pusty dom.

Siedzimy w rzędzie na ganku,
czekamy na pracę, autobus, cokolwiek.
Ptaki jedzą nam z rąk, jedzą z oczu.

Wygrzejemy się w słońcu
a potem rozstaniemy na skrzyżowaniu wielu dróg;
gniazda zabierzemy ze sobą.

ŚLAD

Wieś skuliła się na mrozie.
W oddali biała plama jeziora paruje jak kropla ciepłego mleka;
dalej wąska ścieżka, gnijąca pomiędzy ścianami suchych jodeł,
odgradzających ją od otwartej przestrzeni lasu.

Poszedłem tam wczoraj i przypadkiem
odnalazłem na pniu starej brzozy wiadomość,
którą wyskrobałem kiedyś kuchennym nożem.
Stałem tam sam, siąpił drobny deszcz;
nieopodal rzeka toczyła się ciężko jak kamień,
zostawiając w wilgotnej ziemi głęboki, zimny ślad.

HARMONIA

Znowu zalało ulicę przy której mieszkamy;
dzień i noc pracują pompy elektryczne,
a dookoła domów, jak ropiejące czyraki,
nasiąkają wodą szare worki z piaskiem.

Wracam naokoło, zgubiłem wszystkie drogi.
„Codziennie jest mnie mniej" – myślę
i patrzę, jak świat się ściera. To wszystko
jest teraz we mnie i zatacza koło; rzeźbi się w ciszy.

LÓD

Zamykałaś się pod moim dotykiem jak kwiat,
który chowa się przed nocą.
Rano słońce było ostre jak płacz dziecka,
podsuwało znalezione naprędce przypadkowe obrazy.

Ojciec chodził wokół domu, słychać było twarde kroki,
miażdżące pierwszy śnieg. Długo wołał psa;
jego głos rytmicznie uderzał w żelazny dach studni,
płoszył zmarznięte ptaki.

BLIZNA

Znowu pada. Przy otwartym oknie rozmięka gazeta;
na blacie stołu, wewnątrz kropli wody,
mała mucha próbuje uwolnić się od nieznośnej ciszy.

Czytałem, że wiosną kości przebiły mech;
tak ich znaleźli – poupychanych, w środku lasu.
Leżała tam cała wioska. Nie miał kto nosić ciał.

Często chodziliśmy tamtą leśną ścieżką,
pamiętasz? sączyła się cienką, wyraźną strugą.
Była gładka i wilgotna jak świeża blizna.

PRZYSTANEK KOŃCOWY

Marnieje teraz to wszystko i rzednie;
kurczy się do rozmiarów łóżka,
w którym nic się już nie śni.

Wrzucaliśmy drobne do wielu studni,
lecz nie spełniło się żadne z naszych życzeń.
Przesypaliśmy się przez czyjeś palce.

Kilka ostatnich lat było długich i zimnych.
Cierpliwie krzepła krew.
W oku zasnęła starość.

Tomasz Mielcarek

WIELKA BRYTANIA MOIM DRUGIM DOMEM

Z Tomaszem Mielcarkiem rozmawia z Joanna Kosmalska*

Dla urodzonego w 1974 roku w Szczecinku poety i tłumacza Tomasza Mielcarka ostatnie klikanaście miesięcy obfitowało w nagrody. Zbiór *W podróży* został zakwalifikowany do finałowej siódemki w Konkursie Poetyckim im. Janusza Różewicza w Radomsku, zestaw wierszy opatrzony godłem „Zaklinanie rzeki" zapewnił mu trzecie miejsce w Konkursie Poetyckim im. Kazimierza Ratonia, w listopadzie zdobył pierwsze miejsce w Konkursie Poetyckim o „Srebrny Liść Chmielu". Pomyślny maraton zakończył jako laureat głównej nagrody Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina. Jego nagrodzony tomik *Obecność* ma się ukazać w wersji dwujęzycznej, polsko-angielskiej, w listopadzie 2014 r. Fakt, że twórczość Tomasza Mielcarka, została doceniona przez niezależne i różnorodne gremia w kilku międzynarodowych i ogólnopolskich konkursach, w których autor wziął udział w 2013 roku, sugeruje pojawienie się nowego talentu na scenie literackiej. Szczególnie, że 2014 rok poeta rozpoczął jako finalista *Połowu* organizowanego przez Biuro Literackie. Tomasz Mielcarek od sześciu lat mieszka w Wielkiej Brytanii i tam powstały nagrodzone utwory. W czasie wieczoru poetyckiego w łódzkim Domu Literatury jeden z uczestników zwrócił uwagę na angielskość wyzierającą z jego wierszy. O doświadczeniach migracyjnych i ich wpływie na twórczość, rozmawiałam z Tomaszem Mielcarkiem w jednej z londyńskich kawiarni.

Joanna Kosmalska: Co wpłynęło na decyzję o wyjeździe z Polski?

Tomasz Mielcarek: W dużej mierze zmęczenie sytuacją polityczno-ekonomiczną w kraju i poprawa warunków życia. Dodatkowo od dawna interesowałem się kulturą brytyjską, co poniekąd związane było z wyjazdem na Wyspy części rodziny mojej mamy po II wojnie światowej. Ponadto miałem asa w rękawie w postaci języka. Jeszcze przed przyjazdem bardzo dobrze znałem angielski. Cieszyłem się, że w końcu wykorzystam lata nauki.

– Jak brytyjskie społeczeństwo poradziło sobie z ostatnim napływem polskich imigrantów?

– To zależy gdzie i to zależy także od Polaków. Pierwsze lata wywołały szok. Z czasem Brytyjczycy się przyzwyczaili. Jeszcze w 2008 roku, gdy tu przyjechałem, w opiniotwórczym dzienniku „The Guardian" ukazywały się paniczne artykuły o polskiej powodzi zalewającej wyspę. Później sytuacja się nieco uspokoiła. Znaczna część brytyjskiego społeczeństwa jest bardzo otwarta. Z drugiej strony moja integracja przebiega płynniej niż w wielu innych przypadkach. Znam dobrze lokalną kulturę oraz historię, co Brytyjczycy dostrzegają i doceniają. Niestety ostatnio znowu odżywa nacjonalizm, chociaż obecnie dotyczy to już całej Europy.

– Dostrzegasz wyraźne różnice pomiędzy poprzednimi i obecną falą emigracji?

– Trudno odnieść mi się do emigracji po II wojnie światowej czy tej w latach 80., chociaż odnoszę wrażenie, że oblicze emigracji uległo zmianie. Mimo że sporo

*Wywiad jest częścią projektu „Polska literatura emigracyjna w Irlandii i Wielkiej Brytanii po roku 2004" nr DEC-2011/01/B/HS2/05120 finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki w Krakowie, realizowanego na Uniwersytecie Łódzkim.

osób musiało wyjechać z Polski z powodów ekonomicznych, zawsze mogą tam wrócić. Nikt nie kupuje już biletu z myślą, że z powrotem nie zostanie wpuszczony. Po wojnie przykładało się wagę do tworzenia wspólnoty w celu kultywowania tradycji i języka. Wydaje mi się, że dzisiaj nie ma już tej presji. Jednego dnia mieszkamy tu, jutro pojedziemy w inne miejsce. Dlatego raczej powinniśmy mówić o migracjach. Osobiście odpowiada mi, a nawet pociąga mnie taki nomadyczny styl życia, brak zakotwiczenia, niekończąca się podróż. Z drugiej strony można obserwować pewną kontynuację tradycji poprzednich fal emigracyjnych wśród Polaków, którzy sprowadzili tu swoje rodziny i osiedlili się na stałe. Posyłają oni swoje dzieci do polskich sobotnich szkół, choć dla części z nich bycie Polakiem może wydawać się określeniem wyrwanym z kontekstu.

– Czy wśród Polaków wykształcił się stereotyp Brytyjczyka?

– Zauważyłem, że Polacy często oceniają Brytyjczyków dość negatywnie; postrzegają ich jako ludzi, którzy niczym się nie interesują i mają słabe wykształcenie. Wynika to jednak z tego, że duża grupa polskich emigrantów ze średnim lub wyższym wykształceniem pracuje w fabrykach na najniższych stanowiskach, na których w Wielkiej Brytanii zatrudniani są pracownicy po ukończeniu szkoły podstawowej. Środowisko, w którym przebywamy, wpływa na sposób, w jaki postrzegamy innych. Jednak generalizowanie to przekleństwo, które bez wątpienia odcisnęło piętno na obrazie Brytyjczyków wśród Polaków, ale trzeba wyraźnie zaznaczyć, że jest to obraz nieprawdziwy, wypaczony.

– Jakie były pierwsze wrażenia po przyjeździe do Wielkiej Brytanii?

– Pamiętam, jak wylądowałem w Gatwick i nie mogłem zrozumieć akcentu. Osoba, która miała ze mną podróżować, nie doleciała. Na lotnisku otrzymałem telefon, że muszę dojechać na miejsce sam i w dodatku pod inny adres niż ten, który podano mi w Polsce. Byłem ogromnie zestresowany. Przy informacji stał młody chłopak z oryginalną fryzurą. Zapytałem go o drogę. Potem poszedłem kupić bilet, ale zdałem sobie sprawę, że nie wiem, na którym przystanku wysiąść, więc wróciłem po pomoc do tego samego chłopaka. Wytłumaczył mi całość raz jeszcze. Odszedłem. Po chwili wróciłem, bo nie byłem pewien, czy dobrze zrozumiałem. Dziwnie się na mnie patrzył. Pewnie myślał, że sobie z niego żartuję. Obserwując całą sytuację z boku, mogło się odnieść takie wrażenie.

– Dlaczego zacząłeś publikować dopiero za granicą?

– Muszę przyznać, że żyjąc w Polsce, z różnych powodów nie mogłem poświęcić na pisanie tak dużo czasu, jakbym chciał. W związku z tym urwał się na jakiś czas mój kontakt z poezją i światem literackim. Ponadto nad moim planami wydawniczymi wisi fatum. W drugiej klasie liceum uczęszczałem na dodatkowe zajęcia z języka polskiego i nauczycielce bardzo spodobał się jeden z moich wierszy. Umówiła się z lokalną gazetą, że go opublikują. Niestety zbankrutowali, zanim ukazało się moje „dzieło". Bodajże trzy lata później, pokazałem swoje wiersze osobie pracującej w jednym z poznańskich wydawnictw, która stwierdziła, że są one zbyt kontrowersyjne. Opinia ta bynajmniej mnie nie zniechęciła. Uznałem po prostu, że

były za słabe i poszły do kosza. Kosz na śmieci to najlepsze miejsce na kiepskie wiersze, a ja jestem wybredny.

W 2002 roku otrzymałem wyróżnienie w konkursie, co wiązało się, jeśli dobrze pamiętam, z publikacją w „Nowej Okolicy Poetów". Jednak kwartalnik ukazywał się nieregularnie i straciłem z nim kontakt, dlatego nawet nie wiem, czy tamte wiersze doczekały publikacji. W zeszłym roku zdobyłem nagrodę główną w Konkursie Poetyckim im. Jacka Bierezina i wygląda na to, że w końcu ukaże się mój debiutancki tomik *Obecność*.

– Czy doświadczenia na Wyspach wywarły wpływ na twoją poezję?

– Moje doświadczenia na Wyspach były szczególnie istotne po przyjeździe. Wiele utworów z tamtego okresu związanych jest z miejscami, które odwiedzałem, jak British Museum czy Tate Modern. Z kolei wątki autobiograficzne wplatam w sposób wyważony. Uważam, że ekshibicjonizm nie jest zdrowy ani na ulicy, ani w poezji. Oczywiście zawsze część nas zostaje w tym, co piszemy, trzeba jednak uważać, żeby nie przekroczyć pewnej granicy. Na zwierzenia najlepsza jest kozetka u psychologa. Co ciekawe, kiedy znajomi przeczytali pierwsze napisane tutaj utwory, stwierdzili, że wyziera z nich tęsknota. Chociaż nie miałem takiego zamysłu, wkradła się ona gdzieś pomiędzy strofy. Może byłem pod wpływem poezji Adama Zagajewskiego, w której się wówczas od nowa rozczytywałem. Z jego wierszy też wyziera pewien smutek, przynamniej tak mi się wydaje. Wygląda na to, że nasze tęsknoty się spotkały.

– Poza tomikami Adama Zagajewskiego, po czyje wiersze chętnie sięgasz?

– Twórcą, który całkowicie zmienił moje wyobrażenie o poezji był Allen Ginsberg – dla mnie, wówczas piętnastolatka – *Skowyt* i *Kadysz* były objawieniem. Oto współczesna poezja, pomyślałem. Kika lat później ukazała się *Antologia nowej poezji brytyjskiej* Piotra Sommera i dzięki niej zapoznałem się z Ianem Hamiltonem, Davidem Harsentem i Stewardem Connem.

Chętnie sięgam też po współczesnych poetów związanych z Biurem Literackim, na przykład Romana Honeta, Joannę Mueller czy Sławomira Elsnera, wymieniać mógłbym długo. Uważam, że warte uwagi jest wydawnictwo A5 i WBPiCAK pod redakcją Mariusza Grzebalskiego, w którym ukazały się między innymi tomiki Kamili Pawluś i Marcina Orlińskiego. Jakiś czas temu poszerzyłem kanon lektur o książki Fundacji na Rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza oraz serie wydawnicze Domu Literatury w Łodzi. Staram się czytać jak najwięcej.

– Zauważyłeś wśród Brytyjczyków zainteresowanie polską poezją?

– Widzę zainteresowanie Miłoszem, Szymborską, Herbertem oraz Zagajewskim. Zdaje się, że wszyscy byli publikowani w prestiżowym kwartalniku „The Poetry Review". W wydanej z okazji pięćdziesięciolecia istnienia pisma publikacji zbiorczej redaktor chwalił się, że publikują autorów, którzy później zdobywają nagrodę Nobla. Ostatnio z wielką radością odnotowałem też w „Modern Poetry in Translation (mtP)" nowe przekłady na język angielski poezji: Krystyny Miłobędzkiej, Marcina Świetlickiego, Justyny Bargielskiej, Łukasza Jarosza i Wojciecha Bonowicza.

– Czy próbowałeś wniknąć w brytyjskie środowisko literackie?

– Kilka razy wziąłem udział w spotkaniach organizowanych przez grupę *Poets Anonymous* w Croydon. Do innych części Londynu trudniej mi dotrzeć z powodu codziennych obowiązków. Chcę być jednak na bieżąco z tym, co dzieje się w Wielkiej Brytanii, dlatego jestem członkiem The Poetry Society, największej organizacji skupiającej poetów i osoby zainteresowane poezją, która wydaje wspomniany już biuletyn kwartalny „The Poetry Review". Prenumeruję też „Poetry London" oraz „Modern Poetry in Translation (mtP)" w wersji elektronicznej. Najsilniej w Wielkiej Brytanii czuję się jednak związany ze środowiskiem polonijnym.

– Jak zaczęła się znajomość z poetycką Polonią?

– Po przyjeździe tutaj byłem nastawiony na czytanie i pisanie po angielsku. Później jednak zacząłem szukać kontaktu z Polakami. W internecie trafiłem na ogłoszenie promujące imprezę „Mój jest ten kawałek podłogi" organizowane przez PoEzję Londyn, grupę prowadzoną przez Adama Siemieńczyka i jego siostrę, Martę Brassart. Na ich stronie znalazłem wtedy wiersze publikowane przez Polaków, mieszkających obecnie w Wielkiej Brytanii i Irlandii. Tak nawiązaliśmy kontakt. Później przez kilka miesięcy nie mogliśmy się spotkać. Udało nam się to wreszcie w czasie Dni Poezji UNESCO w Londynie. Była to pierwsza duża impreza organizowana przez PoEzję Londyn. W stolicy życie kulturowo-literackie Polonii jest żywiołowe. Dużo się dzieje w Devonii, POSK-u i Ognisku Polskim, w którym ponad rok temu otworzył się Salon Literacki. W chwili obecnej związany jestem z grupami KaMPe oraz E-sztuka.

– Wspomniałeś, że po przyjeździe na Wyspy nastawiony byłeś na pisanie po angielsku. Czy nadal tworzysz w tym języku?

– Tak, choć robię to coraz rzadziej. Od dłuższego czasu wybieram język polski. Angielski zawsze będzie moim drugim językiem, ale nie w znaczeniu czegoś obcego, traktowanego po macoszemu; wręcz przeciwnie, zawsze lubiłem jego brzmienie, „czułem je". W szóstej klasie rodzice zapisali mnie na prywatne lekcje (w szkole uczyłem się francuskiego i rosyjskiego) i tak się zaczęło. W ogólniaku szkoliłem angielski, grając na gitarze i śpiewając brytyjskie piosenki. Lubiłem zespoły, których muzyka nie była wówczas w Polsce łatwo dostępna, na przykład Pulp, Blur czy Radiohead. Niektórych zwrotów z ich piosenek nie mogłem nawet znaleźć w słowniku. To zabawne, ale długo nie wiedziałem, że *shag that bird* jest wulgarnym określeniem. Język angielski zawsze będzie moim drugim językiem, tak jak Wielka Brytania moim drugim domem.

– Czy możemy mówić o współczesnej literaturze emigracyjnej?

– Być może. Nie bardzo wiem, jakie kryteria miałbym przyjąć, dlatego ocenę pozostawię badaczom literatury. Sądzę, że ten nurt dopiero się zaczyna wyłaniać, ale z czasem będziemy mogli mówić o literaturze nowej emigracji.

MIEJSCA, LUDZIE, OPOWIEŚCI. TWÓRCZOŚĆ ANDRZEJA STASIUKA

DZIKOŚĆ LEKTURY

Spotkanie z Andrzejem Stasiukiem*

Jan Wolski: Jurij Andruchowycz w tomiku *Piosenka da martwego koguta*, przełożonym przez Bohdana Zadurę, zamieścił wiersz o znamiennym tytule *More Than a Cult*. Jego fragment brzmi tak:

> Stasiuk widzi wszystko.
> Organ jego miłości – to pamięć wzrokowa.
> Organ jego oddechu – to paczka papierosów.
> Organ jego pisma – to zdezelowana maszyna do pisania.
> Ponieważ zdezelowana, pisze ręką.
> Czyli „od ręki", od siebie, ode mnie, od ciebie.
> Czyli jest jednym z nas, choć, być może, najlepszym.
> To pismo jest autentyczne, to nazywa się charakter.
> Po czymś takim poznaje się pisarza czy seryjnego mordercę.
> A więc nigdy nie przyłapiecie go na szachrajstwie.

To bardzo trafna charakterystyka twórczości, a i charakteru naszego dzisiejszego gościa, którego zapewne bliżej przedstawiać nie trzeba. Tym bardziej, że w naszym mieście gościł już niejeden raz. Jego talent ma tu liczne grono wielbicieli, z którymi spotykał się w klubach, bibliotekach, a teraz w uniwersytecie. Przed państwem Andrzej Stasiuk.

---

*Zapis obszernych fragmentów spotkania z Andrzejem Stasiukiem, które odbyło się w Małej Auli Uniwersytetu Rzeszowskiego 24 kwietnia 2014 r. w ramach sympozjum *Miejsca, ludzie, opowieści. Twórczość Andrzeja Stasiuka*, zorganizowanego przez studentów i pracowników Instytutu Filologii Polskiej UR oraz redakcję „Frazy".

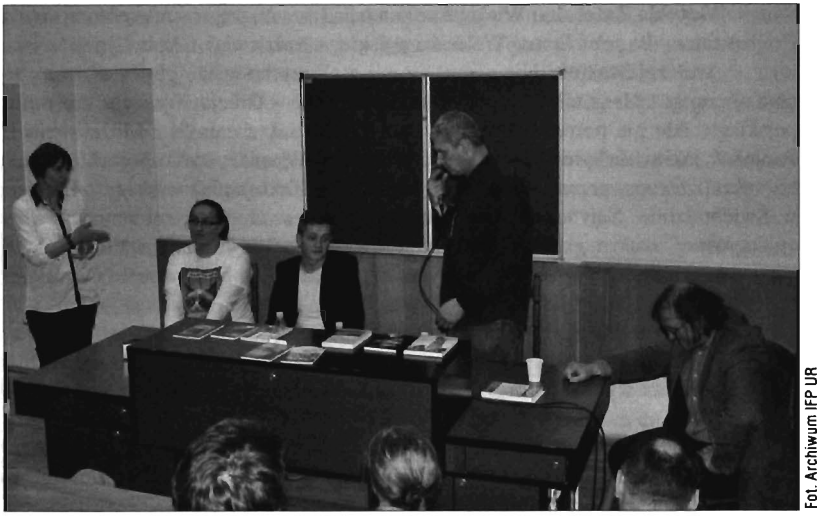

Fot. Archiwum IFP UR

Od lewej: M. Rabizo-Birek, M. Zatorska, D. Niezgoda, A. Stasiuk, J. Wolski w Małej Auli UR 24 kwietnia 2014 r.

Andrzej Stasiuk: Bardzo się cieszę, że po raz kolejny jestem w Rzeszowie. Ostatni raz byłem tutaj dwa lata temu, w więzieniu. Też było przyjemnie... Publiczność mniejsza i głównie męska, ale interesująca. A teraz goszczę w uniwersytecie.

Damian Niezgoda: Jeżeli już mówimy o więzieniu, w książce *Nie ma ekspresów przy żółtych drogach* wspomina pan o tym, że często odwiedza więźniów, między innymi w Uhercach. Czy dostrzega pan jakąś różnicę pomiędzy środowiskiem opisanym w *Murach Hebronu*, a tym, które teraz odsiaduje swoje wyroki?

Andrzej Stasiuk: To nie jest tak, że często bywam w więzieniach. Chciałbym je częściej odwiedzać, ale jestem tam dwa, może trzy razy do roku... Pozmieniało się, oczywiście, że się pozmieniało. Szczególnie jeśli chodzi o kulturę więzienną, o tak zwaną drugą władzę – grypsujących, więzienną mafię – zniknęła, w sumie nie wiadomo dlaczego. Jak twierdzą osadzeni, teraz kasa rządzi wszystkim. Nie opłaca się tak żyć – po prostu. To po pierwsze. Po drugie, jest teraz swobodniej, nie ma już takiego napięcia między więźniami a klawiszami. Pojawiły się oddziały terapeutyczne, rzeczy kiedyś niepoważne. Po trzecie, więzienie się cudownie sfeminizowało. Na męskich oddziałach jako wychowawcy i kierownicy oddziałów pracują kobiety. I to kapitalnie działa. Kiedy facet jest naprzeciwko faceta, po dwóch stronach barykady, to automatycznie włącza się agresor, zaczyna rywalizacja. A tutaj spotyka piękną kobietę, która, co prawda, jest klawiszem, ale takiej relacji towarzyszą już zupełnie inne emocje, jakby ona była zjawiskiem z innego świata. To nie jest już to więzienie, co kiedyś. Niestety...

Matylda Zatorska: Wiele pisze pan o badziewiu, często architektonicznym. Co jest zatem dla pana Statuą Wolności polskiego badziewia? Jaki budynek?

Andrzej Stasiuk: Nie wiem, nic mi nie przychodzi do głowy. Kopia czegoś, ale czego? Może tak wszystko ze sobą zlepione – Grecja, Wenecja, coś europejskiego. Ale nie potrafię sobie tego wyobrazić. Jakaś całość... Może krasnal? Papież w jakimś lichym wykonaniu? Chyba jednak papież – jako postać zupełnie zdesakralizowana, przemielona przez popkulturę. Taki papież większy od Jezusa w Świebodzinie. Największy papież świata. Pusty w środku, zrobiony z żywicy epoksydowej, z takim głuchym dźwiękiem, kiedy się w niego zastuka. Nie ma chyba czegoś takiego. Ja sobie to tak po prostu wyobrażam. To byłoby coś! Największy Papież Świata!

Damian Niezgoda: Wyobraźmy sobie taką abstrakcyjną sytuację, że wchodzi pan do knajpy, gdzie przebywają wszyscy pisarze świata ze wszystkich epok. Może pan wybrać jednego, któremu postawi pan piwo. Kogo by pan wybrał i dlaczego?

Andrzej Stasiuk: Trudno mi sobie wyobrazić taką knajpę, gdzie byłoby tylu pisarzy. Nie wchodzę do krakowskich knajp, kiedy jest tam choćby trzech pisarzy. Przede wszystkim jednak jest tak, że ci wszyscy pisarze, którym chciałbym postawić piwo, są starsi ode mnie, a większość z nich, albo wszyscy, już nie żyje. Zaś dobre wychowanie zabrania młodszemu, żeby starszemu proponował piwo. Tak przynajmniej było kiedyś, nie wiem jak jest teraz. Ja jestem z tych czasów, kiedy, gdy chciałem postawić Januszowi Głowackiemu pięćdziesiątkę, bardzo długo się wahałem. Oczywiście się zgodził, ale miałem taką gówniarską tremę, przecież on był starszy ode mnie o dwadzieścia lat. Zatem nie wiem, komu mógłbym postawić piwo. Wielkim nieobecnym, wielkim umarłym? Zygmuntowi Hauptowi stawiać piwo? To on mógłby mi w swojej łaskawości piwo postawić. Płatonowowi? Jak stawiać piwo geniuszowi? Nie... Wy, młodzi, za bardzo skracacie dystans.

Matylda Zatorska: Odwracając sytuację – może pan wybrać pisarza, który postawi panu piwo...

Andrzej Stasiuk: Staram się nie pić piwa. Może byłby to jakiś młody pisarz, który mnie podziwia? A czy młodzi pisarze mnie podziwiają? Nie wiem. Może zostawmy to piwo, bo mi się zaczyna chcieć pić.

Damian Niezgoda: Pamięta pan lata swojego debiutu. Czy dziś młodym pisarzom jest łatwiej debiutować? A może jednak trudniej?

Andrzej Stasiuk: Nie znam się na tym za bardzo. Ja miałem szczęśliwy debiut. Mój dobry przyjaciel wydawał książki w małym wydawnictwie. Powiedział: „Piszesz? To ci wydam książkę". I wydał *Mury Hebronu*. To było poza literackim światem, tak bardzo poza Krakowem i Warszawą, że trudno to nawet nazwać debiutem literackim. Żadnych krytyków, broń Boże. A potem ktoś zauważył tę książkę. Teraz można dowolne rzeczy publikować, za chwilę, podejrzewam, taka zwykła, papierowa książka nie będzie miała posmaku nobilitacji. Wydaje mi się jednak, że teraz trudniej debiutować, bo młodzi pisarze odczuwają większe ciśnienie. W tej

chwili problemem nie jest literatura, a kariera. Natychmiast chce się swoją obecność zaznaczyć. Działa potężna presja współczesności. Teraz psychicznie jest trudniej, po prostu istnieje jakiś przymus. Że się musi, że natychmiast, że już, że będzie kasa i kariera. My zapieprzaliśmy bez nadziei na jakąkolwiek nagrodę. Nagrody były bardzo skromne. Macie trudniej. A może łatwiej?

Matylda Zatorska: W jednym z wywiadów powiedział pan: „Wszyscy piszą. Lud się dorwał do twórczości i nie ma zmiłuj". Co z tego wynika? Czy to jest dobre? Czy pan czyta wydawane teraz książki?

Andrzej Stasiuk: Nie zaglądam do nich, bo nie mam czasu. Jestem zajęty swoimi rzeczami. Czy to jest dobre? Nie wiem... Tak jest dziś z każdą dziedziną. Wszyscy robią zdjęcia, wszyscy grają muzykę. Sztuka się strasznie demokratyzuje. Być może coś odchodzi w przeszłość. Literatura zawsze była sztuką hierarchiczną. Było naturalne, że jedni piszą trochę lepiej, drudzy trochę gorzej i nikt tego nie kwestionował, chyba że paranoicy. Ale to odchodzi w przeszłość. W tej chwili technologiczność świata i dostęp do narzędzi jest ogromny. Znam dużo dzieciaków znajomych, którzy grają muzykę. Miałem przyjaciół w swoim pokoleniu, którzy byli muzykami. I widzę radykalną różnicę w poziomie gry. Dziś szesnastolatki grają tak, że moi trzydziestoletni koledzy za Boga by tak nie potrafili, ponieważ nie mieli dostępu do biblioteki muzycznej całego świata, do nowości, do instrumentów. Z literaturą będzie podobnie. A to jest jakiś komunistyczny mit, że wszyscy powinni być magistrami. Pisarz Juan Carlos Onetti powiedział kiedyś takie ładne zdanie, które lubię: „Wszystko wzięło w łeb, od kiedy wojskowi i kobiety nauczyli się czytać".

Jan Wolski: Nie było poprawne politycznie.

Andrzej Stasiuk: Miał do tego prawo, był wielki!

Damian Niezgoda: W *Taksimie* jest taka scena, w moim odczuciu dość drastyczna, kiedy broniąca młodych locha zagryza Wietnamczyka. Jak to jest z takimi zdarzeniami w pana utworach – są czystą imaginacją, czy też zainspirowały je autentyczne wydarzenia?

Andrzej Stasiuk: A co w tym dziwnego? Dzika locha. Przecież to jest niebezpieczne – kiedy zobaczysz taką świnię, natychmiast spieprzasz. To była rumuńska czarna locha, podobna do dzika. Te świnie pasą się na wolności, buszują w stepie. Działo się to na targowisku, w północno-wschodnich Węgrzech. Była tam cerkiew, do której Rusini karpaccy zjeżdżają we wrześniu na doroczny odpust. Przyjeżdżają tam także ludzie z Rumunii, Polski, Cyganie. W tym świecie pobożności chrześcijańskiej i emocji środkowoeuropejskiej, w tłumie rozmodlonych Cyganów, Rusinów i słowackich Łemków chodziła wielka locha, pilnująca swoich prosiąt.

Damian Niezgoda: Skoro o zwierzętach mowa, podobno pan kiedyś hodował lamy. Ma pan coś teraz, choćby owce?

Andrzej Stasiuk: O czym rozmawiamy, o hodowli czy o literaturze?! Przyjechałem tu jako pisarz, nie jako hodowca! To prawda – mam parę baranów. Kiedy zapada na spotkaniu cisza, zaraz pada pytanie: „Podobno pan hoduje owce". Lubię towarzystwo zwierząt, dobrze się czuję, kiedy są gdzieś obok mnie.

Matylda Zatorska: Są profesorowie, którzy twierdzą, że po trzech minutach egzaminu są w stanie ocenić studenta i nie pomylą się w ocenie. Ile panu, osobie, która wiele czyta i wydaje książki, zajmuje czasu ocena, czy to, co trzyma pan w ręce, nadaje się do druku, czy też nie?

Andrzej Stasiuk: Ja już tego, co autorzy przysyłają do naszego wydawnictwa, nie czytam. Na początku z żoną czytaliśmy, teraz są takie ilości, że mamy od tego redaktorów – bardzo inteligentnych i błyskotliwych, którym ufamy. Ale ogólnie – myślę, że potrzeba mi lektury czterech, pięciu stron. Nie da się oszukać, jeśli ktoś pisze źle po polsku, jest skreślony. Co mnie obchodzi, że ma wielkie idee i świetne pomysły, jeśli nie da się przez to przebrnąć. Jest dokładnie tak jak z muzyką – słuchasz i od razu czujesz jasno i wyraźnie, że facet fałszuje. Co z tego, że komponuje i nuty składa. Mówią: „przeczytaj do końca", ale nie daję rady, nie mam z tego przyjemności. Kiedy czuję, że tekst jest nieporadny i kaleczy język polski, mówię: sorry.

Damian Niezgoda: Pańskie książki znajdują się już, i to od dość dawna, na liście lektur. Jak się pan czuje jako klasyk?

Andrzej Stasiuk: Nie sądzę, żeby bycie na liście lektur było równoznaczne z byciem klasykiem. Klasykiem stajesz się dopiero po trzydziestu, sześćdziesięciu, stu latach po śmierci. Jak cię wtedy jeszcze czytają, może jesteś klasykiem. Jak się czuję, będąc na liście lektur? Średnio. Nie przeczytałem w szkole żadnej lektury. *Dziady* z wielką przyjemnością przeczytałem mając lat trzydzieści. Dopiero wtedy i z pełnym zrozumieniem, bo mnie straszono, że to „wielka poezja jest". Kiedyś moja córka przyszła ze szkoły i powiedziała: „Tato, jesteś na liście lektur". I wstyd, bo się wszyscy w szkole na nią patrzą.

Matylda Zatorska: Czy kanony lektur, listy typu „100 najlepszych książek" są potrzebne?

Andrzej Stasiuk: Są ludzie, którym potrzebny jest jakiś drogowskaz, ale moje doświadczenie mówi coś innego. Mnie potrzebna była wolność lektury. Kiedy miałem dwanaście, trzynaście lat i biblioteka szkolna zaczęła istnieć w mojej świadomości, szperałem po półkach, od jednej książki do drugiej, prowadzony przez czysty przypadek, los. Dzikość lektury jest czymś ekscytującym. Wypuszczasz się w nieznaną przygodę, podróż, która nie wiadomo jak się skończy. Lektura jest podróżą i niekiedy prowadzi na manowce. Czasami ścieżka się nie kończy. Można też zwariować od nadmiaru lektur. Nie jestem człowiekiem wykształconym, zatem widzę to trochę inaczej. Wszystkie rankingi – dziesięciu najsłynniejszych morderców, dziesięciu najsłynniejszych gwałcicieli – to jest bardziej zjawisko medialne, w którym jest coś banalnego. Książki to są zupełnie różne, niezależne byty. Każda książka jest światem. Z samochodami jest łatwiej. Jest wręcz coś obelżywego w takich gazetowych rankingach książek. Tak mówię, bo w żadnym chyba się nie znalazłem.

Damian Niezgoda: Dużo pan podróżuje. Czy jest takie miejsce, do którego najchętniej pan wraca?

Andrzej Stasiuk: Do Wołowca, do domu się chętnie wraca. Czasem mam takie poczucie, że wyjechałem tylko po to, żeby po miesiącu wrócić. Nie wiem.... Są takie miejsca w Polsce i niektóre w Europie... Blisko granicy słowacko-węgierskiej jest takie miasteczko, zawsze stawałem i patrzyłem, jak ono się zmienia. Piękne, malownicze miejsce, ale takich jest tysiące na świecie.

Matylda Zatorska: Właściwie w każdym pańskim utworze pojawia się wiocha. Czy uważa pan, że kiedyś przyjdzie moda na polską wiochę? Co z niej wtedy zostanie?

Andrzej Stasiuk: Dlaczego polska wiocha ma się stać modna? Co tam jest takiego? Sprzedać polską wiochę w świat? Nie, to tak nie działa. Kiedy mówię o wsi, mówię o wsi swojego dzieciństwa, której już nie ma, do której jeździłem do dziadków. Mówię tak naprawdę o przeszłości, której już nie ma. Jeżeli zrobi się ze wsi produkt narodowy, to, szczerze mówiąc, będziemy sprzedawali jakieś ochłapy. Polska wieś jest różna i jest to jakiś fragment tożsamości, który spychamy z polskiej świadomości. Wszyscy udają, że są z miasta. Moi rodzice całe życie udawali, że urodzili się w Warszawie. A pochodzili ze wsi mazowiecko-podlaskiej. Wydaje mi się, że Polacy zrobili swego rodzaju kastrację umysłu, kastrację tożsamości. Żyjemy w jakiejś pogardzie do wsi, w jej kompleksie. I co – zaczniemy przyjeżdżać na tę naszą kochaną wiochę, pojawią się na niej jacyś hipotetyczni turyści ze świata? Chodzi o tożsamość, nie o krajobraz wiejski. Nie ma już tamtej wsi. Jest asfalt. Trzydzieści kilometrów od Warszawy nie ma ani jednego zwierzęcia, ani jednej krowy. Kiedyś na wsi była bliskość zwierzęcości i ludzkości, zapachy, które się mieszały. Teraz trasa wiedzie przez środek „wsi", a po lewej i po prawej stronie mamy posadzone i wystrzyżone tak zwane iglaki. A jeszcze niedawno kwitło tam życie, ryły świnie. To się zmieniło, ta zmiana jest kapitalna i fascynująca, jeśli chodzi o ogólną tożsamość. Ale mnie chodzi o taką wieś nierealną, której już nie ma. Może to i lepiej, to było nudne miejsce do życia. Wszyscy stamtąd uciekali. Cała rodzina ze strony mojej babki uciekła do miasta, na wsi został tylko głuchoniemy brat. I tylko ja, podobni do mnie, tęsknią do tamtej wsi. Prawdziwa wieś? Nic z niej nie zostało. Nic tam już nie ma.

Karolina Kumka: Czy jest jakiś współczesny polski pisarz, którego pan szczególnie ceni i za co?

Andrzej Stasiuk: Tak naprawdę cenię tylko martwych pisarzy. Ostatni wielki zmarł w sześćdziesiątym siódmym roku. Jest tak, że czci się przede wszystkim zmarłych. Jak Haupta. Z żyjących, z którymi poszedłby na piwo, nikt nie przychodzi mi do głowy. Pani by pewnie chciała, żebym powiedział, kto jest najlepszym, a kto najgorszym żyjącym pisarzem. Dorota Masłowska była takim zjawiskiem w swojej pierwszej książce – to było coś tak wyrazistego, że trudno było przejść obok niej obojętnie. Może Odojewski ze swoim ukraińskim cyklem.

Magdalena Rabizo-Birek: Stał kilka lat temu w tym miejscu, w którym teraz stoisz.

Andrzej Stasiuk: Czuję to! Jego cykl ukraiński to było coś, co mną wstrząsnęło, kiedy zacząłem go czytać piętnaście lat temu, i do tej pory we mnie zostało.

Masłowska i Odojewski. Ale duet! Także Miłosz, ale jako osoba przede wszystkim. Na jego poezji się nie znam. Przeczytałem jednym tchem tę wielką biografię Andrzeja Franaszka. Miłosz fascynuje mnie jako postać zakorzeniona w historii Polski, w swoim tragizmie, dramacie, rozdarciu. To był człowiek potwornie tragiczny. Dostał Nobla, tysiące dolarów, a jednocześnie miał tak przesrane życie, że trudno sobie wyobrazić większą życiową udrękę. Ta jego wielka litewska siła pozwalała mu za każdym razem wstawać, podnosić się, dożyć tego wieku i odejść z klasą.

Jan Wolski: Czy nie napisałbyś z Jurijem Andruchowyczem nowej wersji *Mojej Europy*? W kontekście tego, co się obecnie dzieje na Ukrainie?

Andrzej Stasiuk: Myślałem o tym, żeby z nim pogadać o Ukrainie, o wszystkim, o najnowszej historii ukraińsko-polskiej, o wydarzeniach aktualnych. Ale brakuje mi czasu. Natomiast jest pewna nadzieja, że Paweł Smoleński zrobi z nim wywiad-rzekę. Jurko wydał ostatnio *Leksykon miast intymnych*. I raptem ten pstryk historyczny i książka stała się kompletnie nieważna, bo jest taka ładna, taka śliczna. Pisarz jeździ po świecie i spisuje swoje wrażenia, a tu dwa miesiące twardej historii i wszystko przepadło. Ostatnio go powitałem: „Witamy uchodźców. Zostańcie u nas". Smoleński może z nim zrobić ciekawą rozmowę. Będzie o Wołyniu, UPA – takich rzeczach. Miejmy nadzieję, że uda się zdążyć. Brakuje takiej rozmowy na wyższym poziomie, bez rzucania sobie obelgami w twarz. Paweł się na zna na tej problematyce i może wyjść z tego coś dobrego. Nie wiem, czy bym potrafił z nim o tym gadać, za dobrze się znamy, za bardzo lubimy, żeby zaryzykować. Rozmawialiśmy o tysiącu rzeczy, chodziliśmy po górach. Z Ukraińcami czuję szczególną więź. Ale nie z całym jej światem literackim, broń Boże. Pan mnie zapytał, co zrobię, kiedy trafię do knajpy, w której będą siedzieli sami pisarze. Ja tam nie wejdę.

Jan Wolski: Tak wygląda zapewne piekło pisarzy. Wszyscy razem w jednym miejscu.

Andrzej Stasiuk: Właśnie. W Krakowie tak siedzą, w „Pięknym Psie", i rozprawiają, coraz grubsi, coraz starsi, coraz bardziej łysi, z coraz mniejszą odpornością na alkohol. Opowiadają o swoich przewagach i o tym, jacy inni pisarze są słabi. Takie piekło pisarzy. Albo Targi Książki we Frankfurcie. Tam są miliony i miliardy książek. Patrzysz, ile jest książek na świecie, a ty masz tylko jedną. Tak też można przedstawić pisarskie piekło. Kiedyś byłem arogancki, wykłócałem się z publicznością. Jak to się z wiekiem niesamowicie zmieniło. Zapraszam, można pytać!

Krystyna Lenkowska: Nie zapamiętałam, jak się nazywa twój ulubiony pisarz, idol, Rosjanin, już nieżyjący?

Andrzej Stasiuk: Andriej Płatonow. To jest jeden z największych, a podejrzewam, że największy pisarz rosyjski XX wieku. W sensie zmierzenia się z historią, z przekleństwem komunizmu. On, wierzący komunista, który stracił wiarę i tę utratę opisał. Tam jest wszystko na temat Rosji – potworne, piękne i wstrząsające. Zawsze kiedy jadę na Wschód, zabieram jakąś jego książkę ze sobą. Z literaturą jest tak, że można ją przyłożyć pod światło, porównać rzeczywistość z tym, co się odbija w książce. Zmierzyć się z nią z krajobrazem i z historią. Płatonow...

Krystyna Lenkowska: Czy współcześni rosyjscy pisarze są na tyle dobrzy, żebyś mógł coś więcej o jakimś opowiedzieć?

Andrzej Stasiuk: Świetny jest przede wszystkim współczesny rosyjski film. A rosyjska literatura... Nikt nie przychodzi mi do głowy. Rosjanie. Trochę nas to ominęło, wiadomo, wszyscy Polacy mówią: „walić ruskich!". Ale się okazuje, że jesteśmy ignorantami. Formuła europejska się wyczerpała, najwyższy czas na rosyjską. Myślę, że wyjdą z tego konfliktu z twarzą, tylko nie można do nich przykładać naszej miary. Kino rosyjskie jest genialne. Właściwie oglądam tylko amerykańskie westerny, które mam w swojej płytotece. Radzieckie kino też jest ciekawe, kiedy ma się świadomość, w jakich warunkach było kręcone, co tam było ukryte, a co skłamane. Da się je oglądać z wielką przyjemnością, bo to jest prawdziwa epika. Kino jest sztuką epicką – sztuką przestrzeni i przyrody. Rosja ją daje i Ameryka. Na przykład western – na horyzoncie jedzie jeździec, zmieniają się kolory i już jest co oglądać. Jest jednak trochę tak, że wielkie kraje robią wielkie rzeczy.

Magdalena Rabizo-Birek: Jak rodzą się pomysły na twoje utwory?

Andrzej Stasiuk: Na początku jest zdanie. Dzisiaj ktoś długo i skomplikowanie mówił o: *Jak zostałem pisarzem*. A to się dzieje z jednego zdania, z pierwszego zdania. „W latach siedemdziesiątych" – i już mam do tego gotowy obraz. Nie zastanawiałem, po prostu przyszło mi do głowy takie zdanie. Trzeba dobrze zacząć, powiedzieć sobie na przykład: „Co za syf" i zaraz się coś pojawi w głowie. *Dziewięć* zaczyna się od obrazu – facet budzi się w nieznanym mieszkaniu. Potem przychodzą do mnie następne obrazy. Na początku jest zatem także obraz. I przeczucie...

Magdalena Rabizo-Birek: W *Taksimie* jest taki lejtmotyw – człowiek, który pcha ulicą wózek i blokuje ruch...

Andrzej Stasiuk: To on jest w *Taksimie*? Potem miał wypadek i przestał jeździć, samochód go potrącił. Miał taki wózek przyczepiony z tyłu do roweru. Był w książce symbolem powtarzalności. O tym, kiedy i jak zginął, dowiedziałem się od kolegi prokuratora i poczułem, że skończyła się pewna epoka. To są takie obrazy, które pociągają za sobą następne i następne. Zmysły, wzrok, który się ślizga, zapach, czasami jakiś dźwięk.

Magdalena Rabizo-Birek: A jak powstają tytuły twoich utworów?

Andrzej Stasiuk: To jest potworne, po prostu gehenna. Tytuł *Taksim* łatwo mi przyszedł do głowy. Byłem w Turcji, stałem przy placu Taksim i spodobała mi się jego nazwa. *Dziewięć* wymyślił kolega, bo to moja dziewiąta książka. *Fado* to jest taki elegancki, zagraniczny tytuł. *Nie ma ekspresów przy żółtych drogach* wyszło przypadkiem, a chodziło mi o ekspresy do kawy. Przy trasach oznaczonych żółtymi znakami są stacje benzynowe, ale bez ekspresów do kawy. Taka jest zasada i stąd wziął się tytuł. *Wschód* łatwo mi przyszedł do głowy, bo w tej książce wszystko dzieje się na Wschodzie. Niektórzy pisarze zaczynają od tytułu, a nie mają jeszcze książki. Tytuł *Opowieści galicyjskie* wymyślili w „Tygodniku Powszechnym", gdzie był publikowany jako cykl reportaży. *Zima* jest o zimie. Proste sprawy, proste tytuły, bez zbędnej komplikacji.

Magdalena Rabizo-Birek: Mówiliśmy dzisiaj podczas konferencji o problemie, który napotykam czasem w rozmowach ze studentami. Zwykle nie potrafią określić gatunkowo twoich książek. Nie wiedzą, czy *Opowieści galicyjskie* to jest zbiór opowiadań czy powieść.

Andrzej Stasiuk: Trudno to rozpoznać, bo teksty, które złożyły się na tę książkę, były pisane na początku jako portrety ludzi z prowincji, z upadających PGR -ów i w pewnym momencie się przemieniły w prozę literacką z realizmem psychologicznym. Kiedy zamarzł główny bohater Kościejny, moja żona powiedziała: „Zrób coś z nim, on był taki fajny". Pomyślałem: wskrzeszę go, będzie ciekawiej. Studenci się głowią nad czymś, co najczęściej wynika z przypadku. Żona zakochała się w Kościejnym i tchnąłem w niego jeszcze coś w rodzaju życia. Rzeczywiście, nie bardzo wiadomo, czym jest ta książka. Jest w niej jakaś fabuła, ale czy to jest już powieść, czy jednak wciąż reportaż? Nie wiem. To jest hybryda – jak cała współczesność. *Taksim, Biały kruk* i *Dziewięć* są powieściami. Będzie jeszcze jedna i koniec.

Gabriela Kaszowska: Jak wspomina pan nieżyjącego już pisarza Augustyna Barana, którego książkę pan wydał?

Andrzej Stasiuk: Cudowny człowiek, przede wszystkim kompletnie inny od zwykłych pisarzy. Jemu w gruncie rzeczy nie zależało na pisaniu. Był kapitalnie skromny, miał same dobre uczucia, zero próżności i zawiści. Trudno mi mówić o nim jako pisarzu, był przede wszystkim człowiekiem.

Matylda Zatorska: Mówił pan, że więzienia się feminizują. Może pan się także kiedyś sfeminizuje i stworzy w powieści prawdziwą heroinę?

Andrzej Stasiuk: Nie znam się na tym temacie. Żyję w szczęśliwym związku od dwudziestu paru lat... Kiedyś może było inaczej. Ale właściwie dlaczego uważa pani, że nie ma u mnie postaci kobiecych? W *Dukli* jest piękna, dziwna postać dziewczyny, kobiety – takiej, jaką zapamiętałem z dzieciństwa, niczym święty obraz. Sugeruje pani, że nie potrafiłem do tej pory zgłębić duszy kobiety? Nie potrafię. Mogę zgłębiać dusze bliskich mi kobiet, ale czy one chcą być bohaterkami literatury? Wątpię. Czuję, że jest w tym pytaniu jakiś zarzut. Po prostu tak jest, że kobiety mają mniejszy udział w moim świecie, aczkolwiek go mają. Przede wszystkim piszę o facetach, którzy przegrywają, bo na tym się trochę znam. Ale w *Opowieściach galicyjskich* jest Babka. W *Taksimie* Ewa i, proszę pań, to jedyna moja książka, która się dobrze kończy. Bohaterka jest w ciąży. Ratuje tego swojego faceta, nadaje sens jego działaniom w drugiej części książki. Dzięki niej przejeżdża jakby na drugą, lepszą stronę świata. W *Dziewięć* jest wiele kobiet. Jest Rosjanka-katoliczka, dziewczyna ze sklepu. W *Przez rzekę* są postacie kobiece, w trzech lub czterech opowiadaniach, trochę dziwne. Ponieważ kobiecość jest dla mnie przede wszystkim dziwna. Mam się tego wstydzić? Nie potrafię udawać, że jesteśmy – mężczyźni i kobiety – tożsami. W moich książkach nie ma kobiet... W pewnym sensie tak, ale nie jest najgorzej, proszę nie narzekać. W najnowszej powieści będzie kobieta, przed sześćdziesiątką. Zobaczymy, jak wybrnę z tego świata, w kosmos ich chyba wystrzelę, albo pojadą do Mongolii handlować ogórkami. Śmiejecie się?

W każdej mongolskiej jurcie jest słoik ogórków konserwowych firmy Urbanek. Na każdym stole, i kwiatki w nim stoją. Takie rzeczy są na świecie.

Magdalena Rabizo-Birek: Przed południem pytaliśmy o twoje projekty pisarskie. Wspominałeś o trzech książkach.

Andrzej Stasiuk: Jesienią wychodzi takie grube tomiszcze, które będzie się nazywać *Wschód*. To opowieść o mojej rodzinnej, podlasko-mazowieckiej miejscowości, o komunizmie, o ojcu i matce. O polskich losach, transferze ludności wiejskiej do miast, próbie stworzenia w czasach komunistycznych nowego człowieka. Będzie się rozgrywała także w stepie mongolskim, w górach Pamiru, w drodze na Wschód. To także nie będzie klasyczna powieść, a hybryda. Piszę także książkę o starym samochodzie, którym mam za jakiś miesiąc jechać do Tadżykistanu. I piszę powieść o Polsce lat 70. Trzy książki. Mam nadzieję, że się uda.

Damian Niezgoda: Jeszcze kilka lat temu wydawnictwo Czarne wydawało sporo polskiej prozy. Teraz drukuje się w nim głównie reportaże i literaturę faktu. Czy to jest przyszłość polskiej literatury, czy może po prostu takie książki się dobrze sprzedają?

Andrzej Stasiuk: Rzeczywiście dobrze sprzedaje się reportaż i opowieści o prawdziwych ludziach. Czarne to jest w tej chwili duże wydawnictwo i trudno, żebyśmy czekali na objawienia polskiej prozy, których zwyczajnie nie ma. Po prostu nie ma tylu powieści, żeby zaspokoić nasze wydawnicze potrzeby. Choć się zdarzają. Rzeczywiście dziś literatura faktu, podróżnicza, eseistyczna, wypiera inne gatunki. Wydajemy coraz więcej książek o Chinach – to jest prawdziwie przeraźliwe piękno. Publikujemy wiele hybrydycznego dziennikarstwa – czegoś, co nigdy w Polsce nie istniało, na przykład tak zwaną literaturę podróżniczą. Wspaniałe opisy świata, rozbudowane portrety ludzi i jednocześnie bardzo osobiste pisanie. Dziennikarstwo czy proza dokumentalna – trudno to nazwać.

Magdalena Rabizo-Birek: Książka *Bukareszt. Krew i kurz* jest świetna.

Andrzej Stasiuk: Małgosia Rejmer jest świetna. Robiła doktorat z rumuńskiego kina, mówi po rumuńsku, napisała książkę z duszy i z serca. Krzysiek Varga pisze książkę za książką. Gatunki się u niego mieszają i zacierają – jak w muzyce. Tak się robi prawdziwą literaturę, dlatego potem biedni studenci mają kłopoty.

Janusz Pasterski: Forma pana sztuk teatralnych jest jakby na przeciwległym biegunie dramatów, które powstają współcześnie. Co panu daje forma dramatyczna?

Andrzej Stasiuk: Szczerze? Kasę mi daje! Wszystkie dramaty napisałem na zamówienie teatrów, najczęściej niemieckich. To są proste sztuki, nie są to wydumane konstrukcje, na tym się nie znam i taki dramat mnie śmiertelnie nudzi. Piszę teksty do wystawiania na scenach. Jedną sztukę napisałem o Łemkowszczyźnie. Nie wiem, czy mi wyszło, czy nie wyszło. Dziwne przeżycie – pięćset osób zmieściło się w tym niemieckim teatrze. Wszystko w nim było takie wyzłocone, takie granitowe, cała miejska socjeta przyszła, w sukniach i garniturach za trzy tysiące euro. Teatr jest dla pisarza interesującym doświadczeniem społecznym. Ściboli taki w samot-

ności przez pół roku, a tu wchodzi w inny świat. Dziwne i straszne jest tak siedzieć w środku tłumu, patrzeć na scenę – to są dziwne zdarzenia, doświadczenie głębi. Ale przede wszystkim kasa...

Krystyna Lenkowska: Pojawił się wątek obecności twojej twórczości za granicą. Jesteś chętnie i często przekładany. Jaki jest tam odbiór twoich książek?

Andrzej Stasiuk: Mam tam spotkania autorskie, przychodzi na nie kupa ludzi, tyle co tutaj i więcej, płacą po dziesięć euro za wejściówkę. Pytają o Polskę, ile mamy dzieci i o to, co się tutaj dzieje. Mam spotkania w kościołach protestanckich, w niedzielę po mszy. Stoisz jak ksiądz na ambonie, jest kapitalna akustyka. Kościół jest przejęty, przyszli słuchać słowa. Muszę się strasznie sprężać, żeby dobrze czytać, a trudno tę esencję czysto literacką wycisnąć, czasem ktoś inny czyta moje teksty po niemiecku. Wtedy mówią: „Jaki ten polski język jest...". Przychodzą i chcą rozmawiać. Słuchają, chcą się czegoś o Polsce dowiedzieć, podziwiają nasz dziwny język. To są bardzo fajni czytelnicy, nie tak jak Polacy, którzy od razu zaczynają żarty i docinki. A ja piszę smutne książki.

Krystyna Lenkowska: A jaki jest odbiór w krajach słowiańskich?

Andrzej Stasiuk: Byłem i tam. Do Chorwacji jeździłem, w Serbii byłem.. Nie, w Serbii nie byłem. Czytelnicy mają dobre rozeznanie, gdy jest się w jakimś kraju regularnie tłumaczony. W Szwecji wychodzi dużo moich książek. Idę tam na spotkanie do kina, w którym czeka na mnie sto osób. Ludzie są zadowoleni. Jesz potem kotlet z łosia i wracasz do swojego domu, do swojego pokoju i swojej rozgrzebanej roboty. I to jest najważniejsze, a nie jakieś spotkania autorskie, kolejne wydania książek. Nie ma to na mnie szczególnego wpływu. Gdy ci wydają wszystkie książki, książka za książką, to boisz się przesadzić. Robisz, co masz do zrobienia, czy dostaniesz Nobla, czy nie dostaniesz. To są oczywiście żarty. I mogę tak mówić, bo mi wydają książki za granicą.

Krystyna Lenkowska: Jak ci smakowało filmowe *Wino truskawkowe*?

Andrzej Stasiuk: Wiedziałem, że padnie to pytanie. Ale, że to będzie cios od ciebie? Mnie nie bardzo smakowało, ale wiem, że ludziom się podobało. W Gorlicach na ulicy mnie zaczepiają, mówią: „Panie Andrzeju, takiego kina trzeba, jakie to piękne". Niektórzy płakali, jak wychodzili z kina. Z tysiąc osób w nim było. Ale to jest wizja reżysera, który wymyślił swoje rzeczy i załatwia w nim prywatne sprawy. Straciłem kontrolę nad tym filmem, w pewnym sensie czułem się oszukany. To nie jest moje kino. Oddaję swoją książkę reżyserowi, on zrobi, co będzie chciał, czy powinienem mieć o to pretensje? Ale nie tak to sobie wyobrażałem. Ładny film, ale czegoś mu brakuje, coś z mojego świata przepadło. Ciemny duch galicyjski, czarny świat, który jest w książce, ciemność... Tak jest z ekranizacjami dzieł literackich. Chyba tylko Pilch był ostatnio zadowolony z ekranizacji swojej książki.

Magdalena Rabizo-Birek: A co mógł powiedzieć Odojewski, kiedy zobaczył swoje *Zasypie wszystko, zawieje* w telewizji?

Andrzej Stasiuk: Powstał na podstawie tej powieści film?

Magdalena Rabizo-Birek: Nie, tylko spektakl telewizyjny.

Andrzej Stasiuk: Jaki mógł z niej powstać spektakl telewizyjny? Przecież to się dzieje w przestrzeni, tam się cały czas jedzie przez step, jest przyroda, jest oddech. A co powiedział? Pewnie nic... Kino to jest bardzo skomplikowana materia. Bardzo trudno jest zrobić film. Potrzeba na to wiele czasu. Pisałem scenariusz *Wina truskawkowego* dziesięć lat, a następne pięć go poprawiałem. Powoli traciłem zainteresowanie tym pisaniem. To strasznie skomplikowane, żmudne – staranie o scenki, jakieś kulminacje. Nuda...

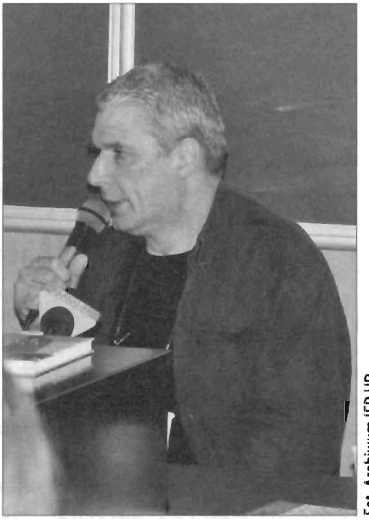

Fot. Archiwum IFP UR

A. Stasiuk w Małej Auli UR
24 kwietnia 2014,r.

Magdalena Rabizo-Birek: Chciałam bardzo serdecznie podziękować Andrzejowi Stasiukowi, że do nas przyjechał, był z nami przez cały dzień, przeżył to poranne rozgrzebywanie jego tekstów na konferencji naukowej, życzliwie ustosunkował się do autorów referatów. Dziękuję także Matyldzie Zatorskiej i Damianowi Niezgodzie, którzy byli pomysłodawcami konferencji i spotkania z pisarzem oraz wszystkim osobom z Instytutu Filologii Polskiej, które nam pomogły w organizacji spotkania. A także tak licznie zgromadzonym uczestnikom naszego spotkania.

Jan Wolski: Zacząłem od przytoczenia wiersza Jurija Andruchowycza i przypomniało mi się, że on ma dalszy ciąg. Jest tam pewien wers... Już wiemy, że bohater wiersza nie za bardzo za nim przepada...

Andrzej Stasiuk: Tylko za jego publicznym cytowaniem!

Jan Wolski: Ale, myślę, że to spotkanie utwierdziło nas w przekonaniu, co do słuszności przesłania tego wersu, który brzmi: „Stasiuk *jest* Stasiukiem *jest* Stasiukiem *jest* Stasiukiem *jest* Stasiukiem".

Zapis i opracowanie redakcyjne: Damian Niezgoda,
Matylda Zatorska, Magdalena Rabizo-Birek

Marek Nalepa

„TRZEBA WCIĄŻ GDZIEŚ JECHAĆ, WYRUSZAĆ, PRZEMIERZAĆ...”[1].

Andrzej Stasiuk i jego niekończąca się opowieść

Według Maurice'a Blanchota w przypadku twórczości pisarzy takich, jak Valéry, Hofmannsthal, Rilke, Kafka mamy do czynienia z czymś, co można nazwać zanikaniem literatury. Pozostawiają oni w stanie fragmentarycznym swe opowieści, aby zasmakować w „milczącym doświadczeniu egzystencji”, a więc osiągnąć „moment, który literaturze umyka i jej zaprzecza, punkt, w którym można mówić jako o »bezosobowej neutralności«”[2].

Kafka wyznawał po wielokroć, że nie jest w stanie ogarnąć całości swego życia – tylko jego fragmenty, co – jak mniemał – stanowiło złowróżbny znak braku poczucia ciągłości, albowiem mając przez oczyma rozbity i pokawałkowany własny świat, nie jest w stanie określić ani linii rozwojowych swojej biografii, ani tym bardziej jej sensu. Ta świadomość rozbitego życiorysu odcisnęła piętno na jego utworach, w większości nieukończonych. Porzucał je jako bezużyteczne i nieadekwatne w stosunku do potrzeb artystycznych i egzystencjalnych, mając je za kolejne etapy zmagania się z niemożliwym[3].

Podobne udręki przeżywał Fiodor Dostojewski. Po napisaniu *Braci Karamazow*, a więc w chwili wydawałoby się spełnienia twórczego, wyznawał z żalem, że nie wyraził w powieści dwudziestej części tego, co pragnął wyrazić, i tego, co mógłby wyrazić. Dlatego swoje nadzieje niemal natychmiast wiązał z następnym utworem. Ten jednak przynosił kolejne rozczarowania. Zbliżając się do zakończenia pracy nad *Zbrodnią i karą*, spalił wszystkie wcześniej zapisane kartki, ponieważ porwała go nowa forma i nowy plan. Rozpoczął powieść raz jeszcze, pracował dzień i noc, ale znów nie znajdował spełnienia i zadowolenia. Usiłował korygować braki jednego utworu następnym, tworząc w ten sposób pewien ciąg niedokończonych kompozycji, które, biorąc pod uwagę biografię literacką Dostojewskiego, uznać

---

[1] A. Stasiuk, *Maj*, [w:] tenże, *Nie ma ekspresów przy żółtych drogach*, Wołowiec 2013, s. 38. Przy kolejnych wykorzystanych fragmentach książki podaję skrót tytułu (*ED*) i strony.

[2] M. Blanchot, *Le livre á venir*, Paris 1959, cyt. [za:] M. Janion: *Żyjąc tracimy życie. Niepokojące tematy egzystencji*, Warszawa 2001, s. 58–59.

[3] Podobnie – tyle że czynnikami zewnątrzliterackimi – wyjaśniał fragmentaryczny charakter twórczości Aleksandra Wata Tomas Venclova, twierdząc, że odbijają się w niej katastroficzne znamiona czasów, w którym przyszło mu żyć. Zob. T. Venclova, *Aleksander Wat*, tłum. J. Goślicki, Kraków 2000, s. 14.

można za jedno wielkie dzieło wypełnione obszernymi fragmentami kolejnych powieści[4].

Konkluzję Blanchota – o pisaniu przez całe życie jednego utworu – można odnieść do innych pisarzy charakteryzujących się wyraźnym profilem literackim i artystycznym. Ich wielkie fragmenty dają się uporządkować w pewną całość czy też strukturę wyznaczającą swoisty wszechświat, nieustannie korygowany i nieustannie „niezakończony", za który jako jego twórcy ponoszą odpowiedzialność. Listę pisarzy „unicestwiających literaturę" wielkimi fragmentami jednego monumentalnego dzieła uzupełnił Tadeusz Różewicz, stwierdzając:

> Powinno się pisać jedną powieść przez całe życie albo jedną sztukę, albo jeden tom wierszy. (Tak robili Dostojewski, Czechow, Mickiewicz). Literaci, którzy pisują „osobne" opowiadania, powieści, wiersze – są powierzchowni. Conrad pisał tylko jeden poemat; podobnie Żeromski[5].

Pisanie „fragmentem" jest swoistym wyrazem życia, sposobem postrzegania i relacją z tej czynności. Nie ma w nim miejsca na dystans przetwarzający przeżycia w formę, na porządkowanie, troskę o kompozycję, jak w tradycyjnych gatunkach. Jest to pisanie poniekąd automatyczne, którego pełnię określa dopiero ostatni utwór.

Do pisarzy jednej książki niewątpliwie zaliczyć można zmarłego niedawno Gabriela Garcię Márqueza. Jego twórczość przypomina strukturę neuronu (którą ostatnio przypominałem sobie, odpytując mojego syna z wiedzy wymaganej do szkolnego sprawdzianu). *Sto lat samotności* jest jądrem w tej literackiej komórce, cała reszta dendrytami, aksonami i synapsami. Historie drugoplanowych mieszkańców Macondo stały się fabułami kolejnych powieści Márqueza.

Po dwukrotnej lekturze książki *Nie ma ekspresów przy żółtych drogach*, wydanej w ubiegłym roku przez Wydawnictwo Czarne, skłonny jestem także

---

[4] Bywają jednak takie sytuacje, kiedy nadmierna praca nad dziełem czyni go jałowym i bezbarwnym. Tak było z *Ziemiaństwem polskim* Kajetana Koźmiana. W ostatecznej wersji edycji Raczyńskiego z 1839 r. niewiele przypomina ono zapał pierwszego rzutu poematu z krwawym epizodem powstania Chmielnickiego, pełną patriotycznego smutku pieśnią pierwszą, diabolicznym ustępem o balach warszawskich. Autor, wygładzając utwór, ostatecznie zrezygnował z najbardziej oryginalnych i żywotnych jego fragmentów, podporządkowując się bez reszty wymogom klasycystycznej formy i postulatowi naśladowania arcymistrzowskiego wzoru *Georgik* Wergiliusza.

[5] W jednym z wierszy pisze Różewicz:

> ale przyjdzie chwila kiedy wszystkie
> zbiegną się do mnie
> te udane i nieudane
> kalekie i doskonałe
> wyśmiane i odrzucone
> zbiegną się w jedno.
>
> *Powrót* (*Rozmowa z księciem*, 1960)

twórczość Andrzeja Stasiuka, począwszy od opublikowanych w 1992 roku *Murów Hebronu*, uznać za mozaikę fragmentów komponujących jedną, niedokończoną jeszcze książkę. Tyle że w przeciwieństwie do twórczości Márqueza postrzeganej w perspektywie *Stu lat samotności*, szkielet owej konstrukcji został już postawiony; wraz z kolejnymi utworami stopniowo jest jedynie wypełniany.

Stasiuk nie należy do grona twórców literatury epickiej w tradycyjnym stylu. Ci, jak stwierdził przed laty Milan Kundera (sam powieściopisarz), już wymarli, zaś forma wielkiej powieści epickiej stała się od czasów Manna i Prousta formą niemożliwą[6]. Prozaik z Wołowca najlepiej czuje się w krótkich opowiadaniach, obrazkach, portretach, esejach, felietonach, szkicach. Widać to upodobanie do małych form narracyjnych także w jego powieściach, które tak naprawdę są cyklem opowiadań. W *Opowieściach galicyjskich* ogniwami spajającym ich kompozycję i nadającym ciągłość treściową jest obrany przez autora typ narracji oraz wymyślone przez niego postacie, np. Kościejny. Jak wiadomo, taka odmiana struktury powieściowej pojawiła się zaraz na początku istnienia gatunku. W *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach* bohater tytułowy i narrator w jednej osobie łączy epizody z życia ponad stu postaci i przestrzeń powieściową, na którą składa się kilkadziesiąt miejscowości.

Można mówić o wielopiętrowym układzie niekończącej się opowieści Stasiuka. Tworzą ją najpierw ogniwa kolejno pojawiających się książek, a te z kolei szeregują strukturę wyższego rzędu. Spoistość nadają jej powtarzające się, powracające, odpamiętywane, korygowane, uzupełniane, mitologizowane, demonizowane motywy, z uwagi na częstotliwość ich występowania pełniące w twórczości tego autora funkcje słów-kluczy, słów-talizmanów, lejtmotywów czy miejsc wspólnych. Ich ostatnią odsłoną jest wspomniany wyżej zbiór czterdziestu ośmiu krótkich form narracyjnych: impresji, relacji, esejów, nekrologów, spowiedzi, recenzji, fragmentów dziennika, rekapitulacji, felietonów, zażaleń.

Spróbujmy przypomnieć pokrótce niektóre z owych literackich „obsesji" Stasiuka.

Peryferia, pogranicza, granice

W eseju *Wyobrażając sobie Kalabrię* Stasiuk wyznaje, nie po raz pierwszy, że bardziej angażuje swoją wyobraźnię w to, co peryferyjne, ustronne, „z boku", a mniej w centra (*ED*, s. 38), które kojarzą się zwykle z ośrodkami władzy i administracji, kultury, życia naukowego i towarzyskiego (*ED*, s. 38). Centrum dla prozaika z Wołowca to przede wszystkim stolica, następnie metropolia, aglomeracja czy

[6] „Śmierć powieści nie jest ideą wydumaną. Ona już nastąpiła. Teraz wiemy, w jaki sposób umiera powieść: powieść nie znika; jej historia zatrzymuje się; następuje jedynie czas powtórzeń, w którym powieść odtwarza formę opróżnioną z ducha. Jest to zatem śmierć, która dokonuje się niepostrzeżenie i nikogo nie zdumiewa". M. Kundera, *Sztuka powieści. Esej*, tłum. M. Bieńczyk. Warszawa 1998.

konurbacja, niekiedy także topograficzny środek kontynentu. W stosunku do tego co peryferyjne, metropolia bywa arogancka, megalomańska, głośna, na pokaz, ksenofobiczna i izolująca się. Wielkie miasta przynależące do centrum lub tworzące je, unifikują się i upodabniają do siebie, tracą rys indywidualności. „Niedługo będzie je można rozpoznać – pisze Stasiuk – tylko na podstawie szacownych i martwych zabytków. Jeśli w ogóle te zabytki da się dostrzec spod jaskrawej powłoki współczesności" (*ED*, s. 38), a przecież – jak zauważa – wystarczy trochę zjechać w bok, aby zobaczyć, „jak kraj zmienia swoją skórę" (*ED*, 31).

Autor *Dukli* podkreśla status i znaczenie kulturowe peryferii. To obszary zmienności i różnorodności, dialogu i mieszania się etnosów, sfera ludzkich doświadczeń, ale też nieantagonistycznych związków natury z kulturą, współczesności i przeszłości. Szczególnym obszarem peryferyjnym są dla niego tereny Beskidu Niskiego, gdzie dość przypadkowo przed laty zamieszkał. Przyroda opatruje tu skutecznie rany wielkich krzywd, po których pozostały cmentarze z pierwszej wojny światowej i dzikie sady oraz miejsca po świątyniach dawnych mieszkańców, przybyszów z południa, którzy osiedlili się w tej części Karpat w XV wieku, a zostali z niej wysiedleni na północ i na zachód w 1947 roku:

> Umarłe wsie, pogrzebani mieszkańcy, martwi żołnierze nieistniejących armii – to wszystko w zasięgu półgodzinnego spaceru. A jednocześnie pustka gór, zieleń, upał, cisza i drapieżne ptaki stojące nieruchomo w rozgrzanym powietrzu nad dolinami. Świat przypomina wtedy wielki, spokojny cmentarz całkowicie pozbawiony grozy śmierci. Wtedy prawie czuć pod stopami kolejne warstwy historii, ruin i kości (*ED*, s. 59).

Peryferia będące pograniczami to szczególny obszar fascynacji Stasiuka, nie tyle w rozumieniu terytorialnym, gdyż w opowiadaniu *Melancholia przejść* (ED, s. 151–153) autor podkreśla ich relatywność i kapryśność, ile w znaczeniu treściowo-kulturowym – łączenia zwyczajów i wartości pochodzących z różnych etnosów, a także interakcyjnym – jako rezultat komunikacji zastępujący monolog istnienia dialogiem współżycia. Peryferia to nade wszystko sfera świadomości; można przebywać w centrum, ale żyć zawsze obok niego, jak czynią to od wieków Romowie (*ED*, s. 150). Nęcą jednak Stasiuka nie tylko peryferia pograniczne lub przygraniczne, ale także krańce – kontynentów, półwyspów, wysp i innych strzępów lądu. We Włoszech chciałby dotrzeć nie do Rzymu, Florencji czy Mediolanu, lecz do samego czubka apenińskiego buta (*ED*, s. 36). Wymiar tych marzeń podróżniczych jest czysto horyzontalny. Stasiuk nie chce bowiem się wspinać, by oglądać świat z wysokich szczytów, ani doświadczać korzeni bytu w przepastnych jaskiniach, chce „zaliczać" geograficzne końce świata, otrzeć się o *arche* Ziemi, Europy, Polski, „o coś niezwykle starego [...] i udręczonego upływem czasu" (*ED*, s. 36), skąd – jak pisze – można jedynie powracać (*ED*, s. 37).

Babka, duchy, Kościejny

W ostatnich wywiadach Stasiuk nieustannie podkreśla znaczenie wioski nad Bugiem, w której mieszkali jego dziadkowie i inni krewni, dla ukształtowania własnej tożsamości, także pisarskiej. Powraca po wielokroć do pierwszego samodzielnego wyjazdu na Polesie – niebieskim jelczem z dworca Warszawa-Stadion, zaopatrzony w tobołek podróżny z odzieżą, latarką, scyzorykiem i skórzanym pasem:

> To był chyba 1973 rok. Ojciec wsadził mnie do autobusu i musiałem pokonać w samotności te dwie i pół, może trzy godziny z dworca Warszawa-Stadion do Gródka nad Bugiem, za Sokołowem Podlaskim. Pamiętam do dziś atmosferę euforii, że oto jadę sam. Czułem się, jakbym jechał do Pernambuco! W zatłoczonym autobusie pełnym bab... To było wyraziste dotknięcie podróży: oto jestem sam i jadę 120 kilometrów niebieskim ogórkiem. Teraz mam wizję pisania książki o Wschodzie i ona się rozgrywa między Gródkiem a Mongolią, Tadżykistanem i Kirgistanem. Głębia doświadczenia podróżowania jest porównywalna w tej chwili z tym, czego doświadczyłem wtedy w dzieciństwie[7].

Sakralizuje tę chwilę dziecięcej inicjacji i aktualizuje przy okazji każdego swojego wyjazdu z Wołowca, aczkolwiek nie są to już podróże z centrum na peryferie, ile raczej z peryferii na peryferie – z Beskidu na wschód: ukraiński, mongolski, ałtajski, pamirski, albo na południe: mołdawskie, słoweńskie, albańskie. W opowiadaniu *Ciągnie* (*ED*, s. 168–170) podkreśla rolę owych nadbużańskich prerii wyobraźni, które otwierały mu świat, w głąb i wszerz, uaktywniały szalone, jak na ów czas, tęsknoty do zapuszczenia się w białostockie.

Każde wakacje spędzał Stasiuk u swojej babki, której zawdzięcza, jak podkreśla, inicjację spirytualną i eschatologiczną (także „seksualną, alkoholową, bandycką" – „bo tam się trzeba było lać: jedna wieś na drugą, jedna część wsi na inną"[8]). Babka Stasiuka obcowała z duchami, tak jak się obcuje z żywymi: sąsiadami, krewnymi czy znajomymi (*ED*, s 59). Widywala się z nimi za dnia, w południe, w polu, na łące, na wiejskich ścieżkach, zagadywała, wymachiwała dłońmi, uśmiechała się i srożyła. W końcu zwykłą naturą rzeczy i ją dosięgła śmierć. Stała się bohaterem własnej opowieści (*ED*, s. 60), do której jako ostatnią, póki co, ofiarę wciągnęła swego syna, „kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", przemycającego podczas okupacji z terenów niemieckich na rosyjskie, i odwrotnie, co się dało: spirytus, jajka, sery, wyroby przemysłowe... (*ED*, s. 116–118).

---

[7] *Rozmowa z Andrzejem Stasiukiem, w której pisarz mówi trzy rzeczy: po pierwsze, że Europa Środkowa (o ile w ogóle istnieje) sięga Mongolii, po drugie, że Białostockie to zupełnie inny świat, a po trzecie, że podróżowanie jest koniecznością*, rozmowę przeprowadził M. Kukawski, 2 kwietnia 2014, http://www.malemen.pl/andrzej-stasiuk,s-1,a-1,g-3.html (dostęp 20 kwietnia 2014).

[8] Tamże.

Moja prababka, w odróżnieniu od babki Stasiuka, pozostawała w komitywie jedynie z duchami przydomowymi (*spiritus domesticus*), nie wychodziła na drogę zgłobieńską ani na łąkę, żeby porozmawiać z obcymi (*spiritus alienus*) lub przechodnimi (*spiritus peregrinus*). Z okna liczącej ponad sto lat chałupy obserwowała ich aktywność w ogródku, dając im jakieś znaki i mrucząc pod nosem, albo widziała ich w lustrze błagających o kromkę chleba, który zawsze wciskała pod drewnianą framugę. Którejś wiosny podczas nieobecności domowników wypuściła się na strych, na zabronioną schadzkę. Po jej zakończeniu, lekka na duszy i ciele zignorowała przy schodzeniu konieczność stawiania stóp na szczeblach drabiny. Znaleźliśmy ją zwiniętą w kłębek niczym niemowlę z sączącym się z ust lekkim (lepkim) strumieniem krwi.

***

Jak na razie ostatnim ogniwem w tej Stasiukowej opowieści o utraconym czasie jest stary, chylący się ku upadkowi dom, wyludniająca się wioska, wakacyjna do niej podróż z dorastającą córką, podczas której Stasiuk wypatruje daremnie starych kobiet w czarnych chustkach wysiadujących pod ścianami drewnianych chałup i chłopców kryjących się w mroku. Nie jest to kraina dzieciństwa Antoniny, dlatego obserwując ją bacznie, w końcu podejmuje decyzję o szybkim odwrocie w nowoczesne „okoliczności przyrody". To sentymentalne i nostalgiczne opowiadanie autora z Wołowca przywodzi mi na myśl zapamiętany jeszcze w okresie maturalnym, a więc około 1989 roku, fragment wiersza Jarosława Iwaszkiewicza *Odwiedziny miejsc ulubionych w młodości*:

Dom chyli się do końca, dąb schnie od wierzchołka,
Ogród w las się zamienił, a woda w szuwary,
Gdzie dawniej staw szeroki, dziś wilgotna łąka,
Każdy kąt teraz cichszy, obcy, bardziej szary.

Woda płynąca rzeczki uniosła widoki
Dawniejsze, na swej szklistej powłoce odbite,
Nic nie zostało z tego – tylko te obłoki
Zawsze w stado pierzaste i pierzchliwe zbite.

Przeminęło. Zamknięte. Skończone. Na wieki!
Nie wstrzymuję tej wody. Odpływa, odchodzi,
Niechże bieży, gdzie giną wszystkie, wszystkie rzeki,
Stary świat się pochylił, inny dzień się rodzi.

***

W czasie poprzedniej wizyty Stasiuka w rzeszowskim Instytucie Filologii Polskiej 13 kwietnia 1998 r. jeden ze studentów zadał mu pytanie o obecność duchów w *Opowieściach galicyjskich*. Autor, nieco zirytowany pytaniem, odpowiedział, że

w ogóle ich nie ma. Kościejny – jak się rzekło – jest elementem spajającym portrety i historie bohaterów piętnastu opowiadań galicyjskich. Szorstki, nie stroniący od alkoholu, uczestniczy w każdym okolicznym świniobiciu; po śmierci nie może uwolnić się od doczesnych nawyków, podgląda codzienne życie znajomych przez okna domów, karczmy, włóczy się po głównej ulicy i po miejscowych jej odnogach. W nakręconym na podstawie opowieści filmie, którego Stasiuk był scenarzystą[9], dowiadujemy się, że Kościejny nie rzuca cienia. Z tego całego przekleństwa – przedłużonego nienaturalnie życia – uwalniają go dopiero zbiorowe egzekwie, w których uczestniczą wszyscy mieszkańcy podgórskiej miejscowości. Jaka jest więc tożsamość pośmiertna owego bohatera, skoro nie jest on fantazmatem ducha? Kościejny przedzierzgnął się w widmo, upersonifikowany koszmar czy może zjawę?

Podczas uniwersyteckiego omawiania *Opowieści* jedna ze studentek rozpoznała w nim upiora o rodowodzie bojkowskim, i tego, póki co, się trzymam. Górale Bieszczad wierzyli, że człowiek może mieć od urodzenia dwie dusze. Jedna z nich, ta ochrzczona, po śmierci idzie do nieba lub piekła. Druga pozostaje na ziemi, może wychodzić z grobu w ciele zmarłego, by działać zgodnie ze zwyczajami za życia, np. kochający ojciec rodziny pomagał jej nadal, rąbał w nocy drzewo, nosił wodę, doglądał zwierzęta itp. Kościejny po śmierci nie rezygnuje z dawnych zwyczajów, nie może jedynie uczestniczyć w świniobiciach. Nikomu nie dokucza, nikogo nie straszy, nie wyrządza szkód. Morderstwo, którego się dopuścił, nie uczyniło go złym. Uwolnienie zaś Kościejnego z doczesności jest obrzędem równie chrześcijańskim co pogańskim. Funkcję baczy, odpowiedzialnego wśród Karpatorusinów za pozbycie się upiora, także tego dobrego, wykonują tu wszyscy, którzy znali go za jego życia.

Melancholia i obrzeża metafizyki

W utworach Stasiuka częstotliwość występowania słowa „melancholia" i jego przymiotnikowego odpowiednika z każdą kolejną książką wyraźnie zagęszcza się. W esejach zgromadzonych w zbiorze pod wspólnym tytułem *Nie ma ekspresów przy żółtych drogach* użyte zostało w kilku kontekstach. Oto garść przykładów: „miasto melancholijne" (*ED*, s. 5), „bezmierna melancholia strefy umiarkowanej" (*ED*, s. 20), „melancholia schyłku epoki" (*ED*, s. 86), „melancholia przejść granicznych" (*ED*, s. 151–153) etc. Melancholia jest dla Stasiuka przede wszystkim utraconą tożsamością, nigdy do końca uświadomioną, w sytuacji gdy nowa nie została jeszcze ukształtowana lub odnaleziona. Jest wytrąceniem z czasu i przeznaczenia. Melancholijne są zarastające krzakami i drzewami przejścia graniczne między Słowacją i Polską, wymarłe wsie i gospodarstwa, zalegające na stertach śmieci zużyte przedmioty, a szczególnie chylący się ku upadkowi wyludniony dom, do którego w dzieciństwie przyszły pisarz przyjeżdżał na czas wakacji. Narrator jednego

[9] *Wino truskawkowe*, 2008, reż. Dariusz Jabłoński.

z opowiadań (*Stary dom*) wyobraża sobie, że kiedyś silne podmuchy wiatru porwą ów dom i uniosą do nieba jak Schulzowskiego staruszka, który na oczach kolegów szkolnych wraz z jesiennymi liśćmi pofrunął w nieznane strony[10].

Melancholia Stasiukowa to także tandeta kojarzona przez niego z betonową architekturą, wielkomiejskie popeerelowskie blokowiska, ale też ponowoczesny kicz: odurzające składy domowych świątków: krasnali, bocianów, lwów i orłów, chińszczyzna w „tysięcznych kształtach" i kolorach, seledynowo-żółte fasady przydrożnych zabudowań. Opisując je, Stasiuk posługuje się sprawdzonym przez niego i innych chwytem melancholii: automatycznym wyliczaniem i enumerowaniem. Czasy na to pozwalają – jak podkreśla – gdyż popadliśmy w rzeczywistość nadmiaru i dostępności wszystkiego (*ED*, s. 120). Obecny człowiek nie może uporządkować ani swojego otoczenia, ani tym bardziej życia. Świat stał się zbiorowiskiem niepasujących do siebie elementów; jawi się już to jako wielkie śmietnisko, już to jako ruina, pozbawiona formy, centrum, hierarchii, przewodnika i wyższego sensu, który połączyłby w jedno rzeczy, zjawiska i zdarzenia. Współczesna rzeczywistość jest niejasna i nieczytelna, gdyż ukryty lub utracony na zawsze został fundament, na którym się wznosi. To melancholijne przeświadczenie prowadzi do innego wniosku – o schyłkowości i przemijalności świata, silnie naznaczonego linearną czasowością.

Ale jest też u Stasiuka inna koncepcja orientacji temporalnej, polegająca na osłabieniu owej linearności czy nawet jej porzuceniu. Pisze np. o miejscach, w których wszystko jest takie, jak było dawniej. Im bardziej podróżnik zagłębia się w ich pejzaż, tym bardziej schodzi w głębiny czasu. Pisze o melancholii implikowanej cykliczną wymienności pór roku, kaprysami pogody i frontów atmosferycznych. „To jest smutek Słowiańszczyzny, gdzie gdy coś się zaczyna, to zaraz się kończy albo zamienia w własne przeciwieństwo i żadna ostateczność nie jest ostateczna" (*ED*, s. 20).

Zdarza się też, iż melancholia Stasiuka balansuje na obrzeżach metafizyki. Doskonale oddaje ten związek zakończenie *Murów Hebronu* czy sekwencja z *Opowieści galicyjskich*, gdy ksiądz proboszcz oczekujący w konfesjonale na penitentów na krótką chwilę wyskakuje z rytmu i rutyny życia, opuszcza współrzędne bytu: ani przestrzeń, ani czas nie szarpią go swoimi dzikimi pazurami[11]. Chce potem powtórzyć tę metafizyczną pauzę codzienności, doświadczyć jej ponownie... W eseju zatytułowanym *816* autor opisuje odcinek drogi między Horodłem a Dorohuskiem, gdzie niczym na U.S. Route 69 jedzie się przez bezczas i zapomnienie (*ED*, s. 40). To także sposób na chwilowe porzucenie swojego „ja".

Metafizyczne tchnienie ma ponadto Stasiukowe oglądanie się i patrzenie, nie w głąb pejzażu, lecz w siebie. Melancholik w rozbitej na kawałki rzeczywistości poszukuje tajemnych znaków utraconej pełni. Z tych hieroglifów buduje własne światy wyobraźni lub pamięci. Ożywia rozbity i chylący się ku własnemu kresowi świat na sposób maski, zyskując namiastkę spełnienia i samozadowolenia.

[10] W opowiadaniu *Emeryt* (*Sanatorium pod Klepsydrą*).
[11] A. Stasiuk, *Opowieści galicyjskie*, Kraków 1995, s. 87.

Spojrzenie melancholika – jak pisze Marek Bieńczyk – zbacza więc z przedmiotów swego oglądu, prześlizguje się wzrokiem, na niczym nie zatrzymuje się, na niczym nie spocznie, niczego nie wyróżnia albo też szuka takich pejzaży, w których wzrok będzie uwolniony od obowiązku widzenia czegokolwiek[12]. Oto co zobaczył Stasiuk ze starej drogi między Gródkiem a Jabłonną Lecką:

> Pejzaż kończył się, ale poza nim było coś co nieodparcie pociągało wyobraźnię. Nic konkretnego, nic wyrazistego. To była raczej próżnia, pustka wypełniona mlecznym blaskiem jesieni, [...] blask wydobywający się z nieznanego (*ED*, s. 6).

Melancholia nie tylko nie zna przedmiotu swej straty, z której sączy smutek, nie rozpoznaje także istoty hieroglifów ocalenia i budowania na nowo – jest to „coś" albo „nic", które boli lub też przelotnie zatrzymuje uwagę. Pejzaż dla melancholika jest przede wszystkim lustrem, w którym odnajduje on swoje oblicze i utracony czas:

> gdy patrzę na ten otwierający się na południowy-wschód pejzaż, widzę znacznie więcej, niż mogę i potrafię opisać. Nie muszę zamykać oczu, żeby gdzieś w głębi doliny, gdzieś za łagodnym stożkiem Uherca dostrzec całe swoje życie. Dostrzec swoje dzieciństwo, młodość i dorosłość, które zaprowadziły mnie w to miejsce, które pozwoliły mi sycić się tym widokiem. Patrzę na południowy-wschód, na zieloną górę i wiem, ze krajobraz złożony jest również ze wszystkich uczuć, których doświadczyłem, ze wszystkich zdarzeń, których byłem uczestnikiem, ze wszystkich obrazów, których dotknął mój wzrok. Patrzę wskroś góry Uherec i widzę wszystkich ludzi, których napotkałem, i słyszę ich słowa. Dlatego chociaż mówimy i słuchamy, to jesteśmy jak ślepcy i głusi. Z opowieści innych pojmujemy tylko skrawki, oderwane dźwięki, resztki znaczeń. Ale nawet one, te okruchy, w jakiś sposób wypływają na nasze życie (*ED*, s. 166–167).

Rzeszów-Załęże

Stasiuka jako jednego z pierwszych wpisano na listę plebiscytu *Ludzi wolności*, którzy odmienili Polskę w ciągu ostatnich 25 lat i nadal chcą ją zmieniać, ogłoszonego przez „Gazetę Wyborczą". Bagatelizuje on jednak swoją dezercję z wojska w 1981 roku, która jest najważniejszym powodem włączenia go do tej grupy Polaków, a jednocześnie temat więzienia nieustannie powraca w jego utworach. Raz *explicite*, innym razem aluzyjnie, np. w uwagach na temat *Kaliny czerwonej* Wasilija Szukszyna, której bohater Jegor Prokudin, recydywista, po wyjściu z więzienia usiłuje rozpocząć nowe życie. Akcja pierwszej powieści Stasiuka, skandalicznej, jak niektórzy uznali, rozgrywa się w celi więziennej. Tak więc od „kryminału" wszystko się zaczęło...

Nie bardzo wierzę w nonszalancję Stasiukową i machanie przez niego ręką na znak, że nie ma o czym plumkać, gdy idzie o Załęże, nie bardzo przekonują mnie

[12] M. Bieńczyk, *Melancholia. O tych, co nigdy nie odnajdą straty*, Warszawa 1998, s. 80–81.

wyjaśnienia w rodzaju: „decyzję podjąłem w Sylwestra 1980 roku po pijanemu. Nie wróciłem z przepustki do jednostki, bo wojsko mnie znudziło. [...] Czułem, że tracę tutaj czas. [...] Chciałem zmiksować nudę armii i ekscytację więzienia, sprawdzić te dwie rzeczywistości"[13]. Chyba autor zapędził się w stwierdzeniu, że jako młody chłopak podjął po pijaku eksperyment egzystencjalny z zakładaniem i zrzucaniem munduru wojskowego, aby posiedzieć sobie w celi więziennej, gdzie jego największym skarbem – jak się potem okazało – była widokówka z jesiennymi górami, być może bieszczadzkimi. Zupełnie inna bowiem, pozbawiona nonszalancji jest uwaga zawarta w eseju *Rokendrol*, aczkolwiek także w niej dopatruję się pewnej dwuznaczności i autokreacji czynu, skądinąd zasługującego na szacunek i uznanie:

> Przez siedem miesięcy czułem się jak zdrajca. Jedynym aktem sprzeciwu było parodniowe spóźnienie. A potem, w mundurze, z sowieckim kałasznikowem, na poligonie czułem, że zdradzam własne życie. Czułem, że zdradziłem wszystkie książki, które przeczytałem, że zdradziłem wszystkie płyty, że zdradziłem przyjaciół, z którymi słuchałem muzyki i z którymi w tę muzykę wierzyłem. Któregoś dnia po prostu wyszedłem z koszar i nie wróciłem. Żandarmeria wojskowa złapała mnie po dwóch miesiącach (*ED*, s. 96).

Czytając to wyjaśnienie Stasiuka, nasunęła mi się analogia z najważniejszym, moim zdaniem, fragmentem powieści Ericha Marii Remaque'a *Na Zachodzie bez zmian*, opowiadającej o młodym chłopaku, który uległ propagandzie nacjonalistycznej i zgłosił się na ochotnika do wojska, aby przelewać krew za ojczyznę. W czasie urlopu powraca on do domu, gdzie przeżywa traumatyczną niezgodę swej teraźniejszości i niedawnej przeszłości, ma w końcu zaledwie dwadzieścia jeden lat. Oskarżają go książki poukładane na półkach w pokoju, w którym kiedyś spędzał większość czasu:

> Pragnę znowu odczuwać to ciche uniesienie, to uczucie silnego, niewypowiedzianego porywu jak dawniej, gdy przystępowałem do książek. Wicher pragnień, który zrywał się z kolorowych grzbietów niechaj mnie znowu porwie, niech roztopi ciężką, martwą bryłę ołowiu, która gdzieś tkwi we mnie [...]. Niech mi zwróci straconą pochopnie młodość. [...] Przerażające uczucie obcości chwyta mnie nagle. Nie mogę znaleźć sobie miejsca, jestem stąd wykluczony; jakkolwiek błagam i wysilam się, nic się tu nie porusza, beznamiętny i smutny siedzę niby skazaniec i przeszłość odwraca się ode mnie. [...] Jestem żołnierzem, tego muszę się trzymać. Zmęczony podnoszę się i wyglądam przez okno. Następnie biorę jedną z książek i przerzucam kartki, aby się wciągnąć w lekturę. Lecz odstawiam ją na miejsce i biorę drugą. Niektóre zdania są podkreślone. Szukam, przerzucam strony, biorę inne książki. Już cała paczka leży pod ręką [...]. Stoję milczący przed tą stertą. Jak przed sądem. [...] Powoli ustawiam książki z powrotem na półkach. Stało się. Wychodzę cicho z pokoju[14].

[13] *Andrzej Stasiuk o 25 latach wolnej Polski: Zawsze warto walczyć o siebie*, rozmowę przeprowadziła D. Wodecka, „Gazeta Wyborcza" 27 marca 2014.

[14] E. M. Remarque, *Na Zachodzie bez zmian*, tłum. S. Napierski, Poznań 2004, s. 95-96.

Miejsce

Z miejsc opisanych przez Stasiuka najbardziej utkwiła mi w pamięci pusta przestrzeń po cerkwi przeniesionej do skansenu, gdyż nie miał się już kto w niej modlić ani nią opiekować. Zostały po świątyni jedynie kamienne schody[15]. Przypominają po trosze drzwi z powieści Myśliwskiego, które ocalały ze starego domu i tkwią groteskowo wśród zieleniejących się łanów zboża. Została treść, której pozbawiono formy, treść modlitewnych skarg i błagań albo też ludzkiej krzątaniny codzienności. Podobnie w starym rozpadającym się domu dziadków Stasiuka nie ma już życia, jest rozklad. Dlatego autor podkreśla, że rytm powrotów do niego zakończył się; możliwe są jeszcze przyjazdy, w czasie których z uwagą zatrzymuje wzrok na pleśni wchodzącej w drzewo i rdzy konsumującej gwoździe. Gdy domu zabraknie, jego kolejne opisanie stanie się niemożliwe, trzeba będzie przestawić się na rytm opowieści drążącej nie tyle przestrzeń, ile czas. Opowieść już się jednak rozpoczęła. Rozpadła się stodoła, „robiąc okno w przestrzeni albo rozdzierając powłokę świata" (*ED*, s. 129) dla nowego pejzażu.

Stasiuk w cytowanym wyżej wywiadzie udzielonym dziennikarce „Gazety Wyborczej" wyznaje, że jego Polska składa się z pamięci miejsc, ludzi i zdarzeń, które miały na niego wpływ: „Z krajobrazów, tak: wybitnie z przestrzeni, z krajobrazów, czyli załamań światła na powierzchni rzeczy".

Droga

Kluczowym słowem ostatnich opowieści Stasiuka jest droga, eksploatowana na różne sposoby: żółta droga, przy których nie ma ekspresów, droga nr 993 – najciekawsza od strony Dukli, „bo widok trwa wtedy dłużej, nie trzeba się zatrzymywać ani odwracać wzroku" (*ED*, s. 6), żeby zobaczyć Liwocz, droga wyjazdu z Ułan Bator, która znika na horyzoncie i zamienia się w trawiastą sieć splątanych szlaków, słynny Trakt Czujski, wiodący z republiki mongolskiej przez Republikę Ałtaju, z którego Stasiuk zjeżdża, aby dostać się do wsi Srostki, gdzie urodził się i przez jakiś czas pracował w miejscowym kołchozie Szukszyn, droga 816 biegnąca wzdłuż dawnej granicy ze Związkiem Radzieckim, zarosłe drogi, którymi przed wiekami wędrowali górale Karpatorusińscy szukając dla siebie nowego Ilionu, droga do dziadkowego domu, na której Stasiuk wypatrywał Matki Boskiej Zielnej, polna droga biegnąca przez zarośnięty cmentarz choleryczny, droga wjazdowa do Rzeszowa od zachodu, szlaki odludnych górskich masywów etc.

Droga dla Stasiuka jest wyzwaniem. Niczym szaman wytrąca ze stagnacji, przyzwyczajeń, poczucia zadomowienia, skończoności i spełnienia. Jest to jednak szaman, który obdarowuje, a nie okrada lub zniewala. Świat z drogi wygląda piękniej niż z domu, podkreśla Stasiuk. Poruszać się drogą to tak, „jakby się płynęło

[15] A. Stasiuk, *Opowieści galicyjskie*, s. 29-35.

wraz z nurtem zielonej krwi wewnątrz ojczystego ciała. Jakby się tę leżącą na wznak i gorącą Polskę przemierzało arteriami, żyłami, tętnicami, które pulsują od nadmiaru, od gotowości, od potencjalności" (*ED*, s. 42). Z kolei bycie z dala od domu pozwala pogodzić się z końcem świata, bo wtedy ma się nadzieję, że nie dotrze on w rodzinne strony (*ED*, s. 106).

Pisanie

Jeszcze jeden powtarzający się temat w twórczości Stasiuka zasługuje na baczniejszą uwagę. Mianowicie jego dywagacje i wtrącenia autotematyczne i metatekstowe podejmujące problem własnego pisarstwa. Jako wiodący pojawia się ów temat np. w *Jak zostałem pisarzem (próba autobiografii intelektualnej)* czy we fragmentach *Tekturowego samolotu*. Po wielokroć autor podkreśla, iż nie potrafi wyłączyć myślenia o pisaniu. Niekiedy prowokuje takie myślenie, usprawnia, dynamizuje. W jednym z esejów przypomina uwagę Tiziano Terzaniego, włoskie reportera, wieloletniego korespondenta „Der Spiegla" w Azji, pod którą się podpisuje obiema rękami, uwagę o tym, iż celem wyprawiania się w świat może być chęć opowiadania o nim: „Wcale nie po to, by go podbijać, zmieniać, poznawać i rozumieć" (*ED*, s. 82), ale po to, by go opisywać.

W spowiedzi i najbardziej osobistym eseju zbioru zatytułowanym *Z dala* Stasiuk wyznaje, że jego pisarstwo jest potrzebą obecności. Tylko w ten sposób może dzisiaj zwrócić na siebie uwagę i na swoje życie: „nie chcę umierać zapomniany, niedostrzeżony, niemy, niewidzialny" (*ED*, s. 162). Pragnienie bycia dla kogoś jest bowiem najważniejszą modlitwą naszej współczesności. Szarpiący się i wikłający we wciąż bardziej skomplikowane i wysublimowane zależności człowiek zacieśnia przestrzeń wielkiej klatki bez krat, w której żyje i w której traci swą indywidualność na rzecz anonimowej funkcyjności, dyspozycyjności, utylitarności. Inna sprawa, że nie tylko nie podejmuje walki, aby wyzwolić się z niej, ale i nie czuje ani tęsknoty do tego, co było, ani żalu za tym, co zostało zniszczone, ani winy, że sam dokonał tego zniszczenia. Rozbity, uspołeczniony, praktyczny pragnie już tylko jednego – aby dostrzegano jego obecność, tak jak Vladymir i Estragon z dramatu Becketta żądają, aby Godot i jego posłannik wiedzieli o ich oczekiwaniu:

> Vladymir:
> Powiedz mu... powiedz mu, żeś mnie widział i że... i że widziałeś mnie. Jesteś pewien, żeś mnie widział? Nie przyjdziesz i nie powiesz mi jutro, żeś mnie nigdy nie widział[16].

Podmiotowość, która niegdyś była strukturą głębokiej świadomości, w naszych czasach traci znaczenie w sposób osobliwy, intencjonalny niejako, z woli

[16] S. Beckett, *Czekając na Godota*, [w:] tegoż, *Dzieła dramatyczne*, przeł. A. Libera, Warszawa 1988, s. 129.

i przyczyny człowieka – przestaje on istnieć dla czyichś oczu, dłoni, myśli, uczuć. Jest to najbardziej okrutny sposób nieistnienia – nie wynika bowiem ze starości, rozkładu, rozsypania się czy rozpadnięcia na części. Jest następstwem decyzji, wyboru, świadomego mniej lub bardziej, przekreślenia myślą, obojętnością.

Chcąc być obecny w swoich czasach, Stasiuk postawił na pisarstwo. Odcina się od tej jego formuły, która polega na tworzeniu fikcji. Podstawą jego pisania jest doświadczenie. Jak sądzę, Stasiuk mógłby zgodzić się z uwagą Stachury zanotowaną przez autora *Całej jaskrawości* na dwa miesiące przed jego tragiczną śmiercią:

> O czym pisać? O tym samym, o czym dotąd. O sobie. Mało wymyśliłem fabuł. Było to niepotrzebne. Każdy człowiek jest wielką tajemnicą i wystarczy, żeby w sposób prawy zgłębiał siebie i opisywał swoje doznania i stany[17].

Stasiuk jak Stachura nie potrzebuje szybkich samochodów czy motocykli[18], ani rowerów ze stali węglowej. Dla podjęcia podróży, choćby na Wschód odwiecznym szlakiem Herodota, hrabiego Potockiego czy Kapuścińskiego, wystarczają mu pamiętające czasy filmów Szukszyna, Kałatozowa (4 maja 2014 r. zmarła w Moskwie Tatiana Samojłowa, odtwórczyni głównej roli w *Lecą żurawie*) albo Czuchraja kolchozowe ciężarówki z demobilu, rower w rodzaju „Ukraina" czy auta odkupione od trzeciego właściciela, także wynajęta taksówka, a może też furmanka, choć to przeżytek... Środki podróży nie są ważne, ale cel. Jak twierdzi, doświadczanie pejzażu ma dla niego charakter religijny: „wyjazd z Ułan Bator ma w sobie coś z podróży mistycznej: jakbyśmy przeszli na drugą stronę lustra, jakbyśmy opuścili fatalność człowieczej kondycji z jej rozpaczliwym imperatywem rozwoju oraz modernizacji [...]. Jedzie się cały dzień pod niezmąconym nieboskłonem, po którym szybują orły i sępy. Wzrok znajduje ukojenie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał" (*ED*, s. 18).

Marek Nalepa

Summary

„One Always Needs to Travel, to Set Off, to Wander...". Andrzej Stasiuk and his Neverending Story.

The article is both a review and a literary essay. It attempts to define the key words and the so-called „fix places" in Stasiuk's writing. The author emphasises the hybrid character of Stasiuk's prose, and argues that each subsequent writing might be seen as an element of a continually composed, neverending narrative. In his analyses, the author refers to Stasiuk's essays collected in his *There Are No Express Trains by Yellow Roads*.

[17] E. Stachura, *Pogodzić się ze światem*, [w:] tenże, *Fabula rasa. Z wypowiedzi rozproszonych*, pod red. K. Rutkowskiego, Warszawa 1984, s. 418.

[18] Zob. J. Pieszczachowicz, *O pisarzu, który został Bogiem*, „Odra" 2006, nr 11, s. 45–50.

Matylda Zatorska

„BRUD I WOLNOŚĆ ZAWSZE SIĘ SPLATAJĄ"

Estetyka brzydoty w twórczości Andrzeja Stasiuka

Elżbieta Sanocka-Pagel w szkicu *Estetyczne myślenie w twórczości Andrzeja Stasiuka – w kontekście mityzacji Europy Wschodniej* stwierdza, że opisane w książkach tego pisarza zakątki Polski, Słowacji, Ukrainy, Węgier, Rumunii, Słowenii, Albanii, Mołdawii są przestrzenią, którą często mityzuje, aby uchronić ją przed zapomnieniem[1]. W ten sposób utrwala nie tylko piękno, ale i brzydotę. Jest nią ułomność, skromność, pospolitość i bieda, ale także tandeta, kicz, odrażające widoki oraz pozostawione naturze śmieci – zużyte i niepotrzebne przedmioty. Zatem zjawisko brzydoty pisarz rozumie szeroko i pokazuje na wiele sposobów – „od obiektywnego opisu brzydoty po fascynację, która przybiera formy mizerabilizmu oraz niepozbawionej czułości troski"[2]. Umiłowanie brzydoty, a także wiążącego się z nią nieporządku i rozkładu, pisarz uznaje za konstytutywny element ducha słowiańskiego, jedną z jego wyróżniających cech. To miejsca brzydkie, a nie opisywane w przewodnikach zabytki, są dla niego solą podróży – tym, co warto zauważyć, zapisać i upamiętnić, zanim zniknie:

> wszystkie te miejsca i rzeczy to jest rozpad, rozpierducha, ledwo kamień na kamieniu albo resztki dawnej świetności, więc ten mój strach nie jest wymyslem, bo jak wrócę tam, gdzie już kiedyś bylem, mogę niczego nie zastać. To jest specjalność mojej części świata, ten nieustanny zanik pomieszany pół na pół ze wzrostem, ten cwany niedorozwój [...]. Wszystko, co nowe, jest tu podrabiane i dopiero gdy się zestarzeje, zniszczeje, zetleje i rozkruszy, nabierze jakiegoś znaczenia. [...] Wszystko, co nowe, przypomina film i nie ma nic wspólnego z tym, co było. Dlatego wolę stare i wybieram rozpad, którego ciągłość jest dla mnie nie do podważenia[3].

Według Stasiuka taka jest niemal cała Europa Środkowa, taka jest prawda o niej i jej istota. Obrazy brzydoty w jego twórczości mają wieloznaczny charakter – nostalgicznych opisów, ironii, ujęć lirycznych. Elżbieta Sanocka-Pagel podkreśla, że pisarz świadomie wybiera miejsca dotknięte rozkładem i spogląda na nie z wielu perspektyw. Podobną postawę przyjmuje wobec tandety i kiczu, które nachalnie

[1] E. Sanocka-Pagel, *Estetyczne myślenie w twórczości Andrzeja Stasiuka – w kontekście mityzacji Europy Wschodniej*, http://opus.kobv.de/ubp/volltexte/2012/6086/pdf/sanocka_diss.pdf, s. 1. Dostęp z dnia 19. 04. 2014.

[2] Tamże, s. 14.

[3] A. Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, Wołowiec 2004, s. 226. Przy kolejnych cytatach z tej książki podaję w nawiasie numer strony tego wydania.

wciskają się w przestrzeń, wypierają relikty przeszłości i sprawiają, że niektóre miejsca i obiekty istnieją już tylko w pamięci.

Stasiuk przedstawia problem wschodnioeuropejskiej brzydoty także z innej perspektywy. Wspomniana wcześniej badaczka stwierdza, że kicz i tandeta są, zdaniem pisarza, pozostałością po komunistycznej unifikacji, która przyczyniła się do zniszczenia w tej części kontynentu wielu form tradycyjnego piękna – oszpecenia i okaleczenia natury, zrujnowania oraz unicestwienia zabytków kultury i oryginalnego, chłopskiego folkloru oraz bezwzględnego zacierania śladów etnicznej odrębności. Pisarz spogląda na brzydotę historycznie, rzec można, wielowarstwowo, pokazując, jak nakładają się na siebie złoża rozpadu – ruiny i zgliszcza po monarchii austrowęgierskiej, I i II wojnie światowej i komunizmie pokrywają świeże warstwy tandety z Zachodu i ze Wschodu. W oczach pisarza tandeta nabiera charakteru eklektycznego. Jest nawarstwianiem się brzydoty z wielu epok oraz różnych „stylów" kiczu, często wzajemnie sprzecznych elementów[4]. W tej wielowarstwowości tworzy jednak nowe jakości i nowe estetyczne możliwości.

Brzydota pojawia się niemal w każdej książce Stasiuka. Cechuje nie tylko miejsca i przedmioty, ale także ludzi. Nie omija żadnego z opisywanych przez pisarza krajów i żadnej stworzonej przez niego fabuły. Jest cechą ponadnarodową, obecną tak w mieście, jak na wsi, w Europie Południowej, Zachodniej i Wschodniej. Regularnie obcują z nią bywalcy knajp, zaś jej prawdziwym imperium, gdzie objawia się pod przeróżnymi postaciami, są miejskie targi – relikty minionej epoki, w których stare nieustannie miesza się z nowym.

Jadąc do Babadag – wycieczka po bałkańskim imperium badziewia

Stasiuk prezentuje to, co rumuński filozof Emil Cioran uznawał za cechę bałkańskich narodów – zamiłowanie do niszczenia, bałaganu, świata „podobnego do burdelu w płomieniach" (s. 105). Jednak i na Bałkanach zdarzają się wyjątki – takie jak Słowenia – kraj nowy, ale wykończony, trwały, bez oznak zmian, ale i życia, bez szczelin dla wyobraźni, które pozwalają dostrzec coś więcej niż obrazek z pocztówki. Ten kraj naśladuje coś doskonałego i ma opinię pięknego miejsca, lecz narrator nie podziela zachwytów innych – on, człowiek z „zaburdlonego, niedokończonego wschodu" (s. 107), ma problem z uformowaną i skończoną przestrzenią. Złości go zdrada słowiańskiej „rozpierduchy", wysprzątany krajobraz, w którym czuje się obco. Natomiast słoweński bar i jego miejscowi bywalcy, niewiele różniący się od mieszkańców pegeeru, podobnie melancholijnie upijający się, wnoszą pierwiastek swojskości i pozwalają mu odnaleźć się w miejscu, które bardziej przypomina folder reklamowy niż środkowoeuropejskie państwo.

Kolejne kraje, opisywane na kartach *Jadąc do Babadag*, przynoszą nowe oblicza tego, co typowe dla państw tego regionu. Pisarz z upodobaniem przedsta-

[4] E. Sanocka-Pagel, *Estetyczne*..., s. 22.

wia wrakowiska – cmentarzyska samochodów w różnym stadium rozpadu. Zwraca uwagę na fakt, że spoczywające na nich zabytki motoryzacji przypłynęły z Zachodu, przede wszystkim z Włoch. Kierunek zachodni pojawi się zresztą w książce kilkakrotnie, za każdym razem w sposób nieprzypadkowy. Plaża w albańskiej Sarandzie wydaje się upiorna – jest szczelnie pokryta śmieciami i plażowicze zgarniają na bok resztki cywilizacyjnych odpadów, by odsłonić skrawki czystego piasku na szerokość koca i rodzinnej grupy. Narrator jest zadziwiony rozmiarami panującego dookoła chaosu, ale i spokojem, wręcz dostojeństwem, z jakim ludzie egzystują wśród stale powiększającej się góry śmieci: „Było coś pysznego i pogardliwego w tych gestach odrzucających zużyte rzeczy, jakaś wielkopańskość konsumpcji i teatr obojętności wobec wszystkiego, co nie jest samym zaspokojeniem zachcianki" (s. 126).

Tego dnia wiało z zachodu – wiatr nie przyniósł jednak stamtąd niczego, co byłoby cokolwiek warte. Zachodnie śmieci trafiają do Albanii, bo nie są już potrzebne w kraju swego pochodzenia, jednak – jak konkluduje narrator – tutaj również do niczego się nie przydają. Wschodnia Europa może być zatem postrzegana jako wysypisko rzeczy zużytych, strawionych i wyplutych przez Zachód, przekazywanych uboższym sąsiadom. Według Stasiuka to był dobry pomysł: „zbudować coś, co jeszcze się przydaje, gdy właściwie jest już bezużyteczne. Taka będzie przyszłość. Ktoś będzie odbierał nasze śmieci i jeszcze się cieszył"[5].

Na Bałkanach tandeta koegzystuje z sacrum – tak jak w domu babuszki, w którym nocuje narrator. W małym pokoju, w sąsiedztwie ikony, stoją na skraju szafy puste opakowania po dezodorantach, perfumach i kawie. Prezenty od córki gospodyni ceni na równi z przedmiotami kultu. Święty obraz i „zachodni śmietnik" (s. 196) były jedynymi przedmiotami zdobiącymi jej skromny pokój. Sacrum i profanum spotykają się także na peryferiach mołdawskiej wsi, gdzie w środku wysypiska stoi niewysoki, zbity z desek krzyż. Otaczają go dziurawe wiadra, stara miotła, puszki, obuwie i opakowania po mydle. Czy był tam, zanim pojawiły się śmieci, czy też ktoś postanowił go usytuować na cmentarzysku rzeczy? Przypadek czy prowokacja? Narrator tak komentuje fenomen śmietnikowego krzyża:

> Nie było w Sfintu Georghe chyba nikogo, kto mógłby pragnąć zbawienia przedmiotów, nikogo, kto odważyłby się myśleć o zmartwychwstaniu, o nieśmiertelności rzeczy. Prawdopodobnie niewielu wierzyło we własne zmartwychwstanie – stąd ta symbioza krzyża i nieorganicznej trupiarni (s. 202).

Szczególnymi nosicielami brzydoty są poszukiwani przez autora w każdym odwiedzanym kraju Cyganie. Podobnie jak na plaży w Sarandzie, gdzie człowiek szukał dla siebie miejsca wśród śmieci, konstruowane przez nich osiedla żyją własnym życiem, a wysypisko pozostaje w symbiozie z człowiekiem:

> już na Słowacji, gdy mijałem ten ich rozdupczony slams za Zborowem [...], tę prowizorkę i kpinę ze wszystkich pokus lądu i dostatku. Tam moje serce zawsze drży z podziwu,

[5] A. Stasiuk, *Dojczland*, Wołowiec 2007, s. 11.

> że można mieć ten świat w dupie i uprawiać starożytne zbieractwo pośród postmodernistycznego postindustrialu: kobiety niosą wiązki chrustu, faceci ciągną wózki wyładowane złomem, dzieciarnia wygrzebuje plastik z wysypisk, przed budami z dykty stoją wraki bez kół i suszą się dywany, wszędzie fruwają foliowe torby (s. 215).

Wysypisko odpadów, będące miejscem osiedlenia się ludzi, jest przedmiotem fascynacji pisarza. Tajemnica tkwi w społeczności cygańskiej, która, wygrzebując jeszcze użyteczne przedmioty lub ich części, nadaje swojemu życiu sens, próbując jednocześnie przetrwać. Opisywany obraz nie posiada cech tragicznych, budzących smutek czy współczucie. Romowie wyraźnie upodobali sobie zbieractwo i w ich osiedlach panuje zaskakująca harmonia między człowiekiem, śmieciami i przyrodą[6]. Stanowią obrazę dla uporządkowanej cywilizacji śródziemnomorskiej, tworzą wiecznie poruszające się państwo-obóz, rządzące się własnymi prawami. W trzech wozach zawiera się – jak to obrazowo ujmuje pisarz – „pierdolnik człowieczego życia" (s. 231): bieda z nędzą, konie, budy w strzępach, w środku posłania dla ludzi. Widok cygańskiego taboru w blasku zachodzącego słońca wywołuje w nim skojarzenie z biblijnym rydwanem proroka Eliasza unoszącym się do nieba.

Napotkani w pobliżu wysypisk śmieci ludzie dzielą los niepotrzebnych przedmiotów – są odsunięci od świata i skazani na zapomnienie. Ta wspólnota losu z odpadkami, często obcego pochodzenia, dodatkowo ich degraduje. Pisarz dostrzega jednak w tych miejscach coś więcej niż smutek i tragizm. Podkreśla użyteczność przedmiotów, do niedawna jeszcze zbędnych. Odrzucone, pozbawione pierwotnego przeznaczenia, nabierają wielu nowych funkcji. Pomysłowość w powtórnym spożytkowaniu śmieci przyczynia się do powstania surrealistycznego pejzażu – jak w opartym na długiej enumeracji przedmiotów opisie przerażającego i imponującego cygańskiego osiedla w Krompachach[7] Także handel i targowisko na Bałkanach są takie same jak w innych częściach Europy Wschodniej – to nieco bardziej prymitywny rodzaj polskiej targowicy:

> W Elbasan na głównej ulicy widziałem wielkie stosy szmat. To miał być handel, ale wyglądał na wysypisko. Kobiety grzebały w ciągnących się przez wiele metrów hałdach, usypanych prosto na betonie. Wyglądały, jakby szukały ciał bliskich. Przebierały, odrzucały, próbowały dogrzebać się do czegoś lepszego. Było tego ze dwie ciężarówki i diabli wiedzą, skąd przyjechało. [...] Z jakiegoś miejsca, gdzie już nie było potrzebne. Idee i myśli przybywają tutaj tak samo zużyte, tym bardziej, że od początku były pomyślane jako jednorazowe. To jest kraina recyklingu i ona sama też w końcu zostanie przetworzona (s. 227).

Ten prymitywny uliczny lumpeks, świat rzeczy poddawanych nieustającym przetworzeniom nabiera niemal katastroficznego wymiaru. Przeszukujące hałdy szmat kobiety budzą skojarzenia z matkami i żonami szukającymi ciał bliskich

[6] E. Sanocka-Pagel, s. 17.
[7] Jw., s. 36.

podczas niedawnych wydarzeń wojennych na Bałkanach. Podobnie jak przedmioty zużywają się idee i myśli, tak samo trafiające na śmietnik, tym razem śmietnik historii. Kraina, która bezustannie przetwarza, ma przed sobą podobną perspektywę – może przybrać nową postać. Pozostaje jednak pytanie, czy na Bałkanach kiedykolwiek będzie to trwała forma.

„Postsowiecko, powiatowo i peerelowsko"[8], czyli brzydota na Zachodzie

W książce *Dojczland* opisów brzydoty jest stosunkowo niewiele, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jednak narrator, nadal niezainteresowany zwiedzaniem muzeów opisywanych przez przewodniki, z łatwością wyłapuje to, co jest bliskie jego sercu. W okolicach dworca we Frankfurcie nad Menem na ulicy walają się strzępy zużytego papieru toaletowego, a tamtejsza knajpa niewiele różni się od tej z Albanii i polskiej prowincji. W tym rejonie miasta kłębi się bowiem pełen Słowian „emigrancki Babilon" (s. 13). Knajpiany internacjonalizm to brud i brzydota, ale lokal dla tirowców jest, zdaniem pisarza, sercem świata – miejscem, w którym zlewają się komunikacyjne arterie Europy i można poczuć przepływającą energię. Takie miejsca pozwalają przybyszowi z innego świata odnaleźć się na Zachodzie i zdobyć punkt odniesienia.

Wschodnioeuropejską brzydotę przypomina także teren byłego NRD, co automatycznie zaskarbia mu autorską sympatię. Z okien pociągu obserwuje nieludzkie, „piękne", nowoczesne zakłady przemysłowe, a chwilę potem mija ogródki działkowe i budy slumsów, ledwo odcinające się od błota, w którym grzęzną. Te obrazy kojarzą się z komunizmem: „te biedadomki, biedaaltanki, ogrody i parki na czterdziestu metrach kwadratowych" (s. 32). Swojskości dodają niemieckiemu krajobrazowi deszcz, kałuże i błoto, rozmywające kontury uporządkowanego zachodniego kraju. Widziane przez okno pociągu ogródki działkowe, ich prymitywna, chaotyczna architektura, skontrastowane z geometryczną bryłą hipermarketu, przywołują wspomnienia i skłaniają narratora do wyciągnięcia notesu i zapisania wrażeń. Czuje się swojsko tam, gdzie „króluje rozpierducha, chaos i prowizorka jak w upadłych kołchozach" (s. 91). To właśnie takie obrazki przyciągają wzrok obserwatora ze Wschodu, ich podświadomie szuka, one budzą nostalgię w człowieku, który czuje się krewnym Cyganów.

Brzydota po polsku

W świecie *Opowieści galicyjskich* beton, drewno, zapadnięte dachy, resztki płotów i żelazne balustrady „tworzą zakalec biedy i tęsknoty za telewizyjnym świa-

[8] A. Stasiuk, *Dojczland*, Wołowiec 2007, s. 59. Kolejne cytaty z tej książki lokalizuję numerem strony podanym w nawiasie.

tem"[9]. Na tym tle nowy dom wygląda wręcz niestosownie, odcina się i wyróżnia na tle swojskiego krajobrazu. Obok kościoła, knajpy, która zastępuje dawną karczmę, centrum prowincjonalnego świata stanowi kiosk:

> We wsi stał kiosk. Gdy w okolicy urzędował komunizm, ten największy szafarz szarości, buda wyglądała jak brudne akwarium, w którym unosiło się kilka szczoteczek do zębów, trzy rodzaje papierosów i biała znudzona twarz sprzedawczyni [...]. 'Dwa bilety na PKS i popularne'. 'Dwa razy popularne i jeden bilet na PKS' i zapałki. Ileż kombinacji. A teraz wygląda to tak, jakby kolejne stworzenie świata nie odbyło się w czasie i przestrzeni, ale w dziedzinie barw (s. 31).

Elżbieta Sanocka-Pagel podkreśla, że narrator z ironią opisuje zderzenie na płaszczyźnie kolorystycznej dwóch skrajnych jakości – wszechobecnej szarości PRL-u i kiczowatych barw wolnego rynku. Opowiada na przykładzie zmian w wyglądzie prowincjonalnego kiosku o ustrojowej transformacji, posługując się biblijną historią o potopie i arce Noego. Oczyszczające wody potopu zabrały komunistów odpowiedzialnych za zło byłego systemu politycznego. Znakiem pojednania jest podobnie jak w Biblii tęcza – tyle że powstała z kiczowatych kolorów produktów sprzedawanych w kiosku. Narrator interpretuje barwy, odwołując się do symboliki Starego i Nowego Testamentu, bawiąc się zarówno kiczowatością nowych artykułów dostępnych na wolnym rynku, jak i naiwnym zachwytem ich obserwatorów[10]:

> Kolor biały – Similac Isomil – to czystość, radość, niewinność i wieczna chwała, to barwa szat Chrystusa na górze Tabor, bisior ze świątyni Salomona. Niebieski – Blue Ocean Dezodorant – to kolor Matki Boskiej, firmamentu i tak jak biel znaczy nieskazitelność [...]. Zieleń – Fa Fresh Creme and Soap – to kolor nadziei, bo szmaragdowa tęcza w Apokalipsie pojawia się na znak miłosierdzia Sądu (s. 16).

Typowym użyciem surowców wtórnych, nikomu już niepotrzebnych, a nadal wykorzystywanych, są pojazdy bohaterów *Opowieści galicyjskich*. Szary, zardzewiały i pogięty samochód Janka łatwo wtapia się w bałagan natury, stając się jego częścią. Do tej samej kategorii zalicza się przedziwny krążownik prowincjonalnych szos Jana Zalatywoja. Jego pojazd – „owoc ubóstwa i pomysłowości, stara wueska, z tyłu dwa koła i platforma" (s. 66) – przemierza dziurawe, pełne błota boczne drogi – obszary dawnego królestwa nafty, wydobywanej rękami więźniów. Samochody-wyrzutki są podobne do swoich właścicieli – rozbite i sklecone z wielu różnych części wywołują wrażenie chaosu i zniszczenia, a mimo to wciąż jeżdżą. Galicyjska prowincja ma także swoją knajpę – „smrodliwy czyściec, przedpokój dnia następnego" (s. 31). To brzydkie miejsce gromadzi niepięknych bywalców, kontemplujących jedyne ładne przedmioty – niedostępne dla nich butelki Napoleona, Cinzano

[9] A. Stasiuk, *Opowieści galicyjskie*, Wołowiec 2011, s. 14. Kolejne cytaty z tej książki lokalizuję numerem strony podanym w nawiasie.
[10] E. Sanocka-Pagel, *Estetyczne*..., s. 22–23.

i whisky. W zasięgu możliwości miejscowych są bowiem tylko flaszki z najniższej półki – wino owocowe i wódka, tak pospolite jak ich otoczenie.

Biały kruk przynosi turpistyczny opis stolicy – ulica Łazienkowska została przyrównana do betonowego rynsztoka, którym płynie kolorowy strumień samochodów, przypominający... wymioty. Bohaterowie obserwują ten strumień i nieruchomych ludzi przez okna – na zewnątrz jest brzydko, mokro i obco w cementowym wąwozie miasta. W knajpie – jak wszystkie Stasiukowe knajpy niepięknej i nienowoczesnej – jest natomiast ciepło i przyjemnie. Mężczyźni czują się w niej jak u siebie, poza toczącym się w kolorowym świetle neonów życiem. Wyjeżdżając na prowincję zwiedzają podobne, coraz brzydsze miejsca, w których jest im swojsko i bezpiecznie. Mogą napić się, pogadać, poczuć się naturalnie. Trafiają na targ, na którym dostępne jest niemal wszystko. Mechanizmy oglądania, macania i odkładania pieczołowicie wyliczonej produkcji ludzkiej wszelkiej maści, która swoim ogromem przytłacza, zarazem brzydzą ich i fascynują.

Powieść *Dziewięć* prezentuje Warszawę początku lat 90. XX wieku. Podmiejskie pola pokrywają tablice reklamowe, szare bloki stapiają się z równie szarymi chmurami. To smutne, monochromatyczne miejsce. Brzydota wtapia się w krajobraz, bloki starzeją wraz z kolejnymi pokoleniami mieszkańców. Schronieniem dla uciekającego przed gangsterami drobnego przedsiębiorcy Pawła są odrapane klatki schodowe, wąskie korytarze, ciasne i zagracone mieszkania. Ale to na wąskim łóżku ze skotłowaną pościelą czuje się bezpieczny. To azyl, dający możliwość ucieczki przed życiem, które toczy się gdzie indziej. Powieść pełna jest takich pomieszczeń – śmierdzących, zastawionych rupieciami, pieczołowicie wyliczanymi przez narratora. Natomiast w eleganckim, według ówczesnych standardów, mieszkaniu, pełnym zachodnich bibelotów, Paweł odczuwa strach. Wykafelkowana łazienka budzi w bohaterze przerażenie, stara się, aby czegoś nie przewrócić i nie zniszczyć. Jest bowiem przyzwyczajony do miejsc, w których „wanna byłą ruda na dnie, a sedes pożółkły jak stara kość"[11].

Siedlisko tandety może być również ukazane lirycznie – jak w opisie mieszkania pełnego rzeczy kojarzących się z kiczem i bezguściem, a będących przedmiotem marzeń wielu Polaków w latach 90. Mieszkanie znajomego Pawła Bolka jest wypełnione plastikowymi kwiatami, złocistymi klamkami, białymi, włochatymi tapczanami. Jego właściciel z zachwytem patrzy na to, co zgromadził. Kontempluje swój dobytek w pełnej zadowolenia ciszy, bowiem stanowi on dowód jego sukcesu, osiągniętej pozycji i życiowej zaradności. Wyliczenie elementów wystroju salonu jest drobiazgowe i dokładne, wzrok właściciela nie omija żadnego przedmiotu. Dopełnieniem jego sukcesu jest kobieta, równie kiczowata jak wnętrze.

Także w tej powieści warszawskie wystawy sklepowe straszą tandetą, stłoczoną za przybrudzonymi szybami. Brzydkie są okolice Dworca Wileńskiego, gdzie wysiadają bywalcy bazaru Różyckiego. Tu zapach wsi miesza się z wonią „lśniącego

[11] A. Stasiuk, *Dziewięć*, Wołowiec 1999, s. 44.

plastiku, celuloidu i nonajronu"[12] – typowego dla Stasiukowej twórczości targowiska, na którym można kupić niemal wszystko. Gdy w *Dojczland* sercem Europy była obskurna knajpa dla tirowców, *axis mundi* bohatera *Dziewięć* jest budząca ciekawość i podziw Rotunda z jej handlowym otoczeniem:

> Zaczął się zastanawiać, co jest za tą ścianą po lewej, co kryje ten cementowy walec, na obwodzie którego poprzylepiały się te wszystkie sklepiki, kioski, dziuple ze szwarc-mydłem, akwaria pełne błyskotek, wabików, śmiecia i cudeniek z fajansiarskiej baśni tysiąca i jeden drobiazgów. Bo coś tam musiało być. Jakaś próżnia albo gigantyczny mechanizm, od którego początek brał wszelki ruch. Gdzieś tam w samym środku musiała być oś, na której rozpędzało się miasto, oś i punkt magnetyczny, bo przecież inaczej wszystko by się rozpirzyło w drobne chujki[13].

Dookoła tego miejsca skupia się świat, stąd bierze początek wszelki ruch. Najbliżej osi świata pisarza nie znajdują się zatem miejsca znane z przewodników i kojarzone z Warszawą – Starówka czy Aleja Marszałkowska, ale sklepiki z tandetą. Obserwacje, które Stasiuk zawarł w swoich powieściach, powtarzają się także w jego książkach podróżniczych i publicystycznych. Polska, ukazująca mu się na poboczach dróg, nie jest piękna. To miejsce brzydkie, wręcz straszne, popełniające zbrodnię samo na sobie:

> Coś robi się nie tak z krajobrazem. Polska jest bezwzględna. Przymusiła nas do wielu rzeczy i do wielu przyzwyczaiła, ale gdzieś między Szaflarami a Białym Dunajcem ma się poczucie, że wjeżdża się jeszcze bardziej do Polski, do Polski podwójnej, trzykrotnej, Polski hard. Stopień wizualnego obesrania poboczy drogi numer 47 przywodzi na myśl zaplanowaną i precyzyjnie odbytą zbrodnię na pejzażu, mord na cudzie świata, jaki nam podarowano. Jeśli jest pogoda, to w oddali widać góry. [...] Lecz musimy na nie patrzeć poprzez obskurny majak, przez ten syf nieopisany poustawiany po jednej i po drugiej stronie drogi. Tak sobie wyobraziliśmy wielki świat i tak go zbudowaliśmy: z drutów, ceowników, folii, dykty, farby, blachy i plastyku. I teraz jedziemy przez jakąś poronioną Dolinę Jozafata i krwawią nam źrenice[14].

Podróż po Polsce bywa koszmarem, obcowaniem z konsekwencjami zachłyśnięcia się przez rodaków wielkim światem. Efekt jest podobny do nieudanego makijażu – to, co pragnie się ukryć, przebija jeszcze silniej, a źle dobrane środki potęgują wrażenie karykatury. Co miało upiększać i zwracać uwagę, zohydza. Na tle gór brzydota przydrożnej zabudowy jest rażąca, przysłania piękno natury, powodując powstanie upiornego pejzażu złożonego z płacht, banerów i reklam. Tylko niekiedy przyroda jest siłą mogącą przetransformować brzydotę w cud – jak to było w przypadku cygańskiego taboru skąpanego w świetle zachodzącego słońca z *Jadąc do Babadag*.

[12] Tamże, s. 97.

[13] Tamże, s 131.

[14] A. Stasiuk, *Nie ma ekspresów przy żółtych drogach*, Wołowiec 2013, s. 108. Kolejne cytaty z tej książki lokalizuję numerem strony podanym w nawiasie.

Dla Stasiuka wizytówką Polski jest koszmar architektoniczny, symbolizowany przez warsztat samochodowy niedaleko Rzeszowa „z pilastrami na trzy piętra" oraz ogrodowe figurki w cukierkowych kolorach. Za wyróżniającą cechę ojczyzny uważa „optyczną nędzę, kociokwik i histerię człowieczego krajobrazu, badziewne cuda polskiej kreatywności" (s. 132). Jest to zarazem coś, co go przeraża i budzi instynktowną sympatię, wręcz napawa dumą. Dostrzega bowiem w tym zjawisku przejaw sobiepańskości i warcholstwa właściwego Polakom. Mistrzostwo w dziedzinie zapaskudzania przestrzeni uznaje za osobliwy przejaw wolności ducha: „że mu żaden architekt nie będzie mówił jak ma wyglądać jego, znaczy mojego kraju, życie" (s. 133). Brzmi to jak powtórka z Rzeczpospolitej szlacheckiej, choć dzisiejszy Polak mówi *veto* planom zabudowy przestrzennej i dobremu gustowi. Pisarz kocha Polskę za to, „że ma gdzieś, by być ładna" (s. 134).

***

W świecie opisywanym i stworzonym przez Stasiuka nie ma ucieczki przed brzydotą. Może przybierać rozmaite postacie, ale jest obecna zawsze i wszędzie. Zwykle spotyka się z sympatią, a nawet fascynacją pisarza. Budzi zaciekawienie, nostalgię, zmusza do refleksji, otwiera pole wyobraźni, daje poczucie bezpieczeństwa. Bywa wyczekiwana, wręcz pożądana. Autor *Opowieści galicyjskich* współczuje ludziom dzielącym życie ze wzgardzoną materią, którzy upodabniają się do niej, ale też ich podziwia, czując pokrewieństwo duchowe z żyjącymi w symbiozie z bałaganem mieszkańcami wysypisk środkowej Europy, szczególnie z Cyganami. Jedynie wówczas, gdy brzydota niszczy piękno natury i zabija pamięć o przeszłości, stanowi w jego książkach element destrukcyjny, straszliwe i godne potępienia dzieło ludzkich rąk.

Matylda Zatorska

Fot. Archiwum IFP UR

A. Stasiuk w czasie spotkanie w Małej Auli UR 24 kwietnia 2014 r.

Damian Niezgoda

„PRZEGADAM TEN ŚWIAT": STASIUK I HRABAL

Polskę i Czechy od wieków łączy bliskie sąsiedztwo, pokrewieństwo narodowych języków, wspólna historia, przynależność do tego samego kręgu kulturowego. Zwłaszcza na przestrzeni ostatnich dwóch wieków zbliżyły nas do siebie nie blisko ze sobą spokrewnione języki narodowe, ale i doświadczenia historyczno-polityczne, co jest szczególnie widoczne w dziełach literatury i sztuki. Intertekstualne powiązania między czeskimi a polskimi pisarzami nie są czymś osobliwym, podobnie jak podobieństwa motywów i tematów.

Andrzej Stasiuk ceni prozę Bohumila Hrabala i jest jej uważnym czytelnikiem, czego potwierdzenie znajdziemy przede wszystkim w zbiorze jego esejów *Tekturowy samolot*[1], który tytułem nawiązuje do zdjęcia czeskiego pisarza, zamieszczonego w wydanym przez wydawnictwo Świat Literacki w 1998 r. albumie *Pamiętam jedynie dni słoneczne*, opatrzonym jego autobiograficznym szkicem[2]. W tytułowym eseju swojej książki Stasiuk interpretuje kilka fotografii Hrabala z tego albumu. W uwiecznionych w nich pozach i zachowaniach młodego Hrabala dostrzega zapowiedź tego, co spotka go w życiu i będzie kwintesencją jego pisarstwa[3]:

> Ta fotografia z trzydziestej piątej strony albumu jest najprawdopodobniej czymś w rodzaju przepowiedni. Oczywiście, jest to „przepowiedź po czasie" – coś, co jakimś cudem zmienia się w czeską *predpoved' počasi*, czyli prognozę pogody, a to z kolei łączy się z meteorologią tytułu *Pamiętam jedynie dni słoneczne*[4].

Szczególnie wiele uwagi poświęca Stasiuk zdjęciu praskiego pisarza z jego stryjem Josefem Hrabalem (pierwowzorem postaci stryjaszka Pepina z cyklu nymburskiego). Mężczyźni pozują do zdjęcia siedząc w tekturowym aeroplanie i trzymając w dłoniach butelki wina. Stryj siedzi na miejscu pilota, pod nimi rozciąga się panorama Pragi[5]. Autor *Murów Hebronu* uwypukla metaforyczne znaczenie fotografii. Popularny Bohous – jak bliscy nazywali Hrabala – jest pasażerem „podniebnego rejsu", którym kieruje jego stryj. Pisarz z Wołowca podobnie interpretuje twórczość praskiego pisarza. Był on, jego zdaniem, uważnym słuchaczem zapisu-

[1] A. Stasiuk, *Tekturowy samolot*, Wołowiec 2000.
[2] B. Hrabal, *Pamiętam jedynie dni słoneczne – Bohumil Hrabal w fotografii*, przeł. A. Kaczorowski i P. Godlewski, Izabelin 1998.
[3] A. Stasiuk, *Tekturowy samolot*, s. 73.
[4] Tamże.
[5] B. Hrabal, *Pamiętam jedynie dni słoneczne*, s. 68.

jącym historie opowiedziane mu przez bliskich, takie, których był świadkiem oraz którym przysłuchiwał się podczas długich godzin spędzanych w gospodach przy kuflu piwa[6].

Następnie Stasiuk analizuje fotografię z trzydziestej piątej strony albumu, przedstawiającą Hrabala jako kilkuletniego chłopca. Zwraca uwagę na tło zdjęcia, będące jak gdyby zapowiedzią charakterystycznych cech prozy Hrabala. Ascetyczna przestrzeń za bohaterem zdjęcia, zajmowana przez potężne, dwuskrzydłowe drzwi, zaś na innych zdjęciach – kafelki w barze Świat, ceglany mur we Włoszech oraz porąbane drewno – symbolizuje codzienność. Brak wyrazistych kształtów stanowi odpowiednik tej szczególnej pustki, z której rodzą się słowa, być może dlatego tak trafne i celne, że nic nie odwraca od nich uwagi.

Jak pisał Józef Waczków – ważnym motywem twórczości Hrabala była cudowność powszednich zdarzeń, kreowana jako swoiste sny na jawie, których doznawali jego zwyczajni bohaterowie[7]. Jedynie w wyobraźni pisarz odnajdywał momenty i miejsca wymykające się racjonalności. Szare realia socjalistycznej Czechosłowacji były dobrym punktem wyjścia do snucia długich opowieści. W zniszczonej rzeczywistości, wśród kominów fabryk i hut Hrabal dostrzegł cudownych ludzi, głośno rozmawiających przy piwie i to w konwencji, która bardzo mu się spodobała. Poetyka tych knajpianych rozmów, momentami przypominająca surrealistyczne wizje, wymykała się powszedniości, choć jednocześnie była w niej mocno osadzona. Stasiuk interpretując fotografię Hrabala i jego stryja w samolocie, zwrócił uwagę, że oddaje ona istotę pisarstwa Czecha, a po wtóre, że codzienność i powszedniość – życie od poniedziałku do soboty – zostały w niej ujęte w „cudowny Hrabalowski nawias"[8]. Urzeka go zaprezentowana na zdjęciu możliwość oderwania się od ziemskiej rzeczywistości. Jest to „hand-made mistyka", wymykającego się z racjonalności za pomocą wszelkich dostępnych środków.

Stasiuk zwraca również uwagę na ostatnie zdjęcie pisarza zamieszczone w albumie. Za sfotografowanym w szpitalu Hrabalem widnieje tabliczka „Zachowaj czystość". Interpretuje ten napis metaforycznie i przenosi na sferę duchową. Czystość symbolizuje ciągłość i gloryfikację wspomnień, jako integralnej części osobowości pisarza, szczególnie tych dla niego najważniejszych – jaskrawych i ciepłych – tytułowych „słonecznych dni". W ostatnim zdaniu eseju Stasiuk przyznaje, że jedyną rzeczą, która może nas zabrać do lepszego życia, jest tekturowy samolot, czyli bagaż doświadczeń, wzbogacany sporą dozą wyobraźni[9].

W ostatnim eseju zamieszonym w książce *Tekturowy samolot* noszącym tytuł *O Hrabalu*[10] polski pisarz składa hołd niedawno zmarłemu Hrabalowi:

---

[6] A. Stasiuk, *Tekturowy samolot*, s. 74.
[7] J. Waczków, *Niepoprawny romantyk*, „Literatura na Świecie" 1994, nr 9, s. 60.
[8] A. Stasiuk, *Tekturowy samolot*, s. 74.
[9] Tamże.
[10] Tamże, s. 203.

> Gwiazdy świecą, ludzie śpią, ziemia wiruje pewnie, aczkolwiek niezauważalnie, zwinięte w kłębek psy i koty drzemią w swoich zakamarkach i guzik je obchodzi, że kiedyś będzie jakiś kolejny dzień. Jednym słowem zwyczajność sobie hula i świat *per saldo* nie zmienia się ani na lepsze, ani za bardzo na gorsze. A przecież całe stworzenie, cała widzialność, jednostkowe byty, wszystkie egzystencje i przynajmniej obywatele wyszehradzkiego trójkąta powinni trwać w pomieszaniu i pytać: Jeśli jego nie ma, to kto nas zapamięta? Kto opisze? Kto nas ocali przed bezmyślnym pyskiem kosmosu i analityczną, ezoteryczną paszczą historii [...]?[11]

Po śmierci czeskiego pisarza rzeczywistość nie uległa żadnej zmianie. Świat kręci się tak samo jak dotąd i nikt nie zdaje sobie sprawy z wielkiej katastrofy, która miała miejsce tego dnia. Zwykli, szarzy przechodnie (szczególnie ci z państw Trójkąta Wyszehradzkiego), ale i wszystko, co żyje, powinno drżeć z obawy przed popadnięciem w zapomnienie, w bezkresną, nieopisaną już przez czeskiego pisarza pustkę dziejów. W dalszej części wspomnienia Stasiuk powraca do fotografii Hrabala i uogólnia swoje wcześniejsze refleksje. Autora *Postrzyżyn* wyobraża sobie zawsze zajętego prozaicznymi czynnościami i na nikogo nieczekającego. Podkreśla podobieństwo między nim a bohaterami jego książek, widoczne szczególnie w ich postawie światopoglądowej – afirmacji rzeczywistości oraz „egzystencjalnym aikido", polegającym na wykorzystaniu energii atakującego przeciwnika[12].

Jedną z najważniejszych cech charakterystycznych prozy Hrabala są szczególnego typu bohaterowie, tak zwani *pábitelé*. Termin ten spopularyzował się w kulturze czeskiej, kiedy pisarz opublikował w 1964 r. w wydawnictwie Mladá Fronta zbiór opowiadań pod takim tytułem. Historię powstania słowa *pábitel* przedstawił w piśmie „Literálne Noviny" poeta František Hrubín, wskazując jako jego twórcę Jaroslava Vrchlickýego[13]. Wskutek przejęzyczenia czescy poeci pokolenia Hrubina, między innymi Jan Rychlík i Emanuel Frynta, używali słowa *pabenie* na określenie czynności wykonywanych z szaleńczym zapamiętaniem oraz wszelkich oryginalnych, osobliwych zajęć i zainteresowań, wykraczających poza normalność.

Hrabal w 1965 r. w rozmowie ze Zdeňkiem Janikiem przyznał, że po raz pierwszy usłyszał określenie *pábitel* od poety Jiřego Koláře. Wprowadzając je do literatury, nadał mu jednak nowy, głębszy sens. Wyjaśniał, że *pábitel* to człowiek, który posiada niezwykłą zdolność opowiadania. Jest wypełniony „oceanem myśli", które tak bardzo chciałby przekazać, że nie nadąża za nim wylewający się z jego ust potok słów[14]. Dlatego w jego wypowiedziach pojawiają się skróty myślowe, dygresje oraz niespójne lub wykluczające się wątki i epizody. Istotne jest samo mówienie, które staje się jego najważniejszą czynnością. Protoplastą wszystkich tego typu postaci jest Józef Szwejk – bohater słynnej, antywojennej powieści Jaroslava Haška[15].

---

[11] Tamże.
[12] Tamże, s. 204.
[13] M. Walczak, *Dobry „pábitel" Josef Švejk*, „Bohemistyka" 2002, nr 2, s. 35–36.
[14] Tamże, s. 37.
[15] Tamże, 35–36.

Podobieństwa w typie bohaterów stanowią pomost między twórczością obu czeskich pisarzy, co niejednokrotnie podkreślał sam Hrabal[16].

Pábitelé to ludowi filozofowie, których można scharakteryzować dwiema cechami. Po pierwsze jest to specyficzna, radosna postawa wobec życia, łącząca się z nastawieniem na czerpanie z niego tego, co najlepsze, kontemplację piękna oraz kontakt z naturą. Po wtóre i najważniejsze cechuje ich ogromna chęć oraz umiejętność opowiadania. Gdzie w jego prozie napotykamy takich ludzi? Oczywiście w praskich, nymburskich i libeńskich knajpach. Pisarz pieczołowicie odtwarza zaobserwowane osoby, uwzględniając zarówno ich wady, jak i zalety. Nie wartościuje, skupia się na opowiadanych przez nich anegdotach, jak również na ich własnych życiowych historiach. Są to przede wszystkim pracownicy huty w Kladnie, murarze, kolejarze oraz rozmaici robotnicy, dla których knajpa jest miejscem wyjątkowym. Przychodzą do niej napić się piwa, odpocząć, ale również kłócić się, spierać, snuć opowieści i wysłuchiwać wspomnień, które w taki lub inny sposób łączą się z teraźniejszością. Rozochoceni złotym trunkiem są skorzy do snucia nieprawdopodobnych opowieści. Przeplatają się w nich anegdoty jakby rodem z książek Jaroslava Haška oraz filozoficzne myśli. Tygiel myśli jest odwzorowaniem nie tylko twórczości Hrabala, ale i różnorodności świata, który go otaczał, i z którego czerpał pełnymi garściami. Pisarza zbliżało do spotykanych w knajpach ludzi przede wszystkim upodobanie do pierwotnej, ludowej kultury. Prostota i swojskość była bowiem dla niego synonimem szczerości i naturalności[17].

Źródłami *pabitelskiej* poetyki są bogate życiowe doświadczenia praskiego pisarza, który, mając prawnicze wykształcenie, porzucił posadę aplikanta w kancelarii notarialnej. Pracował jako robotnik kolejowy, dyżurny ruchu na kolei, agent ubezpieczeniowy, akwizytor, pracownik fizyczny w hucie Poldi w Kladnie i w punkcie zbioru makulatury przy ul. Spálenej w Pradze, maszynista w Teatrze S.K. Neumana na Libeni[18]. Te zajęcia pozwoliły mu na kontakty z ludźmi, którzy stali się później bohaterami jego utworów. Obserwował ich codzienne zachowanie w pracy i poza nią. Był wyczulony na ich język i styl bycia. Podziwiał ich radość istnienia i lekkość wypowiedzi. Cenił naturalność i bezpośredniość.

Andrzej Stasiuk również pracował fizycznie. Z racji ukończenia jedynie szkoły podstawowej, dopóki nie rozpoczęła się jego kariera pisarska, był skazany na pracę fizyczną. Bycie kierowcą i robotnikiem budowlanym dostarczyły mu życiowego doświadczenia oraz ukazały nieznane sfery rzeczywistości. W wywiadach często podkreśla swój braku talentu do „gadania", który rekompensuje umiejętnością słuchania. Być może dlatego wielu bohaterów jego książek przypomina „opowiadaczy" z prozy Hrabala (np. Hantę ze *Zbyt głośnej samotności* oraz wspominanego stryjaszka Pepina z *Postrzyżyn*). Oto, co mówił na ich temat:

[16]Tamże, s. 38.

[17] J. Waczków, *Niepoprawny romantyk*, s. 62.

[18] T. Mazal, *Praga z Hrabalem – oraz podróż śladami pisarza po Czechach i Morawach*, przeł. J. Pacześniak, Warszawa 2014, s. 303–320.

> Mnie to zawsze w facetach interesowało, że wchodzi taki do knajpy [...], mówi przez pół godziny i wszyscy dookoła go słuchają, [...] on ma dar narracji, takiej narracji ludowej, [...] prostej, jak kiedyś opowiadał lirnik czy dziad, balladę dziadowską sprzedający. Takiego talentu ja nie posiadam. Zazdrościło się takim ludziom i miało się do nich szacunek. Ale co innego napisać tekst, a co innego mówić tak z czapki [...]. Z takiej prostej ludowej narracji, która sama ci przychodzi, która jest i dowcipna, i dynamiczna, i dramatyczna...[19]

Prozę Hrabala często inspirowały autentyczne wydarzenia, które nabierały szczególnego znaczenia w chwili ich opowiedzenia. Na tym polegał realizm magiczny twórczości czeskiego pisarza, który przez dodanie do rzeczywistości szalonych, romantycznych i zmyślonych sytuacji tworzył obszary bliskie fikcji lub legendzie, a będące sposobem przezwyciężenia codziennego znoju życia. W podobnym sposób charakteryzuje Stasiuk formę narracji w powieści *Taksim*:

> *Taksima* [...] powinienem dedykować ludowym narratorom, bo jest także o ludowej opowieści, męskiej narracji, kiedy faceci siadają w knajpie i opowiadają o swoich bohaterskich czynach z poprzedniego dnia – jeśli coś w ogóle pamiętają. Opowieść może być silniejsza od świata, który cię depcze, jakoś niszczy, który daje w kość. A ludowy narrator staje i mówi – [...] przegadam ten świat i tę rzeczywistość. I czasami udaje się to, że narracja ma większe napięcie, jest wspanialsza. Zawsze zazdrościłem zwykłym chłopom, że potrafią opowiadać, przykuć uwagę opowieścią o tym, jak to ze szwagrem poprzedniego wieczora zrobili coś heroicznego[20].

Obaj pisarze podkreślają znaczenie wydarzenia zakorzenionego w pamięci opowiadacza. Przyznają też, że wprowadzenie elementów fikcyjnych do faktów jest nie tylko zasadne, ale wręcz konieczne dla uzyskania odpowiedniego wydźwięku przedstawianej historii. U Stasiuka ma ona na celu „przegadanie rzeczywistości", u Hrabala „odsłonięcie sfery rzeczywistości bliskiej fikcji lub legendzie"[21]. Ubarwienie autentycznych historii wyjaskrawia i mitologizuje wydarzenia. Pisarze sądzą także, że w ludzkiej naturze jest coś, co zmusza nas do koloryzowania swoich przeżyć, a stanowi połączenie pamięci i wyobraźni, przez co zarówno knajpiane opowieści, jak i zwykłe życie wydają się o wiele ciekawsze.

Niektórzy bohaterowie książek Stasiuka przypominają *pabiteli* Hrabala. Akcja utworów obu pisarzy zazwyczaj rozgrywa się w małych miasteczkach, na wsi, bądź na peryferiach dużych aglomeracji, gdzie mieszkają robotnicy i rolnicy, których cykl dnia wyznaczają powtarzalne zajęcia i obowiązki. Wszyscy wyczekują

---

[19] *Co tu gadać*. Rozmowę z Andrzejem Stasiukiem przeprowadził M. Topolski, http:// niedoczytania.pl /co-tu-gadac- z-andrzejem-stasiukiem- rozmawia-maciej- topolski. Dostęp październik 2014.

[20] *Przegadać ten świat*. Rozmowę z Andrzejem Stasiukiem przeprowadziły I. Gierblińska i E. Hetmanowska, http:// www.dwutygodnik. com/ artykul/446-przegadac -ten- swiat.html. Dostęp październik 2014.

[21] J. Waczków, *Niepoprawny romantyk*, s. 62.

na sobotę i wizytę w gospodzie, knajpie lub barze. Na przykład w *Opowieściach galicyjskich* Stasiuka wyznacznikiem czasu bohaterów jest stały rytm pracy i odpoczynku. W tygodniu mężczyźni wykonują ciężkie, fizyczne prace i wyczekują weekendu po to, żeby prawie wszystkie zarobione pieniądze przepuścić w knajpie. Ich bycie tu i teraz jest ściśle powiązane z przeszłością i pamięcią. W rozmowach z nostalgią wracają do czasów, kiedy, w ich mniemaniu, było zupełnie inaczej, z pewnością lepiej.

Determinuje ich historia, osobiste przeżycia ugruntowują charakter, co znajduje wyraz w ich fizycznym wyglądzie. Przykładem bohatera, który przypomina hrabalowskiego opowiadacza, jest Józek, główny bohater *Opowieści galicyjskich*. Akceptuje otaczającą go rzeczywistość, nawet spadające na niego klęski: „Spokojnie. Takie jest życie. [...] Czasami się uda, czasami nie"[22]. Jest filozofem kierującym się zdrowym rozsądkiem, zwanym niekiedy „chłopskim rozumem". Jego język jak i postać są nieskomplikowane i surowe, zaś wypowiadane słowa dosadne i trafiające w sedno spraw. Podobnie jak bohaterowie prozy Hrabala Józek większość wolnego czasu spędza w knajpie. To miejsce stanowi element łączący twórczość obu pisarzy. Jest czymś odświętnym i odmiennym od codzienności. Kiedy mężczyźni – a stałymi bywalcami barów są właśnie oni, kobiety pojawiają się w niej tylko wyjątkowo – tam wchodzą, przy pomocy kufli piwa lub kieliszków wódki odrywają się od codzienności. Wkraczają w świat opowieści, które mimo tego, że zwykle znacznie odbiegają od tego, co faktycznie miało miejsce, przyciągają grono słuchaczy.

Jednym z głównych bohaterów powieści *Taksim* (2009) jest Władek, który wraz z Pawłem przemierza Wschodnią i Środkową Europę, handlując wszystkim, co społecznościom, do których przybywają, może się przydać. Podczas podróży często zaglądają do lokalnych knajp. Przysłuchują się rozmowom miejscowych, ale także sami, szczególnie Władek, snują opowieści z przeszłości. Jak mówił autor: „Jest to książka o opowiadaniu. [...] Pamięć jest podstawą opowiadania. Co można opowiedzieć bez pamięci?"[23]. Władek w swoich opowieściach często powraca do lat swojej młodości i do dzieciństwa. Nawet prozaiczne elementy otaczającego go świata wywołują w nim obrazy z zamierzchłej przeszłości, które odcisnęły piętno na jego osobie. Tak dzieje się, kiedy wyczuwa zapach świńskich odchodów, przypominających mu rodzinną wieś. W historii Władka zawarł Stasiuk fakty z własnej biografii. To także element, który łączy jego twórczość z prozą Hrabala. Wystarczy przypomnieć *Postrzyżyny*, gdzie pierwowzorami głównych bohaterów byli jego rodzice i stryj. Rodzice Władka są podobni do rodziców Stasiuka, którzy przenieśli się ze wsi do Warszawy, by polepszyć warunki życia. Nie wiodło im się tam zbyt dobrze. Żyli w ciągłym strachu, że ktoś rozpozna ich pochodzenie, przez co będą pogardliwie traktowani przez mieszkańców miasta. Wspomnienia Władka z dzieciństwa przenika uczucia wyobcowania z miejskiej społeczności oraz pustki,

[22] Tamże, s. 7.
[23] *Przegadać ten świat*, dz. cyt.

spowodowanej brakiem otwartej przestrzeni, natury i wolności, którą odnajduje jedynie na peryferiach miast. Po przeprowadzce do miasta, podobnie jak pisarz, często i chętnie powracał na wieś.

Utwory Andrzeja Stasiuka mają wiele punktów wspólnych z twórczością Bohumila Hrabala. Pojawiają się jednak między nimi znaczące różnice, wynikające z kontekstu historycznego, temperamentu i charakteru obu pisarzy. Autor *Murów Hebronu* jest, moim zdaniem, większym „realistą", porusza w swych tekstach tematy poważne, opowiadając o nich w tonacji „serio" (chętnie przyznaje się do tego, że pisze „smutne" i „ciemne" książki). Opisuje mroczne strony człowieczeństwa oraz poddaje krytyce zachodnią kulturę, która, szczególnie w jej środkowoeuropejskim wydaniu, jawi mu się jako kultura *second handu*. Hrabal jest świetnym mistyfikatorem, niekiedy surrealistą, okraszającym swe utwory magią i charakterystycznym poczuciem humoru, mającym źródło w rozwiniętym zmyśle satyrycznym.

W prozie obu pisarzy można wskazać podobne tematy, typy bohaterów, elementy światopoglądu. Podobny jest wybór miejsc, w których rozgrywa się akcja utworów: wsi, prowincjonalnych miasteczek, knajp. Nie można jednak mówić o naśladownictwie i wzorowaniu się przez Stasiuka na twórczości Hrabala. Są to raczej pokrewne wątki, wynikające z podobieństw czeskiej i polskiej kultury, spowodowanych niewielką odległością geograficzną i podobną historią, jak również wspólnotą przeżyć, zainteresowań, upodobań estetycznych i literackich obu pisarzy.

Damian Niezgoda

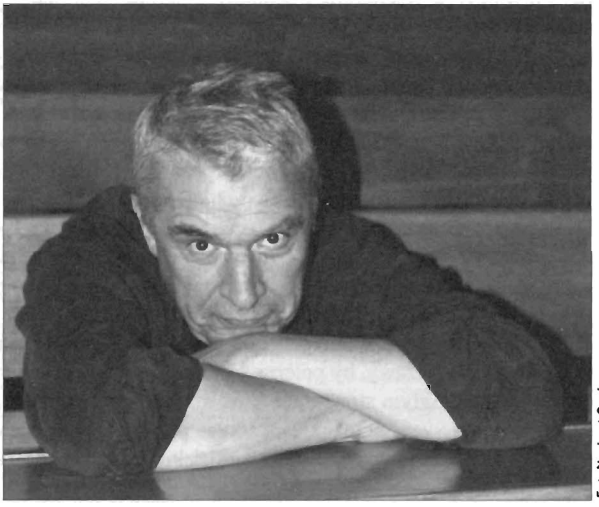

Fot. Norbert Czuba

A. Stasiuk w czasie konferencji naukowej poświęconej jego twórczości. Mała Aula UR 24 kwietnia 2014 r.

WĘDROWCY, EGZULE, WYGNAŃCY

Richard Mirabel

PRZESIAĆ PROCH

Czemuż to ja
wyszedłem cało
z nocy czarnych jak poczęcie?

Po co pozostałem
bez krzty sensu
przesiewać proch
i śnić o byłym?

Czemuż to ja
gdy tylu martwych?

Gdy czuć
to zbrodnia –
po co czuję ?

Ciemność stoi w ogniu
i nic nie pozostaje
oprócz prochu

W tej grozie mroku
życie ma blask
gwiazd letniej nocy
w oku ślepca

(Paryż, 1945)

ELEUTHERIA

Ziarenko myśli
tak samo
jak ziarno głodu i pragnienia
kiełkuje szukając na oślep
dla siebie miejsca

Strzela dookoła korzonkami
przebija się
do słońca

To pojedyncze ziarnko
myśli która myśli
nakłuwa zamrożone jądro
całkiem samo
w przestrzeni którą stwarza samo
i dumnie obwieszcza:

Eleutheria!
Nareszcie wolna! Już istnieję!

Z cyklu *W świecie aniołów*

3. LĘK

Anioł Lęku
jest ledwie widoczny

Porzuca skrzydła
gdzieś w głębi
gdy serce rzuca się do ucieczki

I czasem czas przychodzi
że słyszę tuż ich łopot

I gdy zaglądam
w jego zwilgotniałe oczy
zawsze muszę odwrócić wzrok

I wtedy moje serce odnajduje

Ten Anioł Lęku
prawie niewidoczny

MALOWANY PEJZAŻ

Taki lazur w odcieniach
cisza
w bryłach lodu

Spokój chłodzi rozpalone oczy

Wstępuję w ramy
wędruję po polach
oczy wspinają się
na turlające wzgórza

Wgłębiam się w las
dotykam kory drzew
puszystej trawy
w dole pod stopami

Posilony
nim wyjdę
zawieszam własny cień
na konarach

Richard Mirabel
Z angielskiego przełożyła Grażyna Zambrzycka

Edward Zyman

RICHARD MIRABEL – POETA SAMOTNY

Richard (Ryszard) Mirabel (1920–2007) pisał wiersze przez całe swoje życie. Pierwszy i jedyny jak dotąd jego zbiór w języku angielskim *Poems* (K&O-Harbour, Vancouver) wydała pięć lat po śmierci poety dr Olga Medvedeva-Nathoo, kanadyjska polonistka, autorka książek i wielu artykułów poświęconych literaturze i historii Polski. We wstępie tomu przedstawiła życie i sylwetkę autora, który urodził i wychował się w Warszawie. Zadebiutował jako dwunastoletni chłopiec w „Małym Przeglądzie", gazecie tworzonej przez dzieci dla dzieci, którą założył w 1926 roku Janusz Korczak. W pierwszym okresie był jej korespondentem, następnie reporterem i sekretarzem redakcji. Współpracował blisko z Jerzym Abramowem (Igorem Newerlym). Jak pisze dr Medvedeva-Nathoo „materiały podpisywane imieniem Ryszard wyróżniały się dociekliwością i autentyzmem". Warto w tym miejscu przytoczyć inną ważną uwagę edytorki książki: „Praca w tej dziecięcej gazecie była dla zdolnego chłopca prawdziwą szkołą życia – szkołą prawości i wrażliwości na niesprawiedliwość społeczną. Była też intelektualną przygodą: tu miał możliwość obcowania z ludźmi częstokroć znacznie starszymi od niego, na przykład z korektorem dziennika, erudytą i znawcą historii Izaakiem Deutscherem (po wojnie wspaniałym brytyjskim pisarzem historycznym). Tu uczył się też swobody wyrażania własnych poglądów, szacunku dla pisanego słowa i niezłomnej wiary w jego potęgę. Tak więc korczakowska gazeta nie była efemerycznym epizodem młodzieńczych lat Ryszarda – stała się ważną częścią jego życia".

W 1937 roku z woli rodziców przenosi się do Kanady, by rozpocząć studia humanistyczne. W pierwszych dniach po wybuchu II wojny światowej Ryszard, wciąż obywatel Polski, wstępuje jako ochotnik do Kanadyjskich Sił Lotniczych. Później walczy pod dowództwem Królewskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii. Jego szwadron uczestniczy między innymi w lotach niosących pomoc powstańczej Warszawie. Za zasługi wojenne otrzymał wiele polskich, brytyjskich i kanadyjskich odznaczeń.

Wojna dokonała dramatycznych spustoszeń w jego życiu. Z jego rodziny pozostałej w Warszawie nie uratował się nikt. Nigdy też nie dowiedział się, gdzie i w jakich okolicznościach zginęli. „Moja młodość – powie po latach – spłonęła w płomieniach wojny".

Po zakończeniu działań wojennych wrócił do Kanady. Studiów nie ukończył. Straconego podczas wojny czasu nie udało mu się nadrobić.

Wiersze pisał po angielsku. Najwcześniejsze, które zachowały się w jego archiwum, pochodzą z 1945 roku. Dał w nich wyraz swoim wojennym doświadcze-

niom, których nigdy nie potrafił wymazać z pamięci. „Był – pisze dr Medvedeva-Nathoo – poetą samotnym, bez środowiska, bez uznania. Wiedział, że w Kanadzie tworzą wspaniali polscy poeci, śledził ich losy twórcze, czytał ich wiersze po polsku i w przekładach, ale wolał być sam na sam ze sobą, poza jakąkolwiek emigracyjną grupą literacką. Taki był jego wybór".

Wiersze Mirabela odznaczają się różnorodnością gatunkową: od lamentu do liryków metafizycznych i żartu. Prawdziwym żywiołem poety jest refleksja, zaduma nad ludzką egzystencją, nad złożoną tajemnicą świata. „Ziarenko myśli / tak samo / jak ziarno głodu lub pragnienia / kiełkuje szukając na oślep / dla siebie miejsca..." (*Eleutheria*).

Jako człowiek, odnalazł swe miejsce w Kanadzie, kraju harmonijnie koegzystujących odmiennych kultur. Był Kanadyjczykiem, który zachował własne dziedzictwo, a zarazem był otwarty na wartości innych kultur. „Natomiast – zauważa trafnie dr Medvedeva-Nathoo – czas w jego utworach jest zawsze przemijający, znikający, utracony, porzucony. Rzeki: i Wisła, i Sekwana, do których dwa razy wstąpić niepodobna, płyną w jego wierszach, ale przede wszystkim »upływa« w nich rzeka Styks – tu Tanatos niewątpliwie góruje nad Erosem". W przekładach na jego ojczysty język wiersze Ryszarda Mirabela powracają do Polski – do miejsca, gdzie właściwie powinny były powstać.

Edward Zyman

E. Lipton Wittlin, projekt kostiumów Króla i Królowej do sztuki *Iwona księżniczka Burgunda* W. Gombrowicza, rysunek na papierze, 2002.

Florian Śmieja

ŁATWE SUKCESY

Kiedy się osiągnie respektowany
wiek, no, powiedzmy lat dziewięćdziesięciu,
wtedy o sukces nietrudno, napiszesz
wierszyk i już się cieszysz lub nawleczesz
nitkę do igły i sokolookim
zostaniesz obwołany, a jeżeli
sam tysiąc mil samochodem przemierzysz
po górskich serpentynach, toś fenomen
i niewyżyty automobilista.

MOŻE DZIŚ

Może dziś nadejdzie czekana odpowiedź,
znajdziesz się następnym w ogonku
i twój wyciągną kolejny numerek?
Jeszcze żyjesz, więc nie zabraknie zmartwień,
których już nie ma bohaterski sąsiad,
bo ratując syna sam poszedł na dno.
Żyjąc masz przewagę, że możesz śmierci
doczekać innej, jeszcze ci nieznanej
i dodatkowych szans dla odpowiedzi.

KOMBINEZON

Wczoraj w telewizji uczona pani
opowiadała, że po przebudzeniu
wchodzi w świadomość, niby w kombinezon
aby się poruszać w realnym świecie.
Mojemu doświadczeniu odpowiada

jej konfabulacja i określenie
rannego rozpoznania i sprawdzenia
tożsamości, by aktywność już pisać
na właściwe konto. Na dobre i złe.

POCIĄG FANTOM

Zawsze frapował mnie we śnie ten pociąg,
na który nie zdążałem. Dokąd by mnie
zawiózł i którędy? Kim byli ludzie,
współpasażerowie tajemniczego
ekspresu, który mi stale umykał?
Ponoć szalona córka maszynisty
prowadzi pociąg fantom z daleka
i to ona na nikogo nie czeka.

POJĘ KOLIBRY

Poję kolibry w domku nad Huronem
znalazłem czas, by nacieszyć się światłem.
Indianie z pobliskiego rezerwatu
spiskują z prawnikami, jak zdobyć
więcej terenu i licują teksty
układów sprzed stu laty, by tam znaleźć
jakiś powód do rekompensaty, co
ruszy sumienie białego człowieka.
Mają apetyt na najbliższą plażę.
Szop-pracz przegnany zaszył się w sąsiedztwie,
nie wiem, czy knuje powrót, bo gałęzie
pomocnych drzew zostały mu odcięte.
Moją lekturę o ciele astralnym
przerywa ptaszek-piórko akrobata,
sączy mój syrop na podniebne harce.
Nawiedzające niedźwiedzie zwabione
zapachami wywracają śmietniki
wrzeszczą wiewiórki i kłótliwe sójki

kraczą wrony zawłaszczające teren
głośny od lotnego gęgotu gęsi.
Ja poję kolibry, dbam by mym klientom
nie brakowało ciekłego napędu
do ich pociesznych, błyskawicznych lotów.

Florian Śmieja

E. Lipton Wittlin, projekt kostiumu tytułowej bohaterki sztuki *Iwona księżniczka Burgunda* W. Gombrowicza, rysunek na papierze, 2002.

Andrzej Busza

TRZEJ MĘDRCY

1.

Dojechaliśmy o zachodzie słońca. Zmrok wypełniał już kamieniste doliny niebieskawym aksamitem, jednak wapienne ściany były nadal ciepłe i złote. Karawana wtoczyła się przez północną bramę pod ciężkim, rzymskim łukiem. Dziesięć kołyszących się wielbłądów, trzy konie i drobny, szary osiołek. Zwierzęta stukały i chrzęściły na krętych, brukowanych drogach.

2.

Zatrzymaliśmy się w Trzech Złotych Palmach, znanych jako najlepsza gospoda w mieście. Baltazar wiele miesięcy wcześniej wysłał posłańca, aby zarezerwować trzy pokoje. Nasze spotkanie odbywało się w czasie świąt, bał się więc, że w lepszych karczmach i tawernach może nie być miejsca. Kiedy weszliśmy na przestronne, czworokątne podwórze pokryte trocinami i piachem, wybiegł nam naprzeciw niski, korpulentny gospodarz, rozpływając się w ukłonach i salaamach.

– Witajcie, ekscelencje, witajcie, witajcie! Spiro, niech Hiram i Sami pomogą ci zabrać skrzynie ekscelencji do ich pokojów. Nazim, przynieś naszym czcigodnym gościom naszą specjalność: sok z pomarańczy i granatów. I nie zapomnij dorzucić kostek libańskiego lodu. Po tak długiej podróży przez pustynię na pewno są spragnieni.

Mówił dalej, niemal nie zaczerpując powietrza:

– Już całe lata minęły, odkąd mieliśmy zaszczyt i przyjemność was gościć. Ostatni raz chyba w czasach króla Heroda. Byłem wtedy ledwie berbeciem, a gospodę prowadził ojciec.

– A jak się czuje twój przemiły ojciec? – zapytał Melchior. – Pewnie starzeje się, jak my.

– Niestety, odszedł dziewięć lat temu, a ja przejąłem interes – odparł gospodarz, którego demonstracyjnie żałosny ton ledwie maskował uśmiech samozadowolenia. – A kiedy mnie zabraknie, to *on* będzie następny – wskazał na małego, pulchnego chłopca o ciemnych, kręconych włosach, który właśnie przyglądał się, jak wielbłąd Baltazara opróżnia pęcherz.

– Ale przejdźmy do przyjemniejszych spraw – powiedział gospodarz. – Kolację podamy za dwie godziny w sali bankietowej. Mam w sto-

dole przywiązanego pięknego, białego baranka. Niedługo będzie się obracał na rożnie i pysznie rumienił. Są dwa dzbany świetnego syryjskiego wina. Mamy obfitość cudownych owoców, świeżych i kandyzowanych, musy, galaretki migdałowe i inne słodkości. A kiedy będziecie rozkoszowali się tymi delicjami, nasza niezrównana Talita wykona dla was taniec osy – kiedy recytował ten spis przyjemności, co jakiś czas syczał z rozkoszą.

Nagle z wejścia do gospody dobiegło nas poruszenie i zgiełk, a na podwórzu pojawiło się kilka wielbłądów i koń.

– A, to wasz egipski przyjaciel, Mędrzec z Naukratis – ogłosił gospodarz.

3.

Gdy tylko Talita skończyła swoje erotyczne manewry, Baltazar i Melchior wyszli, elegancko kłaniając się zebranym. Ja zostałem trochę dłużej, wypiłem kolejny kielich rzeczywiście wspaniałego syryjskiego wina i porozmawiałem z ponurym Persem, Artabaniuszem, którego spotkałem już kilka lat wcześniej w Ekbatanie. Po chwili przeprosiłem, mówiąc, że chcę jeszcze przed snem powtórzyć swoje wystąpienie. Gdy szedłem ciemnym, pustym korytarzem, oświetlając sobie drogę migoczącą pochodnią, wciąż słyszałem stuk i brzęk tamburyna.

4.

Położyłem się w mroku na posłaniu z owczych skór i w stanie między snem a czuwaniem zanurzyłem się we wspomnieniach. Zobaczyłem długowłosą gwiazdę, jak nieruchoma i cicha błyszczała ponad piaskami pustyni. Przypomniałem sobie niemowlę, gdy wyciągało do nas rączki, a jego matka przyglądała się temu z niebiańskim spokojem. Potem był sen wieszczący coś przerażającego. I krzyki, i zawodzenie, od których przechodził dreszcz, rozlegające się w nocy. Obudził mnie wrzask koguta. Najwidoczniej przysnąłem. Nadal było ciemno, a gwiazdy niczym rozbite szkło wypełniały czarne prostokąty między jeszcze czarniejszymi kratami. Rozebrałem się i wdrapałem na przestronne łoże. Zagrzebałem się w owcze skóry i znów zachciało mi się spać. Wówczas kogut zapiał po raz drugi.

5.

Mimo dramatycznych i w sumie dziwnych wydarzeń towarzyszących spotkaniu, okazało się ono wielkim sukcesem. Prezentacje były ciekawe, pouczające i inspirujące oraz prowokowały do ożywionych dyskusji.

Ja mówiłem o ciałach i zjawiskach niebieskich: zaćmieniach, deszczach gwiazd, kometach. Mój dziadek był nadwornym astronomem, a ja

pamiętam, jak siedziałem z nim na dachu, opatulony grubym kocem, pod czarnym, usianym złotem niebem. Miałem pewnie z sześć czy siedem lat. Pokazywał mi Drogę Anu i Drogę Enlila. Pytał mnie wtedy: „Gdzie jest Byk Niebios?", „Widzisz pajęczynę Gwiazd?". Albo mówił, wskazując wiotkim palcem: „Zaraz nad Królem jest Dilbat". Któregoś dnia powiedziałem ojcu, że chcę być astronomem jak dziadek. I tak, w wieku dwunastu lat zostałem wysłany do Szkoły Skrybów w Uruk. Ale punktem zwrotnym w moim życiu była noc, kiedy wraz z Baltazarem i Melchiorem staliśmy na murach miasta i spoglądaliśmy w niemym zachwycie na kometę, której perlisty warkocz zakrzywiał się jak bułat i odbijał w ciemnych wodach wielkiej rzeki.

Moje wystąpienie dotyczyło zjawisk niebieskich i wydarzeń historycznych mających miejsce w jednym czasie. Czy istniały między nimi zależności przyczynowo-skutkowe? A może był to związek jedynie przypadkowy? Zajmowałem się tym problemem od wielu lat, starając się znaleźć korelację między zaćmieniami słońca a krytycznymi momentami w historii naszego królestwa.

Następnym panelistą był matematyk z Samos. Nazywał się chyba Kosmas. On też poszukiwał związków między różnymi zjawiskami. Twierdził, że udało mu się odkryć formułę matematyczną, opisującą ruch wsteczny planet (a konkretnie Dilbat i Sabaltanu) przy pomocy terminów muzycznych. Jego wystąpienie było bardzo skomplikowane i abstrakcyjne, więc szybko stracił uwagę wielu zebranych. Widziałem, jak na końcu rzędu Baltazar z rękami założonymi na imponującym brzuchu śpi spokojnie jak niemowlę. Od czasu do czasu siedzący obok Melchior – też rozluźniony, lecz jednak bardziej wytrwały – szturchał go delikatnie, żeby nie chrapał. Za mną po przekątnej siedział chuderlawy starzec. Miał obfitą, siwą brodę z siarkowożółtymi plamami i był kompletnie łysy, nie licząc kilku siwych kępek gdzieniegdzie pojawiających się na nagiej czaszce. Wyraźnie niezainteresowany matematyczną ekwilibrystyką Kosmasa, słynny alchemik z Aleksandrii, Hermodoros (bo to był on), z uwagą czyścił sobie paznokcie ozdobnym sztylecikiem.

W międzyczasie na sali zdążyło się już ściemnić. Ledwie widać było znaki na tablicy, więc przyniesiono świece. Nagle z tyłu rozległ się niski głos.

– Wszystko to bardzo piękne, mój uczony przyjacielu, dopóki opierasz swoją kosmologię na rozważaniach Eudoksosa z Knidos czy Arystotelesa Stagiryty, którzy umieszczają ziemię w centrum wszechświata, ale gdy weźmiemy pod uwagę przekonania Arystarcha, twojego rodaka, który zaproponował kosmos heliocentryczny – twoje równania i harmonie stają pod znakiem zapytania.

– Arystarch, choć rzeczywiście jak stwierdzam z przykrością urodził się w Samos, był głupcem – odparł Kosmas. – Co więcej, głupcem bezbożnym.

Wymieniliśmy z Baltazarem porozumiewawcze spojrzenia. Grecy szykowali się do dialektycznego pojedynku. Zapowiadała się niezła zabawa.

– To, czy rację ma Eudoksos czy Arystarch, jest dyskusyjne. Pewne jest jednak, że ty, Kosmasie, mimo wszystkich swoich umiejętności matematycznych jesteś ignorantem. Typowe dla dzisiejszych specjalistów – huknął głos z tyłu.

– Panowie, proszę, to jest spotkanie naukowe, a nie sprzeczka na agorze – zdecydowanie wtrącił się prowadzący panel. Jego *quos ego* podkreślone zostało przez głośny grzmot za oknem. Wówczas przysiągłbym, że ziemia nieco się zatrzęsła. Melchior i Baltazar nic nie poczuli, ale kilku kolegów mówiło później, że z całą pewnością też czuli drżenie. Prowadzący sesję ogłosił przerwę:

– Nasz gospodarz przyniesie nam teraz drobny poczęstunek. Następna sesja zacznie się za dwie godziny. Będziemy mieli więc czas na krótką drzemkę po posiłku, a później wrócimy do pracy umysłowej ze zdwojoną energią.

6.

Jedząc razem szmaragdowozielone winogrona, omawialiśmy z Artabaniuszem nierozstrzygniętą bitwę na rzece Halys oraz decydującą bitwę pod Gaugamelą. Oba wydarzenia dzieliło dwieście lat i obu towarzyszyły zaćmienia: pierwszemu zaćmienie słońca, drugiemu całkowite zaćmienie księżyca. Podczas rozmowy mój wzrok przyciągnęło małe skupisko w prawym rogu sali, gdzie byli już Melchior i Baltazar. Pośrodku stał dwudziestokilkuletni młodzieniec. Opowiadał coś, gestykulując dramatycznie, a jego słuchacze byli widocznie pochłonięci historią.

– Chodźmy, zobaczymy co się dzieje – powiedziałem do Artabaniusza.

7.

Mimo świąt, w mieście wybuchły niepokoje. Wszystko zaczęło się od nocnego aresztowania w gaju oliwnym w Dolinie Cedronu. Strażnicy zatrzymali trzydziestokilkuletniego Galilejczyka, który spacerował z grupą swoich uczniów. Wyniknęła krótka przepychanka, ale uczniowie aresztowanego byli w mniejszości i szybko uciekli w mrok. Mężczyzna był jakimś fanatykiem religijnym, o którym krążyły pogłoski, że uprawia czary, radykałem politycznym i oczywiście buntownikiem. Doraźne zgromadzenie Sądu Świątynnego oskarżyło go o bluźnierstwo i podburzanie, i przekazało

rzymskim władzom. Rzymski Prefekt, wściekły, że obudzono go w środku nocy, natychmiastowo skazał mąciciela na śmierć przez ukrzyżowane.

– I wyrok wykonano? – zapytał Melchior.

– Tak, dziś po południu – odparł młodzieniec.

8.

Po tym niemiłym przerywniku i tak potrzebnej nam wszystkim drzemce powróciliśmy do obrad. Muszę przyznać, że sesja wieczorna nie podobała mi się aż tak, jak poranna. Zanim usnąłem po obiedzie, nie mogłem przestać myśleć o idei i widoku ukrzyżowania. Oczywiście my, w naszej części świata, też mieliśmy swoje metody. Obdzieraliśmy ze skóry, nabijaliśmy na pal, wrzucaliśmy w popiół, ale Rzymianie byli niezrównanymi specjalistami w sztuce okrucieństwa. Czy można sobie wyobrazić bardziej makabryczny widok, niż długa kolumna krzyży i setki przybitych do nich ludzi, skręcających się w bólach agonii?

9.

Słuchałem pozostałych wystąpień uprzejmie, ale bez skupienia. Myśli odpływały mi w kierunku tego, co w nocy i w dzień działo się w mieście, daleko od obszaru naszych debat. I tylko jedna prezentacja i dyskusja przykuła moją uwagę. Do tej pory wszystkie wystąpienia były w zasadzie naukowe, czasami tylko zawierały fragmenty dotyczące religii i filozofii – natomiast wystąpienie Lukosa z Samostaty niemal wyłącznie poświęcone było filozofii religii. W centrum jego systemu znajdowała się koncepcja *Gnosis*, wiedzy o transcendentnym *Logosie*. Ta wiedza była aktem umysłu, ale zupełnie innym niż racjonalne poznanie u filozofów. Ponadto Lukos uważał, że obca, pozaziemska boskość nie stworzyła wszechświata. Świat był według niego dziełem boskiego cienia, Demiurga, i domeną zmienności, cierpienia, zniewolenia, niewiedzy – czyli zupełnym przeciwieństwem *Logosu*. W stosunku do boskiej sfery światła, autotelicznej i odległej, kosmos jawił się jako jej odwrotność, więzienie ciemności.

– Skąd ten beznadziejny kosmiczny pesymizm? – przerwał Baltazar. – Jestem już po siedemdziesiątce, ale nadal potrafię cieszyć się pięknem gwieździstego nieba albo wzruszyć się widokiem dziewczyny z miłością podającej żebrakowi wodę.

– A co z widokiem wilka pożerającego białe jak śnieg, roczne jagnię, gdy dwa szakale czekają w bezpiecznej odległości w nadziei na resztki? – zapytał Lukos z cieniem sarkazmu.

A wtedy młody człowiek, którego nie widziałem wcześniej, dodał:

– Albo z widokiem niewinnego człowieka z zimną krwią przybijanego do krzyża.

10.

– Skoro już skończyliście obrady – powiedział nasz gospodarz – czas się odprężyć i zabawić. Przygotowałem kolejną wieczerzę. Będą ryby, mięsa i amfora chłodnego wina z Byblos. Wynająłem też trupę żonglerów dla waszej uciechy. I oczywiście Talita z przyjaciółkami będą pod ręką, aby zadbać o wasze wygody.

Jednak jego jowialność nam się nie udzieliła. Większość nie była w nastroju do świętowania. Zjedliśmy posiłek w milczeniu, a kiedy się najedliśmy, po kolei wyszliśmy do komnat sypialnych. Zostało kilku kolegów. Kiedy sala bankietowa pustoszała, oni stawali się coraz bardziej elokwentni i hałaśliwi.

11.

Zanim poszedłem spać, wyjrzałem przez okno. Po burzy powietrze było świeże, a gwiazdy świeciły jasno jak nowo umyte. Między dwoma cyprysami wisiał przekrzywiony Gir-Tab z płonącym kolcem. Trochę wyżej po prawej pochylało się Zibanitum. Wtedy usłyszałem głosy – jeden wysoki, drugi nieco niższy. Kłóciły się, a sądząc po niewyraźnej mowie, oba były bardzo pijane.

– Suuchaj, Kosmas, mówię si, szyystko si się pomyliło. Powinieneś uuszyć równań piramidowych i skali pydlijskiej.

Drugi odparł:

– Chyba skali lidyjskiej i równań kwadratowych.

– Zgooda, szejęzyszyłem się. Choziło mi o równania kwadratowe. Ale po so ten pedantyzm.

Na to włączył się trzeci głos, donośniejszy niż dwa pozostałe:

– Może byście odkryli równanie na wielbłądzi pierd? Tylko jutro rano! Niektórzy chcą spać.

12.

Wstaliśmy przed świtem. Gdy nasi służący objuczali wielbłądy, zjedliśmy proste śniadanie: jogurt, daktyle, figi, wodę i sok z pomarańczy. Biorąc do ręki dojrzałą, fioletową figę, Melchior zapytał:

– Myślicie, że Galilejczyk, którego ukrzyżowano wczoraj, mógł być tym dzieckiem, które widzieliśmy trzydzieści lat temu?

– Myślę, że mógł – odparł Baltazar w zamyśleniu. – Biorąc pod uwagę okoliczności. Ale niekoniecznie.

– Ty i Kacper – mówił dalej Baltazar – nie możecie przestać myśleć o tej podróży sprzed trzydziestu lat. Prawda, to było dziwne doświadczenie. Ale jak zmieniło nasze życie? Dalej prowadziliśmy badania, zdobywaliśmy

wiedzę i mądrość. Staliśmy się słynnymi astronomami w krainie między dwiema rzekami i poza nią. Widzieliście, z jakim szacunkiem traktowali nas wszyscy uczestnicy spotkania? Moje wystąpienie o wyprzedzaniu równonocy zelektryzowało salę bardziej niż ten grzmot. Różne rzeczy się zdarzają. Co jakiś czas pojawia się przełom. Ale trzeba się z tym pogodzić. Jak to się mówi, trzeba dosiąść wielbłąda i ruszać naprzód.

13.

Rozliczyliśmy się z gospodarzem, zostawiając mu hojny napiwek. Stał się jeszcze bardziej ohydnie służalczy.

– To była ogromna przyjemność służyć ekscelencjom. Z bożą pomocą, może jeszcze będę miał tę przyjemność.

Po czym dodał jakby po namyśle:

– Bądźcie proszę tak dobrzy i polecajcie Trzy Złote Palmy wszystkim podróżnym, jakich napotkacie.

Karawana wyjechała z podwórza gospody w ciasne uliczki z rykiem i krzykami, zostawiając za sobą ślad parujących, żółtawych wielbłądzich odchodów. Jadąc krętymi alejami ku bramie miasta, mijaliśmy tłumy ubranych na biało postaci w drodze do Wielkiej Świątyni.

14.

Przy bramie stali w szeregu z pochylonymi oszczepami rzymscy żołnierze we wspaniałych zbrojach, a ich hełmy i napierśniki błyszczały w promieniach wschodzącego słońca. Jechaliśmy kawałek wzdłuż murów miasta, po czym skręciliśmy na wschód. Spotkanie okazało się sukcesem i byliśmy zadowoleni. A jednak dobrze było jechać do domu, daleko od fanatycznych Żydów, podstępnych Greków i brutalnych Rzymian.

Andrzej Busza

Przełożyła Justyna Fruzińska

Amir Or

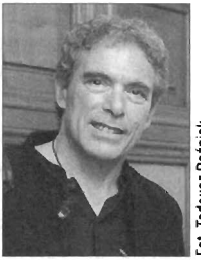

Fot. Tadeusz Poźniak

Amir Or

BARBARZYŃCY PRZYCHODZĄ

Nie na próżno czekaliśmy, aż przyjdą.
Nie na próżno staliśmy na placu.
Nie na próżno nasi oratorzy nakładali togi
i pilnie ćwiczyli stosowne przemowy.
Nie na próżno zburzono świątynie –
wyrosły nowe ku chwale ich bogów.
Słuszne było, że księgi spłonęły,
bo mądrość nie dla takich jak oni.
Jak głosili prorocy, barbarzyńcy przybyli,
a król wręczył im klucze do miasta.
A kiedy przybyli, ubrali się w szaty tej ziemi,
i obyczaj ich stał się obyczajem państwa.
I gdy w naszym języku wydali rozkazy,
już na zawsze opuściła nas
pamięć.

Z tomu *Masa hameszuga*, 2012

GDZIE ONI SĄ?

Zagubieni na ulicach Tel Awiwu,
opuszczają kraj w niebiańskich karawanach;
zanurzając się w cień,
walczą o ostatni oddech.
Ich twarze skamieniały, duch odleciał,
puste oczy wpatrują się w ciebie.
A gdy widzą, że widzisz – odchodzą w ciemność.
Są, lecz ich nie ma; nie kupują i nie sprzedają,
rozsypują się w ciszy, bez ciał błądzą

daleko od handlarzy niewolników i bronią,
zastygli w bólu, obojętni,

unoszą się miękko jak pył,
znikają na bezdrożach galaktyk.
Jeśli wiesz, gdzie oni są,
wskaż im drogę
do domu.

Z tomu *Masa hameszuga*, 2012

PRZYJDŹ

Przyjdź, miłość jest lepsza niż świat.
Nie mam już siły umierać
bez końca.
Moja i twoja odmienność
jest mniej niebezpieczna
(tak mi się zdaje).
Nawet nie próbuj
mnie zrozumieć.
Przeciwnie,
potraktuj jak wroga,
szpieguj przebiegle,
miej się na baczności.
Nanieś na mapę
wszystkie posterunki,
tajemne przejścia,
spisz wspólników,
zabójców,
słowem –
pokaż, co potrafisz.

Potem
kości zostaną rzucone –
i nikt się nie dowie,
kto jest podwójnym agentem,
jaki był motyw zbrodni,
kto
rozpruł
planszę do gry.

I nie będzie jasne,
czyj
jest ten raport. Stop.
Czytaj od nowa. Czytaj między wierszami.
Zakoduj raz jeszcze. Zniszcz wszelkie dowody.
Gotowe?
Więc przyjdź,
miłość jest lepsza.

Z tomu *Panim*, 1991

KSIĘŻYC
(z cyklu *El Amor Brujo*)

***

Szakal między moimi udami
nawołuje twojego szakala.

Księżyc w moich zaciśniętych zębach
wyje do księżyca w twoim sercu.

Szakal w moim sercu zawsze ciebie zwęszy.

Z tomu *Hachaja szebalew*, 2010

CHCIAŁEM POWIEDZIEĆ

Chciałem powiedzieć „ból" –
ale zapomniałem;
chciałem powiedzieć „pić" –
powiedziałem deszcz; wymówiłem fontannę;
chciałem powiedzieć „kocham" – zgubiły się słowa –
bo miłość jest jak śmierć.

Z tomu *Panim*, 1991

PUSTKA

Pustka w końcu.
Najlżejszy puch nie pozostał
na skrzydłach świata.

Z tomu *Pidjon hamet*, 1994

Amir Or
Z języka hebrajskiego przełożyła Beata Tarnowska

E. Lipton Wittlin, projekt kostiumu do opery *Straszny dwór* S. Moniuszki, rysunek na papierze, 1982.

Aleksandra Pluta

O POWOJENNEJ EMIGRACJI POLSKIEJ DO CHILE

Zapiski na marginesie pracy nad książką *Na fali historii. Wspomnienia Polaków w Chile*

„Niniejszy zbiór wspomnień – piszę we wstępie do książki *Na fali historii. Wspomnienia Polaków w Chile* wydanej przez Ambasadę RP w Santiago de Chile w 2009 roku – jest przykładem zapisu historii mówionej, której korzenie sięgają epoki starożytnej. Już Herodot z Halikarnasu pisał w II księdze swoich *Dziejów*: »Moim zadaniem w całym tym dziele jest, żeby opowiedziane przez wszystkich szczegóły tak spisać, jak je słyszałem«. Słowo od samego początku było opowiadane, zapamiętywane i przekazywane, a dopiero znacznie później zaczęło być spisywane. W XX wieku historia mówiona znalazła swoje miejsce w naukach humanistycznych i społecznych, których badacze dostrzegli znaczenie codzienności oraz opowieści snutych przez zwykłych ludzi. Każdy człowiek nosi w sobie fascynującą historię – niepowtarzalny bagaż przeżyć. Wspomnienia, emocje i doświadczenia każdej z postaci występujących w niniejszym zbiorze, podlegają jednak złośliwości pamięci. Niektóre daty, nazwiska, miejsca i fakty pojawiające się w tej publikacji mogą być niedokładne. Taka jest natura wspomnień: przeszłość zaczyna żyć własnym życiem, a pewnym zdarzeniom dodaje, mniej lub bardziej świadomie, żywszego kolorytu. Należy wziąć pod uwagę to, że niektóre z przytoczonych epizodów wydarzyły się niekiedy nawet osiemdziesiąt lat temu. Każda z przedstawionych tu opowieści jest indywidualnym świadectwem, śladem czasu, który bezpowrotnie minął, lecz wciąż żyje we wspomnieniach.

Osoby, które zgodziły się opowiedzieć swoje historie, są przedstawicielami powojennej emigracji polskiej w Chile oraz naocznymi świadkami dziejów Polski ubiegłego wieku. Niektórzy z nich byli więźniami obozów koncentracyjnych (Raul Małachowski, Dawid Fajersztein), obozów przymusowej pracy (Michał Kurasz), uczestnikami Powstania Warszawskiego (Jerzy Dziekoński, Ewa Odachowska, Dawid Fajersztein), żołnierzami należącymi do armii polskiej utworzonej przez generała Andersa (Raul Małachowski, Jerzy Dziekoński, Mirosław Dziekoński – ojciec Marii Dziekońskiej), ochotnikami walczącymi w Królewskich Siłach Lotniczych (Jerzy Jannasz). Innym udało się uciec z Polski w obawie przed Holokaustem (Henryk Kaczor, Józef Hosiasson)".

***

Wchodzę do ich domów. Od progu zaskakuje mnie widok pamiątek związanych z Polską, figurek przedstawiających warszawską syrenkę, wymiętych wydań

Pana Tadeusza. Ta ich polskość taka biedniutka, pielęgnowana, odkurzana ściereczką. W ich mieszkaniach króluje taki niedzisiejszy mit Polski. Na każdym kroku potykam się o jakieś polskie bibeloty. Na ścianie w sypialni obok obrazka Matki Boskiej Częstochowskiej wisi fotografia z pogrzebu Piłsudskiego, na kredensie przed cukiernicą stoi jakieś pożółkłe zdjęcie z Krakowa. Eksponowane w najważniejszych miejscach – jak szamańskie talizmany, które miałyby dodać energii albo nie pozwolić, by zapomnieli o tej swojej Polsce – tak pięknej, bo pielęgnowanej i wypaczonej w ich pamięciach, idealizowanej, bez skaz. Jak daleko znajduje się obraz Polski, który noszą w sobie, od obrazu dzisiejszej naszej ojczyzny?

Wygląda to tak, jakby modlili się do bożka, który przestał istnieć. W swoich chilijskich mieszkaniach dbają o to, by nie zapomnieć o pięknej ojczyźnie, której obraz został już tak naiwnie zdeformowany, że ma się nijak do chmary centrów handlowych, które wyrastają dziś u nas jak grzyby po deszczu. Oni w swych głowach zachowują najbardziej delikatne wspomnienia z czasów, które już dawno minęły.

Nie mam jednak odwagi, by mówić, że dziś już Polska jest inna. Byłam przecież niedawno, widziałam. A to, co widziałam, znacznie różni się od wersji, którą oni zakodowali sobie w głowie. Dla nich Polska to Bóg, honor, poświęcenie, to powstańcze hasła, lojalność i oddanie. Dlaczego ktoś miałby im mówić, że dziś już wielu z ich rodaków zapomniało o tych słowach? Straciliby grunt pod nogami, nie mogą przecież przestać wierzyć w swoje talizmany o magicznej mocy, w obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, w order za udział w Powstaniu. Dlaczego ich misternie skonstruowany wewnętrzny świat miałby się zawalić? Jest to dla nich przecież rodzaj kotwicy, po której linii wracają w myślach do swych korzeni. Po co ktoś miały wyrywać im tę kotwicę?

Przychodzę do nich w odwiedziny. Obca i nieznajoma, staram się zdobyć zaufanie w tej grze szczerości, w której gramy w otwarte karty. Staruszkowie zwierzają się z zadziwiającą łatwością. Z tą samą łatwością, z którą otwierają drzwi do swoich mieszkań, domów i lodówek, oprowadzają po pokojach, wyciągają albumy fotograficzne i stare dokumenty, otwierają także przede mną samych siebie.

– Proszę się rozgościć. – Ktoś podaje kawę, kto inny herbatę, inni, w zależności od pory dnia, od razu proponują wódeczkę. – To taki polski akcent.

Proszę ich, by opowiedzieli swoje historie. Jak przeżyli wojnę, jak to się stało, że tuż po jej zakończeniu trafili do Chile.

– A do której ma pani czas? – pyta pan Jerzy i spogląda z niepokojem na kuchenny zegar. Czy nie został on przypadkiem urażony pomysłem, by w przeciągu kilku godzin opowiedzieć osiemdziesiąt lat życia? Zredukować historię do kilku prostych zdań, myślowych skrótów, dramatycznych przeskoków w czasie? Musiałby dekadę zredukować do dziesięciu minut, pół wieku do godziny. A w jaki sposób miałby przemycić uczucia, które budziły się w nim na widok szkolnej koleżanki z klasy i jej rumianych policzków? Jak okroić historię z tych tak pozornie nieważnych lęków i okresów oczekiwania, gdy przez tydzień wypatrywał w oknie swego ojca, a tydzień wydawał mu się wiekiem, dłużył mu się niebywale. Teraz ten sam ty-

dzień miałby się stać nic nieznaczącym elementem jego spowiedzi. Czuje się zatem speszony na samą myśl, że ma w skrócie opowiedzieć całą swą historię, wypraną ze zbędnych ozdobników, intymnych przemyśleń, uniesień, frustracji i obaw.

– Napijmy się herbaty, będzie nam się swobodniej rozmawiało. Opowiem w skrócie, jak to było...

Zaczyna swą opowieść. Jak matka opowiada swemu dziecku bajkę na dobranoc, tak on również skupia się na najbardziej kluczowych wydarzeniach. Co robił, gdy wybuchła wojna?

– Jurek, a dlaczego ty nie pojedziesz na wojnę? – spytał się mnie ojciec.

– No to jadę! – Założyłem kalesony i pojechałem. Tak wyszła ze mnie ta polskość.

Innego dnia Raul opowiada o okupacji w Łodzi, jak to z grupą przyjaciół organizował tajne wystawy obrazów, spotkania, podczas których wspólnie czytali polską poezję:

– Stokłos, świetny pianista, robił dla nas tajne koncerty muzyki Chopina. Robiliśmy to, by podtrzymać w nas ducha polskości. Spotykaliśmy się w pokoju Tadzia, którego okna i drzwi zasłanialiśmy materacami, żeby Niemcy nie mogli usłyszeć dźwięków wydobywających się z pokoju. Za Chopina gestapo natychmiast mogło rozstrzelać całą kamienicę.

Kolejny staruszek opowiada, że w dniu wybuchu wojny miał szesnaście lat i poczuł, jakby wielki głaz obciążył jego serce tak, że prawie nie mógł oddychać z wrażenia. Inny razem z ojcem wyruszył piechotą z Łodzi do Warszawy, ale jeszcze przy ulicy Narutowicza zatrzymali się w barze, gdzie spotkali znajomego Gruzina, który zaprosił ich na kielicha. Pani Ewa zaczynała właśnie studia medyczne w Warszawie, które nagle musiała przerwać, by pomagać rannym. Jeden wskoczył w mundur, drugi uciekł, trzeciemu dopiero przewijali pieluchy. Jeden w mieście widział przez okno wybuchające bomby, drugi – podpalane chaty we wsi i kobiety przywiązane do czołgów, trzeci jechał pociągiem na wschód, kto inny na zachód. Może kiedyś gdzieś się minęli, a może dopiero w Chile na polskim spotkaniu podali sobie po raz pierwszy rękę na powitanie. Jeden arystokrata, drugi ziemianin, trzeci drobnomieszczanin i jeszcze paru dorobkiewiczów. I nagle w Chile ich wspólnym mianownikiem staje się data urodzenia (przed 1939) i kraj, w którym się urodzili – Polska. Kilka daleko od siebie krążących planet nagle spotkało się na emigracji w Santiago. Jedni przypłynęli statkiem – pierwszą klasą, inni trzecią, paru spało gdzieś na podłodze, a jeden to nawet przyleciał z matką samolotem do Buenos Aires. Stamtąd już drogą lądową dotarł do Santiago. Paru Żydów, dziesiątki katolików, kilku protestantów. Jedni pożenili się między sobą, inni szukali Chilijek na żony i Chilijczyków na mężów. Każdy starał się jak mógł, jeden założył cukiernię, Ewa nostryfikowała dyplom z medycyny, Raul zatrudnił się w teatrze jako kostiumolog i scenograf, Alicja w fabryce.

A każdy z nich jest jedyny, każdy wyjątkowy, o każdym można by napisać osobny rozdział. Zarówno o Raulu – malarzu, jak i Michale – cukierniku. Każdy

zasługuje na uwagę, na to, by przysiąść obok niego, wysłuchać z uwagą, dopytać o szczegóły. Każdy czuje, jakby musiał się spieszyć ze swoją opowieścią, nie wiadomo przecież, ile zostało im dni i czy kiedykolwiek później nadarzy się okazja, że ktoś zapuka do drzwi i będzie zainteresowany wysłuchaniem ich historii. I jeszcze przekazaniem jej dalej, opisaniem jej, by więcej osób mogło ją usłyszeć. Chcą się ochronić przed tym, by nie zniknąć pewnego dnia nie zostawiwszy po sobie śladu.

Lecz teraz dla mnie ich losy łączą się. Codziennie pędzę na rowerze po Santiago, z jednej dzielnicy do drugiej, przemierzam ulice i wiozę za sobą ich losy, plotę z nich jak warkocze, jedną wspólną całość. Losy te przywarły do mnie, ciągnę je jak kolorowe wstążki za sobą, z jednej dzielnicy do drugiej, przeplatam, mieszam, tak, by powstał obraz typowego Polaka, który po wojnie dotarł cudem do Chile, na ten koniec świata. Każdego ranka sprawdzam na mapie, jak dojechać do ich mieszkań i domów. Gubię się czasem na trasie, jakiś samochód po drodze trąbi, a ja w głowie mam już serię pytań, już żyję moimi staruszkami, już wnikam w ich odrębną, odizolowaną od reszty świata przestrzeń, przestrzeń starości i wyobcowania, kiedy szczerze przyznają, że już nie nadążają za tym pędem świata. Z trudem podchodzą do drzwi, czasem dopiero po kilku minutach od wybrzmienia dzwonka ktoś dojdzie powoli i zaprosi do środka. Chwiejnym krokiem przejdzie z przedpokoju do saloniku, w którym z ulgą zapadnie się w fotelu. I ten fotel będzie dla niego schronieniem, by nie musieć się wstydzić, że nieraz idąc, trudno złapać równowagę.

– A zatem chcesz się dowiedzieć, jaka była Polonia chilijska po wojnie? – Raul uśmiecha się pod nosem i zaczyna snuć opowieść: – Nigdzie indziej do tej pory nie widziałem, by przedstawiciele Polonii tak się zachowywali. Całe towarzystwo polskie to był jeden wielki bałagan. Mikołajczykowcy, narodowcy, komuniści, antykomuniści, semici, antysemici, jedni za Londynem, inni przeciw... I to wszystko wrzucone do jednego kotła o nazwie Polonia chilijska. Jeden drugiego przeklinał. Na spotkania polonijne przychodziły panie z ukrytymi w torebkach żelazkami, którymi to biły po głowach Polaków o innych poglądach. Osobiście najbardziej szanowałem Polaków pochodzenia chłopskiego – kontynuuje opowieść Raul. – Najwięksi polscy patrioci i ludzie bardzo przyzwoici. Pracowali dużo, powoli zaczęli kupować własne tereny, hodowali świnie i kury. Ich synowie są dziś lekarzami, adwokatami, niektórzy nawet odsunęli się od Polaków, nie mówią po polsku, przebywają w chilijskim środowisku. Chłopi polscy widząc te wszystkie intrygi, plotki i historie, które miały miejsce w środowisku polonijnym, odseparowali się. Przychodzili na spotkania polskie tylko z okazji 3 maja i 11 listopada, na mszę, ale nie chcieli zostawać na zebraniach.

Najgorszym polskim elementem była tak zwana półinteligencja. Pewne paniusie pokazując Chilijczykom zdjęcia Belwederu czy zamku w Łańcucie mówiły:

– To jeden z domów tatusia, ale spalił się podczas okupacji.

Niektórzy z nich trzymali się tylko między sobą, odnosili się z wyższością wobec Chilijczyków, mówiąc o nich:

– Ach, to tylko Indianie!

Pewnego Polaka żydowskiego pochodzenia ożeniono z siostrą jednego z księży. Z tego małżeństwa narodził się syn. Wiele lat później szedłem sobie ulicą i zauważyłem go, jak rozmawiał z moim znajomym Chilijczykiem, synem wielkiego mistrza Loży Masońskiej w Chile. Gdy się pożegnali, mój znajomy Chilijczyk podszedł do mnie i powiedział zachwycony:

– Ten twój rodak to wielki arystokrata polski!

Wiedziałem, że jego ojciec miał tu sklepik, a matka była siostrą księdza z polskiej wsi, ale przecież nie mogłem zaprzeczać, więc tylko przełknąłem ślinę i pokiwałem twierdząco głową. A on ciągnął dalej:

– Przecież to syn księżniczki Radziwiłłówny. Przed chwilą sam mi to powiedział!

Ci bardziej sprytni Chilijczycy biegali do biblioteki i sprawdzali. Ja o tym wiem, bo kiedyś mój znajomy wygadał się po paru kieliszkach, że sprawdzał moje nazwisko w Bibliotece Narodowej. Sam się przyznał. Wśród Chilijczyków, jak i wśród Polaków, panuje duża moda na snobizm...

***

Z Raulem chodzimy na długie spacery, podczas których opowiada mi wiele podobnych historii sprzed wojny i z pierwszych lat jego emigracji. Musimy zatrzymywać się co parę minut. Odsapnąć, złapać oddech. Szanuję tę starość i niedołężność. Myślę, że to ciało, w którym jest uwięziony, przeżyło już tyle balów sylwestrowych. Te oczy widziały już niezliczoną ilość sztucznych ogni. Oczy Raula oglądały fajerwerki na Julianowie podczas balu ziemian w nocy z 1938 na 1939 rok. Atmosfera była nerwowa, wszyscy chcieli hucznej zabawy, z dużą ilością alkoholu. Kobiety w strojnych sukniach wychodziły na taras bez okrycia, zdejmowały pantofelki, z których panowie pili szampana, a inne trunki chłodziły się w śniegu na dworze. Raul tam był, sam pił szampana z damskich pantofelków. Piękny dwudziestoletni. Parę lat później pisał numery farbą na ciałach umarłych w obozie koncentracyjnym. Ważył 34 kilo. Młody arystokrata z „tych" Małachowskich. Spaceruję więc z chodzącym podręcznikiem historii. Historii doznanej na własnym ciele, dziś tak kościstym i wiotkim. Zatrzymujemy się jeszcze kilkakrotnie, zanim się pożegnamy przed jego domem. Zabieram zaparkowany rower i wracam w zawrotnym tempie do siebie, jakby na przekór tej powolności, jakbym chciała przegonić starość albo przed nią uciec, jak zgraja szkolnej młodzieży, która mignęła nam przed chwilą przed oczami.

Po powrocie do domu wyciągam z torby dyktafon. Każda nagrana historia wybrzmiewa we mnie jeszcze długo. Wieczorem odsłuchuję, spisuję, zatrzymuję nagranie po każdym zdaniu. Tu komuś zadrżał głos, kiedy opowiadał o wygnaniu, tu, w tej dłuższej przerwie ktoś wyciera chusteczką łzy. Potem słychać brzęk filiżanek, pani Ewa właśnie nalewa herbatę do filiżanek. Potem ktoś odchrząkuje, wraca do przerwanego wątku:

– A o czym to ja mówiłem?

Słucham. Zdanie po zdaniu. Odsłuchuję dwukrotnie, zapisuję, cofam nagranie, by nie uronić nazwy wioski, w której skrywał się w czasach okupacji pan Jerzy czy pan Michał. Słowa na ekranie komputera wydają się jednak suche, pozbawione tej intensywności, z jaką są wymawiane. Słowa ich, żywe i dopieszczone, przegrywają w wojnie z twardą taflą komputerowego ekranu, na którym je spisuję. Jak zapisać drżenie głosu?

Aleksandra Pluta

E. Lipton Wittlin, *Medea*, kolaż na papierze, 1981.

Maria Jastrzębska

OSY

Sarwa prosi, okaż osom
dobroć, okaż szacunek.
Już wkrótce umrą,
lecz zanim to nastąpi, szukają
odrobiny słodyczy. Daj im,
czego chcą. *Raczej nie*, odpowiadam,
przypominając sobie, jak jedna
wlazła mi do puszki z Pepsi
i spuchły mi usta.

Jak to możliwe, że widzi osy,
a nie dostrzega Gowindy,
kiedyś Molly, wymęczonej szukaniem
ich syna Ramena, dwunastolatka,
upalonego trzeci dzień z rzędu,
w czasie gdy Sarwa gra na bębnie,
w słońcu odchodzącego lata, na Glastonbury.

Mimo tego świat na moment
zmienia bieg i osy, jedna po
drugiej, lądują na moim jabłku
przyłapane w ekstatycznej zadumie.
Można nawet dostrzec
subtelność ich skrzydełek.

Ale kiedy Gowinda wreszcie
pakuje torby i wyjeżdża,
Sarwa nagle wygląda tak,
jakby właśnie został użądlony.

Przełożył Paweł Gawroński

TRZMIELE

Babcia Julka przyjechała pociągiem z Warszawy w szarym płaszczu,
[berecie
i od razu zaczęła narzekać na wątrobę. Teraz, gdy ktoś przychodzi
do domu, nawet dostawca parafiny, ona pędzi za nim ze szmatką,
przeciera gałki od drzwi, mówiąc: A bo to wiesz, co możesz złapać.

Mama opowiadała, że gdy była mała, Babcia Julka łapała trzmiele
gołymi rękami i trzymała je przy uchu, nigdy ich nie miażdżąc.
One nuciły litanię w ciemnej przestrzeni pomiędzy dłońmi,
aż pozwalała im odlecieć. Mama mawiała, że wolałaby kacząтko.

W lipcową mżawkę idziemy nad stawy Walpole Park karmić ptaki,
i ona znowu to przypomina, a ja pytam szeptem: Co się stało Babci
[Julce?

KALAMI

O tej porze roku czarne
siatki do zbierania oliwek
rozłożone jak woalki wdów
pod drzewami. Suche liście
szeleszczące sreberka pod stopami
jak tysiące małych ryb.

Wystarczy białych kamyków,
aby zmącić nieruchomą wodę.
Dostrzegam storczyki w dzikiej trawie.
Kwiaty glicynii opadają
do sałatki; pokazują się jaszczurki,
gdy mam zamiar się odwrócić

i wtedy na nowo
zaskakuje mnie twoja śmierć.

DREWNIANY PTASZEK

Co z żołnierzami? Co z nimi?
Gdy po tamtych przyszli, jacy się zdawali?
Byli dorośli. Nie wiem.
Mieli uszatki z króliczego futra i ciężkie płaszcze.
Tak, siedzieli na placu. To wszystko?
Chcieli chleba.
Dałaś im kawałek? Matka coś wetknęła mi
dla nich.
Strugali ptaszki
z miękkiego, lipowego drewna.
Podzieliłam się z jednym żołnierzem chlebem
i dostałam w zamian drewnianego ptaszka.
Biegałam z nim, rozpościerając ramiona
wysoko nad głową.
Skrzydełko mu odpadło,
ale przez całą wojnę po stalowym niebie,
nad błękitnymi oceanami, zielonymi jeziorami i rzekami,
czerwonymi plamkami stolic i brązowymi wypustkami
gór, wzdłuż i wszerz
niezwykłego globu szybowaliśmy razem.

ŚWIĘTO MATKI BOSKIEJ GROMNICZNEJ

Nawet nie spojrzałam na naszą ulicę.
Mieszkaliśmy naprzeciwko
Pawiaka,
pod siódemką.
Dlaczego miałabym myśleć,
że była to moja ostatnia przejażdżka tramwajem,
ostatnia zabawa w chowanego
na podwórku?

Był luty, ledwo widoczne
pączki wierzby, miesiąc
zapalonych świec i śniegu
wstępującego do mieszkań.

Gdzieś,
na oszronionej drodze,
zatrzymują się wilki,
oddając pokłon
pannie z gromnicą,
która tupaniem nóg
przegania zimno.

Przełożyła Wioletta Grzegorzewska

SZCZUPAK LOLKA

Innym razem Lolek złowił nam szczupaka w Tamizie.
Był taki wielki, że trzeba było go trzymać w wannie aż do Wigilii.
Córka Lolka, Basia, z kruczoczarną grzywką,
siedziała u taty na kolanach, a on głaskał ją po włosach.
Były takie błyszczące, że nie mogłam oderwać wzroku. Nikt nie pił [tyle wódki,
co on. Znajomy gwar, rozmowy mężczyzn –
dywizjony pancerne, pułki czołgistów, Monte Cassino.

Mama często powtarzała, że Lolek z żoną nie są tacy znowu
kulturalni, chociaż jeżdżą vauxhallem vivą.
Raz późno wieczorem siedziałam ściśnięta na tylnym siedzeniu, [głowa Basi
zasłaniała mi widok. Jechaliśmy Regent Street,
a ja nic nie widziałam. Dopiero gdy się wszyscy odwróciliśmy –
za nami został ślad połączonych punkcików,
smuga spadających gwiazd znikających w ciemność.

POKÓJ ZAPACHÓW. WEWNĘTRZNY OGRÓD

Stoisz na zimnie na stacji Willesden Junction,
twój oddech układa się w białe kształty w powietrzu.
Mimo to zdejmujesz rękawiczki, by powąchać sobie opuszki
palców. Przesuwasz je pod nosem,
zaciągasz się głęboko jak papierosem wciśniętym

między wargi albo różą, w którą chowasz twarz.
I już jesteś z powrotem w wynajętym pokoiku z okropnymi
tapetami w kwiatki, gdzie minęła ci ostatnia noc, z
kobietą, która się z tobą kochała, jej aromaty
każą ci z kolei myśleć o ziemniaczanych
pierożkach, które tak lubiłaś jako dziecko, a potem o dzikim czosnku
na zalanym słońcem wzgórzu. I zaczynasz się głośno śmiać
na peronie, wśród obcych,
bo ona nie znosi, gdy porównujesz jej zapach do jedzenia
czy roślin. Ale co możesz na to poradzić, że twój umysł
wpada na jeden zapach po drugim,
niczym wielki trzmiel albo obwąchujący pies, wściekle
ryjący w małych szparach pamięci.
To nawet nie jest pokój, to raczej wewnętrzny
ogród, jego aromatyczne przejścia we władaniu
wdychanego powietrza – oddech przenosi cię
do wspomnienia o tym wspomnieniu i z powrotem.
To twój ogród. W nim ulubione rzeczy:
paliwo na lotniskach, chodniki w chlapie i śniegu,
przypalona gorąca czekolada... To twoja flora. Zawiera
wszystko, co o niej pamiętasz, jej włosy –
o zapachu mocniejszym na czubku głowy niż na końcach –
jej skórę i wnętrze, które wciąż masz na palcach,
podczas gdy stoisz i drżysz, czekając na pociąg.

TWOJA MATKA EWA W LONDYŃSKIM ZOO W 1932 ROKU

Nikt nie zważa na ostrzeżenia.
Zresztą w surowej przeszłości

ludzie mniej się wszystkim przejmowali.
Barierę stanowiła

tylko przestrzeń przysłowiowej
lub czasem prawdziwej przepaści.
Więc niedźwiedź polarny zawsze może

sięgnąć swoją siwą, oszronioną łapą

zza krawędzi i złapać skórzany tornister,
która spada jak w zwolnionym tempie

do fosy poniżej.
Na pomoc nie spieszy żaden Zawisza Czarny,

ani Winnetou jadący na oklep.
Jest tylko zadyszany opiekun zwierząt,

którego zadaniem jest wyłowienie drogiego,
ręcznie szytego tornistra i uciszenie

piszczących dziewczynek, które pokazują
palcami na niedźwiedzia. Musi to zrobić

w języku, który – ich zdaniem –
jest zdecydowanie za trudny.

Ona nie ma pojęcia, że pewnego dnia będzie żyć
otoczona nim ze wszystkich stron. Ten dziwny język,

który słyszy na szkolnej wycieczce, stanie się barierą:
głębszą niż jakakolwiek fosa, niż popielate morze,

które przepłynie,
kolor oczu niedźwiedzia,

zerkającego na nią z tęsknotą,
czy to z głodu czy z nudy,
ze swojej małej, skalistej wysepki.

DZIENNIK DEMENCJI

CÓRKA

Jest pewna, że on już się wprowadził. Uważa, że rozbił koczowisko w piwnicy i czeka na jej śmierć. Wieczorami przemyka się na górę i wypija im całe wino. To oczywiście nieprawda. Ale ciężko ją do tego przekonać. Nazwał ją pieprzoną piczką. Tak głośno krzyczał, że aż się cała zatrzęsła, a jej opiekunce wypadł z ręki widelec. Mama nie mogła potem zasnąć.

Dalej się trzęsła, chociaż on już sobie poszedł. Tacie też nie dawała spać, więc opiekunka zadzwoniła do mnie i powiedziała:

– Jak on może się tak odzywać do własnej matki? Może powinniśmy wezwać lekarza?

MAMA

Zaśpiewać Ci stół? Muszę już iść do domu. Nigdy mi o niczym nie mówisz.

Wszyscy chyba myślą, że postradałam rozum. Nie wiem nawet gdzie są małe nożyczki, te, które zawsze miałam w kosmetyczce. Co powie ksiądz, gdy przyjdzie z wizytą? Przynajmniej córka tu będzie. Ale ona mnie okłamała. Nic nie zjem. Nie znoszę truskawek. Wczoraj spałam jak zabita. Przejechali obok na koniach, kopyta łoskotały głośno, ale ja się i tak nie obudziłam. Za to dzisiaj nawet oka nie zmrużę. Poczekaj, sama się przekonasz. On siedzi w piwnicy. Słyszę, jak się kręci. Zdaje mu się, że jestem głucha, ale ja go widzę kątem oka. Nie zasnę.

Jutro przyjdzie córka. Tylko, że ona też mnie zdradziła. Nakłamała o stołach i krzesłach. Wie pani, co mam na myśli, gdy mówię o krzesłach, prawda? Nie chodzi mi o te, na których się siada, ale te inne. Nie wie pani? Ależ pani jest naiwna, zupełnie jak ona. Nic jej nie można było powiedzieć. Robi pani wrażenie zmęczonej. Za ciężko pani pracuje. Pewnie wypłukała pani z siebie całą energię, wypłukała ją pani filiżankami herbaty. Moja ty stokrotko, mój aniele. Muszę wracać do domu. Ale najpierw powiem pani coś bardzo ważnego. Jest pani jak moja córka, nie zna pani życia. Moja ty kaczuszko. Ona wyjdzie za tego brodatego Żyda, chociaż jej to odradzałam.

Muszę iść na zakupy. Potrzebne mi kilka nowych alibi. Niech mi ktoś pomoże. Mówię najzupełniej poważnie. Och, błagam, niech mi ktoś pomoże. Proszę ich powstrzymać. Nie pozwólcie im się spotkać. Moim admiratorom, oczywiście. Jest ich trzech, czy czterech.

TATA

Halo. Halo. Pański głos brzmi znajomo, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć... Przykro mi, że utrudniam... Tak, tak, pewnie, że poznaję. Nie, nie ma tu nikogo innego.

Świetnie, że zna pan trochę nasz język. Powinien pan pójść na kurs. Poważnie. Czym się pan zajmuje? Dobrze pan zarabia? Nie? Robota głupiego.

Nie jestem pewien.... Niech pomyślę... Tym zajmuje się żona. Mówił pan, że która jest godzina? A tak, mam tu przecież zegar. O tej porze powinienem być już po śniadaniu, ale przecież bym pamiętał, gdybym je zjadł. To taki drobiazg... Nie, nie widzieliśmy się z dziećmi od miesięcy. Mają za dużo roboty, jak się domyślam. Czym się pan zajmuje? Dobrze pan zarabia? Ach, zna pan kilka słów w naszym języku! Zastanawiał się pan nad braniem lekcji? Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi przyda się znajomość języka obcego.

Oczywiście, przekażę żonie wiadomość. No, tak, powinienem to wiedzieć... Poszła na zakupy, a przynajmniej tak mi się zdaje. Powiem, że pan dzwonił. Nie, nie wydaje mi się, żebym znał jakąś panią Alicję. Przecież bym pamiętał, gdybyśmy się kiedyś spotkali. Radzimy sobie doskonale, nie ma powodów do narzekań. Nie, nie potrzebna nam pomoc! Ale i tak dziękuję!

Mówił pan, że gdzie ja jestem? No, tak, oczywiście, przecież wiem! Nie widziałem nigdzie w okolicy żadnych lisów. Nie widziałem lisa od... od czasów wojny. Wtedy też głodowały.

PANI ALICJA

Oj, pewnie BHP się zaraz do mnie przyczepi. No, chyba, że córka nic nie powie bratu. To już drugi raz. Oczywiście zadzwoniłam do córki, ale nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie. Oni są dla mnie jak rodzina, jak jakaś para dzieciaków. Czasem muszę ich ustawić do pionu, ale potem jest mi głupio, jak wtedy, gdy znalazłam całą tę szynkę u niej w torebce.

– Co też pani przyszło do głowy – zapytałam.

Oj, przestraszyła się na minutę, ale zaraz zaczęła się buntować i powiedziała:

– To dla lisa. Nie obchodzi panią, co się z nim stanie?

Niezły z nich duet, znają się jak łyse konie. Moja zakochana para, tak na nich mówię. Zasypiają trzymając się za ręce. W nocy ona przesuwa się na jego stronę łóżka i obejmuje go ciasno swoim drobnym, kościstym ciałem. A ten duży mężczyzna przetacza się na samą krawędź łóżka, żeby zrobić jej miejsce.

Nie mam pojęcia jak udało się jej go przekonać, żeby poszedł po nożyczki i gdzie on je znalazł. Rano była całkowicie rozbudzona. Mam ją ubrać. Chce zjeść śniadanie, chce iść na „ich" spacer. Ale on nie chce wstać z łóżka. Więc ona oczywiście się za nim wstawia.

– Mąż jest zdecydowanie za stary, by wstąpić dziś do wojska – mówi.

Nie ma sensu im tłumaczyć, że nie toczy się żadna wojna. Oni i tak już się o to kłócą, wcale mnie nie słuchają. On chce jeszcze poleżeć.

– Jestem zmęczony – oznajmia.

Zrobiło mi się go żal. Rzadko o coś prosi, nie tak jak ona, która wiecznie się czegoś dopomina.

Próbowałam podnieść go na duchu, namówić do wstania z łóżka, ale się zaparł.

– No, dobrze, niech pan sobie jeszcze poleży – powiedziałam. – Ale tylko do śniadania.

Ledwo zdążyłam wyjść za drzwi, interkom miałam cały czas włączony. Zrobiło się cicho i od razu wiedziałam, że coś się tam święci. Człowiek by pomyślał, że usłyszę ich rozmowę. A tu ani słowa. Im wystarczy spojrzenie, uniesienie brwi. Znają się jak łyse konie. Zajrzałam przez drzwi, ale się spóźniłam. Tak szybko się uwinęli.

EDZIO

Chciałbym się poskarżyć w kilku sprawach. Zwróciłem się z całkiem naturalną, uprzejmą prośbą o rozmowę z moim ojcem w pewnej delikatnej sprawie dotyczącej finansów i zostałem nazwany „palantem". Następnie zadzwoniłem do siostry, która ze mną nie rozmawia.

Żeby plamy z krwi się sprały, trzeba mocno szorować. Ta sama zasada odnosi się do buraków, atramentu i wina, dlatego się nie poddaję. Śmieci trzeba wkładać do koszy, bo lisy potrafią rozedrzeć czarne worki zębami i wtedy wszystko się rozsypuje. To przecież nie są niedorzeczne oczekiwania.

Podczas mojej ostatniej wizyty przez cztery godziny szukałem w piwnicy rzeczy, które zaginęły jakiś czas temu. Są wśród nich lornetka Zeissa należąca do mojego ojca, srebrna łyżeczka z grawerunkiem, złoty kubeczek, który dostałem na chrzciny i koronkowy, haftowany obrus. Dla kogoś to mogą być mało ważne, błahe sprawy, ale dla mnie mają one znaczenie, więc byłbym wdzięczny za pomoc w ich rozwiązaniu w jak najszybszym terminie. (Napisałem już w tej sprawie kilka listów, które

pozostały bez odpowiedzi). Wyprałem też koce oraz pościel. Nie bardzo rozumiem, dlaczego mam wykonywać czynności, które należą do opłacanych obowiązków pani Alicji. Chciałbym złożyć skargę na ludzi, którzy się ze mnie śmieją.

Chciałbym poskarżyć się na to, że mój ojciec jest celowo przetrzymywany w piżamie przez kobiety, które moja siostra ma pod pantoflem. Uważam, że to wbrew zasadom równouprawnienia. Chciałbym się poskarżyć na to, że stłukła mi się przednia szyba w aucie i nie stać mnie na jej naprawę. Chciałbym się poskarżyć na to, że obrazy na ścianach są przekrzywione, a beton szorstki w dotyku. Nigdy się nie nauczyłem gwizdać tak dobrze, jak moi koledzy. W środku się świeciło, gdy stałem na zewnątrz, na chłodzie.

CÓRKA

Jesteśmy już prawie w lesie. Powietrze robi się ciemniejsze, bardziej niebieskie. Ten sen zawsze wygląda tak samo. I zawsze wiem, że to sen. Zwykle gdzieś tutaj następuje koniec. Ale dziś wszystko toczy się inaczej. Rodzice przeskoczyli przez płot. Tacy szczęśliwi nie wydawali się od lat. Edzio przybiegł z piwnicy, plącze się Tacie pod kopytami, ale Tata tym razem nie zwraca na niego uwagi. Już nie jest zmęczonym koniem pociągowym, lecz młodym ogierem, który ugania się za Mamą. Mocno nas wyprzedziła.

– Jeśli chcesz iść z nami, to lepiej się pośpiesz! – rży Tata. Brzmi zupełnie jak za dawnych czasów.

Pani Alicja wzbija się w niebo i zamiast jej normalnego gdakania z góry dobiega mnie optymistyczny krzyk dzikiej gęsi. Próbuję ich wszystkich dogonić.

Na polanie widzę lisa. Dociera do mnie, że właśnie za nim wszyscy gonimy. Gdy podchodzimy bliżej, lis skacze w krzaki. Wtedy dociera do mnie coś jeszcze. Jest większy od lisa, a jego ogon to błysk srebra. Właściwie nie jestem pewna, czy to lis, czy może coś w rodzaju wilka. Na tym nie koniec: to ja jestem lisem albo wilkiem. I już nie podążam za swoją rodziną, biegnę ze stadem. Nie mogę się rozejrzeć dookoła. Być może wszyscy przemienili się w wilki, tak jak ja. Co gorsza, całkiem mi się to podoba. Przedzieramy się przez paprocie, a ja uparcie myślę, że muszę się z powrotem przemienić, bo rano mam spotkanie z pracownikiem z opieki społecznej, by przedyskutować opiekę nad rodzicami.

Maria Jastrzębska
Przełożyła Anna Błasiak

Teresa Cader

SUMERYJSKI SYMBOL PTAKA

Dziś myślę o tabliczkach pisma klinowego
przechowywanych w glinianych naczyniach w sumeryjskiej bibliotece
i o ośmioletnim chłopcu, który uczy się rzemiosła skryby
w świątynnej szkole, każdego ranka żłobiąc glinę
kwadratowym czubkiem trzcinowego rylca, pokonując
odruch, by narysować, a nie napisać ptaka.

I myślę o malarce w średnim wieku
w pracowni naprzeciwko, jak układa brzoskwinie
w fałdach niebiesko-białego obrusu.
Cynowy dzbanek na zielonym, drewnianym stoliku
pokrywają kropelki wody. Meszek brzoskwini
w niezakłóconym spokoju bieleje w słońcu.

Chłopiec uczy się na pamięć symboli, a malarka mówi,
że ostatnio nie czyta dużo, przede wszystkim patrzy.
Chłopiec musi się napracować, by przekształcić ptaka
w ideę lotu. Jej brzoskwinie uparcie
pragną pozostać brzoskwiniami. Otwarte okno
pozwala wydymać się białym firankom: malarka je zamyka.

„Chłopcy mają uszy na grzbiecie", mówi egipskie
przysłowie. Chłopiec jest bity, gdy
nie udaje mu się przełożyć ptasiego lotu
na zbiór dźwięków. Malarka z jakiegoś powodu
nie może się dziś skupić. Zjada jedną z brzoskwiń
z białego talerza i wypija trochę chłodnej wody.

Wpatruję się w sumeryjski symbol ptaka i widzę
w jego kształcie kielich na wino lub metalowe żebra
cieplarni. Nic tu nie przypomina lotu ani skrzydeł.

Koniec pracy na dzisiaj. Chłopiec zostawia
tabliczkę i wkracza w anonimową historię języka.
Malarka podpisuje płótno pędzlem z sierści dzika.

WYMÓWKA

Nie, dziś żywica klonowego drzewa jest zamarznięta.
Wiązki drewna leżą nieporąbane w szopie.
Kosze bielizny pleśnieją w pralni.

Nie przepraszaj. Nie zamierzałaś godzić się
na nieporządek; świadczy o tym lampa
zapalona w twojej pracowni. Nawet twojemu ciału brak ostrości.

Nic na to nie poradzisz.
Pilnuj klucza. Przechowuj syrop klonowy. Śpij mało.
Zamieszkaj na czystej, bezlitosnej stronie.

SKAMIENIAŁE ŚWIATŁO

W Muzeum Nauki oglądałam maleńkiego owada uwięzionego w bursztynie.
Żywica sosnowa sprzed siedemdziesięciu milionów lat, znad niegdyś
[tropikalnego Bałtyku,
Skamieniała w sarkofag miodowego światła. *Tutaj jesteś*, powiedziałam
Do owada, mojego alter ego. Do bursztynu, ciężaru mojej niewoli
I bezruchu. Nikt nie słyszał, jak szepczę do gabloty z eksponatem.
Córka przypatrywała się piłeczkom pokonującym tor przeszkód
Z brzęczącymi dzwonkami i poprzechylanymi dźwigniami.
Mąż oglądał podbrzusze sztucznego świetlika w następnej gablocie.
[*Zdumiewające*,
podziwiał żabę, której brzuch jarzył się od świetlików,
Jak też synkopowany rytm aktu seksualnego świetlików tropikalnych,
[migających
Unisono. Tyle odkryć w jedno niedzielne popołudnie. Podziwu
Zupełnie nie czułam. Może tylko twardą podłogę i ból w podbiciu stóp. Podziw
To cel wszystkich wystaw. Kątem oka dostrzegłam metrową Czarną Wdowę.

Dosyć! powiedziałam do swojej zwyczajności. Do swego uporu. Do lęku
Wzbierającego pod pachami zapachem cebuli. Oto ciało
Stworzone dla mnie. Stworzenie pełne dzikiego i zabójczego pożądania. *Złe.*

POTEM

Marnujesz czas. Powinnaś przyciąć gałązki bzu. Obok szopy
gniją porąbane brzozowe pniaki, kompost rozpływa się w deszczówce.

Pamiętasz cytrynowe letnie dni, nakryty stół przy kamiennym murku,
[brzoskwinie
w koszyku z białymi serwetkami. Kwaskowate jabłka i pleśniowy ser na
[talerzykach.

Zapomniałaś już, jak się śmiać. W uchu język. Na udzie palce stóp.
Gdzie podziałaś swoje ciało, napięte w oczekiwaniu?

Kto mógł przypuszczać, co się stanie. Burze śnieżne w niewłaściwej porze roku.
Szkodniki niszczące drzewa. Grzyb na źdźbłach trawy.

Inni zrywali kwiaty jabłoni i układali je w niebieskim wazonie,
a ty zapełniałaś skargami ręcznie robione dzienniki.

Kamienie mają dość wysłuchiwania twojej historii. *Przykre, przykre,* kraczą
wrony w locie. Powinnaś wybrać się nad sadzawkę,

późnym popołudniem, przecież możesz już chodzić. Dalej, zrzuć
ubranie: twoje okaleczone ciało nie jest wyjątkowe.

Poczuj, jak szlam prześlizguje się przez włosy, unoszące się jak dmuchawce.
Stopami grzęznącymi w omszałym mule odbijesz się od dna

zanim rozstąpi się pod tobą.

Teresa Cader
Przełożyła Joanna Banach

Karen Kovacik

CZYTAJĄC *BAŚNIE BRACI GRIMM*

Nigdy nie napotkała flądry ani kruka,
ani nie oczarował jej żaden muzykant
ani też nie zgubiła się w ogromnym lesie.
Przez to drwal na ratunek nie mógł jej pospieszyć,
zaś jej młodsza siostrzyczka nie została sroką.
Żaden książę nie ciągnął jej za warkoczyki,
żaden tyran nie kazał jej prząść na wrzecionie
aż po krwawienie palców. Miała życzeń wiele,
ale ich nie spełniła żadna złota rybka.
Nie miała także siedmiu ukochanych braci,
i nikt jej nie obudził ze snu pocałunkiem,
nie tańczyła aż zdarła do cna obcasiki.
Rodzice nie zrobili jej trumny, choć chciała
umrzeć – nie jak księżniczka na marach ze szkła
ale jak ta służąca wrzucona do studni.
Lecz żyła dalej – w cierniem ścielonych komnatach
i dzień w dzień przetrząsała zarośla inkaustu.
A kiedy wielkoludy zwąchały jej krew,
pryskała nie do domku o ścianach z piernika,
wysadzanych drażami z trujących owoców,
ale do fortec czarnych, naostrzonych słów.

MASZYNA DO ZASYPIANIA

Białe noce w Sankt Petersburgu

Koleżanka wygląda jak Zorro w czarnej
maseczce z atłasu. Nasz hotelik
napełniają sztuczne fale.
Godzinami nadciąga zmyślony przypływ, miękki
i głośny, zatapia muszle i sztuczne korale.

Śnię, że jestem zielonym kanałem w gorsetach
z betonu – mazurek jest moim ulubionym tańcem,
moim przyjacielem – apetyt. Żywię się papierosami
i benzyną. Porwałam męczenników, jednego zdrajcę,
ze dwóch dyplomatów, francuskiego architekta –

wszyscy spotniali w zielonych prześcieradłach.
„Chodźcie – mówię – oprowadzę was po rzece"
i zabieram ich pod mosty, błękitno-złote, mijamy
restauracje, wojenne wdowy w czarnych oficerkach,
nasz śmiech jeży się lodowymi odłamkami.

Ta rzeka błyska łokciami i miękkimi kolanami.
Ta rzeka pożąda bursztynowych bransoletek i soli.
Pachnie jak lawina starych gazet
albo rosyjskie słowo na „śnieg". Chcę
owinąć się w jej błękitne futro i powoli

spłynąć na jej grzbiecie w głębiny Bałtyku.
Ale o drugiej budzą mnie wiosła skopanej
pościeli, framugi okien różowieją. Tyle z apetytu,
z rypsowego połysku rzeki, z ersatzu przypływu.
Gong rozbrzmiewa w rurach. Snom na pożegnanie.

MIASTO PRZENOŚNE

według Yin Xiuzhen

Moje miasto mieści się w walizce,
beżowo-trawiastej,
w kolorach wołających „turystka" lub „geek".
Kiedy ją otwieram, słyszę muzyczkę
kilkunastu poczekalni.
Wewnątrz – wilgotność wysoka.
Mój szacowny kostium kąpielowy
marzy o chlorze.
Pomniczki poległych wirują

w powietrzu jak figury szachowe.
Nigdy nie wiadomo,
co wyfrunie z mojej walizki.
Ma swoje własne lotnisko, samoloty
i terrorystów. Jest pękata jak bomba
w filmach klasy B.
W Paryżu pachniała
frytkami i BigMacami.
W Pekinie obrzmiała do rozmiarów
pandy. W Wenecji gondolier
nie przyjął jej na pokład.
Czasem otwieram walizkę na oczach
wszystkich, jak ciotka na parkowej ławce:
zwijam trawniki w małe kwadraty,
wsuwam hipermarkety i parkingi
do bocznych kieszonek.
Mojemu miasta urody nigdy dość.
Nie znajdziesz w mojej walizce żadnych graffiti,
a tylko wyścig aut
i fajki pokoju niewypalone
od stu lat.
Niejednokrotnie planowałam
wywalić moje miasto,
zapomnieć go w bagażniku taksówki,
przyglądać się przez pół godziny jak orbituje
po czarnym taśmociągu jakiegoś lotniska.
A jednak ściskam jego smycz.
Do nogi krzyczę Stać! Siad!
W domu wciągam moje miasto
na łóżko żeby zobaczyć,
co zdziałały w nim trzęsienia ziemi.
Hurrraaa! Miasto nadal stoi,
choć jego jednokierunkowe uliczki
biegną to tu, to tam. Moje dłonie
przekopują się przez bieliznę
jak metro, którego w mieście nigdy nie było.
Nocą, kiedy pokrywy studzienek
przygważdżają moje powieki jak blaszane monety,

zgłębiam pustkę w której mieszka tylko kość.
Kość mówiąca językiem, którego nie przeniknę.
Kość, na którą nie zaradzi żaden bedeker.

Przełożył Jacek Dehnel

PANDORA PRZEMAWIA

dla mojej cioci Józefy Bierzało

***

Na początku była
karpatka z pieca
czekająca na czekoladową polewę.
Buraki posnęły
w wiślanym mule.
Gorący miód zamieniał
wódkę w złoto.
Powycinane płatki śniegu błyskały
nad łóżkiem twojej jedynej córki.
Tego grudniowego dnia, mimo stanu
wojennego, gęsi swobodnie kluczyły w śniegu,
a para unosiła się z pysków koni.
Furmanki obładowane były sianem.
Twoja córka nie marzyła jeszcze
o Londynie. Anglia kołysała się
u dalekich wybrzeży Europy
jak Atlantyda.

***

Ugościłaś nas, twoich pierwszych Amerykanów,
w izbie przy stajni z prosiakami i królikami
i nasypałaś czarnej herbaty do szklanek z cukrem
na kartki. Uśmiechnęłaś się, dotykając
moich zimnych policzków. Odpowiedziałam
po angielsku, zatkana od niemej miłości.

***

Wtedy objawiły mi się tajemnice
czasownika i rzeczownika. Wtedy
nastąpiły wybory Okrągłego Stołu
i straż graniczna dała nam spokój.
Anteny satelitarne zakwitły na balkonach,
woda chlupnęła w nowych rurach, drogi
pochłonęły topole, traktory prześcignęły konie,
Internet zafurkotał na słupach. Wtedy twoja córka
nauczyła się angielskiego i zaczęła chomikować
perfumy bezcłowe. I chociaż żadne anioły
nie stąpiły na ziemię z ognistym mieczem,
apokalipsa zalała wiejskie sklepy
wypełniając półki snickersami i Domestosem.

***

Kiedyś liczyłaś dni według narodzin i uboju.
W twoim kalendarzu lipiec oznaczał agrest, a sierpień buraki cukrowe.
We wrześniu z wypchanej plastikowej torby
wysypały ci się łaciate króliki.
W spiżarni wisiały grzyby,
jak gąbczaste, brązowe kciuki.

***

A teraz jak straż graniczna odprawiasz mnie z:
„Bez powrotu", *without return*.
Bezosobowy, bez koniugacji
Słowa wstemplowane w paszporcie
dla wygnańca.

***

Czy mój grzech jest tak pierworodny
że nie ma nazwy? Czy to przez masło fistaszkowe,
które ci przywiozłam? Czy to wesele lata temu,
na którym zgubiłam but, tańcząc z pijakami?
Czy może chodziło o: „thank you" i „please",

których nauczyłam twoją córkę?
Czy może to moja miłość do Warszawy, miasta pizzy
i billboardów, gdzie co noc zakwitają neony.

***

Ciociu, przecież nie umiem zwęzić dróg,
ani wstrzymać importu chińskich buraków.
Nie potrafię zniszczyć anten satelitarnych,
ani oduczyć się polskiego.
Nie mogę przewinąć życia wstecz,
zamknąć na głucho granice,
tak aż w pokoju na górze znowu pojawi się twoja córka,
znudzona, licząca płatki śniegu wycięte w srebrze.

Karen Kovacik
Przełożyła Ewa Chruściel

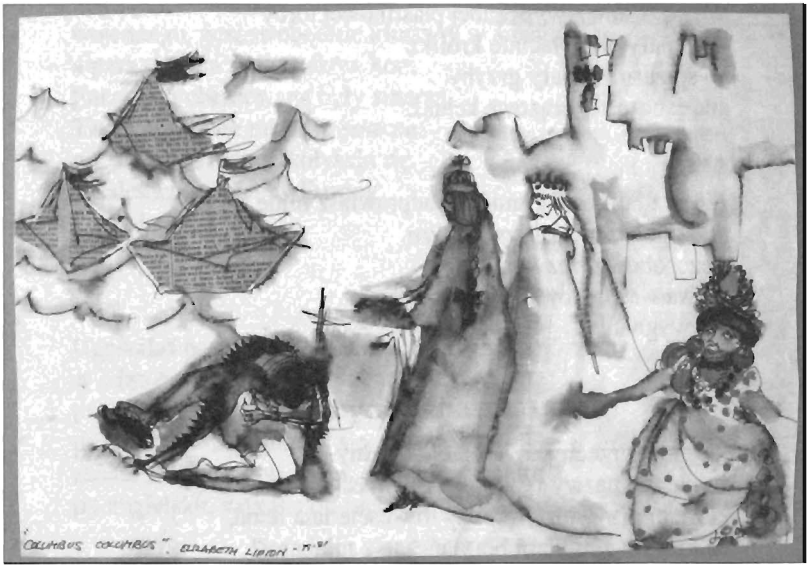

E. Lipton Wittlin, *Columbus, Columbus*, kolaż na papierze, 1979-1981.

Andrzej Dybczak

PRZYSZEDŁ MARZEC

Przyszedł marzec. Śniegi potopniały, a te w miastach wręcz poznikały jak piana na odstałym ścieku, odsłaniając wszystkie stłoczone na spodzie nieczystości. Przynajmniej tak było w Krakowie, jednym wielkim gałganie brudu ulepionym z sadzy, plwociny, nieprzetrawionego alkoholu i pedigripala. Suchy wiatr od gór łopotał chorągwiami Carrefourów i huczał na blaszanych tablicach drogowych kierujących sfory ogłupiałych samochodów a to w lewo, a to w prawo. Nigdzie. W rzeczywistości nigdzie. Bo każde z nich zataczało koło i prędzej czy później znowu lądowało w punkcie wyjścia, na jednym z parkingów pod jednym z bloków, przesunięte tylko odrobinę bliżej swojego własnego końca. Tak jakby ich śmierdzący ruch dokonywał się tak naprawdę nie w przestrzeni liczonej obrotami kół a tylko w czasie odmierzanym wschodami i zachodami rozmytego słońca i ukrytych w świetlistym smogu gwiazd. Gwiazd będących osnową, na której kiedyś zaczęła tkać się ta umorusana i kulawa, technologiczna masa, choćby nie wiadomo jaka ważna, to w rzeczywistości równie chwilowa i nieodporna na śmierć jak jej oszołomione i zniewolone wypełnienie. Człowiek. Krakowianin. Ja. Żadne z tych słów nie brzmiało dumnie na tym wzgórzu, na którym stałem. Równie dobrze można oczekiwać od ofiar epidemii cholery, zakopanych kiedyś w masowym grobie, który właśnie mijałem, że określenie anonimowy trup zabrzmi im dumnie. Nawet jeśliby tak było, to od huku przewalających się tędy nieprzerwanym strumieniem aut i tak nikt by nic nie usłyszał, niezależnie czy żywy, czy umarły. Tylko myśli chodziły bokami po zdyszanych zakątkach głowy podczas podchodzenia pod to wzniesienie i pod tą wspinająca się na nie estakadę. Drżącą w posadach. Omiataną podmuchami tirów. Zachlapywaną błotem pośniegowym, solą i zanieczyszczoną olejami deszczówką. Płynęła wartkim strumieniem wzdłuż krawężnika, w dół podpartej kolumnami pochyłości, nad rzędami białych od resztek śniegu torów, nad opustoszałym obozowiskiem bezdomnych, parkanem betoniarni pilnowanej przez spoglądającego w górę wilczura, nad błotnistą drogą, po której jeździły kamazy z budowy i jeszcze ponad koronami olch oblepionymi cementowym kurzem, skupem złomu i siatką ogradzającą maleńki plac zabaw niedawno postawionych po

drugiej stronie drogi bloczków. Postawionych jakby w innym kraju, jakby na innej niedostępnej planecie czy na innym odległym brzegu nieprzebytej rzeki złożonej z dwóch pasów silnego ruchu, usmarowanych barier, ekranów dźwiękochłonnych i zabryzganych pleks. Pleksiparkanów wstawionych chyba po to, żeby osoba idąca nad torami mogła zza nich oglądać świat i ten trwający właśnie na jego łonie powszedni dzień około godziny czternastej. Tak samo zwykłej i zapełnionej tak samo zwykłym, nieprzerwanym ruchem ulicznym jak zwykły był ruch chmur na niebie, prądy wód płynących, gładkie tafle stojących i samo codzienne istnienie. Ludzi. Miasta. Świata. Ciągle niemających czasu, co akurat by się zgadzało. To czas miał nas.

Był piątek. No i był marzec. Tydzień się kończył, zaczynała wiosna. Najlepsza pora, żeby się w końcu wyzwolić, wyjechać stąd, powędrować wśród budzących się drzew. Przypomnieć im o swoim istnieniu, bo na pewno już o mnie zapomniały. Bo to, co mówiłem nieraz małej dziewczynce, kiedy pytała o znaczenie szumu osiedlowych wierzb, było zwykłym kłamstwem. Falując, wcale nie przesyłały nam pozdrowień od swoich kuzynów jodeł, buków i sosen. I nawet nic o nich nie słyszały, a nawet jeśli coś tam do nich docierało z tych odległych pasm wzgórz przykrytych gęstym lasem, to na pewno nie było o nas. Na pewno nie o niej i na pewno nie o mnie. O nas szumiały samochody i radioodtwarzacze. I odkurzacze sąsiadów i ich sprawy i ich rosnące na jedenastu piętrach, ciasno stłoczone gęstwiny życiorysów wrosłych w betonowe ściany. Tak jak wrosły w nie i nasze życiorysy. Mój zamieszkały od dziesięciu lat. I jej zamieszkały od wszystkich sześciu. I jej od wszystkich trzech. I jej od dziesięciu. Jedna z tysięcy mieszkających na osiedlu rodzin. Filtrująca swoimi ciałami z jego brzydką architekturą, zatrutym powietrzem i wydrążoną, prostopadłościenną duszą. Duszą obojętną na narodziny, na życia i śmierci. Maszyną. Bez pamięci, bez uczuć z wyjątkiem głodu na ludzkie życia, wypluwane cichaczem do karetek i karawanów. Taka wizja, taki plan. Horoskop dla każdego mieszkańca postawiony nie na podstawie gwiazd, a na podstawie jasnych kropeczek lamp. Postawiony nie przez astrologów, ale przez elektryków i inżynierów. Tych samych, którzy postawili też te wieże, z których szczytów można było podziwiać ich własne dzieło. Wystarczyło wieczorem wyjechać jedną z dwóch ciemnych wind na dziewiąte, dziesiąte, jedenaste piętro. Przejść pustym korytarzem i przykleić nos do brudnej szyby. Drzewa stamtąd zawsze wyglądały jak zmierzwiony mech, na który można co najwyżej splunąć. Z takiej wysokości – jak wszystko – nie były sobą. Pamiętam jak kiedyś, daleko pośród łańcuchów, sznurów i różańców lśniących korali falujących od poruszanego wiatrem powietrza, płynęło szybko pojedyncze, migające światło. Pokonywało kolejne skrzyżowania, zakręty, szersze i węższe drogi, biegło jak wiadomość, jak pochodnia

przekazywana z rąk do rąk podczas jakiejś sztafety. Stojąc w ciszy przepastnego, pachnącego starym mopem korytarza, w ludzkich szmerach zza drzwi, patrzyłem wtedy na nie, jakbym czekał na swoją kolej. Słuchałem szurania podeszew o wylewkę, syreniego śpiewu szybów, zsypów, przeciągów i dziesiątek pionowych metrów stąd do matki ziemi.

Chociaż trzeba przyznać, że to akurat dzięki tej odległości od ziemi, w pogodne dni można było czasami dostrzec blade zarysy gór na horyzoncie. Jak obliczyli meteorolodzy akurat w tym roku pogodnych dni było jak do tej pory sześć. Pisali w Internecie. Na co dzień przeważało duże zachmurzenie, opady, mgła i czterokrotnie przekroczone stężenie pyłów zawieszonych w powietrzu. I w te pogodne dni ja też musiałem być chyba gdzie indziej. Może u siebie na parterze? Zwykle z góry, niezależnie od pogody widać było tylko parkingi zasłane kolorowymi samochodami, czarną wyściółkę płaskich dachów czteropiętrowców i rzędy wieżowców. Niektórych szerokich i masywnych, innych smukłych. Wszystkich jak ustawione przez dziecko w szereg klocki, gotowe do zbudowania ogromnego Legolandu. Jak dla mnie tylko zasłaniały widok. Zasłaniały odległe góry, których zawsze szukałem wzrokiem, ilekroć się znalazłem na jednym z wyższych pięter. Jakby tam daleko czekało na mnie jakieś wybawienie. I dlaczego? Dlatego, że się tam urodziłem i byłem przyzwyczajony do szukania ich widoku wszędzie gdzie bym nie spojrzał? Nawet tam gdzie go nie było? Inna sprawa, że chmury czasem rzeczywiście tak się układały, że kształtem przypominały pasma gór, jeszcze łagodniejsze, bardziej tajemnicze i piękniejsze od tych, które kiedyś znałem. Bo wiadomo – te były niebiańskie, a tamte ludzkie. Pocztówki z wieczności. Chociaż rozumiem, że nie każdemu musiały się akurat takie wieczności podobać. Ale na niebie każdy ostatecznie mógł zobaczyć co chciał, tak jak na ziemi widział najczęściej to, co musiał. Przykładowo z tego okna w wysokim bloku oczy człowieka prędzej czy później opadały na to nautykane żelazem i blachą wzniesienie, na którym teraz stałem. Wzniesienie, za którym tonęły coraz głębiej coraz to dalsze bloki i zza którego wystawał były fabryczny komin, a teraz część jak najbardziej aktualnego centrum handlowego, do którego prowadziła ta estakada, gdzie właśnie stałem. I z której właśnie zszedłem na stały ląd chodnika.

Chociaż byłem oddzielony teraz od drogi pasem trawnika, to i tak pozostawałem skulony, co może było dla mnie po prostu normalne, nad czym się ostatnio zastanawiałem i co nie miało związku z dującym silnie wiatrem czy autami z naprzeciwka. A może tak było po prostu łatwiej iść pod górę, patrząc na uciekające płyty chodnikowe wyobrażać sobie, że idę w dół. A widząc swoje wojskowe buty, myśleć o ciężkich (najcięższych) zadaniach, do których zostały podobno stworzone i o drodze, która je wkrót-

ce czeka. Takie miałem plany na nadchodzący weekend a może i dłużej. Co do samego czasu nie było sensu planować w ten sposób. Weekend nie weekend. Lepiej było poddać się naturalnemu biegowi wydarzeń, które nie będę miały nic wspólnego z tępym pojęciem tego weekendu. Tymi dwoma dniami. Tą jakąś ogólnoludzką nerwicą wyjazdową, jakimiś ogólnoludzkimi manewrami, jakąś nigdy niekończącą się sukcesem i nieszczerą próbą urzeczywistnienia ogólnoludzkiego snu. Zarządzaną, zagospodarowaną, podzieloną, kupioną i sprzedaną przez tak wielu, że na samą myśl robiło się zwykle niedobrze. I smutno. I nie chciało się nigdzie jechać. Tylko tkwić przy stole w kuchni, nawet z twarzą ukrytą w dłoniach i czekać zwykłego, powszedniego poniedziałku. Tkwić patrząc za okno na ten wycinek nieba, który udało nam się jeszcze nie tak drogo kupić, może dlatego, że mały i pół prostokątny, ze spodem balkonu sąsiadów z góry, z krawędzią bloku naprzeciwko i taflami okien bloku naprzeciwko tego naprzeciwko. Odpowiadać dzieciom na pytania. Słuchać radyjka. Niemych iglaków, kłaniających się na sąsiednim trawniku tuj i łagodnie grzechoczącej lub szumiącej nieopodal nich brzozy, przywołującej w głowie nie wiedzieć czemu Orfeusza. Gotować obiad. Kroić chleb z białym serem i keczupem koloru zimowego zachodu lub etykiety na butelce po wódce, leżącej pod oknem na łożu z petów. Rzuconej w międzyczasie z któregoś z mieszkań nad nami. Na szczęście weekend zawsze się kończył, przychodził poniedziałek. Szli dorośli, szły dzieci i młodzież, szedłem też oczywiście ja. Szedłem, licząc nie wiadomo czemu na wspólną codzienność z tymi, za którymi wypadło mi iść przez te pięć dni w tygodniu, a stać przez dwa. Jak jakiś pies sam niebędący aktualnie na etacie, ale wiedzący dokładnie kiedy jest, dajmy na to, godzina siódma, kiedy jest śniadanie, wyjście z domu, powrót do domu, gotowanie posiłku, kawy, dobranocki i spoczynku. Zasadniczo szczęśliwy, trochę już siwiejący na pysku i tylko czasami marzący o swoim utraconym raju. A w ogóle to istniejącym kiedykolwiek? Istniejącym, trochę.

Nie wiem, jak to wygląda u innych, ale dla mnie nadeszła pora na wędrówkę. Pora odwiedzenia miejsc, które kiedyś wypełniły moją głowę myślami tak jak one same skrytymi w głębokich, pełnych jodeł jarach. Skrytymi na milczących stokach, gdzie gościły tylko grzęznące między drzewami echa. Miejsc w słupach gęstej pary idącej po deszczu od ciepłego igliwia i zamieniającej się w chmury mącące niebo i moją duszę. Duszę odkrywającą kiedyś w drzewach, kamieniach i listowiu maski bogów, których życie niekiedy nie było dłuższe niż jedno spojrzenie poprzez zacichającą wieczorną przestrzeń. A czasami równie nieśmiertelne jak strumienie o dźwięcznych imionach, niektóre bez imion. Na pewno wszystkie bez daty urodzenia czy produkcji i bez *expiry date*. Kładące się, fantastyczne

cienie przedpotopowych, przedbiblijnych, ludzkich i zwierzęcych przodków z różnych stadiów i etapów ewolucji rzucane w skali maksi po wzgórzach, krawędziach i garbatych łąkach. Tak, że nieraz trudno było odróżnić jedno od drugiego, a łatwo było jedno z drugim złączyć, tak jak fikcja łączy się z prawdą i jak sen z jawą. Tak jak Wielka Niedźwiedzica łączy się z mamą niedźwiedzicą buszującą po czernicach na suchej porębie i jak żmije, jaszczurki, zaskrońce i salamandry złączone są ze smoczymi konstelacjami sprzed uformowania się tych łagodnych gór i wszystkich innych cichych miejsc na ziemi. Pełnych cichych istot i równie cichych kości ich poprzedników. Odcisków ich obecności na chrzęszczących kamieniach. Odziedziczonym po nich pulsie w drzewach, w ich sokach bijących ze wspólnej tkanki otulającej ciepłe serce planety. Serce utrzymujące nas wszystkich przy życiu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet kiedy śpimy przyklejeni jego siłą do łóżek i nawet kiedy sami nie mamy siły, jak drzewa w zimie, jak córka Demeter w Tartarze, jak smętni wygnańcy, zagubione jaskółki, gnijące pod drzewami owoce... Pora była wyruszyć w drogę. Najlepiej pekaesem – jak dawniej, żeby nie być uwiązanym do samochodu, żeby swobodnie móc przekraczać grzbiety i schodzić do kolejnych dolin. I żebym nie musiał się z niczym liczyć. Może zajdę aż na Słowację? Tak czy siak musiałem to zrobić sam. Tak jak w instrukcji dla pasażerów samolotów, najpierw ratuj siebie, potem swoje dzieci, najbliższych i całą resztę, której i tak nie uda się uratować.

Samolot Lufthansy z Frankfurtu wynurzył się ze stojących wysoko chmur. Tak, biały. Tak, wielki. Tak. Wyjący zwalniającymi silnikami, niosącymi go powolnym lotem w dół tępych schodów tworzonych przez dachy wieżowców. Leciał nad centrum handlowym Solvay. Nad hektarami stojącego obok niego centrum handlowego Zakopianka (Castorama, Carrefour, Cinema City). Nad budowanym obok betonowym gmachem sanktuarium Jana Pawła II. Nad stojącym po sąsiedzku gotowym już betonowym gmachem sanktuarium Miłosierdzia Bożego. Nad dźwigającym dwupasmową drogę wzniesieniem, na którym właśnie stałem. Nad centrum handlowym Bonarka, z którego właśnie szedłem. I już dalej, i dalej, nad brunatnym kożuchem pogrążonego w smogu i biedzie centrum miasta, aż na ukryte za majaczącym w oddali wzgórzem lotnisko Kraków–Balice. „Jebać Żydów", „...wisłe i policję", „Cracovia". Od przemierzania tych terenów mogą rozboleć nogi. Może rozboleć dusza. Słońce podświetlało chmury rozproszonym, roztartym światłem, samo niewidoczne. Wszędzie dookoła leżały jeszcze resztki zakrzepłego śniegu, od których szedł chłód. Mimo to wiosna. W poniedziałek, wtorek, środę natopiło śniegu, czwartek nie był już taki ładny i piątek też nie, ale to nic. Wystarczyło mi tych trzech dni, żeby się zdecydować. A raczej obudzić. Dojrzeć do tego, żeby w końcu pójść

za głosem swojej chyba po prostu natury. Złączyć się z prawdziwą, piękniejszą i bardziej godną szacunku częścią swojej własnej osoby. Dogonić swoje dezerterujące przeznaczenie, chwycić wyślizgującą się ze spoconej ręki nić. Znowu być dzieckiem lasu i wiatru, i ścieżki między drzewami, a nie obcym bękartem pośrodku ogromnego sierocińca. W którym dzieci są torturowane, niewolone i bite. W którym nikt ich nie kocha. Nikogo nie obchodzą. W którym padają jak muchy i wyjeżdżają stare, nogami do przodu prosto na śmietnik zarządzany przez zachowujących drwiącą powagę bezdzietnych biznesmenów. Jak ten czas leci. Chociaż pierwsze dni wiosny zdarzają się co roku i chociaż człowiek czuje się wtedy mniej więcej tak samo, to chyba z dziesięć lat minęło od ostatniego mojego wypadu. Wtedy miał być na dobrą sprawę tylko krótkim zwiadem przed czekającą pełnią wiosny, pełnią lata i ciepłymi początkami jesieni, które o dziwo nigdy nie nadeszły. I chociaż stałbym tutaj na tym wzniesieniu i patrzył za siebie na kłębiące się miasto i przed siebie na bloki sterczące na peryferiach i odległe wzgórza już daleko za miastem, i chociażbym właśnie tutaj stał kolejne dziesięć lat i myślał, to bym nie wymyślił, dlaczego tak się stało. I jak to możliwe, że dziesięć lat minęło tak szybko. Tuż obok zmieniło się światło, ruszyły auta formując długi, blaszany bat, wijący się w dół estakady aż do następnych świateł u jej podnóża. Bat chłoszczący powietrze, ludzkie ciała, dalekie miasto i osaczony w jego środku, widoczny stąd jak na dłoni Wawel. Pofeudalna i poaustriacka rudera, wyglądająca tak jakby zaraz miała zostać zbombardowana przez zajmujący kawał nieba nad nią okrągły balon turystyczny z widoczną aż stąd reklamą. Kilka takich Waweli mogłoby się pewnie zmieścić w miejscu, z którego właśnie szedłem. Kilka takich mogłoby tam stać jako rustykalna atrakcja dla klientów, tak żeby czuli się jeszcze bardziej wytwornie w City Center. W Bonarka City Center. Miejscu ufundowanym nad pokopalnianym bajorem, pośród morza błota wyłożonego wstążkami nowych dróg dojazdowych, pośrodku niczego, u podnóża wysokiego, okręconego kolorowymi światełkami komina sterczącego jak monstrualny lizak, słup totemiczny. Stolica krakowskiego handlu.

– Gdzie mieszkasz? – zapytała raz jedna dziewczyna koleżankę, patrzącą przez zadrukowane od zewnątrz szyby autobusu (bezpłatny autobus prosto do BONARKI!) zajeżdżającego na pełen ludzi przystanek. – W sumie blisko Bonarki, nie? – dodała kiedy tamta odpowiedziała.

– No. Blisko centrum – potwierdziła tamta.

– Tak. Centrum wszystkiego.

– Dymarka – mruknął w tym samym momencie podsłuchujący dziewczyny chłopak wiszący z wysoko podniesioną ręką na kołyszącym się, plastikowym uchwycie, jakby zgłaszał się do odpowiedzi.

Ale to było kiedyś, innym razem. Kiedy? Kiedyś. Tym razem wybrałem się tam nie bezpłatnym autobusem, tylko na piechotę. Już z daleka, ze szczytu wzniesienia widać było rozparte w dole kwadratowe budynki oklejone napisami, szkłem, kolorowymi elementami elewacji, zaklęciami i logami nadającymi im wygląd jakiegoś diabelskiego lunaparku. Jeszcze ten świecący komin jak elektryczna szczelina do innego świata, pęknięta w pochmurnym dniu, wietrze i chłodnych resztkach mokrego śniegu. I jeszcze ta pusta przestrzeń dookoła. Jakbym schodził do czyjegoś koszmarnego snu. Są takie sny, w których ulice, budynki, wesołe miasteczka stoją tak jak stały, tylko bez żywej duszy. Puste fabryki, w których niekończących się automatycznych halach i pasach transmisyjnych zamiast tuńczyka puszkuje się ludzi. Piekła czyhające na lokatorów, urządzone i gotowe, może z wyjątkiem jakiegoś migającego, popsutego neonu czy przekrzywionego napisu. Nic nie jest doskonałe. Co jakiś czas mijał mnie samochód zjeżdżający boczną uliczką dojazdową, ślizgiem jak jakiś kosmiczny bobslej, znikając prosto w niewidocznym parkingu podziemnym. Co najmniej tak, jakby znikał pomiędzy smukłymi udami którejś z modelek na monstrualnej, zawieszonej nad wejściem reklamie. Każda z nich jakby tylko o tym marzyła, żeby jej tam wjechać, rozchylała usta ledwo żywa z ochoty. Rozpalona pożądaniem i gorączką, chyba zakupów? Na plakatach i w środku było tam takich więcej. Gotowych. Podnieconych. Z szeroko otwartymi źrenicami. Dla mnie osobiście za dużych, bo czułem się niczym więcej jak samotną mrówką schodzącą w głąb tej milczącej doliny, z jednej strony zamkniętej tą właśnie moją górką a z drugiej innym, pustym, nagim, porosłym żółtą trawą garbem. Podobno z mojej górki kiedyś królowa Jadwiga oglądała Kraków po raz pierwszy (ponoć była zachwycona). Z tamtego jakby owrzodziałego garbu naprzeciwko na pewno po raz ostatni Kraków oglądali więźniowie obozu koncentracyjnego Płaszów. Tam stał. Wtedy nie było Bonarki, nie było tego jej głupiego komina, nie było ogromnego napisu Castorama na dwudziestometrowym, betonowym słupie, który konkurował z mniej kolorowym, chociaż równie wielkim i samotnym na tle chmur pomnikiem ofiar Holokaustu. Żywi do Castoramy marsz! W miarę schodzenia i zbliżania się do Centrum teren robił się płaski, a ściany wyższe i bardziej strome, tak że nie widziało się już ich z góry. To raczej one przy pomocy swoich kamer (teren monitorowany, teren chroniony) patrzyły z góry na samotnego człowieka nadchodzącego szerokim, nieuczęszczanym chodnikiem. Patrzyły, jak wypełnia sobą wszystkie ekrany, jak przystaje i omija szerokim łukiem łabędzia, który nie wiadomo dlaczego tkwił na złączeniu trawnika z chodnikiem i wyciągał szyję sycząc i kołysząc się niezgrabnie. Patrzył nieruchomo złymi, a może po prostu czarnymi ocza-

mi. Może chciał czegoś? Pewnie bał się zejść z trawy i dotknąć swoimi delikatnymi stopami chodnika. Pogoda do tej pory jasna i dobra zaczynała się już jakby psuć. Słońce zasłoniły jakieś wędrujące, szare połacie chmur. Zrobiło się chłodno i tak samo pochłodniały kolory stawu otoczonego szeleszczącym cicho, zeszłorocznym tatarakiem. Za nim, po drugiej stronie sterczała rozległa góra ziemi sypana mozolnie przez podjeżdżające co chwilę, obklejone błotem wywrotki. A u jej stóp tkwiły resztki ogródków działkowych, jakby częściowo przysypanych już tą ziemią, jakby cofające się w górę wzniesienia przed obsypującą się masą. Zostawiając po sobie krzywe jabłonki, stare i mechate magnolie czy inne resztki. Stare siatki, zarażone rdzą porzeczki i zbutwiałe altanki ze zgniłej dykty powiewające podartymi foliami jak białymi flagami. Tylko do kogo powiewały? Komu się poddawały? Może temu samotnemu człowiekowi widocznemu za szybą fitness clubu na parterze biurowca stojącego obok City Center. Może dlatego, że biegł szybko w stronę tych odchodzących w niebyt kalekich działek, jakby próbował je dogonić. W rzeczywistości pewnie ich nawet nie widział ze swojej bieżni. Może nawet nie wiedział o ich istnieniu. W zamian pokonując wyimaginowane kilometry w wyimaginowanym świecie o szklanych ścianach, które przysłaniały jego postać rozpraszającym się na szybach światłem. Wyraźnie widać było tylko jego biedną, unoszącą się i opadającą jak w zwolnionym tempie, głowę. Otoczoną właśnie tymi białymi refleksami zamiast powietrzem. Coś podobnego już kiedyś widziałem. Podobne odbicia światła otaczały śpiącą rodzinę myszy w akwarium na wystawie sklepu zoologicznego. Śpiącą i cieszącą się ciepłem swoich maleńkich i ile znaczących ciał? Nic nie znaczących. Ile znaczących przeznaczeń? Jeszcze mniej. Znaczących więcej niż ludzkie przeznaczenia? Nie, z perspektywy tego miejsca na pewno nie. Powstało centrum handlowe, powstał biurowiec, powstał fitness club i jego bieżnie, i powstanie Bóg jeszcze raczy wiedzieć co. Jakie inne piekło z jakimi innymi męczennikami, stworzonymi jakby tylko do tego. Do męczeństwa. Pośród urządzeń i budynków to męczeństwo ułatwiających, organizujących i nakładających je na te nieopisane w żadnej nieistniejącej księdze przeznaczeń życia. Nieistniejącej, bo co by to musiała być za kiepska księga. Kto wie? Może ten łabędź się po prostu bał. Ciekawe, że kiedy wracałem tą samą drogą, nie było już po nim ani śladu. A miałem już przy sobie coś, po co poszedłem do tego sklepu i co mogłoby ptaka wystraszyć jeszcze bardziej, gdyby tylko wiedział, do czego ludziom służą noże. Ale oczywiście nie wiedział, bo nie miał Internetu, żeby sobie sprawdzić, tak jak ja sobie sprawdziłem. Dowiedziałem się tam wszystkiego, co taki człowiek jak ja przed wyruszeniem w góry, w samotną drogę, musi ze sobą mieć i niestety, ale nóż był na pierwszym miejscu.

Teraz moje przemyślenia (– Des, 2007.09.11, 17:32:38, 83.21.150.245, Głosów:1). Przemyślenia co do sposobów obrony. Nie będę pisał o hałasowaniu itp. tylko o sposobach obrony przed bezpośrednim atakiem dzikiego zwierzęcia.

Dzik: nie widze wielu sposobów. Myślę że wszystko co mozna zrobic to zmniejszyc jego mobilnośc przez uszkodzenie konczyn W sytuacji eksteremalnej, gdy jestes atakowany, leżysz a dzik cie ryje, i tak jest beznadziejnie więc moznaby sprubowac wbić mu nóż w oko, tchawice, jeśli masz szczęście sprubowac ciąć od góry przez kręgosłup i przerwac rdzeń kręgowy, ewentualnie starac sie przeciąć miesnie nog.

Wilk: w razie ataku watahy albo na drzewo albo tyłem do niego. Gas, petardy zimna krew.

Tak. Nic nie napisał o obronie przed łabędziem. Trzeba było siedząc przed komputerem zmienić zapytanie i wpisać coś w rodzaju – najlepsze noże na wyprawę do lasu – Bo o to właśnie chodziło. O nóż, który sobie kupię i będę na tym wyjeździe miał. To samo dotyczyło mapy, kompasu, folii aluminiowej na kanapki... Ale jednak dobry nóż był najważniejszy. Może dlatego, że nie miałem jak do tej pory nigdy takiego. No może kiedyś dawno temu, kiedy byłem chłopcem. Żył jeszcze wtedy jeden stary myśliwy, z zawodu krawiec. Kulawy na jedną nogę. Miał psa Hałasa. Potem Wichra i potem jeszcze raz Hałasa. Rude, głupie wyżły z wiecznie mokrymi od węszenia po rosie pyskami. No i można powiedzieć, że miał do nich do pomocy mnie, chłopca. A ja miałem dla odwagi jego pożyczony nóż. Długi i niepraktyczny, bo zrobiony z przedwojennego bagnetu. Najczęściej spoczywał w skórzanej pochwie z kwiatowymi wzorami i inicjałami staruszka. F.K. Nosiłem go przy pasku i marzyłem, żeby to były moje inicjały i mój nóż. W końcu pękł. Tak jak w tej grze, papier, nożyce, kamień. Wypadł kamień. Myśliwemu rak żołądka, Wichrowi paraliż nóg i kulka, Hałasowi tylko kulka.

(– Mr. Dark Knight 33 mieszkaniec forum), Bierzcie More. Tania i dobra, szwedzka, Polecam.

(–Bad Boy, użytkownik) zgadzam się w 100%.

(– Killer44, użytkownik) popieram, sam mam, używam i jestem bardzo zadowolony.

A więc wracałem ze sklepu i miałem nóż. Tutaj na szczycie wzgórza był parking dla tirów. Taka wyasfaltowana reda, pełna pstrokatych masowców ze spłaszczonymi dziobami. Był milczący las wysokich latarni dźwigających pogaszone lampy, jakby to były szklane kiście jakichś wyhodowanych genetycznie, świecących w nocy owoców. Pod nimi, jak zakażone rany po wbiciu latarni w ziemię, ropiały wianuszki czarnego śniegu. Wyżej, spomiędzy gąszczu białych niegdyś słupów majaczył pofałdowany horyzont zlewający się z mroczniejącym od ciężkich chmur niebem. Na

jego tle jeszcze mocniej jarzyły czerwone cyfry zegara po drugiej stronie drogi i megabillboard ze zdjęciem obdartego ze skóry człowieka w pozie myśliciela. Biedak reklamował wystawę Human Body („wystawę, która zmieni twoje życie"), prezentując swój martwy mózg, mięśnie i ścięgna tym wszystkim maszynom, a one się z niego śmiały. Wiatr wiał w twarz, napełniając nozdrza zapachem zimnych, dopiero co odtajałych wzgórz, przed którymi kończyło się miasto. Za którymi zaczynało się następne. Tam chyba padało, bo z nieba spływał do samej ziemi siwy welon. A tutaj ciągle jeszcze świeciło chłodne i przygaszone, ale jednak wiosenne słońce. Zupełnie jakby coś niewidocznego odgradzało te dwa miejsca od siebie. Pomiędzy nimi była na przykład autostrada A4. Niewidoczna stąd, bo biegła niżej, po drugiej stronie osiedla, za blokami i w wykopie, ale realna. Chociaż ilekroć by nie stanąć na jednej z przerzuconych nad nią kładek i ilekroć by nie spojrzeć na auta wystrzeliwujące i znikające pod nią jak spłoszone pstrągi w płytkim strumieniu, potem pędzące dalej, zamieniające się w rozedrganą konstelację światełek, zawsze trudno było uwierzyć. Jeśli nawet nie w jej istnienie – w końcu to coś po prostu było i leżało, i biegło, i rościło sobie samo prawo do swojej upiornej egzystencji – to w materialność tego, co się widzi. Kuszącą do sprawdzenia jej, jak jakaś permanentna fatamorgana, niebezpieczna dla mieszkającej w pobliżu ludności. Bo z jakiego innego powodu trzech chłopców stojąc po szkole na kładce rzuciło na nią ciężki kawał lodu? A ten lód, zamiast utonąć bez śladu, uderzył w przednią szybę przyjeżdżającego TIR–a, a ten uderzył w bariery i zatrzymał się. Kierowca (45 lat) wysiadł z kabiny, jednak zmarł zaraz potem na pasie awaryjnym z powodu rozległych obrażeń wewnętrznych. Sprawcy zostali zatrzymani przez policję, ale czy uwierzyli? Tego już nie było gdzie wyguglować.

Jeśli była noc, zawsze można było otworzyć okno i posłuchać szumu tej autostrady. Można było nawet tak jak jeden mój kolega, który w Londynie mieszkał przy autostradzie, udawać czy wyobrażać sobie, że to szum morza. W dzień ginął pod odgłosami bliższych dróg – jak choćby tej, wzdłuż której szedłem z centrum handlowego, niosąc w torbie ten świeżo zakupiony nóż. Korzystając z zasłony, jaką dawały ekrany dźwiękoszczelne, wyjąłem go z torby i obejrzałem sobie jeszcze raz.

(–Commandos shop) Stal węglowa, Militarny Green. Klinga z wysokiej jakości stali węglowej zapewniająca wysoka „agresywność" cięcia. Ergonomiczna i teksturowana powierzchnia to pewność w każdej sytuacji. Zielona pochwa z tworzywa sztucznego doskonała do ciągłego troczenia przy pasie. Nieważne czy podczas polowania, łowienia ryb, pracy i przebywania w środowisku outdoor wybór jest prosty... ZAPRASZAMY DO NASZEGO SKLEPU C.H. BONARKA

Dlatego trzymając go w ręce poczułem się jak głupiec?

– Dzień dobry.

– Dzień dobry pani – ukłonił się sprzedawca.

– Poproszę pistolet gazowy.

– Mamy aktualnie sześciostrzałowy rewolwery...

Oprócz tego w gablotach łuki, kusze, samurajskie miecze, maczety, gwiazdki ninja, granaty hukowe, sztylety, latarki maczugi, latarki pałki, czołówki navy seal, motylki, tonfy, teleskopy i pomiędzy tym wszystkim mieli też mój nóż, właściwie nożyk. Niepozorny, ale jakie sąsiedztwo... tasak bojowy...

– Tu się ładuje.

– Tu...

– Tak. Tu odbezpiecza i miota na dziesięć metrów.

– Tu...

– Tak.

– Aha. To poproszę.

– Po zobaczeniu ceny PIN...

– I akceptuj?

– Tak.

– Jadę na Słowację, wie pan, na Słowacji...

– Transakcja przyjęta, w pudełku ma pani gwarancję.

– Do widzenia.

– Do widzenia. A pan? Bierze pan?

– Tak.

– Zaraz przyniosę z zaplecza.

Przyniósł. W końcu zostało zapłacić i szybko wyjść na wewnętrzną aleję, na którymś piętrze bez nieba nad głową i bez okien. Ruszyć szybkim krokiem do miejsc, bo są jeszcze takie miejsca na świecie, gdzie człowiek może czuć się szczęśliwy. Może czuć się człowiekiem. W których nigdy się nie pomyli, widząc seksimanekina na wystawie, że to seksilaska, i gdzie żadna seksilaska nie przypomina manekina na wystawie. Gdzie ludzie w ogóle nie przypominają przedmiotów. Nie potrzebują schodów ruchomych. Fontann podświetlanych diodowo z czterema funkcjami tryskania. Nie potrzebują palm. Ani rozpylonego zapachu kawy, ani belgijskiej czekolady, ani automatycznie rozsuwanych drzwi (podwójnych). Tylko świeżego powietrza potrzebują, tak jak ja. Bo co można było dostać tu? Najwyżej w mordę. Tak jak wtedy, w sumie pamiętam, to jakby to było dziś. Zaraz, tylko jaka wtedy była pora roku? Jesień, na pewno jesień. Oczywiście w parku, oczywiście w nocy.

– Zdziwiony? – pytał mnie ten człowiek – zdziwiony kurwo jebana? Co?

Tak, byłem zdziwiony. Byłem zdziwiony czując kłujący szpic noża na swoim gardle.

– Zabijesz mnie? – zapytałem, bo do tej pory myślałem, że chcieli tylko pobić, jak biegli z daleka rycząc jebać! – Zabijesz mnie? – zapytałem drugi raz – gnoju? – dodałem. Może dlatego, że nie dość, że ja byłem jeden, a ich trzech, to jeszcze, żeby było śmieszniej, na nogach miałem rolki. Jak tylko ich usłyszałem biegnących, to chciałem je zdjąć, ale udało się zdjąć tylko jedną. Wtedy na mnie siedzącego na ławce spadł pierwszy cios pięścią właśnie od niego. No dobrze, gnoja bez honoru, bo ja im nic nie zrobiłem.

– Zajebże go! – tak wołali ci, co stali przede mną i popychali. A ten już nie powiem kto, gnój, jak tylko się pozbierał, jak tylko się pozbierał, bo do pierwszego ciosu pięścią chciał jeszcze dodać buta, ale mu się nie udało, bo to ja tym razem dodałem rolkę, a potem jeszcze kolano prosto w tą nienawistną twarz. Nieważne. Jak tylko się pozbierał, bo za ławkę wpadliśmy obaj, ale to ja zerwałem się pierwszy tylko po to, żeby się zacząć przepychać z pozostałymi. Wtedy to tamten zza pleców kolegi przycisnął nóż do mojego gardła. Przycisnął i zamarł. Może dlatego, że tamci sobie poszli i został sam z moim gardłem, podniesioną głową, opuszczonymi rękami, jedną białą skarpetką i jedną rolką, i wulgarnymi zachętami dobiegającymi gdzieś z krzaków, żeby mnie jednak zajebał. Coraz dalszych.

– Zajeb mnie, gnoju – tak mu powiedziałem, a on nic. Stał, trzymając ten nóż w wyciągniętej ręce. – No już – usłyszał ode mnie znowu – gnoju – tego już może i nie zarejestrował, może i dobrze, bo odwrócił się na pięcie i ruszył w ślad swoich kolegów, zostawiając mnie w końcu samego. Samego w kręgu latarnianego światła jak na jakiejś samotnej planecie oddzielonej od całego układu podobnych planet, czarną otchłanią nie kosmosu, parku. Zamiast róży pod okiem dojrzewała mi śliwa. Dokąd ja przyjechałem? Tak, najwyraźniej są takie miejsca, które człowieka nie chcą. I takie, które człowieka nienawidzą. I takie, których człowiek nigdy nie pokocha z tej prostej przyczyny, że one nigdy nie pokochają jego.

Schowałem nóż do torby i pożegnałem złe wspomnienia. Nie miały teraz żadnego zastosowania. Proste skojarzenie ostrza z ostrzem. Nikogo nie było na długim, biegnącym w dół drogi chodniku, mogłem sobie swobodne zacząć śpiewać piosenkę Trebuni Tutków, ja człek wolny i ślebodny. Ja. A nie było tak? Śle-bo-dny. Centrum handlowe utonęło za moimi plecami. W torbie leżał ten nóż, można powiedzieć, że załatwiłem sprawę, mam go i dobrze. W końcu kiedyś trzeba było sobie kupić. To już miałem. Bilet na PKS miałem. Mapę miałem. Byłem gotowy. Gotowy do wyjazdu z miasta Krakowa. Tego tandetnego Babilonu biedaków otulonych betonem, asfaltem, gumą i spiralami kredytów sączącymi się do ich biednych mózgów wprost

z ubogich, ale mocno podświetlonych bilbordów. Szybkie kroki niosły mnie w stronę tych dopiero co uwolnionych od śniegu i zimy wzgórz w oddali. To była nieprawda, ale czułem się wolny. Człowiek potrafi się poczuć wolny w najdziwniejszych okolicznościach. Na przykład kiedy dostanie listy z NFZ, że figuruje w ewidencji jako nieubezpieczony. Przeczyta i zrozumie, że teraz w razie czego może już sobie zemrzeć spokojnie jak ten lis czy jeż pod żywopłotem. Nie kłopocząc całego systemu fabrycznej przeróbki chorego i martwego ciała.

Tak, śmierdziało spalinami, a mur cały był zamazany jakimiś bluzgami, kurwami, zarżnięciami, cwelami, gwiazdami Dawida itp., ale też wilgotno pachniało od gór. Nawet jeśli nie od tych widocznych na horyzoncie, to na pewno od tych następnych i tych następnych jeszcze wyższych. Może i obecnych tylko w mojej głowie, ale na pewno dobrych, bezpiecznych, łaskawych dla biednych ludzkich dusz. I gdyby nie godzina piętnasta, to te moje już spieszące się nogi i oddechy, gotowe były mnie od razu zanieść aż tam. Natychmiast i nieodwołalnie, i na zawsze. Sęk w tym, że musiałem się już naprawdę spieszyć, bo o piętnastej odbieram dzieci z przedszkola i żłobka, a było już za dziesięć. Długo zeszło w sklepie, za długo. Teraz jest za dziesięć, w przedszkolu będę o jakiejś piętnastej punkt, czyli w żłobku jakieś dwadzieścia po, czyli za późno. Bo to i tak długo dla dziewczynek – siedem godzin. Trzeba się starać odbierać je jak najwcześniej. Trzeba było się pospieszyć, zastanawiając się przy okazji, jak to się dzieje, że codziennie brakuje tych pięciu czy dziesięciu, czy piętnastu minut. Wydawałoby się, że minuty nie mają żadnego znaczenia, ale to z nich jest zbudowane ludzkie życie. Dziesięć zamienia się w piętnaście, w pół godziny, w godzinę. A godzina to jest już coś, to już jest większy kawałek życia, zwłaszcza jak tych godzin jeszcze mało się ma na koncie. Zwłaszcza, jeśli te godziny takie wypełnione od piętnastej do osiemnastej trzydzieści, kiedy jest dobranocka, kiedy potem trzeba zjeść kolację, wykąpać się, poczytać bajkę i pójść spać. Ani się człowiek obejrzy, a piętnasta przechodzi w szesnastą trzydzieści. Ile może trwać umycie naczyń? Ile narysowanie kotka? Ile napisanie zdania: budujemy domek dla szpaczka. Dość, dość, żeby z błękitnych czy orzechowych oczu wypełnionych porankiem życia przenieść wzrok na niebo za oknem pulsujące zmierzchem dnia. Dlatego trzeba się było po prostu spieszyć i szybko maszerować. Do martwego rytmu dwóch świateł skrzyżowania, do przejścia w wysokim murze wzdłuż duszącej szosy, do starej bramki, do zacienionych schodków, do potliwego gorąca, do dzieci i zapachu piątkowej ryby w panierce.

– Cześć tato.

– Cześć córeczko.

– Idę się wysikać.

– To idź.

Przez okno szatni widać było chodnik pomalowany w kolorowe tęcze, kwiaty i serca. Niedługo dołączą do nich kwiaty w ogrodzie, jeśli się tylko taka pogoda utrzyma, wkrótce wszędzie będzie tu pełno delikatnych wiosennych kwiatów. Pojawią się niespodziewanie i niewiarygodnie jak co roku. Tak samo jak codziennie na okrytych wykładziną schodach pojawia się jej drobna, usłana piegami twarz. Sama jak płatek i jej oczy koloru niezapominajek. Pamiętam, jak otwarły się po raz pierwszy. Byłem blisko, a one spojrzały wtedy prosto w moje oczy, a było tak, jakby spojrzały w moją duszę. Jakby po długim rozstaniu, jakby po długiej zimie... witaj, pomyślałem.

– Już!

Słońce padało na szybę, na błękitne płytki PCV, na jej miękkie włosy.

– Gotowa?

– Tak.

– To idziemy.

To przedszkole to była kiedyś willa pod miastem. Dzisiaj właśnie przedszkole, ukryte pośrodku ogromnego ogrodu poprzecinanego kamiennymi ścieżkami, zapełnionego klombami, rzędami krzaków róż, kępami jałowców, cisów, klonów kanadyjskich, platanów, jodeł świerków, leszczyny, magnolii i innymi gatunkami, których nigdy nie nauczyłem się nazywać. I na dobrą sprawę, którym nigdy dobrze się nie przyjrzałem przez te wszystkie lata, które zamieniły się nagle w jeden dzień. Przez wszystkie pory kwitnienia, które zbiegły się w jedną porę, wszystkie przedwiośnia w jedno przedwiośnie i wszystkie poranki w jeden poranek, i w jedno popołudnie. A jedno popołudnie tak szybko mija. Szkoda każdej chwili. Wiotka dziewczynka stała już przy bramce (bo biegła) otoczona ruchomymi cieniami, baldachimami gałęzi wiszącymi nad ścieżką, pniami, korami, skrytkami i całym innym roślinnym życiem. Nie, nie roślinnym, po prostu życiem. Jeszcze nagim i pomarszczonym, ale już darującym swoją obecność przedszkolakom jak jacyś roślinni albo ziemni i kamienni dziadek i babcia. Mieszkający za tym drogowym murem zrobionym z jakiegoś prefabrykatu, pod falbaniasto wiszącą siecią przesyłową rozwieszoną na stalowych cyklopach, pomiędzy ruchliwymi szosami, u stóp wieżowców wędrujących kawałek dalej długimi szeregami po pełnej łagodnych pagórków wyżynie. Skażonej pyłem P10, zanieczyszczonym błotem, brudnym śniegiem i popękanym, połatanym asfaltem. Oczywiście to było tylko takie wrażenie, wieżowce nie wędrowały. Były cały czas w tym samym miejscu. Zupełnie tak jak my, mały i duży człowiek, mocno trzymający się za ręce i też mogący sprawiać

wrażenie jakbyśmy gdzieś wędrowali. Czy to wzdłuż linii krawężników, het, aż po linie bloków obrysowane linią horyzontu, czy może nawet i dalej? Gdzieś tam, nad czym mętnieje teraz pole szarych chmur, albo jeszcze dalej – gdzieś tam, nad czym błękitnieje bezdenna w tych chmurach szczelina. Ale to za daleko. Zresztą co można powiedzieć podczas wędrówki, jeśli po raz enty mija się to samo miejsce? Na przykład ten sam stojący na jednej nodze karmnik dla wszystkich ptaków, chociaż korzystały z niego głównie gołębie. Co powiedzieć? Że chodzimy w kółko? Że zabłądziliśmy?

– Tato?

– Tak?

– Opowiesz mi historię?

– A na czym skończyliśmy?

– Achilles...

– Już wiem... Achilles krzyknął – odchrząknąłem. – Długo to pod murami Troi mamy marnie ginąć?!

Plac targowy był złożony z dwóch rzędów blaszanych budek, to na ich tyłach stał ten karmnik pełen głębi. Tak nazywała je młodsza córka. Budki, półki i lady uginały się pod ciężarem towarów i codziennie tych samych od lat słów, spojrzeń i czynności. Było już bardzo późno, na zegarze w nabiałowym piętnasta dziesięć. Na zegarze w mięsnym piętnasta dwadzieścia. Odmierzał czas bladej masie pokrwawionego towaru, dziewczynce ze spłaszczonym na szybie gabloty nosem, paniom w średnim wieku za ladą, kolejce. Kolejce wolno. O czym myślało to dziecko patrząc tak uważnie na stertę poobcinanych kurzych stóp z pazurkami i delikatny ozór cielęcy? Że jesteśmy potworami? Nie, tak myślę ja. Może o lizaku, bo panie sprzedawczynie nigdy nie zapominały o lizaku.

Sprzedawca warzyw Pan Piotrek nie miał zegarka.

– Cześć przystojniaku – przywitała się z nim klientka przed nami.

– Cześć – przywitałem się ja.

– Słucham – powiedział on.

Z tego co mówił, wstawał codziennie o drugiej w nocy, jechał na giełdę, o ósmej rozstawiał skrzynki i stał pod wielkim parasolem przez resztę dnia, chlipiąc kawę z mlekiem ze szklanki z uchwytem, do którego ledwie mieścił się jego poznaczony czarną pajęczyną palec. Spał krótko, ale spokojnie, bo gówna jak inni nie sprzedawał. I był też tym typem człowieka, któremu zawsze potrafiło się dużo przyśnić (z detalami). Jak na przykład łowi ryby w Hańczy, tak że wcale nawet nie musi tam jechać albo żałować, że go tam nie ma. Albo jak jest chłopcem i się kąpie w jeziorze, a mama woła go z domu na obiad, tak że wcale nie musi nawet przypominać tego sobie, bo tak jakby ciągle ją i widział, i słyszał. Lubił naszą dziewczynkę,

bo kiedyś, kiedy zapytał jej, kim chciałaby zostać w przyszłości, odpowiedziała, że mamusią. Pokiwał tylko głową.

– Ja na przykład, zawsze chciałem zostać sprzedawcą warzyw – powiedział wtedy. Odstawił kawę, nałożył ziemniaków, podał, odwrócił wzrok.

Zawsze twierdził, że grunt to wiedzieć, czego się chce.

Dalej nasza droga – jak zawsze – wiodła długim chodnikiem, biegnącym pośród tak samo długich i prostych pasów zieleni, poprzekładanych pasami asfaltu i pasami torów tramwajowych, ogrodzonych od reszty dodatkowym, metalowym płotem. Cały czas, jakby w tle, sunęły po nich z łoskotem nowoczesne tramwaje i śmiało można powiedzieć, że było to tło naszego życia. Tak samo jak i ten chodnik był chodnikiem naszego życia. Prowadzącym daleko pośród byłych pól i sadów. Dość daleko, żebym mógł śledzić wzrokiem oddalającą się coraz bardziej sylwetkę ukochanego dziecka, które akurat biegło do kosza na śmieci, żeby wyrzucić patyczek po lizaku–serduszku. A miało się wrażenie, jakby biegło w głąb własnego przeznaczenia, zostawiając mnie mojemu własnemu. Które nagle stało się wyraźne i dopełnione. Móc patrzeć na jej coraz dalsze plecy, gibkie i sztywne jednocześnie. Nie mogące iść równo ze mną, obciążonego zakupami, płaszczykiem przeciwdeszczowym i kaloszami na wypadek, gdyby się rozpadało, zanim zdążymy dojść do podnóża piętrzącego się w oddali kanciastego wieżowca, będącego naszym domem. Domem naszego wspólnego życia. Wyrzuciła patyczek.

– Poczekaj na mnie dziewczynko!

Stanęła, odwróciła się twarzą, machała. Tuż za nią wiatr rozdmuchiwał zwieszającą się do samej ziemi wierzbę, pokrytą już zielonkawą mgiełką. Rozdmuchiwał też jej długie włosy tańczące wokoło jej głowy jak żywa aureola. Chociaż przecież akurat włosy były w niej jedyną martwą rzeczą. Jedyną rzeczą nieśmiertelną. Mityczną jak złote węże z któregoś z kurhanów.

Ten nasz chodnik właściwie przypominał aleję nigdzie nieistniejącego parku. Zwłaszcza przez pierwsze dwadzieścia czy trzydzieści metrów idąc od targu, bo z jednej strony mijało się brzozowy zagajnik, a z drugiej wysoki płot z czegoś w rodzaju czeremchy. Splątane gałęzie krzewu chroniły nas od drogi i rozpraszały światło, obsypując nim zacienione betonowe płyty, które w efekcie jakby kołysały się razem z nim. Między brzózkami zwykle stali mężczyźni, wypijali swoje puszki piwa i szli dalej. Zawsze był też ten sam wąsaty człowiek, którego chyba jedynym zajęciem odkąd przeszedł na emeryturę pomostową czy rentę, było okrążanie osiedla i codzienne mijanie nas. Robił to jak jakaś ubrana we flanelową koszulę, powolna sate-

lita jakieś ciemnej strony, jakiegoś księżyca. Można powiedzieć, że towarzyszyła nam ona zawsze cokolwiek byśmy nie robili, skądkolwiek szli, na jakimkolwiek etapie wspólnego życia tutaj. Nie zapomnę na przykład tych zimowych butów, w najmniejszym możliwym rozmiarze, jaki tylko można było dostać w secondhandzie. Były pęknięte i zrobione ze srebrnego plastiku à la buty kosmonauty. Minęło sześć lat, od kiedy to dziecko zrobiło w nich te swoje pierwsze kroki na tej planecie i to było tutaj. Tu. Ten sam człowiek wolno przechodził wtedy obok nas. Patrzył tym samym pustym wzrokiem. W rękach miałem te same reklamówki, w których zakupy przypominają pęk śmieci. Mrowie światełek nikło pośród listopadowej mgły jakby należały do jakichś zelektryfikowanych kopców termitów. Pośród których jeden z ich małych nic nieznaczących mieszkańców, stawiał swoje pierwsze kroki w swoich kosmicznych butach Apolla. Poznając co to drżenie dywanu gnijących, późnojesiennych liści, wywoływane ciężarem przejeżdżających obok samochodów ciężarowych. Ważna wiedza, z którą musiał się mały osobnik oswoić, jeśli chciał być szczęśliwy. Jakoś tak to było. Od tamtego czasu wszystko zostało, wszystko jest takie same i już zawsze takie będzie z wyjątkiem tych pierwszych kroków. Minęły jak choroba, odeszły i już nigdy nie wrócą, pozostawiając w zamian susy i tiptopy na co drugą płytę, po krawężniku i wzdłuż pęknięć w powierzchni. Susy, które wyprowadziły nas tym razem śpiesznie (młodsza córeczka w żłobku, a na komórce godzina piętnasta trzydzieści, bardzo późno) z ciemnej niby alei na otwarty teren.

Mieszkały tu stada gawronów. Pasły się czarnymi szeregami na rozległych trawnikach. Nie pamiętam, w którym roku życia, od której z moich córek nauczyłem się rozróżniać gawrony od innych przedstawicieli rodziny krukowatych. Bardzo je lubiliśmy, nawet jeśli nie była to obopólna sympatia. Witaliśmy je każdej jesieni i żegnaliśmy każdej wiosny. A że mijaliśmy się codziennie, byliśmy, można powiedzieć, z nimi zżyci. Chociaż kto wie? Może i one były nam w jakiś sposób przychylne, chociażby za resztki jedzenia i psie kupy, w których mogły pogrzebać i żyć. Nam, to znaczy w ogóle ludziom, bo już nie mnie i nie dziewczynkom. My nie mieliśmy psa i nie rzucaliśmy pożywienia. Wydawało nam się to zawsze zbyt kłopotliwe. Zwykle tylko przechodziliśmy obok nich, podziwiając atramentowe refleksy na piórach i szliśmy dalej, a ja myślałem o tej granicy nie do przebycia dzielącej nasze światy. Gdybym sobie próbował wyobrazić tą słynną przepaść dzielącą zbawionych od potępionych, wyobraziłbym to sobie właśnie tak. Tylko po której stronie leży co? Bo one także patrzyły na nas. Czy zazdrościły nam naszych ciepłych, betonowych schronień, supermarketów i pracujących na zmiany rzeźni? Czy może nami z tych właśnie powodów pogardzały? Chociaż najprawdopodobniej po prostu pilnowały, żebyśmy się za bardzo

nie zbliżyli, w razie konieczności odskakując odważnie te zaledwie kilka kroków dalej. Przeżyły zimę bez dachu nad głowami. W ciemnościach i na śniegu, a przecież miały takie same ciała jak nasze. Kiedy przyjdzie na nie czas, po prostu odlecą na północ i nie będą nikogo pytać o pozwolenie.

– Tato idziemy?

– Idziemy.

– Opowiesz mi historię?

– Nie.

– Dlaczego, przecież obiecałeś!

– Spieszymy się córeczko... naprawdę...

– Ale obiecałeś.

– Innym razem.

Poszliśmy. Zapanowała obrażona cisza. Skąd ja mam brać te wszystkie historie? Chętnie bym oswoił jednego gawrona, ale bałbym się, czy kiedyś, jak będę spał, nie wydziobie mi oczu. Bałbym się, że taki ptak nie umiałby odróżnić kogoś martwego od śpiącego. Koty obgryzają palce trupom, psy wyją w kątach mieszkań. Co robią gawrony nietrudno się domyślić. Chociaż zawsze to byłby jakiś pomysł na pochówek. W swoich żołądkach zaniosłyby mnie nad górami do nieba, zamiast do którejś z pretensjonalnych lokalnych nekropolii, gdzie jeszcze lata po twojej śmierci będą twoim dzieciom przysyłać rachunki za wynajęcie tego kawałka ziemi z żałosnym najczęściej pomniczkiem. Czego? No właśnie, czego? Klimatu dostojnie płonących zniczy, fałszywej powagi i tej całej cmentarnej szopki, od której co najwyżej można puścić pawia. Dziewczynka szła raźno, odgarnęła warkocz i spojrzała przelotnie na mnie, jakby wyczuwała, że coś jest nie w porządku z moim myśleniem. No dobrze, było, ale akurat to będzie na zawsze moja tajemnica.

Była trochę blada, pewnie zmęczona od tego hałasu, od tłumu dzieci. Ogromne stado, tym razem chyba wron, rozczerniło się w poprzek różowiejącego, burego nieba. Kiedy przekroczyliśmy przejście dla pieszych (na zielonym oczywiście i za rękę) a głowa tego pierzastego węża właśnie przelatywała nad nami, wydawał się nie mieć końca. Wciąż nowe ptaki wyłaniały się zza wzgórza i ginęły po przeciwnej stronie nieba. Tak jak my tutaj zagłębialiśmy się w osiedle, schodząc coraz niżej między bloki i parkingi, tak one odrywały się od niego, lecąc coraz wyżej i dalej, mimo że były ulepione z tych samych podłych półproduktów co cała, pozostała w dole reszta. Z tych samych materiałów, z tą różnicą, że obdarzonych skrzydłami. Widocznie Bóg chciał, żeby latały, to latają. Z wysypiska śmieci ukrytego litościwie za autostradą i górką, prosto na tereny leżącego po drugiej stronie miasta kombinatu. Tam miały cieplej i nocowały wśród pieców, kominów,

węgla i sadzy. Wyobrażam sobie, że jeszcze bardziej czerniąc noc. Tworząc kiwające się we śnie plamy żywego cienia falującego tam, gdzie nie powinno go wcale być. A w ciągu dnia nadawały swoim codziennym przelotem, bo robiły to codziennie, nowy eschatologiczny sens odpadkom niesionym w swoich żołądkach, na tle chmur, na tle zachodzącego słońca, wczesnego księżyca i połyskujących wysoko samolotów. Może też i nam idącym właśnie w dole, już trochę zdyszanym pod ciężarem zakupów (ja), pod presją czasu, wyrzutów sumienia (znowu ja), że jednak można było dziecku opowiedzieć tę jakąś historię, ale się nie miało weny. Nam idącym i trzymającym się za mocno zaciśnięte ręce tak, że żadna siła nigdy nie byłaby w stanie ich rozłączyć. I nam schodzącym chodnikiem w stronę placu zabaw, obok kiosku Ruchu, obok sklepu monopolowego, wśród ławek, żywopłotów, samotności żelaznych huśtawek, pośród roztopów i pośród naszej własnej samotności, stokroć może i gorszej. Gorszej, bo rosnącej z każdym rokiem, który będzie nas od siebie oddalał. Dookoła nas rozciągała się ta sama wielka, codzienna, pusta przestrzeń, połyskująca podmokłymi trawnikami, kałużami, stopniałym śniegiem. Ta sama zamknięta lodziarnia. Komis wózków i wypożyczalnia strojów karnawałowych. Upadający mały, osiedlowy sklepik. Te same zjeżdżalnie będące teraz zjeżdżalniami donikąd, w błoto. Ci sami ogorzali handlarze narkotyków siedzący na pochowanej w rzadkich krzakach amfetaminie jak zmokłe kury na jajkach. O tej godzinie już całkiem pijani. Tak samo jak ich byłe koleżanki z klas, byłe dziewczyny czy sąsiadki, a teraz spacerujące to tu, to tam prostytutki. Dumne młode mamy na pierwszych spacerach mijały je jak obojętne ciała niebieskie. Krążące wokoło dużego statku piratów, karuzel i pełnych kakaowego błota piaskownic. Wokoło pełnego alkoholików blaszanego śmietnika z napisem Jude shop. Te same dwie rozłożyste olchy. Człowiek uprawiający jogging, człowiek bezdomny. Nadobny gołąb sierpówka śpiący wysoko w konarach jednej z olch, jakby wycięty z gęstniejących w tle chmur. Ksiądz z olejami. Żłobek. Druga dziewczynka, jej drobne nóżki, pachnące zupą włosy i małe, mocno bijące serce. Czy to w nim kryje się to życie? Moje na pewno tak.

Pół godziny później leżąc na dywanie patrzyłem na wolno pęczniejące za szybą światło latarni. Światełka w piętrzących się aż pod mokre niebo oknach zapalały się inaczej, szybko jak mrugnięcia powiek jakiejś ogromnej betonowej istoty. Krople deszczu spływały po szybie rozszczepiając snopy reflektorów parkujących pod blokiem aut. Gdzieś nad naszymi głowami poszczekiwał pies. Podłoga była twarda, ale to dobrze robiło moim kościom. Twarde kolana dzieci, jedne oparte o moje plecy a drugie o brzuch, dobrze robiły reszcie mojej osoby. I to już niezależnie od tego, czy stanowi ją samo to ciało, czy cokolwiek jeszcze więcej ponad to. Chwilowo wystar-

czało mi tego ciała. Ciała leżącego na zimnej podłodze, w ciemniejącym dwupokojowym mieszkanku, otoczonym deszczem. Jak w grobowcu. Moje ciało. Grunt, że nie samo. Póki co, widzące utkwione na sobie dwie pary spokojnych oczu, czujące na sobie ciepłe rączki, poczochrane włosy i umierające, i rodzące się wciąż na nowo w ciałach moich dzieci, oddechy. Naga wierzba falowała, misterne gałązki brzóz trwały rozciągnięte w powietrzu jak czarna pajęczyna, zza której migała popsuta świetlówka w okienku korytarza na czwartym piętrze wieżowca naprzeciwko. Wszystko to malowało się za odsłoniętym oknem, które wisiało nad nami jak jakaś zajmująca pół ściany ikona. Emanująca nie tyle złotą, co szarawą poświatą, sączącą się zza cieknących wodą chmur. W ogóle co to za kiepski pomysł z tym złotem na ikonach, a raczej co za brak pomysłu na wieczność. W tamtym momencie wieczność wydawała mi się właśnie szarawa. Wypełniona rzucającymi na wszystko cienie rzeczami. Drzewami, balkonami, antenami, chmurami i tłoczącymi się na szybie kroplami. Może łzami niewidzialnych, a na pewno nie złotych aniołów. Dlaczego płaczą? Płaczą z powodu rozstania.

Dzieci wstały z dywanu i poszły się bawić, ja jeszcze chwilę poleżałem sam, i wstałem zasłonić żaluzję, żeby wszyscy przechodzący chodnikiem nie gapili się na to, co mamy w mieszkaniu. Zasłona opadła z brzękiem, trzeba było zapalić światło. Obok fotela stał do połowy spakowany plecak, wierny druh, można powiedzieć. Obok niego śpiwór przeznaczony do spania nawet w bardzo niskich temperaturach i złożony namiot zaprojektowany do najbardziej ekstremalnych warunków pogodowych. Można go było rozstawić gdziekolwiek i tam czuć się wolnym i szczęśliwym. Będzie można czuć na twarzy wilgotny chłód, podczas gdy reszta ciała będzie rozpływała się w ciepłym kokonie. Będzie można zobaczyć gwiazdy, wiadomo, nie w namiocie, tylko gdyby była pogoda można nie rozbijać namiotu. Można zapalić małe ogniseczko. Przygotować trochę drewna i ułożyć się ze śpiworem obok niego. Z twarzą wystawioną na chłód, patrzeć w rozpadające się w ogniu gałęzie tak długo, aż na granicy snu zacznie dostrzegać się w nich najróżniejsze kształty, wizerunki z przeszłości i przyszłości. Patrzeć tak długo, aż zobaczy się swoją własną śmierć. Z tymi gwiazdami, no właśnie, gwiazdami nad dotlenioną głową. Przez to, że znajdującą się w położeniu podobnym do pierwszych głów pierwszych ludzi, to lepiej rozumiejącą wszystkie te pojęcia, które oni kiedyś wymyślili, a pozostałe pokolenia wypaczały przez setki lat aż do teraz, dostosowując je do swoich najczęściej żałosnych uwarunkowań. Takich jak na przykład moje. Kosmiczni turyści płacą miliony, ja zapłaciłem trzydzieści pięć złotych za bilet do gwiazd. Leżał na szerokim, błyszczącym biurku jak zupełnie posiwiały listek. Tak, można tak powiedzieć, bo patrząc na niego, słuchając bębnienia deszczu o blaszany parapet

i dziecięcych głosów z pokoju obok, sam poczułem się jak drzewo, z którego mógł ten listek odpaść. Może pierwszy, a może ostatni. Drzewo wybierające się pekaesem na wycieczkę, drzewo jadące pekaesem do gwiazd. Wyobrażacie sobie? Drzewo w kosmosie? Jak wiruje, kręci się bez sensu, jest mu zimno, nie umie wrócić do domu, jest samotne i tęskni za ziemią.

Kot siedzący cicho na ciepłym kaloryferze patrzył na mnie przepastnymi oczami. Nigdy nie można było zgadnąć, co wyrażają. Iskierki pełgały gdzieś po powierzchni, ale głębiej otwierała się jakaś bezdenna toń. Toń nieskończonej głupoty, tak też nieraz myślałem, ale nie lubiłem tych myśli. Były nie w porządku wobec kogoś, kto (wiem to teraz) niedługo zostanie oderwany od swojego ukochanego kaloryfera przez zwykłą kocią śmierć. Kogoś kto zostanie znaleziony w mokrej trawie pod krzakiem bzu z tak nieporządnym futrem, wyszczerzonymi, żółtymi kłami i delikatnymi nozdrzami pełnymi muszych jaj. Tylko oczy z wtedy i oczy z tej martwej nieodległej przyszłości, która teraz też jest już przeszłością, tylko one pozostawały takie same. Wcale nie głupie. I jakby wcale nie martwe. Tylko pełne zwykłej chęci łaszenia się do tych, których ciepło ogrzewa jego własne zawsze zziębnięte, niezależnie czy za życia czy po śmierci, ciało. Deszcz bił o parapet. A kot widząc, że ja też mu się przyglądam, zrobił koci grzbiet, z cichym pacnięciem zeskoczył na panele i podszedł, żeby się poocierać o nogi. Wziąłem go na ręce. Głaskałem po głowie i reszcie biało-burego futra. – Nie bój się – powiedziałem wtedy już nie wiem do kogo, do siebie czy do niego. Powinienem był do niego. – Taki los.

A na przykład mój los, to było wstać jutro o tej w pół do piątej rano, zetrzeć z siebie obecność śpiących... To znaczy najpierw obecność śpiącego mi zwykle na głowie kota, a potem odsunąć ciepłe ramię mojej kochanej żony, odsunąć tak, żeby nie obudzić leżącej w poprzek nas młodszej córeczki, żeby móc okryć jak zwykle odkrytą i rozkopaną starszą, śpiącą z rozchylonymi ustami i różowymi wypiekami na bladych policzkach. Na palcach ubrać się, założyć plecak i wyjść na zanurzony jeszcze w ciemnościach rześki, a może po prostu zimny, świat. Wsiąść w ten autobus tak jak zaplanowałem, jak wymaga od tego moja natura obieżyświata, prawdziwego samotnego wilka i znowu poczuć się jak ktoś. A nie jak wieczne coś. Coś czym byłem już tak długo, że nieraz bałem się, że już nie ma dla mnie innego życia i że jest mi już wszystko jedno, jak to zwykle jest wszystko jedno każdej, pierwszej z brzegu rzeczy. Tak, najwyższa pora była udowodnić sobie, oczywiście próbnie, że nie moje przeznaczenie jeszcze mnie nie przygniotło zupełnie i nie zmieniło w kogoś zupełnie innego. Kogoś, kto nigdy nie wyjedzie z tego skupiska ludzi, chociaż tak mało ludzkiego. Kogoś, kto nigdy nie wyjedzie chociażby na te parę dni, bo mu będzie szkoda

nie wiadomo czego. To wszystko prawda. Tyle tylko, że pośrodku szklanej doliny, u stóp kanciastych gór i nad brzegami równych, szarych rzek wijących się jak poplątane przez kogoś wstęgi, tutaj byłem pasterzem dwójki dzieci i jednego kota. Kota można właściwie było (o czym jeszcze wtedy nie wiedziałem) już nie liczyć. Albo liczyć za połowę. Dzieci było dwoje. Dwa razy więcej ode mnie jednego. Akurat wróciły do pokoju, usiadły przy swoim małym stoliku i zaczęły kolorować księżniczki. Sam im je rysowałem. Ułamki kredek świecowych i pasteli sypały się prosto na podłogę i dywan, który kiedyś przywiozłem z dalekiej podróży. Kolorowe okruchy sypały się na niego sukcesywnie, zacierając misterne wzory. Lampa odbijała się mgliście w lakierowanej powierzchni zamkniętych żaluzji. Rozświetlała kontury pochylonych nad stolikiem płowych główek, rozmywała zarysy łagodnych szyj i drobnych ramion. Deszcz szumiał.

Patrząc na bilet autobusowy wciąż leżący na biurku, można było się tylko cieszyć, że postanowiłem go kupić z wyprzedzeniem i mam. W końcu mieć bilet to już prawie jakby zacząć podróż, wyprawić się po niego na dworzec, to już prawie jakby wyprawić się w ogóle. Nie była to jakaś wielka podróż, ludzie przemierzają kontynenty i oceany. Jednak idąc wzdłuż ściany snack barów, budek z pączkami, wózków z obwarzankami i stoisk z używanymi książkami, czułem ucisk w sercu, jakbym chciał jechać nie wiem jak daleko i na nie wiem jak długo. Ile mówiłem? Jakieś trzy dni powinny wystarczyć na początek. Przecież cała wiosna przede mną. To były jej dosłownie pierwsze dni i wciąż po kątach i koło schodów do dworca zalegały kupki śniegu. Cała masa soli i piasku pokrywała czarną drogę prowadzącą do schodów. Usmarowane jak nieboskie stworzenia gołębie zabrały się za gruchanie, połyskując fioletowymi koliami. Bezdomny, który podszedł poprosić o pieniądze, miał kropelki potu na czerwonym czole. Sporo ludzi przechodziło to w tę, to w tamtą stronę, ale z jakiś powodów miałem wrażenie, że dostrzegam tylko tych biednych, samotnych, w brudnych dżinsach, rozczłapanych adidasach. Czekających na busa. Z zadartymi głowami studiowali rozkład jazdy zawieszony na ścianie dworca. Wpijali się zmęczonymi oczami w nazwy swoich miejscowości, jakby dzięki temu już tam trochę byli. Obciążeni kraciastymi torbami, czasami bez bagażu, za to z reklamówką albo skajowym neseserem. Nie wiem dlaczego dwóch starszych taksówkarzy przepychało się i obrzucało wyzwiskami, a jednak robili to. Nie chciałem być wciągany w awantury taksówkarzy. Wdychając zapach cudzych papierosów nie mogłem pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, że ja też jestem tak samo biedny jak oni wszyscy. Jestem takim samym nikim. Tak samo bez pracy, bez porządnego ubrania i uzębienia i choćby domu. Nawet biedniejszy od tych tu, bo nazwa miejscowości, do której chciałem

się koniecznie dostać, nic mi nie mówiła. Była taką samą zimną i obmierzłą nazwą jak nazwa miasta, w którym się znajdowałem (i znajduję), łącznie z wszystkim tym obcym, co się w nim znajdowało. A obce wydawało się prawie wszystko. Z tego powodu, kiedy stanąłem w kolejce do jedynej otwartej kasy, przeczytałem, że toaleta kosztuje 2 zł (dwa złote! Za odlanie się. A jak bym nie miał?) i kiedy wreszcie kupowałem ten bilet, to czułem się nawet od tych wszystkich ludzi gorszy. Bo to, że tam stałem, było tylko moją fanaberią, zwykłym kłamstwem. Czułem się winny kłamstwa wobec prawdziwych ludzi zajętych prawdziwym przetrwaniem, zajętych powrotem do prawdziwych domów pełnych dzieci, a nie metaforycznych, ludzi zajętych tkwieniem w prawdziwej beznadziei. Czułem się winny kupowania biletu na jutro, nikt tutaj tak nie robił i nikt tak nie myślał. Dlatego szybko wyszedłem z holu. Hot–dog czy zapiekanka, którą bym normalnie zjadł w dworcowym klimacie, wydała mi się wstrętna. Z białym wydrukiem w kieszeni ruszyłem w drogę powrotną do domu. Żeby zrobić ostatnie zakupy przed wyjazdem (ten nóż i mapa) i zdążyć odebrać dzieci z instytucji, bo już szczerze mówiąc od rana trochę się za nimi stęskniłem.

Uchyliłem okno i przytknąłem twarz do wąskiej szpary. Już nie pachniało wiosną. Na zewnątrz prosto z przygniecionej tonami betonu ziemi zaczynał rosnąć wieczorny chłód. Zimno zamiast pierwszych kwiatów. Skądś spoza bloków, które wydawały się nie kończyć nigdzie, napływał zapach zimy. Tam w górach między czarnymi drzewami o pniach aż spływających od wilgoci, leżało jeszcze na pewno sporo śniegu. O ile w południe, przy pełnym słońcu co chwilę wyglądającym spoza chmur, można było mieć nadzieję, że jest go tam mało, tak patrząc jednym okiem przez szparę na puste przestrzenie osiedla było się prawie pewnym, że leżało go tam pewnie wszędzie co najmniej po kolana. Na pewno zalegał tam ciemno i mokro, błyszcząc się czasami od księżycowego światła tak, jak w świetle latarni błyszczały się pod naszym oknem aluminiowe felgi jakiegoś samochodu. W mieszkaniu było ciepło. Na kaloryferze spał kot, jeszcze wtedy we własnej osobie, a nie jako natarczywe przywidzenie, jak to zdarzało się potem. Patrząc przez ciemny i zastawiony różnymi rzeczami przedpokój, widziałem w szerokiej, żółtej szczelinie uchylonych drzwi do łazienki ciałko kąpiącej się młodszej córki. Musiałem ją ściągnąć wzrokiem, swoją drogą, czego to może być dowodem, że się ściąga ludzi wzrokiem, jakiego prawa fizyki? Tak czy siak musiałem to zrobić, bo dziewczynka odwróciła się do mnie i pomachała mokrą rączką. Z wanny wystawała jej tylko głowa, a śmiech połączony z pluskiem parującej wody dolatywał aż do pokoju. Odkąd przyszła na świat i jej siostra też. Odkąd przyszły na świat czas, mój czas, przyspieszył. Lata przestały mieć jakiekolwiek znaczenie, co naj-

wyżej mniej więcej takie, jakie mają godziny. Tak, dzieci rosły, ale ja, tak czasami czułem, malałem. Najpierw malałem do rozmiaru pozwalającego zamieszkać w ich maleńkich, zaciśniętych piąstkach, kiedy przez większą część dnia spały, a w mieszkaniu nie było słychać niczego poza stukotami windy za ścianą. Malałem, żeby równać swój krok z ich pierwszymi krokami. Żeby wyruszyć w świat tak daleki jak drugi pokój... moje kochane, było kiedyś i tak. Wyruszyć w świat tak ogromny jak plac zabaw i bezkres nieba tkwiącego w ich oczach, kiedy leżeliśmy zmęczeni na taniej sofie, a one piły mleko z butelki. Widziałem tylko te oczy i malałem tak, żeby w nich móc zamieszkać. W końcu zamieszkałem w nich jak w domu. W ich domu, który przez te lata poznawałem. Te wszystkie jego drzewa między przejściami do dużych i małych piaskownic. Do osiedlowej sieci huśtawek w studniach albo u stóp szarych klifów z wielkiej płyty, albo zagubione na wyschniętych wzniesieniach wśród wysokich traw, siatek parkingów strzeżonych, słupków, śmietników, ławek, sklepów i pachołków. Wszystkie trasy do żłobka i przedszkola, a jeszcze wcześniej wszystkie trasy długich spacerów ciągnących się całymi cichymi popołudniami i rankami pełnymi jazgotu wróbli. Ciche miejsca, ciche, bo opuszczone przez ludzi, a zasiedlone tym, co po sobie pozostawili i zapomnieli. Miejsca na obrzeżach. Na krawędziach osiedli, kwartałów, dróg i map. Gdzie można było z głową wtuloną w moją pierś, samemu będąc jak rozbitek na obcej wyspie z szeroko otwartymi oczami, odkryć to dla siebie. To wszystko krok po kroku, zanim nauczy się mówić i nazwie się to domem. I zanim ja też nazwę to domem i to tylko dlatego, że zapytany. Nie mogąc okropieństwa nazwać okropieństwem, tylko naszym jedynym prawdziwym, bo pierwszym i ostatnim, kochanym, przepełnionym wspomnieniami, życiem i dobrem, i Bogiem, domem. Domem małych ludzi. Ja też byłem mały, siedząc w ciemnym pokoju pełnym książek, słuchając plusku wody w wannie i przytłumionych głosów. Patrząc na leżącą na biurku mapę (złożoną) i ten nieszczęsny bilet nie wiadomo po co kupiony tak wcześnie. I ten nieszczęsny nóż kupiony tak drogo. Myśląc o świecie, w który nareszcie wyruszę jutro rano. Ogromnym świecie. I obcym świecie. O mojej jednostronnej, platonicznej miłości do niego. Może nie do końca platonicznej, na pewno jednostronnej. O śniegu. O długich godzinach w samotności. O sensie samotności. O wcześnie zapadających ciemnościach. Niedźwiedziach śpiących w gawrach na samych dnach jarów. Słodkich jarów. Jarów mojej młodości. Moich świątyń popodpieranych kolumnadami z aksamitnych jodeł, podtrzymujących na sobie całe rozchwiane sklepienie. O rozciągających się u ich stóp sekretnych rafach koralowych pełnych wygnitych pni sterczących koloniami, podczas gdy ponad nimi przetaczały się długie fale wzgórz.

Kiedy na moich kolanach pojawiło się to pachnące mydłem i znoszoną piżamą dziecko? Pewnie w momencie, kiedy poczułem szybkie bicie niezmordowanego serduszka w maleńkiej klatce piersiowej. Jej czas upływał także, a to bicie można by równie dobrze uznać za tykanie zegara. Zegara jej czasu.

– Nie jedź.

– Pojadę córeczko.

Musiałem. Czym bym się stał, gdybym nie pojechał? Nie wiem, ale nie byłbym już na pewno sobą. Pamiętam, co zawsze powtarzał nam ksiądz, kiedy byliśmy jeszcze małymi ministrantami. Często zwracał się do nas zaraz po zejściu z mszy. Górował wtedy nad nami w wilgotnej zakrystii, już bez ornatu, ale jeszcze w śnieżnobiałej albie, z twarzą gładko wygoloną, zarumienioną dopiero co wypitym winem i jakby lśniącą jeszcze jakimś boskim lśnieniem. Podnosił palec wskazujący do góry i powtarzał, powtarzał, powtarzał. Że nawet jeśli mama namawia nas przed porannym służeniem, żebyśmy zostali w łóżku i nie szli, albo żebyśmy sobie jeszcze pospali. Nawet jak mama tak mówi, to żebyśmy, chłopcy, pamiętali, że to szatan przez nią przemawia. A my wdychaliśmy zapach kadzidła, pasty do podłóg i dopiero co pogaszonych świec i słuchaliśmy go pilnie. I tak samo pilnie wstawaliśmy. Co do mnie, nawet w najtęższe mrozy i najciemniejsze listopadowe poranki, właściwie jeszcze noce. Długo przed wschodem słońca, kiedy na świecie, jak mówią chyba wszystkie możliwe tradycje, których wtedy nie byłem świadomy, kiedy to na świecie pojawiają się różne dziwadła. Czyhają zwłaszcza na takich jakim ja byłem (ministrantów po cywilnemu, ale z siatką, a w niej komżą), czyhają zwłaszcza pod mostami rozwieszonymi nad rwącymi strumieniami, które musiałem przekroczyć śpiewając na głos „Mój mistrzu"... Na szczęście nigdy po drodze nie spotkałem niczego bardziej dziwnego niż raz czarnego koguta siedzącego wysoko na samotnym drzewie, rosnącym naprzeciwko zarośniętego krzakami, połemkowskiego cmentarza.

Wtedy, w tamtym czasie, nie było wątpliwości, gdzie są głosy szatańskie, a gdzie anielskie. Umiałem je rozróżniać, albo po prostu rozróżniałem je. Wygląda na to, że przestałem. Bo siedząc bez ruchu w pokoju, zaraz potem jak odesłałem dziewczynkę do łóżka, nie wiedziałem, czy jestem szczęśliwy, czy smutny. Nie. To nieprawda. Tak naprawdę zastanawiałem się, dlaczego jestem smutny. I czy to znaczy, że już zawsze taki będę? Zwycięzcy się cieszą. Smucą się przegrani. Odstawiłem suszarkę zawaloną najkolorowszymi częściami dziewczęcej garderoby w rodzaju rajtuz, spódnic, majtek i skarpetek. Uchyliłem zasłonę, otwarłem drzwi na balkon. Zupełnie jak w tym śnie, który później czasem śniłem, w którym przez otwarty balkon, po skleconej specjalnie dla niego drabince, wchodzi do mieszkania

nieżyjący kot, a za nim inny, też nieżyjący i o dziwo jeszcze inny, nieżyjący od dawna pies. Cały pakujący się radośnie do mieszkania zaświatowy zwierzyniec. No więc zupełnie jak w tym późniejszym śnie, kiedy otworzyłem plastikowe drzwi na zewnątrz, było jasno od wyjarzonych latarni, żółciły się setki plastrów betonowych uli, grzechotał zesztywniały z zimna krzak bzu, poruszany chłodnymi powiewami. Ze stukotem przejechał prosektoryjnie oświetlony tramwaj sypiąc iskry. Buczała autostrada. Przestało padać, ale wypalone popielatymi łunami niebo kłębiło się od płynących nisko chmur. Już nie było wiosennie. Było mroczno, nieprzytulnie i jakby poza porami roku, gdzieś pomiędzy nimi, jakby w jakiejś uniwersalnej, tkwiącej poza czasem i poza światem zaniedbanej poczekalni. Była jeszcze godzina do zamknięcia Carrefoura. Buty, polar, czapka z daszkiem i śmierdząca klatka schodowa przypominająca bardziej publiczną toaletę niż miejsce do czyjegoś zamieszkania. Parking wyszklony od marznącej na maskach samochodów wilgoci. Chodnik pod górę, ale prowadzący nie, jakby mogło się wydawać, do wnętrza kanciastego kościoła, tylko dalej, do nasyconego martwym światłem wnętrza stojącego nieopodal supermarketu. Półki, półki, półki. Całe szeregi półek, na których niczego nie można znaleźć. Co ja jeszcze potrzebowałem na wyjazd? Jakieś konserwy, ale jakie? Rybne, turystyczne i ile? Jakieś zupki chińskie. Kubek blaszany. Nigdzie nie pojadę bez blaszanego kubka. Z czego będę pił herbatę, w czym nad ogniskiem gotował tego chinola? Potrzebowałem kubka, a jego nigdzie nie było. Chodziłem, rozglądałem się myśląc, gdzie tu do cholery mają blaszane kubki... Tu nie ma..., tu..., tu... nie ma. Tam też nie ma. Zrezygnowany i napięty chciałem się wrócić i obejść jeszcze raz, ale poczułem, że stało się to niepotrzebne. Przede wszystkim musiałem wyjść. Tak sobie pomyślałem, a kiedy stanąłem przy kasie w koszyku zamiast konserw, zupek i kubka miałem co? Paczkę solonych chipsów i półtoralitrową butelkę coca-coli.

Tak, zostałem. Tej wiosny nigdzie nie pojechałem. Ze sklepu poszedłem jak zwykle prosto do domu kontynuować resztę swojego życia. Po drodze myśląc gorzko o zmarnowanych trzydziestu pięciu złotych na bilet, którego nie wykorzystam i o ogłaszanej na bilboardzie promocyjnej cenie bananów, jedyne 3.99 za kg. Trzeba by kupić dla dziewczynek. Stąd, z prowadzącego w dół wzniesienia widać było tylko setki latarni i falującą masę ciemnych bloków, co najmniej jakby pokrywała cały świat. W mieszkaniu było już ciemno i cicho, jeśli nie liczyć przechodzącego przez ściany nieprzerwanego szumu z serwerowni umieszczonej na klatce i równego oddechu śpiących w drugim pokoju dziewczyn.

Potem jeszcze długo siedziałem przy biurku wpatrując się w zawieszoną nad nim reprodukcję rzymskiego fresku ze Stabiów, przedstawiające-

go... no właśnie kogo? Czy ta odwrócona plecami, ruda dziewczyna, szła po prostu przed siebie przez zieloną łąkę, czy może przemierzała zielone połacie Elizjum? Czy to, że nie było widać jej twarzy, znaczyło, że była zbyt piękna, żeby mogli ją oglądać ludzie tacy jak my? Czy kwiaty wypełniające jej kosz to nic innego jak dusze zmarłych i czy kwiat, który właśnie od niechcenia zrywała, oznaczał czyjąś śmierć. Może moją? I dlaczego bogini kwiatów (bo tym podobno była) zamiast nadchodzić w stronę podziwiającego ją człowieka, opuszcza go, pokazując mu swoje pięty, plecy i łagodną linię pochylonego karku. Kiedy w końcu wstałem, zgasiłem światło i otworzyłem balkon, na parapecie siedział zziębnięty kot. Wpuściłem go do środka. Na zewnątrz ciężkie płatki późnego śniegu cicho opadały na ziemię. Były tak duże i gęste, że w szybkim tempie pokrywały bielą wszystkie pierwsze ślady wiosny. Zupełnie tak, jakby wiosna miała już nigdy nie nadejść.

Andrzej Dybczak

E. Lipton Wittlin, *Peru*, rysunek na papierze.

Nadżwan Darwisz

W RAJU (I)

Raz obudziliśmy się w raju
Gdzie aniołowie zaskoczyli nas
Z miotłami i mokrymi szmatami:
„Cuchniecie alkoholem i ziemią
Kieszenie wypycha wam
Poezja i herezje... „

Słudzy Boży, powiedzieliśmy, tylko spokojnie
Marzymy o poranku w Hajfie:
Nasze sny przywiodły nas tutaj
Przez pomyłkę

W RAJU (II)

w raju też
przewracałem się z boku na bok, skręcałem z tęsknoty
zauroczony czasem własnowolnie
oddałem się jego jarzmu
niepewny własnej nieśmiertelności

nawet w raju
mogłem myśleć jedynie
o ziemi

ZAREZERWOWANE

Chciałem usiąść na niezajętym miejscu nadziei
ale czaił się na nim jak hiena
napis „zarezerwowane"

(nie usiadłem, nikt nie usiadł)

Miejsca nadziei zawsze objęte są rezerwacją

MIĘDZY BRAMAMI

Między bramą z napisem Piekło
a bramą z napisem Raj
przebywa wielu, których ani nie pozwano ani nie skazano na katusze:
słowo nie sprosta beznadziejności ich położenia

stałem w grupie kręcącej się między bramami
wsłuchując się w nieustające komentarze na temat losu

Będąc odmiennego zdania
utrzymywałem, czego nie chciały
słyszeć nawet najstarsze anioły:
Oto są, których „wygnano z własnej ziemi"
Oto są, którzy mogą żyć z myślą
że nie ma powrotu

SYJON

Ułożyłem w myślach wiersz o Syjonie
moim niskim wzgórzu
nieudaczniku wśród wzgórz Jerozolimy
tym które drzemie na wilgotnej od łez poduszce
na zawsze pogrążone w goryczy

Jeżeli go nie zapiszę
będzie to oznaczało
że „Syjoniści"
zwyciężyli

MATKA CHARLESA

Moja matka i matka Baudelaire'a
nie zmrużą oka przez całą noc
jak krewne na stypie
Moja matka pyta matkę Baudelaire'a
Czy widzisz co poezja wyrabia z naszymi synami!

Nadżwan był takim słodkim dzieckiem.
Matka Baudelaire'a milczy
jak ostatni cierń w Ogrodzie Zła

ORMIAŃSKI KONIAK

Na moim kuchennym stole
butelka ormiańskiego koniaku
zakorkowana jak tamte dzieje
milcząca
Gdybym ją stłukł wyparowałaby miłość stu lat
gdybym ją odkorkował czarno-biali
przodkowie zeszliby ze ścian
wypić ze mną szklankę
Nieobce są mi zapomniane dzieje
i wiem dlaczego ta butelka koniaku
stoi tutaj tak dumnie

Gdybym ją teraz stłukł utraciłbym sto lat z dziejów
mojego plemienia

POMÓWIENIA

Jestem gotowy na pomówienia
które wkrótce się zaczną
i na ich potwierdzenie

Potwierdzę pomówienia według których
takiego a takiego ranka
takiej a takiej nocy
płakałem w głębi
mojej istoty nad niemiecką Żydówką
która przybyła tutaj ze swoją rodziną – rodziną
która ukradła mi mój kraj

Dociekania nad przyczynami mojego płaczu
pozostawię pomówieniom

CRISTO

Widząc twoją figurę ukrzyżowaną na miejskim skwerze
lub wiszącą wysoko w górach na samym krańcu świata
dzień po dniu noc po nocy
obojętną na obłoki płynące
nad miejscem twojej wiecznej banicji
nie mogę się powstrzymać:
Wróć ze mną, wróć
do Jerozolimy
Rozumiem Twoje serce:
rozkopane wzgórza
wiem, że jak zwykle złodzieje
są sędziami
a fałszywi świadkowie
nakładają kapłańskie szaty
Że brakuje wszystkiego
z wyjątkiem niesprawiedliwości
mimo to powinieneś wrócić ze mną
jesteśmy jedną rodziną, i mnie jak ciebie
wykuto z kamienia

Twoja figura
na szczycie góry
to moje cierpienie
moją obawą jest to,
że mnie nie słyszysz

gdy zwracam się do ciebie
z mojego hotelu
u podnóża gór
znikasz w chmurach

II

Nie spałem wczoraj
wpatrzony w gwiazdę za chmurami.
Jak mam cię żegnać

kraju samby i biedy?
Jak mam opuścić Cristo
na wierzchołku góry?

Nie spałem wczoraj
Myślę, że po dzisiejszym dniu
już nie usnę

WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE

Synku, śpię w nurcie rzeki
i słucham ciebie
idącego mostem
To także ze względu na Ciebie
śnię w języku:
Twoje słowa same mnie budzą
świat będzie dobry
nie będzie niczego poza miłością
którą zostawiłem tobie w spadku
niech spocznie na twoich barkach
byś się mógł nią dzielić

„rozszczep się na wiele ciał"
jak Urwa Bin al-Ward, syn róży
(i ty nie masz ojca, masz różę)

Synku, miasta całe w szczerbach
A wszystko było absurdem
wracajmy do lasu
wejdź na moje barki
wrócimy do domu
śmiejąc się razem
oczyścimy rzeki
w lesie nikt nie osądzi
naszego śmiechu

Synku, brakowało mi ciebie w przeddzień
święta Eid al-Adha, wielkiego festiwalu

jak bardzo by się Tobie spodobały, rozchwianiem
chwalące Proroka latarnie
Przebudzony nad ranem ze snu
wsłuchiwałbym się w hymny
Czy ściskasz moją dłoń
ze strachu czy z radości
Nie obawiaj się
Nie pobłądzimy
Wstałem wcześnie ze względu na Ciebie
pogodziłem się z festiwalem

Spoza przestrzeni lat
spoza terytoriów ziem i wszystkiego co przesłaniają mapy
strzegę ciebie
i ty strzeżesz mnie

Śpię w nurcie rzeki słuchując
Ciebie idącego na drugą stronę

DOWÓD OSOBISTY

Chociaż – jak żartują moi przyjaciele – Kurdowie słyną z bezwzględności, obejmując moich braci ze wszystkich czterech stron świata, byłem delikatniejszy od powiewu letniego wiatru. Byłem też Ormianem, niewierzącym we łzy wezbrane pod powiekami śniegu historii, śniegu kryjącego morderców i pomordowanych.

Cóż znaczy, biorąc pod uwagę wszystkie zdarzenia, rzucenie moją poezją w błoto?

Za każdym razem byłem Syryjczykiem w Betlejem, recytującym wersety mojego ormiańskiego brata, i Turkiem z Konyi wchodzącym do Jerozolimy przez Bramę Damasceńską. Jakiś czas temu znalazłem się w Bayadir Wadi al-Sir, gdzie przywitał mnie powiew, jedyny powiew wiatru rozumiejący kim jest człowiek schodzący ze szczytów Kaukazu, który za towarzyszy wędrówki ma godność i prochy przodków. Gdy moje serce po raz pierwszy wędrowało po piaskach Algierii, nawet przez chwilę nie wątpiłem, że jestem Berberem.

Wszędzie brano mnie za Irakijczyka, co nie było błędem. Często uważałem siebie za Egipcjanina, wielokrotnie żyjącego, wielokrotnie umierającego nad Nilem wspólnie z moimi afrykańskimi przodkami.

Ale przede wszystkim byłem Aramejczykiem. Nic dziwnego, że przynajmniej moi wujkowie pochodzili z Bizancjum, a mnie, dziecko Hidżazu, kołysał kalif Umar i patriarcha Sofroniusz, gdy ponownie otwarto bramy Jerozolimy.

Nie ma miejsca na ziemi, które nie musiało bronić się przed najeźdzcami i z ludów, którego bym się nie wywodził, nie ma wolnego człowieka na ziemi, z którym nie byłbym spokrewniony, tak samo jak nie ma jednego drzewa czy obłoku, którym bym czegoś nie zawdzięczał. A pogarda dla syjonistów nie wstrzyma mnie od wznania, że byłem Żydem wygnanym z Andaluzji i że nadal splatam sens z blasków zachodzącego tam słońca.

W moim domu jest okno otwierające się na Grecję, ikona wskazująca w stronę Rosji, bezustannie dolatuje słodki powiew z Hidżazu i wisi lustro – wystarczy przed nim stanąć, aby zobaczyć siebie zanurzonego w wiosennych ogrodach Szirazu, Isfahanu i Buchary.

Bez najmniejszej cząstki tego wszystkiego nie jest się Arabem.

Nadżwan Darwisz
Z języka angielskiego przełożył Roman Sabo

Andrzej Gałowicz

OFERTA

– Wadza – powiedział.

– Władza – poprawiłem.

– Tak, władza. Zapominam niekiedy, ale już rzadko.

Był kiedyś ludzkim sekretarzem komórki w jakimś ośrodku maszynowym czy kółku rolniczym, zanim w gorących latach zmienił oflagowanie. Czas ten wlókł się jednak za nim jak alkohol za chorą wątrobą, choć nikt mu go teraz specjalnie nie wypominał, on sam zaś umiejętnie pozacierał przez lata mało już dziś czytelne tropy.

– No więc władza to jest odpowiedzialność, którą daje nam Bóg. To ofiara ojczyźnie, narodowi i Bogowi. To zbiorowy obowiązek, rzetelność i dar, a my nie możemy tego daru zmarnować, bo jest darem. Tym bardziej że wróg wciąż czuwa.

Chrząknął. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Zastanawiałem się, po co mnie zaprosił. Po co ten wstęp. Co prawda znaliśmy się od lat szkolnych, ale nigdy nasze ówczesne i późniejsze kontakty nie przekraczały granic szybkiej półlitrówki. Zresztą, zwłaszcza w ostatnich czasach, specjalnych powodów nie było: on był bossem najsilniejszego ugrupowania mieście, a ja pracownikiem zdychającego i imitującego działanie domu kultury.

– Koniaku się napijesz? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, podniósł się i podszedł do kredensu. Subtelność frezów szuflad i drzwiczek, szlachetność słojów wskazywały na niezłą firmę.

– Swarzędz?

– Nie, Forte. Darowizna od sponsora – wyjaśnił. – Jak biją, trzeba uciekać, a jak dają, brać. No nie?

– Wicek, tak mizernie, najwyżej, kropla, dwie, autem jestem – pohamowałem jego zapędy.

– Tu sami swoi, nie bój się.

Nalał jednak połowę. Trochę za późno pożałowałem, bo lał nie koniak, lecz złotą tequilę, i to z robakiem, ale trudno. Głupio mi się było upominać.

– Więc jak ci powiedziałem, wróg czuwa. Ostatniej soboty ktoś nam na drzwiach napisał „Pieczarki do pizzdcy". Chamy zbolałe. Trzeba było całe drzwi drapać, a były nówki. No, ale a priori jednak nie po to cię zaprosiłem, by się użalać. Słuchaj, jest fenomenalny interes... Zdrowie!

– Zamieniam się w słuch, tylko pamiętaj, pieniędzy to ja nie mam,

– No co ty, kto tu mówi o kasie? Sama się znajdzie. Rzecz w tym, że jak wiesz, wybory tuż, tuż.

– Ulotek wam roznosił nie będę, nawet za pieniądze. Macie młodych.

– Nie, nie – zaprotestował. – Pomożesz nam inaczej. Mówię teraz o poważnych zadaniach, które stoją przed nami. O froncie wyborów. No to pod ten interes!

Pychota..., że też człowiek musi całe życie tylko z jakąś żytnią czy absolwentem przestawać. Coś jednak ten Wicek knuje. Sprawa chyba poważniejsza, skoro już tu jestem. W progach dla prezydentów, ornatów, komisarzy, syndyków i różnej maści dyrektorów. Ale ci awans. Dziwny dzień...

– No więc?

– Wiesz, chodzi o to, że na naszym odcinku chcemy cię wystawić jako kandydata w wyborach, które tuż, tuż.

Nieco mną wstrząsnęło. A nawet, co tu gadać, dość bardzo. Tego nie oczekiwałem.

– Chyba żartujesz, Wicek. Przecież ja jestem nieorganizacyjny, nikt tu mnie nie zna, a do polityki się nie palę, bo to nie moja bajka. Co ci do głowy wpadło?

– Posłuchaj, wybory to szansa szans. Sprawa jest czysta, uczciwa i musi się udać. Nasza partia będzie dla ciebie trampoliną – dodał, szczerze chyba ucieszony sportowym skojarzeniem.

– No to w tej perspektywie pomyśl raczej o sobie.

– O sobie właśnie też myślę – uśmiechnął się z pozorowaną skromnością. – Jakbyśmy zgarnęli całą pulę, to wojewodą pewnie będę... Tak sobie przynajmniej planuję, bo jestem dobrze umocowany. To mi wystarczy, bo aspiracji wysokich nie mam, a i wolę być bliżej domu. Interesy, kontakty, no i wiesz... A na Wiejskiej to byś mi się... to byś nam się przydał.

– Opowiadasz...

– Nie! Posłuchaj, problem w tym, że ze cztery mandaty mamy pewne. Trzej nasi to bankowo przejdą. Pierwsza linia. Frontowcy. Zasłużeni bardzo, bardzo. Obfotografowani i z wodzem, i z papieżem. Mucha nie siada. Piąty to Burda, wiesz, o kogo chodzi. Gość ten działa mi na nerwy, a że poparcie ma nawet w Lublinie i Krakowie, na liście być musi. Tylko ja go chcę wykolegować, a ty mi pomożesz.

– Chyba żartujesz...

– Chyba nie. Byłeś posłem? Nie byłeś. Ale będziesz. Moi ludzie dają mi wolną rękę. Ciebie znają, żeś równy chłop. Z każdym zagadasz, za kołnierz nie wylewasz, lubią cię. A Burda to idiota i dupek. To on przecież awanturował się o obniżkę diet radnym. Pieprzony Janosik się znalazł.

– Pamiętam.

– No właśnie. Suma sumarów gadzina. A jak prywatyzowali krajalnię dla Romka, to kutas NIK sprowadził. Drań. Smrodu było, że hej. Żeśmy się ledwo wykaraskali. Nawet ten uszatek Urban o Romku pisał.

– No, ale ta prywatyzacja nie była zbyt czysta... Prawda? – nieśmiało zaprotestowałem.

– Czysta – nieczysta, było – minęło. Tylko krowa się nie myli.

Nie bardzo mi się to wszystko podobało, a i moralność jakoś we mnie zabulgotała. Nieco się wzburzyłem. Postanowiłem być asertywny.

– Znajdźcie sobie kogoś innego.

– Nie da rady, Boguś. Ty jesteś najlepszy. Imię masz piękne, Boguś, Bogumił, Bogu – miły... Ładnie się kojarzy. Można będzie dokładnie w ulotkach wykorzystać.

No tak. Wreszcie imię by mi się do czegoś przydało. Nie byłem z niego specjalnie zadowolony. Boguś brzmi durnowato i głupio się rymuje, ale po babci tak mi się dostało i już. A Wicek to mnie zaskoczył... Hmm...

Polał znowu po połowie, a po chwili wahania zabełtał robakiem i uzupełnił do pełna.

– Ja nie żartuję, Boguś. Takie imię to cacy kapitał. Jak folwark dawno temu. Tacy, co mają Adam, Dawid czy Jakub, to w polityce nie mają czego szukać. Mają przejebane. Ale ty masz: Bogumił. Kapitalne!

– No niby tak – mruknąłem.

Alkohol ciepło rozleniwiał. Mahonie i stiuki brały się za bary z moją anemiczną już asertywnością i już pomału czułem się jak ważna figura. Poseł. A czemu by nie? Jak to Wicek mówił? Jak dają, to brać. W gruncie rzeczy to nie takie głupie.

– Boguś, najważniejsze i bezcenne jest jednak coś innego... – zawiesił tajemniczo głos, więc wypadało mi aż zapytać.

– Co?

– No właśnie. W życiu żeś byś nie wpadł. Na to potrzeba politycznego myślenia... Nazwisko! – rzekł z naciskiem.

Zaskoczyło mnie to. Nazwisko? Zawsze uważałem, że jest wyjątkowo niepraktyczne, bez sensu i nieraz zdarzało mi się tu i ówdzie w urzędzie widzieć półuśmieszek biurowej panienki. Faktycznie, głupie miałem. Abażur.

– Acha – potwierdziłem, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– No właśnie – dopił i cmoknął. – Twoje nazwisko jest polityczne. Da ci przyszłość i będzie bombą na Burdę. Naszą czwartą kolumną. Czwartą? Piątą? Ty jesteś kształcony...

– Pewnie chodzi ci o piątą, ale ja dalej nie rozumiem.

– Oj, Boguś, politycznie myśleć, to się jeszcze długo będziesz uczył – pogroził mi konfidencjonalnie palcem. – Według alfabetycznego układu Burda byłby pierwszy na liście. O pewniakach nie mówię. Ich pozycja nie jest ważna. Przejdą. Burda też może, bo lud, jak dostaniemy właściwe poparcie, hurmem pójdzie głosować. Prawda? A że ludzie mało kogo znają, zagłosują na ugrupowanie, czyli na pierwsze nazwisko na liście. Na razie Burda jest pierwszy, ale ty będziesz przed Burdą i skosisz głosy. Będziesz pierwszy na liście! I to jeszcze jako sympatyk, niezależny, a nie partyjny!

– Nikt mnie nie zna.

– Bez znaczenia. Tylko ci życiorys podbarwić będziemy musieli. No i co?

– Czy ja wiem? Nalej mi jeszcze kropelkę.

– Oczywiście, oczywiście! – podszedł do kredensu, ale już nie nalewał na miejscu, tylko przyniósł butelkę do biurka.

– Zdrowie kandydata!

– Wicek, ale wyjaśnij mi, jak to ustawiłeś, że daliby mi poparcie?

– Najnormalniej w świecie. Burdy nie lubią, a tylko ty spośród znajomych osób, które tu się jakoś liczą, masz dobre nazwisko. Ani prezydent, ani jego ludzie, ani moi nie mają nikogo znajomego o nazwisku, które pozwoliłoby powalczyć z Burdą. Ja mam ciebie, i z twoją pomocą powalczymy. No to siup!

– Siup....W zasadzie mogę się zgodzić.

– Okej, tylko pamiętaj, ja cię stwarzam, ma być sztama. Żeby obciachu nie było, bo wiesz...

– Nie martw się na zapas. No to co z tym z życiorysem?

– Jak to co? Spokojnie. Jesteś z wielodzietnej rodziny, miejsce pracy masz dobre, wykształcenie też, dzieci cztery, żona ta sama – wszystko jak należy. Tylko przeszłość... Hmm...W związku byłeś?

– Krótko. Pół roku, bo jak się zaczęła masówka robić, to...

– Dobre i to. Napiszemy, żeś był od początku zaangażowany, a reszty rozwijać nie będziemy. To nawet dobrze, że cię ludzie mało znają.

– No, nie wiem...

– A w jakiejś organizacji na studiach nie byłeś przypadkiem? Opozycyjnej, oczywiście.

– Nie – uśmiechnąłem się. – Ale raz przyniosłem kolegom flaszkę, jak strajkowali w collegium, bo im zabrakło i nie miał kto donieść.

– No widzisz, to jednak kombatant jesteś. Czyli pomagałeś w organizacji strajków przeciw reżimowi,...pomoc strajkującym i wsparcie logistyczne..., świetnie brzmi! Hmm, coś by jeszcze ci znaleźć... Pomyśl. Nie masz jakichś zdjęć z kimś ważnym? U was w domu kultury różni bywają.

– Chyba nie, poza artystami... No... mam jedno ciekawe, jak był u nas ten były dyrektor z Wolnej Europy, to sobie zdjęcie zrobiliśmy na pamiątkę... Zaraz, zaraz, jak on się nazy...

– Boguś! Genialne! – cmoknął z zachwytem. – Czyli współpracowałeś z Wolną Europą! To będzie sakramencka bomba!

– No, ale kto w to uwierzy?

– A co ty się stary przejmujesz! Kto to teraz sprawdzi, zwłaszcza tu w tej dziurze i po tylu latach?! A jakby co, pójdziemy w zaparte. Z proboszczem w konflikcie nie jesteś, co?

– No nie... W kościele bywam.

– No to gra. Musisz tylko jeszcze jakiś grosz na kampanię wpłacić i startujemy.

– Nie mam pieniędzy – zaoponowałem. – Wiesz, ile u nas w firmie się płaci. Ledwo na fajranty starcza.

– Niedługo będziesz marlboro palił, he, he, he... – zaśmiał się i poklepał po ramieniu. – Dobra, dobra, załatwimy kredycik. W którym banku chcesz? Oczywiście, jak potrzebujesz, możesz wziąć więcej. Zrobimy tak, żebyś nie miał zbyt wysokich odsetek. A jak wygramy, a wygramy na pewno, bez nikakich spłacisz.

– ROR mam w Ludowym.

– Niedobrze, tam nie mam wejść, bo to nie po naszej linii i nikogo z naszych tam nie wsadziliśmy. Ale to nic, przeniesiesz rachunek albo założysz nowy w Epokowym. Jeszcze dziś zadzwonię do szefa, to podjedziesz i się dogadacie.

Kotłowało mi się nieco po tequili i z wrażenia, bo okazało się, że otwiera się przede mną nowy świat. Bycie posłem było zupełnie realne, a moja Ewa z kredytu się ucieszy, bo ostatnio nam odmówiono ze względu na jak zwykle nieterminowo spłacony poprzedni. Życie jest niezłe... Zadzwonił telefon. Wicek sięgnął po komórkę i powoli podniósł się z fotela.

– Tak, tak panie przewodniczący... Tak, tak. No oczywiście. Tak. Na pewno załatwimy. Ja... Tak. Zaraz jadę.

Złożył komórkę i wrzucił do kieszeni. Opadł na fotel. Przetarł chusteczką czoło i ciężko spojrzał w kierunku okna.

– Pieprzona robota. Warszawa dzwoniła. Muszę jechać na węzeł. Chłopy się burzą, szyny spawają, a ja nic nie wiem. Patrz, u góry już zareagowali, telewizja wyjechała, a moje miejscowe dupki nic nie wiedzą. Muszę gnać.

Szybko wstał, otrząsnął się i klepnął mnie w ramię.

– Takie trudne jest brachu życie polityka. Ale ty się nie przejmuj

na razie, Boguś. Jutro wpadnij do Zygi do Epokowego Jeszcze dziś sam do niego przedzwonię z drogi. Teraz będzie nasz odpust!

– No, niech będzie.

Zerknął do lustra, poprawił krawat, uścisnął mi rękę i tym razem mocniej poklepał po ramieniu.

– Świetnie, że jesteś z nami. Furda Burda! – wyciągnął palce, układając je w znak zwycięstwa.

– Furda Burda – zawtórowałem dość przekonująco. I wyszedłem, pogwizdując na schodach *Bandera rosa*. Pieśń zwycięstwa.

(Jakiekolwiek podobieństwo do osób i zdarzeń jest intencjonalnie incydentalne)

Andrzej Gałowicz

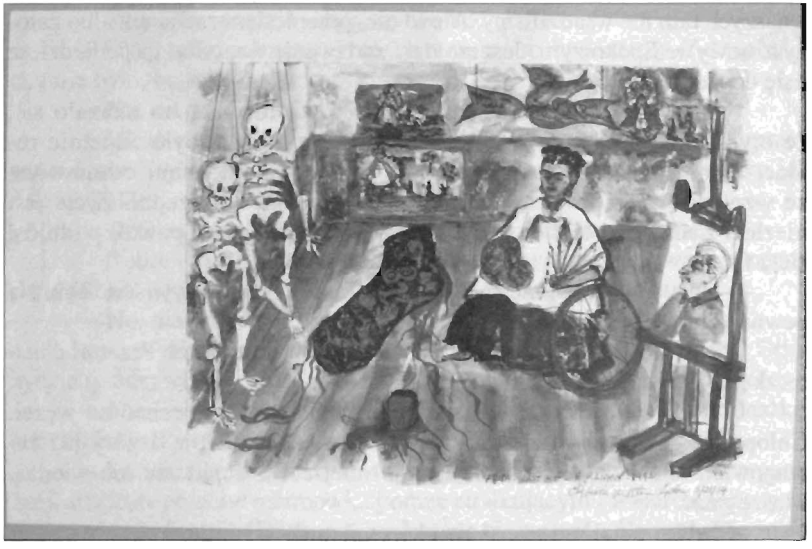

E. Lipton Wittlin, *Frida – Last Act*, rysunek na papierze, 1992.

Kazim Ali

MODLITWA PORANNA

praca ciemności
wibrujący dźwięk

Góra Beacon z każdą porą roku
zmienia się bądź jest zmieniana

co w nas takiego jest że sięga
po to co potem

czy mam narysować ducha
jako latarnię czy jako filiżankę

DROGI OJCZE, DROGI DŹWIĘKU

Istnieję raptem dwie kosmiczne minuty po tobie,
echo szeptu twojego życia.

Głosiłeś mi na ucho wezwanie do modlitwy,
kiedy byłem jeszcze bez języka i bez wzroku.

Twój szept i tajemnica, którą wyszeptało w odpowiedzi moje życie
przemieszczają się z prędkością dźwięku na kraniec wszechświata.

Czy dotrą tam kiedyś?
Czy wyruszą kiedyś z powrotem?

DROGI ZACHODZIE SŁOŃCA, DROGA LAWINO

drogi grzmocie bez błyskawicy
drogi zeszłoroczny stuku okna

drogi górski krajobrazie
który się wyłaniasz

wodo w powietrzu, rozplatająca się
drogi lodowaty wrzasku, który niesiesz

niosę, dźwięczę, zniesławiający pozew
sprzedany, zwerbowany w górę zbocza

ze skąpymi zapasami przemierzam szlaki
otwieram ruchomy dach podróży

lunatyk, wspinacz bez kompasu,
pismak bez obiadu, nagi na skalistej drodze

z uchem wychylonym w dal
drogie słońce, przemycające solówkę

w tym miejscu przerywa nam powolny szept
drodzy zaginieni, drodzy zrozpaczeni

w tym miejscu przerywasz mi za każdym razem
pod tym miejscem chcesz, by cię pogrzebać –

ROK ZIMY

Ktoś wygadał mi mój rodowód,
jestem w szoku –

Przez dziewięćdziesiąt jeden dni przeszywała mnie zima,
przez dziewięćdziesiąt jeden dni przewlekał się rok.

Jak to się stało, że utraciłem wiarę w języki?
Upadła czerwień okolona białymi fastrygami dnia.

Wtorkowe przypomnienia: pójść do banku,
sprawdzić koła, ruszyć w drogę...

Cztery godziny jazdy do Pensylwanii pod
samopiszącym niebem –

Jak mieć za złe nieufności, kiedy szare niebo
rewiduje swoje najświętsze przekonania,

kto uwierzyłby szalonemu sercu,
że mgła i sadza są siostrami,

wojna i wola przybierają identyczny kształt,
podziemnej rzeki, płynącej ćwierć kilometra pod nami –

DROGA LATARNIO, DROGA FILIŻANKO

czy prosić Cię o oświetlenie drogi
czy prosić Cię, byś mnie pomieściła

drogie trzęsienie wewnątrz ziemi
kto czeka

czy jaśnieję w nieskończoną przestrzeń
czy zostanę wylany

CZEKAJĄC NA POCIĄG

kim jesteś, doskonałe tchnienie
klarnetem czy obojem
piątek próbuje rozeznać metodykę pogody
czekając na pociąg przyjemnie jest słuchać

albo patrzeć na zachód
bicie fal o nabrzeże, trzaśnięcie drzwi samochodu
bryza wiejąca prosto do uszu
odgłosy tła, ale tła czego
tego, że na moim karku może siedzieć pająk ptasznik
jestem zwięzły i rzeką
przestrzenią nie wiadomo jak i daleko
po otwarciu oczu zbłękitnienie popołudnia
ptaki zgromadzenie zapierające dech
życie tymczasem hałas niepewnie ucicha
niepewny niepokojący przeciwnik
czy to ja jestem przeciwnikiem w wyścigu o brzeg
ułożenia ptaków bądź ubioru
ułożenie rzeki do pyskowania
jestem muzyką czy poruszeniem –
o tym przez całe popołudnie poucza mnie wiatr

LIST MARYNARSKI

Czy odważę się kiedyś pomodlić o coś prawdziwego, czy będę tak stał przy oknie, patrzył na zewnątrz, zastanawiał się, kto patrzy do środka.

Piszę listy złożone w łódeczki,
o północy wrzucane do strumieni.

Niesiony między mapą i malstromem, czy mam prosić
o ugaszenie pragnienia, czy pragnienie nie do ugaszenia –

Kazim Ali
Przełożyli Ewa Chruściel i Miłosz Biedrzycki

Igor Owczarek

„NIBY WIEŚ, A [...] PIĘĆ SFER WTAJEMNICZENIA, DZIESIĘĆ KRĘGÓW POKUTY"

O powieściach Wiesława Myśliwskiego *Widnokrąg* i *Traktat o łuskaniu fasoli*

Nie ma wątpliwości, że pamięć i tożsamość społeczna są kwestiami o niepodważalnej doniosłości, jeśli chodzi o ich wpływ na formowanie się poczucia ciągłości kultury w znanym nam kształcie. Władza, jaką daje możliwość manipulowania tymi procesami, jest więc wprost proporcjonalnie rozległa – pozwala na ingerencję w najbardziej podstawowe aspekty, decydujące o ludzkiej odrębności. Nie dziwi więc zakres politycznego rezonansu, spowodowanego przez uwolnienie dyskursu (skupionego właśnie wokół pamięci i tożsamości) od bezpośredniego, ideologicznego przymusu epoki PRL-u. Można jednak postawić znak zapytania w odniesieniu do obranego kierunku namysłu. Albowiem ów pojęciowy duet, trudny do rozdzielenia w swojej bliźniaczej więzi, okazał się *idée fixe* nowej polskiej polityki historycznej, odgórnie sterowanej przez krajowe elity symboliczne. Mimo iż trwale połącznie tych dwóch terminów wydaje się słuszne, to zostały one jednocześnie odbite w krzywym zwierciadle, które z historiozofii robi karykaturę. Pamięć i tożsamość – biorąc pod uwagę tylko dominujące tendencje – zrodziły szczególnego rodzaju historię: historię oficerską.

Fakt ten jest powszechnie znany, zwłaszcza w swoich medialnych emanacjach modelowanych przez swoistą krytyczną nowomowę (obfitą w terminy typu: martyrologia, mesjanizm itp.). Mimo tego, istnieje uzasadnione podejrzenie, że w zbiorowej świadomości pozostał trwały ślad współczesnej polityki historycznej. Podatność społeczeństwa polskiego na tego typu zabiegi jest warunkowana przez rozmaite czynniki, których szczegółowe omówienie nie mieści się w ramach tego szkicu. Niemniej, warto podkreślić, że bezpośrednim skutkiem operacji na pamięci i tożsamości uprzywilejowanych mas jest swoista *chamofobia*[1]. Chęć odcięcia się od grup postrzeganych jako gorsze, spowodowała tworzenie specyficznych – i zgoła mitycznych – rodowodów własnych. Szerzej pisze o tym Andrzej Leder:

> Nie wiedząc, skąd się wzięła [polska klasa średnia], więcej, mając nieczyste sumienie w związku z zatartym wspomnieniem przemocy, której zawdzięcza swoją

[1]Jak zdiagnozował to m.in. Henryk Domański, *Gdy czujesz się lepszy*, „Kontakt" 2012, nr 21, s. 24–26.

genezę – ta nowa, potężna siła unika jasnego określania swojej tożsamości. Pławi się w nostalgicznych rojeniach na temat swojej pseudoszlacheckiej przeszłości, na temat dworków i hektarów, powstań i cmentarzy[2].

W kontrze do tych tendencji, chciałbym zwrócić uwagę na synchroniczne tworzenie się przeciwwagi dla literackich faworytów polskiej polityki historycznej. Mam na myśli nie tylko podważenie mitu nieskazitelnego bohaterstwa narodu polskiego (czego dokonała np. debata nad Jedwabnem[3]), ale także szczególnego rodzaju zwrot – od historii wojskowości w stronę peryferiów. Bowiem nieliczni autorzy kontynuują dziś tradycję literacką, dotychczas reprezentowaną przez – podam choć najbardziej znane przykłady – *Chłopów* Władysława Reymonta oraz *Konopielkę* Edwarda Redlińskiego.

Nie jest oczywiście moim celem dokonywanie rewizji i dyskredytowanie postaw politycznych związanych ze zrywami narodowymi w historii Polski. Chcę jednakże wskazać często pomijane dziedzictwo kulturowe w postaci powieści nurtu wiejskiego, która stroni od kontrowersji, przez co bywa zbywana milczeniem. Tymczasem – zwłaszcza po XX wieku, który uczynił z polskiego narodu społeczeństwo w przeważającej mierze robotniczo-chłopskie – w kulturze ludowej jesteśmy w stanie nierzadko odnaleźć własną księgę życia.

Do tak rozumianych korzeni sięgnął Wiesław Myśliwski – dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody Nike za powieści *Widnokrąg* i *Traktat o łuskaniu fasoli*. Nagroda ta może być dla czytelnika busolą, wyznaczając emblematyczne wyjątki w twórczości pisarza. W nich to bowiem znajduje się esencja literackiego myślenia tego pisarza, a także znaczący zwrot: od jednostkowej historii, naznaczonej autobiografizmem w *Widnokręgu* (a więc *stricte* od tak zwanej literatury małych ojczyzn), do szerszego świadectwa pokoleniowego[4] w *Traktacie o łuskaniu fasoli*. Jest to więc prawdopodobnie najbardziej uniwersalny kulturowy znak pamięci w polskiej literaturze współczesnej.

Myśliwski paradoksalnie zarówno dodaje, jak i ujmuje ciężaru chłopskiemu dziedzictwu. Nie czyni z niego przedmiotu sporu, zmniejsza więc nacisk na polityczne odczytywanie jego powieści. Zarazem jednak zwiększa potencjał drzemiący w nim pod postacią różnorodnych kulturowych doświadczeń. Staje się apologetą wsi, dodając jej prestiżu, a więc także pomnażając społeczne oczekiwania. Uwypukla ludową siłę kulturotwórczą. Sam zresztą wskazuje na to bezpośrednio w licznych wypowiedziach prasowych. Upatruje źródeł swojego pisarstwa w tradycji

[2] A. Leder, *Kto nam zabrał tę rewolucję?*, „Krytyka Polityczna" 2011, nr 29, s. 32–39.

[3] Marek Czyżewski w artykule *Debata na temat Jedwabnego oraz spór o „politykę historyczną" z punktu widzenia analizy dyskursu publicznego* łączy te dwie kwestie [debatę na temat Jedwabnego i nową politykę historyczną] w poszukiwaniu modelów atrybucji zewnętrznej i wewnętrznej. Mimochodem zarysowuje jednak wybiórcze mechanizmy pamięci zbiorowej, [w:] *Pamięć i polityka historyczna. Doświadczenia Polski i jej sąsiadów*, pod red. S.M. Nowinowskiego, J. Pomorskiego, R. Stobieckiego, Łódź 2008, s. 117.

[4] Choć również ukrytego pod płaszczem indywidualnego losu bohatera.

mówionego eposu chłopskiego[5]; kultura oralna promieniuje z języka jego książek. Odwzorowuje się w formach narracji eksploatujących słowo mówione, tworzących syntezę de Saussure'owskich *langue* i *parole*. Niezależnie od tego, czy język opowiadania wprost przyjmuje stylizację gawędy poprzez monolog wypowiedziany (tak jak w *Traktacie*), czy posługuje się po prostu narratorem pierwszoosobowym (*Widnokrąg*) – ludzka mowa jest w nim na równi widoczna. Odciska piętno na strukturze tekstu, tworząc powieść dygresyjną, w której wątki gubią swoją chronologię, ale także – na bardziej indywidualnych emanacjach. Przez te drugie mam na myśli zwłaszcza wszelkie natręctwa słowne, powtórzenia, świadomie wykorzystywane niedoskonałości języka mówionego.

Refleksja nad słowem ma również swój wymiar *meta*. Mówi o tym bezpośrednio narrator na kartach powieści, formułując opinię o wielkiej roli kreacyjnej języka. Gloryfikuje sam proces opowieści, widząc w niej pewnego rodzaju zasadę świata: „Bo cóż ważniejsze jest od słów, wszystko się ze słów bierze, i nawet najkrwawsza bitwa toczy się o słowa, które po niej zostaną"[6]. Powieści Myśliwskiego zresztą stale się komentują[7], opowiadanie o materii języka w tym kontekście mogłoby więc być usłane wyłącznie cytatami. Niemniej, dzięki tej tendencji, narrator nie ogranicza się do referowania wydarzeń, ale wchodzi w grę z czytelnikiem, uobecnia się w procesie czytania niemalże materialnie. Można odnieść wrażenie jakoby był to podmiot mówiący obdarzony jakąś nadliteracką świadomością, choćby wtedy, gdy antycypuje proces konkretyzacji w wyobraźni odbiorcy:

> Opowiedziane jest tylko opowiedzianym, niczym więcej. I na ogół niewiele ma wspólnego z tym, jak było, jest czy będzie. Żyje własnym życiem. A nie zastyga raz na zawsze, lecz wciąż snuje się, rozrasta, coraz bardziej oddalając się od tego, jak było, jest czy będzie. Ale kto wie, może w ten sposób zbliża się do prawdy[8].

Ta autorefleksja koresponduje z licznymi podobnymi odniesieniami w literaturze światowej, wyróżnia ją jednak niezmienny optymizm. Piotr Rawicz w powieści *Krew nieba* również podkreśla moc opowiadania, literacki determinizm. Wygłasza manifest: „TRZEBA pisać"[9], jednak uzasadnia to ludzką marnością, która nie może poradzić sobie z wiecznością. Język jest dla niego poddanym w służbie oszustwa. Jak bardzo różni się tym od Myśliwskiego, dla którego opowieść jest samym życiem.

---

[5] Cyt. za: J. Drzewucki, *Każdy z nas jest powieścią*, źródło: http://culture.pl/pl/ artykul/ kazdy -z - nas-jest-powiescia.

[6] W. Myśliwski, *Widnokrąg*, Kraków 2007, s. 333. Przy kolejnych cytatach z tej powieści podaję w nawiasie skrót *W* i numer strony tego wydania.

[7] Janusz Drzewucki pisze: „*Traktat o łuskaniu fasoli* to powieść nieustannie się komentująca. Narrator nie kryje przed nami wiedzy, że doskonale zdaje sobie sprawę zarówno z tego, co mówi, ale i jak mówi". J. Drzewucki, *Każdy z nas jest powieścią*, http://culture.pl/pl /artykul /kazdy -z-nas-jest-powiescia.

[8] W. Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*, Kraków 2010, s. 69. Przy kolejnych dalszych z powieści podaję w nawiasie skrót *T* i numer strony tego wydania.

[9] P. Rawicz, *Krew nieba*, przeł. A. Socha, Kraków 2003, s.144.

Jego bohater mówi: „odzyskałem z wolna mowę, a tym samym poczucie, że żyję" (*T*, s. 97). W tym wypadku język jest jakby wyposażony we własną wolę, która odnajduje się w pisarskiej improwizacji i swobodnie kształtuje świat przedstawiony. Przestają obowiązywać tradycyjne zasady przyczynowości – to, co wypowiedziane, po chwili staje się rzeczywiste. W dodatku bije stałym rytmem, który jest niesłychanie ważnym składnikiem powieści, uwypuklonym przez prostą muzyczną metaforykę (bohater *Traktatu* gra na saksofonie), ale również przez metafizyczną refleksję. W tym drugim ujęciu w rytmie języka odbija się rytm świata.

Związek twórczości Wiesława Myśliwskiego z kulturą oralną ma jednak dalej idące konsekwencje. Człowiek, którego tworzy, to człowiek antyplatoński, wracający raczej do korzeni filozoficznych, niż do abstrakcji pojęciowych powstałych po piśmiennym przełomie dokonanym przez Platona. Autor wnikliwego studium na temat tego kulturowego przejścia Eric A. Havelock twierdzi, co prawda, że odnajdywane przez niektórych badaczy paralele pomiędzy starożytną kulturą oralną a współczesnymi niepiśmiennymi enklawami społecznymi są nietrafione[10], ale być może kultura chłopska odbija w sobie choć część tamtego sposobu myślenia. Wszakże jako jedyna opiera się pooświeceniowej dominacji racjonalizmu.

Owo (nie)filozoficzne źródło powieści Myśliwskiego jest oczywiście jedynie domniemane. Pytanie o świadome wykorzystanie jest nierozstrzygalne bez pomocy autora, niemniej w procesie interpretacji można odnaleźć świadczące o nim tropy. Nawet jeśli zostały zostawione mimowolnie – jako skutek uboczny kultu przyrody i chłopskiej mentalności bohaterów – to ich wzorce z całą pewnością mają genezę w przedplatońskiej starożytności. Na zbieżności między kulturą chłopską a grecką tradycją oralną (i wypracowaną przez nią mnemotechniką) zwraca też uwagę Ludwik Stomma:

> tak wielka ilość irracjonalnych działań i wyobrażeń, jaką operują np. społeczeństwa plemienne, nie może być śmietnikiem akcydentalnych pomyłek i ich implikacji. Wykluczają to już same zasady mechanizmów pamięci, która – co ustalił już Symonides z Keos – potrzebuje zbioru sekwencji, systemu, by móc powierzone jej obrazy utrwalić. Jeżeli więc ten irracjonalny, mityczno-magiczny bagaż kultur pierwotnych może być nie tylko, bez udziału pisma, przekazywany z pokolenia na pokolenie, ale co więcej wykazuje zdumiewającą odporność w konfrontacjach z racjonalną rzeczywistością, oznacza to, iż musi być ułożony podług jakiegoś porządku[11].

Jeśli więc – jeszcze raz za Ludwikiem Stommą – zauważymy, że odmiennego mentalnie świata nie należy postrzegać według tych samych kategorii (regul, których podstawą jest zasada niesprzeczności), to uzasadniona będzie analiza uwzględniająca myślenie prelogiczne, w które świat chłopski jest trwale

[10] E.A. Havelock, *Przedmowa do Platona*, przeł. P. Majewski, Warszawa 2007, s. 127–130.
[11] L. Stomma, *Antropologia kultury wsi polskiej XIX wieku oraz wybrane eseje*, Łódź 2002, s. 123.

wyposażony[12]. Rysuje się tu więc raczej opozycja filozoficzne–niefilozoficzne, zaznaczona właśnie granicą przełomu platońskiego. Wydaje się to zgodne z linią wywodu przyjętą przez Havelocka. Nazywanie działalności umysłowej z czasów sprzed Platona „filozofowaniem", ma więc właściwe oparcie w tradycji i *doksie*, a nie w stanie faktycznym. Natomiast powieści Myśliwskiego balansują pomiędzy tymi przeciwstawnymi wartościami, bowiem przedstawiona w nich kultura typu ludowego jest symetryczna względem niektórych aspektów świata przedplatońskiego, ale jednocześnie jest wzbogacona erudycją autora. Pozornie absurdalna próba odnajdywania wspólnych matryc pomiędzy społeczną rzeczywistością starożytności a światem przedstawionym w omawianych powieściach, może więc przynieść niespodziewany rezultat.

Oczywiście takie założenie niesie ze sobą pewną sprzeczność, którą należałoby wyjaśnić. Odwzorowanie za pośrednictwem pisma mechanizmów psychiki właściwych dla kultury oralnej nie może być przecież kompletne ze względu na antynomiczność wykorzystywanych mediów. Zawsze pozostanie wyłącznie imitacją, przypomnieniem historycznego dziedzictwa. Walter J. Ong pisze:

> Zainteresowanie odległą przeszłością i kulturą ludową było charakterystyczne dla romantyzmu. Od tego czasu setki zbieraczy [...] pracuje nad tradycją oralną, quasi-oralną lub bliską oralnej, bardziej lub mniej świadomie przydając jej nowych walorów[13].

W ten sam sposób do kultury oralnej nawiązują powieści Myśliwskiego. Niemniej, zestawienie ich z przedplatońską rzeczywistością – wzbogacone o tę klauzulę – pozostaje w mocy. Uściślając owe rozpoznania, należy przede wszystkim przywołać poglądy Heraklita z Efezu. Podobieństwa można odnaleźć bez problemu, począwszy od najbardziej podstawowych kwestii – jak choćby szczególny stosunek do ognia. Jak wiadomo – ogień jest u Jończyka zasadą wszechrzeczy, ale i u Myśliwskiego możemy znaleźć całe passusy, opowiadające o tym żywiole z prawdziwym namaszczeniem. W *Widnokręgu* jest to najbardziej widoczne w momencie, gdy syn protagonisty siedzi wpatrzony w drzwiczki domowego pieca, raz po raz dorzucając drewno do ogniska. Relacja ta jest opatrzona komentarzem: „być może, że oto teraz dopiero doznaje bezwiednie swojego przyjścia na świat" (*W*, s. 204). A już w *Traktacie o łuskaniu fasoli* płomień rozrasta się w obszerną figurę literacką – prawdziwy pean, pełen czci, czułości i strachu. Jego odnogę możemy znaleźć w opisie wiary uprzedmiotowionej w lichtarzu, będącym także zewnętrznym bodźcem przywołującym coraz to nowe reminiscencje związane z ogniem.

Oczywiście można podjąć próbę interpretacji tych przykładów jedynie przez pryzmat symboliki ludowej związanej z magiczno-mityczną kulturą chłopską:

[12]Tamże, s. 124.

[13] W. J. Ong, *Oralność i piśmienność – słowo poddane technologii*, przeł. J. Japola, Warszawa 2011, s. 49–50.

„Płomień powoduje zniszczenie, unicestwienie tego, co stare, zużyte i złe, a tym samym zapowiada pojawienie się nowego życia"[14]. Opozycja ognia i wody wiąże się przecież z całym szeregiem rytuałów i wierzeń ludowych. Wbrew powierzchownym tropom, szybko zauważymy jednak, że takie odwołania mogą nie wystarczyć do wyjaśnienia wszystkich zjawisk opisanych przez Myśliwskiego. Przytoczony wyżej cytat z *Widnokręgu* odwołuje się do symbolicznej, kreacyjnej siły ognia – tworzenia życia przez ten żywioł. Tymczasem – jak twierdzi Stomma – motyw feniksa nie występuje w rdzennej tradycji słowiańskiej[15]. Bazując więc jedynie na etnologicznym materialne badawczym, nie jesteśmy w stanie odnaleźć wszystkich źródeł omawianych powieści. Narrator przemyca bowiem ukryte treści, które zaprzeczają założeniu, iż najważniejszym celem autora było zbudowanie całkowicie weryfikowalnego autentyzmu historycznego i antropologicznego. Tym samym pozwala rozszerzyć zakres poszukiwań na kategorie niezwiązane tylko i wyłącznie z polską kulturą chłopską.

Dlatego za uzasadnioną uważam tezę, iż doniosłe znaczenie w budowaniu struktury powieści Myśliwskiego ma także heraklitejski wariabilizm. Świat przedstawiony jest bowiem stale modyfikowany przez zmianę, funkcjonującą jak narracyjne *perpetuum mobile*. Budują go ludowe mądrości oraz nadmieniane co jakiś czas poczucie obcości bohatera. Niejednokrotnie protagonista za pomocą narracji pierwszoosobowej spogląda na sytuację z zewnątrz i nie rozpoznaje siebie w sobie. Podczas dotknięcia, odczuwa swoją twarz jako ciało obce. Także swoje odbicie w lustrze traktuje jako nienaturalne dziwowisko. Ale nie może być inaczej, skoro, według Heraklita,

> jesteśmy i nie jesteśmy, ponieważ aby być tym, czym jesteśmy w danym momencie, musimy nie być już więcej tym, czym byliśmy w momencie poprzednim, tak samo, jak żeby być w przyszłości, będziemy musieli natychmiast przestać być tym, czym jesteśmy obecnie[16].

Narrator Myśliwskiego podąża tą samą drogą. Na tym jednak podobieństwa z Heraklitem się nie kończą. Nie jest to przecież świat chaosu, w którym zdarzenia układają się w przypadkową mozaikę. Zmiana wywołuje powstawanie przeciwieństw, których wzajemna antytetyczność jest jednak – jak u Heraklita – pozorna. W powieściowej rzeczywistości syntezują się one – są jednym i tym samym. Jest

[14] P. Kowalski, *Kultura magiczna – Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa 2007, s. 371.

[15] Ludwik Stomma pisze: „Ogień, z którego nic nie może się zrodzić (motyw feniksa nie występuje w rdzennej tradycji słowiańskiej), lecz bez ciepła, którego życie nie mogłoby się rozwijać". Zob. L. Stomma, *Antropologia kultury wsi polskiej XIX wieku*, Łódź 2002, s. 224. Możemy więc znaleźć symboliczne powiązanie ognia z życiem – również przez związek asocjacyjny ze słońcem, kultem solarnym. Ale jednocześnie wynika stąd przeświadczenie, że z samego ognia nic nie może się zrodzić. Dlatego ogień kojarzony jest z męskością, a woda z kobiecością.

[16] Jest to rekapitulacja poglądów Heraklita dokonana przez G. Reale'a [w:] tegoż, *Myśl starożytna*, przeł. E.I. Zieliński, Lublin 2003, s. 36.

to świat ukierunkowany teleologicznie, funkcjonujący dzięki mechanizmowi, który do złudzenia przypomina Heraklitejski *logos* – naturalny porządek rzeczy. Wprost wypowiedziana refleksja nad porządkiem pojawia się zresztą regularnie w obu powieściach. W *Traktacie* przyjmuje postać indywidualną, odnosi się do jednostki ludzkiej i staje się czymś w rodzaju literackiej wariacji, parafrazy Comte'a („Postęp to tylko stopniowy rozwój porządku") i Goethego („Wolałbym popełnić niesprawiedliwość, aniżeli musieć znieść brak nieporządku"[17]). Główny bohater w końcowym etapie swojego życia (a więc także w momencie opowiadania) układa panujący wokół niego chaos w zaplanowaną strukturę. Przyświeca mu jednak cel – uchronienie własnego dziedzictwa, pamięci i natury.

W *Widnokręgu* posiada to już znamiona szerszej refleksji. Jeden z bohaterów – burmistrz-kolaborant – wypowiada słowa: „Grzech stał się pierwszym prawem porządku, jakie Bóg ustanowił. [...] To porządek wyznacza cel świata" (*W*, s. 185). Trzeba jednak przyznać, że z mnogości myśli o porządku nie wyłania się spójny obraz. O ile w pierwszym cytowanym wypadku jest on traktowany jako pewnego rodzaju prywatne natręctwo, to w drugim stosunek doń jest ambiwalentny. Z jednej strony jest to owego porządku pochwała, z drugiej kpina z potocznego rozumienia Goethego, wykrzywionego przez postać ekscentrycznego burmistrza (ten trop jest tutaj jeszcze bardziej wyraźny ze względu na jego współpracę z Niemcami). Niezależnie od ostatecznego rozstrzygnięcia, refleksja o porządku jest u Myśliwskiego istotna, co więcej – dopiero z niej wyrasta pojęcie-klucz jego twórczości, a mianowicie przeznaczenie. Przenika ono karty powieści i jest nacechowane immanentną celowością. Bywa zarówno fatum, jak i opatrznością.

Literackie traktaty Myśliwskiego są więc bogato wyposażone w starożytne dziedzictwo filozoficzne, nawet jeśli nie jest to zapośredniczenie celowe. Prawdopodobnie dzieje się tak dlatego, że tak mądrość ludowa, jak i dawna działalność umysłowa opierają się na prostym wnioskowaniu, które pełnymi garściami czerpie z najbliższego człowiekowi świata materialnego. Trzeba jednak zaznaczyć, że więź pomiędzy przedplatońską starożytnością a światem przedstawionym omawianych powieści nie zostaje nawiązana na zasadzie linearnego historycznie dziedziczenia kulturowego (intelektualnego). Być może opisane tu zjawiska narodziły się całkowicie niezależnie od siebie. Niemniej – jeśli analizujemy je w momencie osiągnięcia dojrzałości – posiadają wiele podobnych cech.

---

[17] Bernard-Henri Lévy w swojej korespondencji z M. Houellebecqiem dowodzi, iż cytat ten jest zwykle opacznie rozumiany: „to zdanie wypowiedziane w czasie rewolucji francuskiej w odbitym przez Prusaków mieście Moguncji, kilka minut po osobistej interwencji pisarza w sprawie udaremnienia linczu na pewnym francuskim żołnierzu przechwyconym przez oddziały księstwa weimerskiego: w tym kontekście »niesprawiedliwość« polega na oszczędzeniu wrogiego żołnierza, który być może jest nawet wielkim zbrodniarzem, »brak porządku« natomiast to żądny krwi, rozwścieczony tłum, który wedle odczucia Goethego jest gotów go rozszarpać. Tak naprawdę zdanie to oznacza w jego ustach przeciwieństwo [...] tego, co ciągle mu się przypisuje od czasów Barrèsa". Zob. M. Houellebecq, B.H. Lévy, *Wrogowie publiczni*, przeł. M. J. Mosakowski, Warszawa, 2012, s. 107.

Jednakże poza wymiarem uniwersalnym powieści Myśliwskiego są także – może przede wszystkim – świadectwem indywidualnym, którego narzędziem jest pamięć. Jest ona katalizatorem analizy, ale również jej celem. W pierwszym przypadku służy możliwości zreferowania wydarzeń, które w zdecydowanej większości działy się w przeszłości względem momentu opowiadania. Jeśli w dodatku powołamy się na trop autobiograficzny, który – nawet jeśli nie dzieje się to wprost – odciska piętno na kształcie powieściowego świata przedstawionego, to udział wspomnień jest tym bardziej ważny. Pisarz musi przecież przywołać wszystkie przeszłe relacje, miejsca, uczucia, opinie. Pamięć staje się więc swoistym metajęzykiem jego książek. Zaklina ją w przedmiotach, a także fetyszyzuje. Przede wszystkim wywołuje to wysyp prozatorskich jukstapozycji o źródłach w pojedynczych artefaktach, które stają się przyczynkiem do snucia rozmaitych, pozornie dygresyjnych opowieści. Taką funkcję spełnia na przykład wspomniany wyżej lichtarz, a także kapelusz. Językowa gra, umożliwiająca płynne przechodzenie gawędy od jednego do drugiego wątku, przyjmuje najczystszą postać w motywie buta z *Widnokręgu* – odpowiedniku Proustowskiej magdalenki[18].

Takich przedmiotów pojawia się na kartach powieści o wiele więcej. Figurują w niej pod znamienną nazwą „pamiątek" (źródłosłów w tym wypadku jest oczywiście nie do pominięcia). Raz traktowane są z namaszczeniem – jak brzytwa w *Traktacie*, tak starannie pielęgnowana przez bohatera, jakby była samą pamięcią, a nie tylko jej uprzedmiotowieniem. Czasem jednak wyczuwa się w tej fetyszyzacji nutkę kpiny – przybiera wtedy stylizację anegdotyczną. Dotyczy to zwłaszcza pamiątek, które ocierają się o kicz i nie posiadają wartości sentymentalnej. Wprost potwierdzają to zapożyczone przez narratora słowa tajemniczego bohatera – pana Roberta: „śmiał się w listach do mnie z tych pamiątek. Pisał, że nigdy by sam czegoś takiego nie kupił, co sprzedaje. I że jeśli takie pamiątki mają zachęcać do pamiętania, to już lepiej nie pamiętać" (*T*, s. 35).

Szczególnymi nośnikami pamięci są – co oczywiste – fotografie. W *Widnokręgu* jedna z nich pojawia się już w prologu, stając się punktem wyjścia dla całej opowieści. W *Traktacie* ma to bardziej mistyczny wymiar – przywołane zdjęcie w swojej nieodgadnionej tajemniczości porusza całą mnogość wątków. Jednym z nich jest „myśliwskie" przeznaczenie, ale w tym wypadku ściśle związane z wojną[19], która jest granicą ludzkiej pamięci (przynajmniej na terenie Polski). Ludzie dzielą czas na przed- i powojenny – jak na dwa różne wymiary rzeczywistości. Także dla powieściowych protagonistów lata 1939–1945 są szczególnego rodzaju okresem – pełnią rolę mitycznego początku – tragicznego, ale wykrzywionego przez dziecięcą wyobraźnię, a więc prawdopodobnie tym silniej oddziaływającego na podświadomość.

[18] Porównanie to usprawiedliwia analogia widoczna w tytułach: *W poszukiwaniu zgubionego buta* (rozdziału powieści Myśliwskiego) i tytułu cyklu Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu*.

[19] W powieściach Myśliwskiego, mocno osadzonych w polskich realiach, słowo „wojna", nawet bez jakichkolwiek liczebników, zawsze oznacza II wojnę światową.

Najdalsze wspomnienia sięgają właśnie lat okupacji, co dotyczy także wspomnianego zdjęcia. Ma ono charakter szczególny, przede wszystkim dlatego, że jest zdjęciem jedynie opowiedzianym (poddanym procesowi literaturyzacji). Ale ważna jest też jego treść i kontekst – o tym, co widnieje na fotografii, opowiada bohaterowi przypadkowo spotkany Austriak. W trakcie snucia opowieści, okazuje się, iż przedstawia ona ojca obcokrajowca, a także samego protagonistę jako małego chłopca. Trwa właśnie wojna i odbywa się pacyfikacja jego wsi. Postaci stoją zatem na radykalnie wrogich pozycjach. Takie zdjęcie jest wizualną syntezą wielkich problemów XX wieku, których szczegółowa analiza wymagałaby niezwykle obszernego wywodu – konfrontacji pokoleń, dziedziczenia winy, traumy wojennych doświadczeń – tymczasem wszystkie te wątki z powodzeniem mieszczą się na jednym obrazie, wypowiadając to, co niewypowiedzialne. Prawdopodobnie dlatego powieściowa fotografia posiada pewną mistyczną skazę-paradoks – postaci są na niej widoczne zarówno *en face*, jak i z profilu. Towarzyszy jej wypowiedziane przez opowiadacza motto, które w sferze pojęciowej sprzęga obraz z pamięcią: „Ojcowie powinni się przed synami spowiadać, jeśli pamięć ma trwać. Nie chcę, żebyś mi przebaczył. Chcę, żebyś pamiętał. Niech twoja pamięć będzie moją pokutą" (*T*, s. 271). Ta myśl niezwykle przylega do rozważań Barthesa na temat etymologii słowa *spektrum* jako części składowej fotografii[20]. W powieści Myśliwskiego są one potraktowane dosłownie, a teoretyczne podwaliny zostają przeniesione na fabułę w skali jeden do jednego.

Pamięć przyobleka się zresztą również w inne, bardziej ekstrawaganckie wcielenia – sama jest sobie panią i nie stosuje względem siebie kryterium patosu. Fetyszem memoryzacji stają się choćby spisywane przez matkę bohatera *Widnokręgu* przepisy kulinarne, które ten znajduje w każdym zakamarku domu. Z pozoru najbardziej prozaiczne, codzienne przedmioty, kojarzące się z niczym innym poza ulotnością, przybierają postać najdonioślejszego świadectwa. „Toteż po jej śmierci, gdy paliłem je pod kuchnią, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że oto przesuwają się przez moje ręce kartki pamiętnika matki. Bo też stanowiły jedyny zapis jej życia, jaki po sobie zostawiła" – mówi bohater (*W*, s. 389), jednocześnie rekonstruując opowieścią, skupioną wokół tych przepisów, przebieg życia zmarłej matki. Znów zresztą na pomoc przywołuje ogień, który jest początkiem i końcem każdego życia, a więc także każdej pamięci.

Poza funkcjonowaniem jako narzędzie w służbie narracji, pamięć pojawia się na kartach powieści także w postaci dyskursu teoretycznego, który za materię bierze wyabstrahowane z pojedynczych doświadczeń pojęcie-abstrakt. Dzięki temu czytelnik może się zaznajomić z refleksją na temat pamięci *per se*. Narrator Myśliwskiego traktuje ją zwykle jako subiektywne źródło wiedzy o świecie. Nieustannie

[20] Roland Barthes pisze: „Nazwałbym to najchętniej *spektrum* Fotografii, ponieważ słowo to poprzez swój korzeń zachowało związek ze »spektaklem« i dodaje tutaj rzecz nieco straszną, która jest w każdej fotografii: powrót umarłego". Tegoż, *Światło obrazu – uwagi o fotografii*, przeł. J. Trznadel, Warszawa 2008, s. 21

się na nią powołuje, ale jednocześnie broni się przed zarzutem o uzurpowanie sobie prawa do wypowiadania jedynej prawdy – właśnie dzięki podkreślaniu jednostkowego statusu pamięci. Na tej drodze do relatywizowania posuwa się nawet dalej, gdy podważa prawdziwość świadectwa zapośredniczonego we wspomnieniach w odniesieniu do indywidualnych losów. Wypowiada taki oto sąd: „Wyobraźnia jest ziemią naszego istnienia. Pamięć jest tylko funkcją wyobraźni" (*T*, s. 257), tym samym wywołuje szerszą, epistemologiczną dyskusję, podważającą możliwość rzeczywistego poznania czegokolwiek. W innym miejscu wkłada w usta nauczyciela taką frazę: „tego, co ty widzisz, nikt inny nie widzi. Choćby widział dużo więcej" (*W*, s. 275). Wszystko więc zamyka się w pewną koherentną całość, w której język, myśl i pamięć są ogniwami tego samego łańcucha. Świat jest doznawany subiektywnie, poznanie zmysłowe niepewne, zatem rzeczywistość jest niczym innym jak opowieścią, która stanowi bodziec dla odbiorcy, aby stworzył nieskończoną ilość własnych jej wariantów.

Wróćmy jednak do skali makro, której zarys został przedstawiony we wstępie tego szkicu. Jak wspominałem – *Traktat o łuskaniu fasoli* jest szerszym świadectwem pokoleniowym i jako taki stanowi punkt zwrotny w polskiej pamięci zbiorowej. Oczywiście protagonista jest jeden, ale przebieg jego życia jest bardziej uniwersalny, niż we wczesnych powieściach Myśliwskiego – można w niego wpisać wiele realnych losów. Zapis doświadczeń jest tak różnorodny, że z bohaterem może utożsamić się naprawdę szerokie społeczne spektrum czytelników. Dlaczego jednak jest to opowieść tak odmienna od dzieł gloryfikowanych przez nową polską politykę historyczną? Przede wszystkim ze względu na odczarowanie dziedzictwa komunistycznego. Truizmem jest fakt, iż świadome partycypowanie w poprzednim systemie politycznym jest piętnowane, wykluczające z dzisiejszego dyskursu, a nawet prowokujące do linczu.

Myśliwski idzie na przekór tej tendencji; jedyne do czego prowokuje, to do powtórnego przemyślenia rzeczywistości społeczno-politycznej. Oczywiście jest daleki od apoteozy PRL-u. Enigmatyczna postać pana Roberta, która pojawia się w *Traktacie*, jest symbolem stosunku narratora do wydarzeń sprzed 1989. Najpierw jest on pełen sił życiowych i entuzjazmu, by potem – wraz z biegiem lat spędzanych w komunistycznej Polsce – popaść w marazm, zniechęcenie, zobojętnienie[21]. Zarazem jednak pisarz – jakby mimochodem – oddaje poprzedniemu systemowi sprawiedliwość. Co chwilę nadmienia: „wierzyłem w nowy lepszy świat", ale nie ma w tym wyznaniu wyrzutów sumienia, a co najwyżej gorycz nad głupotą młodości. Narrator niczego więc nie tłumaczy, nie wikła, mimo to odbiera swojej postawie stygmaty. Dzięki temu rehabilituje wielu ludzi, których przegonił bieg historii, i którzy nie umieli się w nim odnaleźć. Trudno się zresztą dziwić. Jak twierdzi bohater – trzeba w coś wierzyć, a nic tak dobrze nie nadaje się do wierzenia, jak

[21] Główny bohater jest wtedy na emigracji, wobec tego sytuację może obserwować jedynie z zewnątrz. Stąd powołanie postaci pana Roberta, który jest jego oczami i uszami na terenie kraju.

nowy wspaniały świat. Zwłaszcza, gdy w sukurs przychodzi mu potężna retoryczna moc nowomowy (a świat u Myśliwskiego staje się w opowiadaniu): „Bo to rewolucja była tym płomieniem, którym płonęło każde zdanie w »Notatniku«, każde słowo, a nawet poszczególne sylaby, przecinki, kropki, nie mówiąc już o wykrzyknikach. Była stosem, na którym płonął cały świat" (*W*, s. 116). W całej tej polityczno-historycznej refleksji dominuje jednak raczej sentymentalny uśmiech, czułe pochylenie się nad własną młodością, niż chęć sądzenia.

Pomimo tego, że narrator nie wypowiada się autorytatywnie i nie precyzuje pojęć dobra i zła, to błędem byłoby powiedzieć, że są one dla niego bez znaczenia. Oczywiście można – zwłaszcza z dystansu – traktować postawy z pewną anegdotyczną wyrozumiałością, ale i to ma swoje granice. Musimy ostatecznie poczynić jakąś refleksję nad przeszłością, choćby poprzez pamięć w skali mikro. „Musimy dziedziczyć, w przeciwnym razie to, co się stało, będzie się wciąć powtarzać. Nie możemy z dziedzictwa wybrać sobie jedynie tego, co nas nie obciąża. Zakłamalibyśmy się doszczętnie" (*T*, s. 270) – to prawdopodobna, wyrażona wprost w powieści motywacja twórcza Myśliwskiego, źródło jego powrotu do powieści nurtu wiejskiego. Widząc tak nieprzebrane bogactwo własnych korzeni, musiał oddać mu sprawiedliwość i pomóc mu przetrwać. Dzięki pisarzowi i my – czytelnicy dziedziczymy spadek po usuniętej na margines kulturze ludowej. Jest to spuścizna nieskrystalizowana w jednym wymiarze, niedająca się opisać przez przypisanie jej prostych kategorii. Ona nie zastyga, ale pieni się w swojej różnorodności, jak gawęda, jak samo życie – staje się ciągle na nowo.

Igor Owczarek

Summary

„It's only a village, but also [...] five circles of initiation, ten circles of penance". Wiesław Myśliwski's *Widnokrąg* and *A Treatise on Shelling Beans*

The aim of the essay is to analyze Wiesław Myśliwski's *Widnokrąg* and *A Treatise on Shelling Beans* as well as to study his writings in a broader perspective of contemporary rural novel. The author studies the structure and language of the narrative world to find common characteristics between analyzed pieces and oral culture as described by Walter J. Ong and Eric A. Havelock. The author seeks origins of Myśliwski's novels in the heritage of pre-Platonian thinkers and Heraclitus of Ephesus in particular. Additionally, seeing memory as a literary tool allows the author to view *Widnokrąg* and *A Treatise on Shelling Beans* as opposed to contemporary Polish historical politics, and therefore to propose alternative solutions for shaping Polish national identity. In such context, Myśliwski's work puts emphasis mainly on peasant culture of magic and myth. It is also important from the political perspective because of an in-depth objective analysis of the period of the People's Republic of Poland.

Joanna Banach

* * *

Nic trwalszego niż kruche światy
nieistotnego dzieciństwa:
lustrzane portale szaf,
salon marmurowego blatu
babcinej toaletki,
po którym sunęły barczyste wody kolońskie
i smukłe butelki damskich perfum,
a w czeluściach szaf
strzępy przedwojennych świetności,
błyskające ocalałymi cekinami,
lub straszące szklanym okiem spłowiałego lisa
i krochmalone obrusy o zapomnianych inicjałach,
na których czasem jeszcze stawiano
przypadkowo niestłuczone resztki
serwisu w popielato-żółte róże
i „Wróć, ucałuj..." śpiewała babcia,
upinając włosy przed poniemieckim lustrem,
które nigdy nie znało jej młodej twarzy.

FOTOGRAFIA, 1913

Twoje ręce starannie,
staraniem fotografa, domorosłego artysty,
złożone na kolanach,
głowa zwrócona we właściwą stronę,
oczy mające patrzeć bystro i rozsądnie,
równo wytyczony przedziałek,
lśniące guziki gimnazjalnego uniformu:
ten portret twój, tak zamierzony,
śmiesznie uroczysty,
tylko, że grube wargi pod młodzieńczym wąsem
wydają się wciąż niesyte zakazanych całusów

jakiejś Wisi czy Gerci, do której,
według mglistych plotek rodzinnych,
chadzałeś nocą przez balkon,
ku zgrozie – czyjej? Nie wiem, ale oczywisty
jest dla mnie niepokój twoich dłoni,
nienawykłych do poprawnego bezruchu,
w twojej sztywnej pozie wyczuwam niewygodę,
na jaką skazuje cię co dzień
przyciasny, uczniowski mundur
i jesteś mi bliski
gdy tak ufnie spoglądasz
w przepastne oko obiektywu.

JEDWAB

W pewnym momencie wielkiej wojny
kobieta, której imienia nie poznam
zrozumiała, że nadszedł czas porzucania.
Więc wybiegła w ciemność
przez uchyloną na zawsze furtkę,
ściskając w dłoni parę jedwabnych pończoch,
których chwyciła się w ostatniej chwili
tamtego życia.
Dokąd dobiegła i co zrobiła z przypadkową pamiątką?
Czy założyła je przy pierwszej okazji?
Lub wymieniła na woreczek mąki?
A może do samego końca trzymała je, nietknięte,
na dnie szuflady, rozpaczliwie dwuwymiarowe,
bezradnie jedwabne?

PORTRET PANA Z.

Babcia, której pamięć zastygła w muślinach sukien,
często odmieniała przez przypadki pańskie nazwisko,
ale dla mnie nie ma pan twarzy, ani charakteru,
jedynie mundur, chyba oficerski.
Wszystko przesłania ten kosz kwiatów,

który przysłał pan po balu uroczej pannie Ziucie,
taki piękny – o Boże! – że fotografowała się z nim
panna służąca, za uprzejmym przyzwoleniem panienki.
I były jeszcze jakieś skargi, czy wyrzuty,
dramatyczne „Jesteś taka, jak wszystkie",
skreślone drżącą ręką na pachnącym bilecie.
Prawdziwe życie jak operetka,
melodia wystukiwana potem przez koła pociągów
jadących na zachód i korkowymi obcasami
w poniemiecki bruk ulicy, którą sunęły ciężko
furmanki z węglem.

Joanna Banach

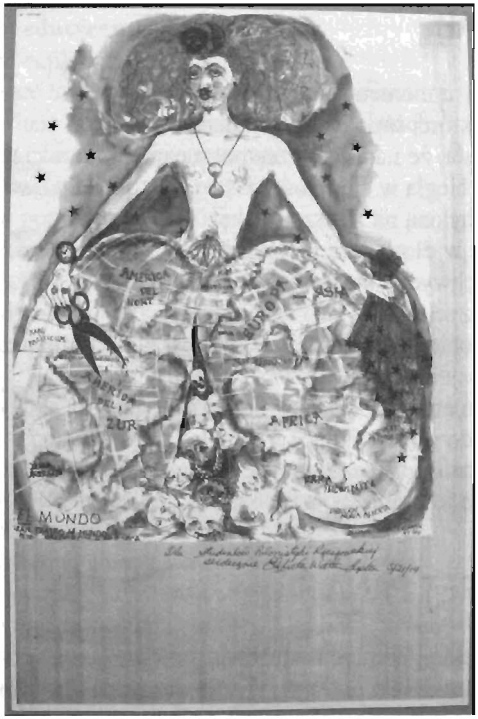

E. Lipton Wittlin, *El Mundo*, projekt kostiumu do sztuki P. Calderona de la Barca, *Wielki teatr świata*, rysunek na papierze.

Arkadiusz Bagłajewski

Z cyklu *Skrawki, okruchy, esencje*

BIBLIOTEKA

Przyglądał się swojej twarzy w lustrze.

Przechodził obok nowego biurowca i w ogromnych, szklanych taflach dostrzegł sylwetkę. Przygarbiony, drepczący takim samym krokiem, jakim chodził jego dziadek. Ile to lat temu? Ile lat miał wtedy dziadek? No tak, więcej niż on – bliżej sześćdziesięciu, ale być może jako pięćdziesięciolatek już tak dreptał. Niestety, nie może tego sprawdzić. Nie pamięta. Nikt już tego dreptania nie pamięta.

Stoi przed lustrem w łazience i przygląda się sobie z zainteresowaniem. Kiedy pojawiły się te plamy na twarzy? Czy przed trzema laty, kiedy zaczął stosować inhalatory? Świszczący oddech nie był rozpoznawany jako zwiastun nadchodzącej starości, ale konsekwencja panoszenia się alergii, która dotyka nawet dzieci. A to znamię na policzku? Skąd ono się tu wzięło? Dlaczego i o czym przypomina swoją obecnością? Zakola. Zawsze miał wysokie czoło, ale włosy gęste, czarne. W dawnych czasach, „wstydliwości", dziewczyny lubiły mierzwić jego włosy, bawić się włosami, a on do dziś pamięta te chwile przyjemnego drżenia rozchodzącego się od głowy. Strzygł się krótko, włosy szybko odrastały. Zauważył jakiś czas temu, że włosy, poprzetykane skromnie siwizną – nie był siwy, jak niektórzy jego młodsi koledzy, nie miał też brzucha – zrobiły się jakieś matowe, rzadsze, wolniej odrastały po strzyżeniu.

Dbał o zęby. Starannie się golił. Mył co drugi dzień włosy. Używał dobrego mydła i dobrej, drogiej wody toaletowej. Nacierał trochę szyję, kilka kropel za uszami. Kropelka nad górną wargą.

Puścił obok te słowa, kiedy wybierał dżinsy – nosił je od zawsze. Ten model zasadniczo nie jest przeznaczony dla starszych, ale to kwestia sylwetki, panu nawet dość pasują – takie okrutne słowa, które go przecież połechtały. Dziewczyna w sklepie była ładna i miałby na nią ochotę, gdyby to jeszcze w życiu było takie proste, jak na tych filmikach.

Kiedyś na piwie kumpel powiedział mu, że odwiedza czasem te strony bo o n i mają takie ładne, gładkie ciała – żadnych wyprysków, włosów, są szczupli. Wydepilowani. Wyłącza dźwięk i chwilę sobie popatrzy. Sam nie wie, dlaczego, ale lubi się pogapić. Ja też kiedyś byłem taki szczupły, powtarza. Trudno w to uwierzyć, prawda, ale ty mnie przecież pamiętasz z tam-

tych czasów? Kumpel był z tych siwych, starszawych, z brzuchem. Rozumiał go. No tak, pamiętam cię, tak jak pamiętam siebie – akurat. Pomyślał sobie, że wszyscy to mają. Tak czy inaczej. Te głupie żale za minionym. Dokąd wiodą nas na pokuszenie. Przypomniał sobie obrazek zapamiętany z wizyty u fryzjera. Młodszy od niego koleś, ale zdecydowanie łysiejący, bez żadnych szans na zatrzymanie tego spustoszenia, z błagalnym wzrokiem utkwionym w młodej fryzjerce, skamlał, bo jak inaczej to nazwać, może trochę mniej tu, może by to zostawić, czy da się podczesać w to miejsce, na trwałe. Biedny, z tym błaganiem o odroczenie nieubłaganej katastrofy.

Gromadził książki i płyty. I filmy na dvd. To był ten pancerz, ochrona, talizman. Aż raz uświadomił sobie, że już nie zdoła przeczytać wszystkich zgromadzonych książek. A przecież kupował z myślą, że kiedyś – właściwie kiedy? – przeczyta raz jeszcze. Dotarło do niego, że nie zdąży.

Co się stanie z pracowicie gromadzoną przez tyle lat biblioteką? Dzieci nie wezmą tych książek, wiedział doskonale – od lat niczego nie czytały; pracuję przecież tato, z naciskiem na to słowo, czy ty nie rozumiesz, że kiedy przychodzę z pracy jest siedemnasta, zjem obiad, pokręcę się, pogapię w telewizor i kładę się spać, tak pracują wszyscy, nikt nie ma tyle wolnego, ile ty, te ferie, wakacje, zajęcia od dziesiątej, no sam powiedz, kiedy mam znaleźć czas na czytanie, w sobotę trzeba zrobić zakupy, jakoś odpocząć, a ciągnąć na wakacje jeszcze książki, po co, i tak niewiele mamy z tego życia; tak mówiły nie tylko jego dzieci. Tak mówiły wszystkie dzieci z pokolenia jego dzieci.

Ale los biblioteki martwił go coraz bardziej – co się stanie z tymi książkami, z pewnym pomysłem tej biblioteki, z jej smaczkami. Lubił patrzeć na nieprzypadkowo poukładane w takim, a nie innym porządku książki, kiedy pił poranną neskę z mlekiem. Czy ktoś odnajdzie zamysł tego porządku? Sens tej biblioteki? Takiego, a nie innego ustawienia księgozbioru na tych właśnie półkach?

Martwił go los biblioteki, jej zatracenie, w najlepszym razie rozproszenie, zdekompletowanie, upadek.

Już teraz smuci się – a przecież jest słoneczny, zimowy dzień, za oknem śnieg, lekki mróz, pięknie przyprószone drzewa, na szczęście z okna nie widać tej chlapy, która utrudnia życie ładnym butom i kierowcom – siedzi w fotelu z kubkiem wypełnionym jak zawsze do połowy kawą z odrobiną mleka, przygląda się bibliotece i już wie, że chyba nie było warto. Bo tak krótki jest czas tej biblioteki, tych książek.

Patrzy na rząd woluminów. Lubi porządek. Od zawsze wolał nowe książki, nie po kimś, z antykwariatów, z nieusuwalnym zaduchem starości. Custine, Krasiński, dziennik Goszczyńskiego, pamiętniki, Chateaubriand.

W innym miejscu cały Mickiewicz w brązowych, imitujących skórę okładkach. I Sienkiewicz w kilkunastu tomach, którego już pewnie nie przeczyta. I przeczytany niedawno Pamuk, po którego może jeszcze sięgnie raz czy drugi. Nie więcej, więc po iluś latach będzie tak, jakby w ogóle nie czytał. I coraz bardziej martwa proza z początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. I obumierające tomiki z dedykacjami. Celofanowa seria poetycka, pozbawiona celofanu. I w różnym stanie cała korespondencja Krasińskiego, tę musiał kupować w antykwariatach, z zakreślonymi ołówkiem i pozaginanymi stronicami. Nabokov, niegdyś przeczytany w całości. Lektura bezpowrotnie miniona. Tomiki A.N. z dedykacjami, jakie tylko on potrafi pisać.

I kilkanaście książek bez ładu i składu – ślady rozproszonego księgozbioru J. Sz., pośmiertna pamiątka, dziwnie czuła w prawdziwej rozpaczy zapowiedź losu tych tutaj książek. Alegoria tej z takim trudem gromadzonej na zatracenie biblioteki.

KAWA Z MLEKIEM

Miał niewiele ponad sześćdziesiąt lat, kiedy uświadomił sobie, że czas się skurczył, zwinął się, niczym kwiaty, które jeszcze wczoraj dumnie stały w wazonie, a dzisiejszego przedpołudnia oklapły. Kiedy wylewał zielonkawą wodę poczuł smród butwiejących łodyg. Lepko-słodki, jak zapach ciała drugiego dnia po tym, kiedy odeszła. Pamiętał ten dzień, pamiętał ten zapach.

Inne dni przewijały się szybko. Może zbyt szybko, po jej odejściu i wyjeździe dzieci do wielkiego miasta. Był sam i zdążył się przyzwyczaić do samotności, tak że dziwił się czasami, że w tym cichym domu słychać było niegdyś głośne rozmowy i śmiech. Ich śmiech.

Pił kawę, nieco później niż zwykle, ale tego dnia nie wydarzyło się nic niepokojącego Może trudniejsze wstawanie, wydłużona poranna toaleta. Pomyślał nieoczekiwanie, że to smak starości owionął nim i choć gdzieś odleciał, to już nie odpuści. Przytrzyma. Raz słabiej, raz mocniej. To tego, to innego dnia. Mękami porannego golenia, wygrzebywania z lodówki czegoś do zjedzenia. Kłapaniem w zadeptanych kapciach to tu, to tam, bez celu. Uruchamianiem ekspresu. Rytuałem porannej kawy z mlekiem i przeglądanej nieświeżej gazety.

Uświadomił sobie z przedziwną jasnością, że to już.

Już był tam. Wiedział, choć nigdy by tego głośno nie powiedział, ani nikt ze znajomych nie pokusiłby się o takie sformułowanie. Miał ładną, sprężystą sylwetkę, i wszyscy mówili, że nie wyglądał na swoje lata. Nie było w tym żadnej jego zasługi. Dobre geny, ot, wszystko. Nigdy nie sto-

sował diety, nie uprawiał żadnych sportów. To prawda, od lat nie palił, ale alkohol pił dość często, choć, jak sądził, w umiarkowanych ilościach. (Co to właściwie są te umiarkowane ilości, zastanawiał się nieraz, lubił wypić sam butelkę wina, albo i jeszcze dwie lampki z kolejnej i czuł się wtedy, i następnego dnia naprawdę dobrze).

Ten dzień, jak inne. Nic w nim szczególnego. Jak tysiące przed nim. Ile po nim? To było pytanie – niewypowiedziane – które skądś wydobywało się na powierzchnię. Coraz częściej to pytanie. I zdaje się, poraziło jego świadomość nieoczekiwanym odsłonięciem banalnej, co tu mówić, zagadki czasu. Czasu dla niego... Więc to już? Wydłużane poranne wstawania, trudniejsze obmacywania bosą stopą podłogi w poszukiwaniu zostawionych koło łóżka kapci, dłuższe o kilkanaście sekund golenie, dłużej otwarta lodówka, po której przelatuje nieco tylko słabszym wzrokiem niż przed kilku laty. Dłuższe siorbanie porannej kawy, więcej kropli kawy na brodzie i skondensowanego mleka na kuchennym blacie. Kilka dłuższych ruchów ścierką, by je wytrzeć.

I przyjdzie taki dzień, kiedy nie ogoli się, bo i po co, nie zaparzy porannej kawy, bo zirytuje go ta drżąca ręka, jego ręka, nad którą nie ma kontroli i która nie potrafi unieść pudełeczka ze skondensowanym mlekiem bez upuszczenia kilku kropli, które tak trudno się potem wyciera, żeby nie rozmazać na kuchennym blacie.

TYLKO ŚNIEG

Jak okiem sięgnąć – śnieg. Biała równina. Lekkie wybrzuszenia widziane z daleka – to zaspy. W oddali, naprawdę bardzo daleko, obrys lasu. Niekiedy porusza się po niezmąconej bieli ciemniejszy punkt. Przesuwa się skokiem. To zając.

Ciemne, nabrzmiałe niżowe chmury. Szczelnie otuliły ziemię. Znów sypie z nich ciężki śnieg. Śniegu wciąż przybywa, ale nie jest to uciążliwe, tak jak w mieście, gdzie kiedyś mieszkał. I co z tego, że przybywa, skoro i tak jest odcięty od świata. Tylko śnieg – cały jego świat. Zasypana droga prowadząca do innej drogi. Ta też zasypana – i dopiero ona prowadzi do asfaltowej szosy, którą można dostać się, z trudem, do sklepu i na pocztę.

Znów sypie śnieg. Od kilku godzin. Nawet gdyby wziął teraz łopatę i tak bezcelowe byłoby odśnieżanie. Tu trzeba ciężkiego sprzętu. Jakiegoś ciągnika z solidnym pługiem. Ale przecież nikt nie przyjedzie pługiem, bo i po co? Został sam. Nie ma żadnych zwierząt, nawet psa. Obok jego domu kilka chałup, wykorzystywanych latem jako siedliska. Teraz puste i zapomniane.

Za oknem nic tylko śnieg. Sypie od kilku dni. Niebawem skończą się zapasy. Konserwy, jakieś przetwory, alkohol. Tyle zostało. Od wielu dni nie ma chleba. Trzeba byłoby wstać i przedrzeć się przez śnieg do sklepu. Kończy się nafta. Za mało kupił, ale skąd mógł wiedzieć, że już trzeci tydzień nie będzie elektryczności. Kto będzie naprawiał zerwaną linię dla jednej osoby? Nie pracuje hydrofor. Zostaje studnia. Przestał się dokładniej myć i załatwiać w domu. Teraz chodzi srać do wychodka, przypomniał sobie, że tak właśnie mówiono w dzieciństwie o tej czynności – sranie. W mieście starał się oduczyć tego słowa. Nie pasowało do łazienki z kafelkami.

Mieszka sam, nie czuje więc swego zapachu. Domyśla się, że jego niedokładnie umyte ciało wydziela niemiłą woń; śmierdzi po prostu. Smród zostawianych na niezmienianej od kilku dni bieliźnie kropel moczu, potu, niedopranych, pokrytych lekką skorupą brudu ubrań, splata się w jedno. To słodko-kwaśny zapach, jego zapach. Od pewnego czasu znak rozpoznawczy, z trudem da się go pomylić z zapachem kogoś innego. Znał ten rodzaj zapachu, kiedy jeszcze pracował w szpitalu, dokąd przywozili chłopów z okolicznych wsi. Robotnicy z miasteczka pachnieli inaczej. Ich ciała wydzielały lekko metaliczną aurę, tłumiącą woń niedomytej latami skóry. Kobiety – woń potu zmieszana ze starym zapachem zjełczałego mleka.

Nigdy nie mógł przemóc obrzydzenia. Uciekł z domu na wsi do bursy, a potem na studia – przed tym zapachem. Nigdy nikomu nie przyznał się, jak go brzydził ten zapach wiecznie niedomytych ciał. Zapach ciał ojca i matki. Brzydził się ich – kiedy go przytulali, wstrząsał nim drobny, potem coraz bardziej gęstniejący skurcz. Paroksyzm dławiącego bólu. Bardzo to irytowało ojca. Tym mocniej go przyciskał. Myślał wtedy, że się udusi. Łapał go ten dziwny skurcz, przypominający wewnętrzne mdłości. Ach, gdyby mógł wyrzygać ten zapach. Nie mógł, niestety.

Skąd i dlaczego przychodzą te myśli, takie wspomnienia? Skąd i po co? Nie warto się zastanawiać. Odrzucił te myśli, bo już nie potrzebował myśleć. Nie robił nic – nie rozmyślał, przestał czytać. Nie gapił się w telewizor, nie słuchał radia – nie miał prądu, ale gdyby miał, też by nie włączył odbiorników. Całymi dniami, także i po zmierzchu, patrzył przez okno. W dal, w niczym niezmąconą biel. Spojrzał i teraz za okno. Śnieg przestawał sypać. Prószył. Patrzył jak spadają pojedyncze płatki. Niezmącona niczym biel. Ta fraza przewinęła się już w jego umyśle. Czystość, której zawsze pragnął. Patrzy na śnieg. Muska go wzrokiem, to znów wpatruje się w jakiś punkt, którego nie ma. On i śnieg. Żadnych ludzi, żadnego świata. Śnieg. Tylko śnieg.

Arkadiusz Bagłajewski

Stanisław Dłuski

OCZODOŁY

wywodzę się ze źródła
które jest ślepe
nagie
bezbronne

w pustych oczodołach
kwitną noce
bez gwiazd

PROŚBA DO EURYDYKI

Przeciw smutkom cóż mogę,
Przytulić się do twoich drobnych dłoni,
Delikatna, krucha filiżanko, pełna
Wschodów i zachodów lata, tam
Za lasem poziomki pachną
Twoim biustem, smakuję
I się psuję, przybywa siwych traw
Na głowie; oddam Panie moje wiersze
Na przemiał, podaruj mi jeszcze raz
Te szalone noce pełne światła,
Już nie zmarnuję, nie przepiję,
Nie oddam serca do lombardu

27 listopada Anno Domini 2014

JAŚNIEJ

Szukałem
Pociłem
Smarkałem
Błądziłem
W poszukiwaniu
Jedności ciał
Piękna o smaku
Dziecinnych warg
Alkohol przepalał
Moje oczy i flaki
Aż zamilkłem
Wobec tej jednej
Piosenki pelargonii
Zakwitłej w pokoju
Pełnym książek
Z garbem życia
Widzę jaśniej

Stanisław Dłuski

Wojciech Kudyba

ANIOŁY

Krzysztofowi Kuczkowskiemu

W grudniu mkną w srebrnych szronach
W przejrzystych nieboskłonach
Biegną po ciemnych gwiazdach
Liczą uśpione miasta.

Na porzuconych polach
Zbierają w maju pstre zioła
Leżą w pachnących miedzach
Liczą śpiące osiedla.

W lipcu, w porannym chłodzie
Cicho chodzą po wodzie
Na brzegu chmury słodkiej
Liczą drzemiące opłotki.

We wrześniu w wielkim oknie
Grają nocą w dwa ognie
Bawią się w domu księżycem
Liczą senne ulice.

W listopadzie u Pana
Siadają na kolanach
I w Jego dłoniach zmęczonych
Chowają obudzonych.

GWIAZDA W KOŃCU ŚWIATA

Ziemia ma w końcu gwiazdę
Koniec świata – miasto.
Zbiegają się ulice
Masa – zmienia w światło.

Dziecko jest starsze od nas
Zwijają stulecia.
Ten, kto by umarł – żyje.
Ten, kto jest bliski – czeka

Wojciech Kudyba

E. Lipton Wittlin, projekt kostiumów do sztuki C. Goldoniego, rysunek na papierze.

Łukasz Marcińczak

MISTYCZNY ZAKAPIOR, CZYLI PUSTELNIK IN FLAGRANTI

Panie, jeżeli tak traktujesz swoich przyjaciół,
nie dziwota, że masz ich tak niewielu.
Św. Teresa z Avila[1]

Pustelnik Jano ma w swojej pustelni Internet i stale włączoną komórkę, a na Facebooku 1526 znajomych. Jednak wystarczy otworzyć Dostojewskiego, aby się przekonać, że anachoreci prawosławni stale mają gości i drzwi się do nich nie zamykają. Zajmując lokum wielkości dawnego kiosku „Ruchu", jednakowoż z zapierającym dech widokiem na Zalew Soliński, napisał przedziwną książkę, dowodząc w niej, iż tylko dwie postacie z Biblii doznały tego, czego on doświadczył (i to dwa razy).

Żadna książka nie musi się dobrze kończyć, każda natomiast powinna się dobrze zacząć, o czym najlepiej wiedział urzędnik Joseph Grand, który zasłynął najfatalniejszym zapewne zdaniem w całej literaturze francuskiej, które, choć brzmiało niewinnie: „W piękny ranek majowy smukła amazonka, siedząc na wspaniałej kasztance, jechała kwitnącymi alejami Lasku Bulońskiego", podcięło twórcy ścięgna. Rozpoczynano rozmaicie – Gombrowicz swoje dzienniki zaczął od poniedziałku, Kapuściński egzotyczny reportaż od kupna land-rovera, a Żeromski w pierwszym zdaniu puścił ogary w las. A ponieważ bohater *Autobiografii mistycznej* (wydanej przez lubelskie wydawnictwo Norbertinum w 2014 roku) większość swego świadomego życia przeżył w lesie (obecnie zajmowana pustelnia jest już w kolejności siódmą), zainicjował swoją opowieść tyleż prosto, co szeroko: „Korzystając z ciszy i samotności, piszę tę książkę, którą mogę określić mianem książki mojego życia, nie tylko dlatego, że jest ona autobiografią, lecz również dlatego, iż zapisałem w niej najważniejsze i najcenniejsze wydarzenia mego życia".

Zdanie to tylko na pozór skromne, albowiem nie można rozpocząć bardziej intrygująco, skoro czekają nas rzeczy trudne do wyobrażenia, jeszcze trudniejsze do wysłowienia, a pomimo tego jakoś przecież istniejące. Warto zacytować kolejne, aby się przekonać, że jesteśmy w świecie solennym, gdzie nie ma miejsca na awangardowy modelunek i artystowskie gdybania, a kto nie tęskni do takich książek, nie

[1] Cyt. za: P. Czapla, *Fenomen doświadczenia mistycznego*. Słowa wielkiej mistyczki Kościoła pokazują, że choć w mistycyzmie wszystko jest gorące i ostateczne, jest tam też miejsce na oddech dystansu i poczucie humoru.

wie, co to tęsknota: „Gdy w tej chwili, mając za sobą 59 lat, patrzę wstecz na całe moje życie, dziękuję Bogu, że pozwolił mi przeżyć tak wiele. Gdybym chciał spisać dokładnie wszystko, czego doświadczyłem, księga grubością przypominałaby cegłę. Może kiedyś taką napiszę, w tej natomiast skoncentruję się na mych najciekawszych przygodach oraz duchowych doświadczeniach, których miałem mnóstwo, i to tak szokujących, że aż trudno w nie uwierzyć". Autor nie jest gołosłowny, nie było dotąd książki tego rodzaju, na wskroś religijnej, a przecież na poły sensacyjnej – z pewnością unikniemy przesady określając ją jako metafizyczny thriller!

„Modliłem się bez przerwy, będąc w pustelni czy chodząc po lesie z aparatem fotograficznym. Wtedy też zauważyłem w sobie wyraźne poruszenia, coś duchowego się we mnie działo. Gdy czasami zaglądałem do kawiarni w sanatorium »Plon«, ktoś się dosiadał do mojego stolika i już po kilku minutach rozmowy płakał. Rozchodziła się wieść o pustelniku, wokół którego dzieją się tajemnicze rzeczy. Zaczęli mnie odwiedzać w pustelni różni ludzie, prosząc, abym im mówił o Bogu. Była to o tyle osobliwa sytuacja, że to nie ja szukałem ludzi, aby ich »nawracać«, to oni za mną chodzili. I moja pustelnia zaczęła bardziej przypominać lekarską przychodnię niż samotnię, ale drzwi były otwarte zawsze i dla wszystkich". Gdy do pustelni wkroczył wytatuowany drab, któremu z kapoty nie wystawał co prawda ogon z chwostem, lecz niewiele lepiej wróżąca flaszka, Jano zamknął oczy: „Widząc, że jestem bezradny, w myślach powiedziałem: Jezu, teraz mów Ty. I już po chwili facet płakał! Był wstrząśnięty, zaskoczony, nie wiedział, co się z nim dzieje".

Daleko groźniejsze okazało się spotkanie z czarnym magiem „Skorpionem", podającym się za uzdrowiciela, który wysysał energię z ludzi (przerażająco brzmi przypuszczenie, że po to zjawiał się w szpitalach, gdzie modlił się przy chorych, którzy, po krótkiej poprawie, umierali). „Skorpion" zasadził się też na Jano, a raczej zarzucił na niego sieci energetyczne – „»Skorpion« siedział naprzeciwko mnie, poruszając tajemne tematy, a w pewnej chwili poradził mi, żebym się przespał, bo jestem zmęczony... Odpowiedziałem, że nie chce mi się spać, ale on natrętnie nalegał, abym się zdrzemnął. Coś mi się zaczęło wydawać podejrzane, dlaczego mu tak zależy, abym zasnął? W końcu uległem, oparłem się plecami o ścianę przedziału, próbowałem zasnąć, zamknąłem oczy i... po chwili poczułem jakieś delikatne dotknięcia na klatce piersiowej".

Znajdziemy też istne boje homeryckie z demonami, które przybierają postać księży, wielkich kotów, czarnowłosych kobiet, a nawet dwumetrowego, średniowiecznego rycerza w zbroi, który pojawił się na tylnym siedzeniu auta: „Pewnego dnia Apsarasa pojechała ze swoim znajomym do lasu, aby odpocząć od miasta. Od chwili, gdy samochód ruszył, zaczęło się dziać coś bardzo podejrzanego. Samochód ledwie jechał z szybkością mniej więcej 30 km. Kierowca był zaskoczony, bo samochód był sprawny, a hamulec ręczny zwolniony... Odnosili wrażenie, jakby ciągnęli, czy też wieźli, ogromny ciężar. Siedząca obok kierowcy Apsarasa obejrzała się do tyłu i zobaczyła siedzącego na tylnym siedzeniu tajemniczego rycerza". Umierającej na raka Apsarasie (tylko ona widywała rycerza, ale samochód coś naprawdę obcią-

żało!) rycerz przynosił chwilową ulgę, aby w końcu okazać się kolejnym demonem. Jesteśmy na pierwszej linii frontu w wojnie Boga i Szatana o ludzką duszę, gdzie literatura nie bywała od czasów Bernanosa i Claudela („literaturę" rozumiemy szeroko – śladem Milana Kundery, twierdzącego, że pewne rzeczy o świecie da się powiedzieć tylko powieścią, uważamy, że mowy Churchilla albo spisane prawa Rewolucji Francuskiej również odzwierciedlają jedynie właściwe im sposoby obrazowania; tak samo jest z *Autobiografią mistyczną*, wnoszącą do piśmiennictwa nowy rodzaj ludzkiego bycia w świecie „które inaczej wyrazić się nie chce").

Czytelnika pozbawionego eksperiencji w lekturach duchowych, skłonnemu widzieć w pustelniku Jano kontynuatora *oeuvre* Sapkowskiego, a w jego książce jakiś pendant do *Matki Joanny od Aniołów* Iwaszkiewicza, trzeba od razu ostrzec, że sprawa jest daleko poważniejsza. Po pierwsze – poważną jest rzeczą mistyka i choć wciąż z trudem akceptuje ją nauka, a bywa, że i Kościół instytucjonalny, to jednak zjawisku temu (gdzie nie takie przypadki, jak opisane w książce Jano się zdarzały!) oba przypatrują się z najwyższą uwagą. Po drugie zaś, napisał tę książkę człowiek, który w najmniejszym stopniu nie uważa się za pisarza, natomiast, jak to wyraźnie zadeklarował, chce zostać świętym, a zważmy, że nie może być świętości bez mistyki, a nie ma mistyki bez życia na granicy realności i rozsądku. I jeszcze po trzecie – słowo „pustelnik" (prawie tak samo jak „mistyk") pachnie dziś anachronizmem, a nawet ekscentryzmem, ponieważ przekonani jesteśmy, że osoby takie poznikały jak szeptunki na Podlasiu.

Tymczasem żyją razem z nami, w XXI wieku, ludzie z innego paradygmatu i znajdziemy w książce Jano relację z podróży, jaką autor przedsiębrał do współczesnych eremitów. Jeden doglądał uli i zbył wędrowca, pustelnik Stanisław poczęstował gościa zupą i przenocował w wieku od trumny, jeszcze inny, pod Krakowem, okazał się franciszkaninem i mieszkał samotnie w lesie już od pół wieku. W naszych, supramodernistycznych czasach co parędziesiąt kilometrów żyje człowiek, który kosztem życia szuka Boga w samotności. Oczywiście, bokserzy łatwiej rozpoznają w tłumie byłych bokserów tak jak złodzieje złodziei. Wystarczy przejąć się grą w szachy, aby się przekonać, że świat pełen jest szachistów, ale jedno nie ulega wątpliwości – mistycy są wśród nas.

W „Pustelni Leśnej Róży", która niedługo po opisanych wypadkach spłonęła, znajdujemy scenę, w której świetnie widać fenomenalny charakter tej książki, która bywa momentami humorystyczna, nigdy nie tracąc powagi: „W końcu zdobyłem się na odwagę, do jednej ręki wziąłem świecę, do drugiej siekierę i podszedłem do zamkniętych drzwi. Powolutku otworzyłem, wszedłem do środka, nikogo jednak nie zauważyłem, pusty pokój, a mimo to nadal coś chodziło, na dodatek zaczęło iść w moim kierunku i łazić tak metr przede mną. Pojąłem wreszcie, że to duchy. Okropnie wystraszony, zacząłem się tyłem wycofywać. Zamknąłem drzwi i... No właśnie, co dalej robić? Przecież nie pójdę spać do lasu. Poza tym moja pustelnicza duma nie pozwoliła mi uciec przed duchami. Postanowiłem więc całą tę sytuację potraktować jako wyzwanie do walki »duchowej«. Gdy tej nocy poszedłem spać, tuż

obok położyłem Biblię, świecę, zapałki i oczywiście siekierę. Duchy musiały mieć niezłą zabawę, widząc, jak pustelnik poluje na nie z siekierą. Od chwili pojawienia się duchów moje życie modlitewne zdecydowanie się wzmogło, zwłaszcza nocą, gdy wkraczały one do akcji, a były bardzo pomysłowe". Dotykamy tutaj sprawy podstawowej w mistyce, gdzie, by tak rzec, cuda są czymś naturalnym, chociaż żaden mistyk ani się o nie nie stara, ani nie na nich buduje swoją relację z Bogiem. W gruncie rzeczy buduje ją na odrzuceniu i ludzkim szyderstwie; każdy czytelnik *Autobiografii mistycznej* musi zająć stanowisko wobec wyrażonych tam spraw ostatecznych, a przecież o to naprawdę w tej „mistycznej" książce chodzi.

„Mistyczna", „mistyk" – co to właściwie znaczy? Kościół oficjalnie podaje, że liczba osób doznających tak spektakularnych doświadczeń mistycznych jak stygmaty (dodajmy, że w rejestrach kościelnych są, rzecz jasna, ci stygmatycy, których relacje urzędnicy kościelni uznali i zakwestrowali) od początku chrześcijaństwa sięga trzystu. Jeśli doznał ich tylko co setny mistyk, to i tak mistycy idą w tysiące. Popularność zdobyło zaledwie kilku – można ich nazwać celebrytami mistycyzmu na tej samej zasadzie, jak celebrytami literatury są Homer, Szekspir i Faulkner, to znaczy człowiek średnio wykształcony kojarzy te nazwiska z literaturą, a nie z malarstwem lub astronomią. Mistycy ci, w kolejności chronologicznej, to: św. Augustyn z Hippony, św. Hildegarda z Bingen, św. Franciszek z Asyżu, św. Katarzyna ze Sieny, św. Teresa z Avila, św. Jan od Krzyża, czy żyjący już w naszych czasach Amerykanin Thomas Merton i Polka Helena Kowalska, w zakonie siostra Faustyna (dziś już święta Faustyna, wyniesiona na ołtarze przez dziś już także świętego Jana Pawła II; niewykluczone, że również Merton dostąpi świętości, gdy papieżem zostanie Amerykanin).

Oto jest kontekst, w którym pojawia się Pustelnik Jano, urodzony w Rzeszowie w roku 1955, człowiek świecki. To istotna dystynkcja – Merton wstąpił do trapistów, siostra Faustyna należała do Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, Katarzyna ze Sieny była dominikanką, Jan od Krzyża karmelitą, sławna Julianna z Norwich związana była z kościołem anglikańskim, a zagadkowy Serafin z Sarowa to mnich z monasteru Zaśnięcia Matki Bożej. Wszystkich ich łączy jedno – doświadczali istnienia Boga intensywniej – stokroć intensywniej niż każdy z nas. Mistyk jest bowiem kimś, kto poprzez wiarę, już w życiu doczesnym, dostępuje bezpośredniego spotkania z Bogiem (w mistyce chrześcijańskiej jest to najczęściej Matka Boska lub Chrystus). Co znaczy bezpośrednio? Właśnie bezpośrednio – a więc najczęściej słyszy wyraźnie Jego głos, stając się przekazicielem Boskiej woli, bardzo często widuje też Jego postać – tak jak widziała Chrystusa siostra Faustyna, zatrudniony malarz Go namalował. Autor *Autobiografii mistycznej* opisuje scenę, kiedy Chrystus go dotyka, bierze w objęcia, a niezwykle poważany w Kościele ojciec Pio otrzymał od Boga dar zapachu, który świadczył o jego pozacielesnej obecności w odległych miejscach (z czym wiąże się „zdolność" bilokacji, czyli przenoszenia się w przestrzeni oraz przebywania w kilku miejscach jednocześnie). Niedawno, kiedy Jano pisał w pustelni, nagle poczuł zapach wanilii, przekonany, że ktoś pali na zewnątrz fajkę, wyszedł, jednak nie było nikogo. Acha – skonstatował.

Tak – to wszystko brzmi niewiarygodnie, niejeden z pewnością pomyśli: o książce – fantazmaty, a o piszącym te słowa jej czytelniku – dobroduszny (polszczyzna jest na szczęście ojczyzną synonimów). Ta książka jednak istnieje, a wszystko, co napisał jej autor, znajdziemy w tekstach, które cieszą się w naszej tradycji szacunkiem i uznaniem (choć nieczytane) i tak samo dotykalny jest człowiek, który zawarł w niej cały swój świat, a na końcu książki podał nawet numer telefoniczny – każdy może sprawdzić, kim naprawdę jest. Czy zadałby sobie tyle trudu, jeśliby chodziło mu tylko o budzenie sensacji, od dwudziestu lat żyjąc w świecie, na pozór jak każdy z nas, a przecież poza nim. Któż byłby na tyle szalony, aby podporządkować fikcji jedynie realne i prawdziwe życie? Nazwanie go obsesjonatem niczego nie zmieni – tylko „obsesjonatką" była wobec tego Faustyna, w obłędzie pisał swe teologiczne traktaty Jan od Krzyża, w pewnym sensie i Bruno Schulz ze swoją wizją Ulicy Krokodyli, nieistniejącej, a wszechobecnej, pozostawał „prorokiem". I gdzie jest granica dzieląca szaleństwo od aprobowanej przez psychiatrów normy egzystencjalnej, w której nie mieści się co drugi pisarz, malarz czy kompozytor? Czy Abraham, który wyszedł z Ur, albowiem usłyszał głos, był rozsądny? Albo sprawa z „oślepieniem" św. Pawła – czy ci, znający go przed tym, gdy zobaczył coś, czego wcześniej nie widział, zrozumieliby go potem? W mistyce *common sense* nie wystarcza, lepiej „myśleć" Dantem – wy, którzy tutaj wchodzicie, nie dziwcie się niczemu. Albo dziwcie, nawet bardzo dziwcie.

Czesław Miłosz o najwybitniejszym liryku Lublina, Józefie Czechowiczu, napisał: „Miał temperament mistyczny, sztukę ujmował jako zbliżanie się do Dziwu". Twierdził tak w końcu poeta, który przez dziesięć lat korespondował z Mertonem i pewne rzeczy rozumiał. Wielka szkoda, że Miłosz nie dożył świadectwa bieszczadzkiego pustelnika, jego *Widzenia nad Zatoką San Francisco* zyskały bowiem interesujący odpowiednik nad Soliną. Jano każdego poranka wychodzi przed pustelnię i patrzy na szkliste, gładkie jak jedwab jezioro, pod którym jakoś przecież ciągle istnieją (zatopione dopiero w 1967 roku) wiejskie uliczki i piwniczki, nie do końca opuszczone cmentarze, zdziczałe sady i fundamenty paru świątyń, pagórki i doliny, o których arcyrealnym bycie nie wątpił nikt – który mieszkaniec Soliny pomyślał, że nad kominem jego chaty pływać będą żaglowe łodzie i ryby, a pola porosną wodorosty?

Bo czy nie jest tak (czy może być inaczej), że człowiek ślepy i zamknięty na Inny Świat żyje akcją tego świata, a ten, kto uchyli drzwi sprawom duchowym, doświadcza „przeciągu" stamtąd – żyjąc tutaj, bierze zarazem udział w całkiem innym scenariuszu. Wówczas żadne spotkanie może nie być przypadkowe, duchowe zaklęcia otwierają duchowe sezamy, a szyfry transcendencji same się łamią. Kto świadomie wybiera drogę zjednoczenia z Bogiem – a Jano jest zdeterminowany i konsekwentny – tego życie staje się przenikaniem dwóch światów, które stają się jednym, choć ten tutaj pozostaje widzialny i uchwytny dla każdego, a tamten tam prześwituje jak we mgle drugi brzeg rzeki, niczym owa tajemnicza Druga Przestrzeń, której do końca łaknął kryptomistyk Miłosz. Być może tego fenomenu nie jest w stanie pojąć

człowiek ponowoczesny, mieszkaniec Ziemi Ulro, który nie wierzy (a przecież nie zobaczy), że jednocześnie istnieje Solina podniebna i podwodna.

Mistyka budzi wiele wątpliwości, ale być może nie powinno być inaczej, skoro wywodzi się ona od słowa „mystikos" – tajemniczy. Jest wręcz coś niepokojącego w tym, że ogromna większość, sięgająca pewnie 90 procent duchownych, pozostaje pozbawiona mistycznego zmysłu, a nie inaczej sprawa zdaje się wyglądać w zakonach, czego dowodzi kazus św. Faustyny, którą zakonnice wyśmiewały i złośliwie nazywały histeryczką. Z drugiej strony niemal każdy znalazł się kiedyś w sytuacji, o której mógłby powiedzieć, że nosiła znamiona stanu mistycznego – nagle jak gdyby zatrzymał się czas i nie wiadomo skąd pojawiło obezwładniające poczucie doskonałej pełni, błogości, szczęścia płynącego z roztopienia się we wszechbycie – chwilowa jasność pełnego zrozumienia. Któż tego nie zna? Natomiast „twarda" mistyka to zjawisko mające też punkt zwrotny – kiedy Bóg staje się dojmująco obecny: mówi, ukazuje się, dotyka... I tu cały kłopot, tu pies pogrzebany i sceptycyzm wiecznie żywy – bo nieweryfikowalność!

A przecież przygody Jano dotyczą rzeczywistości najzupełniej obiektywnej, o czym świadczą relacje innych mistyków pozostawiających świadectwa pisane, różniące się niekiedy przemożnie stylem, lecz bez trudu daje się stwierdzić, że wszyscy starają się ubrać w słowa te same doznania. Droga mistyczna jest przetarta i wszystkie jej zakręty zostały opisane, najwnikliwiej przez Jana od Krzyża, z którego *Drogą na górę Karmel* Jano się nie rozstaje, a jego egzemplarz nosi w sobie drugą książkę – jego własną, zapisaną na marginesach. Natomiast nierozwiązany jest ciągle problem powołania do tego, żeby w ogóle znaleźć się na tej drodze – bo tego nie zapewniają ani pragnienia, ani żaden „trening" mistyczny. Wiara i modlitwa nie wystarczają, potrzebny jest dodatkowy czynnik, pewna zdolność, która przeważnie daje o sobie znać już w dzieciństwie mistyka. Kto znajdzie się na tej drodze, i postępuje w niej naprzód, ten może otrzymać dodatkowe talenty: proroctwa i widzenia przyszłości, leczenia, także możliwość niezwykle plastycznych i intymnych kontaktów z Bogiem.

Ci, którzy stoją na zewnątrz i patrzą w zadziwieniu, mogą pojednać się z Miłoszem we wspólnym niepojęciu: „Płaczmy, lamentujmy po wielkiej utracie./ Porysujmy węglem twarze, rozpuszczajmy włosy./ Błagajmy, niech nam będzie wrócona / Druga Przestrzeń". Kto jednak przejdzie przez to ucho igielne – a nie ma lepszego dowodu przejścia – zaczyna żyć jakby na przekór życiu, a w gruncie rzeczy lepiej powiedzieć: umiera dla świata. Jak gdyby dotknął czegoś tak niepojętego i potężnego, że większemu zbliżeniu się do Tego poświęca wszystko. Tak samo Jano miał tak zwane normalne życie, jednak doświadczenie mistyczne (pierwsze miał już w wieku ośmiu lat) sprawiło, że pozamykał swoje sprawy, zakluczył dotychczasowe życie i skazał się 20 lat temu i – jak deklaruje – na resztę ziemskiej egzystencji na bezdomność, nędzę i samotność. Zawsze znajdą się tacy, którzy powiedzą – nie poradził sobie w życiu, ale czy religijne intuicje pascalowskie (ochrzczone „zakładem") nie podpowiadają, że lepiej radzić sobie w Niebie niźli na ziemi?

Jednakowoż mistyka to nie tylko ta – przyznajmy – efektowna sfera dostępna zmysłom, którą można opowiedzieć w świecie fizycznym, to jedynie jej zewnętrzna część i nieskończone wariacje na ten temat znajdziemy w żywotach świętych, mnóstwo ich także zwłaszcza w dawniejszych popularnych tekstach kościelnych. Wszelako są jeszcze widzenia, ekstazy, z których nie sposób zdać relacji, odwołując się do zjawisk znanych z tej rzeczywistości. Zważmy zresztą, że nawet powiedzenie, którego używamy bezwiednie: „czuję się jak w siódmym niebie", okazuje się być proweniencji teologicznej, a konkretnie właśnie mistycznej, gdzie stanem najwyższym, kiedy człowiek jak wosk roztapia się w Bogu, jest tak zwany siódmy dom duszy. Znaczy to przecież, że istnieje sześć etapów wcześniejszych. Przy czym nie można ich wytrenować, nie ma procedury takiej jak w buddyzmie, gdzie mistrz uczy, jak poprzez odpowiednie techniki wyłączać się ze świata. W świetle całej literatury mistycznej jedną z osobliwości Jano jest doświadczenie, o którym szczegółowo nie napisał żaden z mistyków nowożytnych. Jano bowiem mówi wyraźnie, że jedynie dwukrotnie w Biblii mowa jest (w sposób zawoalowany, dyskretnie) o szczególnym darze mistycznym, jakim jest widzenie Boga „twarzą w twarz", które miało się stać udziałem polskiego mistyka w XX wieku.

Sam Jano stara się „porwanie", jakiego doświadczył, scharakteryzować w sposób możliwie precyzyjny, zwracając uwagę na umykające zwykle czytelnikowi napomknięcia, jak choćby takie, że Mojżesz „zdjął zasłonę", a prorok Eliasz „zasłonił twarz płaszczem". Są to szczególnie frapujące partie książki, których nie sposób czytać bez ekscytacji, skoro Bóg wyraźnie powiedział: „Żaden człowiek nie może oglądać mojego oblicza i pozostać przy życiu" (miłośnikom Agathy Christie i eleatów podpowiadamy, że istnieje w książce Jano rozwiązanie tej pozornej sprzeczności). Jano wchodząc w taki stan (każdorazowo poprzedzany „darem łez"), patrzył na zegar i kiedy wracał do rzeczywistości, jak sądził po kilku minutach, okazywało się, że upłynęły dwie godziny. I wszystko, co najważniejsze w doznaniu mistycznym, dzieje się wtedy – poza światem fizycznym i poza ciałem (i poza czasem). W rzeczywistości, której nie sięgają ani zmysły, ani rozum. Milczą zmysły, milczy rozum, a człowiek czegoś doświadcza!

Jednak widzenia zmysłowe, tak samo jak ekstazy, to zawsze były w życiu mistyków incydenty, również u Jano kilka stronic dalej znajdziemy precyzyjnie rozróżnienie kontemplacji i modlitwy, dowiemy się o „kontemplacji wlanej" i „modlitwie odpocznienia". W książce polskiego Christophorosa, obok historii awanturniczych, które spotykają autora – bezdomnego pustelnika – na dworcach czy w przypadkowych noclegowniach, można znaleźć, podobnie jak w pamiętniku św. Faustyny, określenia trafne i nieodparte, jak to o „ukrytym" Bogu, którego „pełno" wszędzie: „Tak jakby lecący ptak krzyczał pełen lęku – gdzie jest powietrze?!". One same lepiej dotykają istoty tej książki niż średniowieczni rycerze w samochodzie, ale być może największym „literackim" odkryciem Jano jest ukazanie, że to jedna i ta sama rzeczywistość – rycerz nie istnieje „naprawdę", lecz auto naprawdę obciąża.

To z pewnością nie jest książka dla oświeceniowych racjonalistów: „Bóg dla rozumu jest jak powietrze zaciskane w dłoni, skutecznie umyka, im mocniej

dłoń zaciskamy, tym jest go mniej, lecz gdy dłoń otwieramy pojawia się ponownie". No i cóż odpowiedzieć na takie dictum? Religia i wiara albo jest właśnie taka, albo nie ma jej wcale. Dlaczego niewysoki facet w moro z nieodłącznym aparatem fotograficznym nie miałby być świętym, skoro prawie zawsze okazywali się nimi ci, których świętości współcześni nie zauważali – mistrz Eckhart został ekskomunikowany, Jana od Krzyża w zakonie prześladowano, szykanowano św. Faustynę, „wybryki" Mertona z trudem tolerowano. Tak, pustelnikowi Jano znacznie bliżej do Augustyna niż Iwaszkiewicza, choć wiersze o drzewach tego ostatniego jako żywo przypominają modlitwy. W tej napisanej „po bożemu" książce mamy do czynienia z mistyką *par excellence*, gdy w pięknej frazie Iwaszkiewicza, Miłosza, także Stasiuka, z jej ledwie przeczuwalnym przedsionkiem.

Być może jest to książka niezamierzenie prowokacyjna, z ducha bliższa mistyce wschodniego chrześcijaństwa, gdzie u pustelników „w dobrym tonie" było szokować i zbijać z pantałyku, nieprzypadkowo to tam powstało słowo „jurod" (tłumaczone zwykle jako „szaleniec boży"), niemające swojego odpowiednika w klarownym i rozsądnym chrześcijaństwie łacińskim, a przedziwne figury jurodiwych napotkamy nawet w opowiadaniach kronikarza dawnej Rusi Iwana Bunina. Wielu czytelników (beznamiętnie powtarzających podczas niedzielnej mszy zbitki wyrazów: „Duch Święty", „Krew Chrystusa" i „Słowo Pańskie") drażni w tej książce właśnie to, że przemieszane są tutaj porządki i przekroczone granice, do których się przyzwyczaili – można usłyszeć „głos" na basenie, pies, w którego wszedł demon, może być uzdrowiony „krwią Chrystusa", można nawet fizycznie zobaczyć „wylanie Ducha Świętego", a nie mieć żadnych praw do głoszenia podobnych rewelacji.

Jano jest świadomy wątpliwości, jakie budzi jego wybór i po swojemu je rozwiązuje – cytuje św. Bernarda z Clairvaux: „Znajdziesz coś więcej w lesie niż w książkach. Drzewa i kamienie nauczą cię tego, czego nie dowiesz się od profesorów". A on, nie porzucając drzew, wybiera profesorów! Od kilku lat jeździ na Zloty Filozoficzne, ale też mądrze (to znaczy po swojemu) czyta klasyków – profesora (w Bazylei) Nietzschego i profesora (w Port-Royal) Pascala. W innym miejscu cytuje Wittgensteina: „Co się w ogóle da powiedzieć, da się jasno powiedzieć; o czym zaś nie można mówić, o tym trzeba milczeć". A on w milczeniu rozmiłowany całkiem nie milczy – właśnie wydał tę bulwersującą wielu książkę! Mistyka stoi na paradoksach, dlatego gorąca wiara może buchać w człowieku o temperamencie angielskim, a pełne przygód życie toczyć się na kilkunastu metrach kwadratowych.

W zachodnim, trochę żołnierskim chrześcijaństwie, gdzie polski czytelnik przywykł do książek pobożnych, nieco mdłych, niekiedy w przykry sposób infantylnych, Jano musi się jawić niczym chuligan chrześcijaństwa, ponieważ wytrąca nas, zdumiewa, gorszy, rozśmiesza, gniewa, trudno powiedzieć, czym przyciąga. Zapewne już dziś dałoby się napisać książeczkę złożoną z elukubracji na jeden temat: „Co to za pustelnik, który...!". Ano właśnie, jak bardzo przyzwyczajeni jesteśmy do myślenia o innych kategoriami „listu gończego". Pustelnik ma mieć wzrok błędny, brodę do pasa, na szyi krzyż wielkości przydrożnego i połatane sandały, poza tym

powinien czytać przy kaganku nadpalony brewiarz, nie mieć pojęcia, jak wrzucić piątkę w samochodzie i być konduity niebiańskiej co najmniej od szóstego roku życia. A przecież gdyby Bóg nie posiadał za grosz poczucia humoru, w żadnym razie nie stworzyłby Wisławy Szymborskiej.

Sięgnąłem po wnikliwe studium Pawła Czapli *Fenomen doświadczenia mistycznego*, w którym autor pokusił się o porównanie doznań chrześcijańskich wizjonerów z będącymi rezultatem zażywania środków halucynogennych oraz wywołanymi wpływem terapii transpersonalnych. Zaiste prawdą jest, że Indianie Ameryki Południowej albo szamani syberyjscy dzięki rozmaitym ziołom wchodzili w stany jakoś mistyczne – w takim też stanie pozostawała może prorokini w Delfach, do której pielgrzymował Sokrates. Jednak z tej znakomitej rozprawy naukowej mogłoby wynikać (autor jedynie referuje ustalenia, zachowując godny uznania obiektywizm), że mistyk chrześcijański przypomina sekciarza, który odrzuca leczenie, choć użycie odpowiedniego środka – dostępnego w aptece – postawiłoby go na nogi w dwa dni. Nie wynika z tej książki zgoła wcale, dlaczego niektórzy (wszyscy?) mistycy cierpią nierzadko całe lata w „nocy ciemnej", skoro dwa seanse transpersonalne pozwoliłyby im postąpić wzwyż w drodze mistycznej w miesiąc.

A zatem wniosek, który się z tej książki nasuwa, musi być jeden – mistycy chrześcijańscy to masochiści, w najlepszym przypadku himalaiści, którzy chcą zdobyć szczyt najtrudniejszą drogą i bez tlenu, zimą i w tweedowych marynarkach. Czytam ze zdumieniem, że psychologowie Harvardu uważają, że na ten sam szczyt można wejść od drugiej strony, drogą, gdzie nawet liny nie trzeba brać, a nawet dojechać kolejką. Bo ich zdaniem, na szczycie czeka wszystkich (wierzących w Boga, wierzących w LSD i wierzących swojemu psychoterapeucie) to samo – rozpływamy się w błogostanie, jednoczymy z całym wszechświatem, dostępujemy „oświecenia". No to – na Boga! – po co cierpieć?

Żaden psychoterapeuta nie mówi ani słowa o tych zdaniach: „Chcę bardziej cierpieć" (św. Faustyna, kobieta, wiek XX), „Pragnę być ukrzyżowany i wzgardzony" (mistrz Eckhart, mężczyzna, wiek XIII). A przecież bez tego cała mistyka chrześcijańska pachnie zabobonem, a mistycy przypominają tych osadzonych, którzy połykają w celach rączki od wiadra i widelce. Współcześni lekarze dusz musieliby powiedzieć swoim pacjentom (klientom!), że to jest droga uwarunkowana historycznie i kulturowo – że tamci (Faustyna, Eckhart etc.) zafiksowali się na naśladownictwie Chrystusa, a ten kulturowo zrozumiały zakrętas ascetyczny wynikał, po prostu, z nieznajomości współczesnej psychologii. Skoro na te same łąki można się dostać autostradą, to kręta ścieżka, którą chciałby podążać do Boga mistyk chrześcijański, jawi się wyrafinowaniem na granicy patologii – jakby uparcie pragnął leczyć grypę nie przy pomocy polopiryny, lecz upuszczaniem krwi. „Transpersonaliści" nie pojmują sensu religijnych udręczeń, jeśli można z powodzeniem zastąpić je rozmową dżentelmenów w wyciszonym apartamencie – ich zdaniem światło na końcu będzie tak samo jasne. Czy jednak różnica nie jest taka, jak między słońcem w południe a zapaloną żarówką?

Pustelnik Jano napisał swoiste kompendium mistyki, dzieło z żadnym innym tekstem mistycznym nieporównywalne. O ile świadectwa innych mistyków przeważnie są dziełem duchownych, poddanych pewnej formacji, również werbalnej, którzy poza tym podlegali władzy kościelnej, tak jak ich pisma surowej cenzurze, to Jano znalazł swój własny język do opisu tych doświadczeń, bardzo współczesny, a nawet postmodernistyczny, dzięki czemu w jego „opowieści" współistnieją miłosne relacje z Bogiem i spór z redaktorem, który zarzuca pustelnikowi ucieczkę od rzeczywistości i rodzinnych obowiązków, niepozbawiona ironii polemika z Nietzschem i głębokie porozumienie z lubelską profesor filozofii Jadwigą Mizińską, religijne Himalaje z życiowym „mięsem", a wszystko to jest uziemione, choć podniebne, i arcypobożne, choć bez namaszczenia.

Niewątpliwie egzotyczność tej książki bierze się z tego, że została napisana poza Kościołem, młyny kościelne tego nie przemieliły, nie ma imprimatur. Chociaż przypadek – ale czy przypadek? – sprawił, że *Autobiografia mistyczna* ukazała się w wydawnictwie katolickim. Jednak niemającym tzw. kościelnego asystenta. Wszystko w tej książce zdaje się znaczące, w swej przedziwnej prostocie niepojęte i zagadkowe. Ludzie przyjeżdżający do Janowej pustelni widzą tylko powierzchnię – kreskę wody, i czasem bardzo się dziwią, gdy im opowiada, że poniżej, w głębi – pokazuje palcem kierunek – jest wieś o nazwie Rajskie. Część Rajskiego ocalała – dodaje – pod wodą jest klasztor.

Łukasz Marcińczak

Dariusz Dziurzyński

WIADOMOŚĆ DNIA

(na nutę Różewicza)

Nauczycielka
umierająca na raka
przygotowuje uczniów
na swoje odejście.

Wymyśliła że zrobią trumnę.

Prezent do grobu.

Czwartoklasiści zbijają listewki
wkładają poduszki
i serduszka czerwone.

To chyba dobrze –
oswajać ze śmiercią
przycinać
heblować
i mościć jak gniazdo.

Coś powinno zostać nieludzkie
upiorne

1863

W tym czasie we Francji:

budowano operę paryską
wytyczano bulwary

cesarz powołał Salon Odrzuconych
cesarzowa Eugenia kanapowała w Tuileriach

Flaubert wygładzał fantazje pustelnika

oddano do użytku publiczne toalety
(pierwsze szalety z żeliwa)

nastąpiła modernizacja ścieków

ale
przede wszystkim
wyprodukowano Roquefort.

Z surowego owczego mleka.
Dojrzewający w tradycyjnych piwnicach.
52 % tłuszczu.

Ser
dla najbardziej wyrafinowanego podniebienia.

Domaine
Société
Roquefort.

W Polsce w tym czasie:

wiadomo co.

IKONOGRAFIA

Chorzy ze Szpitala Świętego Ducha
w Beaune (Księstwo Burgundii)
oglądali codziennie *Sąd Ostateczny.*

Wysoki na 5 metrów
szerokość: prawie 3.

Na tęczy zasiadł Chrystus.

Poniżej –
wszyscy święci.

Z ziemi wypełzają
ogłuszeni zmarli.

„Wolałbym jednak oglądać telewizję
(choć trudno wtedy czytać książki)".

Mój ojciec pakuje ostatnie rzeczy.

Taksówkarz trąbi.

OLBRZYMKI

Leżą na łące wzorzystym dywanie
uda kariatyd biust mitomanek
głowy – wisienki w bitej śmietanie
polane lukrem w tonie indygo

i rozmawiają O czym O wojnie
Verdun i Marnie transzejach potu
o konferencji w tłocznym Wersalu
oraz hiszpance co zbiera żniwo.

[na podstawie *Kąpiących się* Augusta Renoira, 1919]

NEKROLOG

Urodzona w jednym spojrzeniu
w drugim namiętna
potem szalona.

Pragnęła wyjechać do Indii
nie lubiąc Indii tylko Irlandię.

Gotowa porzucić rodzinę pracę
jak Emma Tessa Anna Karenina.

Rzecz można: retro
anarchistka.

Spuszczała powieki
planując zdradę.

Kwestię sumienia
koiła naturalnie opowieścią
o brakująco-poszukujących połówkach.

Od samego początku
– nie przymierzając –
jak kwiatek do kożucha
a kożuch na przykład do futra.

Gdzie się podziała
na co umarła
nagle czy naturalnie
– rzecz nieistotna.

Grunt że już nie ma.

Dariusz Dziurzyński

Notatnik otwarty

PRZECIW ZWĄTPIENIU

Obecność poezji w życiu społecznym ulega regresowi już od bardzo dawna. Z wieszczych wyżyn romantyzmu liryka opadała powoli w kawiarniach albo w aulach szkolnych, przywędrowała na ulicę, weszła w rozgadany tłum przechodniów, w przepełnione tramwaje, w nowe, pędzące życie, w żargon i telegraficzny skrót. Zbliżała się do człowieka, upodobniała, wcielała w jego teraźniejszość, aż przestał ją dostrzegać. Stała się przeźroczysta i niepotrzebna, zdegradowana i anachroniczna w świecie, który i bez niej oferuje wszystko. Diagnozowana już nieraz „śmierć poezji" musi być również postrzegana w szerszym kontekście „śmierci sztuki", zasadniczego problemu dwudziestowiecznej refleksji krytycznej. Zniesienie granicy między sztuką a życiem odsłoniło iluzoryczność tej pierwszej, sztuczność jej konwencji, wtórność, a nawet bezradność. Lecz niezależnie od tego, czy siłą uruchamiającą ów mechanizm wyczerpywania się sztuki są impulsy wewnętrzne (jak pisał Witkacy „wszystko je wygadane do cna"), czy raczej czynniki zewnętrzne (choćby materializacja, masowość i konsumpcjonizm), to zadaniem artysty wciąż pozostaje otwierać przed nią nowe horyzonty, zamieniać niemożność w podnietę, z pęknięcia budować całość.

Takie rozpoznanie współczesności, zwłaszcza zaś roli poezji, sytuacji języka oraz kształtu duchowości człowieka, odnaleźć można w wierszach Edwarda Zymana. Punktem wyjścia jest dla nich Różewiczowski antyprogram poetycki, a więc wizja poezji pozbawionej jakichkolwiek zadań i oczekiwań, rodzącej się z zaprzeczenia tradycji, poczucia kryzysu i komunikacyjnej próżni. Ujęcie Zymana nacechowane jest jednak ironicznie – dzisiejsza poezja „jest śmieszna / i godna współczucia", a o jej formie „lepiej / nie mówić" (*Poezja*). Przyczyny tego stanu tkwią immanentnie w świecie teraźniejszym, w którym język jest wyłącznie narzędziem marketingowym, poezja rozmija się z doświadczeniem egzystencjalnym, a „upragniona wolność / kłamie / jak z nut" (*Poezja*). W efekcie zjawia się kategoria „śmierci poezji" jako potwierdzenie trwałego kryzysu takiego sposobu orzekania o świecie. Konkluzja poety nie jest jednak powtórzeniem Różewiczowskiego motywu, ale jego antynomicznym wariantem, który odsłania status owego stanu kryzysowego: „Śmierć poezji / jest prawdą – nieprawdą". I ten paradoks (czy też stan przejściowy) nazywa ironicznie „solą współczesności" (*I znów staniemy się wolni*). Współczesny język jest dla Edwarda Zymana skażony dowolnością i bezkrytycznie wtórny wobec „pokracznego" dziś, z równą uwagą przyjmującego odkrycia i głupstwa. Dlatego też staje się dla poety coraz bardziej obcy, błahy, nieadekwatny, a on sam znów może przywołać za Różewiczem myśl o słowie, które „dzisiaj nic nie znaczy" (*Nie spiesz się*).

Z motywem „śmierci poezji" związany jest też w tych utworach problem „śmierci Boga". Kryzys języka poetyckiego wiąże się przecież z m.in. utratą transcendentnego umocowania, wyschnięciem metafizycznych źródeł liryki. W jednym z wierszy Edwarda Zymana ta kwestia jest jednak ujęta znów w ironiczny nawias i przypisana ludzkiemu zadufaniu, fanatycznemu pojmowaniu idei postępu, złudnemu marzeniu o nowoczesnym Babilonie (mówiąc językiem Andrzeja Buszy). Owocem tych zabiegów jest nie tylko oderwanie słowa od rzeczy, ale też „piękne milczenie" – pustka zastępująca słowo, gest bezradności i rozpaczy. Lecz chociaż zmienia się świat, zużywa się język, to wciąż pozostaje ludzka potrzeba porozumienia, nawiązania bliskości, ustanowienia więzi. I w niej właśnie kryje się twórczy puls, który odnawia postać poezji i kieruje ją ku drugiemu człowiekowi. Otwiera zarazem nowe horyzonty, pozwala zobaczyć więcej i patrzeć głębiej. Słowa „umrzeć można wszędzie" przywołują formułę innego emigranta, Bogdana Czaykowskiego, który w wierszu *Miejsce i czas* pisał kiedyś, że „miejsce w ogóle jest nieistotne". I to zapewne autor *Ziemioskłonu* patronuje poetyckiej postawie Zymana, gdy ten pisze o gorzkich owocach samotności: „być bliżej / tego / co nigdy / niepoznane / ledwie muśnięte / bałamutnym / zmysłem" (**** Umrzeć można wszędzie...*).

Janusz Pasterski

Fot. Zenon Ożóg

Instalacja Dariusza Łukasika dedykowana Zdzisławowi Leonowi Stroińskiemu, Festiwal Ulica Poetycka „Podróż z bagażem słów", Zamość, 29.08.2014 r.

Edward Zyman

STARY BÓG CZEKA

Pogrzebano
Go już dawno

wczoraj
przedwczoraj
kilka wieków temu

mimo wysiłku
bardzo mądrych
uczonych
umarł jednak
niezupełnie

dlatego
fanatyczni pionierzy
postępu
mają pełne ręce
roboty

zabiegają usilnie
by postawić kropkę
nad i

dwoją się
i troją

piszą nowe
poprawne
biblie
o naturze ludzkiej

nie ma boga
krzyczą
przez małe b

a On jest
przygląda się im
z ironicznym spokojem

czeka
na ich kolejny
krok

auto-eutanazję

którą uchwalą
jednogłośnie

2014

POEZJA

Jest śmieszna
i godna współczucia

nic nie może

nie zaprząta
niczyjej uwagi

nie zarabia

nie ocala świata
ani ludzi
brnących w powodzi
złudzeń

minęła epoka
i nic się
nie zmieniło

upragniona wolność
kłamie
jak z nut

nikt nie myśli
o etyce

o poetyce
lepiej
nie mówić

2013

***

słowa zostały zużyte
przeżute jak guma do żucia
Tadeusz Różewicz

A jednak wciąż
usiłujemy się
porozumieć

gdy nie starcza
słów starych
używamy nowe

są bardziej atrakcyjne
i podobają się
mediom

a to znaczy
że są

na inne
nie ma co liczyć

miast mówić
milczą

a dziś
trzeba krzyczeć

łomotać do głów

bo serca
od dawna
wyszły z użycia

ciekawi
mogą je odnaleźć
w atlasie
anatomicznym

2014

I ZNÓW STANIEMY SIĘ WOLNI

Śmierć poezji
jest prawdą-nieprawdą

czyli solą
współczesności

choć umarła
wciąż żyje

a nawet ma się
zupełnie dobrze

mówią o tym
nie tylko
kolejne tomy
jej najwybitniejszego
grabarza

światowej klasy
poety
z Radomska

ale także
opasłe tomy
wielu innych
autorów

na przykład
Jacka Podsiadły
„Wiersze zebrane"
mają swój szczególny
ciężar gatunkowy

na mojej
rachitycznej półce
podpieram ją
dostojnym Słowackim
nieco rozchwianym Śliwonikiem
i miłującym Boga i ludzi
Twardowskim

poezja umarła
ale poeci
żyją
i wciąż piszą
wiersze

niektóre z nich
ukazują się nawet
na trykotach
z ich podobizną

w stałej ofercie
Oficyny „Agrafka"
można nabyć
koszulkę
z głęboką sentencją

„Pewnego pięknego dnia
wypierdolą nas z pracy. (...)
I znów staniemy się wolni".
Jac Po

2014

JĘZYK

Język ojczysty
staje się
dla niego
coraz bardziej
obcy

z własnej
nieprzymuszonej woli
jak dziwka
łasi się
do współczesności

pokracznej
jak on

otwartej

na każde
głupstwo
świata

2013

NIE ŚPIESZ SIĘ

Nie śpiesz się mój wierszu

ten świat nie jest ciebie wart

uwierz mi na słowo, które
dzisiaj nic nie znaczy

i jest zarazem wszystkim
co mamy

czym jesteśmy

i co po nas
zostanie

2014

***

Pięknie
milczymy

w wielu
językach

2014

***

Umrzeć można wszędzie

wśród obojętnych ludzi i drzew wpatrzonych w niebo:
brzóz, lip i kasztanowców
przypominających do złudzenia
świat, którego nie ma

samotność nie jest karą
raczej wybawieniem

pozwala wnikliwiej
dojrzeć przewrotną
ironię losu

i samego siebie

bez kostiumów
i masek

być bliżej

tego
co nigdy
nie poznane

ledwie muśnięte

bałamutnym
zmysłem

2014

FRAZY OSOBISTE

Antoni Matuszkiewicz

Góry Orfickie

SEN

Sen z dziesiątego na jedenastego czerwca, jesteśmy na jakimś sympozjum, mnóstwo dokoła zdarzeń najrozmaitszych, miejsce wybrane wyśmienicie, ponieważ i otoczenie naturalne, pamiątki stylu i historii, wracamy właśnie skądś, dokąd udaliśmy się w przerwie zapewne, dla oddechu, z nudy, przesytu, zniechęcenia, jesteśmy za główną siedzibą, łąka przy lasku, zagajniku, zdaje się, iż zawody konne czy łowy śledziliśmy, a teraz z dróżki naszej oglądamy jadący wolno inną drogą samochód, na platformie, którego ciżba świętujących kontakt z naturą, kolorowa, w kostiumach do opalania, na czele kobieta z obnażonymi wielkimi piersiami, wstęgi jakieś czy chorągiewki, girlandy, festony, wchodzimy na podwórzec niby zamkowy, tam i sam kręcą się ludzie, a my wejść tutaj mamy gdzieś na powrót, gdyż oddaliliśmy się, opuściliśmy i teraz odnaleźć musimy miejsce swoje w ciągu wydarzeń, szukamy więc i tak się jakoś rozdzielamy poszukując, ty już, już coś tam znajdujesz, już możesz się zatrzymać, wejść albo zasiąść, ja jeszcze chodzę w innym rytmie, jeszcze na swoje miejsce nie trafiłem, wiem jedynie, że z dwóch stron do trzonu tej budowli dostać się można, zdaje się po prawej jest główne audytorium, gdzie puls całości, ciąg zasadniczy przedsięwzięcia, większość uczestniczących zgromadzona, więc i ci, z którymi spotkać się powinniśmy, znani nam, przyjaźni, bliscy postawą, dzielący zainteresowania, lecz wiedząc o tym wszystkim, nie wiem dlaczego, dla logiki zawikłanej architektury, czy raczej pokierowany kotłowaniną tłumów pod murami, od lewej dostać się usiłuję, wchodzę, dokąd wejść mogę, galeria to jest, jakby jeszcze nie zorganizowana w pełni, choć, kto wie, może to chwyt taki artystyczny, dwie kobiety tam siedzą, średniowiekowe, arcyartystki, marszandki najrasowsze, rozmawiają o tym, co wokół, powściągliwie, bo tak wypada, są zachwycone, zaaferowane, jakby świat cały w owym widzące, dopowiadające sobie, z ust do ust krążące bezustannie jakieś wspólne znajome, Gienie, Zośki, Natalki, równie świetne, być może już, już nadchodzące, być może, ach, ach, niestety, nieobecne, w pomieszczeniu tymczasem poruszyć się trudno, krok jakiś

uczynić, ciasnota, przejście całkiem zastawione biurkami, stolikami o blatach ze szkła lub pleksi, z kabelkami, wysięgnikami, rureczkami, lampeczkami zapewne, choć niezapalone, a na ścianach takież pomniejsze sprzęciki, aparaty, sztuka na meblotechnikę ukierunkowana, spostrzegam drzwi byle jakie, ale tak to na pewno tutaj zaprojektowano, może stan pierwotny zaakceptowano, wejść tam by można, jednak nie chce mi się, ponieważ jeszcze bardziej jest to w lewo, bo sztuka ta cała bez echa we mnie, te powierzchniami do się dążące, stykające się z sobą biurka czy stoły, wobec których niepewnie już czuć się zaczynam, czy to tak być ma, czy ja nie za wcześnie tutaj wtargnąłem, że czas, czas jeszcze, a owe podyplomowane, wyhabilitowane baby wyrzekać zaczną, być może też w grę się pozwoliłem mimo woli wpuścić, to instalacja pewnie takie generująca wrażenia i zniewolony zostaję, jednak jest, tego drugiego przejścia nie dostrzegałem uprzednio, teraz już w dwóch połączonych pokoiczkach się znajduję, ekspozycji ciąg dalszy myślę sobie, że gdzieś tu za ścianą, przepierzeniem, boazerią mnogie jeszcze wystawowe odgałęzienia, lecz i przekonany jestem, iż przesmyku do tamtej, głównej części, po prawej stronie, w labiryncie owym nie napotkam, na ścianach tymczasem wciąż sprzęt, lampowy, pomiarowy, elektryką przesycony, jakby czysty polor domeny przewodów, połączeń i rozłączeń, rozgałęźników energetycznych, podpięć i zasilań, rację, rację miałem, stąd nie ma wyjścia, choć nagle, nie wiem w jaki sposób, z galerii jednak się wydostałem, stoję już na ciasnawym podeście, gdzie ruch się odbywa, ale nie hall to, nie przedsionek audytorium, co więcej, znowu podzielone przestrzenie, z jednej strony korytarzyk ciemnawy dosyć, nieciekawy, coś na kształt palarni albo wyjścia z kina, po drugiej widno, światło charakterystyczne, ciepłe oranżowe, spoczywa na stropie korytarza w głąb prowadzącego, gdzie kamienno, z piaskowomiodowego kamienia podpory, wysięgniki, renesansowoneorenesansowe, czyściuchne, odświętniuchne, galowe, tamtędy, z niedostrzegalnych schodów zstępując, chór, schola przechodzi, część to sympozjum przez ruch religijny, wspólnotę duchową zaaranżowana, śpiewy dogasają, więc tu już koniec, nie byłem, nie zdołałem, za późno, choć wciąż nie wiem, czy to w nurt najistotniejszy było, a powinno być, włączone, przecież zapowiedzi, w owej sali nie będąc, usłyszeć nie mogłem, oni wciąż schodzą, wychodzą, przesuwają się, nucą, a ja do pokoju się wpycham, byle gdzie, byle jakiego, ale najważniejsze, że sam nie jestem, młody poeta jest ze mną, swego czasu go objaśniałem, hołubiłem, postępy poczynił, ale w tej chwili o krok jest w tyle, co więcej, sprymitywniał, wiejskim, podmiejskim jest parobkiem, wychudł, poczerniał, rysy mu się wyostrzyły, a i językiem posługuje się niskim, wulgarnym, pewny jest siebie, widać jednak chce ze mną rozmawiać, choćby przebywać, papierosa zapala, czegom u niego niegdyś nie widywał, przypominam naraz, że obaj przed momentem z pomieszczenia wyszliśmy, gdzie chór się męski, łysawy, zbierał, liczniejszy coraz, całą przestrzeń zajmujący, że po pierwszej już pieśni, kiedy śpiewaków kilku ledwie było, dosyć miałem, przecież i dążyć cały czas pragnąłem do centrum, do sensu zasadniczego zdarzeń, do istoty, ale trwać mi jeszcze, i jeszcze wypadało, jakby to i dla mnie, jeśli nie dla mnie wyłącznie śpiewali, ale nie, jednak to próba, ważna

bardzo, przed najgłówniejszym występem, słuchałem zatem denerwując się więcej, ciebie wciąż nie ma, mam nadzieję, że tam gdzie najważniejsze się znajdujesz, gdzie największa ciżba odnaleźć cię mogę, oni nadal śpiewają, więc jednak przed końcem, z owym poetą młodym grzecznie pochyliwszy głowy, wyszedłem, a on mi zaraz potem, z cały swoim prostactwem w słowie i postaci, najjaśniej uświadamia, com żywo przeczuwał, jak wielki nietakt uczyniłem, że zapamiętają, myślą się cofam przed tym, porażkę akceptuję, wyjść, wyjść się staram, aż do kuchni trafiam, kazamat kuchennych, w pomrocznym przejściu kotły, gary połyskują, widać, że wszystko obficie i porządnie na imprezę całą szykowane, jeść mi się chce, kucharz zza kontuaru, że można, że obiad, że to w ramach wydarzenia, ja podejrzliwie dopytuję, czy za darmo aby, na karnety uczestnictwa, potwierdza niby, lecz już, już pułapkę wyczuwam, wprost pytam, czy jeszcze trzeciego dnia, bo trzeci dzień tego wszystkiego, czy jeszcze w niedzielę obiad na bloczki się należy, on na to, iż niestety, że płacić trzeba, ale spójrzcie wszyscy, zdaje się przekonywać rozkładając ręce, ile tu tego przygotowane, ile jeszcze do imprezy całej dojeść, choć za swoje, można, nie, nie jem, wyskakuję stamtąd, podwórze jest wielkie, gdzie ludzie rozchodzący się, pogadujący, i mimo iż po owej prawej stronie zabudowań się znajduję, znów mam z rozbiciem, rozproszeniem do czynienia, nie wiem, z kim mówić, o czym, do jakiej grupki się zwrócić, dokąd, z towarzystwem którym, się udawać, bo oni gdzieś idą, wracają, wygląda na kwatery swoje, odpoczynki, a ja przede wszystkim ciebie, ciebie poszukuję i cierpię, ponieważ myślę, że pojawić się nie jesteś skora, nie chcesz zapewne, miłość nie gna cię tutaj, do mnie, gdy błądziłem po rozmaitych zakamarkach, trafić na plac nie mogłem, ty na pewno nie z powodu tłoku, nie z pogubienia się w labiryntach, lecz z opieszałości, obojętności, świadomie nie śpieszysz ku mnie, więc może nie spotkam cię wcale...

MOST

Edward Kostka nie jest profesorem, ale zarazem jest, tak nazywają go na plenerach, w jakich wspólnie uczestniczymy, poproszony koryguje kolegów, młodszych lub poza sztuką gdzieś tam bardziej uwikłanych, zapaleńców mniej czułych na kreskę, na barwę, płaszczyzny nie dopełniających, chwiejących perspektywą, z przyjemnością się obserwuje, jak konstruuje własne pejzaże, jak nakłada akwarele, teraz, we śnie, łazimy z nim po Świdnicy, niezbyt Świdnicę przypominającej, wciąż mamy coś do omówienia, do pokazania, zabytki jakieś, pojawia się świątynia, nie-świątynia, coś na kształt teatru, później dochodzi mnie, że przypomina to znajdujący się niegdyś w centrum Wrocławia, w pobliżu mieszkania Edwarda, gmach przedwojennego muzeum, z żółtej cegły, z kopułą, z której pozostał czarny stalowy stelaż, zapamiętany w studenckich czasach budynek, który nie doczekał się odbudowy i w końcu znikł, pozostawiając swój ślad w nazwie placu, teraz jest szeroko otwarty, to znaczy bez frontowej ściany, widać monumentalne wnętrze, granitowe

filary, ale oto spostrzegamy, że czas, że już, już się dzieje, jest gorzej, szybciej, dynamiczniej, metodycznie i mechanicznie, niby bożek zniszczenia pracuje w środku, w absydzie, w prezbiterium, maszyna, zaawansowana technicznie koparko-ładowarka, wyposażona w stalowy chwytak ma wyrywać kamienne słupy, za chwilę ich nie będzie, nic nie będzie, proces trwa, urządzenie jest w ruchu, wiem, że ktoś obiekt kupił, albo ma z jakiegoś innego tytułu prawo prowadzenia prac, że to dość młody człowiek, wokół odbywa się tymczasem show, jest mikrofon, Kostka gdzieś się zapodział, ale ja dostaję się do mikrofonu, gadam, gadam, w obronie, nie za składnie, raczej dając upust emocjom, i zaraz głos tego kogoś, kto tutaj działa, bezwzględny, drwiący z dostrzeganych przeze mnie wartości, lekceważy mnie, bo mamy jakąś sprawę ze sobą, coś nas łączy, stanowimy dwie strony jedności, czuję moc tego jego prawa, jednak uderza bezczelność, aż się dziwię, jak można w ten sposób, chciałbym odpowiedzieć, ale mówię o tym tylko Kostce, który wychynął na ten moment z tłumu i znów przepadł, idę tam, gdzie nie ma już nic, maszyna wykonała pracę, zieje pustka, słupy obalone, to tylko miejsce trwającej jeszcze imprezy, widzę, że się spóźniłem, już nie ma co, ale muszę coś mówić, i mówię, mówię do konferansjera, do wodzireja, chcę mikrofonu, a tamten, że nie ma, już kazał Biernacki, czy jakoś tak podobnie, przełączyć do siebie, zdesperowany ruszam tam, następuje spotkanie z młodym, tym z antypodów, bez skrupułów, artystującym jednakże z lekka, tak by chciał się przedstawiać, tak go teraz odczytuję, nie tylko chytrus, chciwiec, ale typ energiczny, realizatorski, ma ideę, ma napęd, ma środki, ludzi do potwierdzania, do wspomagania, spełniania, ma ludzi do samorealizacji, sam się uważa za twórcę, pokazuje, oto deski kamienne, metr może na trzy czwarte, wiem, że ów kamień przetworzony, ornament, płytki relief na powierzchni, proste, surowe, ale, ale i ja coś muszę w tym dostrzec, coś dostrzegam, nowe to, użyteczne, aż sobie samemu, a i jemu zaraz, koszt, koszt społeczny muszę uświadomić, w trakcie rozmowy reflektuję, że do tego stopnia się zaangażowałem, by przyjść tutaj, że ta Świdnica niby, jej przeszłość to ja, kamień każdy tutejszy ja, widzę jak tamten niby chce się porozumieć, ale pokpiwa zarazem, kobiety woła, jedną, drugą, takie kobiety artystów, pół artystki, również artystki, ustawione, nastawione, wiedzące po swojemu, pewne swego, kobiety w swojej mnogości, w grupie, sforze, kobiety masa i władza, indywidualizujące się złośliwością, rodzajem zadawanego bólu, furie, neofitki, czekistki, ni z tego, ni z owego zaczynające zażarcie atakować, szydzić, jest jasne dla nich, że piszę, więc dezawuują, a co, nie jest się sławnym, nie jest, grafoman widać, poznali się ludzie, świat odrzuca, i świat w nich odrzuca mnie natychmiast, bronię się, bronię jak umiem, mówię, że tak, piszę, że to sens, prawda, wiara w siebie, aż nie wiem, jak mówić dalej, by doszło, dotarło, kiedy one wydają się, są, są tak zapamiętanie szczelne w swym sprzeciwie, abym tu, teraz istniał, był prawdziwym sobą, miga mi Kostka idący gdzieś, w swoją stronę, do domu, pracowni, do siebie, z pękiem, miotłą długich, suchych gałęzi, omączonych jakby, obielonych, będzie coś kombinował, barwił, komponował, coś z niczego, znika, znika ku działaniu, ku pracy, most jest nagle, czarny, stalowy, z łukami u góry, jaki na krańcu mojej dziecięcej

Świdnicy, na drodze do Wrocławia, jakie we Wrocławiu, w centrum i na peryferiach, most, mocny most niby, ale i statek, autobus, tramwaj, nocny tramwaj, bo czekam, sam, na ludzi, na kierowcę, motorniczego, na kurs, na pierwszy, ostatni, jak to kiedyś włóczyłem się tramwajami po rogatkach, aż w dziedziny budzących neurotyczny lęk mostów nad smolistą odrzańską plątaniną, w nieznane, przeczuwane, za sztuką, erotyką, przygodą, jak się w tym mozolnie stawałem, rozpoznawałem i wykolejałem równocześnie, nie mając profesora od tych artystycznych swoich przedbiegów, przebieżek, wciągałem się, wpadałem samodzielnie, osobnie, pokątnie, lękając się komukolwiek zdradzić, że piszę, i teraz nikt, nikt się nie pojawia, ale czas, czas na odjazd, most drgnął, już rusza, zsuwa z tworzonej przez nadrzeczne umocnienia wyniosłości, w lewo, w aleję dębową, dęby amerykańskie, dosyć jeszcze młode, jak wówczas, tamże, w alejach wzdłuż wałów, stoję na przodzie, jakbym miał nagle kierować, całkiem bezsilny, konstatuję jedynie, że most, że wóz ciągle trzyma się drogi, bo skręt lekki w lewo bardziej, i w prawo, zielono jakoś całkiem, zamiejsko za tymi dębami po bokach, i czuję, że mimo zjazdu, mimo swojej masy konstrukcja nie przyśpiesza, że wolno, wolniutko, mógłbym, chudzina, że mogę, nogą, nogami zaprzeć, zahamować, bezpiecznie wystąpić na pustą drogę.

23 września 2014 r. 4.40

Antoni Matuszkiewicz

Grzegorz Strumyk

ŁATANINA 21

Zwątpienie w sens jako doświadczanie sensu.

Uzdrawiająco działa przebywanie w towarzystwie gości i gościówek mających gdzieś zbieranie, gromadzenie i utrwalanie własnych myśli

– Twórca, to za dużo powiedziane w odniesieniu do kogokolwiek.

Tak miało być od początku: spore koszty, trwanie przy swoim, ryzyko, a potem walka o przeżycie na swoich warunkach, poza rajem systemów.

Odkąd pisarze zostali powszechnymi autorytetami, nie ma o czym mówić. Starają się jak mogą zaspokoić głód prawdy.

Albo się upierać przy własnym istnieniu, albo nie mówić, że się tworzy.

Tworzą się góry lodowe i fale tsunami naprzeciw wszelkim podporządkowanym formom.

Świat jest o niebo lepszy, kiedy walczy się o podstawy niezależności i prawo do własnego istnienia, niż kiedy niemożliwe staje się możliwe. To się zdarza tylko w sztuce, poza nią wychodzi jeszcze gorzej niż kiedy żyje się w podziemiu.

Zawsze podziemie jest tylko wolne od poddawania się kontroli, zanim opinia powszechna, mściwa za trwanie przy własnym istnieniu nie narzuci swoich praw, nie zepchnie wolności form życia do jeszcze głębszego podziemia. A w życiu, jak wiadomo, dna nie ma.

Każda z osobno mijanych na rynku półżywych twarzy ma więcej wyrazu tego trwania przy swoim istnieniu niż setki, tysiące zadowolonych twarzy poetów, pisarzy.

Dziś sztuką jest przetrwanie w świecie niezbuntowanym.

Głodu sztuki nigdy nie było, mógł być głód sensu, Boga, jeszcze gdzieś w tych rejonach chorują artyści.

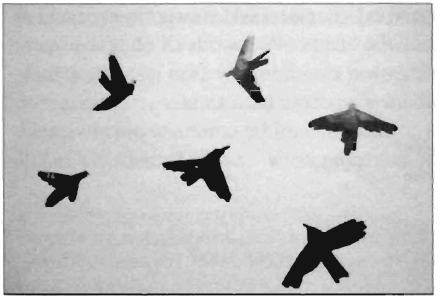

Rys. Grzegorz Strumyk

Roman Sabo

Kondygnacje czasu i przestrzeni (18)

HEANEY A SPRAWA POLSKA

I.

Półtora roku temu, 30 sierpnia 2013 roku, umarł na serce Seamus Heaney. Współczesna Irlandia ma kilku ciekawych poetów. Nie ma odpowiednika pocztu poetów polskich: Miłosz, Szymborska, Herbert, Różewicz, pomniejszych wielkiego kalibru nie wspominając. Więc właściwie powinni byli się na niego rzucić, zapomnieć o człowieku, potraktować jak symbol: grzebać, ale może właściwie nie grzebać, ale jak nie grzebać, skoro trzeba grzebać w uświęconych miejscach Irlandii – wśród starożytnych celtyckich królów, wśród ojców-założycieli niepodległej Irlandii, ciało obok De Valery, serce obok Collinsa, a może akurat odwrotnie, w podziemiach królewskiego zamku, wśród iluminowanych zwojów *Księgi z Kells*, może w krainie Sweeneya, z którą nigdy się w swoim życiu piórem kreślonym nie rozstawał:

Był długo w drodze wzdłuż i wszerz Irlandii
Ścieżki wytyczył w poprzek goloboży
przez gąszcz bluszczu z trudem się przeciskał
strącał lawiny z stromych ścian wąwozów

zdobył wierzchołki
sforsował strumienie

dno licznych dolin wytrwale przedeptał
aż wszedł z Glen Bolcain pełną czaru.

Miejsce to jest naturalnym schronieniem, gdzie wszyscy szaleńcy Irlandii mają w zwyczaju zbierać się po wypełnieniu całego roku w szaleństwie.

Glen Bolcain wygląda tak:

cztery wyrwy na wiatr
miłe gaje, studnie z czystym brzegiem
zimne ruczaje, przejrzyste strumienie
gdzie się flirtom oddaje
z rukwią zieloną ciężkawy przetacznik.
Spichlerz przyrody
szczawiu pełen, szczawiku,

jagód, leśnego czosnku, bez liku
granatu tarniny, brunatnych żołędzi.

Szaleńcy walczyli ze sobą o kęs wodnej rukwi i legowiska na zboczach kotliny.

A może u boku Yeatsa, na protestanckim cmentarzu, co, mimo propagowanego ekumenizmu na pewno wzburzyłoby religijną krew. A że kryzys nieźle kąsa, chleb drożeje, taki całodzienny cyrk na koszt państwa mógłby poprawić społeczeństwu samopoczucie.

Pochowali go spokojnie na cmentarzu w rodzinnej wsi, godnie, bez ceregieli.
Za co im chwała.
A nam nauka na przyszłość.

II.

Heaney był nam przychylniejszy niż my jemu, co łatwo stwierdzić rzucając krytycznym okiem na jakość części przekładów jego wierszy na polski. Na długo przed modą na polską poezję docenił jej wagę i entuzjastycznie pisał o Miłoszu i Herbercie. Może był uważniejszy od nas, może znowu dała o sobie znać nasza buta, sprawiająca, że hołdy przyjmujemy z ochotą, po czym, zadowoleni, zapominamy, że i nas zobowiązuje docenienie innych. Zapraszamy ich na bankiety, odwiedzamy, co jest i łatwe, i przyjemne, i pożyteczne, szczególnie dla nas. Ale żeby tak fałdów przysiąść, dłużej grzebać w tłumaczeniach... Może bardziej był wrażliwy na głębokie związki słowiańsko-celtyckie, istnieniu których dawał wiarę sam Mickiewicz:

> Należy przy sposobności zauważyć, że romans celtycki lepiej przypadał do pojęcia i do smaku rodowi słowiańskiemu niż wielkie i piękne utwory niemieckie, pomimo polityczne i religijne stosunki łączące Słowian z rodem niemieckim; świadczy to zarazem o utajonym pociągu wzajemnym między duchem Słowian i Celtów, co jeszcze nieraz będziemy mieli sposobność zauważyć.
>
> (*Kurs drugi*, 43)

III.

Jerzy Jarniewicz, krajowy specjalista od Heaneya pisze: „Z Miłoszem łączyła Heaneya przyjaźń – Miłosz gościł u poety w Dublinie, a Heaney niejednokrotnie przyjeżdżał do Krakowa. (Notabene odwiedził Miłosza w Krakowie dwa razy[1]). Napisał o nim esej oraz wspomnienia pośmiertne, a także wiersz *Mistrz*, który krytyka początkowo uznała za hołd złożony Yeatsowi[2]. Jak się tak dokładnie zastanowić, to właściwie nie wiadomo jakim cudem krytyka zmieniła zdanie. Może pod wpływem Helen Vendler: „Miłosz – występujący anonimowo jako »Mistrz« w *Sweeney Redi-*

[1] http://www.miloszfestival.pl/pl, wspomnienia,1.php.
[2] http://wyborcza.pl/1,75475, 14523433, Niosl_ze_soba_Irlandie__Seamus_Heaney_ nie_zyje. html #ixzz2f56e9UKz).

vivus Heaneya[3]. Jak się tak dokładniej zastanowić, to również nie wiadomo dlaczego stawia się znak równości między niejednokrotnie, a dwukrotnie, wiele i raz. W końcu na tym naszym przeludnionym świecie szczegół liczy się najbardziej.

Bez względu na to, czy wiele razy Heaney Miłosza odwiedził, czy tylko dwukrotnie, wiersz *Mistrz* (nie zapominajmy, że *Master* wiele niesie ze sobą znaczeń: *lord, boss, teacher, owner, maestro*), może być co najwyżej hołdem złożonym Miłoszowi pośrednio. Pochodzi z tomu *Station Island*, w którym poeta przedstawia swoje dantejskie peregrynacje po zaświatach, spotkania i rozmowy z irlandzkimi pisarzami i nieżyjącymi znajomymi. Katolicki poeta z Irlandii Północnej, emigrant w Republice, szuka w tradycji irlandzkiej literatury głosu, który potwierdziłby słuszność wyboru twórczości wolnej od politycznych uwikłań. Jak to już bywa w zaświatach, głos zabiera zdanie i jest to głos Joyce'a przypominającego mu, że artysta jest od chwalenia bytu, nie politykowania.

Czy ujawnia się tutaj dobrze przyswojona polska lekcja? „Z opornej materii/ Co da się zebrać?/ Nic, najwyżej piękno". Zapewne tak, i na pewno pośrednio. Oniryczne wędrówki po kazamatach świadomości uzupełnione są poetyckimi wariacjami na temat Sweeneya, kluczowej dla Heaneya (zawsze podkreślał ten rym) postaci z celtyckiej mitologii, szalonego króla o ptasiej wrażliwości i ptasiej umiętności śpiewu. Jedna z wariacji zdaje sprawozdanie z wizyty złożonej przez Sweeneya gawronowi na szczycie pozbawionej dachu wieży. Przyjrzyjmy się, jak skomplikowany wiersz staje się prostolinijnym hołdem. W *Stepping Stones*, cyklu rozmów z Heaneyem wydanych przez Fabera w roku 2008, Irlandczyk tak opowiada Dennisowi O'Driscoll o genezie wiersza:

> Heaney: Mistrz/ Nauczyciel/ Władca/ to przetworzony zapis spotkania z Miłoszem. Wspólny posiłek w restauracji w Berkeley w towarzystwie Bobba Hassa i Roberta Pinsky'ego, staje się epizodem, w którym Sweeney udaje się po radę do „mistrza/ nauczyciela/władcy" w starej wieży.
>
> O'Driscoll: Uważałem, chyba ze względu na wieżę, że wiersz był wyrazem czci złożonym Yeatsowi.
>
> Heaney: Jest w wierszu wietrzna, roztrzepotana (Heaney mówi: bicio-skrzydlana) energia, która musi być z Yeatsa, na pewno współtworzącego postać mistrza/nauczyciela/władcy. Cechy jego charakteru, wg mojego wyobrażenia – bezpretensjonalność, brak enigmatyczności, bezpośredniość w słowie, autorytet wsparty doświadczeniem, nie wizjami – to wszystko zrodziło się ze spotkania z Miłoszem.

Nie ma tu miejsca na szczegółową analizę związku między radą, którą Joyce obdarowuje peregrynującego poetę, a wypowiedzią, która onieśmiela Sweeneya, składającego wizytę gawronowi na szczycie wieży. Warto jednak podkreślić, że czym innym złożony charakter postaci, czym innym wpływ zetknięcia z żywym bardem – chodzącą i jedzącą w restauracji w towarzystwie przyjaciół legendą, czym

[3] *Kim był dla mnie Miłosz*, [w:] *Czesław Miłosz in memoriam*, Kraków 2004, s. 71.

innym wiersz kolanopokłonny, oddający Miłoszowi hołd w arcyirlandzkiej scenerii. Na szczycie wieży, która każdemu Irlandczykowi skojarzy się natychmiast z Thoor Ballylee Yeatsa. Taki hołd byłby równoznaczny z detronizacją irlandzkiego barda na rzecz Litwina. To tak, jakby Mickiewicz oddał Byronowi w arendę Soplicowo, Miłosz uczynił z Brodskiego ojca duchowego Krasnogrudy, a ten zrobiłby z Miłosza patrona Petersburga. Poważni poeci z najwyższej półki tak nie postępują. Poezja jest skomplikowanym układem sił i zależności – Heaney lubił tego typu zdania – i nie wszystko jest w niej oczywiste i prostolinijne.

IV.

Heaney, przez tradycję rodzinną związany z irlandzkim katolicyzmem, odszedł od wiary, a mimo to, w zadedykowanym zmarłemu Miłoszowi tryptyku *Nie z tego świata,* w pierwszym wierszu opisuje moment przyjmowania komunii, połykania opłatka w sakralnej przestrzeni poza miejscem i czasem mszy. Wyznaje poczucie utraty, jaką było pozbawione dramatu odejście od religii, a jednocześnie podkreśla przywiązanie do pojęć „dziękczynienie", „hostia", opłatek" – „wytrwale wibrujących, wabiących jak w głębi studni woda". Z dodatkowych lektur wynika, że Heaney kontynuuje tym wierszem pierwszą rozmowę z Miłoszem, podczas której rozważali katolickie doświadczenie sacrum i grzechu.

V.

Jedną z głównych cech poezji Heaneya jest umiejętność wywodzenia złożonych sensów z opisów najprostszych, zdawałoby się, czynności czy przedmiotów. Widły, tylne koło roweru, rózga różdżkarza, szpadel do cięcia torfu, przykładanie ucha do szyn kolejowych, krycie dachu strzechą, bielenie ściany – konkretne i oczywiste, stają się eksponatami poezji losu, istnienia, zadumy czy zachwytu. *W wolnych miejscach*, jednym z najbardziej intymnych cykli wierszy Heaneya, poświęconych pamięci matki, poeta przypomina prozaiczne momenty, wydobywając z nich tkwiący w egzystencji zachwyt współistnienia bliskich sobie ludzi, fantastycznie spolszczony przez Stanisława Barańczaka:

Nauczyła mnie sztuki, której nauczył ją stryj:
Jak łatwo można rozbić nawet największą z brył
Węgla, gdy pod właściwym kątem młota użyć.

Dźwięk tego ciosu – swobodnego, bez pośpiechu –
Przedłużony w posłusznym i zatartym echu,
Uczył mnie, jak uderzać, jak ramię rozluźnić,

Jak przyjąć między bryłą a zamachem młota
Konieczność: rytm. Dziś naucz, jak słuchać tych muzyk,
Jak przez czerń linearną trafiać w żyłę złota.

VI.

Heaney przez różnych poetów różnie był słyszany. Ta sama sytuacja obierania ziemniaków z matką w niedzielne przedpołudnie, odmiennie zostaje przetłumaczona przez dwóch znakomitych poetów i nietuzinkowych tłumaczy:

In Memoriam M.K.H.

Kiedy wszyscy inni poszli na mszę,
Teraz już sami, obieraliśmy kartofle.
Cisza, spadały po jednym
Jak krople ołowiu z lutownicy.
Rodzaj ulgi, że nasze wspólne
Tak błyszczą w wiadrze z czystą wodą.
Za każdym razem przyjemny drobny plusk
Dawał znać, że drugi pracuje.
Kiedy więc ksiądz u wezgłowia
Mamrotał modlitwy za konających
I jedni wtórowali, inni płakali,
Ja przypomniałem sobie jej głowę
Schyloną ku mojej i jej oddech
Mieszający się z moim i zwinne nożyki –
Nigdy nie byliśmy potem tak blisko.

***

Gdy w niedzielę szli na mszę inni domownicy,
Myśmy we dwoje w kuchni obierali
Kartofle. Wyłuskany z obierzyn spirali,
Jak łza cyny kapiąca z czubka lutownicy,
Ziemniak przerywał ciszę, kiedy pluskał chłodnym
Słowem porozumienia w wiadro czystej wody.
Po nim spadał następny. I rozbryzgiem kropel
Budził nas z transu nowy obrany kartofel.

Więc kiedy proboszcz z parafialnego kościoła
Modlił się nad jej łóżkiem z solennym zapałem,
Kiedy ktoś mu wtórował, ktoś płakał – wspomniałem
Jej czoło pochylone z moim, noży płynne ostrza:
Nigdy już w życiu bliższa, nigdy droższa.

Pierwszy zapis brzmi w uchu Miłosza, drugi w uchu Barańczaka.

VII.

Heaney był tak bardzo irlandzki, że wielu polskich czytelników tej poezji wyznaje otwarcie, że trudno im zrozumieć na czym jego domniemana wielkość

miałaby polegać. Dla Anglosasów ewenementem był atrakcyjny język jego poezji, tematy niepodejmowane przez Koroniarzy, w końcu płodne przywiązanie zarówno do tradycji poezji celtyckiej, jak i anglosaskiej – znaczenia Hopkinsa, Woodswortha i Eliota dla idiomu poetyckiego Heaneya nie sposób przecenić. To tak, jakby Litwin, z tych swojskich Litwinów, co to na Litwie u siebie byli, a Pogoń wyżej stawiali niż Koronę, jak Mickiewicz na przykład, spisywałby po polsku, ale z akcentem i regionalnymi naleciałościami, swoje myśli o losie, świecie, ziemi, tradycji, a to odwołując się do Mickiewicza, a to do Norwida, Bujnickiego czy Miłosza. Od wewnątrz, czyli inaczej niż mitologizujący rzeczywistość litewską banita Miłosz.

VIII.

Jakie znaczenie ma poezja Heaneya dla sprawy polskiej?

Tym wszystkim, którzy stawiają znak równości między katolicką z natury i ujarzmioną przez stulecia przez Albion Irlandią, a katolicką i ujarzmioną przez obce mocarstwa Polską, udowadnia bezsens tego znaku równości.

Tym wszystkim, którzy nie odkryli jeszcze piękna tak zwanej poezji wiejskiej, dajmy na to Tadeusza Nowaka, przypomina, że nawet z opisu kopania kartofli, cięcia torfu, kształtu wideł czy krycia dachu strzechą, można wyprowadzić piękno i zadumę.

Tym wszystkim, którzy zachwycili się kiedyś prostymi zabawami rozkręcanym do szybkości dźwięku kołem rowerowym, czy zabawą w pociąg na ustawionych rzędem krzesłach, czy w dom pod gęstym krzakiem w ogrodzie lub na podwórku, jak ważne były momenty puszczania luzu wyobraźni.

Tym wszystkim, którzy uważają, że w poezji nie ma miejsca na opisywanie zbrodni systemu bez popadania w histerię czy rozbełtywania niszczącego tkankę poetycką patosu, Heaney pokazuje inną drogę.

Tym wszystkim, którzy chcieliby zrozumieć, na czym mianowicie polega wpływ tak zwanej „polskiej szkoły poezji" na obcych poetów, polecam te wiersze Heaneya, w których jego hermetyczny styl staje się czytelniejszy, jego punkt widzenia jaśniej przedstawiony, jego głos bardziej bezpośredni, jego dydaktyzm urozmaicony ironią.

Tym wszystkim, którzy uważają, że o religii można pisać albo z pianą niechęci na ustach albo na koturnach, poezja Heaneya dostarczy przykładów medytacyjnego, spokojnego, zrównoważonego idiomu.

Tym wszystkim, którzy uznają, że poezji można nauczyć się na kursach dla poetów, Heaney stanie się dowodem, że poetą trzeba się urodzić, a urodzić się nim można wszędzie, z dala od centrum, choćby wśród torfowisk – nie bagien – Północnej Irlandii.

IX.

Wszystkim, którzy Heaneya tłumaczą na polski, dwa przykłady, ku przestrodze, z tego samego cyklu greckich sonetów.

Pierwszy, przetłumaczalny:

Into Arcadia

It was opulence and amen on the mountain road.
Walnuts bought on a high pass from a farmer
Who'd worked in Melbourne once and now trained water
Through a system of pipes and runnels of split reed
Known in Hellas, probably, since Hesiod -
That was the least of it. When we crossed the border
From Argos into Arcadia, and farther
Into Arcadia, a lorry load
Of apples had burst open on the road
So that for yards our tyres raunched and scrunched them
But we drove on, juiced up and fleshed and spattered,
Revelling in it. And then it was the goatherd
With his goats in the forecourt of the filling station,
Subsisting beyond eclogue and translation.

Wjeżdżając do Arkadii

Amalteja i amen na drodze przez góry.
Kupione na przełęczy u chłopa orzechy
Kiedyś pracował w Melbourne a teraz przez rury
I sieć kanałów z trzciny rozprowadzał strugi
W sposób znany w Helladzie chyba za Hezjoda –
Tak zaczynała się nasza przygoda. Gdy minęliśmy granicę
Między Argos i Arkadią, wjeżdżając
Głębiej w Arkadię, z ciężarówki
Na drogę spadły tony jabłek
Chrupały jard za jardem tarte przez opony
A my jechaliśmy miąższem i sokiem zbryzgani,
Upojeni. A potem pasterz
Nad stada kóz u stacji benzynowej czuwający ładem
Wytrwały poza eklogą i przekładem.

Nawet jeżeli jest to przekład zaledwie poprawny, zawarte są w nim wszystkie cechy orginału: zmienny rytm, natrętne pojawianie się i zagadkowe zanikanie rymów, w końcu otwarcie na przygodę w kraju Homera i Odyseusza, w przestrzeni literackich archetypów. Jest to jednocześnie wiersz bardzo dobrze wychowanego poety, witającego się z Helladą wypracowanym w jej tradycji idiomem poetyckim, podkreślającym solidne przygotowanie do podróży, znajomość wagi miejsca dla rozwoju zajęcia wdzięcznego gościa – poezji.

Drugi, nieprzetłumaczalny:

Conkers

All along the dank, sunk rock-floored lane
To the acropolis in Sparta, we couldn't help
Tramping on burst shells and crunching down
The high-gloss horse-chestnuts. I thought of kelp
And foals' hooves, bladderwort, dubbed leather
As I bent to gather them, a hint of ordure
Coming and going off their tainted pith.
Cyclopic stone on each side of the path.
Rings of defence. Breached walls. The looted conkers
Gravid in my satchel, swinging nicely.
Then a daylight moon appeared behind Dimitri
As he sketched and squared his shoulders like a centaur's
And nodded, nodded, nodded towards the spouses,
Heard but not seen behind much thick acanthus.

Kasztany

Na śliskich, zapadłych głazach ścieżki
Na akropol w Sparcie nie mogliśmy
Nie deptać pękniętych skorup i miażdżyć
Lśniących kasztanów. Myślałem o pęcherzach brunatnic
Podkowach źrebiąt, naczyniach pływaczy, przycinanej skórze
Zbierając kasztany czując lekki odór moczu
Wydalany falami przez skorupy w sińcach.
Cyklopie głazy po obu stronach ścieżki.
Obronne wały. Zdobyte mury. Złupione kasztany
Słodko ciążące w rozhuśtanej na ramieniu torbie.
Później w świetle dnia księżyc pojawił się za Dymitrim
Gdy rysował rozstawiając ramiona jak centaur
Potakując potakując potakując głową naszym żonom,
Słyszanym choć niewidocznym za gęstym akantem.

Nieprzetłumaczalny, choćby i z tego powodu, że bez neologizmów: śliskozapadłych czy zapadle-śliskich kamieni, grawito-ciężkich toreb, wysoko-połyskliwych-kasztanów, a nawet kasztanów-na-wysoki-połysk, które po polsku się nie sprawdzają, utwór Heaneya traci swoją językową odrębność, staje się wierszem akademickim, nierejestrującym kolejnej próby użycia klasycznej formy sonetu w sposób burzący tę klasyczność trudnym, onomatopeicznym słownictwem. Jest to wiersz, który dosłownie nakłada siatkę irlandzkich słów na opisywaną grecką przestrzeń, słów dźwięcznych, krótkich, współbrzmiących, i gdzie mistrz, co by to tak po polsku zrobił?

Odmiennie niż w pierwszym, przyjacielskim i pokornym wierszu, Heaney dokonuje językowego podboju i uzurpacji odwiedzanego miejsca, z czym się zresztą

wcale nie kryje, w triumfalnie wręcz brzmiących wersach: „Obronne wały. Zdobyte mury. Złupione kasztany/ Słodko ciążące w rozhuśtanej na ramieniu torbie". Dodajmy: zawadiacki, pewny siebie zaśpiew wyrażający radość swobodnego wędrowca: *all along the dank* – burzący porządek solidnej formuły sonetu, jak i ogrom wewnętrznych rymów, rejestrujących natłok-wrażeń-rodzących-moc-skojarzeń, aby odczuć gwałtowne ujarzmianie świata Hellady lingwistycznymi umiejętnościami poety Hibernii. Polski przekład tego odczucia nie wzbudza.

X.

Im dłużej będzie się u nas pisać o wierszach bagiennych Heaneya, tym dłużej będzie bliżej do Heaneya potomkom Hamleta, doskonale wiedzącym, czym są torfowiska, niż nam, upierającym się, że bagno i torfowisko są tym samym. Między bagnem a torfowiskiem, mimo wszechobecności wody, różnica jest taka jak między alfą i omegą, początkiem a końcem. Bagno to obszar trwale podmokły, porośnięty roślinami przystosowanymi do warunków środowiska, powstający w wyniku utrudnionego odpływu wód opadowych lub gruntowych, w którym zachodzi proces tworzenia się torfu: skały osadowej barwy brunatnej lub czarnej powstałej z obumarłej roślinności bagiennej w wyniku zachodzących w niej biochemicznych procesów.

XI.

Krótko – bagno to początek, a torfowisko to końcowy efekt przemian.
Krócej: bagno to alfabet, torfisko to tekst.

XII.

W ostatecznym rozrachunku najważniejsze jest to, że:

dzielił się sztuką, dla której długo żył,
chcąc znaleźć konkret dźwięku w węzłach wilgotnych żył
torfowisk – kustosz pamięci, szlifierz opornych brył
słowa – *wytrwale wibrującego, wabiącego jak w głębi studni woda.*

Roman Sabo

Katarzyna Turaj-Kalińska

Wielki Brat Zachód

GO WEST!

Pamiętam jak moja matka, w latach 60. ubiegłego wieku, wyjechała po raz pierwszy na Zachód. Do Rzymu – z Teatrem Cricot 2 Tadeusza Kantora. Przysłała mi kartkę z widokiem Koloseum. Rzymski cyrk na kartoniku był jak zjełczały tort – ponadgryzany zębem czasu i oczami wścibskich wojażerów, niejadalny jak teatralna atrapa, a mimo to sprawiał dziką radość.

Na odwrocie okrzyki zachwytu wyzierały spod matczynych ucałowań i uścisków.

Były też inne widokówki, przywiezione w walizce zamiast zdjęć, bo komu się wtedy śniło o własnej idioten-kamerze? Na fotografowaniu trzeba się było naprawdę znać, żeby po wywołaniu nie popełnić samobójstwa... Rozkładając pocztówki na tapczanie jak karty tarota matka wróżyła z niedawnej przeszłości, a skrzydlate „ochy" i „achy" wylatywały spomiędzy obrazków jak amorki z fresków. „Och! Kasiu! Zamek Świętego Anioła!" (Co za idiotyzm, nawiasem mówiąc, czy to anioły potrzebują być jeszcze święte?) „Eeeeeech! Kaplica Sykstyńska z freskami Michała Anioła! Aaaaaaach! Schody hiszpańskie całe w kwiatach! I ten ZAP-ACH! TEN ZAP-ACH! TEN ZAP-ACH!"

Mogłoby się wydawać, że to gadanie ze ślepym o kolorach. Ale Z-ACH!-WYT przekazany nam przez kogoś, kogo kochamy, bywa cenniejszy niż własny. Wcale nie chciałam wtedy pędzić natychmiast do Włoch kosmicznie odległych przez żelazną kurtynę, żeby za wszelką cenę zdążyć, zanim jeszcze opadną tegoroczne płatki azalii na Schodach Hiszpańskich. Wolałam słuchać, słuchać, słuchać w kółko, jak to ona się na tych schodach w końcu rozpłakała ze szczęścia, choć była zupełnie sama i pozbawiona jakichkolwiek dodatkowych, ROM-ANTYCZNYCH bodźców. I jak na Forum Romanum przypominała sobie lekcje łaciny z krakowskiego gimnazjum Urszulanek, a potem po kolei rozpoznawała miejsce za miejscem. Bo zapłonem jej zachwytu też był czyjś zachwyt – w tym wypadku nauczycielki łaciny, profesor Zofii Cierniakowej, która wiele przed wojną podróżowała i mówiła o tym w porywający sposób.

Potem do tego Rzymu z relacji matki, z jej lekcji łaciny i z widokówek, dołączył jeszcze jeden – *Rzym* Felliniego, oglądany wielokrotnie w nowohuckim kinie „Światowid". Biały koń galopujący po zatłoczonej autostradzie... Anna Magnani, wypowiadająca nieśmiertelne słowa: „Federico, nie ufam ci, buona notte!", by zaraz potem zniknąć z ekranu na zawsze w niepozornej bramie Palazzo Altieri na Zaty-

brzu... I bluźnierczo-groteskowa „rewia mody kościelnej", po której już żaden widz nie był w stanie postrzegać duchowieństwa inaczej niż w krzywym zwierciadle.

Ów Rzym nie był Rzymem – kolebką zachodniej cywilizacji. Przeciwnie, Fellini stawiał na barbarzyństwo. Nie wiem, czy w ogóle miał na myśli jakiekolwiek przesłanie i szczerze w to wątpię. Dość, że pokazane przez niego Wieczne Miasto było już wyraźnie w rękach odległych potomków Hunów i Wizygotów. Oszalała, zakorkowana i zadymiona autostrada i dymy z kominów i przydrożnych pożarów... Dziś wygląda to po prostu na klęskę ekologiczną, choć z pewnością Polakom drugiej połowy XX wieku nie mogło się kojarzyć w podobny sposób. A freski antyczne ginące podczas budowy metra i gwałcicielskiego wtargnięcia do katakumb? A kończące film dzikie nocne harce włoskich motocyklistów po wiecznym mieście?

Wszystko to było barbarzyńskie i dekadenckie. Fellini pokazywał rozkład, bo fascynował się rozkładem, o moralizowaniu nie mogło być mowy, ale za jego całkowicie nieideologicznym obrazem czai się mocne przesłanie – wyrok na cywilizację. Wydał go już w latach sześćdziesiątych, co jednak też nie było żadnym prekursorstwem, zważywszy, że pięćdziesiąt lat wcześniej, podobny, choć filozoficzny, a nie artystyczny, wyrok, wydał Oswald Spengler w słynnej książce *Zmierzch Zachodu*. Zresztą było tych epok dekadenckich wiele i podobne proroctwa co jakiś czas się pojawiały, począwszy od prehistorii. Prawdopodobnie każde pokolenie starzejąc się, wyczuwa zbliżający się koniec świata – swego świata – i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Tyle że nie każde krzyczy o tym dostatecznie głośno – do tego potrzebna jest wojna lub rewolucja.

Mniej więcej tak samo, choć zarazem zupełnie inaczej prezentuje się film, w którym Fellini rozprawił się z rozkapryszonym towarzystwem gwiazd i bogaczy na tle nocnego Rzymu – gigantycznej dekoracji pasującej do wszystkiego. Zresztą nocny Rzym z *Dolce vita* był chyba wspanialszy od rzeczywistego, a na dodatek, bez wątpienia, i rzymski, i włoski, czego nie da się powiedzieć o ekranowych Rzymach amerykańskich z *Kleopatry*, *Udręki i ekstazy*, *Rzymskich wakacji* czy *Rzymskiej wiosny pani Stone*.

Kino „Światowid" przy Placu Centralnym w Nowej Hucie, do którego w cieplejsze dni biegałyśmy czasem z pobliskiego osiedla Centrum A w rannych pantoflach, było dla nas niewyczerpanym źródłem andersenowskich odłamków w oku, raz na zawsze zmieniających widzenie rzeczywistości. Chcąc nie chcąc, jeżdżąc za granicę czy nie jeżdżąc, to właśnie podczas seansów filmowych nabierało się – pobieżnego i złudnego, a nade wszystko mitycznego – pojęcia o Rzymie, Wenecji, Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku.

Tylko Niemcy pozostawały nieodgadnione i mroczne. One kojarzyć się mogły wyłącznie z filmami o schyłku Republiki Weimarskiej i korzeniach faszyzmu. Bez wątpienia niektóre były genialne: *Kabaret* Boba Fosse, *Jajo węża* Bergmana, a nade wszystko – monumentalny, głęboki, zarazem brutalny i wyestetyzowany *Zmierzch bogów* Viscontiego. Jednak to nie były filmy robione przez Niemców. Prawdziwym, współczesnym, niezmitologizowanym Niemcem był dopiero Werner

Fassbinder, którego z jakichś przyczyn nie popularyzowano wówczas w Polsce, być może dlatego, że nie pasował do naszej historii w swoisty, „jedynie słuszny" sposób upolitycznionej przez PRL.

Myślę, że obie z matką chwytałyśmy wówczas tylko estetyczną i może jeszcze psychologiczną warstwę tamtych filmów opowiadających niemiecką baśń grozy. Zahipnotyzowane rolami Lizy Minelli, Liv Ullmann, Helmuta Bergera czy Dirka Bogarde'a nie wysilałyśmy jeszcze mózgów, żeby poznać mechanizmy polityczne i gospodarcze czasów, o których opowiadały. Dlatego wszystko to było tajemnicze i ekscytujące – bez szansy na rozwikłanie i bez takiej potrzeby.

Amerykańskie filmy, jeszcze bardziej zachodnie niż zachodnioeuropejskie, to osobny rozdział. Piorunujące wrażenie zrobił na mnie w tamtych czasach *The Patch of Blue*, który pokazywano w Polsce pod tytułem *W cieniu dobrego drzewa*. Była to historia niewidomej dziewczyny z nizin społecznych, znającej życie od najgorszej strony: biedy, pogardy i seksualnej przemocy. W parku poznaje wykształconego i lepiej sytuowanego mężczyznę, który otacza ją troskliwą i pełną szacunku opieką, traktując raczej jak dziecko niż kobietę. My wiemy, że jest czarny, ona nie. Mimo piętnującego koloru skóry jego sytuacja jest o całe niebo lepsza, bo on pochodzi z godnej rodziny, w której przechowuje się pamiątki po przodkach i kultywuje rodzinne opowieści. Ma ładnie urządzone mieszkanie, które dzieli z bratem, lekarzem. Słucha muzyki, czyta książki. I robi zakupy w wypasionym supermarkecie, pakując do wielkiej papierowej torby rozmaite puszki i kartony o charakterystycznym, „zachodnim" sznycie. Ten wątek, pozornie detaliczny i uboczny wszywał się nam wschodnim biedakom w pamięć jak dratwa, która uwiera przy każdym poruszeniu fałdów mózgowych.

Ona właściwie jest analfabetką. Od niego dostaje pierwszą książkę pisaną alfabetem Braille'a. Zachwyca się pozytywką, nie miała przedtem pojęcia o istnieniu tego urządzenia, przy którym zasypiają od wieków wszystkie cywilizowane niemowlaki, podczas gdy ona jako dziecko zapadała w sen przy pijackich wrzaskach matki, a gdy podrosła, została zgwałcona przez ojczyma. Rozkoszuje się smakiem soku ananasowego, bo nigdy przedtem go nie próbowała. Trzyma w rękach jak kielich z ambrozją kartonowe opakowanie z tym sokiem. Boże, jak my łaknęliśmy takich opakowań, bo same soki mieliśmy może czasem i lepsze, a już na pewno bardziej ekologiczne... Tyle że jakoś nie umieliśmy tego docenić.

Na całe życie zapamiętałam zdanie, które wypowiedział do niej w parku: „Herbatniki są dla ptaszków". Nie wiem jak dużo czasu musiało upłynąć, zanim puknęłam się w czoło i znów zaczęłam jeść herbatniki. Ona nie znała tylu wspaniałych rzeczy! Była jak tabaka w rogu, jak my za Żelazną Kurtyną. A jednak, gdy doszło do konfrontacji z jej rodziną, nagle okazało się, że w ich przekonaniu to on jest człowiekiem niższego gatunku, upośledzonym przez los. Te chamy, bandziory, pijaczki z przedmieścia czuły się kimś lepszym przez to, że byli biali!

Czegoś takiego w Polsce się nie widziało, przeciwnie, powszechna była zdecydowana sympatia dla osób o innym kolorze skóry – w szczególności studen-

tów pochodzenia afrykańskiego. Nasza historia nigdy nie skrzyżowała kopii z ich dziejami, nie było konfliktów, win ani kolonialnych grzechów, najwyżej współczucie dla ich niełatwego losu w krajach własnych i tych, do których ich powywożono z przeznaczeniem do niewolniczej pracy.

W Ameryce tamtego czasu rasizm wciąż był problemem, Ku Klux Klan działał pełną parą, wkrótce miał zginąć Martin Luther King. Wszystko w tym filmie ogniskowało się w drobnych szczegółach z życia dwojga ludzi, którzy w innych, późniejszych czasach mogliby po prostu założyć rodzinę nie narażając się na ostracyzm. Tymczasem polska podświadomość równoległym torem rejestrowała półki w supermarketach, niedbały gest Sidneya Poitier sięgającego do torby z zakupami, żeby nalać mleka z kartonu do szklanki – ruch tak nieskończenie swobodny i zarazem perfekcyjny... choć nasze mleko spod drzwi w topornych butelkach ze srebrnym, aluminiowym kapslem, niepasteryzowane, wymagające gotowania mogło być nawet lepsze i zdrowsze.

My jednak wierzyliśmy w różne mity, ówczesne urban legends o tym, że nasze mleko jest skażone proszkami do prania, takimi w najgorszym, rzecz jasna gatunku, a to ich, w kartonach, jest zapewne mlekiem ptasim.

A to nie wszystkie cuda.

Kling-klong!

Nigdy nie zapomnę dźwięku, z jakim otwierały się windy w luksusowych hotelach oglądane w amerykańskich filmach. Taką windą jechało zwykle kilku statystów o niepokojąco obojętnych twarzach i bohaterka albo bohater z twarzą wykrzywioną dzikim popłochem. Dwa piętra wyżej dosiadał się morderca lub kochanek *in spe*, czasem w jednej i tej samej osobie. Kling-klong! I winda mknęła dalej ku splotom kryminalno-miłosno-tragikomicznych zdarzeń – zawsze kluczowych, zwrotnych dla przyszłości, nigdy bez znaczenia jak w życiu. Z takiej windy wysiadł Alfred Hitchcock w filmie *Urzeczona*, jak to on, nie posuwając naprzód akcji, ale dając się zauważyć i zapamiętać.

To samo „kling-klong" rozpoznawało się potem bezbłędnie podczas pierwszych podróży na zachód – dźwięczały nim windy w centrach konferencyjnych i hotelach, kasy w hipermarketach, zapowiedzi na dworcach i lotniskach, a także w pociągach, na promach, w samolotach. Towarzyszył im nieodłącznie bijący w nos przyjemny zapach, którego nie kojarzyliśmy jakoś ze środkami czystości. Byliśmy gotowi sądzić raczej, że kokieteryjne miasta perfumują się na nasz przyjazd – od pępka starego rynku aż do peryferyjnych dzielnic willowych wchodzących klinami w prowincję jak długie, wypielęgnowane palce. To był zapaszek zachodniego wiatru, bynajmniej nie zgniły, jak nam to próbowała wmawiać nieudolnie komunistyczna władza.

Jeśli nawet samemu się wtedy nie podróżowało na Zachód, to Zachód pod różnymi postaciami podróżował do naszych wnętrz, przemeblowując je na swoją modłę, wbrew intencjom ówczesnych władz i propagandystów. Należało nam zabronić wszystkiego, jak to było w Chinach. Nie byłoby wówczas tych milionów

dziwaków nad Wisłą, wschodnio-bidnych po wierzchu, a w środku wypełnionych po brzegi bogactwem zachodniej tożsamości. To był nasz przemyt codzienny, przemyt totalny, przemyt, który być może pomógł nam ocalić człowieczeństwo.

Pewnego razu matka wybrała się w przeciwną stronę, także razem z teatrem Cricot 2 Tadeusza Kantora. Na Wschód, do Iranu. Była to jednak – jak się okazało – strona przeciwna tylko z pozoru. Tak naprawdę na gruzach dwóch i pół tysiącletniej Persji, w samym środku podszytej naftą pustyni stało olbrzymie zwierciadło skierowane na Zachód. Kazał je ustawić ówczesny pan tej ziemi, szachinszach Mohammed Reza Pahlavi, który pragnął zrobić ze swojego kraju azjatycką Amerykę.

W lustrze miała odbijać się także zachodnia sztuka, a nad dokładnością obrazów czuwała szachinszachini, monumentalnie piękna Farah Diba, która organizowała w Shiraz festiwale kulturalne. To się musiało podobać Zachodowi, a szczególnie Ameryce, toteż przymykano oko i gazety na policyjną dyktaturę, do jakiej uciekały się wówczas irańskie władze narzucając Zachód Wschodowi. Pobożni muzułmanie pragnący, aby ich szach chodził w dżelabiji, a szachini w hidżabie, spiskowali, zaś władca w garniturze za cichym przyzwoleniem władczyni bezwstydnie demonstrującej nienaganny kształt kibici i puszystego koka, tłumił spiski brutalnie i krwawo. W efekcie skończył jako wygnaniec, próbując wcześniej opanować bunty ajatollachów wprowadzeniem stanu wojennego – na dwa lata przed naszym, jakże odwrotnym z pozoru aktem generała Jaruzelskiego.

Źle się kończy wciskanie ludziom siłą zarówno niewoli, jak i wolności.

Dziś, pod rządami muzułmańskich duchownych Irańczycy znowu próbują spiskować prozachodnio. Wystawiają sztuki autorów europejskich i amerykańskich, a publiczność nie posiada się z radości odczytując w nich aluzje wolnościowe, które najpewniej byłyby już niezrozumiałe z kolei dla młodych Polaków. Albo też, jak rysowniczka Marjane Satrapi, podbijają zachodnie festiwale filmowe kreskówkami, których zbuntowani bohaterowie słuchają w Teheranie Iron Maiden i noszą ubrania z napisem „punks not dead".

Za to artystów przybywających z Zachodu – a zwłaszcza artystki – zaraz się w Iranie skromnie przyodziewa i nie pozwala im się na scenie nawzajem dotykać. Przy okazji wychodzi na jaw, jak niewielkie w gruncie rzeczy są różnice między totalitaryzmem w państwie komunistycznym a tym w państwie wyznaniowym. Dziś *Nadobnisie i koczkodany* Witkacego w inscenizacji Kantora też by ocenzurowano, a może w ogóle nie doszłoby do ich pokazania w Iranie, bo apodyktyczny twórca Teatru Cricot 2 z pewnością raczej pozrywałby kontrakty, niż pozwolił na najdrobniejsze ingerencje w kształt swoich spektakli.

Wówczas takiego problemu nie było i księżna Zofia z Abencerrage'ów Kremlińska mogła się swobodnie pokazywać w swoim skąpym lisim futerku, pozostali zaś aktorzy nie tylko się dotykali, ale chwilami wręcz kotłowali. Zwłaszcza na końcu, kiedy to księżna zostaje zmieciona z powierzchni ziemi przez rozwścieczony orszak „40-stu Mandelbaumów" w uproszczonych strojach chasydzkich, które być może też stanowiłyby dzisiaj obrazę islamu uwikłanego w krucjatę antyżydowską.

Zastosowany w scenie trick polegał na znanej magicznej sztuczce. Zamiast znikać w jakiejś zapadni, o którą nie wszędzie było łatwo, matka po prostu przebierała się w długi chałat i czarny kapelusz zsunięty na oczy, po czym się dematerializowała, zlewając z tłem. W tym właśnie finałowym stroju chasydzkim została uwieczniona na pamiątkowej fotografii z cesarzową Iranu Farah Dibą Pahlavi. Niezliczone takie zdjęcia rozsiane po archiwach rodzinnych całego świata dokumentują niedawną, ale jakże z drugiej strony odległą już historię Iranu.

Każdy z aktorów otrzymał w prezencie zdjęcie wykonane przez oficjalnego fotografa pałacowego, który miał za zadanie tak ustawić kadr, żeby sylwetka władczyni zdecydowanie górowała nad pozostałymi. W rezultacie moja matka wygląda jak krasnal Gapcio, szachinszachini zaś jak kariatyda dźwigająca na olbrzymich barach dwadzieścia pięć wieków cywilizacji. Proporcje jakby żywcem wzięte z pewnego obelisku w Persepolis, na którym cesarz Dariusz I Wielki niczym bóg przerasta dwukrotnie sługi kroczące tuż za nim z parasolem na długiej rączce. Znane skądinąd z bizantyjskich fresków i średniowiecznych malowideł europejskich – a zmienione dopiero przez Renesans, wyrównujący rachunki między Palcem Bożym a Palcem Człowieczym.

Paradoksalnie, rewolucja islamska była w Iranie tym, co znacznie zdemokratyzowało relacje między Bogiem reprezentowanym przez panującą władzę a zwykłymi ludźmi. Musimy to przyjąć do wiadomości, jeśli nie chcemy się dalej nabierać na garnitur szacha i miłość szachini do awangardowych teatrów wschodnioeuropejskich, za którymi też kryła się dyktatura, tyle że innego rodzaju. Prócz kuriozalnego zdjęcia z Farah Dibą i tym razem w walizce matki przyleciały widokówki, przy ówczesnych możliwościach kolorowej fotografii oddające niedostatecznie – lub może właśnie przesadnie – sinopiaskowe kolory perskich ruin na tle wściekle szafirowego nieba.

Musiałam znowu wierzyć jej na słowo, gdy wykrzykiwała: „Ach, Kasiu, Persepolis! Te kolumny! Te obeliski! Te bramy!". Bo tyle właśnie pozostało z pałacu Dariusza Wielkiego, który tak dał w kość Grekom, zanim w końcu oberwał porządnie pod Maratonem. Bramy, bramy, bramy – wiodące już tylko do siebie nawzajem. Jak zwykle zachwyt nie potrzebował nadmiernych opisów, bo zakłóciłyby one tylko samodzielną pracę wyobraźni. Przekaz wrażeń na linii matka-córka jest przecież najzupełniej bezpośredni. Może ten zachwyt byłby się nawet obszedł spokojnie bez jakichkolwiek obiektów, kto wie? W każdym razie owe obiekty stanowiły jedynie preteksty do obdarowywania dziecka ekstazą estetyczną w stanie absolutnym i czystym.

„Mam jeszcze coś!" – mówi w *Nadobnisiach i koczkodanach* Zofia z Abencerrage'ów Kremlińska, mając na myśli „zieloną pigułkę sir Granta". I rzeczywiście było jeszcze coś zielonego. Powiedzmy, zielonkawego...

Tym „jeszcze czymś" był nieco kłopotliwy podarunek od szachinszacha w postaci słoiczków z kawiorem. Darowanej – zwłaszcza przez władcę Imperium Perskiego – ikrze nie patrzy się w zęby, lecz długo się wtedy zastanawiano w ze-

spole Kantora, dlaczego to mianowicie ów przysmak jest zielonkawy, podczas gdy – jak wiadomo – kawior powinien być czarny albo czerwony. I czy aby nie jest po prostu nadpsuty? Nie wiem już, czy ktokolwiek wyrzucił specjał, a później żałował, pamiętam tylko, że po dogłębnym zbadaniu sprawa się wyjaśniła. Okazało się, że takim właśnie subtelnym zielonym odcieniem odznacza się najbardziej ceniony przez koneserów kawior z jesiotra perskiego *Arcipenser persicus* zwany „złotym", może nieco na wyrost.

Kiedy matka zaczęła WYJEŻDŻAĆ – to było w Polsce Ludowej kultowe słowo, nie mające z pewnością odpowiednika w żadnym zachodnim języku – jej ojciec, a mój dziadek, który nigdy w życiu nie był za granicą, namawiał ją, żeby została. Naturalnie, że nie w Iranie! ZOSTAĆ! Kolejny wyraz, którego nie da się napisać małymi literami, chcąc oddać jego dosadną, a zarazem z punktu widzenia jakiej-takiej społecznej normalności – chorą treść.

Dziadek, piłsudczyk rozkochany w przedwojennej, kapitalistycznej, burżuazyjno-konsumpcyjnej Warszawie, w której świeży kawior albo ostrygi nie były żadnym problemem, znalazłszy się po dwóch wojnach światowych w socjalistycznym wraku państwowym, nie żywił złudzeń, że „sowieci" – jak zawsze nazywał Rosjan – wypuszczą mu ojczyznę z łap. Sam jednak nigdy nie miał okazji do UCIECZKI – tak właśnie nazywało się POZOSTANIE w języku władz komunistycznych. Raz w życiu tylko uciekał z rodziną z Wołynia do Krakowa w 1943 roku. Stać go jednak było na bohaterski odruch rodziców przerzucających dzieci przez mur – więzienny, obozowy, berliński czy chiński, gdyby było trzeba... Gest zrozpaczonych biedaków oddających potomstwo do adopcji, aby polepszyć mu byt, nawet kosztem rozstania na zawsze.

Być może jest to najwspanialszy, najmniej egoistyczny rodzaj miłości, podobny do tego, jaki wykazała owa heroiczna matka z salomonowej przypowieści o kredowym kole, która wolała wypuścić z rąk dziecko niż rozerwać je na pół. Bo dziadzio raczej nie miał nadziei na doszlusowanie do nas, jak wtedy, w 43, do wcześniej wyekspediowanych spod Lwowa żony i dzieci. Jednakże moja matka miała instynkt samozachowawczy. Niekoniecznie z miłości do rodziców czy ojczyzny i z pewnością nie tylko z obawy, że musiałaby się na dłużej rozstać ze mną, dość że nie pozostała na mitycznym i zbawczym Zachodzie.

Czuła chyba, że ma zbyt wiele do stracenia – a ukochany zawód przede wszystkim. Losy aktorek, które wyjechały na Zachód nie były ciekawe. Przeważnie, aby przeżyć, musiały pozakładać jakieś drobne biznesiki kosmetyczne lub fryzjerskie, bo na tym, od biedy, najlepiej się znały. To było stanowczo nie dla niej. Nie sądzę też, by była w stanie zadowolić się najpowszechniejszą wśród Polonii zagranicznej sztuką amatorską, jako na przykład opiekunka jakiegoś kółka teatralnego. Amatorstwem bowiem, jak każdy zawodowy aktor w tamtych czasach, brzydziła się serdecznie. W jej młodości aktor niezawodowy mógł liczyć jedynie na trzy gwiazdki na afiszu w miejscu nazwiska. Straszne czasy wypierania profesjonalistów z filmu i telewizji przez beznadziejnych amatorów były jeszcze odległe i niewyobrażalne.

Inne wyjście polegałoby na znalezieniu sobie za granicą dobrze sytuowanego męża i uczynieniu sedna życia z obsługiwania go, jak to było w jej pokoleniu w powszechnym zwyczaju. Matka jednak do roli małżeńskiej służącej nie nadawała się zupełnie. Była z drugiej strony na tyle staroświecko-romantyczna – a może po prostu uczciwa? – by nie wyjść za mąż z rozsądku. Z kolei zakochać się po klęsce małżeństwa z ojcem nie bardzo umiała, bo w przeciwieństwie do różnych naiwnych istot nie popełniała wielokrotnie tych samych błędów – polegających na ufaniu łajdakom tylko dlatego, że umieją w trakcie zalotów dobrze wzdychać i wywracać gałami.

NIE ZOSTAŁA.

Z tego zaś wynikły pewne korzyści. Bo znacznie lepiej było wyjeżdżać i wracać niż być skazanym na tkwienie wciąż w tej samej sytuacji po jednej lub po drugiej stronie. Ponadto osiedlenie się na stałe na Zachodzie oznaczałoby dla artysty zza żelaznej kurtyny utratę istotnej atrakcyjności, wabika. Ten tak zwany Zachód pragnął przecież właśnie towarów wschodnich. Może nie aż tak histerycznie jak Wschód łaknął Zachodu, ale była to zawsze jakaś pikantna, orientalna przyprawa ich mdłego, dostatniego życia. Temperament wschodni, w tym wypadku słowiański – w gruncie rzeczy głównie rosyjski, ale w marnym zastępstwie także i polski – uchodził za pożądany również, a może przede wszystkim, w teatrze.

Dobrze, że matka zamiast zakotwiczyć na stałe w jakiejś dziurze – francuskiej, angielskiej, niemieckiej, włoskiej czy szwajcarskiej, dryfowała po świecie mając macierzysty port w Krakowie. Najpierw na krążowniku Tadeusza Kantora, potem na własnym teatralnym stateczku pod nazwą „Akne". Pływał on niezmiennie pod polską banderą, choć w praktyce w każdym porcie mustrowała się na nim nowa załoga. Zawijano na odległe kontynenty. Spektakle powstawały w Polsce, ale też w Anglii, Szkocji czy Danii, warsztaty teatralne odbywano w Australii, Hong-Kongu, Brazylii. Aktorzy bywali Polakami, ale i niekiedy Brytyjczykami pochodzenia kenijskiego lub, dajmy na to, afgańskiego. A czasem osobnikami kosmopolitycznymi – zupełnie nieokreślonymi nawet dla samych siebie – tworami Nowego, Wspaniałego, Wolnego Świata, który nikomu nie narzucał z góry narodowej, podobnie jak religijnej tożsamości. Niektórzy czuli się w tym jak ryba w wodzie. Jak jesiotr *Arcipenser persicus* na szelfie w cieśninie Ormuz, naturalnie w czasach pokoju w rejonie Zatoki Perskiej. Inni, pogubieni kompletnie, dawali zarabiać psychoterapeutom i producentom antydepresyjnych prochów. Kiedy ów wolny świat z dobrodziejstwem inwentarza wdarł się wysoką falą do Polski w latach 90. XX wieku i tutaj wielu miało pogubić się z kretesem.

Dziadek z jego zbawczymi, lecz najzupełniej ziemskimi planami co do naszej przyszłości, po śmierci w 1971 roku najprawdopodobniej trafił prosto do nieba. Stamtąd nie mógł już mojej matki do niczego namawiać, najwyraźniej próbował jednak poruszyć jakieś tryby niebieskie. Tyle że w wieczności wszystko dzieje się opieszale, bo kto i do czego miałby się tam właściwie śpieszyć? Na ziemi upłynęło parę dziesiątków lat, zanim św. Tadeusz Juda, patron spraw trudnych ocknął się z drzemki, zanim św. Rita od spraw niemożliwych dostała nowy aparat słuchowy,

o który wciąż pisała podania... Słowem: zanim dotarł do ich uszu szept modlitewny duszy pewnego Polaka, ubiegającego się o wyzwolenie córki i wnuczki spod jarzma władzy totalitarnej.

– Ależ to nonsens – przypomniał sobie św. Tadeusz. – Ich kraj został już uwolniony.

– Właśnie! – odrzekła św. Rita. – Jest zatem okazja, żeby uczynić rzecz niemożliwą. Niech wyjeżdżają wnuki i prawnuki, choć nie wiadomo po co.

Ilu takich dziadków modliło się w niebie o lepszy los dla potomków? Ilu uzyskało z odroczeniem pozytywną odpowiedź, skoro z wolnej już Polski wyjechało z rozpędu kilka milionów ludzi? Socjalistyczna władza w jednym się nie myliła. Kiedy otworzy się granice, wszyscy wezmą nogi za pas. A w każdym razie wszyscy ci, którzy mogliby z dostateczną energią zmieniać na lepszy ten nikomu do szczęścia nie potrzebny kraj.

Katarzyna Turaj-Kalińska

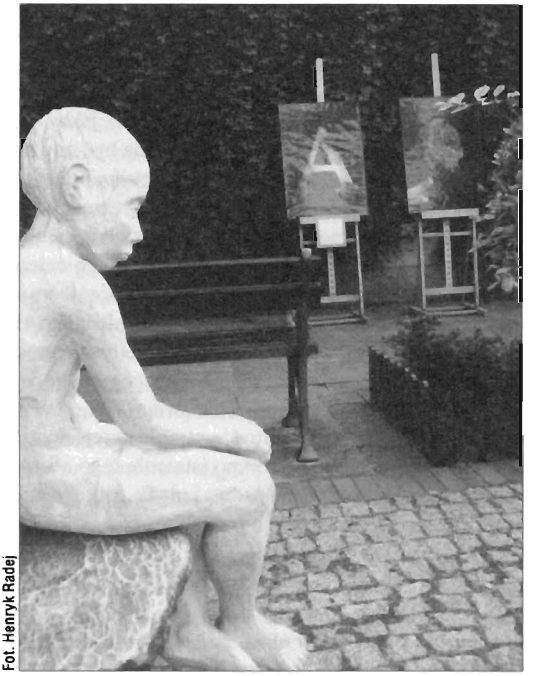

Fot. Henryk Radej

Midryga z Ulicy Poetyckiej, praca uczniów Zamojskiego Liceum Plastycznego, Zamość, 30 sierpnia 2014 r.

Robert Suwała

DOSKONAŁY ZAMYSŁ, CZYLI FIZYKA ONIRYCZNOŚCI

Od tylu wieków ja, który częściej żyję
w moich przeszłych duszach...[1]

Max Jacob

Rzecz zrozumiana przestaje istnieć,
Ptak zmieszał się z wiatrem,
Niebo ze swoją prawdą,
Człowiek ze swoją rzeczywistością[2].

Paul Eluard

Obrazy i fotografie autorstwa surrealistów to z założenia estetyczne prowokacje podszyte kapryśnymi fantasmagoriami. Spójrzmy choćby na zdjęcie z grupą surrealistów wpatrujących się w punkt na ścianie gabinetu jakby w hipnotycznym oczekiwaniu na urzeczywistnienie się ich wizji[3]. Czym ma być ta wizja? Zdjęcie pochodzi z lat 20. zeszłego stulecia, jego tytuł *Narodziny przedmiotu* przywodzi na myśl fatamorganę. Wydaje się, że kadr z surrealnych polowań wyobraźni uchwycił coś więcej niż tylko ekscentryczną zabawę, coś, co zaległo podejrzanym cieniem na linii spojrzenia zebranych i nieistniejącego obrazu, który pozostaje pragnieniem zawieszonym w ektoplazmie snu. Tę nieobecną obecność, spowijającą zainscenizowaną sytuację efemerycznym muśnięciem, nazwać możemy chimerą, przywidzeniem albo pretekstem. Albo intencjonalnością zaaranżowanej ewokacji – Doskonałym Zamysłem.

„Tekstualna" niejednoznaczność czarno-białej scenerii *Narodzin przedmiotu*, wieloznaczność kontekstów, z którymi zdjęcie nawiązywać może twórczy dialog, stwarzają na oczach obserwatora rzeczywistość w stanie przejściowym – jako kolaż dotykanej materii z nierealnym rojeniem. Samo istnienie tego obrazu, szamoczące się między ekstazą a hipnozą, z których żadne jednak niczego nie wyjaśnia ani o niczym nie rozstrzyga, zdaje się poddane niewidocznym emanacjom arbitralnej intencji ewokacji.

---

[1] M. Jacob, *Metempsychoza i wspomnienia* [w:] tegoż, *Poematy prozą*, przeł. J. Hartwig i A. Ważyk, wybór i posłowie J. Hartwig, Kraków 1983, s. 291.

[2] P. Eluard, *Zwierciadło chwili* [w:] *Surrealizm. Teoria i praktyka literacka. Antologia*, teksty wybrał i przeł. A. Ważyk, Warszawa 1973, s. 295.

[3] Zdjęcie reprodukowane w książce Agnieszki Taborskiej *Spiskowcy wyobraźni. Surrealizm*, Gdańsk 2007, s. 197.

Lecz to, w czym dopatrujemy się Doskonałego Zamysłu, poczyna z siebie pokrętny kalambur, którego paradoksalna gra znaczeń i sensów pozostawia bez szans na jakiekolwiek rozwiązanie. Aurę zdjęcia zdaje się przenikać duch zmarnowanego marzenia. Czyżby oniryczny seans w swym zarodku okazał się poroniony, a szanse rozszyfrowania zagadki milczenia zmyślonych bogów imaginacji zostały raz na zawsze utracone? W utrwalonym na blonie filmowej sztafażu pseudorzeczywistości zagnieździło się bowiem bluźnierstwo, sylabizujące światłocienie surrealnej semiotyki grzechu. Ale tego grzechu nie metaforyzuje już podszept ciekawości, której alegoryczny sens przywodzi na myśl jabłko, lecz heteronomiczne naśladownictwo, jakie znamionuje fotografię. Ponieważ jesteśmy tylko kłusownikami obcych historii utrwalonych na kliszy fotograficznej! W anonimowości podglądaczy pragniemy dojrzeć odbicia cudzych grzechów, posiadających przez sam fakt pochodzenia „stamtąd" walor bezapelacyjnego kryterium, w którym cudownie wzbiera łaska odkupienia.

A jednak oko wyczuwa gruzełkowatą fakturę opowieści zdjęcia operującego przecież – z natury swej estetyki – niedomówieniem i zawieszeniem głosu. Jego, by tak rzec, mikroklimat apozjopezy nadający tytułowi cechy gry z niepewnością, pozostawia sporo miejsca na milczenie, tężejące w ryzykowne skojarzenia, szroniące powierzchnię wyobraźni. Sprawia to, że proces kojarzenia przebiega po okręgu jakiegoś *sede vacante*, nazbyt jednak subtelnego, by uchwycić to coś w kształt obrazu, co – wspomóżmy się Schulzowskim wyczuleniem na materię – dopiero ma wejść w fazę skupiania się w konkret – przedmiot. A my, podglądacze, pragniemy czegoś innego, i to z konotacjami cudowności. Ale dziś cudami handluje się tylko w budach jarmarcznych telewizorów, w których zimnej poświacie odbywa się rytualny potlacz wszystkożernego bóstwa teraźniejszości. Spragnieni cudu oranciwidzowie pragną wgryźć się w niedosiężne niebiosa zmysłowych światów, lecz niezmiennie budzą się nad ranem ze śladami polucji niespełnień. W ich dusznych rojeniach fermentują krótkotrwałe, lecz napastliwe przywidzenia. Pozostają raz na zawsze naznaczeni i upośledzeni życiem niczym szytym na miarę kaftanem bezpieczeństwa, który ma ich chronić przed ich własnym szaleństwem. Ale żaden kaftan nie jest w stanie wytrzymać pragnienia zakosztowania, chociażby przez chwilę, lepszej strony Raju.

Narodziny przedmiotu wciągają w transgresywną grę z wyobraźnią. Oksymoroniczna dosłowność cudowności, zasugerowana przez inscenizację fotografii, wyklucza udział czystego doświadczenia w jej objawieniach. Ale przecież żadna z osób utrwalonych na zdjęciu, jak się spodziewamy, nie myśli o weryfikacji! Udział w spektaklu ujmuje realność w cudzysłów ironicznego dystansu. W kaprysach narracji podglądanego zdjęcia domyślamy się także czegoś więcej niż surrealnego ekscesu, podskórnie wyczuwamy antagonizmy w mikroskali pojedynczego, własnego ja, przywołujące Kafkowską wizję labiryntu bez wyjścia. Wędrówka jego zawikłanymi szlakami staje się przeraźliwą sumą niespełnienia...

I

W naświetlonej sennością kliszy odkrywamy w końcu własny cień, artefakt, rzekłbyś, jakąś intymną niezręczność. Bo oto nie będąc obojętnymi na wstrząsy, jakich dostarcza nam codzienność, popadamy – na zasadzie odruchu warunkowego? – w jakiś senno-realny promiskuityzm. W zaburzeniach bytu szukamy usprawiedliwienia egzystencjalnego egoizmu, dla którego realność jest przyczyną bolesnych deprywacji, w najlepszym wypadku naraża na śmieszność; zatem tylko umiejętne wkomponowanie się w codzienność rzeczy i zjawisk, z dobrze odmierzoną dozą przezornych uników i hipokryzji, może uchronić przed nieobliczalnymi skutkami egzystencjalnych pułapek. Zjawisko to – sięgamy tu po Gombrowiczowskie konotacje – skłonni jesteśmy tłumaczyć, widząc w tym także stosowne usprawiedliwienie, oddziaływaniem podświadomego infantylizmu, który zwykł leżeć u podłoża wielu wyborów dorosłego życia. W istocie jednak wszystko sprowadza się do trywialnego zjawiska urynkowienia formy. Nie dotykamy tu, bynajmniej, formy w jej Gombrowiczowskim rozwinięciu, czyli postawy z całym arsenałem indywidualistycznych grymasów, lecz formy, która, by tak rzec, uczyniła jeden krok dalej, stając się sama dla siebie formą funkcjonującą jako pewien wzorzec – formą skomercjalizowaną, zdatną do samopowielania się w setkach odbitek, naśladujących prawdziwe życie.

Podglądając scenerię zawieszoną w „cudotworze" zmyślenia, podglądamy jak gdyby własną pseudorzeczywistość, która przewidywalna w swej nieprzewidywalności, wzmaga nieufność nakazującą świadomości zachowywanie czujności podczas powtarzanych ćwiczeń z egzystencjalnego mimetyzmu. W zbiorowości zmanipulowanych sobowtórów niezmiernie łatwo ulec czarowi zwielokrotnionych odbić własnego ego. *Narodziny przedmiotu* zdają się także kryć podpowiedź, że wielokropki wieńczące marzenia senne okazać się mogą wcale skuteczną strategią, pozwalającą zachować indywidualizm w konfrontacji z unifikującą wszystko realnością. Rzutowanie indywidualnej kondycji na ekran rzeczywistości musi jednak znajdować wsparcie w umiejętnie skrywanej elastyczności świadomości – co na dłuższą metę zaowocować może względnie ustabilizowaną równowagą wewnętrzną, bez ryzyka zaplątania się w nieprzyjemne rozterki i dylematy. Zwykliśmy przecież uważać się za beneficjentów własnych snów, kogoś uprzywilejowanego, kto został dopuszczony do wybrańców asystujących „narodzinom przedmiotu", gdy tymczasem budzimy się z tego snu o śnie jako otumanieni uczestnicy farsy.

Fotografia jest medium zasklepiającym w wiecznej teraźniejszości obrazy pożółkłych ze starości fetyszy pragnień. W przypływach i odpływach wspomnień zbyt często zapominamy, że nie warto przywiązywać się do własnych tęsknot – zazwyczaj czai się za nimi zmęczona bezbronność i bezradność wobec życia, które jest albo za wcześnie, albo za późno, zawsze jakoś asymetryczne względem związków przyczyn i skutków. A nam doskwiera rzeczywistość układająca się w codzienność w jednostajnym rytmie perystaltyki dni, z których każdy przypomina zdjęcie powielane nieskończoną ilość razy. Oczekujemy cudu „narodzin przedmiotu", który

wypchnie normalność rzeczy i zjawisk – a z nimi i nas samych – z tej temporalnej przemiany materii! Odnajdujemy w sobie rysę nieakceptacji, dlatego podświadomie cyzelujemy zazdrość życia innego, nieustannie od nowa imaginowanego.

Gdzieś w podświadomości *Narodzin przedmiotu* sen krzepnie w kształt realności, obdarzając ją mocą apotropaicznego zaklęcia starszego niż pytania o sens. Z ostrożności podszytej strachem wolimy jednak pozostawać na pozycjach podglądaczy, unikamy ryzykownej gry z kalamburami niewiadomego – w ich majaczeniach domyślamy się stygmatu przekleństwa. Czujemy, że zaczyna brakować nam tchu, a przecież „tylko się przyglądamy". Jest to tyleż efekt zniekształcającej pracy marzenia, co bezradnych prób odnalezienia w gąszczu własnych wewnętrznych sprzeczności jakiegoś ładu. Wiele zachodu wkładamy, ażeby relacje z własnymi marzeniami wznieść na poziom ekstrapolacji, zazwyczaj czynimy to na tyle nieporadnie, iż w rezultacie popadamy w niewolę ewokacji. W odruchu obronnym przejawiamy przesadne zamiłowanie do szczegółu, z czego czynimy oręż przeciwko iluzjom, choć jednocześnie onieśmiela nas dystans, jaki stwarza nasz Doskonały Zamysł względem rzeczywistości, w której nieustannie tropimy ślady „narodzin przedmiotu" swoich ewokacji.

W schizofrenicznych symulacjach naturalności odruchów, stopniowo zastępujemy uczciwość schematyzmem nic nie znaczących gestów. Czy mamy się przyznać do uwiądu mocy daimonionu? Pewnie dlatego Doskonały Zamiar, którego każdym zabitym marzeniem pozbawiamy szans na przyobleczenie się ciałem spełnienia, wolimy przekuwać w gwoździe, którymi, nie szczędząc teatralnych gestów, przybijamy się do własnego wyobrażenia predestynacji. Nie mówimy o tym głośno, ale w spojrzeniach sekundantów tych osobistych golgot, w równym stopniu pragniemy odnaleźć zrozumienie co odroczenie wyroku...

II

Oswajanie się z palimpsestową materią *Narodzin przedmiotu* to pensum zadane wyobraźni, propozycja bez pokrycia, co najwyżej hipoteza o podejrzanej konduicie, ale lubimy przecież czerpać perwersyjną przyjemność ze spoufalania się z pokusami (bo najciekawsze są spontaniczne skojarzenia, improwizowane przez nastrój chwili). Tkwimy więc nieruchomo, starając się przeniknąć tajemnicę antepedium rzeczywistości i nadać jej nieznanego dotąd znaczenia, ignorując ryzyko popadnięcia w absurd. Nieustannie fundujemy sobie lifting imaginacji, ufając skrycie, że przyszłość postrzegana jako wybawienie z obowiązku szukania usprawiedliwień dla teraźniejszych obłędów, nie zostanie zdemaskowana jako kapitulacja wyobraźni w obliczu spękanej fasady rzeczywistości. Wścibscy jak dzieci, penetrujemy te szczeliny w ścianie marzenia, z których wymiatamy kurz zapomnianych snów i znajdujemy resztki słów – kuglarskich i groteskowych jak niezdarne sztuczki cyrkowego klowna.

Tak wielką mamy czasem ochotę wykrzyczeć te kalekie słowa, lecz demon lęku więzi nam dźwięki w krtani. Może dlatego, że nagły przypływ elokwencji

przynieść może niszczycielski skutek? Nosimy w sobie uzasadnione przecież podstawy do osądu, że nasz krzyk byłby tym ostatecznym, niosącym powolną katastrofę niczym bakcyl trądu. Być może Doskonały Zamysł pozostanie idealną niezmiennością o strukturze palindromu, a my tylko tracimy czas próbując odnaleźć w nim ukryte sensy.

III

Narodziny przedmiotu są katachrezą przebijającą ukryte kanały percepcji, by wydobyć z nich, w krótkich przebłyskach olśnienia, obrazy świata, który mógłby być naszym. Lecz nigdy nim nie będzie, a my znów obudzimy się pośrodku Wiecznotrwałej Ciszy Niespełnienia. Sfotografowana scena ujmuje jej podglądaczy w cudzysłów ironii. Statyka kadru metaforyzuje niepochwytność ewokacji w ramy realności, czyni nas świadkami permanentnego procesu stawania się jako niespokojnego monologu obrazu, który raptownie przechodzi w anamorfozę, jak gdyby krztusząc się niecierpliwością własnych słów.

Przeobrażamy się w niewolników nienarodzonych przedmiotów, które nawiedzają nasze sny, lecz my, absolutni analfabeci snów, nie potrafimy odczytać ich nazw. Postępujemy jak dzieci, które pewnego dnia uprzytomniły sobie, że są już zbyt stare, by zachować prostolinijność wiary w pojemność życia. Więc wymyśliły Doskonały Zamiar. Bo najciekawszy jest stan poprzedzający „narodziny przedmiotu". Herbert wiedział, że „najpiękniejszy jest przedmiot / którego nie ma"[4]...

Robert Suwała

[4] Z. Herbert, *Studium przedmiotu* [w:] tegoż, *Wiersze zebrane*, oprac. R. Krynicki, Kraków 2008, s. 281.

Rafał Pokrywka

Via Alpina

FATUM PRZEZ DUŻE F (DANIEL KEHLMANN)

Wracam do Kehlmanna, który w roku 2013 objawił się z nową powieścią. Gwoli przypomnienia: niedoceniany, niezauważony, nagle gwiazda sezonu, kilku sezonów, ilość sprzedanych egzemplarzy powieści *Rachuba świata* (2005) mierzona w milionach, podobno wciąż rośnie. Po niej przychodzi *Sława* (dosłownie i nie, tak bowiem zatytułowane kolejne jego opus), jak również niezbędne w takiej sytuacji, okolicznościowe, chciałoby się rzec, eseje i przemowy wydane w dwóch tomach, potem kilka lat milczenia. Nowa proza Kehlmanna to enigmatyczny tytuł *F*, wybitnie nieciekawa okładka i mało obiecująca fabuła. Kto zadał sobie trud obejrzeć książkę – przedmiot i przeczytać blurba, skreśli ją z miejsca, nawet jeśli nie będzie ekspertem od rynku. Kehlmann może jednak pozwolić sobie na ekstrawagancję i całe lata wakacji. Kehlmann może teraz pisać, co mu się podoba. Widać tę wygodę w powieści, a o tym, czy wyszła jej na dobre, czy nie, sporo już powiedziano w atmosferze premiery, ferowanie wyroków dzisiaj byłoby więc mało pożądane. Skupmy się w zamian nad miejscem tajemniczego *F* w alfabecie Kehlmanna, którego początek wyznacza w roku 1997 niespełniony matematyk-magik Beerholm.

Struktura powieści to magia liczb. Wstęp, trzy rozdziały prowadzone przez trzech różnych narratorów, w środku ekskurs – opowiadanie *Rodzina*, rozdział końcowy przełamany w triadę, spisany z trzech różnych perspektyw. Trójca rządzi tym tekstem nie bez powodu. Oto wgląd w doświadczenie trzech braci, jakże różnych, w tym samym momencie przelane na papier, zwykłe-niezwykłe kilka dni, podczas których waży się ich los. Tutaj pierwszy ukłon w stronę twórcy – każdy rozdział napisany jest w indywidualnym stylu narratora, czy to w niezdarnym żargonie religijno-biznesowym, czy to w słowotoku światłego konesera sztuki. Nieuniknione skojarzenia z *Wściekłością i wrzaskiem* Faulknera i jego polifoniczną metodą. Te same wydarzenia naświetlone z różnych perspektyw nie tracą na klarowności, odsłaniają przy tym nieodgadnione wcześniej fasety. To przeplatanie się epizodów, z których każdy dopowiada coś nowego do poprzednich, znamy już z *Ruhm* (*Sławy*), gdzie było przecież aż dziewięć różnych historii, każda uwikłana w pozostałe. Jednak o ile *Ruhm* sprawiało wrażenie dowcipnej wprawki warsztatowej z mało oryginalną puentą („wszyscy jesteśmy bohaterami opowieści"), tutaj umiejętności opowiadacza służą wyższej sprawie: odkryciu systemu rządzącego przypadkami życia ludzkiego, zwanego losem.

To „pradawny" Kehlmannowski motyw, przezierający i tutaj przez narracyjną wirtuozerię i soczyste dialogi. Coś przecież musi być w tym chaosie, coś

musi rządzić wszechświatem, skoro rzeczy istnieją, a równie dobrze mogłyby nie. Dobrze, że na końcu książki autor wprowadza kilkunastoletnią Marie i każe jej wypowiedzieć te słowa, w ustach dorosłego mogłyby bowiem banalnie zazgrzytać. Kehlmann nigdy nie napychał ust swych postaci zbędnymi aforyzmami, tak jest i tutaj, aż niepewność bierze, czy o to na pewno chodzi w tym tekście, ułożonym w trójki jak mistyczna jakaś księga. Sporo tu wprawdzie tematów nowych, chociażby rodzina, czego dotychczas u niego nie było, zmiany pokoleniowe, pamięć kolektywna, rzeczy jakże modne w literaturze niemieckojęzycznej ostatniego dziesięciolecia, ale jest przecież i Kehlmann stary, znany z *Rachuby świata*, autoironiczny, każący czytelnikowi patrzeć sobie na ręce i przepytywać każde zdanie z prawdomówności. Utwierdza swoją pozycję kuglarza, zaplątuje się w fałszerstwa i symulacje, w lustrzane odbicia, wśród których prawda jest czymś w rodzaju niespełnionej obietnicy.

Pierwszy brat – niewierzący ksiądz, udający księdza właściwie, który sens świata skłonny jest ujrzeć prędzej w zawiłościach kostki Rubika niż w ciemnym wnętrzu tabernakulum. Trwa w swojej obłudzie. Drugi – szef wielkiej firmy, od pewnego czasu świadom jej nieuniknionej katastrofy, żyjący w dwóch wymiarach, tym „prawdziwym" (jest szefem wielkiej firmy) i tym, w który prowadzą go jego lekarstwa i lęki, podziemnym królestwie mrocznych wizji i omenów. Doznaje religijno-biznesowego obłędu. Trzeci – bliźniak drugiego, znawca i mecenas malarstwa, zbijający fortunę na obrazach pseudoawangardowego artysty, które w rzeczywistości maluje sam. Ginie w „fatalnej" ulicznej bójce. Nad nimi ojciec, porzucił wprawdzie swoje dzieci w jakimś momencie objawienia na środku ulicy, jakiś czas potem został jednak wybitnym, wybitnie poczytnym i nadzwyczaj tajemniczym autorem powieści z drugim i trzecim dnem, których lektura przywodzi czytelnika do zwątpienia we własne istnienie. Autor *Rodziny*, centralnego rozdziału powieści Kehlmanna, w którym dowodzi, że miał wielu przodków, a życie każdego z nich miało tylko jeden cel – jego samego, pisarza, który nie przyszedłby na ten świat, gdyby w wielosetletniej przeszłości własnych dziadów coś poszło inaczej niż poszło.

F to historia fałszerstw, dwu- i trójlicowości, udawania, zwodzenia i mistyfikacji. Brak jej puenty. To jest trudne do zniesienia – na końcu nie dostaniemy klucza do systemu, który (załóżmy) rządził losem braci F., nie doświadczymy katharsis objawienia, bo jedyne objawienie dane jest (prawdopodobnie) obłąkanemu byłemu szefowi wielkiej firmy, znienacka urzeczonemu przez opatrzność oraz moc świętej spowiedzi, i to wbrew zdroworozsądkowym protestom swojego brata, księdza. Nie wybawi nas moc sztuki, ta bowiem jest zabawką rynku, łasa na nazwiska i rankingi sprzedaży, ginie w osobie brata-artysty z nożem w brzuchu, niestety nie jest to manifest futuryzmu. Niepojęte wykresy i statystyki ekonomiczne sczezną w ogniu równie niepojętego światowego kryzysu, tomistyczny gmach wiary chrześcijańskiej zrujnują najmniejsze nawet podszepty nowoczesnego rozumu. Po raz kolejny zatem ofiary własnych złudzeń. Znamy już takich, którzy zawierzyli nauce (*Mahlers Zeit*), religii i magii (*Beerholm przedstawia*), geniuszowi jednostki (*Rachuba świata*),

którzy w poszukiwaniu nadludzkiego i bezczasowego porządku zabrnęli w autonegację, rozpacz, obłęd, w końcu samobójstwo. Tym razem mamy postać nową: księdza, który nie wierzy, ale urządził się jakoś w tym świecie, natarczywe pytania o wątpliwe dogmaty zbywa słowem „misterium" i wieńczy powieść Kehlmanna autoironicznym: „A teraz wyznanie wiary".

Najtrudniejsze jednak w tej książce jest, że nie wiemy, czy on tak serio. Dotychczas Kehlmann był piewcą takich czy innych sensów, literacko subtelnym na tyle, by wzbudzić cmokanie wytrawnych elit, w swoim kasowym dziele wziął się za bary z powieścią historyczną (to zawsze da się jakoś uładzić), później szarżował na powieść epizodyczną i już tutaj był autotematyczny, lecz krasił to wszystko esejami na cześć opowieści, wobec której twórca to mały sługa, nie wie, gdzie ślepe pióro go poprowadzi itd. I to dało się znieść, bo znaliśmy, chociażby z Grassa, niewolnika własnych utworów. Zawsze przychodziło jakieś rozwiązanie, nawet jeśli była to kafkowska furta do zamku bez prawa wstępu. Ale to było coś, staliśmy nagle przed (nomen omen) misterium, i to poręczne słowo załatwiało sporą część zmagań interpretacyjnych. Nie wiem teraz, czy *F* to dzieło niedokończone, nieudane, bo bez tego *momentum*, bez ciężaru, czy może Kehlmann już tak subtelny, że go nie pojmujemy. Naraża się na niezrozumienie, widać, że chce coś powiedzieć (chyba), wychodzą mu spod pióra udane warsztatowo narracje, ale one tylko dociągają ten węzeł, brak tu ostrza, który by je przeciął, być może nawet (wybacz Kehlmannie) brak tu jakiejś prześnej aforystyki w stylu: „Takie oto jest życie – niepojęte i niezmierzone", którą można by było zaaplikować w ostatnim, podzielonym na trzy rozdziale, poetycko i niezrozumiale zatytułowanym *Pory roku*. Właśnie, czego nie na cztery? I co właściwie ten tytuł ma oznaczać, gdzie tu wyzwolenie?

Trochę tam aluzji do Maxa Frischa. Ojciec-pisarz debiutuje powieścią *Mein Name sei Niemand* (Por. Frischa *Mein Name sei Gantenbein* – polski tytułu *Powiedzmy Gantenbeim*), w której zanik osobowości, tożsamość itd. A więc problemy Frischowskie. Nie wiem jednak, czy Kehlmann idzie choć krok dalej niż jego poprzednik. Jeśli pobudką do napisania *F* było ukazać życie ludzkie uwięzione w relacji przypadek – przeznaczenie, to zrobił to, lecz na tym koniec. Tak jak u Frischa w *Homo faber* nie wiemy do końca, co jest siłą sprawczą – przemiany protagonistów są fascynujące, podobnie ich rozważania nad rolą przypadku w życiu człowieka i losem wykuwanym gdzieś w niebiosach. Brak tu jednak klarowności. To prowadzi tylko do zwątpienia we wszelkie systemy (religia, matematyka itd.), którym życie indywidualne i pojedyncze zawsze mniej czy bardziej się wymykało, i w końcu zostajemy z pustymi rękami. Ginie gdzieś ta „czytelność wszechświata" (*Die Lesbarkeit des Universums*, to z *F*), która mogłaby być ratunkiem, mało tego – przepada patos obcowania z misterium, którego nie brak było u Kehlmanna wcześniejszego, teraz unicestwionego przez finałową ironię.

Gdy trwoga, to do biografii, tak radzono sobie z Kafką i jego paradoksalnym motywem winy („załóżmy, że to przez ojca"), tak i dzisiaj prywatne usadowienie autora w tu i teraz ma moc arbitralną w przypadkach spornych. Odwołajmy się za-

tem do biografii pisarza. Twierdzę, że Kehlmann chce zniknąć. On ma dość sławy i studiów strukturalnych pochylonych nad jego książkami aptekarzy literackich, na których tak się cieszyli Joyce czy chociażby Eco. Klasyfikacje i klucze interpretacyjne muszą być na dłuższą metę męczące, jeśli nie pisze się powieści w kształcie ciasteczka z wróżbą. Te wielokrotne zasłony, autoironiczne i autotematyczne odbicia (*vide* ojciec-pisarz udrapowany sławą po latach literackiej mitręgi), brak zakończenia i wyszlifowane na oślepiający połysk umiejętności warsztatowe – to wszystko zdaje się mówić: potrafię już wszystko, mogę z wami grać, ile zechcę, poza tym mam coś do powiedzenia, ale nie powiem. Gdzieś tam na kartach *F* przebija się tęsknota za anonimowością w sztuce, gdzie nie liczy się nazwisko, lecz dzieło, jak w średniowieczu, tak cudownie wolnym od obsesji nazywania i marki. Być może Kehlmann chciałby zniknąć jak jego bohater literat, z nieprzeniknionych mroków publikujący kolejne bestsellerowe powieści, o nazwisku wybitnie nieznaczącym, bo nieskażonym żadnym wywiadem, zdjęciem i nagrodą literacką, a co najważniejsze – niemożliwy do zaszufladkowania, tworzący oryginalnie, mylący tropy, ośmieszający potencjalne konteksty.

Jakoś tak lektura *F* zbiegła mi się w czasie z powrotem do wczesnych esejów Austriaka, w których jeszcze jest dumny ze sławy i dokonanych na historycznych postaciach zabiegów fikcjonalizujących. Tam mienił się wiernym sługą narracji, wędrującej swoimi ścieżkami, i bronił przed zarzutami przekłamania. Dziś jest już inaczej, skoro z falsyfikatów uczynił swój oręż, do prawd historycznych już nie sięga, a głosem sprawiedliwego obdarza swojego Epikura-anonima, wygodnie żyjącego pośród książek w samotnym domu nad jeziorem, z dala od wszystkiego, przede wszystkim zobowiązań i odpowiedzialności. Pisarz to jedyna nieobarczona ironią postać w powieści – uniknął fałszu, bo się schował i nie dał się poznać. W scenie, w której oprowadza wnuczkę po galerii, nakazuje jej wpatrywać się w obraz przedstawiający statek na morzu wiozący, nie wiedzieć czemu, *Trwałość pamięci* Dalego, być może to jednak bez znaczenia, skoro:

> Podeszła jeszcze bliżej i natychmiast wszystko zniknęło. Nie było już ludzi, żadnych chorągiewek, kotwicy i krzywego zegara. Było tylko kilka kolorowych plam powyżej pokładu statku. W wielu miejscach przebijała biel płótna i sam statek był również tylko zbieraniną kresek i kropek. Gdzie się wszystko podziało?
>
> Odeszła do tyłu i wszystko złożyło się na powrót: statek, bulaje, ludzie, chociaż dopiero co widziała, że tego wszystkiego nie było. Jeszcze jeden krok w tył i teraz jakby obraz mówił do niej, że nie ma nic wspólnego z tym, co pokazuje. Przesłanie, które tkwiło raczej w jasności, w bezkresie wody, bądź w tym, jak statek niknął w oddali[1].

Być może puentą powieści jest, że malarze bardziej zainteresowani są malowaniem malowania, niż tym, co na obrazie, ale właściwie trudno powiedzieć.

---

[1] D. Kehlmann, *F*, Reinbek bei Hamburg 2013, s. 364 [tłumaczył Rafał Pokrywka].

Jest coś dziwnego w fakcie, że lektury ostatnich powieści Pawła Huellego *Śpiewaj ogrody* i Wiesława Myśliwskiego *Ostatnie rozdanie* nasuwają podobne skojarzenia. To również mistrzowie niedopowiedzeń, lecz przecież tym książkom zabrakło ciężaru, charakterystycznego dla ich poprzedników. Być może tak pisze się wielkie dzieła. Być może naprawdę poważne diagnozy muszą pozostać nieoczywiste. Niewykluczone, że o to właśnie chodzi.

Rafał Pokrywka

Fot. H. Radej

Świdryga z Ulicy Poetyckiej, praca uczniów Zamojskiego Liceum Plastycznego, Zamość, 30 sierpnia 2014 r.

Jacek Uglik

Z obłędu odsiać wers (5)

BOJAŹŃ I DRŻENIE

Marcin Świetlicki

Ładny wiersz[1]

W domu upał.
Wszystko szklane rosi się.
Nic do niczego nie służy.
Wszystko pokryte rosą.

Wyszli ci, co ich kocham.

Palce smak mają tytoniu.
Ugotowałem obiad.
Zjemy go jutro.

Przez żaluzje białe paski świat.

Dom przed kilkudziesięciu, może już nawet stu laty został wciśnięty w krajobraz sosnowego lasu, który w pokrytej mchem i wrzosami ziemi chowa białe kości niemieckich niezwyciężonych i nieustraszonych żołnierzy. Od zachodu graniczy ze stacją kolejową, od południa z lotniskiem pozoracyjnym odciągającym bombowce alianckie. Jest studnia, jest mrowisko, jest chłopiec i huśtawka na drzewie. Zielone trawy czule obejmują czerwienie, fiolety i żółcie składające się na chłopca w czapce z daszkiem, który huśtając się śpiewa „boje sie, boje sie, boje sie".

Auto szosą przejeżdża raz dziennie. „Ci, co ich kocham" zerwali kwiaty i poszli na pogrzeb. Słońce oślepia i pali skórę, muchy leniwie snują się po rozłożonej na kuchennym stole ceracie, a zimne, zsiadłe mleko smakuje jak nigdy. Jak dobrze widzieć, że „wszystko szklane rosi się" i wiedzieć, że ma dla kogo się rosić. Jak dobrze mieć dla kogo obiad gotować, wyglądać przez białe paski, czy nadchodzą „ci, co ich kocham". Piękni, wracają zmęczeni ubrani w czerń. Na boso, na obolałych nogach.

Życie doświadczyło tego, którego „palce smak mają tytoniu". Wie jak siekierą w lesie sosnowym zarabia się na chleb, tym bardziej zna cenę tej niedającej się wyrazić słowem chwili melancholii, samotności, kiedy „nic do niczego nie służy".

[1] M. Świetlicki, *Wiersze*, Kraków 2011, s. 184.

Margosia Lichota, *Światło*, grafika, 2014.

Chwili samotności będącej tylko preludium do harmideru czynionego przez tych, „co ich kocha". W tak zakreślonej przestrzeni, dopóki ich nie straci, nie porzuci bądź nie odejdą zmęczeni jego podłością, melancholia nie przekształci się nigdy w wyniszczającą rozpacz, a samotność momentu, gdy „wszystko pokryte rosą" w istocie pozwala złapać oddech, wpływa na niego budująco, uszczelnia granice formującej się pełni bycia. Przestrzeń jego dookreślają właśnie oni, kobieta, dziecko, a nigdy te

wszystkie małe wyrazy – niepodległość, wolność, braterstwo, o które język zahaczać nie powinien.

Kobieta, dziecko, dom wciśnięty w pejzaż sosnowego lasu pamiętający miejsce nazywające się Ochelhermsdorf w pośpiechu opuszczane przez tego, którego „palce smak miały tytoniu", który na imię miał być może Hans i do ostatniej chwili wpatrywał się w piaszczystą drogę, którą ciągnęły konne wozy, pośród ludzi z tobołami szukał tych, co ich kocha. Na kuchennym stole czekały trzy talerze z gorącą zupą, której nikt nigdy nie zjadł, bo jutro nie nadeszło dla rzeczywistości, której bohaterem był Hans. Wraz z jutrem pojawił się nowy świat, inny on, inna ona, inne do nich należące ono noszące dziwne imię. Z jutrem zdemontowano nazwy, podmieniono język, zniszczono cmentarz.

To nie jest *ładny wiersz* zbudowany na podobieństwo obrazka ładnego popełnionego przez przedszkolaka, na którym to obrazku (jak widzimy oczami wyobraźni) domek jest i słoneczko świeci. A, co tam! U przedszkolaka nawet „wszystko szklane rosi się", jednak brakuje, czemu dziwić się nie należy, abstrakcji – ugotowanego obiadu czekającego na jutro. Wychodzenie w przyszłość, zakładanie dzisiaj obecności jutra kłóci się z wyobrażeniem ładnego wiersza rozumianego jako ładny obrazek. W świecie Marcina Świetlickiego, gdzie „wszystko pokryte rosą", czai się groza, skrada się złe, „złe się śni". Jaki uczciwy człowiek z sielskiego obrazu, nie Chrystus Jezus, co jak wiadomo uwielbia podstępy, ale zwyczajny pozbawiony na tę chwilę nazwiska Hans z Ochelhermsdorf, powie: „Ugotowałem obiad. Zjemy go jutro". Istnieje wyłącznie dzisiaj, poza dzisiaj nie ma nic.

Jeżeli zatem jesteś świadomy faktu własnej egzystencji i niestety zaczynasz zadawać pytania w stylu, kim jestem?, dokąd zmierzam?, to nie musisz być osobą rozpaczliwie wierzącą w obecność Boga jak Søren Kierkegaard, by twoje życie dało się opisać słowami, „bojaźń i drżenie". Już nigdy nie będziesz spokojny, a wszystko przez to, że myślisz, nie wiesz, nie dowiesz się i nigdy nie będziesz pewien. Powiedzieć „zjemy go jutro", to jak powiedzieć „szczęśliwy Kierkegaard" albo „kwadratowe koło".

Jacek Uglik

Janusz Drzewucki

DNI 2014

(Zapiski pięćdziesięciopięciolatka) część druga

13 lutego, czwartek

Miała nie zdobyć tego medalu, bo ma kontuzję (pękniętą czy też złamaną kość w stopie), ale zdobyła. Wielka radość. Tak jak kilka dni temu na okrągło o Kamilu Stochu, tak teraz na okrągło o Justynie Kowalczyk. Herbata z podwójnym, a może nawet z potrójnym cukrem i na dodatek z sokiem malinowym. Nie da się tego wypić. Cieszę się, że nasi sportowcy wygrywają, ale namolność i nachalność dziennikarzy oraz mediów w fetowaniu tych sukcesów, odbiera mi sporo zwyczajnej i prostej, może nawet i prostackiej przyjemności kibicowskiej. Swoją drogą, jakie to żałosne: dwójka tych młodych ludzi ma wygrywać, aby zrekompensować wszystkie niespełnione nadzieje prawie czterdziestomilionowego narodu. Czy naprawdę jesteśmy zakompleksieni do tego stopnia, że nie przepuścimy żadnej okazji, aby uświadomić – mniej światu, który ma to gdzieś, czyli w dupie, bardziej sobie – że jesteśmy najlepsi, czyli, że nie jesteśmy najgorsi?

14 lutego, piątek

Walentynki. Nie dzień świętego Walentego, ale Walentynki. Nowa świecka tradycja, jak w filmie Stanisława Barei. Bo też i Walentynki to jak najbardziej świeckie święto. Nigdy nie słyszałem, żeby tego dnia Kościół wzywał wiernych do kościoła. Walentynki, czyli wyraz wpływu kultury amerykańskiej na kulturę polską. Znamienne, że z Rosji, a dokładniej z Rosji radzieckiej nie przyjmowaliśmy żadnych świąt, chyba, że pod przymusem, a z USA przyjmujemy, co przychodzi i jak leci. Jeszcze parę lat temu, mam wrażenie, Walentynki komentowano z przymrużeniem oka, teraz bez przymrużenia oka, oczywiście na wesoło, bo Walentynki to wesołe, a nie smutne święto, ale bez przymrużenia oka, bez perskiego oka, a więc jak najbardziej poważnie. O Halloween dla odmiany mówimy z przymrużeniem oka, jeszcze, ciekawe jak długo.

Koło południa wsiadam na placu Trzech Krzyży do autobusu 116. W autobusie ścisk umiarkowany, właściwie nie ma ścisku. Młode małżeństwo z dzieckiem w wózku, dziecko, dziewczyna, osowiałe, półśpiące, czegoś smutne. Małżeństwo też nie w sosie, zamyślone, jakby nie słyszało, że dzisiaj Walentynki. Kilka przystanków dalej, przy uniwersytecie, wsiada młoda kobieta z dzieckiem w wózku, wózek pomaga je wtaszczyć ktoś z wysiadających, pewnie student, na operację tę pewnie nie zwróciłbym uwagi, gdyby dziecko, chłopiec, nie wrzeszczało w niebogłosy.

Stara się ustawić tak wózek, żeby nie przeszkadzać innym, w efekcie stawia go pod oknem naprzeciw wózka z dziewczynką. Chłopiec przestaje ryczeć, gapi się na dziewczynkę, zaczyna dłubać w nosie, uśmiech oblicze mu krasi. Pannica w drugim wózku przestaje przysypiać, widok chłopca wybija ją z odrętwienia. Po kilku, kilkunastu sekundach, jak na komendę dziewczynka i chłopiec próbują unieść się w wózkach, wyciągają do siebie ręce, starają się dotknąć, śmieją się do siebie od ucha do ucha, chociaż bezgłośnie. W autobusie ruch, ktoś z przodu przechodzi do tyłu, ktoś z tyłu przechodzi do przodu, nikt specjalnie na dzieci nie zwraca uwagi, nawet rodzice, nawet matka tego ryczącego przed chwilą chłopca, wyjęła z torby telefon i dzwoni gdzieś. W autobusowym tłumie rozpoznali się – Tristan i Izolda. W Walentynki, cholera jasna.

Wieczorem, późnym wieczorem dostaję od Marka wiadomość, że jutro 35 rocznica śmierci Zbigniewa Seiferta. Jak tu się nie dać rocznicom, skoro pchają się jedna przez drugą. Jesień, 1978 rok, początek roku akademickiego, jestem na drugim roku, przez Kraków przelatuje wieść, że zjechał do miasta Zbigniew Seifert, odwiedzić matkę, ma dzisiaj zagrać Pod Jaszczurami. Od kilku lat mówi się o nim, że jest najlepszym skrzypkiem jazzowym świata, na skrzypcach gra tak jak John Coltrane na saksofonie. Posłuchać go na żywo, okazja raz życiu, druga może się nie trafić. Seifert robi karierę za żelazną kurtyną, tam też wychodzą jego płyty, niedostępne w Polsce. Znam ich tytuły: *Man of the Light*, *Solo Violin* i jeszcze *Violin* z legendarnym kwartetem Oregon, samą muzykę znam piąte przez dziesiąte. Niektóre utwory słyszałem w radiu, ale co to jest muzyka z radia. To się nie liczy. A jednak wzbudziła we mnie otchłanną ciekawość. Prawdopodobnie zadziałała wtedy moja młodzieńcza wyobraźnia, wmówiłem sobie, że muzyka Seiferta to najlepsza muzyka, jaką mogłem znaleźć. Jak się dostałem do Jaszczurów, nijak nie mogę sobie przypomnieć. Biletów zdaje się nie było, tylko stałe karty wstępu i zaproszenia. Karty klubowicza nie miałem, więc wszedłem na zaproszenie. Od kogo je dostałem. Od Tadka Skoczka? Nie, Tadka wtedy jeszcze nie znałem. Chyba od Henia Martenki, który był szefem organizacji studenckiej na UJ, pewnie od niego. W Jaszczurach tłum, atmosfera wyczekiwania wielkiego wydarzenia. Seifertowi towarzyszy kwartet sklecony *ad hoc*: dwu muzyków z Extra Ballu – Jarosław Śmietana i Zbigniew Wegehaupt i dwu z Laboratorium – Janusz Grzywacz i Mieczysław Górka. Seifert był ciężko chory, wiedzieli o tym wszystkim, toczył go rak, o czym napisał wcześniej bodajże miesięcznik „Jazz", po chemioterapii, z lekko odrastającymi włosami na głowie w bluzie z napisem Northwestern University w okrągłych okularach *à la* John Lennon. Pamiętam tytuły utworów Seiferta: *Coral*, *Kilimanjaro*, *Where are you from*, pomiędzy nimi interpretacja *Impressions* Coltrane'a. To był jeden z najlepszych koncertów jazzowych, na jakim byłem. Totalny jazz, aż w powietrzu furczało! Słuchałem tej muzyki całym sobą, jak może słuchać facet, który ma dwadzieścia lat. Seifert wydawał mi się wtedy artystą spełnionym, kimś w pełni dojrzałym życiowo i artystycznie, kimś niedostępnym. Miał wtedy zaledwie 32 lata, zmarł kilka miesięcy potem w USA, wchodził w wiek chrystusowy. Krótko

po jego śmierci na dwu płytach Poljazzu ukazał się zapis tego koncertu, przez kilka lat słuchałem tej płyty niemal codziennie. Potem trzeba było się pożegnać z gramofonem i płytami analogowymi, weszły na rynek odtwarzacze kompaktowe, płyty Seiferta na kompaktach jeszcze nie było, pojawiła się całkiem niedawno, mam ją nawet w iPodzie, w ciągu 2-3 lat słuchałem może 2-3 razy i to wszystko. Uczciwie muszę przyznać, że nie słucham jej, ale z iPoda się nie pozbywam. Jak pomyślę, jak się skupię, słyszę jeszcze w sobie ten jeden jedyny w swoim rodzaju dźwięk, ton Seiferta. Miało się wrażenie, że skrzypce ma lekko rozstrojone, że gra na nich trochę nieczysto, z trudem, a jednak była to rozdzierająca muzyka, wszechogarniająca. Zapewne słyszałem w niej coś, czego *de facto* w niej nie było, ale to dzisiaj nie ma żadnego znaczenia. Muzyka słuchana wtedy Pod Jaszczurami wyrażała moją tęsknotę za życiem, które mnie czekało, do którego bardzo, ale to bardzo się spieszyłem. I niech tak już zostanie.

Dzisiaj imieniny nie tylko Walentego, ale również Cyryla i Konstantego.

15 lutego, sobota

Na igrzyskach w Soczi najpierw złoty medal Zbigniewa Bródki w łyżwiarstwie szybkim, potem złoty medal, drugi złoty medal Kamila Stocha na tej olimpiadzie. Mamy już cztery złote medale i w klasyfikacji medalowej wyprzedzamy Austrię, Szwecję, Francję, Finlandię i Włochy. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. I jeszcze jedno, polski łyżwiarz wygrał z holenderskim o 0,0003 sekundy. Coś się zmieniło w polskim losie, bo jeszcze niedawno, gdyby w ogóle doszło do takiej sytuacji, to przegrałby o te głupie 0,003 sekundy właśnie polski sportowiec, o ile jednak wcześniej, śmigając po pewne złoto, nie wywróciłby się na ostatnim wirażu i wtedy moglibyśmy o tym opowiadać wnukom.

W Arenie Ursynów Kaczyński przedstawił na partyjnym kongresie nowy program partii PiS. Totalne rąbnięcie w rząd premiera Tuska, we władzę etc. Ale kogo to interesuje dzisiaj, gdy zdobywamy dwa złote medale? Swoją drogą, że legendarni spin doktorzy PiSu, podobno najlepsi z najlepszych, szczwane lisy, kute na cztery nogi, asy nad asami nie wiedzieli, że w połowie lutego będą igrzyska w Soczi, a jeśli wiedzieli, to nie zajrzeli do programu igrzysk, nie zorientowali się, że tego dnia konkurs skoków narciarskich, czyli konkurencja, w której mamy tzw. medalową szansę? Rewelacji Kaczyńskiego nikt dzisiaj nie słucha, nikt się nimi nie przejmuje, nawet premier Tusk, który wieczorem przed kamerami TVP gwarzy sobie wesoło z redaktorem Kraśko o sporcie w Zębie, rodzinnej wsi Kamila Stocha. Jeden z pretorianów prezesa Kaczyńskiego – odpowiadając na kontrpropozycję premiera – stwierdził, że prezes usiądzie z premierem do telewizyjnej debaty, pod warunkiem, że ten najpierw przeprosi za siedem lat swoich rządów. Cóż, jak mawiał pan Stasiu – Panie świeć nad jego duszą – konserwator z „Rzeczpospolitej", gdy redakcja mieściła się jeszcze przy placu Starynkiewicza: – Zesrała się bida i płacze. Jestem dosadny? Tak jestem dosadny, może nawet przesadnie dosadny jestem.

16 lutego, niedziela

Wychodzę na Wiejską. Na Wiejskiej pusto. W wierszu *Dwaj poeci* Ryszard Kapuściński opisuje spotkanych na Wiejskiej Iwaszkiewicza i Ważyka: „pan Jarosław podpiera się laską / pan Adam wpół zgięty". Gdyby to nie była niedziela, być może spotkałbym Tadeusza Konwickiego idącego do Czytelnika na obiad albo Józefa Hena maszerującego po zakupy do sklepu na rogu Wiejskiej i Konopnickiej. Ale jest niedziela. Spotykam za to wracającego ze spaceru Karola z psem. Chwilę gadamy o polityce i sporcie, o olimpiadzie. Jak dwa lata temu była olimpiada w Londynie, Karol powiedział mi, że ogląda wszystkie transmisje, co poddałem w wątpliwość pytaniem: ale chyba nie łucznictwo i zapasy. Na co Karol odparował: łucznictwo i zapasy też. Teraz pytam: czy ogląda bobsleje. Odpowiada, że tak i pyta, czy widziałem hokej na lodzie kobiet. Widziałem, przez chwilę patrzyłem, trochę się nawet zdziwiłem, że kobiety grają w hokeja, ale skoro grają w piłkę nożną, boksują i skaczą na nartach, to nie ma się czemu dziwić. Opowiadam Karolowi, że jak patrzyłem na ten hokej przez chwilę, jedna z hokeistek zdążyła zarobić karę dwóch minut, zjechała do boksu, zdjęła kask i rękawice, no i wtedy zdziwiłem się niemożebnie, bo miała pełny makijaż i manicure, pomalowane paznokcie miała. Chyba jestem męską szowinistyczną świnią. Obawiam się, że nawet systematyczna lektura „Wysokich Obcasów" mnie przed tą opinią nie ocali. Wiersz Kapuścińskiego kończy się słowami „ptaki śpiewają / w sąsiednim parku". Przechodzę przez ten park. Ptaki jak śpiewały, tak śpiewają.

17 lutego, poniedziałek

W programie Tomasza Lisa dwa tematy: Kukliński i Trynkiewicz. Nie powiem, bardziej zainteresowała mnie debata, czy pułkownik Kukliński to zdrajca czy patriota? Według generała Dukaczewskiego – zdrajca, według posła PO Zalewskiego – bohater. Jabłońskiemu, reżyserowi filmu dokumentalnego o Kuklińskim bliżej Zalewskiego, Czarzastemu, szefowi SLD, bliżej Dukaczewskiego. Myślę sobie, że póki nie zdefiniuje się pojęcia zdrady, póty problem ów pozostanie nierozstrzygnięty, ale też zaraz łapię się na następnej myśli, że nawet jeśli, to problem ów pozostanie problemem nierozstrzygalnym – jak powstanie warszawskie, stan wojenny czy katastrofa smoleńska. Jak zwykle najlepszy był Lis, ale to w końcu jego program, więc nie tylko ma prawo, ale i obowiązek być najlepszy. Dyskusję zamknął stwierdzeniem: „Należę do tych osób, które z Kuklińskim rozmawiały. I powiem, że dobrze mu z oczu patrzyło". Jak spojrzę w lustro, to nie mogę się nadziwić, że mnie też tak dobrze z oczu patrzy.

Powoli kończę czytać powieść Pawła Huelle *Śpiewaj ogrody*. Powieść czyta się świetnie. Tak się właśnie mówi: tę powieść – czy tamtą – czyta się świetnie. Jakby miało to znaczyć cokolwiek dobrego, jakby bezproblemowa lektura miała być wyznacznikiem jakości czytanego tekstu. A może dobrą powieść powinno czytać się nieświetnie, czyli mozolnie, biedzić się nad każdą stroną, z trudem rozsupływać poszczególne zdania? A jednak powieść Huelle czyta się świetnie, obstaję przy tym

stwierdzeniu, mimo że w gruncie rzeczy czytam ją wolno, chociaż „czyta się świetnie", wydaje się być równoznaczne z „czyta się szybko". Mimo tego, że czyta mi się świetnie, czytam wolno, nie spieszę się. Zostało mi do końca pięćdziesiąt stron. Nie powiem, trochę żałuję, że już tylko pięćdziesiąt stron. Powieść jest gęsta od przeplatających się wątków. Mam takie poczucie, że aby wychwycić jej oryginalność, będę musiał przeczytać ją raz jeszcze. Ale nie natychmiast, najlepiej po miesiącu, po dwu miesiącach. Ostatnio, w ubiegłym roku, przydarzyło mi się to bodaj dwa razy: najpierw przy powieści Jerzego Pilcha *Wiele demonów*, potem przy powieści Wiesława Myśliwskiego *Ostatnie rozdanie*, z tym że Myśliwskiego przeczytałem już dwa razy, Pilcha nie, jeszcze nie. Inaczej czytało mi się powieść Mariana Pilota *Osobnik*, to znaczy właśnie „nieświetnie". O ile czytając *Wiele demonów* i *Ostatnie rozdanie* wydawało mi się, że jadę na luzie, o tyle czytając *Osobnika* musiałem nieustannie dodawać gazu, żeby posuwać się do przodu, co trzecie zdanie musiałem odczytywać ponownie. Kiedy dojechałem do ostatniej strony, poczułem ulgę, że to koniec, że dojechałem do końca. Czy to znaczy, że powieść Pilota gorsza jest od powieści Myśliwskiego, Pilcha i Huelle? Oczywiście, że nie. Powinienem w tym miejscu dodać: wręcz przeciwnie, ale nie dodam. Książka Pilota nie jest chyba lepsza od książek Myśliwskiego czy Pilcha, ani nie jest gorsza (jak powiedział niedawno w „Twórczości", przy zupełnie innej okazji Leszek Bugajski: ani tego nie zmierzysz, ani tego nie zważysz) jest z tej samej, czyli najwyższej półki i te trzy książki należą moim zdaniem do najlepszych powieści ubiegłego roku. Co do Huelle to mam z nim problem. Entuzjastą jego pierwszych rzeczy nie byłem. Nie umiałem wzbudzić w sobie zachwytu ani nad *Weiserem Dawidkiem*, ani nad *Opowiadaniami na czas przeprowadzki*, czego dałem w swoim czasie wyraz na piśmie. Na jego prozę nawróciłem się przy okazji książki *Mercedes Benz. Z listów do Hrabala* i to wcale nie za sprawą Hrabala, którego kocham jak nikogo innego, potem miałem radość przy *Castorpie* i *Opowieściach chłodnego morza*. Dla odmiany *Ostatnią wieczerzę* czytało mi się mniej więcej tak, jak *Osobnika* Pilota czy jego wcześniejszy *Pióropusz*, a więc ciężko, z trudem i z oporami, a jednak czytało się.

Myśliwski, Pilot, Pilch, Huelle – czy to jest czołówka polskiej prozy? Kogo brakuje? Konwickiego? Cóż, gdy wydawaliśmy w Czytelniku jego rozproszone utwory *Wiatr i pył*, zebrane przez niezrównanego entuzjastę jego twórczości Przemka Kanieckiego, pan Tadeusz powiedział mi, że to koniec z literaturą i koniec z filmem, niczego nie będzie już reżyserował i niczego pisał, zamierza tylko żyć. Może Hena? Ilekroć spotykam pana Józefa przy Wiejskiej, w drodze do sklepu lub ze sklepu, tylekroć poddaję się urokowi jego entuzjazmu. W ubiegłym roku skończył 90 lat, a gdy się z nim rozmawia, o planach pisarskich i wydawniczych mówi z entuzjazmem faceta, który zbiera pochwały za pierwszą powieść, czeka na wydanie drugiej, pracuje właśnie nad trzecią i ma już ma pomysł na czwartą. Kto jeszcze? Redliński? Co się z nim dzieje? Wyprowadził się z Warszawy. Dawno nie wydał niczego mocnego jak – już nie tyle *Konopielka*, co – *Szczuropolacy*. Chwin? Bitner? Chwin cały czas pisze i wydaje, myślę, że to pisarz spełniony i doceniony. To

samo chciałbym powiedzieć o Bitnerze, ale nie mogę, bo Bitner to chyba najbardziej niedoceniony pisarz, nawet jeśli spełniony sam przed sobą, w swoich oczach. Ale kto to wie, kto zdaje sobie z tego sprawę? Czy zdają sobie z tego sprawę recenzenci rozdający łaski w „Gazecie Wyborczej", w „Polityce" i „Tygodniku Powszechnym", redaktorzy TVP Kultura i Xięgarni w TVN 24? Nie, nie zdają. Podejrzewam, że nie przeczytali żadnej książki Darka Bitnera. Ciekawe czy jakąkolwiek książkę Andrzeja Turczyńskiego przeczytali? Pewnie nawet nazwiska nie słyszeli.

18 lutego, wtorek

Od rana niebo jak w Portugalii. Bezchmurne i niebieskie, nie błękitne, ale niebieskie właśnie. Słońce pracuje z pieśnią na ustach. Wiosna? Jaka wiosna? Przecież to jeszcze luty. Jeszcze mróz może dokopać, jeszcze śniegu może nawalić. Przecież jeszcze zima. Zima, ale jakby już nie zima. Wiosna, ale jakby jeszcze nie wiosna. Przedwiośniem tego też nazwać się nie da. Wychodzę z domu w zimowej kurtce, ale nie w zimowych butach. Wyciągnąłem z szafy te, w których paradowałem jesienią i w których chciałem paradować wiosną. Szalik zawiązany pod szyją, ale rękawiczki w kieszeni. Ciepło. Rozpinam kurtkę. Niby ciepło, ale wystarczy, że lekko zawieje i ze strachu, że mnie przewieje, zapinam kurtkę. Gdzieś usłyszałem żart, że w ponowoczesnym świecie, w którym podobno żyjemy, Pan Bóg nie ma już wpływu na nic, nic od niego nie zależy, oprócz jednej rzeczy, oprócz pogody mianowicie. Mijam palmę na rondzie de Gaulle'a, której właściwie nie widzę, ale ona tam jest, wiem na pewno, że jest i zastanawiam się, czy Pan Bóg rzeczywiście panuje nad pogodą? Bo zdaje się, że jednak niestety nie. A może po to robi taki bałagan w pogodzie, w klimacie, żeby dać nam nieco dwuznacznie do zrozumienia, że jest, że nad wszystkim panuje, nie tylko nad pogodą?

W Kijowie milicja atakuje demonstrantów na Majdanie. Są zabici i ranni. Włączam telewizor wczesnym wieczorem i tkwię przed ekranem do późnej nocy. Przerzucam się z kanału na kanał: TVP Info, Polsat News, Superstacja, TVN 24, Republika, potem Euronews, BBC, CNN, Deutsche Welle, France 24, a nawet Russia Today. Wszędzie ten sam obraz: płonące w ciemnościach barykady. Liczba zabitych rośnie z godziny na godzinę. Wsłuchuję się w to, co mówią sprawozdawcy i komentatorzy i, prawdę powiedziawszy, niewiele więcej wiem, niż wiedziałem wczoraj czy przedwczoraj, o co toczy się walka na Ukrainie. Bo że o władzę, to jasne. Nie jest to jednak walka między siłami Dobra i Zła, to również jasne. Prezes Kaczyński odezwał się, że oczekuje od prezydenta Komorowskiego i premiera Tuska zdecydowanych działań, że nie możemy siedzieć z założonymi rękami, gdy na Ukrainie władza strzela do obywateli, leje się krew. Jestem za tym, żeby Polska wysłała prezesa Kaczyńskiego do Kijowa z misją pokojową.

19 lutego, środa

Od rana niebo jak w Polsce, zachmurzone, szare, bure. W wyobraźni przenoszę się nad Tag i czekam, aż zacznę odczuwać *saudade*, „słynną portugalską sau-

dade", jak miała podobno w zwyczaju mówić na wykładach profesor Janina Klave (powtarzam to na odpowiedzialność Wojtka Klewca, jej ucznia, a mojego kumpla z „Rzeczpospolitej"), pierwsza tłumaczka *Księgi niepokoju* Pessoi. *Saudade*, niestety nie przychodzi. Jestem nad Wisłą, nie nad Tagiem, a *saudade* można odczuwać tylko nad Tagiem i nad Atlantykiem. *Saudade* to samotność, to smutek, to nostalgia w jednym i jeszcze tęsknota za nieznanym. Podstawowy, fundamentalny pierwiastek duszy portugalskiej. Określenie *saudade* pojawiło się w literaturze portugalskiej na przełomie XVI i XVII wieku za sprawą Bernardima Ribeiro. Napisał opowiadanie o pewnym szlachcicu, który spacerując brzegiem oceanu znalazł opuszczoną łódź. Wsiadł do niej i wypłynął przed siebie, zostawiając za sobą całe swoje życie, rodzinę, majątek etc. Zrobił to, bo odczuł *saudade*. Portugalczyk odczuwając *saudade* wcale nie topi tego uczucia w alkoholu, nie ratuje duszy w pijaństwie. Nic z tych rzeczy. Widziałem kilka razy: w Cascais w okolicy Boca do Inferno, w Sao Pedro de Moel koło latarni morskiej, w Matosinhos nieopodal Castelo do Queijo. Nad samym brzegiem zatrzymuje się samochód, wysiada z niego kierowca, staje twarzą do morza, pali papierosa albo nie pali, stoi bez ruchu, patrzy przed siebie, po pięciu-siedmiu minutach wsiada do auta i wraca do swojego życia. Portugalczycy to naród żeglarzy. Portugalczykami byli: Vasco do Gama, Ferdynand Magellan, Bartholomeu Dias, Gil Eanes, Afonso de Albuquerque. Tym, który popchnął Portugalczyków w morze, był Henryk Żeglarz, infant, trzeci syn króla Jana I Dobrego. Podobno sam nigdy nie pływał, chociaż zaprojektował pierwszą karawelę, podobno. Jak się odczuwa *saudade*, wypływa się podróż, śpiewa się fado, żyje się.

Z Kijowa napływają coraz gorsze wiadomości. Dalej leje się krew, coraz więcej krwi, giną ludzie z jednej i drugiej strony barykady. Z doniesień wynika wprost, że nad tym, co się dzieje w Kijowie, ale przecież nie tylko w Kijowie, nikt nie panuje, ani władza, ani opozycja. To już nie rewolucja, ale anarchia. W każdej korespondencji z Ukrainy pojawia się słowo „berkut". Tak nazywają się jednostki specjalne ukraińskiej milicji. Berkut czyli birkut, a zatem orzeł bielik, największy ptak drapieżny w Europie Środkowowschodniej, a w Polsce pod ochroną. Funkcjonariusze Berkutu mają go wyszytego na rękawach munduru. Birkut to także nazwa strzały z orlimi piórkami, a także jeden z herbów szlachty polskiej. Mateusz Birkut tak nazywał się bohater *Człowieka z marmuru* Andrzeja Wajdy.

20 lutego, czwartek

120 lat temu urodził się Jarosław Iwaszkiewicz. Na Ukrainie, we wsi Kalnik. I pomyśleć, że znalazł czas, aby odpowiedzieć na trzy moje listy, licealisty i studenta. I pomyśleć, że w 1979 roku byłem w Collegium Novum na uroczystości nadania mu doktoratu honoris causa UJ. I pomyśleć, że dwadzieścia lat temu pisałem o nim w „Rzeczpospolitej" z okazji 100 rocznicy jego urodzin. I pomyśleć, że byłem wydawcą jego trzytomowego *Dziennika*. I pomyśleć, że w swoim opracowaniu wydałem trzy wybory jego wierszy, opowiadań i szkiców (tytuły: *Urania i inne wiersze*, *Brzezina i inne opowiadania*, *Wenecja i inne szkice* sam wymyśliłem i bar-

dzo jestem z nich dumny). Tak zwanych ulubionych wierszy Iwaszkiewicza mam mnóstwo, ale jeden lubię szczególnie: numer XXXIII z *Księgi dnia i księgi nocy*": „Nie dla nas winnic modry stok / I winnic wdzięk, i winnic sok, / A dla nas pylny owsa łan / I karczmarz Żyd, i wódki dzban" i tak dalej, aż do: „Nie dla nas błękit, fiolet wzgórz, / Cyprysów lęk i kopuł róż, / A dla nas puszcze, dal i step, / I czarny rok, i czarny chleb". Dobranoc.

21 lutego, piątek

Po powrocie do domu, około czwartej po południu, włączyłem telewizor, żeby dowiedzieć się co dzieje się w Kijowie, na Ukrainie i tak przed telewizorem zostałem do późnej nocy. Z jednej strony transmisja z Kijowa, a z drugiej transmisja z Soczi. Jakkolwiek to zabrzmi, a zabrzmi okropnie: igrzyska tu i tam. Te z Soczi oglądam cały czas właściwie jednym okiem i po łebkach. Czterdzieści lat temu obejrzałbym pewnie wszystkie mecze w hokeja, a tym razem nie obejrzałem w całości żadnego. Namnożyło się dziwnych konkurencji, na pół akrobatycznych, na pół cyrkowych. Zwłaszcza w narciarstwie. Te jazdy po muldach, slalom równoległy, snowboard, halfpipe, freestyle i slopestyle, ledwo potrafię to wymówić, samo w sobie coś absurdalnego. Czy to w ogóle jeszcze sport? Podejrzewam, że za wprowadzeniem tych konkurencji na olimpiadę stoją nie tylko koncerny sportowe, produkujące narty, deski, buty, wiązania, ale również, chyba jeszcze bardziej odzieżowe. Na stokach rewia mody. Swoją drogą dziwne, że dyscypliną olimpijską ciągle nie stały się wyścigi bojerów, widać są za mało widowiskowe, za mało medialne i w efekcie za mało komercyjne. No i jeszcze skeleton. To dla tych, którzy nie mają równo pod sufitem. Z Soczi przeskakuję do Kijowa, wygląda na to, że władza podpisze umowę z opozycją w sprawie wcześniejszych wyborów, strzały cichną, ale do pokoju na Ukrainie droga daleka, nie mówiąc już o zwyczajnym codziennym spokoju. Z Soczi nadchodzi informacja, że ukraińskie biathlonistki zdobyły w sztafecie złoty medal. Z Kijowa znika prezydent. Gdzie jest, dokąd poleciał? Może do Soczi, żeby ogrzać się przy świetle złotego medalu, może uciekał do Putina Moskwy, a może wycofał się do Charkowa lub do Doniecka, wrócił do rodzinnych okopów? Późnym wieczorem Re zastanawia się czy może dojść do rozpadu Ukrainy jako państwa. Strach o tym myśleć, bo rozpad państwa to początek wojny domowej. Dotychczas zamieszki na Ukrainie pociągnęły za sobą około stu ofiar śmiertelnych.

22 lutego, sobota

Na wystawie Księgarni na Wiejskiej, taka jest oficjalna nazwa księgarni, z którą sąsiadujemy przez ścianę (chyba jeszcze bardziej podobałaby mi się nazwa Księgarnia Wiejska) obok siebie trzy książki za pierwszą szybą od lewej, gdzie zwykle wystawiane są książki dla wybrańców: praca zbiorowa *Tętno pod tynkiem. Warszawa Mirona Białoszewskiego*, Anny Śliwy *Sfera wizualna w poezji i prozie Mirona Białoszewskiego* i Piotra Sobolczyka *Dyskursywizowanie Białoszewskiego. Teoria recepcji i recepcja krytycznoliteracka*. Powinienem kupić wszystkie trzy

i natychmiast wszystkie trzy – jedna po drugiej – przeczytać. Nie, nie kupię, nie przeczytam. Wchodzę do księgarni i biorę każde z tych dzieł do ręki, kartkuję, wertuję. Tym samym spełnia się proroctwo profesora Henryka Markiewicza z wykładu monograficznego z zakresu metodologii badań literackich w roku akademickim 1981/1982: w przyszłości przeczytanie książki zastąpi sam akt wzięcia jej do ręki. Białoszewski, Białoszewski. Nigdy to nie był mój poeta, jak byli nimi już w liceum: najpierw Różewicz, potem Grochowiak, Harasymowicz i Szymborska, a zaraz na studiach Herbert i Miłosz, ale zawsze miałem dla niego życzliwą uwagę. Analizowany w tamtych latach na lekcji wiersz *Namuzowywanie* powtarzam sobie raz na jakiś czas:: „Muzo / Natchniuzo // tak / ci / końcówkuję / z niepisaniowości // natreść / mi / ości / i / uzo". Potem był *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, jak dla mnie niedościgły wzór sztuki literackiej narracji. Prawdy, tej strasznej i niepojętej prawdy o powstaniu warszawskim jest w nim więcej niż w większości książek historycznych. Później *Zawał* z przejazdem autobusem z Warszawy do Inowrocławia przez Kruszwicę: „Pola... i na zakręcie, daleko, nad skupiskiem czegoś, wieża, olśniło mnie, jak z tym Łukiem Triumfalnym w Paryżu z daleka i w skrócie bocznym / – Mysia Wieża w Kruszwicy". Bardzo wtedy polubiłem Białoszewskiego, jako poetę, który miał pojęcia o moim mieście, a nawet był w nim. Ale z tym lubieniem jego twórczości to jednak różnie jest, raz tak, raz nie. Nie jest to pisarz, którego mógłbym i chciałbym czytać na okrągło, ale jak już go zażywam to w mocnych dawkach. Można go nie lubić, ale nie można nie doceniać. *Tajny dziennik* czytałem bez większego przymusu, w dobrym tempie, systematycznie, dzień w dzień, a to przecież kawał cegły. Powiedzieć, że czytałem *Tajny dziennik* jak powieść sensacyjną, to głupstwo powiedzieć, ale czytałem z ochotą, z niesłabnącą ochotą raz i drugi podkreślając ołówkiem co smakowitsze zdania, a było ich bez liku. Nie bez zdziwienia słuchałem różnych tam takich mędrków telewizyjno-radiowych, a i gazetowo-tygodnikowych, którzy nosem kręcili, że nudy na pudy i nic „tajnego". Bo ja, czytając *Tajny dziennik* nie nudziłem się nic a nic. Tak samo, jak nie nudziłem się czytając dla przykładu dziennik Dostojewskiego czy Iwaszkiewicza. Co to zresztą za kategoria aksjologiczna: nuda podczas lektury? Żadna, a jednak mówi taka jedna idiotka do takiego drugiego kretyna, bez wstydu, bez żenady, przekonana, że to, co mówi ma wielką wagę: to nie może być dobra książka, bo ja się przy niej strasznie nudziłam. Gdzie jest wtedy milicja, pytam się, co robi w tym czasie milicja?

W Soczi nasze łyżwiarki i łyżwiarze szybcy zdobywają srebrny i brązowy medal w jeździe drużynowej. Licząc do tego zdobyty wcześniej złoty medal, wychodzi, że w łyżwiarstwie szybkim jesteśmy drugą po Holandii potęgą na świecie, przed Ameryką, Niemcami, Norwegią i Rosją. Kraj, w którym nie ma ani jednego krytego toru wyścigowego. Jest sprawiedliwość na tym świecie? Nie ma. Ale nie powiem, żebym nie odczuwał mściwej satysfakcji wysłuchując plotącego androny holenderskiego łyżwiarza, który przegrał z naszym o 0,003 sekundy czy łyżwiarzy z Kanady, którzy przegrali z naszymi wyścig o brązowy medal. Dotychczas byłem przekonany, że wyłączność na wygadywanie takich ambajów mają tylko nasi.

Cytat dnia: „Polacy jadą wolniej, ale szybciej!" (komentator TVP podczas biegu naszych łyżwiarzy o brązowy medal).

Rada Najwyższa Ukrainy odwołała Janukowycza z funkcji prezydenta. Ten jest w Charkowie. W wywiadzie telewizyjnym opowiada dyrdymały o faszyzmie i nazizmie. Zwolnioną w trybie nadzwyczajnym z kolonii karnej w Charkowie, przywieziono na Majdan do Kijowa Julię Tymoszenko. Nie chodzi, wożą ją na wózku inwalidzkim, makijażu nie ma, ale ma swój słynny warkoczyk zawinięty wokół głowy. Jak na osobę, która kilka lat przesiedziała w więzieniu – i to jeśli się nie mylę nie za politykę, czyli za niewinność, ale za konkretny przekręt korupcyjny – Tymoszenko w swoim wystąpieniu jest chyba zbyt emocjonalna i odnoszę paskudne wrażenie, że wyskakuje przed orkiestrę. Obiecuje, że sprowadzi na Majdan Janukowycza i bandę. Kipi żądzą zemsty. Aż rwie się do władzy, weźmie natychmiast, co jej dadzą. Na przykład funkcję premiera, którym zresztą po Pomarańczowej Rewolucji już była. Zapowiada, że wystartuje w maju w przyspieszonych wyborach prezydenckich. Niewykluczone, że wygra te wybory, bo niby kto miałby je wygrać? Mistrz ringu Kliczko? Wolne żarty. Tymoszenko jest bogata, ładna i umie mówić. A na dodatek wychodzi z więzienia w glorii męczennicy, co zawdzięcza oczywiście Janukowyczowi. Będzie prezydentem w maju? Będzie. A swoją drogą, co robi w tej chwili były prezydent Ukrainy, drugi filar Pomarańczowej Rewolucji Juszczenko? Po zadaniu tego jadowitego pytania, milknę, dość tego mieszania się w wewnętrzne sprawy Ukrainy.

23 lutego, niedziela

Kończy się olimpiada w Soczi. Oglądam finał hokeja Kanada-Szwecja i prasuję koszule. W efekcie nie oglądam, ale słucham. Banał dziennikarski leje się, jak się lał przez dwa tygodnie. Za dużo słów, po prostu. Im więcej słów, tym więcej pustosłowia. Na wieczną rzeczy pamiątkę, zapisuję ripostę Kamila Stocha, który zapytany przez wysłannika TVP przed pierwszym konkursem na średniej skoczni, czy najbardziej boi się skoczków austriackich i niemieckich, odpowiedział rezolutnie na to głębokie pytanie pytaniem: A dobrzy są? Przed oskarżeniem o arogancję, uratowały go tylko złote medale, ale co by było, gdyby tych medali nie zdobył. Także na wieczną rzeczy pamiątkę zapisuję tu wypowiedź ojca, nie pamiętam jednak czyjego ojca, który na wieść, że jego dziecko, córka czy syn, zdobyło medal olimpijski, stwierdził krótko: W stanie omdlewającym jestem. Po siódmej koszuli przerzucam się z hokeja na piłkę nożną Liverpool – Swansea, po koszuli trzynastej przerzucam się na derby Krakowa, to już 187 derby Krakowa. Wisła wygrywa z Cracovią. Jednym radość, drugim smutek. Przy okazji dowiaduję się, że rozlosowano grupy eliminacyjne do mistrzostw Europy 2016. Polska wylosowała grupę z Niemcami, Irlandią, Szkocją, Gruzją i Gibraltarem. Prezes PZPN twierdzi, że losowanie nie było złe, mogło być lepiej, ale i gorzej. Któryś z uczonych w futbolu twierdzi: w Europie nie ma już słabych drużyn. Kosztuję smak tej złotej myśli, spoglądając w stronę Gibraltaru i dochodzę, że jest z nami gorzej niż źle.

W Kijowie nastrój oczekiwania. Coś ma się stać, ale co, nie wiadomo. Po twarzach Ukraińców można się domyślać jak wielkie nadzieje wiążą oni z rewolucją, która się dokonuje za ich sprawą. Wszystko to – mechanizm rewolucji, jej logikę – opisał Ryszard Kapuściński w kilku swoich książkach, ale w *Szachinszachu* przede wszystkim. Cóż z tego, Ukraińcy i tak popełnią wszystkie błędy, jakie tylko można w czasie rewolucji popełnić. O tym decyduje nie brak wiedzy rewolucjonistów, bo zakładam, że swoje to oni wiedzą, ale fatalizm rewolucji jako takiej.

24 lutego, poniedziałek

Cały czas mam przed oczami twarz Osipa Mandelsztama. Na ceremonii zamknięcia igrzysk w Soczi Rosjanie postanowili pochwalić się swoją muzyką, baletem, cyrkiem i literaturą, była więc muzyka Czajkowskiego, Prokofiewa, Rachmaninowa, Szostakowicza oraz wielkie portrety najwybitniejszych rosyjskich pisarzy, poczynając od Puszkina i Lermontowa, przez Tołstoja, Turgieniewa i Dostojewskiego, kończąc na Sołżenicynie. W pewnym momencie pojawiła się fotografia Mandelsztama. Zdjęcie z roku 1914, a więc sprzed rewolucji, sprzed pierwszego aresztowania. Znam je od lat, bo wydrukowane było w zbiorze esejów *Słowo i kultura*, które w przekładach Ryszarda Przybylskiego ukazało się w roku 1972. Egzemplarz dostałem od Włodka Szturca, kolegi z roku, z którym przez rok mieszkałem w akademiku „Piast" przy ulicy Piastowskiej. Włodek wykupił ten egzemplarz z biblioteki w Wiśle, skąd pochodzi. Przez kilka lat był jedynym, który tę książkę tam wypożyczył, więc korzystając ze swoich wiślańskich znajomości, wykupił Mandelsztama, że tak powiem. Byłem wtedy ciężko zafascynowany Mandelsztamem, a to za sprawą jednych jedynych zajęć, jakie przeprowadził z nami mgr Marian Zaczyński (kolegował się z czterema innymi magistrami: Jerzym Pilchem, Andrzejem Nowakowskim i Marianem Stalą; cóż, były takie czasy, gdy Marian Stala nie był profesorem), bodajże z zakresu poetyki i wersyfikacji. Dał nam do analizy wiersz *Leningrad*, nie powiedział czy, nie powiedział nawet, że to przekład. Kiedy zdradził nazwisko poety, nikt go nie znał. Mnie skojarzyło się z nazwiskiem Andrzeja Mandaliana, ale, chwała Bogu, nie odezwałem się. Potem podał nazwisko tłumacza, czyli Stanisława Barańczaka, a to było coś, dopiero coś. Miałem już na swoim koncie przepisane do zeszytu jego wiersze z *Dziennika porannego* oraz z tomików emigracyjnych i podziemnych *Sztuczne oddychanie* i *Ja wiem, że to niesłuszne* (potem wiersze te z zeszytu przepisywałem w Kruszwicy na maszynie, mam zresztą te maszynopisy do dzisiaj w teczkach na pawlaczu). Zaczyński zacytował nam potem przekład tego wiersza zrobiony przez Seweryna Pollaka. Zgodnie orzekliśmy, że przekład Barańczaka lepszy. Wyboru wierszy Mandelsztama z żółtej Biblioteki Poetów PIW-u dostać nigdzie nie było można. Ale miałem szczęście, bo Zbyszek Pasek dorwał tę książkę w którymś z legendarnych antykwariatów krakowskich, przy Szpitalnej, Sławkowskiej lub Brackiej i kupił z myślą o mnie. Potem Włodek załatwił mi tom esejów. Wtedy też wiersze Mandelsztama czytałem niemal codziennie, w efekcie mimochodem wielu z nich nauczyłem się na pamięć. Nie pa-

miętam, kto pożyczył mi przywiezioną z Paryża książkę Przybylskiego *Wdzięczny gość Boga*, przeczytałem ją, ale notatek żadnych nie zrobiłem, a jeśli zrobiłem, to z czasem wyrzuciłem, przy okazji jednej z przeprowadzek. Zbyszek Machej dostał podziemnie wydane *Późne wiersze* w tłumaczeniu Barańczaka, czyli te najbardziej niecenzuralne, których do oficjalnego wydania wyboru cenzura nie dopuściła, pożyczył mi na kilka dni, przepisałem je do zeszytu chyba w całości, ten zeszyt dla odmiany mam do dzisiaj, świadectwo mojego młodocianego zaangażowania w poezję. Chyba w Jagiellonce udało mi się dobrać do *Sobranije soczinienij w tomach trioch* (to było wydanie amerykańskie) i tam w jednym tomie znalazło się zdjęcie z 1914, a w innym fotografia zrobiona już po aresztowaniu i zwolnieniu z zesłania do Czerdynia i Woroneża w roku 1934, a przed ostatnim aresztowaniem i wywózką do łagru. Na tym zdjęciu Mandelsztam ma zaledwie 43 lata, a wygląda jakby miał 70-80 lat. W maju 1938 r. został ponownie aresztowany i wywieziony na Syberię. Zmarł kilka miesięcy potem w łagrze Wtoraja Rieczka w okolicach Władywostoku. We wstępie do wyboru wierszy Przybylski napisał: że nie ma grobu, jak Mozart i że grobem jest każdy jego wiersz. Rosja – Rosja radziecka, Związek Radziecki, jak kto woli – zamordowała swojego poetę, a teraz podczas olimpiady w Soczi chwali się nim przed całym światem.

25 lutego, wtorek

Jak pierwszy raz pojechałem z Tadeuszem Różewiczem w odwiedziny do prof. Przybylskiego, to nie mogłem go o Mandelsztama nie zapytać. Przy okazji kolejnych odwiedzin, trzecich albo czwartych, profesor opowiedział nam, Różewiczowi i mnie, że pracuje nad książką o Mandelsztamie w roku 1917, w której analizuje siedem wierszy poety napisanych w tym jednym roku. Książką wyszła dwa lata temu pod tytułem *Odwieczna Rosja*. Wynika z niej, że Mandelsztam, ale także inni akmeiści, zielonego pojęcia nie mieli co za siła się właśnie ruszyła, co się dzieje, co się za chwilę stanie, co ich czeka.

Mandelsztam, Mandelsztam. Wiersze Mandelsztama i wiersze o Mandelsztamie. Najpierw dotarłem do wierszy Artura Międzyrzeckiego: *Powolny krok centurii przygłuszał skowronki* oraz **** A na północ północnagi półbosy*, potem przeczytałem wiersz Adama Zagajewskiego *W encyklopedii znowu zabrakło miejsca dla Osipa Mandelsztama*, na koniec do wierszy Jarosława Marka Rymkiewicza, od którego jednak powinienem zacząć, bo to właśnie jego przekłady – obok tych Barańczaka – podobały mi się najbardziej. Najpierw *Osip*, zaczynający się od retorycznego pytania: „A Osip gdzie A Osip w fotelu skulony/ Ćwierka i piszczy może wiersz układa", potem *Ulicę Mandelsztama* z linijką: „A gdzie jest ta ulica Nie ma tej ulicy", a na koniec: *Osip Mandelsztam wchodzi do ogrodu*. Pomyśleć, że ten ostatni wiersz JMR dał mi do druku, z innymi wierszami, w „Plusie Minusie". Takie były czasy, gdy w „Rzeczpospolitej" drukowaliśmy poezje. Kupowałem chyba wszystkie wydania wierszy Mandelsztama, jakie tylko się pokazywały. Potężny tom w przekładach Adama Pomorskiego jako ostatni.

Na festiwalu poezji w Nowym Sadzie, zgadało się na temat Mandelsztama z dwoma pisarzami z Sankt Petersburga – Andriejem Rodoskim i Anatolijem Kozłowem. Zacząłem recytować *Lenigrad* (ciekawe, wiersz nosi tytuł *Leningrad*, ale w wierszu mowa nie o Leningradzie, ale o Petersburgu, a jednak nie za to aresztowano Mandelsztama), oczywiście w Barańczaka przekładzie: „I znów w mieście, co do krwi znajome mi jest / Do dziecięcych obrzmiałych gruczołów, do łez". Andriej błyskawicznie zorientował się, co recytuję, włączył się po rosyjsku rzecz jasna, po chwili dołączył do nas z uśmiechem Anatolij. Szliśmy akurat ulicą Jewrejską, Żydowską, przechodziliśmy koło synagogi w stronę Placu Nowożeńców, gdzie odbywały się festiwalowe wieczory. To się nazywa komunia dusz, co? „Petersburgu, ja nie chcę umierać, nie czas, / Przecież jeszcze mój numer telefonu znasz".

26 lutego, środa

Pojechaliśmy wczoraj z Re do Legionowa obejrzeć nowe mieszkanie Misia. Misiowie mają trójkę dzieci, dzieci rosną, potrzebują coraz więcej przestrzeni, w mieszkaniu w Wieliszewie powoli przestają się mieścić. Wzięli kredyt, który będą spłacać przez trzydzieści lat i kupili mieszkanie, w Legionowie przy ulicy Broniewskiego. Mieszkanie w tej chwili – w kilka dni po wyprowadzce poprzednich właścicieli – robi wrażenie wybitnie przygnębiające. Za chwilę wkroczy tu trzyosobowa brygada remontowa, jej szef oszacował, że czeka ich dwa miesiące ciężkiej roboty. Mieszkanie jest w bloku, na parterze, ale to wysoki parter, więc przechodnie nie zaglądają przez okno do mieszkania, obok kilka innych bloków, ale blokowisko to nie jest, panuje w tej części miasta całkiem kameralna atmosfera. Wygląda na to, że jest to bezpieczna okolica. Dzieci Misia i Ani: Kacper, Małgosia i Kasia będą miały blisko do szkoły, która stoi tuż obok. Można powiedzieć, że będą pod okiem rodziców. To się tylko tak mówi, bo dzieci rosną, przestają być tylko dziećmi i bardzo chcą uciec spod tego oka. Wracamy do Warszawy już po zmroku. W śródmieściu Legionowa jasno od lamp i latarń jak w śródmieściu Warszawy. Droga do Warszawy też oświetlona jak się patrzy, ale gdzieś między Jabłonną a Tarchominem nagle mrożący krew w żyłach łuk ciemności.

Dzisiaj z rana dzwoni Piotrek Dobrołęcki. Do końca tygodnia zamykają redakcję „Wyspy" przy Mokotowskiej. Ze względu na wysoki czynsz. Przenoszą redakcję do swojego mieszkania przy Szczyglej. Piotrek pyta czy wpadnę do redakcji. Odpowiadam, że nie dzisiaj, bo siedzę i piszę. Piotrek na to, że ma nadzieję, że piszę coś dla „Wyspy". Faktycznie, piszę coś dla „Wyspy". Dobrołęcki należy do grona tych znakomitych redaktorów, którzy potrafią mnie docenić i zachęcić do pisania, a ja chyba nieco mimozowaty jestem i lubię jak się mnie chwali i zachęca. Stara metoda pedagogiczna, że dziecko trzeba opierdolić zdrowo, to wtedy zacznie się uczyć i grzecznie zachowywać, nigdy na mnie nie skutkowała. Mnie zawsze trzeba było pochwalić, pogłaskać, zaraz lepiej grałem. Kto wiedział to, czego inni nie wiedzieli? Najpierw Janusz Lenczowski i Tadek Skoczek ze „Studenta". Nie było tygodnia, żeby do mnie nie zadzwonili i nie zamówili jakiegoś tekstu, bywało, że

tekstu w ogóle, a bywało, że tekstu w szczególe, czyli na konkretny temat. Pamiętali, żeby zachęcić mnie do roboty, rzuconym od niechcenia: nikt tego tekstu nie napisze tak, jak ty. Potem Leszek Bugajski w „Życiu Literackim". Umiał się pochylić nad młodszym kolegą, który startował w fachu, umiał dobrać książki do recenzji albo zostawić wolną rękę, kiedy trzeba było. Wiedział, kiedy trzeba było. Muszę mu to oddać. Powiem mu o tym, gdy go tylko spotkam. Ale z niego kawał cholery, więc sam już nie wiem. Spotykam go wczoraj na placu Trzech Krzyży, godzina trzecia po południu. Pytam, czy dostał mój tekst, który wysłałem mu w niedzielę. Leszek robi zdziwioną minę i pyta, a jaki tekst? Jak to jaki – odpowiadam pytaniem na pytanie nieco zirytowany. A no tak – na to Leszek – ostatnio tyle piszesz, że się trochę pogubiłem, ale oczywiście tekst dostałem, ale to nie tekst, ale tekścisko! Zaraz mi irytacja przeszła. Kurczę, nikt tak nie doceni człowieka jak najlepszy przyjaciel. Kto jeszcze? Jurek Lisowski w „Twórczości", oczywiście Jurek Lisowski. Nic tak na mnie nie działało mobilizująco jak jego pochwały, a jeszcze bardziej, gdy ze stropioną miną mówił na tyle głośno, że wszyscy w redakcji słyszeli: coś szanowny pan dawno nam żadnego tekstu nie dał? Natychmiast czułem się doceniony i potrzebny. Dobre słowo umiał znaleźć dla mnie także redaktor Mieczysław Radomski, który do „Twórczości" przyszedł z Iwaszkiewiczem z „Nowin Literackich", a to był wymagający redaktor, kapryśny i humorzasty. Odwrotnie Henio Bereza, ten nawet nie zauważył, że w kilku kolejnych numerach „Twórczości" nie było żadnego mojego tekstu, a nawet jak zauważył, to nic nie powiedział, no więc nic mi po tym, że być może zauważył. Pani redaktor Elżbieta Sawicka w „Rzeczpospolitej" też umiała powiedzieć jak się patrzy, że co jak co, ale mój tekst o Różewiczu, Herbercie, Szymborskiej czy Pessoi lub Saramago albo Tabucchim lub Bernhardzie to jednak chciałaby mieć w najbliższym numerze „Plusa Minusa". Do tego grona moich ulubionych redaktorów z najwyższą przyjemnością przychodzi mi zaliczyć Tadeusza Komendanta, który wymyślił, abym pisał do „Twórczości" przez ten rok felieton o piłce nożnej, ale nie tylko o piłce nożnej, także o czym tylko zechcę, może być także o literaturze, ale jednak o piłce nożnej; i nawet tytuł tego cyklu wymyślił „Na Żylecie". Chciałem „Życie na Żylecie", ale stanęło na krótszej wersji. I teraz piszę „Na Żylecie", miesiąc w miesiąc. A obok mnie redaktor Komendant pisze „Zapiski Starucha", więc wszystko się zgadza. O nich wszystkich, tych, których wyżej wymieniłem, nie dam powiedzieć złego słowa. Nigdy, przenigdy.

27 lutego, Tłusty Czwartek

Nie ma to jak Polski Głupek. Polski Głupek pojechał do Kijowa. Na Majdanie porobił sobie mnóstwo zdjęć i potem wrzucił je na swoją stronę w Internecie. Z uwagi na to, że jest osobą publiczną, był posłem, jest europosłem, znaną z rozlicznych występów w telewizji, osobą – powtórzę, co się mówi – kontrowersyjną, natychmiast zawrzało: czy wypada, aby europoseł chwalił się wykonanymi w miejscu, gdzie kilka dni temu ginęli ludzie, turystycznymi zgoła zdjęciami, jak to się teraz mówi „słitfociami". Na ów wart splunięcia temat, istotny jak silikon w biuście serialowej

gwiazdeczki, debatuje się już półtora doby. Wypowiadają się dziennikarze, koledzy Polskiego Głupka z partii, przeciwnicy polityczni, politolodzy, spece od marketingu politycznego od wizerunku publicznego: gdzie są granice autopromocji, co wolno, a czego nie wolno, co jeszcze wypada, co już nie – komuś, kto sprawuje społeczną służbę, a tym wszak jest posłowanie. Rzecz nie w tym, że Polski Głupek znalazł się pod pręgierzem opinii publicznej, ale w tym, że w ogóle się o nim mówi. Im bardziej go w ciągu tych godzin nie ma w mediach, tym bardziej jest, jego cel został osiągnięty: mówią o nim, gadają we wszystkich programach od rana do wieczora. Polski Głupek i jego infantylne słitfocie to temat dnia, podoba się to nam, czy się nie podoba, nic na to nie poradzimy. Polski Głupek dał się poznać w całej swojej niepowtarzalnej krasie sześć lat temu, gdy obejmującego urząd premiera, pochodzącego z nienawistnej mu partii, co oczywiście nie pozostaje bez znaczenia, próbował skompromitować informacją, że dziadek premiera służył w Wehrmachcie, a zatem – w domyśle – żaden z premiera Polak. Premier i poseł pochodzą z tego samego regionu, a nawet z tego samego miasta, czyli z Gdańska. Poseł rzecz jasna nie może nie wiedzieć, że Kaszuba powołany czy wręcz wcielony w czasie II wojny światowej do Wehrmachtu, miał niewielkie szanse odmowy. Mówiąc wprost: gdyby odmówił, trafiłby natychmiast pod ścianę, a jego rodzina znalazłaby się w obozie koncentracyjnych Stutthof (nie piszę Sztutowo, bo to przecież niemiecki obóz koncentracyjny był, nie polski, polskich nie było wbrew temu, co się czasem w świecie wygaduje i wypisuje). Atak posła na premiera był zatem wyjątkowo perfidny, przekraczający wszelkie – dopuszczalna nawet w polskim parlamencie – granice chamstwa. Do dzisiaj nie mogę się nadziwić, że posła nie spotkały żadne konsekwencje, żadna kara, nie myślę tu wcale o karze administracyjnej, lecz społecznej, mentalnej. Wystarczyłoby, że podczas każdego wystąpienia posła w sejmie, posłowie z partii premiera wychodziliby natychmiast z sali, wystarczyłoby, aby dziennikarze skrzyknęli się: tego bydlaka o nic nie pytamy, nie prosimy go o żadną wypowiedź na ten czy na tamten temat, nie zapraszamy przed mikrofon, nie stawiamy przed kamerą. Faceta po kilku miesiącach by nie było. Nic w tym trudnego, jak sięgam pamięcią czy to w podstawówce, czy to w liceum, czy to na studiach, w tej czy w tamtej redakcji, w której pracowałem, gdy tylko trafił się ktoś, kto drastycznie przekroczył normy dobrego wychowania, nie zadawaliśmy się z nim, niespecjalnie się nawet co do tego umawiając. Niestety, od tamtego czasu poseł bryluje w mediach, wypowiada się na lewo i na prawo, na każde pytanie ma gotową odpowiedź, nigdy żadnych wątpliwości, tego pochwali, tamtego opierdoli, pozuje na moralistę, na rasowego polityka, na męża stanu. Jak na autentycznego Polskiego Głupka ma się za bóg wie kogo i specjalnie tego nie ukrywa. Co najśmieszniejsze, z buta traktuje zwłaszcza dziennikarzy, a więc tych, którzy mogliby go dawno temu spuścić z wodą. Bufonada, pycha, arogancja i co tam jeszcze – wszystko to cechy konstytutywne Polskiego Głupka. Ilekroć widzę go w telewizji, tylekroć wykrzykuję do telewizora same obrzydliwości, z których „na drzewo" jest najmniej z tych obrzydliwości obrzydliwą. Pytałem kiedyś pana K.K., który pochodzi ze Śląska, jak zareagowaliby na „dziad-

ka w Wehrmachcie" Ślązacy, gdyby poseł i premier pochodzi ze Śląska. Pan K.K. bez wahania odparł, że wie, o co mi chodzi, że też myśli, iż Kaszubki to pokojowa usposobiona do ludzi społeczność, bo w Katowicach, Chorzowie czy Bytomiu poseł brałby od ludzi na ulicy po mordzie.

W „Twórczości" rozmawiam z Bohdanem Zadurą. Mówię mu, że kiedyś telewizja pokazywała ludzi, których chciałoby się poznać, dzisiaj ludzi, z którymi nie chce mieć się nic do czynienia, przed którymi należy spieprzać, gdzie pieprz rośnie. Nieskory do śmiechu Bohdan nawet się śmieje.

Zawrzało na Krymie. Odezwała się mniejszość rosyjska, która na Krymie wobec Ukraińców stanowi większość i zaczęło się. W Symferopolu zamieszki. Na Morzu Czarnym zaczęły się ćwiczenia armii rosyjskiej. Dojdzie do zbrojnej interwencji na Krymie czy nie dojdzie? Polski Głupek natychmiast przestał być tematem dnia. Ale do czasu. W sukurs przyszedł mu drugi Polski Głupek, również eurodeputowany, chociaż z innej partii, co dowodzi tylko faktu, że głupota jest bezpartyjna. Polski Głupek wracał do ojczyzny przez Frankfurt. Chyba był pijany, chociaż mocno się tego wypiera, mówi coś o dwu małych buteleczkach wina. Ale nie ma to znaczenia: był pijany, czy nie był. Na lotnisku we Frankfurcie podpadł mu niezbyt grzeczny niemiecki celnik. Polski Głupek postanowił go nauczyć faszystowskiego pozdrowienia Heil Hitler i przypomnieć całą prawdę o Auschwitz, zwyzywał go przy tym od nazistów. Są świadkowie, są zdjęcia, zapewne nagrania z kamer na lotnisku. Byłoby to może całkiem śmieszne, nawet jeśli żałosne, gdyby nie fakt, że Polski Głupek jest wiceprzewodniczącym parlamentu europejskiego.

Trzy pączki zżarłem. Dwa w południe, jednego późnym wieczorem.

28 lutego, piątek

Po wczorajszym telefonie Tadeusza Różewicza robię kserokopie jego poematu *Gawęda o spóźnionej miłości* z tomu *Zawsze fragment. Recykling.* Piętnaście lat temu pan Tadeusz miał spotkanie w pękającej dosłownie w szwach Sali Dembego w Bibliotece Narodowej. Czytał *Gawędę*, w trakcie lektury dokonywał *ad hoc* zmian w tekście, a że akurat miałem przy sobie egzemplarz wydanej rok wcześniejszej książki, zacząłem te zmiany nanosić. Teraz wysyłam panu Tadeuszowi jego poemat z poprawkami sprzed piętnastu lat. Na końcu poematu zapisałem: było to 2 marca 1999 roku.

Czekając w kolejce na poczcie sejmowej, oglądam znaczki wystawione za szybą. Jeden z nich robi na mnie wrażenie piorunujące. Wydany został z okazji XII Światowych Igrzysk Młodzieży Salezjańskiej w roku 2001. Nie ma takiej rzeczy, której ludzkość już nie wymyśliła.

Janusz Drzewucki

Aleksandra Nizioł

Śladami reportażu magicznego

JANÓW (LUBELSKI) BĘDZIE MU NA IMIĘ

Dla MK i MS

Konie, które dały się ujarzmić, przesuwają się dokoła raz szybciej, raz wolniej. Nawet się ~~kurzy~~, bo mały niebieski samochód podlewał wcześniej udeptaną ziemię. Karuzela brązu i czerni. Ciemny włos, który nie zobaczy siwizny, nerwowo goni gryzące przeszkadzajki. Wrzask powitania mieszkających tu ptaków. Piegi. Piękna i poważna twarz. Rude włosy i niebieska sukienka. Broni jej wybiegający pies. – Proszę się nie bać, on nie gryzie... – Tylko połknie nas w całości? – Nie... jadł dzisiaj.

Mdlący zapach nawozu, drewnianych schodów i obleczonych łóżek z za ciepłą, jak na tę porę roku, kołdrą. W kuchni znajduję cień i czas na mycie owoców, smarowanie chleba. Wszystkiego jest wiele, rozmnaża się, nic mnie nie goni i nie przerasta. W korytarzu kanapa i dwa fotele. Zapraszają, ale nie odmówię im, dopiero gdy będziemy wyjeżdżać. Zechcę jeszcze w ich ramionach zostawić wdzięczność.

Robię zdjęcie grupce chętnych na konną jazdę. O, nie tak łatwo, nauczyć się rytmu zwierzęcia. Romantyczny widok galopów oglądanych na filmach sprowadza się do prostych komend: Pani na drugim koniu, proste plecy! Stopy w strzemiona, wstajemy i siadamy – raz, dwa, raz, dwa. Czar pryska. Mięśnie wiotczeją. Ostatnia jeźdźczyni wygląda jak podrzucany placek na pizzę. Coraz głośniej przeżywa. – Nie krzyczymy, bo koń się boi, nie wie, o co chodzi! – upomina co chwilę instruktorka. Wcześniej uroczym uśmiechem rejestrowała zapisy, teraz stanowczo panuje nad sytuacją. Staram się nie śmiać, biednej pani nieco współczuję. Jak jutro będzie chodzić? Rubaszny właściciel wygłasza perory na temat piękna kobiecych oczu, które dla swego dobra codziennie winny płakać. Jak jajka na miękko – 5 minut! Cha cha cha! Znam ten śmiech. Umiem go naśladować i pokonać. Już mnie nie łamie.

Tego dnia jest słonecznie, upalnie. Dotykam plecami gryzącego koca, przesuwa się po piasku. Grzegorz Markowski z prawej bardzo chce coś przekazać, zanim pokryje go rdza, po lewej anglojęzyczny przebój tego lata. Do odbioru ryba z frytkami, wzywa zgłodniałych przez mikrofon kobiecy głos. – Tato, chodź się kąpać, chodź do mnie! – Nie... Mam wodowstręt! – Nie masz! – zapewnia różowa blondynka ufająca unoszącemu ją na wodzie dmuchanemu krokodylowi. – Chłopcy, nie biegajcie tutaj i przestańcie się oblewać, pani chce odpocząć! – słyszę empatyczne reprymendy.

Tylko przy Tobie nie wstydziłam się rozbierać, a teraz znów to robię, dziwne. Osłaniam się jeszcze wszystkim, co może mnie ustrzec przed zewnętrznym rakiem. Niebo oślepia watą, w radiu ogłaszają piętnastą. Zsuwam łańcuszek z palca, myśląc, kto też właśnie teraz rodzi się dla innego świata. A czyj świat właśnie teraz traci sens. Nie słyszę żadnych odpowiedzi. Mowa tylko o wypadku busa na krajowej S17, o zatruciach pokarmowych, wstrząsach termicznych i konieczności picia wody.

Martwię się, gdzie on jest. Wchodząc do wody, żartował, że wróci za trzy godziny, ale nie ma go i nie ma. Mam tylko nadzieję, że dotyka czasem dna, by odpocząć. Czytam, co mi dał, by zrozumieć, czego szuka. Trafiam na fragment o pisaniu listów i medytacji, o potrzebie kogoś do kochania i wzajemnym zrozumieniu, które przyjdzie dopiero po tamtej stronie. Coraz mocniej czuję, że nie jestem odpowiedzią, i nie wiem, co jest nie tak. Nie pamiętam przy tym, kiedy ostatnio tak dobrze się z kimś rozumiałam. Tak, właśnie tu, gdzie jestem teraz. Nie w żadnym innym miejscu. Nie w żadnym innym czasie.

Ruszamy pieszo do centrum, przez las. Jest tak dobrze, nie boli nawet myśl, że uwiera mnie kamień w bucie, że zostało jeszcze wiele drogi. Nie wiem, jak to się dzieje, że nie kończą się tematy, że drzewa stają się asfaltem i trzeba krzyczeć, by się usłyszeć. Uważać na samochody, którym zawsze się spieszy. W upale wyrasta przed nami sanktuarium. Ma w sobie ciężar złota znany z rodzinnej, ale nie mojej, parafii i brak ruchu, tak potrzebny, by dostrzec czułość zostawionego miejsca siedzącego. Pieką mnie ramiona, ksiądz przypomina o stosownym stroju w okresie letnim. Uśmiecham się, ubrana w wełniany sweter. Dziękuję za dzieci podawane pod chłód wody, za rodziców z mocą wyznających świadomość tego, co czynią. Dobrze być tu razem.

Zaprasza mnie na lody i nie pozwala protestować. A ja się odchudzam, katuję ćwiczeniami, mam nie jeść słodyczy, nie pić alkoholu. W parku jest cień i pan, który pyta o zapałki. Niestety nie mamy – odpowiada stanowczo. – Tak, proszę pana, ja mam – dodaję. Odwiedzam cmentarze, chowam rozpalone główki w szklanych schronach, parzę sobie palce, chcąc przechytrzyć podmuchy wiatru. Bardzo proszę. – A czy ma pan jeszcze jednego papierosa? – oj... po co konsternuje pytaniem biednego włóczęgę... Gromię go spojrzeniem, żartuję, że trzeba uważać, kogo się zaczepia. Odchodzimy.

Miasto rozciąga się tętnicą i chyba do niej głównie spływają spacerujące kolorami letnie sukienki, jasne koszule, które uciekły krawatom, mimo że dziś kościelne święto. I przepasane wstążkami słomiane kapelusiki, spod których wystają małe opalone nosy. Nikogo tu nie znam, więc się nie martwię, że nazajutrz poparzą mnie języki. Siatka mniejszych uliczek pulsuje słabszym rytmem, zbiegają się w pępku starego dworca PKS. Taki sam pamiętam z miasta dzieciństwa. Dziś jest on najtańszym sklepem, miejscem busowych postojów i obeschłych już łez po cmentarzu, którym był, zanim w ogóle pomyślano o poczęciu mnie na świat.

Wracamy, ale tylko na chwilę. Las znów odessał podmuchy suchego wiatru, niesie jedynie donośny męski głos, opowieść o przyjaźni, która spadła z Interne-

tu. Zaraz po tym, gdy odpowiedział sobie, jak chce żyć. Gdy przelała się w nim pewność. Do parku w centrum przyjeżdżamy po zmroku. Komary i myśli nie dają się skupić. Na wielkim ekranie, ołtarzu, co zebrał wokół spragnionych obrazów, a odpornych na pokusy dotkliwych nakłuć, oglądamy historię zdrowej duszy zamieszkałej w zdeformowanym ciele. Jesteśmy jak dobro zasiane na podmokłej trawie. Przesiani czarną chmarą krwiopijców, którym z jakiegoś powodu również pozwolono żyć do napisu The End. Patrzę, jak niebo ekranu zlewa się z tym usianym nad nami. Walczę ze sobą, by chwycić jego dłoń. Nie wiem, czy tego byś chciał. Nie wiem, czy po to dałeś nam siebie dotknąć na cmentarzu, gdy Cię żegnaliśmy, w duszy śpiewając o zmartwychwstaniu. W duszy czując twoją bliską obecność, absurd sytuacji, lęk przed śmiechem, za który spotkałby nas lincz małego miasteczka. Łamię się, chwytam go za rękę. I czuję, że znów mam serce. Napisy końcowe i muzyka. Gdyby nie to, że umieram z zimna, mogłabym tak już zostać na zawsze. Na czoło spada pocałunek.

Oglądam się za siebie jeszcze ostatni raz. Zostawiam wodę i plażę, hałasy muzyków, żądania dzieci, komunikaty prasowe. Zostawiam skwar pierzynowego pokoju, kurz końskich kopyt i parasole drzew. Jana Zamoyskiego, Zofianka Górna, Zofianka Dolna, Drugi i Pierwszy Krzemień. Zjeżdżamy ze wzniesienia prosto w ramiona stęsknionych za żniwami zbóż. Chciałabym wiedzieć, co u Ciebie, cokolwiek. Mam Ci tyle do opowiedzenia! ... Jutro wymieniam telefon na nowy. Zachowam Twój numer. Cisza opowie następną historię o Życiu. Namiętnie jej wysłucham. Namiętnie ją zapiszę.

Aleksandra Nizioł

TEMATY WSCHODNIE

Aleksandra Pluta

JEDYNA POLONISTYKA W CAŁEJ AMERYCE ŁACIŃSKIEJ

Dziwne można odnieść wrażenie, kiedy w dalekiej Brazylii, w której z łatwością można napawać się tym, co egzotyczne, lecz trudniej odnaleźć swojskie, słowiańskie klimaty, nagle wejdzie się do gmachu najstarszej uczelni w tym kraju. Na dziewiątym piętrze Federalnego Uniwersytetu stanu Paraná w Kurytybie założonego w 1912 roku, można bowiem natknąć się na murach korytarzy na znajomo brzmiące słowa. Ktoś mazakiem napisał po polsku „Być albo nie być – oto jest pytanie". I nawet jeśli brzmiałoby to zupełnie naturalnie pod naszą szerokością geograficzną, to spotkanie tak nagryzmolonego hasła w odległej Brazylii wzbudza co najmniej zaciekawienie. Idę zatem za ciosem i przyglądam się liście studentów wywieszonej na uniwersyteckim korytarzu. I tutaj ponownie daję się zaskoczyć ilością znajomo brzmiących nazwisk: Setenareski, Czervinski, Sevulski, Czarnik, Kogeratski, Nogas...

Niektóre z nich mniej lub bardziej wskazują na to, że pradziadek czy prababcia studenta pochodzili z Polski. Większość nazwisk uległa już znacznym zmianom, „w" z biegiem czasu zastąpiono „v", ich żeńskie wersje kończą się na –ski, a nie na –ska (bez zmiany końcówki, by było identyczne z tym, które nosił ojciec). Jednak nawet te drobne modyfikacje w pisowni nie przeszkadzają domyślić się, że mamy do czynienia z trzecim albo czwartym pokoleniem Polaków, którzy już od połowy XIX wieku emigrowali do Brazylii. Dziś natomiast ich wnuki i wnuczki, prawnuki i prawnuczki starają się odkopać rodzinną prehistorię i wrócić do korzeni. Może zainspirowali się tym, że kiedyś na strychu znaleźli pożółkły list napisany w nieznanym im języku, a może tym, że pamiętają prababcię, która umiała robić pierogi albo może nawet i tym, że słyszeli jak babcia i dziadek szeptali między sobą słowa, którego znaczenia nie byli w stanie odszyfrować...

Jedna ze studentek opowiada, jak to na uroczystościach rodzinnych wszyscy śpiewali *Sto lat*, a ona, nie rozumiejąc słów, których nauczyła się na pamięć, w końcu

zdecydowała się nauczyć języka, by zrozumieć treść wyśpiewywanej piosenki. Ale wśród studentów znajdują się i tacy, którzy nie mają polskich korzeni, a języka chcą się nauczyć, ponieważ zakochali się w polskiej literaturze. Jeden student uwielbia Schulza i chce być tłumaczem, drugi – z zawodu lekarz – właśnie przekłada poezję Baczyńskiego. Każdy ma inne motywacje, oczekiwania i stosunek do Polski. Jedni podjęli studia polonistyczne mając do tego kraju stosunek czysto sentymentalny, inni (choć jest ich z pewnością mniej) – pragmatyczny. Warto przyjrzeć się niewielkiej garstce Brazylijczyków, którzy wieczorami wkuwają trudne do wymówienia słowa i odmieniają rzeczowniki przez przypadki.

Początki

Katedra polonistyki na ponad stuletnim uniwersytecie w Brazylii, zwanym w skrócie UFPR – Universidade Federal do Paraná, jest kierunkiem stawiającym dopiero pierwsze kroki. Nie można jednak zapomnieć o istotnej roli imigrantów polskich, którzy byli obecni przy powstawaniu uczelni – prof. Szymonie Kossobudzkim, który był pierwszym profesorem katedry chirurgii oraz prof. Dominiku Łukaszewiczu, założycielu Instytutu Anatomii. Mimo że katedra polonistyki doczekała się już swoich pierwszych absolwentów, którzy z dyplomem licencjata jedynej polonistyki na kontynencie starają się przetrzeć szlaki na rynku pracy w Brazylii lub kontynuują studia, nie można zapomnieć, że pierwszy nabór studentów na ten kierunek miał miejsce zaledwie sześć lat temu.

– Pierwszy kurs języka polskiego został zorganizowany w 1981 roku, lecz nie w postaci niezależnego kierunku filologicznego, tylko kursu językowego dla licznej w Kurytybie kolonii polskiej i potomków polskich imigrantów. Zapisałam się na ten kurs, ponieważ sama nie mówiłam po polsku. – O ciężkich początkach i trudnościach o charakterze administracyjno-politycznym opowiada współtwórczyni katedry polonistyki oraz wieloletnia koordynatorka kursu języka polskiego w Centrum Języków Obcych Uniwersytetu Federalnego Stanu Paraná, prof. Regina Przybycień. – Moi rodzice byli Polakami, ale ja urodziłam się już tutaj i jako sześciolatka postanowiłam się zbuntować: zaczęłam mówić tylko po portugalsku. W 1993 zostałam koordynatorem kursu języka polskiego i byłam nim aż do 2010 roku. W latach dziewięćdziesiątych dzięki uporowi polskiego konsula w Kurytybie, Jerzego Brzozowskiego, udało się poczynić kolejne kroki w kierunku utworzenia katedry polonistyki. Podejmowaliśmy różne próby, począwszy od stworzenia szerszej katedry slawistyki, przez kursy podyplomowe dla nauczycieli języka polskiego, lecz dopiero w 2007 roku rząd brazylijski wprowadził zmiany w polityce dotyczącej szkolnictwa wyższego, co dało nam szansę na stworzenie wymarzonego kierunku. Wówczas wspólnie z Eduardo Nadalinem, który również jest wykładowcą, pomyśleliśmy, żeby przedstawić projekt stworzenia filologii polskiej na UFPR. Problem polegał na tym, że filologia polska byłaby w pewien sposób powiązana z portugalistyką. I tu pojawił się problem, ponieważ profesorowie portugalistyki nie wspierali naszych działań. Obawiali się, że wprowadzenie filologii polskiej

może obniżyć poziom filologii w ogóle, ponieważ imigranci polscy w ich oczach byli ludźmi o niskim potencjale intelektualnym. Był to przejaw dyskryminacji. Ostatecznie jednak udało się nam stworzyć nową katedrę. Do pierwszych egzaminów wstępnych podeszło dwudziestu ośmiu kandydatów. Wielu z nich ma polskie korzenie.

Spośród osiemnastu obecnych studentów pierwszego, drugiego i trzeciego roku, jedenaście osób zadeklarowało, że ma pochodzenie polskie (czasami wyłącznie polskie, w innych przypadkach zarówno polskie, jak i inne). Doskonałą okazją do tego, by zapoznać się z ich pochodzeniem, okazała się jedna z pierwszych lekcji dla świeżo upieczonych studentów pierwszego roku, na której poznawali oni zasadę tworzenia rodzaju męskiego, żeńskiego i nijakiego przymiotników.

– Słowo „nazwisko" jest rodzaju nijakiego, musimy zatem użyć przymiotnika zakończonego na „e" – tłumaczył Marcin Raiman, lektor języka polskiego. – Na przykład „to nazwisko jest polskie", „to wino jest czerwone" albo „to auto jest nowe".

Dobrym ćwiczeniem okazało się więc pytanie o nazwisko. Każdy po kolei musiał się przedstawić („Nazywam się Czervinski, Sevulski, Alves Pereira, Coltro, Sehnem Gomes, Souza de Assis czy Santos..."), po czym lektor zadawał pytanie:

– Czy twoje nazwisko jest typowo brazylijskie?

– Nie, moje nazwisko nie jest typowo brazylijskie – odpowiadali po kolei studenci. – Moje nazwisko jest... – i tu pojawiał się cały szereg krajów, z których pochodzą przodkowie studentów: włoskie, ukraińskie, polskie, portugalskie, niemieckie czy hiszpańskie.

Z takim oto przekrojem narodowości mamy do czynienia wśród osób uczących się języka polskiego na Federalnym Uniwersytecie stanu Paraná. Przedział wiekowy studentów, podobnie jak i ich pochodzenie, jest dość szeroki, począwszy od osób, które podjęły studia zaraz po maturze, skończywszy na pięćdziesięciolatkach. Nie wszyscy z nich mają możliwość, by poświęcić czas wyłącznie na studiowanie. Wielu na co dzień pracuje, są wśród nich zarówno nauczyciel angielskiego, jak i pracownik call center, student ekonomii, recepcjonistka, programista, studentka dziennikarstwa, aktorka, hostessa czy designer.

Motywacje

– Co motywuje Brazylijczyków do rozpoczęcia studiów polonistycznych? – pytam doktora Marcelo Paiva de Souza, wykładowcę i tłumacza literatury polskiej na język portugalski.

– Motywacje są różnego rodzaju, lecz statystycznie przeważa ta związana z poszukiwaniem własnych korzeni i odnajdywaniem polskiej tożsamości narodowej. Studia te skierowane są do wszystkich potencjalnie zainteresowanych naukami filologicznymi, zwłaszcza filologiami obcymi – twierdzi Marcelo. – Dodatkowo jednak, w związku z istotną obecnością potomków Polaków w stanie Paraná i innych regionach południowej Brazylii, kierunek ten chce wyjść naprzeciw potrzebom tej konkretnej grupy społecznej.

– Mniej więcej połowa studentów ma świadomość swojego polskiego pochodzenia i poprzez studiowanie polonistyki chce temu w pewien sposób nadać głębsze znaczenie – dodaje Marcin Raiman, hungarysta, absolwent filologii portugalskiej i polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, tłumacz, lektor języka polskiego. – Ale zdarzają się również studenci, którzy wybrali polonistykę, by studiować coś egzotycznego albo dlatego, że nie ma na uczelni rusycystyki, więc muszą zadowolić się polonistyką.

Gdy to samo pytanie zostaje postawione samym studentom, padają rozmaite odpowiedzi. Przeważnie ich pragnienie studiowania polonistyki było poprzedzone dużym zainteresowaniem polską kulturą („miałem okazję poznać polską literaturę i po prostu się w niej zakochałem" – napisał Victor, nauczyciel języka angielskiego), językami słowiańskimi („usłyszałem kiedyś polską mowę i tak mi się ona spodobała, że postanowiłem podjąć studia polonistyczne" – Kesley, lat 18).

Perspektywy

Jakie są ich oczekiwania? Kilka osób chciałoby podjąć pracę jako tłumacz języka polskiego, inni chcieliby zacząć studia w Polsce, kilkoro z nich nie ma żadnych oczekiwań. Niektórzy chcieliby uczyć języka polskiego jako obcego, innym wystarczy opanowanie języka na poziomie podstawowym, tak, by móc swobodnie porozumieć się z Polakami podczas podróży do Europy. Jeszcze inni chcieliby czytać naszą literaturę w oryginale lub pojechać do Polski, by odnaleźć tam swoje korzenie. Na pytanie, czy mieli okazję rozmawiać w domu po polsku, zaledwie jedna osoba odpowiedziała twierdząco. Tylko kilkoro z nich jeszcze przed rozpoczęciem studiów znało parę słów, zazwyczaj kilka podstawowych wulgaryzmów. Aż dziesięć osób odpowiedziało, że w ogóle nie rozmawiało w domu po polsku.

Nietrudno chyba będzie się domyślić, jakich odpowiedzi udzielili studenci, gdy zapytano ich o to, co sprawia im największą trudność w nauce języka. Na pierwszym miejscu – wymowa i deklinacja. Zaraz po nich – pisanie i gramatyka. Jeszcze inni odpowiadali: „Wszystko jest trudne! Strona bierna, czynna, brak samogłosek!", „słowa są zupełnie inne od tych w języku portugalskim, bardzo ciężko je zapamiętać", „tworzenie pytań: jaka? kogo? kto? czego?". Tylko jedna z osób nie dostrzega żadnego problemu w nauce języka polskiego: „Nic nie jest trudne. Brakuje mi jednak osób, z którymi mógłbym rozmawiać i ćwiczyć język polski". Jeden z absolwentów polonistyki, Luiz Henrique Budant, który swoją pracę licencjacką poświęcił analizie tekstów Brunona Schulza, któregoś dnia rozpisał mi na kawiarnianej serwetce szereg czasowników: *pisać, napisać, dopisać, wypisać, przypisać, zapisać*, a na kolejnej: *pić, wypić, upić, dopić, napić*...

– No i spróbuj się czegoś takiego nauczyć będąc obcokrajowcem!

Luiz akurat opanował te i inne niuanse, a teraz często ma możliwość korzystania ze znajomości tak egzotycznego języka, jakim jest w Brazylii język polski, pracując jako tłumacz.

– Dzięki utworzeniu polonistyki widzę realną możliwość wykształcenia nauczycieli języka polskiego, co może przyczynić się do wprowadzenia nauki

polskiego wśród tych społeczności, które sobie tego zażyczą jako alternatywy dla języka angielskiego czy hiszpańskiego.

O jeszcze innych perspektywach zawodowych dla absolwentów tego kierunku mówi dr Aleksandra Piasecka-Till, absolwentka filologii klasycznej na UJ, która ukończyła również studia magisterskie i doktoranckie z anglistyki na UFSC we Florianopolis. – Muszę tu wspomnieć o naszym projekcie *Licenciar*, który umożliwia studentom polonistyki podjęcie pierwszych prób dydaktycznych w brazylijskich szkołach jeszcze przed prawdziwymi praktykami pedagogicznymi. Monitoruję te działania od 2011 roku i cieszy mnie to, że już kilkoro naszych studentów odbyło takie praktyki w pięciu różnych szkołach podstawowych. Lekcje są zajęciami dodatkowymi i staramy się prowadzić je w sposób niekonwencjonalny wprowadzając dużą ilość informacji z obszaru historii, szeroko pojętej kultury oraz utrzymać motywację poprzez różnorodność zabaw i gier edukacyjnych.

Ale na polonistyce studenci nie ograniczają się przecież zaledwie do nauki języka polskiego. Kiedy zatem pokonają pierwszą przeszkodę, którą jest opanowanie języka, przechodzą do nauki takich przedmiotów, jak teoria literatury w języku polskim czy literatura polska. Piotr Kilanowski, obecnie przebywający na urlopie związanym z podjętymi w tym roku studiami doktoranckimi, opowiada o spotkaniu brazylijskich studentów z polską literaturą: – Nasi studenci mają trzy obowiązkowe przedmioty z literatury w języku polskim: pierwszym z nich jest teoria literatury, a kolejnymi literatura I (obejmująca okres romantyzmu i pozytywizmu) oraz literatura II (obejmująca XX wiek). Kanon lektur zawęża się zatem do literatury XIX i XX wieku. Z najbardziej jak dotąd zaawansowaną grupą studentów ostatniego roku udało mi się przerobić w oryginale między innymi poezję Leśmiana, *Inny świat* Herlinga-Grudzińskiego, *Ferdydurke* Gombrowicza, *Pułapkę* i *Białe małżeństwo* Różewicza, *Policjantów* Mrożka, *Cesarza* Kapuścińskiego, *Rodzinną Europę* i *Zniewolony umysł* Miłosza oraz *Lubiewo* Witkowskiego. Wszystkie te utwory studenci czytali w oryginale. To była wyjątkowa grupa, pierwszy nabór na polonistykę w ogóle.

Na studiach oraz na zajęciach pozauczelnianych studenci mają możliwość szkolić się w dziedzinie translatoryki. Niektórzy z nich mają już na swoim koncie pierwsze przekłady Schulza czy fragmenty *Lubiewa*. Na zajęciach z Piotrem Kilanowskim studenci przekładali ponadto fragmenty tekstów Hanny Krall, Mariusza Szczygła, Wojciecha Tochmana i innych polskich twórców reportażu.

Nie pozostaje zatem nic innego, jak tylko życzyć wytrwałości wykładowcom i studentom jedynej polonistyki na kontynencie południowoamerykańskim. Brazylijski rynek wydawniczy z pewnością będzie zainteresowany publikacją tych najbardziej „eksportowych" z polskich nazwisk – trzeba jednak wykształcić w tym kierunku nowych tłumaczy, którzy teraz z pewnością siedzą w ławkach na dziewiątym piętrze Uniwersytetu w Kurytybie i z uporem wkuwają polskie słówka.

Aleksandra Pluta

O KSIĄŻKACH

Mariusz Kalandyk

PERSEFONA ROZMAWIA Z ORFEUSZEM I Z... PASTUSZKIEM

Pamiętacie Państwo płótno Józefa Chełmońskiego z 1897 r. zatytułowane *Pastuszek*? Aleksandra Krypczyk pisze o tym dziele następująco: „Omawiany obraz cechuje prostota i poetyckość ujęcia. Pośrodku kompozycji widnieje bosonogi chłopiec odziany w siermiężną kapotę, grający na skrzypcach. Towarzyszy mu wiejski burek oraz stado owiec. Zamknięciem przestrzennego krajobrazu jest rysujące się w oddali pasmo lasu, a senną atmosferę letniego dnia podkreśla jasna, jakby wypalona słońcem, tonacja barwna. Uroda dzieła przywodzi na myśl nowelę Henryka Sienkiewicza *Janko Muzykant*".

Nie wiem, skąd autorka zaczerpnęła pomysł na łączenie obrazu Chełmońskiego z nowelą Sienkiewicza, gdy idzie o ich urodę. Nic o tym, *nota bene*, nie pisze. Samo zestawienie oraz sposób opisu obrazu, autorka cytatu jest historykiem sztuki, pokazuje coś innego: mechanizm budowania skojarzeń ułatwiających rozumienie dzieła malarskiego poprzez odwołanie się do innych, łatwiejszych lub po prostu nabytych, doświadczeń kulturowych odbiorcy dzieła sztuki. Można i tak.

Z kolei Jarosław Marek Rymkiewicz, zapowiadając wydanie nowego tomu wierszy, wyjaśnia w niezależnej.pl: „Ja też [...] postanowiłem złożyć hołd wielkiemu malarzowi – książce wierszy, którą niebawem wydam, dałem tytuł *Pastuszek Chełmońskiego*. Mojemu sąsiadowi (tak sobie pomyślałem) będzie miło, kiedy dowie się, że poeta z sąsiedztwa napisał wiersz o jego pastuszku i kłapciastym uchu pastuszego pieska". Brzmi to również bardzo ciepło i ujmująco. Mile łechce nasze ucho przyzwyczajone do stereotypów odczuwania, zwłaszcza do ujęć sentymentalnych. A przecież taki właśnie komentarz autorski w porównaniu z właściwą artystyczną i filozoficzną zawartością tomu buduje, raczej niezamierzoną, komedię omyłek. Fałszuje przekaz! Chociaż od swoistego sentymentalizmu, o czym później, nie jest wolny. Przeczytajmy fragment wiersza, który tomikowi posłużył za tytuł:

Kapelusz mój ze zgniłej słomy
Skrzypki i smyczek – dwie gałązki
Ja teraz jestem duch znikomy
Królewna złote ma podwiązki
[...]

Słuchają zmarli w mokrych deskach
Dwa krzyże – w ostach leży trzeci
To walczyk – dla mojego pieska
To walczyk – ten co w wieczność leci [...]

(s. 28)

Spośród dwudziestu siedmiu tekstów zawartych w zbiorku ten jest czternasty z kolei. Znajduje się w umownym środku, centrum znaczeniowym; może być traktowany jak kompozycyjny i myślowy zwornik, punkt odniesienia. Ideowo przystaje zarówno do wiersza otwierającego *Wtedy Atena*, jak i do zamykającego zbiór minicyklu sześciu wierszy poświęconych Orfeuszowi. Gdy przypomnimy sobie także wcześniejszy tom *Do widzenia gawrony*, okaże się, że i tam miał miejsce podobny kompozycyjny koncept. Zbiór kończył bowiem minicykl *Czterech wierszy dla umarłej bogini*.

Co ważne, w cytowanym tekście ma miejsce głębokie przetworzenie motywu, tak charakterystyczne dla sposobu myślenia autora *Thema regium*. Jest ono wzięte na poły z klimatów wierszy Bolesława Leśmiana, na poły z klimatów charakterystycznych dla wierszy samego Rymkiewicza. Motyw z Chełmońskiego zostaje bowiem przeniesiony w zaświaty, w przestrzeń baśni (pojawiają się złote podwiązki królewny), jak i w obszar „okołotrumiennego somatyzmu", gdzie sztuka – by mogła zaistnieć – musi przejść przez etap dosłownie rozumianego, cielesnego gnicia. Poeta nie waha się wykorzystać zgrabnego romantycznego frazesu o „ciemnej sile" jego piosnek. Sam utwór stanowi jednocześnie klasyczny przykład tak lubianej przez Rymkiewicza liryki maski.

Odrębną sprawą wydaje się być idea wiersza *Wtedy Atena* oraz ściśle z nią związany estetyczny jego kształt. Autor *Anatomii* posługuje się w nim, robił to również wcześniej, odniesieniem do fragmentu innego dzieła, by uczynić zeń nie tylko motto, ale również pretekst do tworzenia na jego podstawie określonej narracji estetyczno-filozoficznej. Co ciekawe, a zdarza się mu to bodaj pierwszy raz, wykorzystuje w niej swoistą odmianę heksametru. Nie można tego przemilczeć. Zacytujmy pierwszy dystych:

Wtédy Alténa |*zdjęła* z *ich*| *źrénic dwojáką*
[*ciémność (6 stóp akcentowanych)*

I óni tam | *z(ó)balczyli isltnténia* | *straszną*
[*dalrémność (6 stóp akcentowanych)*

Poeta nie dochowuje jednak wierności podstawowym zasadom klasycznego heksametru polskiego. Na przykład w pierwszym wersie w piątej stopie nie ma daktyla, a powinien tam być. W innych wersach z wiernością wzorom też bywa różnie. Owe niedokładności nie zmieniają w niczym istoty zamierzenia. Aluzja do rytmu antycznego jest wyraźna i skrywa artystyczny cel. Poeta wydaje się powtarzać intuicje zawarte we wcześniejszych zbiorach wierszy. Generalnie można je nazwać próbą poszukiwania nowego języka metafizyki poprzez odwołanie się do korzeni kultury greckiej. Kryzys języka klasycznej greckiej metafizyki, na niej zbudowano przecież ogromne połacie europejskiej cywilizacji, jest dla Rymkiewicza czymś oczywistym. Mówił o tym wielokrotnie i we wcześniejszych zbiorach poetyckich, i w wywiadach, na przykład w udzielonym w 2006 r. Cezaremu Michalskiemu, zatytułowanym: *Nasza cywilizacja zdycha jak parszywy pies*. Szukając wyjścia z pułapki, w którą sami siebie wprowadziliśmy, poeta nie zmienia obszaru poszukiwań, jest nią ciągle antyczna Grecja. Polem zainteresowań staje się jednak zupełnie inna jakość. Jest nią grecka tradycja o charakterze misteryjnym, a nie zintelektualizowanym, poddanym z tego tytułu władzy ujęć dyskursywnych.

Co ważne, wiersz *Wtedy Atena* w swojej strukturze zawiera ujęcia paralelne, dzięki nim zrównuje los bohaterów *Iliady* z losem każdego z nas. Czytamy tu następujące słowa:

Daremność ścieżek którymi schodzili z Gargarosu
Daremność morza i żagli – ich i twojego losu

Wielkie o wielkie żagle coś jest w powietrznych
[*sferach*
Jeśli to jakieś bóstwo to takie które umiera

Daremność losu – gdy milknie i bierze cię za rękę
I tylko Dionizos schodząc śpiewa ci swoją piosenkę.

Zapisane powyżej dramatyczne zwątpienie w sens egzystencji człowieka, poddawanej bezlitosnym rytmom przemijania, wydaje się jednoznacznie sytuować idee wiersza. Dekretowana przez współczesne filozofie śmierć Boga jest także nieodwracalną śmiercią człowieka i jego kultury. Wszystkie działania czyni daremnymi. Trzeba w związku z tym zadać pytanie, jaką rolę pełni w ostatnim wersie Dionizos śpiewający „swoją piosenkę"? Dodajmy, że figura Dionizosa nawiązuje do zamykającego tom *Do widzenia gawrony* minicyklu *Cztery wiersze dla umarłej bogini*; jego bohaterem jest w dużej mierze patron tragedii. Przypomnę, iż Dionizos jest także bogiem transgresji, szaleństwa oraz atawistycznej, nieznającej żadnych ograniczeń, ekstazy miłosnej.

Otóż w trzecim wierszu wspomnianego cyklu (*Ariadna z dzieckiem w brzuchu*) Dionizos widziany jest przez poetę jako ten, kogo można utożsamić z Hadesem. Rymkiewicz powołuje się na sąd Heraklita; cytuje go. Bóg winnej latorośli niejako spaja dwie części ludzkiego istnienia: życie i śmierć. Czyni je całością. Zresztą zdanie „Dionizos i Hades są jednym i tym samym bogiem" stanowi część dłuższej wypowiedzi, a fragment poprzedzający brzmi następująco: „Gdyby to nie na cześć Dionizosa urządzano procesję, intonując hymn do wstydliwych części ciała, czyn ten byłby w najwyższym stopniu bezwstydny". Co więc śpiewa Dionizos? Możliwości poprawnej odpowiedzi jest kilka. Jedna z nich każe sugerować, że jest to ekstatyczny hymn na cześć istnienia, wbrew śmierci i deklarowanej wielokrotnie w tekście daremności podejmowanych działań. Nie niweczy w żadnym stopniu rozumianego potocznie i klasycznie tragizmu ludzkiego losu, czyni go jednak wytłumaczalnym, wprowadza w kolisko biologicznych determinantów, umożliwia również kontynuację rozmyślań o prawomocności teodycei. Rytm bohaterski dodatkowo wzmacnia i heroizuje ową interpretacyjną sugestię.

Trochę wbrew powyżej zapisanym sugestiom zauważyć należy występowanie, niewątpliwie przeciwnej do heroicznej, dominanty estetycznej zbioru. Obecna była ona również we wcześniej wydanych tomach, a w ostatnim wydaje się być równie ważna. Mam na myśli groteskę: posługiwanie się sprzecznymi jakościami, konfrontowanie ich ze sobą, wikłanie w sprzeczności, w których humor sąsiaduje z tragizmem, przerażenie z miłością, zmysłowość z mizerabilizmem, a rozkład z ekscesem seksualnym. Nieustający ciąg kulturowych nawiązań, aluzji i przytoczeń dodatkowo wzmacnia ów groteskowy fundament zbioru Rymkiewicza. W *Jesiennej pieśni Czarnej Królowej* czytamy:

Straszna Córko uczesz się i odziej
Bo pożąda cię Wielki Czarodziej

Ząb złamany łeb twój skudlony
A on w nocy potrzebuje żony [...]

W zimnych mokrych czarnych prześcieradłach
Jego penis ty tam będziesz jadła. (s. 8)

W *Ku chwale Beli Bartoka*:

Ktoś obrócił się w tańcu na palcach na pięcie
I coś go zaraz wzięło – a co? – jakieś wzięcie.
(s. 12)

W *Dzikim zapachu majowym*:

Mój orszak dwa ogony
I trzeci kot szalony [...]
Pada deszczyk ukośny
Teraz modły zanośmy

Do trzmieli do borówek
O godziwy pochówek. (s. 18, 19)

Te same jakości odnajdziemy w innych tekstach; są to na przykład: *Wiersz dla Ignacego Rymkiewicza (na jego pierwsze urodziny)*, *Jaśminy*, *Baudelaire według Courbeta*, *Upiór* lub *Für Elise (na temat z Beethovena)*. Pouczający z tego względu jest wiersz *Ostatnia piosenka nihilisty*. To w niej pojawia się teza szczególnie ważna dla poetyckiej epi-

stemologii Rymkiewicza. Kim jest nihilista? Otóż jest nim właściwie każdy z nas, człowiek wychowany w aurze zaufania do rozumu, wierzący w to, co „nuci umysł". Cerebracja, intelektualizm, wydaje się mówić poeta, wiodą prostą ścieżką do nihilizmu, który w wierszu polega na destrukcji sfery metafizyki, sacrum, myślenia eschatologicznego:

Tam nie ma nic tam nie ma nic
Tak rozum w głębi czaszki nuci
Czekając kiedy czarna krew
Z gardła i z uszu mi się rzuci [...]

Jest tylko krew i więcej nic
A reszta to jest wielka ściema
Krew – która się na strzępy drze
I wisi w strzępach gdy nic nie ma. (s. 23)

Bohater liryczny podkreśla dramatyczny rozziew między własnym rozumem a „mi" – psychofizyczną jednią wykraczającą poza umysł poprzez cielesność, z której jednak nie ma wyjścia, „nie ma drzwi". Szczególnie dramatyczne wydaje się owo podwójne zamknięcie – po pierwsze w sferze uogólniającej refleksji o naturze istnienia człowieka i jego przerażających przeznaczeniach, po drugie w samej biologiczności, która jest czystą „mechanistyczną" fizjologią.

Wierszem sąsiadującym z powyżej opisanym jest *Obok mnie śnią się brzozy*. Tekst ów wykorzystuje, już wcześniej rejestrowane w tej twórczości, pomysły George'a Berkeleya. Dzięki nim buduje jeszcze jeden poetycko-teologiczny dyskurs. Świat jako całość istnieje dlatego – uczy biskup Berkeley – że jest postrzegany przez Boga. W gruncie rzeczy, przypomina Rymkiewicz, może być przez Boga śniony. Jeśli On istnieje, właściwie do tego jest potrzebny, sugeruje autor *Mojego dzieła pośmiertnego*. Bohater wiersza mówi: „Jeżeli jest Bóg – to jestem przedmiotem w śnie Boga". Dodaje, że byłoby o wiele lepiej, gdyby wszystkie rzeczy tego świata istniały rozumnie, miały zadekretowany jakiś sens, który (w domyśle) budowany bywa na jawie, a nie we śnie. Paradoks polega bowiem na tym, że człowiek powinien śnić swoje istnienie chociażby po to, by śniąc – przeczuwać swoje „trumienne" przeznaczenie, rozumiane często jako inny rodzaj snu.

Wydaje się, że figurą rozrywającą fatalizm przywoływanych obrazów z ich dramatycznym „okołotrumiennym somatyzmem", jest ewangeliczny opis powtórnego przyjścia Chrystusa. Rymkiewicz buduje szczególną dialektykę poprzez stworzenie opozycji Bóg (Jahwe) – Chrystus. Ów stan rzeczy uzmysławia trochę wizjonerski, ortodoksyjnie przy tym chrześcijański wiersz *Powtórne przyjście*. W siedmiu dystychach tekstu pojawia się, trochę jak *deus ex machina*, obraz ukazujący ową „drugą stronę". Co ciekawe, jest ona obecna tutaj – w naszym *continuum* czasowym i przestrzennym. Chrystus, przychodząc po raz wtóry, dokonuje aktu powołania do życia tych, którzy umarli. Tak więc Bóg – stwórca świata i jego ontologiczny fundament – odpowiedzialny przecież i za całe zło stworzenia, symbolizowane głównie przez śmierć i rozkład ciał – w osobie Chrystusa uchyla straszność owego stanu rzeczy, uwalniając z okowów trumien zmarłe ciała:

Zgnilizno – to nie koniec jest twojej przemiany
Padlinie martwym krukom chleb będzie rozdany.
(s. 35)

Opisywany wiersz nie stanowi jednak puenty tomu *Pastuszek Chełmońskiego*. Jest tekstem osiemnastym z kolei. Możemy potem przeczytać jeszcze trzy wiersze z kulturowymi nawiązaniami w tle (dotyczą one *Don Giovanniego*, obrazu Baudelaire'a oraz *Grobu Agamemnona* Słowackiego) oraz kończące tom, osobno wydzielone, *Sześć wierszy dla Orfeusza*. Tak więc utwór, który mógłby być efektowną kodą przełamującą wielki pesymizm zbiorku, jest jednym z wielu możliwych zapisów dręczących poetę wątpliwości. Podkreślmy to mocno – nie najważniejszym.

Na podobieństwo tomu wcześniejszego *Do widzenia gawrony* autor wydziela – jak wspomniałem wyżej – osobny cykl wierszy,

tym razem poświęconych Orfeuszowi. Ów poetycki gest nie jest przypadkowy. Przeciwnie – tworzy najbardziej istotny zestaw światopoglądowych sugestii oraz artystycznych przekonań Rymkiewicza. Wraz z tomem z roku 2006 buduje artystyczny dyptyk. Co prawda poeta w 2010 roku wydał *Wiersze polityczne*, ale opisują one w większości zupełnie inny obszar jego zainteresowań, mimo wszystko marginalny, i z punktu widzenia piszącego te słowa niewnoszący istotnych treści do omawianych w recenzji problemów, a w dodatku sentymentalizujący przekaz.

W cyklu sześciu wierszy o Orfeuszu dominuje transgresja – ściślej, pewien rodzaj tęsknoty za nią. Owa transgresyjność wpisuje się do pewnego stopnia w to wszystko, co wiemy o Rymkiewiczu jako poecie piszącym o kryzysie europejskiej metafizyki. Dyskurs zostaje zastąpiony przez ujęcie mitologiczne, racjonalizm przez ezoterykę i misteryjność. Znów pojawia się Heraklit; to jego słowa czyni Rymkiewicz mottem do drugiego wiersza cyklu *Wyjście Orfeusza*. Cytat brzmi następująco: „Wszystko, co widzimy, przebudzeni, jest śmiercią, zaś wszystko, co widzimy śpiąc, jest snem". Kazimierz Mrówka dokonuje innego przekładu owego fragmentu z Heraklita, bardziej filologicznego: „Śmierć jest tym, co widzimy przebudzeni; sen zaś jest tym, co widzimy śpiąc". Zwracam na to uwagę nieprzypadkowo. Rozumienie wybranego cytatu ma bowiem znaczenie kluczowe dla idei zawartych w orfickim minicyklu Rymkiewicza. Wspomniany autor przekładu dokonuje następującej wykładni owego fragmentu:

> Przebudzenie jest symbolem poznania. Śmierć natomiast wydaje się tu nazwą dla przepływu rzeki. Chodzi więc dokładniej o proces umierania. Z tego wynika, że przebudzony, *resp.* widzący śmierć, jest tym, który poznał prawdziwą ontologiczną naturę świata. Człowiek pogrążony we śnie to człowiek biorący iluzję za prawdziwą rzeczywistość, życie za *jest*. Przebudzony natomiast widzi, że samo życie jest, „dziełem śmierci".

Kończący wiersz dystych: „To czym pluje Orfeusz to krwawe popioły/ Tygrys który go zgwałcił idzie na pół goły" w sposób dramatyczny puentuje poetycką wykładnię całego cyklu. Oto człowiek prawdziwie przebudzony, symbolizuje go Orfeusz, pieśniarz poddany podwójnej próbie śmierci (był u Hadesa po Eurydykę, został zabity przez menady), dostępuje wtajemniczenia. Życie co prawda jest snem, ale jest przede wszystkim procesem umierania. Sam akt śmierci, symbolizuje go półgoły tygrys, to nic innego jak naga przemoc pierwotnych, niekontrolowanych sił natury. Misteria orfickie dobitnie to wtajemniczonym uświadamiały. Pokazywały jednocześnie inny, pozabiologiczny porządek rzeczy, ściślej – uwikłanie ludzkiej duszy w materię i wynikające stąd eschatologiczne skutki, na przykład konieczność wcielania się duszy w kolejnych cyklach egzystencji. To, co orfickie, dodajmy, łączy się z dionizyjskim. Wprowadza dzięki Orfeuszowi, podkreślmy, do kultu boga winnej latorośli pierwiastek racjonalny, a nie orgiastyczny. Orficy, pisze Andrzej Milewski, „zamienili orgie na *katharsis* – technikę oczyszczenia, której uczył Apollon". Ważny z tego względu jest czwarty wiersz cyklu *Gustave Moreau, Głowa Orfeusza (1865)*. Czytamy:

> *Jestem fabułą wieków narracją planety*
> *Moje arterie pragną pieszczot tej kobiety*
>
> *Wtedy mój język dziecko zrobi w jej macicy*
> *Które będzie przekleństwem waszej okolicy*
>
> *Dziecko mego języka lustro mojej twarzy*
> *Wyjęte z tej kobiety jak z krwawych bandaży*
> *[...]*
>
> *Tak niepotrzebne światu nikomu na świecie*
> *I ono wam zaśpiewa pieśń której nie chcecie.*
> (s. 49,50)

Tradycja orficka staje się sposobem zapisu zrozumiałej tęsknoty. W dobie pogłębiającego się kryzysu poezji rozumianej jako forma społecznej wymiany myśli, idei, prze-

konań i obsesji Orfeusz staje się patronem tego, co odrzucone, a niezbędne dla trwałości kultury. Staje się patronem tego, co w istocie ludzkiej wymyka się oczywistości, jest tajemnicą, ciemnością, atawizmem. Znów czyni człowieka zagadką dla samego siebie. Oto Rymkiewiczowa wykładnia potrzeby metafizyczności. Na jej straży stoi artysta; dzięki niemu powtarza się na nowo, za każdym razem nieco inaczej, historia ludzkich wtajemniczeń w piękno oraz grozę życia, w dramat przemijania, miłości i śmierci.

Mariusz Kalandyk

Jarosław Marek Rymkiewicz, *Pastuszek Chełmońskiego*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2014.

Ewelina Radion

GOŚCINA I INNE BIESIADY

Gościna i inne utwory (2013) to tytuł książki poetyckiej Franciszka Magudera (1940-1988), która ukazała się dopiero po dwudziestu pięciu latach od śmierci autora. Jednakże Maguder nie jest pisarzem zupełnie nieznanym. Debiutował w roku 1969 utworem *pożegnanie ziemi*, a następnie, do lat siedemdziesiątych XX wieku, ogłaszał, dość regularnie, wiersze w czasopismach („Wiadomości Literackie", „Wieści", „Profile", „Widnokrąg", „Nowe Tempo"). Jego utwór *na odjazd brata ze wsi rodzinnej do systemów liczbowych* trafił do antologii *Wiersze z Rzeszowskiego* (Lublin 1974).

Po przedwczesnej śmierci Magudera pamięć o jego wierszach podtrzymywała incydentalnie redakcja strzyżowskiego pisma „Waga i Miecz", publikując w latach 1993 i 2003 kilka jego utworów. Kontynuacją zamierzeń, by ocalić od zapomnienia twórczość poety z Glinnika, są starania podejmowane przez Kazimierza Maciąga, dawnego ucznia poety, zwieńczone wydaniem omawianego tomu. Zanim jednak zbiór ten stał się dostępny szerszej publiczności przez niemal ćwierćwiecze pozostawał w formie maszynopisu w archiwum żony autora, Heleny Maguder. W drugiej części tomu znalazły się niepublikowane dotąd utwory pisarza oraz fragmenty jego diariusza, które redaktor książki zdecydował się opublikować, uważając – co zanotował w *Uwagach edytorskich* – że zasługują one na druk.

Jednak wydanie zbioru *Gościna i inne utwory* to nie tylko – wskazał Zenon Ożóg w posłowiu – „serdeczna pamiątka po poecie, nauczycielu i przewodniku, to wydobycie i utrwalenie rozproszonego i zapomnianego dorobku literackiego twórcy wywodzącego się z Podkarpacia, związanego z tym regionem przez swoje całe życie". Dorobku cennego również dlatego, że kwestie pozostające w centrum uwagi autora, chociaż zostały odmalowane w scenerii należącej do przeszłości, tyczą się problemów uniwersalnych i, może się wydawać, wciąż aktualnych.

W tych wierszach, a także na płótnach artysty (reprodukcja obrazu *Żniwa* znajduje się na pierwszej stronie okładki zbioru), odnajdujemy świat podległy bytowi wiecznemu, nieprzemijającemu, prawie wszechwładnemu. Jest nim upersonifikowana „pani nasza Natura", „ziemia matka zielona" (*lubimy żyć*), opiekuńcza, życiodajna, groźna, choć „bezbronnie hojna" (*ziemia*) *Magna Mater*, która czuje, myśli, cierpi, marzy, niepokoi się lub – niczym złowróżbna prorokini – „śni swoje przyszłe przerażenia" (*pod dachem świata*). Mimo swej niewątpliwej potęgi, nie uczestniczy w akcie stworzenia świata. Góruje nad nią byt całkowicie niezależny, absolutny, ale też nieokreślony, gdyż istnienie Boga, choć pożądane, nie jest bezsporne (*śmierć ojca*).

Bliższa człowiekowi, bo sensualnie przez niego doświadczana, a więc pewna i niezawodna, jest natura – reprezentantka sił wyż-

szych. Godna zaufania nauczycielka, wykładająca ze swej „mądrej księgi" (*lubimy żyć*) prawidła rządzące światem materialnym („wiem od ciebie kalino // jak dobrze kwitnąć wiosną // i owocować w swojej ziemi"; *powrót*) i rzeczywistością pozazmysłową. Podpowiadająca, że w pierwszych płatkach śniegu można dostrzec pojednanie się przeciwstawnych sobie kategorii: „bieli i czerni" (*pierwszy śnieg*), a w wysiłkach wyrywającego się do lotu ptaka – ambicje uczniów pragnących odmienić świat na lepsze (*ptak wyrywający się z ręki*). „Przedziwną delikatnością ogromnej natury" odznacza się także wiatr, „hulaj brat", który „trąca cię // byś się odchylił troszeczkę od siebie" (*wezwania*), a życiodajna woda uczy „bez końca // czystości prac i dusz" (*wodo, wodo*).

W tej lirycznej kosmogonii pominięto akt kreacji, aby punkt ciężkości mógł być przesunięty na moment, w którym dzieło stworzenia zostało przekazane ludziom. Dokonują tego „starzy mieszkańcy świata // deszcz i wiatr". To oni „oddali kiedyś ziemię człowiekowi" (*dom*), zaprosili go na „gościnę najgościnniejszą" (*na globu naszego dojrzewalni*), „na mleko na pszenice // na zielone kipiące wino świata // i na obrazy w licznych kolorach" (*lubimy żyć*).

Urok darowanego miejsca zatwierdzają „otwarte na oścież pastwiska" (*na odjazd brata ze wsi rodzinnej do systemów liczbowych*), „świerszczowe zagonki", ogólny – prawie Leśmianowski – „triumf zielny" (*tatarskie ziele*). O tym zwycięstwie przesądza u Magudera rozpościerający się wokół las: dęby, brzozy, wierzby i olcha, która, niczym czarodziejka, odprawia „w kępach nocne gusła" (*dzień*). Zielone pejzaże współtworzą jeżyny, tatarskie ziele, kaliny, jaskry, będące – jak u Józefa Czechowicza – znakiem świata magii – oraz polna mięta, zioła i łany zbóż, rosnące pośród „dziadkowych pól" (*deszcze*), czyli na Pogórzu Strzyżowskim, gdzie autor wierszy urodził się i spędził dzieciństwo.

W tej niemal mitycznej scenerii mają więc szansę prawidłowo wzrastać i następować po sobie kolejne pokolenia, złączone wspólnym szacunkiem dla ziemi, ciężką pracą i miłością do pozostawionej przez przodków schedy, którą, rozumiejąc także w szerszej perspektywie, należy – czytamy w utworu *ojczyzna* – „ujmować w czułe ręce // jak w brzegi zielone // przyspieszać nurt pośpiechem serc // domierzać w potrzebie dopływem krwi // i czuwać też nad jej zwykłą czystą wodą // bo gdy jej zabraknie // nie zapłacą za nią // wszystkie odkryte ameryki świata // żadne słone oceany".

Świadomość niezliczonych łask, jakich doznaje człowiek goszczący na ziemi, idzie w parze z bolesną konstatacją, iż w drugiej połowie XX wieku jedynie przyroda zachowała kontakt z rzeczywistością sacrum. Tylko „drzewa // mnichy świata" (*drzewa*) pozostały szczere i piękne. Ludzie zaś zdeprecjonowali wartość modlitwy („my // którzyśmy już tyle zabili // modląc się // i tyle namodlili zabijając; *drzewa*), a przy tym stali się obłudni, podejrzliwi, zachłanni, bezduszni jak „kukiełki z mechanizmu" (*póki jeszcze ziemia*), jak „Żer-Szczur", jak nieokrzesany, obcesowy przybysz, który nie okazuje należytego szacunku gospodarzom i nie potrafi „gościć [się] [...] // świętować ze światłem i zielenią" (*co nam przychodzi z pól*).

Wysiłki przyrodnika z wiersza *sen* – o cechach wytrwałego wychowawcy, pozostającego pod urokiem duchowości świętego Franciszka z Asyżu, imiennika poety – nie przynoszą żadnych skutków. Pomimo jego starań, by nauczyć tych „gości // jak się z przyrodą matką gościć", zagłada okazuje się nieodwracalna. Tym bardziej, że zapowiedziały ją klątwy, przekleństwa, złowróżbna „beczka Pandory" (*beczka Pandory*), „myśl złowieszcza" (*sen*), niepokojąca obecność kruka, „czarnego proroka" (*pragnienie ptaka*), oraz złych duchów, przybierających kształty Martwoty lub tajemniczej Czytelnicy, które – podobnie jak w wielu mitologiach

i *Apokalipsie* Świętego Jana – zazdroszczą matce potomstwa i czyhają, by porwać jej dziecko zaraz po narodzeniu („ledwo się narodził // a ona już stoi w progu // wpatruje się już w kołyskę"; *czytelnica*).

Ostateczny koniec nadchodzi wraz z nieumiarkowaną biesiadą („a chciwy żer jak pies u nogi // ślepy i dziki // patroszy wyrywa z korzeniami"; *co nam przychodzi z pól*), na której „obrócił gość gościnę twoją ziemio w żart" (*na globu naszego dojrzewalni*). Apokalipsa spełnia się, gdy matka-ziemia jest „rodzinnie zakatowana" (*póki jeszcze ziemia*), gdy „na pół żywa // ze wstydem spustoszoną kryje twarz" (*co nam przychodzi z pól*), a „mordowany strumień", wzywając bezskutecznie pomocy, umiera (*wołał mordowany strumień*). Stąd też „dudni głucho studnia" (*wodo, wodo*) i „wzbiera martwy ocean" (*wszystko co idzie do człowieka*). Nieprzebrane piękno przyrody wyczerpuje się, „pozaglodzonych świateł ledwo tli się blask" (*na globu naszego dojrzewalni*), przy trumnie zmarłej ziemi „zawodzi [...] sam żałosny wiatr", a pole „ogłuchło jak żałobny majak" (*na globu naszego dojrzewalni*). Wtedy światem władają żerujące szczury, głodne wszy, „żmija złego pioruna", krety zdążające do „jądra ciemności" (*być kretem*), a nade wszystko znaki dwudziestowiecznej cywilizacji: tryby, izolacje, „asortymenty handlu" i chłodne, matematyczne, czynione w pośpiechu kalkulacje (*powrót płomienia do jury*).

Jednak „pożegnanie ziemi", które zdaje się motywem przewodnim twórczości Franciszka Magudera, to nie tylko rozstanie z gniazdem rodzinnym (*na odjazd brata ze wsi rodzinnej do systemów liczbowych*) czy utrata kontaktu z nieskażoną naturą (*pożegnanie ziemi*). To przede wszystkim zerwanie więzi z pierwotnym, naturalnym porządkiem świata, a więc kwestia, która – zauważona przez artystę i odnotowana kilkadziesiąt lat temu – dzisiaj, na początku XXI stulecia, jakby straciła na znaczeniu. Toteż wiersze poety z Glinnika muszą skłaniać do refleksji „nad współczesnym światem, kondycją człowieka i jego stosunkiem do podstawowych wartości", którą sformułował w posłowiu Zenon Ożóg.

Ewelina Radion

Franciszek Maguder, *Gościna i inne wiersze*, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza", Rzeszów 2013.

Anna Jaworska

W OCZEKIWANIU NA DESZCZ

Spękana ziemia oczekuje życiodajnego deszczu. Spod uschniętych traw wyłaniają się porozrzucane kamienie. Na jednym z nich leży znieruchomiała jaszczurka wygrzewająca się w słońcu. W powietrzu unoszą się echa dawnych hymnów na cześć bóstw. Kilka kilometrów dalej toczy się zwyczajne życie – anonimowi przechodnie przemierzają hałaśliwe ulice, nie w złoconych hełmach, lecz w sztruksowych spodniach. Słychać dźwięk klaksonów i odgłosy rozmów. Na zatłoczonych straganach plastikowe stoliki uginają się pod ciężarem kolorowych koszulek, magnesów, figurek i kubków z wizerunkami Spartakusa lub greckich filozofów. Tak dziś wygląda mityczna Hellada. Gdzie podziały się klasyczne wartości? Czy jest jeszcze dla nich miejsce we współczesnym świecie zdominowanym przez media i kulturę popularną?

Takie pytania zadawał swego czasu Zbigniew Herbert w esejach *Labirynt nad morzem*. Odpowiedzi na nie poszukuje na mniejszą skalę i bez wzniosłości Dariusz Dziurzyński, poeta i wykładowca uniwersytecki, w swoim najnowszym tomiku *Epitafia. Remake*. I choć wątki antyczne pojawiały się również we wcześniejszych publikacjach autora, chyba w żadnej starożytność nie odgrywała tak widocznej roli. Świadczy już o tym

nietuzinkowa okładka książki, przypominająca popękaną i spieczoną ziemię Półwyspu Peloponeskiego. Także jej tytuł niesie ze sobą wyraźne konotacje ze starożytnością.

Epitafium jest bowiem formą, która ukształtowała się w Atenach w V w. p.n.e. w czasie wojen grecko-perskich, kiedy to służyła utrwaleniu pamięci o poległych żołnierzach. Wydaje mi się, że nadanie nowej wersji debiutanckiego tomiku tytułu *Epitafia. Remake* stało się ciekawym rozwiązaniem, gdyż zestawienie nazwy krótkiego napisu nagrobkowego powstałego w antyku ze współczesnym angielskim terminem, odnoszącym się głównie do stworzonych na nowo filmów oraz gier komputerowych, a więc wytworów ostatnich dekad, trafnie oddaje tematykę dzieła, w którym nieustannie ściera się przeszłość z teraźniejszością oraz to, co umarłe z tym, co wskrzeszone.

Na kartach tomiku czytelnik może więc spotkać zarówno parę siedzącą na ławce w parku, jak postaci historyczne i mitologiczne – zamyśloną Safo, Mojry przędące nić ludzkiego życia, wyrocznię zajętą gaszeniem ogniska oraz boginki ukryte w zacienionych grotach. Odgłosy gwarnego Paryża przenikają się z ciszą mitycznych ogrodów, a melodyjny język francuski dopełnia pieśni Homera. Autor zaprasza również na spacer „na nutę Szymborskiej", na śniadanie, na łyk parującej kawy. Świadkami zdarzeń są koty – ocierające się o nogi i turlające papierowe piłeczki. Podczas lektury wiersza *Skandalista* przenosimy się na koncert wokalisty prowokującego publiczność kontrowersyjnym zachowaniem. Utwór ten pod wieloma względami bardzo przypomina wiersz Zbigniewa Herberta *Pan Cogito a pop*.

Jednak wątki mitologiczne oraz antyczne nie są jedynym śladem czasów minionych. Poeta podejmuje także dialog z innym fundamentalnym dziełem kultury europejskiej – z Biblią. Ręka kreśląca na ścianie „Mane. Tekel. Fares", żona Lota zamieniona w słup soli, biały gołąb na parapecie, milczenie Nego, posłuszeństwo Abrahama, opis miłości rodem z *Pieśni nad Pieśniami* – to tylko niektóre z licznych nawiązań biblijnych w *Epitafiach. Remake*. Co więcej, autor nie tylko zestawia współczesną rzeczywistość ze światem ukazanym w Starym i Nowym Testamencie, ale także pokazuje, jak w ciągu wieków zmieniało się podejście do wiary i obrzędów religijnych – od średniowiecznej pewności przez nowoczesne zwątpienie czy wręcz negację do ponowoczesnego głodu duchowości.

Nie bez przyczyny więc w lirycznych przestrzeniach często pojawiają się obiekty sakralne oraz miejsca kultu – zarówno chrześcijańskie, jak i pogańskie. Na szczególną uwagę zasługuje wiersz *Katedra*, w którym przedstawiona została lwowska świątynia znajdująca się przy ulicy Ormiańskiej. Warto podczas lektury wspomnianego utworu przyjrzeć się bliżej architekturze tytułowej budowli, gdyż gotyk – obok antyku i Biblii – nabiera w nowej publikacji Dariusza Dziurzyńskiego wyjątkowego znaczenia.

Warszawski poeta na różne sposoby odwołuje się do owego stylu architektonicznego. Czyni to werbalnie w wierszu *Genre*, gdzie używa sformułowania „gotyk na dotyk" będącego hasłem promującym Toruń słynący z średniowiecznych zabytków. Stosuje także komunikaty niewerbalne, takie jak struktura dzieła i jego szata graficzna. Tomik, na wzór gotyckiej katedry, ma bardzo uporządkowaną konstrukcję – składa się z pięciu części, w tym prologu i epilogu. Pierwsza strona każdej z nich opatrzona jest cyfrą rzymską oraz ilustracją przedstawiającą maswerk, czyli dekoracyjny wzór architektoniczny zdobiący najczęściej okno, rozetę lub wimpergę. Co ciekawe, zamieszczone w książce wzory dekoracyjne istnieją w rzeczywistości. Na przykład maswerk widniejący na pierwszej stronie trzeciej części pochodzi z wczesnogotyckiego klasztoru cystersów w Bebenhausen w Niemczech. Z kolei maswerk, którego fragment jest niejako motywem przewodnim

tomiku, ponieważ pojawia się na okładce, karcie tytułowej, na pierwszej stronie epilogu oraz jako łańcuszek w żywej paginie, zdobi okno paryskiego kościoła Saint-Séverin stanowiącego znany przykład gotyku płomienistego. Przy dokładniejszej obserwacji grafik czytelnik może dojść do innych interesujących wniosków – oto do zawartych w tomiku maswerków doczepione zostały drobne kółeczka, a więc są one niczym innym jak... breloczkami. Znów zatem jesteśmy świadkami ścierania się teraźniejszości z przeszłością. Ponadto na odwrocie strony tytułowej poprzedzającej prolog znajduje się fotografia przedstawiająca sklepienie gwiaździste.

Podobnie jak w konstrukcji gotyckiej świątyni, matematyka służy w *Epitafiach. Remake* wyrażaniu treści symbolicznych. Liczba części nie jest więc przypadkowa, gdyż odsyła do pięciu zmysłów, jakich używa człowiek do postrzegania świata. Zamieszczone w tomiku wiersze oddziałują bez wątpienia na wszystkie z nich, ponieważ są dziełem bacznego obserwatora rzeczywistości. Jest on również erudytą, człowiekiem oczytanym, posiadającym wiedzę dotyczącą historii, filozofii, literatury, muzyki czy malarstwa. Postawa światopoglądowa poety nie jest jednak jednoznaczna. A wszystko za sprawą nuty ironicznego dystansu w wielu utworach. Nie ulega jednak wątpliwości, że Dariusz Dziurzyński tworzy poezję intelektualną, pełną cytatów, aluzji oraz peryfraz, wymagającą od czytelnika zaangażowania i wiedzy kulturalnej, co nie wyklucza dekodowania tych wierszy z satysfakcją również na poziomie pozaintertekstualnym.

Podmiot liryczny to człowiek pragnący odnaleźć stałe oparcie we współczesnym świecie pełnym wielu możliwości, tęskniący za czasami, w których niczego nie podważano. Poszukuje odpowiedzi na pytanie, co kieruje naszym życiem: przypadek czy przeznaczenie. Zastanawia się także nad spotkaniami oraz nad ich rolą w odgórnym planie. Diagnozuje choroby współczesności, w której „grzech potaniał", a praca ani nie uszlachetnia, ani nie czyni wolnym. Snuje także refleksje o miłości, linearnym szczęściu, poezji oraz rozdźwięku między nią i zwykłą codziennością.

Być może właśnie dlatego stara się dostrzec w swoim otoczeniu odrobinę magii oraz niesamowitości, tak jak ma to miejsce w wierszu *Zwiastuny,* gdzie realność przenika się z cudownością – oto następuje zaćmienie słońca, dwa księżyce świecą w dzień, prządki sprzedają kordonki, czarne koty wskakują między buty, a sroka odlatuje z gwiazdą w dziobie. Jest także jednostką lubiącą napawać się tajemniczą atmosferą, jaką wytwarza rozciągające się nad horyzontem nocne niebo pełne małych świateł spadających czasem między poziomki. Potrafi również odnaleźć w realności motywy bajkowe – Gerdę rozmawiającą z Kajem, młodzieńca wrzucającego gwiazdy do jeziora, straganiarkę zachwalającą „gestem węża" rajskie jabłka czy Maeterlinckowską księżniczkę najedzoną do syta w wierszu *Stérilité.*

Podczas lektury tomiku towarzyszyło mi nieodparte poczucie, że podmiot liryczny odlicza dni, zupełnie jakby na coś czekał – w wierszu *Mitologia* padają następujące słowa: „Wszystko jest kwestią odwagi i czasu", w *Liście* ostatni wers brzmi: „Tylko dwa dni do końca", w *Kronice* liczone są kolejne czerwcowe dni, zaś w *Portrecie Arnolfinich* czytamy: „Gdy pozujemy już tak siódmy dzień". Czego jednak wyczekuje? W wierszu *Nazajutrz*, który pod wieloma względami wydaje mi się kluczowym tekstem całego tomiku, pada odpowiedź – deszczu. Może być on symbolem odrodzenia, oczyszczenia, łaski lub wartości, które orzeźwiłyby współczesny świat przypominający spękaną, spaloną ziemię. Jednak nie tylko. Myślę, że każdy z nas w głębi duszy czeka na jakiś deszcz, o czym poeta opowiada w wierszu *Nazajutrz*:

Trzeciego dnia wzeszło słońce
i nastał dotkliwy upał. [...]

Dojrzałe oliwki marszczyły skórę
a ziemia pękała jak glina. [...]

Wtedy udałem się do świątyni
żeby wybłagać deszcz.

Epitafia. Remake to inspirujący tomik, łączący w sobie wielość wątków, motywów i tradycji. To pięćdziesiąt jeden wierszy dryfujących między teraźniejszością i przeszłością, nowoczesnością i antykiem, cudownością i realnością, między światem ducha i materii, między mrożącym chłodem krainy Królowej Śniegu i rozpalonym słońcem greckich wysp.

Anna Jaworska

Dariusz Dziurzyński, *Epitafia. Remake*, ANAGRAM, Warszawa 2013.

Edyta Kulczak

LĘK PRZED PUSTKĄ

Wydany w 2013 r. tom Marka Czuku, zatytułowany *Nietrwała kompozycja*, jest wyborem tekstów. Dokonała go Malgorzata Juda-Mieloch, która opatrzyła książkę wstępem. Zamieszczone w niej wiersze pochodzą z ośmiu poetyckich tomów autora, począwszy od jego debiutu z 1989 r. *W naszym azylu*, skończywszy na wydanym w 2012 r. tomiku *Facet z szybą*. W wyborze tym znalazło się także siedemnaście wierszy niepublikowanych wcześniej w wydaniach książkowych. Podtytuł tego zbioru brzmi: *Wiersze metafizyczne i religijne*. Otwiera go *Prolog*, kończy zaś *Epilog*, pomiędzy którymi pogrupowano utwory w trzech częściach: *Pragnienie*, *Horror vacui*, *Zawsze jest światło*.

Tomik rozpoczyna wiersz *Rozbitek*, który zapowiada rozpoczęcie poszukiwań. W duszy podmiotu lirycznego pustka, brak nadziei i rezygnacja. Rozbitek jest ofiarą katastrofy morskiej, a w utworze tym występuje w znaczeniu człowieka rozbitego wewnętrznie, pozbawionego oparcia w czymś trwałym i stałym. Bohater wiersza jest otoczony nie przez wodę (symbolizującą życie i odrodzenie), a przez czas, w którym zanurzony „wysyła znaki donikąd". Słowa te można tłumaczyć dwojako: albo podmiot nie wierzy w powodzenie misji wysyłania, albo nie ufa w istnienie miejsca, do którego jego znaki mogłyby dotrzeć.

Początek wiersza o odważnym tytule *Nie ma Boga* parafrazuje opowieść o dobrej nowinie z Betlejem, lecz zamiast niej – jest zła, zamiast w żłobie leży narodzony – „na ulicy leży człowiek". Biblijna historia zostaje przetransponowana we współczesne czasy i miejsca, w które wpisane są narodziny Boga i jego ukrzyżowanie. Cham uderza kamieniem Sema, „człowiek / zgina plecy, / krzyż go boli", jest przybity i w konsekwencji – „nic nie ma na ulicy". Bardzo czytelny jest pesymizm wiersza, otwierającego pierwszą część tomu. Człowiekowi opadają ręce i uginają się nogi. Nie ma Boga w życiu codziennym, z Betlejem nie rozchodzi się dobro, lecz zło, ludzie rzucają w siebie kamieniami, są głodni, źli i egoistyczni. W zamieszczonych w pierwszej części utworach zwraca uwagę nagromadzenie sformułowań i pojęć obrazujących klęski, zbrodnie i wojnę: głód, kradzież, skakanie do gardła, nędza, martwe twarze, spustoszone miasta i wsie.

Podmiot wierszy przyznaje się do egoizmu i zapatrzenie w siebie: „Świat rozpocznę / od herbaty i jajecznicy [...] // Za dużo mnie we mnie" (*Świat rozpocznę*, s. 16). Człowiek zdany tylko na siebie i zagubiony w chaosie życia staje się bezradny („Bezskutecznie staram się nadążyć / za prześcigającymi się wydarzeniami"), język książek „coraz częściej / przypomina uliczny zgiełk" (*Zapominam swoje imię*, s. 17). Bóg natomiast jest bezsilny tak jak człowiek. A może Bóg jest człowiekiem? Albo Go nie ma?

„wszystko je(st) dno"
on nie jest Panem

on skubie palce
tak samo jak ja

2. cudu nie było
[...]
czemu mnie opuściłeś.
(*Twój upór*, s. 20-21)

W obliczu braku Boga człowiek jest samotny, boi się obnażenia prawdy o sobie. Istnienie staje się bezsensowne, tworzy je koło przewidywalnych czynności, a ostateczność (śmierć) jest bagatelizowana:

kiedy wszystko
mi odejmą

pozostanie cmentarz

moich wierszy
nienapisanych.
(*Śmierć urojona*, s. 25).

Postawa filozoficzna podmiotu lirycznego jako zdystansowanego do rzeczywistości obserwatora antycypuje nieuchronną apokalipsę (*Apokalipsa*, s. 31), widzi on bowiem świat podzielony na tych dobrych, którym przypisuje ciszę, i na złych (towarzyszy im hałas, zwiastujący kosmiczny koniec). Kolejny wiersz kontynuuje tę katastroficzną wizję, pojawia się w niej dodatkowo symbolika „żywego światła" jako chowanego w zakamarkach dobra (*Potem*, s. 34). Pętane, kamuflowane w najskrytszych obszarach głębi, zacznie się w końcu zrywać z łańcucha, co zwiastuje nadzieję.

Część zatytułowana *Horror vacui* (w języku łacińskim oznaczającego lęk przed pustką) opowiada o szukaniu Boga. Pojawiające się w niej eschatologiczne rozważania zobrazowane są motywami dzieci, zwierząt oraz elementów natury – jako symboli czystości, nieskalania, bezgrzeszności, pierwotności. Przedstawione w wierszu *W zaciszu gabinetów* (s. 37) „dziecko w nas" pragnie szczerości oraz wiary w system wartości oparty na dobru, którego szuka w świecie. Ale sceptycyzm każe podmiotowi lirycznemu wyglosić myśl, iż jest ono w tym naturalnym poszukiwaniu „skazane na samotność", która „dojrzewa w cieniu umierających idei". Szukaniu Boga towarzyszy przemienność tracenia i odzyskiwania wiary, nadziei, miłości, a nawet oskarżanie Go o nieangażowanie się życie codzienne.

Bóg jako synonim odwiecznego porządku narodzin, śmierci i zmartwychwstania – „w cierpieniu i bólu / kryje swoje credo". Poeta napisze w wierszu *Blue Sky (Pink Floyd)* (s. 72): „zawsze jest światło", a światło to przecież nadzieja. Jego pojawienie się zapowiada inwazję dobra:

Kończy się era, ale nie ziemia.
Liczy się jutro,
a przeszłość jest twoją moralnością.

Nie ma świata bez miłości,
więc nie trać sił na zło –
będziemy razem pełni wspólnoty.

Jesteś już wolny
dwa tysiące lat.
(*Inwazja dobra*, s. 71)

Bóg objawia się w zwyczajności życia – we współczesnym mieście, w innym człowieku, w dzieleniu się z nim tym, co mamy najlepszego. Podmiot liryczny wygłasza więc przesłanie: „żyj tak / jakby Bóg był // On ci się odwzajemni / tym samym" (*Moc niestworzonych rzeczy*, s. 87). W *Epilogu* pojawia się tylko jeden krótki, ale jakże charakterystyczny dla tomu *Nietrwała kompozycja* wiersz *Prawo Archimedesa*:

im bardziej uelastycznіam stanowisko
tym bardziej stałe mam poglądy

im bardziej tracę wiarę
tym silniej wierzę.
(s. 105)

Te słowa są wyznaniem dojrzałej wiary, która polega na zrozumieniu mechani-

zmów istnienia i akceptowaniu niedoskonałości człowieka, jego prawa do poszukiwań i wątpliwości.

Poetyka pomieszczonych w tomie Marka Czuku wierszy stanowi kalejdoskop form lirycznych – od sonetów, przez wyznania osobiste i lirykę zwrotu do adresata, po lirykę opisową. Napotkamy lingwistyczne zabawy, gry słowne, parafrazy znanych wątków i motywów literackich, przytaczanie frazeologizmów, sloganów i zwrotów kolokwialnych, wyliczanki i zgadywanki, cytaty, przysłowia, obiegowe sformułowania, będące wyrazem stereotypów w odbiorze rzeczywistości. Wszystkie te zabiegi budują wrażenie potoczności, zwykłości i oczywistości rozważań, z czym koresponduje semantyka i metaforyka utworów.

Poszukiwania metafizyczne Czuku rzadko wychodzą poza obszar powszechnych wyobrażeń, poeta nie stawia odkrywczych pytań i nie kreuje skomplikowanych religijnych wizji. Jego metafizyczne i religijne podróże są prywatne, ale mieszczą się w kanonie powszechnych dociekań. Prawdy głoszone są *a priori*, mają często formę pouczeń i sentencji. Podmiot liryczny nie stawia pytań, na które nie znalazłby odpowiedzi, nie pozostawia przestrzeni nienazwanej, która prowokowałaby do przemyśleń. Zdaje sobie także sprawę, że zapisane w wierszach rozumienie Boga i świata nie jest ostateczne (*Epilog*).

Tytuł tomu *Nietrwała kompozycja* zapowiada od samego początku chwiejność porządku, który łatwo zdezorganizować i naruszyć. Lęk przed pustką zawsze będzie prowadził do poszukiwania oparcia oraz odkrywania gmachu wartości o bardziej lub mniej solidnej konstrukcji.

Edyta Kulczak

Marek Czuku, *Nietrwała kompozycja. Wiersze metafizyczne i religijne*, wybór i układ Malgorzata Juda-Mieloch, Biblioteka św. Grzegorza z Nazjanzu, t. 1, Republika Ostrowska, Ostrów Wielkopolski 2013.

Gustaw Ostasz

PISARSTWO SAMORODNE

Rudolf Tadeusz Czerniak (ur. w 1938 r., w Długim Kącie na Roztoczu), mój krajan i kolega z józefowskiego liceum, nieco starszy ode mnie, jest pisarzem samorodnym. Debiutował, skończywszy lat sześćdziesiąt. Najnowszą książkę obdarzył wymownym tytułem *Notatki niepokornej duszy*. Ten tytuł przynosi dość ciekawą informację. Autor sporządzał swe „notatki" z potrzeby serca, jak kronikarz z charakterem. Nie tylko cenił prawdę zdarzeń, ale dbał o refleksję krytyczną o nich i o swoją, wewnętrzną, niezależność. Gdy czytamy te notatki wierszem, spostrzegamy, że ich liryczny podmiot-bohater, mając poczucie sensu i bogactwa własnej egzystencji, akcentuje radość i pasję życia, urzeczenie światem, również procesem poznawania.

Spośród form wypowiedzi pisarskiej wyróżnił mowę wiązaną, tradycyjny wiersz rymowany, częściej toniczny, rzadziej sylabotoniczny, zawsze klarowny pod względem stylu i brzmienia. Dlatego tyle tutaj piosenek. Prawdę mówiąc, to wszystko ujawniało się już we wcześniejszych publikacjach, różnolitych w aspekcie genologii, zawierających segmenty prostych, sprawnych fabuł – tak zwaną prozę – a obok nich partie wierszy narracyjnych, z reguły jakby zdobione, bo przekładane adekwatnymi fotografiami; w ten sposób dokumentowane.

Ściśle rzecz biorąc, to wszystko odzywało się z całą wyrazistością od razu, w pierwszej, dobrze zrobionej, erudycyjnej książce Rudolfa Czerniaka *Kamyki i ostańce. Opowiadania prozą i wierszem z Roztocza, znad Soły i Bałtyku* (Oświęcim 2002). Książce, w której informacja fabularna bazuje na

porządku czasowym zdarzeń, właściwym dla pism posażnych w asercję. Dzięki napomknieniom rejestruje ona wątki roztoczańskie z życia autora, jego lata dziecięce w Długim Kącie i szkolne, józefowskie, a potem biografię dalszą: studenta lubelskiej medycyny, marynarza, mieszkańca Oświęcimia; ten gród stał się dlań drugą, po Roztoczu, małą ojczyzną.

Paradoksalnie ujawniało się to również w dwu tekstach użytkowych, katalogach wystaw fotografii: *Długi Kąt. Okruchy historii ludzi i wioski z lat 1910–2010 na starej fotografii* (Oświęcim, Długi Kąt, Józefów 2010); *Były sobie OZNS-y. Krótka historia z dziejów Oświęcimia zapisana na fotografii* (Oświęcim 2011). Z zamieszczonymi tam fotografiami korespondują nie tylko stosowne, krótkie objaśnienia, ale i wiersze.

Ton myślowy i melodia języka (zakodowana w słownych warstwach brzmień) *Notatek niepokornej duszy* – niektóre z owych tekstów są piosenkami – mają swój ewidentny związek z dość barwną, niesztampową biografią lirycznego narratora-bohatera. Świadczą o tym ponad wszelką wątpliwość dwa, pełne zwierzeń i samoocen, teksty wstępne Rudolfa Czerniaka. Pierwszy: *Od autora*. Drugi: *Rudolf Tadeusz Czerniak. Biografia*. W każdym razie, ton myślowy i melodia słów i zdań tych wierszy są przez biografię jakoś organizowane i modelowane. Czytając, mimo woli poznajemy swoisty rezultat przetwarzania, sublimowania życia w literaturę, nade wszystko w sztukę słowa, poezję; owo przetwarzanie cechuje pisarzy samorodnych.

Stąd tyle tutaj wierszy wspomnieniowych, niekiedy delikatnie dowcipnych, operujących ironią, innym razem sentymentalnych, ujmujących miniony czas z oddalenia. Wierszy opatrzonych z zasady jakąś puentą, ułożonych w takie oto cykle tematyczne: *W naszym życiu znaczą wiele nieraz małe duperele*, *Szkolne lata małolata*, *Krajobrazy za mgłą*, *Morska wycieczka w kamaszach*, *Soczystość kwiatów najlepiej widać po burzy*, *Zwyczajne dni dojrzewają powoli*, *Nasz świat codzienny*, *Modlitwy*, *Świece pamięci*, *Życzenia*, *Pieśni i piosenki*.

Książka *Notatki niepokornej duszy* prezentuje się dobrze od strony wizualnej. Przyciąga wzrok. Jej wygląd zachęca, by nie tylko wziąć ją do ręki, ale także by czytać. Czytałem partiami. Doznawałem wtedy, po pierwsze, radosnych impresji stamtąd, z naszej małej – Rudolfa i mojej – ojczyzny. Po drugie – za sprawą napomknień – doświadczałem jakby powrotów do szkolnych lat józefowskich. A po trzecie, mogłem śledzić autobiografię kolegi, unaocznianą po męsku, mądrze, ciepło i dowcipnie. Po czwarte, jego miłość do ludzi i świata przyrody nie tylko Roztocza. Po piąte, jego wrażliwość duchową i estetyczną.

Znalazłem również inne wiersze, częściowo retoryczne, częściowo zaś sarkastyczne, które tę bardzo osobistą książkę spajają z rzeczywistością spoza literatury, wyzwalając w narratorze lirycznym i w czytelniku nieobojętną reakcję na ową rzeczywistość. To: *Chłopcy*, *Październik 1956*, *Pocztówka z PRL-u*, *Wolny emeryt*, *Żądza władzy*, *Chodziliśmy po tej ziemi*, *Historia z nadzieją w tle*, *Wielkość liczb*, *Fakty i prawda*, *W jakim my żyjemy kraju?*, *Spojrzyj na świat*, *Po coś Panie*, *Pod Osuchami*. Przyznać muszę, że te wiersze odbieram również jako mi bliskie. Odzywają się rytmem wielkiej historii, naszych plemiennych nadziei oraz złudzeń. Są ze wszech miar wiarygodne, zwłaszcza gdy pamiętamy o wierszach kontekstowych, które świadczą, że autor to człowiek radosny, chociaż ma duszę niepokorną.

Gustaw Ostasz

Rudolf Tadeusz Czerniak, *Notatki niepokornej duszy*, Wydawnictwo Literackie Białe Pióro, Warszawa 2014.

Paweł Wiktor Ryś

KNAUSGÅRD. PIERWSZE STARCIE

Moja walka. Księga pierwsza to – jak wskazuje podtytuł – premierowa odsłona autobiograficznego, sześciotomowego cyklu autorstwa norweskiego pisarza Karla Ove Knausgårda. Cyklu, który nie dość, że odniósł niebywały sukces komercyjny (statystycznie co dziesiąty Norweg ma na półce przynajmniej jeden tom), to jeszcze porównywany jest – zwłaszcza w zachodniej prasie – do *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta.

O ile ilość sprzedanych egzemplarzy można jeszcze „tłumaczyć" skandalem obyczajowym, który wybuchł przy próbach blokowania publikacji przez rodzinę pisarza (opisując „swoją walkę" opisał on bowiem – jak na opis walki przystało – dosyć drastycznie „swych bliskich"), o tyle trzeba przyznać, że (sypiące się na prawo i lewo) porównania z Proustem są już efektem przyjętej przez autora strategii. I nie chodzi mi tu wcale o rzeczywiste podobieństwa (zbliżone rozumienie roli sztuki) lub różnice (styl) z dziełem autora *W stronę Swanna*, ale o chwyt polegający na przebiegłym przywołaniu na początku powieści tytułu proustowskiego cyklu. O gest legitymizacji własnego projektu, próbę – jak się okazało udaną – wpisania go w wielką tradycję. Określenie zakresu, w którym ten metatekstowy (co tu szczególnie istotne) projekt należy czytać i ustanowienie reguł odbioru.

Jak bowiem podkreślają badacze dyskursu literackiego, dzieła literackie (zwłaszcza te znaczące) tematyzują swoje własne ukonstytuowanie. Knausgård wie to aż za dobrze i nie tylko narzuca nam określone sposoby czytania swojej powieści, ale także podrzuca, niby ukradkiem, nazwiska twórców i badaczy, które mogą być przydatne przy interpretacji. Tak więc na kartach powieści pojawia się m.in. Olav Hauge (którego dziennik liczący cztery tysiące stron jest tu ważnym kontekstem), Julia Kristeva (której analizy narcyzmu pasują jak ulał do osobowości protagonisty), czy choćby Jacques Lacan (którego koncepcja „wielkiego Innego" może być wytrychem do interpretacji relacji bohatera z ojcem).

Przywoływanie rozmaitych kontekstów, a jednocześnie wychodzenie poza nie, jawi się jako jeden z głównych sposobów prowadzenia tytułowej walki. Do jej opisu tyleż adekwatne są podsuwane przez samego autora tropy, co – bądźmy nieco przekorni – koncepcja „ja" romantycznego Agaty Bielik-Robson. Podmiot romantyczny jest, zdaniem filozofki, „tym, który zdobywa autonomię w walce o autonomię, a nie w arbitralnym akcie samostanowienia". Walka o wybicie się na podmiotową niepodległość odbywa się w omawianej powieści na dwóch płaszczyznach. Pierwszą jest płaszczyzna zmagań codziennych – rodzina, praca, społeczeństwo. Autor opisując w pierwszoosobowej narracji swoje dzieciństwo, dorastanie, relacje z rodzicami, pierwsze piwo, pierwszą miłość, pierwsze rozczarowanie, pokazuje wielowymiarowość i doniosłość powszednich zmagań o kształt „ja". Ten bój codzienny zostaje ponadto zaprzęgnięty przez niego – to druga płaszczyzna – do innej batalii, batalii o wielkość. Powoływanie się i mierzenie z rozmaitymi „mocnymi" (jakby to powiedział Harold Bloom) postaciami jest metodą zdobywania silnej pozycji, przejmowania jej niejako od tych, których się przywołuje. Knausgård bez ogródek przyznaje, że ma ambicję „napisania czegoś wyjątkowego" (s. 44) i jednocześnie zamieszcza to wyznanie w książce, która ma być tym wyjątkowym dziełem.

O którym Knausgårdzie mówię? O obydwu. Pisarz Knausgård ustami pisarza Knausgårda-

narratora skutecznie zaciera w oczach odbiorcy granicę między „ja" literackim i „ja" rzeczywistym. Ujawnia swoje chwyty, tematyzuje własne gesty i tym samym – co na pozór paradoksalne – buduje intymną więź z czytelnikiem. Autentyczność wytwarzana jest tu nie tyle poprzez użycie poetyki wyznania, ale właśnie poprzez podkreślanie, punktowanie, obnażanie konwencjonalności i ograniczeń literatury. Pisarz ma świadomość – i tej świadomości daje wyraz w eseistycznych wtrętach – że już sama próba opowieści (z powodu praw, jakimi opowieść się rządzi) oddala od tego, co chce się wyrazić. Że uruchamia obce, sobie właściwe i autonomiczne schematy (kom)fabulacji.

Swoistą próbą wyjścia z tej pułapki, którą *Moja walka* podejmuje zarówno na poziomie teoretycznym, jak i praktycznym, jest „zwalczenie fikcji fikcją" (s. 278). Tylko demaskując sztuczki sztuki można, choć oczywiście tylko częściowo, zbliżyć się do „życia". Owe próby zbliżenia muszą być jednak podporządkowane „formie", czyli wypadkowej tematu dzieła i dyskursu, w którym temat się rozpatruje. Postulat brzmi: „siłę tematyki i stylu należy złamać" (s. 247). Jego realizację widać zaś w dążeniu do osiągnięcia efektu przezroczystego języka (zero fajerwerków stylistycznych, gier słownych itd.) i jednoczesnym łamaniu tego języka autotematycznymi wstawkami. Po drugie w przełamywaniu tematyki „Bildung" (w znaczeniu tworzenia się podmiotowości) tematyką tanatyczną i vice versa.

W *Mojej walce* płyną bowiem dwa nurty. Dialektyka konstytuowania i rozpraszania tworzy właśnie tę – specyficznie rozumianą przez Knausgårda – formę. Kontrapunktem dla walki o autonomię „ja" jest, analizowana przez narratora z rozmaitych perspektyw, śmierć ojca. Śmierć, która uświadamia mu, że „nie ma już żadnej różnicy między tym, co kiedyś było [...] ojcem, a stołem, na którym leżał, podłogą, na której stał stół, gniazdkiem w ścianie pod oknem czy kablem biegnącym do kinkietu" (s. 548). Drobiazgowe opisy pospolitych przedmiotów oraz prozaicznych zajęć (sprzątanie, gotowanie, jedzenie) stanowią z jednej strony próbę nadania sensu najdrobniejszym szczegółom i czynnościom, próbę ocalenia okruchów poprzez przetworzenie ich w dziele sztuki (to jest motyw, który istotnie łączy Knausgårda z Proustem). Z drugiej strony pełnią funkcję odwrotną – obrazują powolne pochłanianie jednostki przez codzienność, aż do „ostatecznego rozwiązania" – zamienienia jej (jak w przytoczonym wyżej cytacie) w przedmiot.

Knausgårdowi w refleksjach o śmierci ojca oraz w opisie relacji z nim udało się ponadto coś, co – jakkolwiek od czasów Freuda oczywiste – nie powiodło się chyba żadnemu pisarzowi. Udało się – w sposób niezwykle osobisty, bezpośredni i jednocześnie beznamiętny – oddać ten istotny dla większości mężczyzn związek między miłością a nienawiścią do ojca, między pragnieniem akceptacji z jego strony a pragnieniem jego śmierci, między traumą a radością z powodu jego odejścia.

Nie znaczy to jednak, że wszystko w *Mojej walce* zasługuje na peany. Sporym minusem jest – będące pewnie skutkiem braku cyzelującego skalpela – rozchełstanie tekstu, które objawia się wkradaniem do powieści banału, utartych klisz czy różnego rodzaju naiwności. Oj, zdarzają się (i to dość często) myśli takie jak: „czuję, że czas mi przecieka przez palce" (s. 44), konstatacje typu: „świat nie ma granic i jest nieprzenikniony" (s. 275), czy wyrażenia w stylu: „ulżyło jej w duszy" (s. 487). Konsternację może budzić też toporność dialogów. Oto próbka: „Bardzo mi przykro – powiedziałem – ale piwa leżą przy Krageboen. Musimy się pospieszyć i je stamtąd zabrać. – A co one tam robią? – spytał. – Dlaczego ich nie przyniosłeś? – Przejeżdżał mój stryj, kiedy szedłem do ciebie, ledwie zdążyłem zostawić je na poboczu [...] – O nie! – jęknął Jan Vidar. – Ale niefart! – Cholera, no właśnie. Ale chodź już, musimy się spieszyć" (s.152). Inna sprawa, że dzięki widocz-

nej w przywołanym cytacie bezkompromisowej surowości, proza ta brzmi dla nas nieco egzotycznie. Tam, gdzie w polskiej literaturze najnowszej – i to w bardziej subtelnych jej odmianach – padałyby zwroty takie jak: „Dżizus, kurwa, ja pierdolę", u Knausgårda znajdujemy najwyżej „o kurde".

Muszę jednak podkreślić, że to, co w moich oczach obniża wartość analizowanej pozycji (toporność, truizm niektórych stwierdzeń, rozwichrzenie tej prozy), jest powodem dumy pisarza. W jednym z wywiadów wyznał, że w *Mojej walce* odrzucił metodę „poprawiania w nieskończoność tekstu", bo to „pozbawia go autentyczności". Może i tak, ale odrzucenie wspomnianej metody pozbawiło z kolei omawianą powieść innej rzeczy – wybitności. A szkoda, bo było chyba całkiem blisko. Chociaż więc odczuwam po lekturze lekki niedosyt, to jest to niedosyt, który i tak dobrze o recenzowanej książce świadczy. Mimo pewnych zastrzeżeń nabieram się na jej chwyty. Nabieram się na jej autentyczność i „wyjątkowość". Czekam na następne tomy tej walki, która – zabrzmi to banalnie, ale tu jakoś pasuje – jest też w pewnym sensie naszą walką.

Paweł Wiktor Ryś

Karl Ove Knausgård, *Moja walka. Księga pierwsza*, Przeł. Iwona Zimnicka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014.

Dwugłos o *Wschodzie* Andrzeja Stasiuka

Jacek Lech

WYZNANIA DZIECKA KOMUNIZMU

Książka Andrzeja Stasiuka, która niedawno się ukazała, niewątpliwie stanowi rozwinięcie tematów poruszanych przez pisarza już co najmniej od dekady, będąc jednocześnie tekstem jeszcze bardziej zagęszczającym monumentalną, rozciągłą w czasie i przestrzeni „opowieść" przez niego pisaną. Przestrzeń i czas są dla rozumienia najnowszego tekstu Stasiuka kluczowe. Są zresztą istotne dla jego twórczości od *Jadąc do Babadag* począwszy, a więc od momentu, w którym jego pisarstwo zaczęło zmierzać ku refleksyjnej, eseizowanej prozie podróżniczej. Już początek *Wschodu* opowiadający o agonii i upadku komunizmu w Beskidzie Niskim, przez rozkład popegeerowskiej przestrzeni, przywodzi na myśl znakomite *Opowieści galicyjskie*. To również tekst, który rozpoczyna się i kończy na Łemkowszczyźnie, poruszający problem znikania zarówno krainy zamieszkiwanej do czasu akcji „Wisła" przez Rusinów, jak i obumierania komunizmu pozostawiającego po sobie ponure dziedzictwo. *Wschód* jest pozbawionym nostalgii zapisem odchodzenia w niebyt tego, co unicestwiają przełomowe zmiany. Jawi się jako próba „dotknięcia" przeszłości, której – jak autor ponuro wieszczy na ostatnich stronach książki – ludzie kiedyś przestaną potrzebować. Można również czytać ten tekst jako prywatny traktat pisarza o komunizmie. Jest to zatem książka, którą twórca *Dukli* zapowiadał już od kilku lat, choć – jak twierdzi – pisana była bez jakiegoś z góry narzuconego zamysłu, powstawała fragmentarycznie, a jej części pojawiały się na łamach „Tygodnika Powszechnego".

Nie pierwszy raz mierzy się Stasiuk z problematyką przestrzeni znajdującej się po prawej stronie Wisły. Tym razem jednak z perspektywy osobistej, refleksyjnej, niemal intymnej prowadzi opowieść rozpiętą pomiędzy odległymi wspomnieniami z dzieciństwa spędzanego u dziadków na Podlasiu, a niedawną podróżą na peryferia azjatyckiej części Rosji, z których można już dostrzec Chiny. Jak wiemy – peryferia go szczególnie interesują. W najnowszej książce w centrum jego uwagi znalazły się nie tylko polskie prowincje (te przywoływane zostają w migaw-

kowych obrazach z przeszłości), ale przede wszystkim ta część Rosji, której próżno szukać w turystycznych przewodnikach. Czytelnik otrzymuje więc tekst dla Andrzeja Stasiuka typowy, którego transgatunkowy model pisarz opanował do perfekcji. Temat naznaczonego refleksją wędrowania, przemierzania przestrzeni i snucia rozważań nad tym, co minęło, zdaje się być dla jego twórczości z ostatniej dekady konstytutywny i powraca w nowej odsłonie. Tym razem jednak pole Stasiukowej obserwacji oraz naznaczenie jej refleksją zostaje poszerzone o głęboki namysł natury eschatologicznej. Jednostkowa śmierć, będąca tematem *Grochowa*, we *Wschodzie* nosi znamiona śmierci zbiorowej. Narrator rozwodzi się nad kwestią ostatecznej mineralizacji materii, snuje rozważania na temat własnej śmierci, znajdując się na jałowej ziemi mongolskiego stepu.

Świat pisarza z Wołowca zdaje się nie mieć kierunków lub raczej ma tylko dwa – wschodni i południowy. Aktualnie jego twórczą wyobraźnię rozpala ten oznaczony na mapie literą E. Zachód jest dla ludzi z naszego kręgu kulturowego i geograficznego czymś wyimaginowanym, przez co nieosiągalnym, skażonym rozkładem, stąd ten charakterystyczny dla Stasiuka wobec niego dystans. Zachodem leczymy nasze kompleksy. Przeciwnie Wschód – jest pierwotny, syfiasty, groźny, stamtąd zawsze przychodziło zagrożenie. Ze Wschodu wyruszyła przecież na podbój i grabieże niszczycielska armia Czyngis-chana, ze Wschodu przyszły Armia Czerwona i komunizm, któremu pisarz w tej jakże rozległej pod względem tematycznym książce poświęca sporo uwagi. Nic więc dziwnego, że postanowił po raz pierwszy pojechać do Rosji, by zbadać i zweryfikować swoją – jak zresztą chyba niejednego Polaka – arogancką i egoistyczną wiedzę na jej temat.

Trafnie autor *Zimy* definiuje w swej ostatniej książce mentalne dziedzictwo komunizmu, które – w jego mniemaniu – przejawia się zbiorową świadomością konieczności życia we wspólnocie losu. Pisze o tym bez popadania w nostalgię charakterystyczną choćby dla *Białego kruka* czy *Jak zostałem pisarzem*. Jak widać – Stasiuk na przestrzeni prawie dwudziestu lat dzielących go od powieści opisującej wyprawę w góry grupy trzydziestolatków – wyleczył się z nostalgii. Odwołując się do historycznych wydarzeń, przykładowo do wspomnianej już akcji „Wisła", przybliża paroksyzmy historii w mikroskali regionu, przez który przetoczyły się wszystkie typowe dla XX wieku niszczycielskie zdarzenia: okupacja, niewola, wypędzenia, migracje, konieczność przyjęcia nowej „religii powszechnej szczęśliwości". By poznać kres komunizmu w makroskali, ujmowanego jako kosmiczna, tektoniczna katastrofa, pisarz penetruje wschodnie tereny. Pielgrzymując śladami przesiedleń i migracji, załatwia swój prywatny rachunek z przeszłością. Tak rodzi się wielopoziomowa refleksja wypełniająca książkę, która stanowi kontynuację jego wcześniejszych tekstów, składających się na eseizowaną prozę podróżniczą.

Ambiwalentny jest stosunek autora do komunistycznego systemu, który przecież oprócz totalnego, ideologicznego spustoszenia, umożliwił awans społeczny ludności chłopskiej – tę – jak pisze – „plebejską konkwistę", przejawiającą się w ucieczce od niewolniczej przeszłości na peryferia stolicy, wyludnionej przez „patriotyczny zryw i zamienioną w szkielet, który należało od nowa wypełnić ludzkim mięsem". Lecz w ujęciu pisarza komunizm posiadał pewne elementy charakterystyczne dla feudalizmu. Wielu zniewalał i uwodził swoją opętańczą wizją. Co także niezwykle istotne w ostatniej książce Stasiuka, akcentuje nieprzystawalność plebejskiego życia do zmian cywilizacyjno-politycznych. Ze *Wschodu* płynie także celne (samo)rozpoznanie dotyczące kondycji bycia „dzieckiem komunizmu". Pisarz sięga do swojej chłopsko-robotniczej genealogii, by z perspektywy własnej rodziny podjąć temat wspomnianego już społecznego awansu.

Po raz kolejny surowo ocenia świadomość historyczno-społeczną i religijną rodaków, ich postmesjanistyczne roszczenia – jak ironicznie rzecz ujmuje – groteskową, zakrawającą na śmieszność, próbę stania się nowym narodem wybranym. Kapitalnie brzmiały te krytyczne rozpoznania w trzeciej części *Dziennika pisanego później*. Stasiuk bezkompromisowo i ostro rozlicza poromantyczne pretensje Polaków. Fragmenty *Wschodu* stanowią znakomite dopełnienie tej jakże potrzebnej, w moim odczuciu, oczyszczającej zbiorową wyobraźnię książki. W *Dzienniku pisanym później* Stasiuk powiada: „Mój kraj przywykły do łomotu, do dziejowego wpierdolu, do krwiodawstwa, jak kania dżdżu wygląda masakry, czuwania, opłakiwania, funebriów". W początkowych partiach *Wschodu*, zastanawiając się nad wkładem Polaków w ogólny dorobek ludzkości, pyta, ile byliby oni warci, „jakby nie mieli żadnego Ruska, Niemca ani Żyda na usprawiedliwienie, ani tego swojego papieża nie mieli na pogański kult, tylko na sto kilometrów piasek, toby było wiadomo, czy oni wierzą, czy tylko robią narodowy interes". Między wersami, dyskretnie kpi z polskiej autodestrukcyjnej skłonności do ofiary, z bezrefleksyjnej, zanurzonej w obrzędzie religijności, a kapitalna, w moim odczuciu, parafraza *Litanii Loretańskiej do Najświętszej Maryi Panny* dobitnie wyraża, kto jest w społecznym imaginarium prawdziwą Królową Polski.

Wschód to coś więcej niż tekst powstały z nawarstwiających się w pisarskiej świadomości myśli, których źródło tkwi w obserwacjach poczynionych w Rosji, Mongolii, na Zabajkalu, blisko granicy państwa, „które kiedyś zapanuje nad światem". Bycie w ruchu rodzi rozważania, podróż karmi wyobraźnię, skłania do refleksji, redefiniuje pojęcia. Ta wpisująca się we wzorzec eseizowanej prozy podróżniczej książka posiada niespotykany dotąd (wyjąwszy zbiór opowiadań *Grochów*) wymiar osobisty, bowiem pisarz przywołuje we wspomnieniach swoją nieżyjącą matkę, uosabiającą bezruch, zastój, zakorzenienie w jednym miejscu, a więc wszelkie opozycje włóczęgostwa jej syna.

Stasiuk przemierzając bezkresną, rosyjską przestrzeń z egzemplarzem *Wykopu* Płatonowa ma świadomość, że jest u źródła tego, o czym ten, tak srodze doświadczony przez system, Rosjanin pisał. Raz po raz wplata w tekst także cytaty z Jerofiejewa. Cel tej odkrywczej podróży tkwi w chęci ujrzenia czegoś więcej niż blahy koniec polskiego komunizmu, pragnienie zobaczenia jego kresu w skali totalnej – u źródła. Bo wschód to komunizm. Tak również można czytać tę najnowszą książkę Stasiuka. *Wschód* jest wieloznaczny, wielotematyczny, przy tym bogaty w sensy i rozpoznania. Ta najlepsza od lat książka pisarza z Wołowca mierzy się z tym, co miniony system po sobie zostawił. Stasiuk docieka specyfiki jego polskiego wydania, w którym retoryka systemu spleciona była z ludową formą religijności, tworząc dziwny, wewnętrznie sprzeczny twór, zaadoptowany przez Polaków.

Wracając na koniec do rosyjskich podróży, doskonale wiemy, czego pisarz szuka w tamtych rejonach. Nadto uświadomił owe twórcze, intelektualne poszukiwania znakomitą książką *Jadąc do Babadag*, chociaż nie o Rosji jest ta hybrydyczna powieść. Po raz kolejny powraca Stasiukowa obsesja pamięci jako fundamentalnego składnika tożsamości. Ocalająca siła pamiętania także stanowi jedną z konstytutywnych idei nowej książki pisarza, jeden z głównych tropów jego twórczości i jedną z wykładni jej rozumienia. Strach przed tym, że przestaniemy pamiętać i zauważać przeszłość, jest w pełni uzasadniony, w niektórych jego tekstach, także i dyskursywnych, wręcz obsesyjny. W najnowszej książce autor pyta z niepokojem: „Czy ktoś będzie przystawał w tym miejscu, by oglądać minione? Za sto, za dwieście lat? [...] Czy ktoś będzie jej potrzebował, by cokolwiek zrozumieć z własnego życia?". *Wschód* jednak nie jest prozą w całości skupioną na tym, co było, pomimo że to kolejna książka pisarza wpisująca się w strate-

gię odzyskiwania minionego. Odzyskiwania czasu dzięki wschodniej przestrzeni, w której ogromie oraz cywilizacyjnym zacofaniu paradoksalnie zachowały się ostatnie formy życia pierwotnego, porzuconego już przez polskich plebejuszy, migrujących masowo po wojnie z „chamskiej wsi" do „pańskiego miasta". W jakimś sensie to także książka o samej Rosji, o naszych fobiach i lękach z nią związanych, literacki zapis ich oswajania, próba jej zrozumienia, która z powodu doświadczeń historyczno-politycznych nigdy nie została do końca przeprowadzona. Zatem trzeba podjąć ją na nowo. I Stasiuk podjął to zadanie.

Jacek Lech

Paweł Nowicki

WSCHÓD ANDRZEJA STASIUKA

Leży przede mną nowa książka Andrzeja Stasiuka zatytułowana *Wschód*. Jej bohater i narrator przemierza azjatycką Rosję, trafia do Mongolii, a potem do Chin. Jednak czytając tę opowieść, nie mamy do czynienia reportażem ani dziennikiem podróży. Choć podobnie jak *Taksim* czy *Jadąc do Babadag* ma ona pewne cechy książki podróżniczej, pełna jest refleksji nad odmiennością kultur, ich wzajemnym przenikaniem oraz podskórnym nurtem historii, ale opowiada przede wszystkim o podróży, którą autor odbywa w głąb samego siebie – podróży do źródeł pamięci, w tym także pamięci zbiorowej.

Narrator jest zakorzeniony w swym zakątku świata, wybiera się w podróż, by potem, z tej odległej perspektywy wyraźniej zobaczyć i lepiej zrozumieć samego siebie, a także swych rodaków, ludzi, z którymi przyszło mu żyć i wśród których się wychował. Być może w jego wędrówkach przejawia się opór jaki artysta czuje przed postępującą unifikacją świata. Poszukuje miejsc, gdzie jest jeszcze chociaż trochę inaczej, gdzie nie dotarł amerykanizm i konsumpcjonizm, gdzie nie stoi taki sam Lidl jak w Gorlicach i Bardejovie. Punkt widzenia autora, jego pozycja wobec świata daje się także wpisać w nomadyczny nurt „płynnej nowoczesności". Podróż staje się metaforą chaotycznej wędrówki znikąd donikąd, w której wszystko staje się wymienialne na wszystko. Przesłanie książki dałoby się w takiej perspektywie odczytać jako wyprawę do kresu tej kultury, która oparła się niegdyś nawale tatarskiej, a dziś jest rozmyta od wewnątrz, ponowoczesna, jak gdyby przebrzmiała.

Kiedyś ktoś w nieco innym kontekście powiedział, że Rosja i Wschód to nie tyle miejsce na ziemi, ile stan umysłu. Stasiuk ukazuje czytelnikom azjatycką część Rosji, która Polakom kojarzy się z zesłaniami. Odległość nie do przebycia, czas nie do przeczekania, stan zawieszenia – bycia poza czasem, pustkowie, na którym nic się nie dzieje, ponieważ tam – jak czytam w książce – „od siedmiuset lat trwała nieustająca teraźniejszość".

Bardzo mocno zaznaczony jest w nowej książce Stasiuka wątek metafizyczny – śmierć człowieka i zwierząt, rytuały pochówku. Życie to oddech, który zanika, ciepło, które się rozprasza, gdy ustanie praca serca. To, co pozostaje tak z człowieka, jak i martwego psa, wraca z powrotem do królestwa minerałów. Na Zachodzie zmarłych spopiela się w przemysłowy sposób w krematoriach, na Wschodzie – na dzikim pustkowiu, w kolebce Czyngis-chana zwłoki pozostawia się sępom i psom. Przypominają się pojęcia: „ziemia jałowa", „ziemia Ulro", „nieludzka ziemia" – gnostyckiego świata porzuconego przez Boga: „Możemy układać warstwami naszych zmarłych w nadziei, że nas obronią, odgrodzą, gdy nadejdzie czas. Robimy im legowiska z kamienia, żeby było gdzie przychodzić, żeby nie uciekli. Mięso odchodzi, ale zostaje kość i to nas pociesza. Kość. Żeby ją zatrzymać, robimy to wszystko. Ponieważ nie wierzymy w pamięć".

Pisarz wspomina o nieznanym miejscu spoczynku Czyngis-chana: „Nie wiadomo, gdzie jest pochowany Czyngis-chan. Mówią, że na północnym wschodzie, w krainie, w której się urodził. Mówią, że zabijano wszystkich, którzy natknęli się na orszak pogrzebowy. Co stało się z orszakiem, nie wiadomo. Może i orszak wymordowali ostatni, najwierniejsi z wiernych, i tajemnicę sami zabrali do grobu. Pojawił się znikąd i odszedł bez śladu [...]. Wrócił, skąd przyszedł? Zostawiając po sobie pamięć grozy i chwały? Tym jest życie?". Wielkie życie i czyn jak błyskawica oraz imperium, po którym nie pozostały materialne ślady – ułamki kolumn i portyków, ale ruiny duchowe – na trwałe wpisane w ludzką świadomość: strach, bezwzględność, upodlenie, umiejętność prowadzenia przebiegłej i bezlitosnej wojny oraz „administrowania bezkresem".

Pod koniec książki pisarz przywołuje wspomnienia z dzieciństwa. Zauważa, że pamięć przenosi się w genach i że wspomnienia przodków, obrazy przez nich ujrzane dane mu są tak, jakby je widział na własne oczy. Opowiada o tym, jak Wschód przyszedł do Polski w postaci sowieckiego komunizmu, jak uwiódł i oszukał wielu biednych ludzi. Ponieważ wszędzie są biedni ludzie, których można uwieść, oszukać, przekupić kiełbasą wyborczą, kiedy przymierają głodem, albo po prostu zastraszyć.

Nowa książka Andrzeja Stasiuka dotyka wielu kwestii, które mogłyby być tematem wielowątkowej dyskusji: nad utratą pamięci, zmierzchem kultu zmarłych, bezmyślną konsumpcją, zalewem tandety, na tle których samotna jednostka próbuje ocalić siebie – odbudować swą tożsamość z odprysków wspomnień, zadumy nad historią i swym miejscem na ziemi.

Paweł Nowicki

Andrzej Stasiuk, *Wschód*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014.

Jan Wolski

TRAKTAT O DOJRZEWANIU I UTRACIE

Dwadzieścia cztery niewielkiej objętości opowiadania (najobszerniejsze to zaledwie osiem stron w książce niedużego formatu) budują tom prozy Wioletty Grzegorzewskiej zatytułowany *Guguły*. Stanowi on tyleż zbiór swego rodzaju fotografii w rodzinnym albumie, tyle że skomponowanych ze słów, a nie odbitych na papierze, rodzaj obrazków z okresu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych minionego wieku, czyli PRL-u – co zwartą, prowadzoną jak powieść refleksję na temat dzieciństwa, dojrzewania, procesu poznawania świata, budowania własnej i autonomicznej osobowości, w przestrzeni imaginacyjnej wsi Hektary, położonej gdzieś niezbyt daleko od Częstochowy.

Czytelnik otrzymuje do dyspozycji prozę wyjątkowej próby. Bez wątpienia realistycznej, budowanej na fundamencie konkretnych doznań i zdarzeń utrwalonych w pamięci, bogatej w szczegóły, ale jednocześnie tajemniczej, nie zawsze dopowiadanej do końca, imaginacyjnej, o wyjątkowym klimacie poetyckiej wyobraźni.

Umiejscowienie w określonym czasie i zważywszy na to, że Grzegorzewska od kilku lat mieszka na anielskiej wyspie White, co z kolei mogłoby sugerować jakiś rodzaj emigracyjnej nostalgii i próbę powrotu do mitycznej „krainy lat dzieciństwa", dowodzić zda się chęci zapisania klimatu tej rzeczywistości, która bezpowrotnie minęła. Tak chyba jednak do końca nie jest, jakkolwiek to niewątpliwy komponent zawartości literackiego tygla, w którym autorka czaruje swoje teksty. *Guguły* bowiem to w pierwszym rzędzie książka o dorastaniu (przypomnijmy podob-

ną, jeżeli chodzi o temat, książkę Olgi Tokarczuk, czyli jej powieść *E.E.*), o wchodzenie w dorosłe życie. To wyjątkowo przekonująca próba zmagań z tą świadomością, której raczej nie da się nauczyć z podręcznika, bo trzeba ją przeżyć samodzielnie. Nie ma w takim ujęciu nostalgii, lecz rzetelne relacjonowanie pewnego procesu. Ogromne znaczenie ma też to, że ów proces dokonuje się w kolejnych odsłonach jakby sprawozdań dziewczynki i z czasem już kobiety.

Jeszcze jedna, rzec by można, ale jednak szczególna i wyjątkowa, bo autentyczna i pięknym językiem napisana opowieść o dzieciństwie. A dzieciństwo to zazwyczaj czas, który kształtuje całe późniejsze życie. Nie ma znaczenia, czy teksty składające się na tom są utkane z prawdziwych zdarzeń, których doznała autorka, i nie chodzi o ich weryfikowanie pod kątem zgodności z tym, co było, bo książka i tak jest prawdziwa. Obserwowany oczyma bohaterki, która ma na imię Wioleta, w zasadzie złożony został z elementów banalnej codzienności. Wcale nie idealnej, jak to często bywa w podobnych przypadkach powrotów do przeszłości. Sama ta proza jest prawdziwym światem i właśnie jako taki oddziałuje intensywnie na czytelnika.

Niewątpliwie proza autobiograficzna, ale jest jednak nie tyle wspominaniem (chociaż to ono stanowi swego rodzaju podstawą), co specyficznym przenoszeniem w przeszłość, snuciem opowieści o ważnych doznaniach, które z kolei nakładają się na trudny proces dojrzewania. Przede wszystkim jednak zda mi się być pokazaniem sposobu, jak zachować dziecięcą świeżość i szczerość obserwacji w dorosłym życiu. Tajemnica tkwi w traktowaniu zdarzeń, wszystkich zdarzeń, jak rzeczy naturalnych. Dziecko umie dostrzec to samo, co dorosły. Tylko lepiej, a nierzadko głębiej.

Tom Grzegorzewskiej można by nazwać rodzajem przypowieści o tajemnicy istnienia, o tym, czym jest świat. Poszczególne opowiadania to precyzyjnie skonstruowane cząstki, układające się w harmonijną całość, z natury epicką i realistyczną, podbudowaną intuicyjną psychologią. A przy tym pełnych tajemniczości, nie do końca oczywistej czy jasnej atmosfery, których narracja toczy się w niespieszny sposób. Oczywiście koloryt lokalny, szczegóły wyznaczające precyzyjnie czas zdarzeń i ich tło są ważne, lecz najważniejsza jest właśnie ta wspomniana aura tajemniczości. Hektary to konkretna, dająca się zlokalizować, wieś, ale zarazem mikroświat, mikrokosmos, który skupia prawie wszystkie znane człowiekowi doznania. I to one, dobre czy złe, radosne czy smutne, mają swoje miejsce i możliwość zaistnienia, bo są zasadzone i budują się w porządku realistycznym, na fundamencie psychologicznym i obyczajowym.

Obserwujemy zbiór, niczym złożony z klocków zespół zdarzeń i doznań, które powstają jako wynik czułej obserwacji. Tworzą one świat podlegający nieustannej przemianie. A ta, toczy się dość wolno, może nawet leniwie, co z kolei w znakomity sposób oddaje ducha tamtego czasu. Wypełniają go konkrety, zwłaszcza historie kobiet, co nie dziwi, bo narratorka jest dorastającą dziewczynką. Oczywiście nie brak też innych bohaterów. Powstała więc opowieść plastyczna, sugestywna, wyrazista, umiejętnie wychwytująca szczegóły. Same zaś opowiadania, czyli poszczególne historie, budują się niejako same, zaś każda z nich ujawnia kolejne perspektywy obserwacji i przez to wzbogaca i dopełnia wymowę całości.

Guguły to zbiór przypowieści, ale też cała książka jest jedną przypowieścią o tajemniczym sensie ludzkiego istnienia. Narratorka dokonuje swoistej wiwisekcji zdarzeń i charakterów opisywanych i występujących osób i przez to stwarza wielostronny, różnorodny, oryginalny, magiczny i tajemniczy świat swojego dzieciństwa i młodości. Regionalne słowo „guguły" oznacza niedojrzałe owoce, które są tu czytelną metaforą, wielokrotnie pojawiają się w książce. Stanowią synonim

dojrzewania i przede wszystkim do tego etapu życia się odnoszą, czasu zbierania doświadczeń, ale też cudowny czas, pełen wrażeń, euforii poznawczej, prób rozumienia sytuacji, ludzi, uczuć i zdarzeń. Także tych nudnych, przykrych czy brzydkich.

Grzegorzewskiej udało się zbudować całość o uniwersalnej wymowie, choć złożona została z doświadczeń o osobistym charakterze. Trzeba podkreślić, że wyjątkowo umiejętnie balansuje między tym, co epickie, rzeczowe, będące pochodną ujęcia prozatorskiego, a tym, co staje się w jej ujęciu poezją, właśnie wyłuskiwanie i opisywanie szczegółów, ascetyczność formy, maksymalne nasycenie znaczeniami, ale też pewna nastrojowość czy rytmiczność kolejnych zdań. Nie chciałbym twierdzić, że dotychczasowa twórczość tej interesującej autorki (z wyjątkiem także bardzo ciekawego, napisanego prozą *Notatnika z wyspy*), determinuje jej najnowsze dzieło. Niemniej jednak znamienna jest tu i charakterystyczna bliskość poezji. Opowiadania te napisane zostały zagęszczonym językiem, precyzyjnym, bez niepotrzebnej rozlewności.

Świat dzieciństwa i życia na wsi lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego wieku to podstawa narracji tych opowieści. Loletka-Wioletka, narratorka, nigdzie indziej nie była i chyba też nie miała potrzeby czy chęci być. W tym świecie czuje się dobrze, nie tęskni za innym, wszelkie pragnienia dotyczą tego samego obszaru. Tu ma swoje doznania, obowiązki, pasje i przyjemności, przeżycia rodzinne, szkolne i religijne. Wszystko to razem daje jej poczucie swojskości, także bezpieczeństwa, bo w znacznej mierze opiera się na pewnych rytuałach. Ale, co koniecznie trzeba podkreślić, nie jest to obraz sentymentalny. Doznań czy zdarzeń przykrych, niezrozumiałych, groźnych nawet, nie brakuje. Sens tej różnorodności daje poczucie stałości, bo rozgrywa się w miejscu, w którym narratorka czuje się zakorzeniona. W takim miejscu świat można podglądać, przysłuchiwać się mu, dziwić się, ulegać naiwnym może, ale szczerym fascynacjom (choćby zapachem powietrza po burzy czy smakiem ziaren maku), zaciekawić się wszystkim, co przynosi codzienność.

Guguły to zbiór wrażeń i doznań, które po prostu miały miejsce. Kiedy po latach układa się je w zdania, stają się traktatem o dojrzewaniu i o utracie. To pierwsze zazwyczaj oswajamy w dorosłym życiu, to drugie w miarę upływu czasu staje się dotkliwe, budzi niepokój, pozbawia wcześniejszej pewności i jednoznaczności. Ale właśnie takie są dorosłość i dojrzałość. W dodatku dojrzewanie nigdy się nie kończy. Mimo wszystko każdy zachowuje, albo stara się zachować w sobie, choćby odrobinę owej „gugułowatości". Bo każdy z nas przechowuje w swojej pamięci coś z dziecka, pragnie dziecięcego, zmysłowego odbierania świata, jego wyglądów, zapachów, dźwięków, wyrazistych i plastycznych, a zawsze ważnych. Tak oto Wioletta Grzegorzewska odtwarza świat autentycznego i naturalnego dzieciństwa.

Jan Wolski

Wioletta Grzegorzewska, *Guguły*,
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014.

Anna Bielenda

OCZAMI IMIGRANTKI

Wydany w 2011 roku zbiór opowiadań *Masz tylko dziadka, Lenina i Boga* to debiut Svetlany Savrasovej w języku polskim. Autorka urodziła się w Szczecinie, lata swojej młodości spędziła na Białorusi oraz w Warszawie, obecnie zaś mieszka w Anglii, dzieląc czas między pisanie i tłumaczenie z języków słowiańskich dla miejscowej policji.

Podobne są losy głównej bohaterkę jej książki Tatiany. Kobieta również wychowywała się w niemiecko-rosyjskiej rodzinie, przez kilka lat mieszkała w stolicy Polski, a w Wielkiej Brytanii wykonuje zawód tłu-

macza policyjnego, co pozwala jej na szerszy ogląd realiów życia imigrantów ze Wschodu, których czyni bohaterami swych sugestywnych i niezwykle wciągających opowieści. Zjawiający się na zawodowej drodze Tatiany Polacy, Rosjanie czy Litwini naruszający brytyjskie prawo nierzadko z trudem odnajdują się w nowej, zupełnie odmiennej rzeczywistości. Zarysowane w książce historie rabusiów, przemytników, ofiar przemocy, osób uzależnionych czy po prostu nieznających brytyjskich przepisów są często dramatyczne, choć w opowiadaniach nie brak również humoru, zwłaszcza kiedy mowa o mentalności poszczególnych narodów.

Uszczypliwe uwagi formułowane są właściwie wobec każdej z prezentowanych nacji i nie omijają Brytyjczyków. Błyskotliwa i obdarzona zmysłem obserwacji Tatiana nie tylko wyraża trafne i pełne humoru spostrzeżenia na temat różnic kulturowych, ale sporo uwagi poświęca wciąż żywym stereotypom narodowym, uprzedzeniom oraz stosunkom polsko-rosyjskim. Wszystkie te istotne i aktualne tematy przeplatają się z osobistymi problemami i doświadczeniami tłumaczki poszukującej nie tylko szczęścia, miłości i stabilizacji, ale przede wszystkim własnej tożsamości. Tatiana odczuwa pustkę spowodowaną poczuciem wyobcowania i braku ojczyzny. Czy uda się jej odpowiedzieć na pytanie, kim jest?

Zawartym w książce przemyśleniom i obserwacjom dodaje autentyczności niezwykle dosadny, sugestywny i ekspresyjny język. Nie znajdziemy tu erudycyjnych i wysublimowanych komentarzy. Wszelkie refleksje, także te historyczne, wyrażane są wprost, bez owijania w bawełnę. Fabuła ma przy tym walor niezwykłego przyciągania i skupiania uwagi czytelnika. Sporo w niej zaskakujących epizodów, a przede wszystkim wyjątkowo efektownych i dowcipnych puent. Odnieść można wrażenie, że wyrażane opinie starają się być obiektywnymi, co widać w dystansie i ironii w stosunku do poruszanych problemów, niejednokrotnie drażliwych z punktu widzenia współczesnego społeczeństwa. Zawarte w książce niedwuznaczne komentarze z jednej strony rozśmieszają, z drugiej jednak skłaniają do głębszej refleksji i to nie tylko nad kondycją imigranta, ale człowieka w ogóle.

Anna Bielenda

Svetlana Savrasova, *Masz tylko dziadka, Lenina i Boga*, Wyd. WAZA, Warszawa 2011.

Kazimierz Maciąg

KRAJ PRZED ZAMKNIĘTĄ KURTYNĄ

Korea Północna budzi w nas skojarzenia dość jednoznaczne, rozpostarte między wizją anachronicznego polityczno-gospodarczego skansenu a lękiem powodowanym przez państwo nieobliczalne militarnie, próbujące od lat zawładnąć bronią atomową. Jednocześnie jest to chyba jedyne dziś, w dobie globalizacji, państwo poza utartymi szlakami wypraw turystycznych. Zwiedzanie tego kraju jest wprawdzie możliwe (co sprawdzimy np. wpisując w okno wyszukiwarki słowa: Korea Północna, turystyka), ale może odbywać się tylko poprzez jedno biuro turystyczne, w grupie, pod kontrolą miejscowych władz i po ściśle określonej trasie.

W literaturze polskiej ostatnich lat państwa tego, można powiedzieć: nie ma. Wcześniej było inaczej: jako pierwszy o Korei, jeszcze przed pierwszą wojną światową, pisał Wacław Sieroszewski, po kolejnej wojnie socrealistyczne wypracowania na temat państwa rządzonego przez Kim Ir Sena produkowali prozaicy (np. Marian Brandys), ale też znamienici poeci... Dziś na liście lektur poszukiwacza informacji o tym szczególnym państwie znajdą się przede wszystkim tłumaczenia dzieł naukowych, obcojęzycznych, skoncentrowane na rozmaitych analizach, przede wszystkim politycznych.

Z tym większym zainteresowaniem sięgnąłem zatem po książkę Artura Nowaczewskiego *Dwa lata w Phenianie*. Jej autor przed ćwierćwieczem, w latach 1989–1991, jako dziecko przebywał w stolicy Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, a przyczyną tego pobytu była praca ojca, który był zatrudniony w polsko-koreańskiej spółce handlowej. Dziecięca perspektywa narracyjna nadaje książce zupełnie szczególny charakter – niekiedy może nieco naiwny, ale pełen swoistego uroku.

Książka Nowaczewskiego to jednak nie pamiętnik, ale dzieło powstałe prawie ćwierć wieku po czasie opisywanych wydarzeń. Narrator to człowiek dojrzały, który na różne sposoby inkrustuje swoją opowieść świadomością wydarzeń z następnych dziesięcioleci; oto charakterystyczny przykład: „Do Moskwy lecieliśmy Tu-154. Ale był to zwyczajny, świeży i niewinny jak przed grzechem pierworodnym Tupolew. Pozbawiony swojej symbolicznej wymowy. Nazwa jeszcze nieobrosła i nieobciążona. O – załóżmy takie zdjęcie – rodzina Nowaczewskich o godzinie takiej a takiej wstępuje na pokład rejsowego Tu-154. Są uśmiechnięci i wrócą z tego lotu. Na dodatek jest przecież polski samolot z budzącym zaufanie i dumę napisem LOT" (s. 13).

Szczególna odmienność kraju, do którego przybywa młody bohater ujawnia się od pierwszych godzin pobytu; narrator wraz z rodzicami zamieszkuje w strzeżonym osiedlu i rozpoczyna się osobliwy teatr, w którym właściwie nie ma możliwości kontaktu z przeciętnymi Koreańczykami. Cudzoziemska kolonia zaopatruje się w sklepach niedostępnych dla tubylców, dzieci chodzą do osobnej szkoły. Prawdziwe życie i prawdziwe problemy gospodarzy można poznawać tylko przez odczytywanie rozmaitych znaków, które świadczą o istnieniu – poza dyplomatyczną dzielnicą – ściśle odizolowanego społeczeństwa, żyjącego wedle całkowicie innych reguł niż polska, ale i światowa norma. Narrator stołeczny Phenian kojarzy przede wszystkim z pustką: na ulicach brak samochodów, na ulicach, na chodnikach – ludzi, a w perfekcyjnie utrzymanych parkach podejrzliwość budzi spacerowicz chcący usiąść na ławeczce... W świecie tym nie ma obozów, prześladowań – cudzoziemiec może widzieć tylko piękne malowidło na opuszczonej kurtynie...

Szczególną instytucją, z którą styka się narrator, jest szkoła. Ponieważ polskich dzieci w KRLD było zbyt mało, aby istniała możliwość utworzenia dla nich osobnej placówkę edukacyjnej, jest to szkoła sowiecka, z dominującą ilością dzieci rosyjskich uzupełnionych o uczniów z niemal wszystkich ówczesnych krajów komunistycznych. Perypetie polskiego dziecka w tym dwupiętrowym gmachu w pobliżu sowieckiej ambasady pod pewnymi względami przypominać mogą losy Marcina Borowicza, bohatera *Syzyfowych prac*. Znajdziemy tu więc polsko-rosyjski spór o historię Ukrainy, indoktrynację modelem „człowieka radzieckiego" na lekcjach literatury, ale także utrzymane w konwencji jednoznacznie aprobatywnej docenienie walorów wychowawczych z „trudu", czyli zajęć praktycznych: „Dziewczyny i chłopacy mieli ten przedmiot oddzielnie – dzięki temu nie uczyliśmy się haftowania, ale wbijania gwoździ i pracy w drewnie. W Polsce tzw. zpt-y były zwyczajną stratą czasu. Wszystkie te dziwactwa z robieniem salatek, nauką pisma technicznego, wycinaniem szkaradnych popielniczek z puszki, pudełek z pocztówek i robienie innych nikomu niepotrzebnych gówien. Większość z nas wychodziła z polskiej podstawówki manualnie upośledzona. »Trud« w szkole sowieckiej można było nazwać prawdziwymi zajęciami z techniki. Przede wszystkim mieliśmy do dyspozycji kompletnie wyposażony warsztat" (s. 40).

Korea Artura Nowaczewskiego to także kraj egzotycznych ludzi i egzotycznej przyrody, którą autor poznaje podczas kilku wypraw (oczywiście, wyłącznie do ściśle wyznaczonych regionów...). Nieliczne spotkania z Koreańczykami pokazują także ich od-

mienność cywilizacyjno-intelektualną. Charakterystyczny może być tutaj przykład swoistego „konkursu", w którym bierze udział ojciec narratora oraz koreański księgowy Miong. Celem rywalizacji jest udowodnienie, która metoda wykonywania skomplikowanych obliczeń matematycznych jest lepsza: czy „europejska", za pomocą kalkulatora, czy też azjatycka, posługująca się prymitywnymi liczydłami. Konkurs wygrywa oczywiście zwolennik drugiej z tych metod, Koreańczyk Miong (s. 105–107).

W książce znajdziemy również przypomnienie najważniejszych wydarzeń dwudziestowiecznej Korei: historię wojny, która podzieliła państwo oraz późniejszych wydarzeń, niekiedy zupełnie nieznanych polskiemu czytelnikowi, tak jak np. tragicznie-absurdalna historia konfliktu o drzewo, które wyrosło na linii demarkacyjnej między Koreami, i które stało się przyczyną śmierci dwóch żołnierzy oraz postawienia w stan gotowości całej floty powietrznej sił amerykańskich na półwyspie.

Artur Nowaczewski opisuje świat szczególny również pod innym względem – lata jego pobytu w Korei Północnej to czas transformacji sytemu komunistycznego. Jedenastoletni narrator wyjeżdża z Polski jesienią pamiętnego 1989 roku, wraca do zupełnie innej rzeczywistości dwa lata potem. A wcześniej, obserwuje w państwie Kim Ir Sena objawy zamieszania i paniki wśród dyplomatycznego establishmentu spowodowane wiadomościami dochodzącymi z państw rozpadającego się bloku komunistycznego. *Dwa lata w Phenianie* Artura Nowaczewskiego to z pewnością książka potrzebna, korzystająca z najlepszych tradycji prozy wspomnieniowo-reportażowej, napisana żywym językiem, i przy tym posiadająca ważny walor dokumentacyjny.

Kazimierz Maciąg

Artur Nowaczewski, *Dwa lata w Phenianie*, Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2013.

Alicja Jakubowska-Ożóg

O MIŁOŚCI I ŚMIERCI

Historia człowieka to historia życia i śmierci, te doświadczenia, wykluczające się tylko pozornie – nieustannie się ze sobą przeplatają, wchodzą w nieustanne relacje. Choć tak ludzkie, w różnym stopniu znajdują miejsce w świadomości współczesnego człowieka, a kultura codzienna marginalizuje śmierć, podobnie jak proces umierania, do absolutnego minimum.

Tradycja, w tym literatura i sztuka, podpowiadają zachowania, wyposażają w gotowe formuły pozwalające śmierć oswoić, ale ta ciągle wymyka się konsolacyjnym zabiegom. Książka Anny Augustyniak podejmuje ten trudny temat, wpisując się w wielowiekową tradycję usankcjonowaną wersetami *Biblii*, *Trenami* Kochanowskiego i wieloma tekstami, w których tego rodzaju przeżycia stanowią temat główny. Zadanie trudne, bo czy można śmierć opisać, nazwać, zmierzyć się z nią, nie popadając w banał. Znalezienie własnego wyrazu, własnej dykcji jest znaczące w tej książce. Autorka pozostawia za sobą bogaty katalog chwytów i podąża za swoim rytmem zdania, frazy, emocji. Jej tekst to krótkie impresje, o różnym gatunkowo ciężarze – od rozważań eschatologicznych, fragmentów poważnych i podniosłych, elegijnych – zaczerpniętych z klasyki funeralnej, do strzępów rozmów i myśli oddających chaos doznań związanych ze śmiercią kochanej osoby.

W tok narracji włącza autorka tradycyjne pieśni religijne, fragmenty modlitw, by za chwilę przełamać tę dostojność chwili słowami odbiegającymi od językowych norm i poprawności stylu – wszystko zdaje się podporządkowane amplitudzie uczuć bohaterki doznającej tu i teraz strachu, cierpienia i współczucia. Śmierć nie ma zarezerwowa-

nych tylko dla siebie formuł zachowań, a każdy, kto doświadczył straty bliskiej osoby, wie, jak trudno pozostać w jednej postawie – zadumy bądź rozpaczy. Ten zmieniający się tok narracyjny zdaje się oddawać stan emocjonalny bohaterki w kolejnych fazach choroby matki, choroby, która staje się jej udziałem (także rodziny) w wymiarze somatycznym. Wybierając taką narrację, autorka nie porzuca poetyckiego charakteru wyznań, lamentacyjnego zabarwienia, w którym z powodzeniem mieszczą się i płacz, i rozpacz młodej kobiety, momenty nadziei i jej utraty, wiary i bluźnierstwa.

Książka Augustyniak to książka nie tylko o śmierci, ale przede wszystkim książka o miłości – miłościach, które zdają się ze sobą łączyć, choć przecież pozostają na dwóch przeciwległych biegunach – do mężczyzny i matki. Pierwsza jakby nieustannie zawstydzona swoim istnieniem, niestosownością wobec sytuacji umierania, i druga, która obudzona zostaje z uśpienia dorosłości i objawia się na nowo w dziecięcej prostocie relacji do matki. Śmierć jednej ukochanej osoby pozwala dostrzec siłę drugiej miłości, ocala w pewien sposób tę miłość do mężczyzny, daje nowe siły, rozkwita na przekór śmierci. Dla bohaterki pozostaje dręczące pytanie o stosowność uczucia, jego intensywność, rację bytu w obliczu tragedii. Namiętność i umieranie oświetlają się wzajemnie, uświadamiają siłę doznań, ich podobieństwo w intensywności przeżywania – cielesność śmierci i cielesność miłosnego aktu dotykają przecież istoty ludzkiego życia.

Tekst jest nieustanną rozmową wielopoziomową i różnorodną – kłótnią, wadzeniem z Bogiem o sens śmierci i umierania, targowaniem się z nim o kolejny dzień życia dla matki (tym samym wydłużenie wzajemnych relacji), prośbami do Matki Bożej z charakterystycznym dla jej kultu litanijnymi frazami, aktami zawierzenia, przywoływaniem dawnych rozmów niby zwyczajnych, a odsłaniających prawdę o głębokich relacjach matki i córki, wreszcie rozmowy bohaterki z sobą samą. Od powagi do żartu, od podniosłego zwrotu do przekleństwa.

Rozmowa z matką ma charakter poetyckiej ekspiacji, tłumaczenia się z dziecięcych przewin, młodzieńczych niedoskonałości, zniecierpliwienia jej chorobą, z uczucia bezradności, ulgi, że się dokonało – ważne i mniej ważne sytuacje, które stają przed oczyma, domagają się dopowiedzenia, chaotycznie, w obawie, żeby zdążyć przed kodą. Augustyniak ukazuje śmierć jako trudny (niemożliwy tak naprawdę do końca) proces oswajania i dorastania do niej – przez wszystkie lata matka „uczyła" umierania siebie i bliskich, by córka, bogatsza o wszystkie poprzednie zdarzenia, mogła przeprowadzić ją na drugą stronę. Są podobne do siebie – w postawie do świata, w sposobie mówienia o sprawach ostatecznych z lekka ironicznym, skrywającym prawdziwe uczucia:

> *Nie tkałaś z pretensji makatek, żalów nie wiązałaś w supełki, nawet smutków do kolekcji nie zbierałaś. Czasem mówiłaś: Cierpienie nic nie daje [...]. Natychmiast przystępowałam do ofensywy [...]. W oracjach się wyżywałam. Na wypominki to do kościoła, mówiłaś.* (s. 187)

Dla bohaterki, choć trudno jej się z tym pogodzić, śmierć matki niczego nie zamyka, a jeszcze mocnej z nią wiąże: matka już nie tylko łączy życie codzienne z wymiarem duchowym, pośredniczy między sferą realną a transcendentną – „oplotła mnie przykazaniami mojżeszowymi", mówi o niej bohaterka – ale po śmierci przydana jest jej nowa rola – powierniczki, anioła stróża.

Pisząc o tak trudnym doświadczeniu, udało się autorce uniknąć patosu, nadmiaru czułostkowości, rozdzierających scen choć przecież to wszystko w tej książce jest. Krótkie impresje, zróżnicowane gatunkowo, zamknięte w ramy kolejnych stron są pełne emocji, ale okiełznane poprzez świadomość słowa, jego znaczenia i wagi. Słowa w tej historii układają się na wiele sposobów, a sama bohaterka/autorka czerpie z ich bogactwa nieustannie, przeplata różne style, zestawia obok siebie

żart dziecięcej wyliczanki i siłę pogrzebowej pieśni, groteskę i lament. Każde z nich służy i wyrażeniu, i ukryciu bólu. Pozostaje autentyczną w każdej odsłonie: kochanki, córki, siostry, wtedy, gdy towarzyszy umieraniu i przed umieraniem ucieka.

Kochałam, kiedy odeszła nie przynosi łatwego pocieszenia, trudno nawet odpowiedzieć, czy w ogóle o to chodzi, bo gdyby istniało takie pocieszenie, po co byłoby w ogóle dzielić się doświadczeniem i własną traumą?

Alicja Jakubowska-Ożóg

Anna Augustyniak, *Kochałam, kiedy odeszła*, Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2013.

Stanisław Dłuski

KARASEK POLIFONICZNY

Twórczość poetycka i eseistyczna Krzysztofa Karaska od dawna zasługiwała na szerszy ogląd, wnikliwe oświetlenie, hermeneutyczną interpretację, w której ważne jest usytuowanie jej na tle epoki, czy też międzyepoki, bo przecież autor *Czerwonego jabłuszka* wciąż pozostaje aktywny, dynamiczny, niespokojny. Książka Grzegorza Kociuby te oczekiwania spełnia, ale ważne, że skupia się na późniejszym okresie twórczości tego poety, głównie od 2000 roku, bo przecież początki Nowej Fali zostały dość dobrze opisane.

Już dawno Juliana Kornhausera denerwowało nieustanne kojarzenie go z tym istotnym dla powojennej poezji pokoleniem. Niesłusznie też poeta z Warszawy funkcjonował długo w cieniu Adama Zagajewskiego czy Stanisława Barańczaka. Od początku, od fascynacji cywilizacją i miastem był twórcą poszukującym. Nie zatrzymywał się w oswojonych przez siebie formach, korzystając z doświadczeń awangardy, pozostawał poetą o „mocnej podstawie klasycznej" (formuła Adama Ważyka, jednego z mistrzów poety). Sam zwraca uwagę na trzy kluczowe dla siebie pojęcia: „wizyjność", „doświadczenie", „nieprzewidywalność". Dodałbym, co przecież tak ważne w porządku egzystencjalnym, że Karaskowi bliskie było zawsze „trwanie wśród zwątpień i tajemnic". Takiego myślenia należy szukać w zachodnim i polskim romantyzmie, jakże ważnym dla lirycznych peregrynacji poety.

Najważniejsza diagnoza Kociuby dotyczy koncepcji poezji i modelu wiersza, który zostaje tu nazwany wierszem polifonicznym, co prowadzi do kolejnych metamorfoz, wielowymiarowości, wieloznaczności. „Ja" liryczne zostaje zwielokrotnione i człowiek, świat, „bycie" (byt) są niejako oglądane z różnych punktów widzenia. Najpierw więc wizyjność, ekspresywność, bunt moralny i metafizyczny, które ustępują realizmowi, rzeczowości, prostocie wyrazu, by dojść do etapu szamańskiego, metafizycznego, eschatologicznego, może nawet mistycznego (motyw „światła") i apofatycznego (teologia negatywna). „Poezja doświadczenia" (termin Ważyka) zostaje wzbogacona o szeroki kontekst kulturowy, chodzi nie tylko o praktykę przekładową autora *Świętego związku*, ale – co warto dopowiedzieć – oczytanie w filozofii, historii sztuki czy muzyki, znajomość antropologii kulturowej, kultury antycznej, psychologii, biologii, botaniki. Długo by można wymieniać ogromny zakres lektur poety.

Poemat *Uroczystości* Kociuba widzi jako syntezę poznania, wyobraźni i mitu. W ogóle tom *Święty związek* to przypomnienie o tym, co jest istotą religijnej wrażliwości, czyli odwiecznej więzi między wszelkimi istotami, więzi, która przenika i wiąże tajemniczymi nićmi cały kosmos. Zresztą, kosmologia Karaska, to temat na osobny esej, zaryzykowałbym tezę, że dla wyobraźni poety najważniejszy jest żywioł powietrza, związany z marzeniem, motywem lotu, ornitologią po-

etycką (Gaston Bachelard). Szaman to „ktoś wtajemniczony i nawiedzany", w jednym z wierszy czytamy:

Byłem jak rybak moknący na deszczu
Ale złowiłem najpiękniejszą rybę
Jestem strumieniem a ona płynie we mnie

Byłem ciemny i złorzeczyłem istnieniu
A teraz wypełnia mnie jasność

Widzę niemo, w zachwyceniu
Żyję.

Poeta wchodzi w okres orficki – jak zauważa Kociuba – słowo ma tutaj moc sprawczą, kreacyjną, „może powodować zmiany w strukturze bytu". Można dodać, że tradycja orficka, związana z widzeniem eschatologicznym, łączy się z tradycją biblijną. Także kultura chrześcijańska wiele jej zawdzięcza.

Najważniejszy bohater liryczny tej poezji to r o z b i t e k, określa to sytuację egzystencjalną, duchową, mentalną poety, ale to również – jak zauważa Kociuba – figura ludzkiego losu (Homer, Joyce etc.), nie prowadzi to jednak do bezwyjściowego pesymizmu, raczej do akceptacji, afirmacji jasnych i ciemnych stron życia. Trafnie te postawę i sytuację rozbitka opisuje Cioran, jakże bliski Karaskowi, być może ostatni wielki filozof XX wieku: „Rozbitek, chłostany przez wszystkie fale, rzucany o każdą skałę, pochłaniany przez wszystkie ciemności, który wciąż trzyma słońce w swych ramionach. Straceniec tułający się ze źródłem życia w sercu...".

Poeta poddany wielu zwątpieniom i zagrożony relatywizmem, który zdominował czasy ponowoczesne, jednak stoi na straży Nadziei, mającej oparcie w uczuciowości religijnej, bo potrafi – żyjąc w ciemności – widzieć światełko latarni na horyzoncie. O tym poharatanym świecie poeta mówi językiem pełnym aluzji, cytatów, kryptocytatów, polemik, pastiszy, dlatego tak trudno poddaje się on interpretacji. Ważny pozostaje wymiar poznawczy i etyczny poezji (patronat Herberta, z którym autor *Godziny jastrzębi* był do końca zaprzyjaźniony). Poetę-rozbitka interesują losy artystów tragicznych, „opętanych pięknem" (Mozarta, Rimbauda, Baudelaire'a). To brzmi banalnie, wielka sztuka i poezja zawsze jest związana z wielkim cierpieniem, czy cielesnym, czy duchowym; los jest tu zawsze wyzwaniem i artysta musi z nim się zmierzyć. Inni bohaterowie Karaska to Byron, Georg Trakl, Gottfried Benn, Johannes Mayrhoffer i Karol Levittoux – naznaczeni historią „szaleńcy ojczyzny". Przez doświadczenie tragizmu i cierpienie prześwieca „tamten brzeg", pogoń za Rzeczywistością (jak u Czesława Miłosza) odsłania głębokie prawdy istnienia, w upadku można odkryć sens bytu.

Poezja – twierdzi Kociuba – wobec egzystencji w twórczości Karaska pełni co najmniej trojaką funkcję: „uwzniośla istnienie, umożliwia pogłębione poznanie siebie i świata, godzi nas z rzeczami ostatecznymi". Wzniosłość jako kategoria estetyczna, poznanie głębokich sensów oraz trudna afirmacja istnienia, oto żywioł omawianej poezji, który jest źródłem wizyjnych i polifonicznych wierszy. Dionizyjsko-orfickie pojmowanie poety oznacza nie tylko „wtajemniczenie przez upojenie", ale elementarną pasję człowieka twórczego, czyli p o s z u k i w a n i e i pogoń za formą, bo dopiero wtedy można odnaleźć odpowiedź w sensie artystycznym i filozoficznym. Dalej, to widzenie świata nie tylko w wymiarze horyzontalnym, ale przede wszystkim wertykalnym, wrażliwość na ontyczny wymiar piękna, widać to w mikroobrazach, dostrzeganie w najmniejszym bycie cudu istnienia. To oznacza właśnie poszukiwanie Całości. Historia odchodzi na dalszy plan, poeta wchodzi w wymiar eschatologiczny, sprawy ostateczne stają się najważniejsze.

Trafnie autor *Twarzy rozbitka* podkreśla intensywność przeżycia, różnorodność doświadczeń, dialog z tradycją bliską i daleką, wrażliwość na muzykę języka (asonanse, konsonanse), ale też język potoczny, codzienny. Kociuba nie pomija też znaczenia poety

z Warszawy dla rozwoju nowej poezji polskiej (seria poetycka „Przedświtu", w której ukazały się m.in. tomy Jarosława Mikołajewskiego, Andrzeja Sosnowskiego, Karola Maliszewskiego). Czesław Miłosz taką postawę nazywał dbaniem o „całe gospodarstwo polskiej poezji". Karasek zawsze pamiętał o swoich Mistrzach i pisał o nich; to były ważne przyjaźnie z Adamem Ważykiem, Zbigniewem Herbertem i Zbigniewem Bieńkowskim. To tak ważne w czasach, kiedy ginie kultura dialogu i mistrzowie są na wagę „złota" (młodzi już nie potrzebują mistrzów?).

Czy *Gry weneckie* (2007), trochę niedocenione przez Kociubę, to tylko przypisy do jakże bogatej, wieloznacznej i polifonicznej poezji Krzysztofa Karaska? A może tym tomem poeta otwiera nowe wymiary i odmienne światy, w których próbuje zamieszkać, które próbuje oswoić? Odpowiedź nie będzie prosta i jednoznaczna, bo metafory czy obrazy poetyckie nie zawsze dają się przełożyć na racjonalny dyskurs, jedno można orzec z pewnością: warszawski poeta, nieustannie podejmuje nowe wyzwania, określając się jako „rozbitek" nie rezygnuje z poszukiwania sensu i harmonii w codziennym chaosie.

Jednym ze słów-kluczy tego poetyckiego świata jest pojęcie „gry", którą autor *Godziny jastrzębi* prowadzi z samym sobą, ze światem widzialnym i niewidzialnym, poszukując prawdy o sobie i przeznaczeniu człowieka, przedmiotem kontemplacji czyni malarstwo i muzykę, bo dopiero uruchamiając wszystkie zmysły możemy dostrzec choć na chwilę tę najważniejszą prawdę, że bez nadziei na wieczność jesteśmy tylko skazani na przyziemną konsumpcję. Wenecja to miasto-symbol, miasto-metafora, w nim bowiem zbiegają się wszystkie marzenia o syntezie piękna i prawdy, a bez nich nie da się normalnie żyć, nie da się zbudować świata niepodległego nicości.

Przywołuję tu Karaska jako autora *Godziny jastrzębi*, bo pomimo wieku wciąż pociągają go rewolucje i wybory między skrajnościami, światłem a ciemnością, między być albo nie być: „Wiersz pisze się w pełnym słońcu/ młodości/ albo śmierci" (*Zamęt*). W tym samym wierszu do młodego poety, który odnalazł swój styl, kieruje on słowa: „bierz wszystko/ lub zaśnij w nim, przelicz czasoprzestrzeń/ i utoń w niej". Pobrzmiewa tu biblijna prawda, która mówi o tym, że mamy być gorący lub zimni, nigdy letni, obojętni.

W tym kontekście Karasek jest maksymalistą, w sensie poznawczym i artystycznym, w jego stylu poetyckim łączy się konkret i sensualna rzeczywistość z metafizycznym pragnieniem pełni, liryczny, filozoficzny dyskurs z wyrafinowanym, plastycznym obrazem. Wszystkie zabiegi mają na celu dotarcie do Całości, do jednej, doskonałej metafory:

Wiersz przywołuje smutek, strach,
nienawiść, nadzieję. Śmierć
i prawdziwe życie, które zawsze jest gdzie indziej.

Stanąć przed i ponad,
wyłonić z mgły interpretacji tę jedną,
najdoskonalszą i najczystszą metaforę
(Car je est un autre).

Poeta jednak niczego nie rozstrzyga, waha się i poszukuje, te wiersze pulsują autentycznymi emocjami, pulsuje w nich życie pełne ryzyka i wyzwań, w wierszu *Dobrze jest* wyznaje, że najlepiej urodzić się w skórze tygrysa, albo „obudzić się w potrzasku,/ nad przepaścią,/ całkiem nagi". Z tą ontologiczną niepewnością i ryzykiem, które są wpisane w naszą podniebną wędrówkę, łączy się tu świadomość niewystarczalności słowa, bo

prawdziwym głosem
mówi On, głos-dzwon,
który ufa swojej wymowie.

Nawet gdy się waha.

W gorzkim i dramatycznym wierszu *Liturgia niewymowna* odnajdujemy obraz „żelaznej pokuty", która zderzona z codziennością cierpienia, ale też zobaczona w perspektywie krzyża, skłania do poetyckiej refleksji: „i na

co mi tytuł/ mistrza sztuki najwymowniejszej/ atrament z piórem konwersuje/ cnota zdeformowanej elokwencji". Czy ta liturgia ciała, liturgia, która nie potrzebuje słów, nie określa w dość wymowny sposób odniesienia dla Karaskowej metafizyki. Ciało też „mówi" i w bolesny sposób odsłania ciemne i jasne strony istnienia. Trudno byłoby się jednak zgodzić z tym, że autor *Lekcji biologii* jest tylko poetą konfesyjnym, bo w tym samym tomie odnajdujemy znaczącą, ironiczną *Księgę dowcipów dla Pana Boga*. Zgoda na świat ma swe ograniczenia, bo nieustannie gubimy siebie w zamęcie życia, wątpimy w możliwości poznawcze człowieka i pytamy o inne wymiary istnienia.

Książka Kociuby jest ważna z wielu powodów, nie tylko dla tych, którzy chcą lepiej poznać erudycyjną i niełatwą poezję Karaska, ale to potrzebny głos w dyskusji na temat kondycji współczesnej poezji polskiej, napisanych czytelnym, klarownym językiem, jest zaproszeniem do dialogu. Autor, jak rasowy krytyk, nie boi się wartościowania, wydobywa esencje, buduje ciekawe konteksty, potrzeba dzisiaj takiej eseistyki.

Stanisław Dłuski

Grzegorz Kociuba, *Twarze rozbitka. Poezja i eseistyka Krzysztofa Karaska*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2013.

Ryszard Kołodziej

PO NITCE DO KŁĘBKA

Waldemar Smaszcz zetknął się z poezją księdza Jana Twardowskiego dzięki profesorowi Konradowi Górskiemu, który, zauważywszy jak bardzo wstrząsnął nim wiersz *Spojrzał*, zaproponował studentowi polonistyki do lektury tomik *Znaki ufności*. Pożyczając książkę, zachęcił go, by poważnie zajął się tą liryką. Pewnego dnia nawet wyznał: „Akademia Szwedzka prosi mnie o opiniowanie polskich kandydatur do Literackiej Nagrody Nobla. Znowu wpisałem Zbigniewa Herberta, bo to świetny poeta. Powinienem jednak księdza Jana Twardowskiego, ale przecież protestanccy Szwedzi nie dadzą tej nagrody katolickiemu księdzu...".

Publikacja Smaszcza to osobista opowieść przyjaciela o przyjacielu. Czytelnik nie znajdzie tu sensacyjnych wiadomości i drażliwych tematów. O nich pisała Magdalena Grzebalkowska w reportażu *Ksiądz Paradoks*. Smaszcz odwiedza miejsca związane z bohaterem książki. Ukazuje człowieka ukrytego za napisaną liryką. Interpretując poszczególne teksty, przybliża kontekst ich powstawania: „Będąc przez ponad dwadzieścia lat blisko ks. Twardowskiego, a nawet przyjaźniąc się z nim, wiele faktów musiałem wyjaśniać dopiero po jego śmierci".

Ksiądz pragnął, by po nim została jedynie poezja. Traktował swoje wiersze jako integralną formę duszpasterską, mniej oficjalną formę wypowiedzi. Tworzył wyłącznie podczas miesięcznego urlopu w małych miejscowościach na Mazowszu. Dwa razy tylko odstąpił od tej rutyny. W 1971 lub 1972 roku wyjechał do Tuchowa i Libuszowej, a w 1993 do Supraśla. Mazowiecki krajobraz z typową dlań nizinną przyrodą odcisnął na nim wyraźne piętno. Zdaniem Smaszcza: „Mazowiecka wieś i lasy wpłynęły nie tylko na wyobraźnię poety, ale wręcz określiły jego widzenie świata". Od najmłodszych lat, wrażliwość chłopca kształtowały letnie pobyty w Milanówku oraz majątku wuja Wacława Konderskiego Druchowie. Miasta nie lubił, choć większą część życia, za wyjątkiem kilkuletniego pobytu jako wikary w Żbikowie, na Żoliborzu i Saskiej Kępie, spędził w samym sercu Warszawy, pomiędzy Koszykową, Elektoralną, Kapucyńską i Krakowskim Przedmieściem.

Debiutancki zbiorek *Powrót Andersena* (1937) wydał w czterdziestu egzemplarzach. Na następny czekał dwadzieścia dwa lata. Prawdziwy sukces i uznanie przyniósł mu dopiero trzeci tomik *Znaki ufności* (1971).

Waldemar Smaszcz odkrył, że ksiądz pisał go w Runowie, a nie w Głoskowie – jak zawsze twierdził. Białostocki krytyk sięgnął do roczników międzyszkolnego czasopisma „Kuźnia Młodych", gdzie Twardowski – uczeń Gimnazjum im. Czackiego - opublikował kilkanaście wierszy oraz prowadził rubrykę „Poradnik literacki" przemianowaną później na „Rozmawiajmy o poezji". Żartobliwo-uszczypliwy ton odpowiedzi nastolatka mówi wiele o jego wczesnych upodobaniach literackich, stosunku do zastanej liryki i prywatnych lekturach: „Kto by dzisiaj »podejrzewał« ks. Twardowskiego o sympatię do rozpraw teoretycznych »papieża awangardy«, Tadeusza Peipera?". W środowisku skupionym wokół pisma, spotkał ludzi, którzy pojawiają się w jego biografii: Jerzego Pietrkiewicza, Eugeniusza Zielińskiego, Wojciecha Żukrowskiego, Mieczysława Milbrandta, Juliusza Krzyżewskiego oraz Jerzego Kamila Weintrauba. Jego podejście do liryki zmieniła wojna i Powstanie Warszawskie. Ciekawym materiałem informacyjnym o życiu prywatnym ks. Twardowskiego po przyjęciu święceń kapłańskich okazał się list wysłany do niemal zapomnianego już dzisiaj poety Jana Bolesława Ożoga. Dzielił się w nim swą samotnością.

Jan od Biedronki zachował wiarę dziecka. Wielbił Stwórcę ujawniającego się poprzez stworzony świat. Uważał, że człowiek nieustannie szuka Boga, chociaż często nie zdaje sobie z tego sprawy. Komentując wiersz *Dzieciństwo wiary*, krytyk podziwia „niezrównane metafory i obrazy poetyckie, z których ta, mówiąca o miłości »tak czystej że karmiła Boga«, jest bodaj najznakomitszą w całej jego twórczości". Miłość, która sobą nie zasłania, ale nas ogarnia, stanowi fundament jego poezji. Według Smaszcza: „jeżeli przyjrzymy się bliżej poetyce ks. Twardowskiego, okaże się, że nie wymyślił on w zasadzie niczego nowego, po prostu powrócił do korzeni liryki religijnej, do języka Ewangelii". Znajdujemy w niej dobry humor, uśmiech, nieustanne zdziwienie i prostotę. Przekonanie, że spotkanie z drugą osobą nie jest dziełem przypadku, lecz darem Boga.

Książka Smaszcza odkrywa ukryte sensy poetyckie w liryce Twardowskiego. Opowiada także o najbliższej rodzinie autora *Niewidomej dziewczynki* i jego przyjaźni ze Stanisławem Szenicem, Anną Kamieńską, prof. Anną Świderkówną, prof. Władysławem Tatarkiewiczem, ks. prof. Januszem Pasierbem, Jerzym Zawieyskim oraz innymi osobami. Starannie wydaną pozycję ilustrują liczne czarno-białe fotografie.

Ryszard Kołodziej

Waldemar Smaszcz, *Serce nie do pary: o księdzu Janie Twardowskim i jego wierszach*, Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2013.

Krystyna Januszewska

NORWESKO-POLSKIE PEJZAŻE KULTURALNE

Jestem po lekturze książki Janiny Januszewskiej-Skreiberg *Sercem w dwóch krajach. Norwesko-polskie pejzaże kulturalne.* Nie sposób odłożyć jej lektury bez wielkiego wzruszenia i wdzięczności. „Jest coś w tym, że człowiek chce być blisko ojczystej ziemi" – te słowa Owidiusza są wciąż aktualne. Ludzie dojrzali, którzy mogą już spojrzeć na życie z szerszej perspektywy, potwierdzą, że z czasem kraina z przeszłości ożywa nowym kolorem, staje się słodsza, piękniejsza, pełna walorów. Chcą wracać, zdaje się im, że tylko tam i wtedy życie mogło być pełne i mądre. Ojczyzna, jakby jej nie nazwać i zdefiniować, kojarzy się w wczesnym dzieciństwem, z miejscem, w którym człowiek zaczyna pisać swoją historię, i z ludźmi, którzy mu towarzyszą. Lecz ja mam w tej chwili przed oczami tylko małą dziewczynkę, stojącą pośrodku warszawskiej ulicy, szarej od dymu, wśród zburzonych kamienic, obok ludzkich zwłok,

pośród niemilknącego huku wystrzałów. To jej ojczyzna, bolesne wspomnienie z przeszłości, kładące kres całemu dzieciństwu.

Janina Januszewska-Skreiberg jest dzieckiem zniszczonej Warszawy. Jej matka, Anna Żmudzińska, łączniczka AK, zginęła w czasie Powstania Warszawskiego, ojciec Stanisław Januszewski, lotnik, poległ w czasie bitwy o Anglię. Autorka książki jest polską korespondentką i animatorką kultury mieszkającą na stałe w Oslo. Pisuje do wielu dzienników i tygodników w całej Europie oraz w Nowym Yorku. Od 40 lat publikuje artykuły poświęcone polskiej i norweskiej kulturze, ze szczególnym uwzględnieniem wzajemnych wpływów i powiązań między obu krajami. Nazywana jest ambasadorem kultury polskiej w Norwegii, jak również kultury norweskiej w Polsce. W roku 2001 opublikowała książkę *Od Ibsena do Twardowskiego*. Za swoją działalność otrzymała Złoty Medal „Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej" i odznakę „Zasłużony dla kultury – Gloria Artis". Swoją wieloletnią pracę zwieńczyła w Norwegii książką *Med hjertet i to land*, której polskie wydanie otrzymało tytuł *Sercem w dwóch krajach*.

Jak zdolny wirtuoz potrafiła w niej połączyć trudną melodię własnej przeszłości z teraźniejszością i czerpać z niej siłę. Mimo że wspomnienia są bolesne, splata z nich historię własnego życia, los ojczyzny łączy z Norwegią, która stała się jej drugim domem. Ślubu z Nilsem Skreibergiem, przystojnym norweskim inżynierem w Kościele Sióstr Wizytek w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu udzielił jej ksiądz Jan Twardowski. To wydarzenie stało się początkiem ich wieloletniej przyjaźni.

Książka *Sercem w dwóch krajach*, pozornie dziennikarska, jest czymś więcej niż zebraną wiedzą. To rys historyczny podróży polskiej kultury od lat powojennych po czasy współczesne. Droga pisarki prowadzi zawsze w dwóch kierunkach z Polski do Norwegii i z Norwegii do Polski. Książka zamyka się klamrą zbierającą doświadczenia obu krajów na płaszczyźnie wspólnych kontaktów i współpracy we wszystkich dziedzinach kultury. Jest więc teatr polski reprezentowany przez Henryka Tomaszewskiego, Sławomira Mrożka, Witkacego, Tadeusza Różewicza, Jerzego Grotowskiego, Tadeusza Kantora, Józefa Szajnę i wielu innych twórców, prezentowanych na scenach norweskich i polskich, są festiwale teatralne w obydwu krajach, wzajemne fascynacje. Jest polski film, bardzo bogate kontakty literackie, malarstwo i architektura, galeria polskich kompozytorów, solistów oraz zespołów muzycznych prezentowanych w Norwegii. Nie sposób wyliczyć wszystkich tematów.

Autorka niemal do ostatnich linijek książki uzupełnia fakty, dodaje daty i przemyca prognozy na lata następne, żeby książka była jak najpełniejszym i najbardziej aktualnym dokumentem. Janina Januszewska-Skreiberg opisuje własne odczucia i emocje, jest naocznym świadkiem wydarzeń, często także inspiratorką spotkań i ich opiekunką. Ma się wrażenie, że Stwórca wybrał ją do takiej posługi, jakby był pewien, że właśnie ona podoła karkolomnej misji w czasach, gdy działała jeszcze ustrojowa kurtyna wschodniej i zachodniej Europy.

Norwegia stała się dla Janiny Januszewskiej-Skreiberg nowym życiem i wielką pasją, której całkowicie się poświęciła. Przez blisko czterdzieści lat zbiera i kolekcjonuje dowody współpracy i przyjaźni dwóch europejskich narodów. Jej relacje są pełne życia, nie ma w nich suchych faktów. Przedstawia ludzi obdarzonych talentem i pasją, ważne spotkania, ciekawe rozmowy, twórcze żarty, długie dyskusje i wspólne przeżywanie artystycznych doznań. Nie umyka jej najdrobniejszy fakt. Obserwujemy kalejdoskop zdarzeń kulturalnych i barwną galerię postaci. Wydaje się, że prawie wszystkie ważne postaci współczesnej polskiej kultury odwiedziły Norwegię, zostawiając po sobie ślad, okruchy wspomnień, twórcze inspiracje i sympatię. O ich autentyczności świadczy serdeczny, osobisty kontakt z autorką.

Są też w książce historie trudnych rozstań. Im większe ma się grono przyjaciół, tym częściej trzeba się z nimi żegnać. Na skrzydełku książki czytamy słowa Andrzeja Wujka, absolwenta Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej i członka Stowarzyszenia Architektów Polskich we Francji (SARP FR): „Znamy się z Ninką od dawna, od czasów studenckich w Gdańsku. Ona mieszka teraz w Oslo, w Norwegii, ja we Francji. Oboje mamy serca w dwóch krajach". To wzruszający dopisek, jego autor, będący autorem projektu okładki książki, nie ujrzał już swojego dzieła. Zmarł, zanim książka wyszła z drukarni. Pozostawił po sobie znane obiekty turystyczno-sportowe w Alpach szwajcarskich, ambitne projekty realizowane w całej Europie oraz sporo publikacji z dziedziny architektury.

Z książki, z włączonych do niej opinii o autorce, wyłania się obraz kobiety, która wie, co w życiu jest ważne, ceni ludzi, ich umiejętności i profesjonalizm. Pragnie przekuć rozstanie z krajem w coś wartościowego, co po niej zostanie dla kolejnych pokoleń, jako świadectwo czasów i ślad po ludziach ważnych, kochanych, podziwianych, tworzących współczesną kulturę obu bliskich jej krajów.

O Norwegii wiemy w Polsce niewiele. A przecież, przy odrobinie wyobraźni, stojąc nad brzegiem Bałtyku można dostrzec szczyty Gór Skandynawskich, zakola fiordów, błysk wody w cieśninie Ostfjorden, siedem wysp archipelagu Lofoty i czerwone domki na palach. Kraj jak z baśni, królestwo nastroju i raj dla rybaków. Jest także ciekawa norweska historia, kultura i bogactwo tradycji. Dlatego polecam wszystkim książkę Janiny Januszewskiej-Skreiberg – także jako znakomity kulturalny przewodnik po Norwegii, spisany z niezwykłą dociekliwością i precyzją, poświadczony własnym uczestnictwem we wszystkich ważnych polsko-norweskich wydarzeniach. Żywa i osobista narracja nadaje książce lekkości i tempa, jest porywającą lekturą, dobrą na długie zimowe wieczory i wakacyjne wyprawy. To książka ważna dla obu narodów, szczególnie dzisiaj, gdy przybyło Polaków w Norwegii, a i Norwegowie częściej niż kiedyś zaglądają do kraju nad Wisłą.

„Żeby nie przeminąć z wiatrem" – to zadanie udało się autorce książki. Kilka dekad kulturalnej współpracy Polski i Norwegii zostało w niej opisanych z drobiazgową czułością i osobistym zaangażowaniem, jest ważnym świadectwem czasów, które powinni docenić ci wszyscy, którym leży na sercu dobro kultury, budowane dzięki niej przyjazne stosunki międzynarodowe, szczególnie ważne teraz, gdy Europa znalazła się na kolejnym zakręcie historii. Mam nadzieję, że książka Janiny Januszewskiej-Skreiberg otworzy kolejne rozdziały dalszej polsko-norweskiej współpracy.

Krystyna Januszewska
(zbieżność nazwisk przypadkowa,
ale nie bez znaczenia)

Janina Januszewska-Skreiberg, *Sercem w dwóch krajach. Norwesko-polskie pejzaże kulturalne*, przeł. Magda Ułas, Fundacja Inicjatyw Społecznie Odpowiedzialnych, Gdańsk 2012.

KRONIKA

Sztuka w Beskidzie Niskim

SANOCKIE PEJZAŻE I IKONY JERZEGO WOJTOWICZA

9 maja 2014 roku w gorlickiej galerii „Dwór Karwacjanów" odbył się wernisaż prac Jerzego Wojtowicza[1], absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, obecnie związanego z pracownią konserwacji zabytków przy Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku. W jego pejzażach kolor położony szerokimi plamami tworzy zagęszczone masy, z których wyłaniają się sylwety przedmiotów uwydatnione silnymi nawarstwieniami faktur. Kolor nie imituje przedmiotu – rzeczywistej „barwy" jego powierzchni. Jest samoistny i niezależny, stanowiąc tym samym autonomiczną malarską jakość. Na jednym z obrazów szmaragdowa zieleń przechodzi w czerń, w której mrocznych głębiach majaczą wieże sanockiego kościoła. Na tle nocnego nieba elementy architektury lśnią jak księżycowe obrysy chmur na słynnym obrazie El Greca ukazującym panoramę Toledo. Ciemność rozświetla gdzieniegdzie srebrzysta poświata, iskrząca się świetlistymi naciekami gęsto położonej farby; w innym miejscu znowu przyprószona zaledwie przez laserunkowy prześwit, ukazuje dachy domów, urwisko nad doliną Sanu. Błękity i ochry kontrastują mrokiem zakamarków, który ewokuje baśniowy nastrój tajemnicy. Inny obraz przedstawiający żydowskich muzykantów – dawny świat galicyjskiego miasteczka – przywodzi na myśl literackie wizje opowiadań Bruno Schulza, a także malarskie konteksty nadrealizmu twórczości Chagalla.

Autor jest konserwatorem sztuki – stąd chyba za temat niektórych prac służy mu samo tworzywo – surowa materia płótna z kawałkami drewna, których geometryczne formy chwytają światło na swojej fakturze, dając w ten sposób zaskakujące malarskie efekty. Oddzielny wątek gorlickiej ekspozycji Jerzego Wojtowicza stanowiły ikony. Cechą szczególną, która wymaga uważnego spojrzenia odbiorcy, są ekumeniczne detale pojawiające się w niektórych spośród

[1] Jerzy Wojtowicz uprawia malarstwo, rysunek, grafikę oraz zajmuje się konserwacją zabytków. W swoim dorobku ma wiele wystaw indywidualnych oraz zbiorowych w Polsce i za granicą (Włochy, Holandia, Słowacja, Polska). W dziedzinie konserwacji zabytków, wśród jego licznych realizacji należy wyróżnić: konserwację polichromii w prawosławnej cerkwi w Komańczy i rekonstrukcję XVIII-wiecznego ikonostasu w cerkwi grekokatolickiej w tej samej miejscowości, restaurację zespołu ikon w klasztorze prawosławnym w Jabłecznej, w Muzeum Okręgowym w Białej Podlaskiej, a także współudział w konserwacji zespołu ikon Ikona karpacka w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku.

wystawionych prac. W sensie plastycznym są to obrazy typowe dla obrządku wschodniego, lecz pośród ruskich świętych, w szeregu postaci zjawiają się św. Jan Paweł II i święta Maria Faustyna Kowalska – osoby należące do kręgu tradycji katolickiej. Artysta chce zapewne podkreślić w ten sposób swe zakorzenienie kulturze pogranicza, gdzie religijność katolicka współistnieje z grekokatolicką i prawosławiem.

Jerzy Wojtowicz, ikona, technika własna

Jak wiadomo – w sztuce bizantyjskiej ikona miała stanowić pomost między transcendencją *sacrum* a światem doczesnym. Tworzenie („pisanie") ikony bliskie jest modlitwie i wymaga od autora szczególnego duchowego przygotowania. Jednocześnie ustanowiony zostaje dystans pomiędzy materialnym tworzywem, które malarz obrabia jak rzemieślnik, a świętym pierwowzorem – zaświatową Ideą, ku której wznosić się ma dusza odbiorcy. Ikona ukazująca oblicze świętej Osoby, nie jest więc portretem, znanym nam z tradycji zachodnioeuropejskiego malarstwa. Oznacza to, że obraz nie przedstawia ludzkiej twarzy tak, jakby była ona jednym z wielu elementów natury – nie jest mimetycznie rozumianą podobizną przedmiotu. W ikonie manifestuje się idealny wzorzec, który prześwieca przez to, co materialne, a dzieło sztuki w pewnej mierze utożsamia się obiektem kultu. Dawniej, w łemkowskiej chacie w izbie, w której wisiała ikona, należało zachowywać się godnie – zdjąć nakrycie głowy, przeżegnać się, nie wypadało także zapalić fajki.

Warto również zwrócić uwagę, że w twórczości Wojtowicza mamy do czynienia z mocnym nawiązaniem do polskiego koloryzmu. Tematy sakralne obecne w omawianym cyklu ikon zdają się rozwinięciem malarskich koncepcji, podobnych do tych, które znajdujemy w jego pejzażach sanockich. Wystawa w galerii „Dwór Karwacjanów" stanowiła spójną i pełną ekspresji prezentację twórczości artysty, który odwołując się do rekwizytów kultury swojego regionu, poprzez wysokiej klasy kreację artystyczną nadaje im rangę uniwersalną.

SZTUKA EKSPRESJI

[...] dzieło nie chce niczego konstatować, nie chce jedynie powielać rzeczywistości, lecz raczej w dowolnym wycinku buduje pewną całość, którą nazywamy też światem tego dzieła. Dzieła, które stawiają nas w obliczu takiej totalności, nie tylko przynoszą coś zrozumiałego, lecz także powołują do istnienia coś nowego. W tym sensie dzieła sztuki są wydarzeniami.

Gottfried Boehm, *O obrazach i widzeniu. Antologia tekstów*

Wieczorem 6 czerwca 2014 roku w gorlickiej galerii „Dwór Karwacjanów" odbył się wernisaż wystawy malarstwa Henryka Cześnika, jednego z najwybitniejszych polskich twórców współczesnych. Jest malarzem, rysownikiem, scenografem, aktorem, nauczycielem wielu po-

koleń studentów sztuki. Urodził się w 1951 r. w Sopocie. Studiował w PWSSP w Gdańsku (dyplom obronił w 1977 r. w pracowni prof. Kazimierza Ostrowskiego). Aktualnie pracuje na macierzystej uczelni – obecnie Akademii Sztuk Pięknych, gdzie jest profesorem i prowadzi dyplomową pracownię malarstwa. Miał ponad sto wystaw indywidualnych w galeriach na całym świecie. Jego prace znajdują się w zbiorach muzeów narodowych Gdańsku, Warszawie, Moskwie, Sofii, Dreźnie oraz w wielu kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą. Odbył wiele podróży artystycznych, uczestniczył w kilkunastu plenerach krajowych i międzynarodowych. Brał udział jako aktor w filmach: *Sztos* (1997), *Sztos 2* (2011) oraz *Chłopaki nie płaczą* (2000). Jest laureatem wielu m.in. I nagrody na Biennale Sztuki Gdańskiej (1983, 1987) i Nagrody Artystycznej im. C.K. Norwida (1988). Został odznaczony dwukrotnie Krzyżem Św. Stanisława – orderem honorowym za zasługi na rzecz kultury polskiej za granicą oraz za zasługi na rzecz edukacji artystycznej dzieci.

Nie miałem dotąd okazji oglądać bezpośrednio prac tego artysty. Dobrze wiemy, że rozmowa prze telefon czy nawet za pośrednictwem skype'a nigdy nie zastąpi spotkania, drugim człowiekiem. Tak też jest z doświadczeniem sztuki. Pomijam kwestię, że wszelkiego rodzaju reprodukcje zawsze ogarniamy jednym spojrzeniem, jak zdjęcie z podróży, w której nie braliśmy udziału, nie czuliśmy zapachu miejsc, nie doznaliśmy znużenia wędrówką. Zaś każda wystawa jest wydarzeniem podobnym do spektaklu teatralnego, tyle że statycznym – sala wystawowa wyznacza wyróżnioną przestrzeń, po której porusza się widz. Oglądanie ekspozycji polega na uczestnictwie i zaangażowaniu. Fakt że przyszedłem, że znalazłem się pomiędzy tymi obrazami, był zdarzeniem w moim życiu, nie mniej rzeczywistym niż wyjście nocą pod czarne, rozgwieżdżone niebo. Jest to zawsze doświadczenie bogatsze niż percepcja wizerunków i „przyjęcie do wiadomości" informacji o wyglądzie i kształtach na płótnie.

Prace Henryka Cześnika kojarzą mi się z wybitnymi dziełami niemieckiego ekspresjonizmu i są pełne odniesień do tradycji malarstwa europejskiego. Jednak obcując z jego twórczością wszelkie porównania i próby szukania inspiracji wydają mi się zbędne. Odczuwam rezonans, jaki niekiedy pojawia się pomiędzy dokonaniami twórców, którzy osiągnęli najwyższy stopień wtajemniczenia w materię dzieła. Sylwetki ukazane w skomplikowanych zawiłościach linii, rozlane plamy – jak gdyby atramentowe kleksy – świetnie rysowane motywy inwalidów na wózkach, postaci na kólkach, szpitalnych łóżek i manekinów składają się na rekwizytorium artysty. Niedoskonałe jak w rysunku dziecka postaci i niedokończone, zdegradowane, podniszczone przedmioty, naznaczone są defektami, tragikomicznym brakiem. Ułomne rekwizytorium dopełnia forma obrazów – ich szkicowość, sugerująca dodatkową przestrzeń. Jakby w tym, co widzimy, ujawniała się tylko chwilowa umowność, za którą powinien kryć się jakiś domniemany, prawdziwy poziom rzeczywistości. Poczucie, że wszystko, co nas otacza, zdaje się „na niby", że jest tylko dekoracją, towarzyszy pewnym stanom mistycznym.

Mam wrażenie, że przypadkowo rozlana plama stanowi istotne źródło twórczych dylematów artysty. Również kolorystyka – zimne żółcienie, wypalone ochry, które w zestawieniu z czernią, przenikającą przez rude refleksy, przywodzą na myśl obrazy Hieronima Boscha. Dominanta „zatrutych" barw buduje horyzont upiornych pejzaży. W tym spektaklu swoje role grają chrome postaci o spotworniałych kształtach, z amputowanymi kończynami, ukazane na tle białych szpitalnych prześcieradeł, z naciekami odleżyn i ran. Wszechobecny motyw cierpienia, śmierci i ułomności określa poważny ton dyskursu, który artysta proponuje odbiorcy. Każdy z obrazów Cześnika przenika w moją prywatną przestrzeń. Wypływa poza swą płaszczyznę, która dzięki precyzji delikatnej kreski nawiązuje do rysunków Dürera. Na obrazach tego artysty „materia tworzywa wyłania sens jakby niezależny od wyobrażonego kształtu, który

można nazwać". Faktura, kolor, poplątane linie są medium – nośnikiem znaczenia, niezależnie od form przedmiotowych, które desygnują.

Widz, wchodząc w zamknięty świat obrazów Henryka Cześnika nie ma potrzeby pytać, co on denotuje. To malarstwo nie wywodzi się z mimetycznej tradycji zwierciadła natury. Jego siłą jest wzbudzanie uczuć, ma ewokować niepokój i skłaniać do zadawania pytań. Chociaż przedmiotowe skojarzenia bywają czytelne, jest wizualnym majstersztykiem – kompozycją rysunku i barw. U tego artysty wątki egzystencjalne łączą się z elementami groteski i czarnego humoru. Na przykład w obrazie *Pogrzeb krawcowej* z plątaniny linii wyłania się krawiecki manekin. Służył szyciu na miarę, a tu pojawia się w sąsiedztwie trumny, która także ma „pasować" do osoby. Na kilku obrazach pośród rozlanych ciemnych plam ukazuje się kobieca twarz dodana jakby w formie kolażu. Jaskrawość barw niczym z okładki kolorowego czasopisma może sugerować znikomość urody świata, barokowe szyderstwo z pozorów młodości. Groteskowe, w pewien sposób absurdalne formy, zderzone z realistycznie oddanym fragmentem portretu nie wykluczają tej interpretacji, która jest opowiedziana jędrnym językiem współczesnych graffiti.

Twórczość Cześnika skłania mnie do ogólniejszej refleksji o sposobach plastycznej interpretacji świata. Na temat obrazu powiedziano, że jest swoim własnym archetypem, formą odsłaniania sensu, a nie ilustrowania świata[2]. W dziele sztuki ujawnia się głębia osobowości twórcy, a przez jej ekspresję prześwituje metafizyczny sens, który „wydarza się" w każdym akcie kreacji i podczas spotkania widza z dziełem. Forma malarska – sposób konstruowania obrazu – zawsze był przejawem ludzkiej samowiedzy, pośrednio i nie wprost odzwierciedlał koncepcję naszej tożsamości oraz relacje zachodzące między człowiekiem a światem. Był wyrazem określonego rozumienia – „sposobu odnoszenia się do otaczających nas przedmiotów". Relacja do tego, co może być oglądane, z góry przesądza pozycję, jaką człowiek zajmuje wobec wszystkiego, co go otacza.

Tradycyjny obraz, będąc niczym widok z okna, miał zdawać sprawozdanie z płaszczyznowego układu kompozycji, zakładał ideał niezaangażowanego obserwatora, który przyjmuje punkt w przestrzeni danej mu jako absolutna. Niewyartykułowane wprost przeświadczenie, że stoimy naprzeciw przedmiotu, który ukazuje nam tylko jeden aspekt, wyznaczało sposób pojmowania malarstwa przez wiele stuleci. Platon – jak wiadomo niechętny twórczości plastycznej – w X księdze *Państwa* pisał, że malarz ukazując mebel, przedstawia jego wizerunek tylko z jednej strony. Dzisiaj, mówiąc językiem Heideggera, wiemy, że „jesteśmy-w-świecie", zainteresowani światem – *inter esse*, co znaczy „być pomiędzy". Nasze oko błądzi, skupia swą uwagę, nasze ciało w poszukiwaniu perspektywy przyjmuje rozmaite pozycje – zwracamy się frontem, odwracamy głowę.

Koncepcje ludzkiej tożsamości w toku dziejów ulegały zmianie – system wyobrażeń związanych z próbą odpowiedzi na pytanie „kim jestem?", znajdował swe odzwierciedlenie w literaturze i sztuce. Tak jak w powieści wszystkowiedzący narrator ukazujący świat przedstawiony w czasie linearnym, jak gdyby z perspektywy Pana Boga, zniknął wraz z nadejściem Joyce'a, Prousta czy Doderera, tak w malarstwie od czasów Cézanne'a i Picassa zmieniła się zasadnicza koncepcja obrazu, stając się wyrazem nowego typu ludzkiej samowiedzy. W obydwu przypadkach było to odkrycie – poszerzenie tradycyjnej idealizacji i wyraz sceptycyzmu, niepokojącego od czasów baroku. Świat przeżywany nie jest już przejrzysty – linearny i jasny, podporządkowany prawom geometrii.

[2] G. Boehm, *O obrazach i widzeniu. Antologia*, pod. red. D. Kołackiej, przeł. M. Łukasiewicz i A. Pieczyńska-Sulik, Kraków 2014, s. 58.

Kartezjańskie *ego cogito* nie jest już absolutną miarą, stojącym na zewnątrz niezaangażowanym obserwatorem, bezcielesną *res cogitans* – podmiotem myślącym, zdystansowanym wobec swego przedmiotu. Dziś, świadomi zmian, jakie nastąpiły w filozofii sztuki, wiemy, że człowiek nie jest tylko okiem. W swojej cielesności zajmuje miejsce w przestrzeni, którą współkształtuje i współkonstytuuje. Będąc ciałem, jest przedmiotem pośród innych przedmiotów i zależnie od tego, ku czemu kieruje swą uwagę, zmienia pole swej percepcji, pomijając albo wyolbrzymiając określone aspekty swego otoczenia. Zarazem samo widzenie jest procesem aktywnym. Oko nie jest lustrem i statyczną kamerą, lecz wypustką twórczej wyobraźni Perspektywa – to wielkie odkrycie mistrzów renesansu – ugruntowane w geometrii tworzenie iluzji jest jednym z możliwych sposobów malarskiego odkrywania przestrzeni i zarazem ludzkiego, wizualnego otwarcia się na świat.

Henryk Cześnik nie zastaje świata takim, jakim jest po to, by stworzyć jego wizerunek – kopię. Jego misją jest odszukanie i malarska ekspresja prawdy, która tkwi w jego własnym wnętrzu. Artysta ustala swoją tożsamość poprzez akt twórczy – tym samym jako współtwórca i świadek buduje kształt świata. „Ekspresywizm" jego twórczości może być jednym z wątków rozmowy na jej temat. Piszę o rozmowie, ponieważ celem pisania o sztuce nie jest sformułowanie tez, które raz na zawsze streszczałaby sens dzieła i narzucały obowiązującą wykładnię tego, co nie może być dane inaczej, jak tylko jako widzialne. W przypadku Cześnika „widzialne" jest warunkiem wstępnym nawiązania intelektualnego kontaktu z przekazem jego sztuki – niezwykle dramatycznym, wszechstronnym i ważnym.

TEATR ŻYCIA

Dwudziestego czerwca 2014 roku w Ośrodku Konferencyjno-Wystawienniczym „Kasztel w Szymbarku" odbył się wernisaż wystawy rysunku i malarstwa Marii Malczewskiej-Bernhardt. Artystka studiowała na Wydziale Malarstwa krakowskiej ASP w latach 1970–1977, w pracowniach profesorów Włodzimierza Buczka i Zbyluta Grzywacza. W latach 1980–1982 odbyła studia podyplomowe na Wydziale Scenografii Teatralnej i Filmowej tej uczelni. Brała udział w wielu wystawach w Polsce i za granicą. Jej prace artystki znajdują się w zbiorach muzealnych, miejskich i prywatnych, m. in. w: Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Niemczech, Polsce, Słowacji, Szwajcarii oraz USA. Była m.in. laureatką II nagrody Wojewody Zachodniopomorskiego na 24. Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie.

Jej ekspozycja w budynku dworskiej oficyny zatytułowana *Teatr życia* obejmowała dwa cykle obrazów – hiperrealistyczne pastele o symbolice egzystencjalnej oraz prace olejne o pogodniejszej tonacji. Głównym tematem obu cykli była materia. W pierwszym z nich była to tkanina – strój i całun, kryjący ludzkie ciało; w drugim – nieożywiona *physis*, witalność roślinna, może martwe drewno – dane tak, jak zjawia się sama przyroda, bez humanistycznych kontekstów. Spróbuję przyjrzeć się najpierw pastelom.

Na obrazach Malczewskiej-Bernhardt płótno – materia, która okrywa i skrywa ludzkie ciało, tworzy za każdym razem konkretną kreację sceniczną. Zwiewny woal, który coś zasłania, objawia metafizyczną prawdę o człowieku, ale tworzy także autonomiczną jakość plastyczną. Lekki materiał, który falując subtelnie lśni, nie jest tu rekwizytem sceny figuralnej, lecz przedmiotem określonej malarskiej wizji z silnie zaznaczonym momentem gry światła i po mistrzowsku ukazanym charakterem ulotnej tkaniny.

Maria Malczewska-Bernhardt, bez tytułu, pastel na papierze.

Cykl omawianych pasteli można zaliczyć do nurtu fotorealizmu. W tym kierunku ważny jest nie tylko kunszt rekonstrukcji wizerunku przedmiotu środkami plastycznymi w taki sposób, by wyglądał tak, jak się nam jawi w zdroworozsądkowym nastawieniu, co dziś czyni fotografia, lecz także wydobycie walorów malarskich modelu. Osiągając najwyższy stopień precyzji artysta jednocześnie pokazuje, że potrafi więcej. Stworzenie iluzji jest tylko pretekstem – mniej istotnym aspektem dzieła. W hiperrealizmie można odnaleźć moment przekory, nawiązujący do słynnej rywalizacji Apellesa z Protogenesem o namalowanie najcieńszej linii, ale zamysł artystyczny Marii Malczewskiej-Bernhardt polega – jak się zdaje – na czymś innym.

Przedmiotem jej zainteresowań jest tkanina – subtelność jej faktury, lśnienia draperii, jedwabista delikatność i połysk. Maluje postacie ludzkie zawinięte w płótno – całun przywodzący na myśl śmierć, ale także maskę, która skrywa ludzką twarz, zasłonę lub złudę, która przesłania prawdziwe oblicze. Przypomina się pytanie wielu filozofów: czy pod maską, którą człowiek przybiera podczas spotkań z innymi, kryje się prawdziwa twarz, esencja i tożsamość? A może nie ma w nas niczego prócz masek, zaś całun z obrazów Marii Malczewskiej-Bernhardt stanowi metaforę spektaklu, jakim jest nasze życie wśród innych.

Jak mówi artystka – jej intencją było przeciwstawienie materii temu, co duchowe, tego, co jest nam dane w percepcji zmysłowej temu, w co wierzymy, że kryje się w naszym wnętrzu. Jednak pytanie: czy człowiek ma wnętrze, ukryte pod maską pozorów i wyuczonych ról, prowokuje i budzi niepokój. Może pod maską nie ma żadnej twarzy, a my od wieków, od zarania tego, co ludzkie, budujemy iluzje dostojeństwa, stroimy się w draperie złudzeń, pod którymi nie ma nic prócz kłębowiska żądz, grymasów i furii? Może to, co wewnętrzne – du-

sza streszcza się wyłącznie w ekspresji fizjonomii? Twarz niesie najpełniejszy wyraz tego, kim jesteśmy. Właśnie dlatego przykrywa się twarze umarłych, współczująco, z szacunkiem, w poczuciu zakłopotania, przestrachu, z niewiedzą o tym, „co dalej". Może śmierć demaskuje człowieka?

Postaci, które widzimy na obrazach z tej racji, że mają zasłonięte twarze, są ślepe. To również motyw symboliczny. Nie tylko nie wiem, kim jestem i nie znam własnej istoty, ale także nie widzę, jaki jest świat. Motyw sceptycyzmu, zagubienia wśród ludzi, rzeczy i wartości, wydaje się ważnym wyznacznikiem ludzkiej egzystencji. Poczucie niepewności współczesnego człowieka, któremu nie jest dany żaden trwały kształt i sens, wprowadza interpretatora obrazów artystki w kontekst postmodernizmu. Na jednej z pasteli widzimy dwie postacie. Może to kochankowie lub przyjaciele, ponieważ ich głowy kierują się ku sobie. Nie wiemy tego na pewno, ponieważ twarze obu są zasłonięte. Nie widzą się nawzajem, co może symbolizować fiasko porozumienia i obcość. Możemy dotykać swoich ciał mniej lub bardziej odkrytych, bo nagość także jest kreacją, nigdy jednak nie dotkniemy istoty bliźniego. A może nie należy podchodzić zbyt blisko i patrzeć na drugiego człowieka tak, jak ogląda się pejzaż dany zawsze z pewnej perspektywy? Drugi człowiek jest dla nas zjawiskiem lub widowiskiem, które ma swoje kulisy, maski i rekwizyty. Może nieraz psujemy wszystko, zbytnio się do siebie zbliżając? Może nie mamy prawa się zanadto zbliżać? Dla wspólnego dobra.

Inny obraz ukazuje dwa ciała owinięte w zwoje białego płótna. Czy są to śpiący kochankowie – już sobie dalecy, a może to zwłoki w zimnym prosektorium, okryte białymi szpitalnymi prześcieradłami? Wielu filozofów i moralistów podejmując temat ludzkiej tożsamości, wychodzi od dialektyki ludzkiego wnętrza i tego, co zewnętrze. Na obrazach Malczewskiej-Bernhardt to, co zewnętrzne – kostium i konwencja – są zredukowane do minimum. Antykizująca biel tkanin, nawiązująca do stylu tak zwanych mokrych szat, to jak gdyby klasycystyczne uogólnienie, które sugeruje ponadczasowość najważniejszych ludzkich spraw. Ale zderzenie motywu inspirowanego grecką rzeźbą z współczesną fotografią tworzy przewrotny, postmodernistyczny koncept.

Oglądając wystawę, nie wolno zapominać, że oprócz filozoficznych i moralnych przesłań, mamy do czynienia z autonomiczną kreacją plastyczną. Dziś wiemy, że obraz w ogóle nie musi „wychodzić poza siebie", będąc wyrazem ekspresji osobowości twórcy. Paradoksalnie, mimo iż fotorealistyczna konwencja stwarza sugestywną iluzję przedmiotu, obraz zachowuje swoją autonomię i w zasadzie mógłby nie desygnować żadnej rzeczywistości wobec niego zewnętrznej.

Artystka oprócz motywów figuralnych zaprezentowała na wystawie w Szymbarku obrazy, w których falowanie jedwabistych płócien tworzy samoistne kompozycje abstrakcyjne. Na innym obrazie dostrzec można okryty falistą draperią fotel. Ukazany po mistrzowsku detal światłocienia, subtelność załamań tkaniny pokazują, że autorka jest malarką światła. Świetlistość, osiągnięta przez nią techniką pastelu, ewokuje dotykowe jakości jedwabiu. Lekkość tkaniny, która lśni wśród połyskujących załamań, staje się samoistną jakością malarską. Skąd płynie światło w jej obrazach? Figury usytuowane są w niewiadomej przestrzeni, światłocień buduje bryłę, ale na obrazach nie ma horyzontu. Sceny i postacie są spowite we mgle. Byt – uniwersum zdają się indyferentne – oświetlone i ukonstytuowane jedynie przez wyobraźnię autorki. W tym tkwi sceniczność, umowność tych wizji. Stąd być może bierze się tytuł ekspozycji *Teatr życia*. Jest w obrazach Marii Malczewskiej-Bernhardt coś z enigmatycznej schematyczności powieści Kafki, określonych kiedyś mianem algebry ludzkiego losu.

PEJZAŻ NOWOCZESNY

3 listopada 2014 roku w Muzeum Regionalnym PTTK im. Ignacego Łukasiewicza w Gorlicach odbył się wernisaż wystawy malarstwa Danuty Poręby *Pejzaże*. Artystka jest absolwentką Liceum Plastycznego im. A. Kenara w Zakopanem i Instytutu Sztuki Akademii Pedagogicznej w Krakowie, gdzie uzyskała dyplom w pracowni malarstwa. Od wielu lat jest nauczycielem plastyki w gorlickiej „Czwórce". Bierze udział w dorocznych wystawach gorlickiego środowiska plastycznego organizowanych w Galerii Sztuki „Dwór Karwacjanów". Uczestniczyła również w wystawach zbiorowych w Jaśle i Bardejove, a także prezentowała prace na wystawie „Hübner i przyjaciele" w nowosądeckiej „Małej Galerii".

Tematem obrazów wystawionych w gorlickim muzeum jest – jak sugeruje tytuł ekspozycji – pejzaż. Na jednej z prac można zauważyć zielone masy partii horyzontu, święcący żółto dom, czerwone detale dachu i sine drzewa w oddali, zbudowane szeroką plamą bez wyraźnie zaznaczonych konturów. Na innym obrazie przedstawione zostały smukłe sylwetki drzew. Wydają się jasne i ciepłe na tle chłodnych partii dalekiego planu oznaczających zagadkową głębię lasu. Widzimy światła i półtony zakamarków roślinności, w których kryje się lekki, wydobyty kolorem cień. Tym, co zachwyca w twórczości artystki i co najbardziej przyciąga uwagę, jest jej niezwykła wrażliwość oraz umiejętność rejestrowania wrażeń zmysłowych – koloru i niemal dotykalnej bliskości przedmiotu.

W prezentowanych obrazach czuje się zapach pór roku, pulsujących pod korą gałęzi soków, woń wiosennego wiatru. Wielkim walorem prac jest sposób konstruowania pejzaży. Mocnym pociągnięciem pędzla, niekiedy farbą kładzioną za pomocą szpachli, artystka buduje obrazy o wyrazistej fakturze. Inne, utrzymane w lekkiej, pastelowej tonacji, zachowują przejrzystość powierzchni. Danucie Porębie nie chodzi bowiem o ewokowanie nastroju. Jej prace powstałe z zachwytu naturą są analityczne, konstrukcyjne i na wskroś nowoczesne. Na wiele z nich można patrzeć jak na kompozycje abstrakcyjne, dla których pretekstem jest pejzażowy motyw. Tym, co widzów intryguje i naprawdę „dzieje się" na płótnie, jest gra plam i struktura koloru – sposób, w jaki tworzywo odsłania swą maturę, niezależnie od tego, co obraz przedstawia, chociaż ostatecznie chodzi przecież artystce o oddanie urody świata.

Paweł Nowicki

GŁOSY NIEOBECNYCH

– siódma Ulica Poetycka oczami błazna

Mariuszowi, bez którego nie byłoby mnie tu i tam

„A słowa się po niebie włóczą..." – to zdanie znalazł błazen na odwrocie przewodnika po Ulicy Poetyckiej – wydarzeniu literackim, zorganizowanym po raz siódmy w Zamościu przez Zamojski Dom Kultury. Program zapowiadał włóczęgę i literaturę, słowa i dźwięki, obrazy z bliższej i dalszej przeszłości, wiedzę i pamięć. Dwa przedostatnie dni sierpnia pomogły błaznowi zostawić wszystko inne, czym żył dotychczas, by podążyć rozrzuconymi po zamojskiej starówce poetyckimi trasami. Przysiąść i pobyć z poetami. Posłuchać ich słów, pomyśleć, przeżyć coś niezwykłego. Odnaleźć coś, czego nie spodziewał się zastać ani odkryć podczas krótkiego pobytu na rodzinnej ziemi.

Piątek, 29. dzień sierpnia, pamiętna godzina siedemnasta. Festiwal rozpoczął w Klubie Jazzowym im. M. Kosza przy ulicy Szczebrzeskiej koncert upamiętniający bohaterów Powstania Warszawskiego, zatytułowany cytatem z wiersza jednego z nich – Zdzisława Stroińskiego *Z Hiobów w Konrady / szaleni przez wielkość*. Cóż to był za przekrój osobowości! O powstańczym zrywie ekspresyjnie śpiewali długowłosi chłopcy i dziewczęta. Błazen słuchał. Kołysany dźwiękami fortepianu, gitar i bębnów dumał, o czym myślą młodzi wykonawcy? Przeżywają tremę debiutantów, czy też drżą im ręce z powodu treści wyśpiewanych, melorecytowanych i wykrzyczanych słów, między innymi piosenki grupy Lao Che *Godzina W*:

siekiera, motyka, piłka, szklanka,
biało-czerwona opaska moja – opaska na ramię powstańca,
w kieszeni strach, orzełek i tytoń w bibule,
ja nie pękam, idę w śmierć ot tak – na krótką koszulę.

Błazen lubi dalekie paralele i nadużycia interpretacyjne. Myśli o swoich okupantach, o zgliszczach po nieudanych związkach i stratach bliskich. Swojsko mu się zrobiło i prześnie, gdy się zasłuchał w wiązance „zakazanych" piosenek wykonywanych przez ludową kapelę w mocno dojrzałym wieku. Może taki właśnie był klimat okupowanych miast i miasteczek, gdzie chciano zatrzymać coś z normalności, by na chwilę zapomnieć o piekle wojny? Uśmiech słuchaczy budziły malownicze, ludowo-apaszowskie stroje wykonawców, charakterystyczny głos wokalistki, podrygujący skocznie lider kapeli, wybuchowa mieszanka biesiadności i sentymentalizmu aranżacji oraz wykonania utworów. Piątkowy wieczór zwieńczył występ zamojskiej grupy, prezentującej patriotyzm w wersji hip-hopowej. Padło wiele wielkogabarytowych słów i deklaracji, dowiedzieliśmy się, kim jest wykonawca, co czuje, jak według niego wygląda świat. Muzyka w tle unosiła w dal myśl słuchacza, gdyż mocny głos poety rapera i gęsty artykulacyjnie tekst prosił się o wersję drukowaną, by zostało w pamięci coś więcej niż jego zaangażowanie i emocje.

Fot. Konrad Grochecki

Urszula Kozioł na spotkaniu autorskim w Księgarni „Szkoła życia" podczas Ulicy Poetyckiej, Zamość, 30 sierpnia 2014.

Przybywających na koncert wykonawców i widzów witała ustawiona przed klubem instalacja Darka Łukasika, upamiętniająca Zdzisława Stroińskiego. Postać tego poety, absolwenta I Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Jana Zamoyskiego w Zamościu, który pod koniec lipca 1944 roku wyruszył do stolicy ze Zwierzyńca, gdzie spędzał u rodziców wakacje, by wziąć udział w powstaniu, przybliżyła redaktor naczelna „Frazy", profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego Magdalena Rabizo-Birek. Wspominała także innych młodych poetów, którzy zginęli w okupowanej i powstańczej Warszawie. Urealniła ich biografie, przypominając o tym, że byli do nas podobni – przyjaźnili się, kochali, rywalizowali ze sobą, mieli młodzieńczy zapał, byli może bardziej zaangażowani w sprawy publiczne, ale również krytycznie reagowali na otaczającą ich rzeczywistość

Fot. K. Grochecki

Redaktorzy „Frazy": Z. Ożóg, M. Rabizo-Birek i J. Wolski podczas dyskusji na temat współczesnej poezji, Ulica Poetycka, Zamość 30.08.2014.

i społeczny konformizm. Przede wszystkim zaś chcieli tworzyć literaturę czynu, adekwatną do charakteru czasów, w których żyli. Podzieliła się zarówno swoją fascynacją twórczością Stroińskiego, jak i refleksją o poszukiwaniach jego osoby w tekstach, które zostawił. Wspomniała o młodzieńczych wierszach napisanych w Zamościu i najwybitniejszym utworze poety – cyklu liryków prozą *Okno*, który napisał w Zwierzyńcu, o współtworzonym przez niego wraz z przyjaciółmi piśmie „Sztuka i Naród", z dzisiejszego punktu widzenia, mocno prawicowym, o pasji fotografowania, o bliskiej przyjaźni, aż do końca życia, z poetą Tadeuszem Gajcym.

Błazen pilnował się nieustannie, by słuchając, nie otwierać ust, nie dać poznać po sobie tendencyjnego zachwytu, gdyż niezwykle mocno rezonowała w nim opowieść o doświadczeniu lęku jako czynniku, który daje niekiedy niepojętą siłę, by działać, tworzyć i pisać. Odczul przyspieszone krążenie, gdy w rozważaniach pojawił się wątek stanów psychodelicznych wywołanych nie używkami, ale traumą, bliskością śmierci, lękiem przed nią i próbami jej oswojenia, które poeta zawarł w swoich ostatnich utworach. Słowa jako ocalenie: „Tak widzę Stroińskiego. Pozostający nieco w cieniu swych błyskotliwych kolegów, refleksyjny młody człowiek o niezwykłej wyobraźni, który literaturze zawierzył swoje odczuwanie świata, niejako cały się w niej zawarł. Pisanie gęstym poetyckim językiem było dla niego formą wyrażania skrajnie trudnych przeżyć i refleksji, a także skuteczną terapią, pozwalającą żyć pełnią życia i przygotować się do śmierci" – mówiła.

Magdalena Rabizo-Birek podzieliła się ze słuchaczami ważnym dla błazna wrażeniem – mimo że przemyślała wcześniej zagadnienia, które chciała wyrazić, czuła, że „coś" jeszcze jest do powiedzenia i próbuje znaleźć sobie ujście. Może były wśród nas dusze powstańców? Może chcieli zabrać głos, używając osoby mówiącej o nich z dużą wrażliwością? „Myślę o tych młodych poetach powstańcach w kategoriach »dziś«, bo szczęśliwie zostawili nam swoje słowa. Tworzyli, by dłużej być wśród nas. Refleksja o śmierci była w ich twórczości wszech-

obecna, ponieważ pomagała im się do niej przygotować. Musieli ją oswoić, tym bardziej że dobrze wiedzieli, iż nie będzie romantyczna, jak w popularnych żołnierskich pieśniach. Raczej groteskowa, łatwa jak obiad" – podsumowała, cytując *Okno* Stroińskiego. I wtedy wszystko, co błazen usłyszał wcześniej z towarzyszeniem dźwięków, ułożyło się w całość, podążyło za nim, powracało w kuluarowych rozmowach.

W samo południe w sobotę 30 sierpnia, drugiego dnia Ulicy Poetyckiej, przywitała gości BWA Galeria Zamojska. – Zapewne wszyscy oni chcą „Poistnieć z Leśmianem" – jak sugeruje przewodnik – pomyślał błazen, wciskając się pięć minut po czasie między zajęte krzesła. Gdy przed publicznością pojawiła się, jakby przeniesiona z dwudziestolecia międzywojennego, nobliwa dama, Cecylia Galilej z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, błazen zamienił się w ucznia. Wysłuchaliśmy prelekcji o neologizmach Leśmiana. „Bezsens, bezświat, beztęsknota. Niedostrzeżny, człowieczny, uduszny. Niedourocze, niedomieszanie..." – z ust prelegentki wysypywały się słowa, które były niczym gotowe rozwiązania do wpisania w puste kratki krzyżówki. W głowie błazna rodziły się nieustannie pytania: jak nazwać to, gdzie się jest, jak się czuje, co się widzi, jak odbiera sygnały, których właściwie może nawet nie ma? Gdzie ich szukać – jasne – u Leśmiana! Są u niego całe zbiory słów, pełne ich szafy, cierpiące na hipertrofię!

Gdy wzrok błazna błądził po otaczającej uczestników spotkania wystawie ilustracji do dzieł klasyków literatury polskiej ze zbiorów Galerii Zamojskiej, prelegentka powiedziała: „Bohaterowie Leśmiana jeszcze zza grobu tęsknią do życia, do miłości". Błazen znów musiał nad sobą zapanować, aby wytrwać do końca bez histerii, nie bić braw, nie przerywać prośbami o więcej podobnych opowieści. Trzeba było iść dalej, bo czas gonił. Następny w programie był turniej literacki im. Bolesława Leśmiana. Każdy, kto pisze w bólach lub kto nie potrafi postawić tamy zalewowi słów, mógł przez chwilę zaistnieć przy mikrofonie. Było jąkanie się, pot na czole, drżenie dłoni, przeprosiny, że będą czytać, ale nie wiedzą, czy się nadają, że chcieliby, ale się boją, że jakiś dziwny wstyd ich ogarnia, że są nieśmiali itd. Prowadząca spotkanie Bożena Fornek z Zamojskiego Domu Kultury życzliwie zapowiadała każdego i starała się dodać otuchy występującym.

Fot. K. Grochecki

Spotkanie ze Zbigniewem Dmitrocą

W turnieju zwyciężył Piotr Piela z Łabuń, który dał się błaznowi poznać nie tyle jako mistrz słowa, ile dystansu do własnych utworów. Czytał je pewnie, z aktorskim zacięciem i poczuciem humoru. Nagrody otrzymali również Katarzyna Krupa, Konrad Grochecki i Barbara Radomska. Poznany w Krasnymstawie Konrad, przesyłając później błaznowi kilka zdjęć z wydarzenia, dołączył również swój wyróżniony wiersz, z krótkim komentarzem: „czytając jakoś się rozmyłem, więc może w piśmie będzie dla Ciebie jaśniejszy w odbiorze":

STAŁE I NIESTAŁE

sprzątam pokój po tym jak wróciłem
nie wiem gdzie upchać te wszystkie rzeczy
które przywiozłem ze sobą. siedzę i patrzę

na podłogę w paski. promieni i szarości
zasłoniło się. to chyba chmury
albo pierwsze oznaki starzenia się lata
pszczoły na matowych kolorach
coś tańczą. jakieś motywy z życia i śmierci
kręcą się mokre
a ja sprzątam podłogę pełną stert papieru
biurko z kurzu i kurczy mi się chaos
stałe i niestałe. chodzi za mną
wskakuje do dłoni jak pasikonik
i nie wiem gdzie upchać w tym pokoju siebie
taki suwenir przywieszony z bezkresu
do tego miasta-kresu

Krasnystaw, 7.08.2014

Podczas turnieju zaistnieli też nieobecni – jak poetka Bronisława Fastowiec z Browarówki koło Siennicy Różanej (powiat krasnostawski), mieszkanka Kamienia (powiat chełmski), która zmarła 6 czerwca 2014 r. Jej utwory i wspomnienie o niej pojawiło się w ostatnim numerze krasnostawskiego kwartalnika kulturalnego „Nestor" za sprawą członka jury konkursu Henryka Radeja. Błazen poczuł, że coś każe mu wstać i przeczytać jej teksty. Jeśli nie błazen, to kto? Jeśli nie teraz, to kiedy? Dostał od poetki na początku roku list i sam napisał do niej dwa. W tym ostatnim był załącznik – numer „Frazy" poświęcony zmarłemu 16 października 2013 r. Mariuszowi Kargulowi, za sprawą którego artystka i błazen dowiedzieli się o swoim istnieniu. Odpowiedź pocztowa już nie nadeszła. Po wyjściu z Galerii BWA z książkową nagrodą za spontaniczną lekturę przywitał błazna mokry chodnik, jakby ślad po odpowiedzi z nieba. Pieszczotą dla uszu okazał się kończący zdarzenia w Galerii koncert gitarowy zamościanina Andrzeja Fila i pochodzącego ze Zwierzyńca Andrzeja Gondka. Przy takich dźwiękach można zasypiać i budzić się, kochać, rodzić dzieci i umierać.

O godzinie 13. Sławomir Bartnik, miłośnik i znawca twórczości Bolesława Leśmiana, prezentował w swojej księgarni Szkoła Życia filmy Adama Kulika, Aleksandry Szymańskiej i członków Młodzieżowego Klubu Filmowego CKF Stylowy. Przed oczami błazna płynęły obrazy, a do uszu docierały słowa: pustka i nadzieja. „Śniło mi się, że konasz samotnie. Jestem już" – usłyszał i znów nie wiedział, czy wierzyć zmysłom, czy to był sen. Słuchał o głodzie, którego nie zaspokaja nawet popularny wśród zamościan bar mleczny Asia i pełne przysmaków wykwintne restauracje zamojskiej starówki. Po projekcjach został dłużej, by posłuchać opowieści księgarza o poetyckiej duszy Leśmiana, skrytej przed światem w uniformie rejenta, z wieloma anegdotami i szczegółami z jego życia, znanego tylko nielicznym.

Nie wiadomo kiedy zegar wybił godzinę 16. Błazen obudził się wśród kotów na nieznanym podwórku. Oto zmarły w maju tego roku poeta Tadeusz Różewicz zmartwychwstał dzięki zamojskim literatom, którzy czytali i komentowali wybrane przez siebie fragmenty jego tomiku *Kot w worku*. Natomiast redaktorzy „Frazy", która objęła Ulicę Poetycką swoim patronatem – Zenon Ożóg, Magdalena Rabizo-Birek i Jan Wolski – zaprosili uczestników spotkania do rozmowy o tym, jaka jest współczesna poezja. Włączyła się do niej Urszula Kozioł, gość honorowy tej edycji Ulicy Poetyckiej. Zasłuchany błazen przeżył kolejne *deja vu*. Czy to nie Anna Kamieńska dzieliła się kiedyś podobnymi refleksjami? O zestawianiu obok siebie słów bez głębszego uzasadnienia, potokach bezsensownych zdań, których autorzy chcieliby być poetami i pisarzami. Tymczasem wybrzmiał apel: „Nie nazywajmy wszystkich tekstów literaturą, chrońmy ją przed inwazją wulgarności i emocjonalnym ekshibicjonizmem". Zain-

spirowany błazen czekał na... głos młodego pokolenia. Na to, co ono dziś nazywa poezją, jak dziś ją czuje, do czego jest mu ona potrzebna. Zjawiające się nie wiadomo skąd tajemnicze koty zasłoniły ciszę.

Ruszyliśmy dalej, ponownie w stronę księgarni Szkoła Życia na spotkanie z poezją Urszuli Kozioł. Wszak jest jeszcze tyle lekcji do odrobienia! Poetka od wielu lat związana z Wrocławiem, ale przywiązana do swoich rodzinnych, biłgorajsko-zamojskich stron, przyjęta została przez uczestników spotkania niezwykle serdecznie. Opowiadała jak nauczycielka z powołania, za której łagodnym, ale zdecydowanym tonem tęsknią uczniowie spragnieni wiedzy. Błazen wyciągnął błękitną kartkę i kopertę, napisał list o tym, kim mógłby dziś być, gdyby ją spotkał w swojej szkole wiele lat temu... W zapadającym zmroku zabłysły światła i ustawiła się kolejka po autografy w poetyckich tomów, krótkie rozmowy, uścisk dłoni, słowa wdzięczności. – Za wszystko, co mi pani dała, za wszystko, co pani zabrała, za wszystko, co zostawiła do spakowania ze sobą w dalsze podróże.

Finałem dwudniowego wydarzenia był koncert piosenek Jacka Kaczmarskiego, którym organizatorzy uczcili przypadającą na ten rok dziesiątą rocznicę jego śmierci. Na ulicy Grodzkiej teksty barda Solidarności zabrzmiały w oryginalnym wyborze i wykonaniu lubelskiego zespołu Quasimodo, opisywanego w programie słowami: „dusza poety, gardło bluesmana, a w oczach rockowe ogniki", w składzie: Adam Jarząbek (gitara, śpiew), Piotr Szelest (gitara basowa) i Paweł Wądołowski (perkusja). Jacek Kaczmarski w rockowych i bluesowych aranżacjach muzycznych znów na chwilę odżył. Ponieważ *show must go on*.

Błazen, który do Zamościa przybył z Warszawy, gdzie podpatrywał wcześniej, jak świętowano 70. rocznicę Powstania Warszawskiego, zastanawiał się nad tym, jak zmierzą się z tym tematem mieszkańcy perły polskiego renesansu. Piękna scenografia zamojskiej starówki nie mogła zawieść, zamościanie pamiętali o powstańcach i wyrażali swoje rozumienie dla walki i oporu zarówno wówczas, jak i dzisiaj. Przez dwa magiczne dni błazen spacerował, a chwilami nawet pędził szlakami Ulicy Poetyckiej, wszędzie się spóźniając. Nie brakowało mu słów, dźwięków, inspiracji i emocji, ale jedynie utraconego dotyku, niedającego się zapomnieć. I pewnej twarzy, która była w tym czasie w innym, wybranym przez siebie miejscu. Wracając znaną dobrze, mało poetycką trasą S17, myślał błazen o tym, czy siódemka musi oznaczać pełnię i koniec. Czy będzie jeszcze szansa na samotny lub w miłym towarzystwie spacer poetyckimi ulicami Bolesława, Leona Zdzisława, Zofii, Dory, Anny, Jacka, Mariusza, Tadeusza, Bronisławy i tych wszystkich, którzy być może należą już do Niego, ale mogą być też z nami, jeśli tylko użyczymy im swoich głosów.

brzydka postać na k

Wystawy Ulicy Poetyckiej: *Drabiny poezji* – instalacja Dagmary Turek; *Prywatność psychiki* – dyptyk Tomasza Radeja; *Literaci Zamościa* – instalacja dźwiękowa oraz rzeźby uczniów Liceum Plastycznego w Zamościu. Partnerzy: Księgarnia/ Kawiarnia Szkoła Życia, BWA Galeria Zamojska, Centrum Kultury Filmowej Stylowy, Towarzystwo Leśmianowskie, Liceum Plastyczne, księgarnie zamojskie, Urząd Miasta Zamość. Wydarzenie dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w Warszawie.

DUCHOWA OJCZYZNA – POLSKA

O wizycie Amira Ora w Polsce

W dniach od 12 do 19 września 2014 roku, gościł w Polsce Amir Or, izraelski poeta o polskich korzeniach. Była to jego pierwsza wizyta w naszym kraju, związana z promowaniem wyboru poezji *Twarze*, który ukazał się w lipcu tego roku w gołdapskim Wydawnictwie „Z bliska". *Twarze* to drugi tom wierszy Amira Ora w języku polskim; pierwszym był *Wiersz*, wydany w 2006 roku przez olsztyńskie Wydawnictwo „Portret". Oba tomy opracowałam i przetłumaczyłam. Poezja Ora, również w moim tłumaczeniu, była także prezentowana na łamach pism literackich: „Portret" (1998), „FA-art" (2002), „Literatura na Świecie" (2005) oraz trzykrotnie we „Frazie" (1999, 2002, 2010).

Amir Or wizytę w Polsce rozpoczął od Rzeszowa. Był tam gościem spotkania w ramach festiwalu kultury żydowskiej „Preteksty Kulturalne / Dziedzictwo Żydowskie", zorganizowanej przez Muzeum Okręgowe w Rzeszowie oraz „Preteksty Literackie" (cykl imprez literackich autorstwa poetki Krystyny Lenkowskiej), a także uczestniczył w poetyckim spotkaniu „Poeci w Grandzie".

Spotkanie z poetą w rzeszowskim muzeum 13 września było zatytułowane *Pochodzę z wielu miejsc*. Gospodynią spotkania była Krystyna Lenkowska, ja prowadziłam rozmowę z poetą w języku angielskim, którą tłumaczył Piotr Cymbalista. Dotyczyła miejsc i kultur, które ukształtowały poetycką wyobraźnię Amira Ora – od greckiej filozofii i mitologii, przez hebrajską tradycję biblijną, po kulturę Dalekiego Wschodu, a szczególnie buddyzm zen i hinduską tantrę. Innym moty-

Fot. Waldemar Lenkowski

Od lewej: K. Lenkowska, A. Or i B. Tarnowska w Muzeum Żydowskim Galicja, Kraków, 15.09.2014.

wem rozmowy stał się los rodziny poety, uwikłanej w ponurą historię wojny i Holocaustu. Amir Or zakończył spotkanie refleksją na temat języka hebrajskiego jako wspaniałego i prastarego tworzywa poezji. Poeta recytował swoje wiersze w oryginale, w polskim przekładzie czytałyśmy je wspólnie z Krystyną Lenkowską. Na sukces rzeszowskiej imprezy – obok walorów artystycznych i intelektualnych poezji Ora, a także jego umiejętności nawiązywania kontaktu z publicznością – złożyło się również zaangażowanie organizatorów Krystyny Lenkowskiej oraz dyrektora muzeum Bogdana Kaczmara. Wspomnieć należy także o tłumnie przybyłej, życzliwej publiczności.

Pobyt w Rzeszowie okazał się szczególnie udany także dzięki pomysłom Waldemara Lenkowskiego, dzięki któremu poeta zwiedził malownicze okolice Rzeszowa: zamek i synagogę w Łańcucie, zamek w Krasiczynie, dom Ignacego Krasickiego w Dubiecku oraz dom Fredry w Nienadowej, a także podziwiał dolinę Sanu na Pogórzu Dynowskim. Równie ekscytujący okazał się wyjazd do Leżajska, zorganizowany przez Magdalenę Rabizo-Birek. Dzięki pomocy jej znajomego z tego miasta, poety i nauczyciela historii Mariusza Tenerowicza, udało się nam w niedzielne przedpołudnie odwiedzić tamtejszy kirkut i ohel cadyka Elimelecha, otaczanego kultem twórcy szkoły chasydzkiej (notabene dalekiego przodka Amira Ora).

Kolejnym przystankiem na trasie wędrówki poety po Polsce był Kraków. Na krakowski Kazimierz przybyliśmy poniedziałkowym popołudniem 15 września. Pierwszym obrazem, jaki zaskoczył pragnącego „poczuć polskość" poetę z Izraela – był widok... idących tłumnie, ortodoksyjnych Żydów. Są też inne wspomnienia: wieczorny spacer z Kazimierza pod bajkowo oświetlone Sukiennice, nastrój ciepłego wieczoru w przytulnej kawiarence oraz powrót na Kazimierz dorożką jakby z wiersza Gałczyńskiego. Kolejny dzień również był pełen wrażeń: słoneczne przedpołudnie spędziliśmy, podróżując turystycznym meleksem wzdłuż uliczek Kazimierza i starego Krakowa. Zatrzymaliśmy się na dłużej przy grobie Czesława Miłosza na Skałce oraz w pobliżu Fabryki Oskara Schindlera.

Po południu, w Żydowskim Muzeum Galicja na krakowskim Kazimierzu, odbyło się spotkanie poety z czytelnikami, zorganizowane przez Adę Kopeć-Pawlikowską. Ponownie prowadziłam rozmowę, a w roli tłumaczki z powodzeniem wystąpiła Krystyna Lenkowska. W spotkaniu uczestniczyła między innymi Tanja Segal, pierwsza kobieta rabin w Polsce. Zainicjowane przez uczestniczącego w wieczorze poetę Miłosza Biedrzyckiego wieczorne spotkanie w kręgu krakowskich artystów, a także późniejsza, nocna wizyta w mieszkaniu-pracowni Barbary Burówny i jej kotów – tych rzeczywistych i tych patrzących z obrazów – skłoniły poetę do wyznania, że „teraz czuje smak Krakowa".

Trasa do Warszawy – ostatniego przystanku na mapie tygodniowej wędrówki po Polsce – wytyczona została przez Waldemara Lenkowskiego. Mogliśmy podziwiać krajobraz Jury Krakowsko-Częstochowskiej oraz zwiedzić ruiny zamku w Ogrodzieńcu. Warszawa, podobnie jak pozostałe miejsca Polski, przywitała nas piękną pogodą. Poeta w sercu urokliwej, warszawskiej Starówki, zatęsknił jednak za widokiem liściastych drzew i lasów, podobnych do tych, jakie widział w Leżajsku. To życzenie mogło zostać, choćby po części, spełnione: podrzeszowskie okolice godnie zastąpił wilanowski park wokół królewskiego stawu...

W czwartek, 18 września, Amir Or wystąpił w Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie. Spotkanie przygotował Jan Woźniakowski, ponownie poprowadziłam rozmowę z poetą, którą tłumaczyła Krystyna Lenkowska. Spotkanie zakończyła dyskusja dotycząca problemów przekładu. Pośród gości byli między innymi Anna Ben Ezra – attaché do spraw kultury ambasady Izraela w Polsce, malarka i poetka Uta Przyboś, poeta i tłumacz, redaktor naczelny pisma „Znad Wilii" Romuald Mieczkowski oraz poeta, prozaik i wydawca Mirosław Słapik, dzięki któremu wybór wierszy Amira Ora *Twarze* ujrzał światło dzienne.

W wywiadzie, opublikowanym przed dziewięciu laty na łamach „Literatury na Świecie", Amir Or powiedział:

> Na polskich cmentarzach leżą prochy moich przodków, z Polską wiążą się ich dzieje, ich kultura. Boję się, być może, uczucia, iż jest mi ona przedziwnie bliska, jak zapomniana duchowa ojczyzna. [...] Polska jest dla mnie tajemnicą, krajem utraconych wspomnień, wielowiekowej historii moich przodków. [...] Czułem, że przyciągała mnie, choć do tej pory nie odpowiedziałem na jej wołanie. Skoro jedynie poezja może być dla mnie mostem, postanowiłem, że pojadę do Polski tylko jako poeta.

To marzenie poety spełniło się.

Beata Tarnowska

UZBROJENI W MUZĘ

Wolność potrzebuje pewnej infantylności, nieodpowiedzialności, wykroczenia poza granice dobra i zła – w czystą, by tak powiedzieć, istnieniowość, spontaniczność, bezrefleksyjność.

Mykoła Riabczuk

Kiedy kończył się w Kijowie festiwal Terra Poetica pod hasłem „Świat poezji – na rzecz pokoju na Ukrainie" (20–24.10.2014), tego samego dnia rozpoczynał się zakrojony na ogromną skalę prestiżowy festiwal ukraińskiej pieśni patriotycznej „Uzbrojeni w Muzę". Zważywszy, że festiwal poezji wydawał się być zrealizowany z rozmachem, jak wielki musiał być ten kijowski festiwal pieśni? Ukraina kocha artystów. Cudownie bezkrytycznie kocha też poezję i poetów, nawet tych *en masse*, podobnie jak Albania oraz Bośnia i Hercegowina, o czym przekonałam się uczestnicząc w festiwalach „Didet e Naimit" w Tetovie w albańskiej Macedonii oraz „Maraton Poezji" w Sarajewie. Te trzy imprezy poetyckie to przede wszystkim zasługa pomysłodawców i organizatorów: Shaipa Emerlahu (Tetova, Macedonia), Sabahudina Hadžialić (Sarajewo, Bośnia) i Lesi Mudrak (Kijów, Ukraina). Bo to właśnie liderzy wydarzeń kulturalnych, gnani instynktem społecznym, powołaniem, pasją, może czasem jakąś irracjonalnością, własną potrzebą publicznego zaistnienia (dlaczego by nie?) uruchamiają machinę sponsorów, współorganizatorów, uczestników, woluntariuszy, z całym szacunkiem dla kolejności tych podmiotów i powodów.

Rozmach ukraińskiego festiwalu przewyższył rozmach nawet albańskiego „Ditet e Naimit" – festiwalu o osiemnastoletniej tradycji, gdzie też widownia wali tłumnie, aby posłuchać poetów. Okazało się jednak na miejscu, czyli w Kijowie, że Terra Poetica ma formułę (o zgrozo! – pomyślałam w pierwszej chwili) międzynarodowego festiwalu piosenki „Eurowizja". Kolejna edycja nastąpi więc w kraju zwycięzcy. W związku z tym, że na podstawie SMS-ów, zgłoszeń internetowych oraz decyzji dwuosobowego Jury, zwyciężyła poetka z Izraela, Diti Ronen, należy się spodziewać, że to ona, wsparta izraelskim organizacjami i sponsorami, przejmie pałeczkę organizacyjną Terra Poetica. Notabene, wybór laureatki był ze wszech miar trafny, jak na moje poetyckie ucho i oko (ostatnio już wsparte szkiełkiem). Oraz serce, bo „patrzaj w serce" – mówi polski poeta romantyczny, to i patrzę.

---

[1] *Pochodzę z wielu miejsc. Z Amirem Orem rozmawia Beata Tarnowska*, „Literatura na Świecie" 2005, nr 5–6, s. 317.

Nieprędko jednak ochłonęłam z nerwowości związanej z cowieczornym, publicznym „linczem" punktowania poetów. Do końca nie pojęłam, kiedy to były głosy SMS-owe, kiedy internetowe, a kiedy od jurorów. I niełatwo było mnie przekonać, że należy się poddać fali tej infantylności gry, bo sprzyja ona nagłośnieniu imprezy. A o to w końcu chodzi mecenasom najbardziej. I obecnej Ukrainie – dodał ktoś z boku. Zaczynam godzić się powoli i po cichu z takim marketingowym obrotem poetyckiej sprawy. Bo idzie o rzeczy ważne, o słyszalny głos Ukrainy. Nie tylko odgłosy działań wojennych, głosy narzekań na los, ale konstruktywne, afirmujące, metaforyczne przesłanie do świata: o wspólnotę w słowie poetyckim.

Ze swojego polskiego doświadczenia twierdzę, że spotkania, a nawet festiwale poetyckie jako takie, na ogół nie są szczególnie widowiskowe w porównaniu z festiwalami muzycznymi, tanecznymi (np. baletowymi), filmowymi czy teatralnymi. Nowe ukraińskie doświadczenie pod hasłem Terra Poetica jakby przeczy tej tezie. Trzeba wielkiej wiary w sens obcowania z poezją i wyjątkowej pasji, aby poświęcać poetom morze organizacyjnego czasu. A kto jak nie sami poeci dla innych poetów i dla siebie zrobią to najlepiej?

Temu festiwalowi sprzyjało też to, że Ukrainie potrzeba teraz koncepcji tworzenia aury widowiska, aby okazje spotkań w jak największym i najznamienitszym gronie były wyraziste, wzniosłe, spektakularne i patriotyczne. Aby podnosiły na duchu i otwierały na świat. Oba kijowskie spektakle (ceremonie otwarcia i zamknięcia Festiwalu) przygotował doświadczony reżyser teatralny Sergiej Archipczuk, któremu bardzo udał się mariaż międzynarodowej poezji z ukraińską muzyką i tańcem, sztukami ludowymi, klasycznymi, współczesnymi. Udało się to dwukrotnie w Kijowie, ale też w Rivnem (Równem) i Żytomierzu (tu hasłem była „Poezja w działaniu"), bo taką trasę zafundowała poetom z całego świata Lesia Mudrak, sama również poetka. Przy okazji i po drodze, odwiedziliśmy z poezją wyjątkową w swoim klimacie uczelnię National University Ostroh Academy w mieście Ostróg.

Fot. Alex Zaklelsky

Muzy festiwalu Terra Poetica w Kijowie, 20-24.10.2014.

Rozmach i w końcu sukces festiwalu Terra Poetica można zawdzięczać przede wszystkim koncepcji tego kulturalnego wydarzenia oraz wsparciu Prezydenta Ukrainy, Ministerstwa Kultury, Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz innych sponsorów. Może też jednym z powodów sukcesu uzyskania środków były zbliżające się wybory samorządowe?

Mówiło się, że te wybory mogą być najważniejsze w historii niepodległej Ukrainy.

Kilka dni później zwyciężyła opcja europejska i ukraiński kurs na zachód, co może sugerować, że międzynarodowy festiwal Terra Poetica dobrze wpisał się w ten „lobbing". Może właśnie jego populistyczna formuła walki, współzawodnictwa, spełniła swoje zadanie? Może. Może ten cel uświęcił środki.

Na początku wydawało się, iż Lesia Mudrak porwała się z motyką na słońce. Jednak jej upór i charyzma oraz wolontariat wielu zaprzyjaźnionych artystów i współpracowników, w końcu mecenat państwa, sprawiły, że impreza doszła do skutku i pod wieloma względami (np. artystycznym, reprezentacyjnym, prezentacyjnym i kulinarnym) przebiegała na wysokim poziomie.

Wizyta w kraju w stanie wojny była dla mnie szczególnym przeżyciem. Moja ciekawość wzięła górę nad strachem. Jestem szczęśliwa, że podjęłam to wyzwanie. Zobaczyłam, że Ukraina, poza wschodnimi polami walk, żyje spokojnie. „Spokojnie" to w ukraińskim kontekście eufemizm, bo z pewnością trudno o spokój ducha, kiedy codziennie pobratymcy walczą i giną w obronie integralności własnego kraju. Obecnie ukraińskie powitania i toasty to niemal wyłącznie słowa „Chwała Ukrainie! Bohaterom chwała!" (*Слава Україні! Героям слава!*). To zawołanie, które Polacy z pokolenia II wojny światowej kojarzą z UPA i Banderą, już od pewnego czasu ma charakter uniwersalny, a teraz zyskało dodatkowy wymiar kultu bohaterów Majdanu oraz bohaterów ostatnich walk na wschodzie Ukrainy. Warunki polityczne i egzystencjalne na Ukrainie są ekstremalne. Szaleje drożyzna, a Ukraińcy zastanawiają się jak przeżyją najbliższą zimę. Niemal wszystkie budynki użyteczności publicznej, w jakich przyszło nam mieszkać i występować, były albo niedogrzane albo zupełnie nieogrzewane w ramach oszczędności. Nie kolidowało to jednak z odświętnością festiwalową. Panie występujące na scenie i wiele tych na widowni było olśniewające w swoich strojach, butach, makijażach. Istny BCBG, *bon chic bon genre* – jak na „poetycki festiwal Eurowizji" przystało.

Festiwal poezji Terra Poetica miał dla mnie wielopoziomowy sens, niezależnie od swoich założeń i realizacji. Był autentycznym poetyckim wołaniem Ukrainy o uwagę świata. I ten głos przetworzony na różne języki poszedł w eter różnych mediów, głównie Internetu.

A oto lista uczestników festiwalu z różnych stron świata: Katerina Stoykova-Klemer (Bułgarka z USA); Hilary Sheers (Angielka z Walii, UK); Maureen Weldon (Irlandka z Walii, UK); Diti Ronen (Izrael); Slagana Klukaka (Macedonia); Jüri Talvet (Estonia); Morelle Smith (Szkocja, UK); Dimitri Hristov (Bułgar z Macedonii); Krystyna Lenkowska (Polska)

Ak Velsapar (Turkmeńczyk ze Szwecji). Wspólnym językiem dla wszystkich był angielski. W tym też języku organizatorzy wydali antologię festiwalową, gdzie znalazły się nie tylko wiersze poetów-gości, ale też utwory poetów ukraińskich.

Młodzi poeci z Ukrainy towarzyszyli cały czas festiwalowi Terra Poetica – od Kijowa po Żytomierz i z powrotem, również czytając wspólnie wiersze na publicznych scenach. A tych prezentacji było w sumie jedenaście. W Kijowie w: Fundacji Kultury Ukrainy, na Uniwersytecie Kijowskim im. Tarasa Szewczenki, w Narodowym Teatrze im. Iwana Franko, w Katedrze Św. Michała, na Uniwersytecie Borysa Grinczenko oraz na Ukraińskiej Akademii Dyplomacji. W Równem w Hotelu Mir i w teatrze; a w Ostrogu w Państwowej Akademii. W Żytomierzu – w kawiarniach oraz w Muzeum Kosmonautyki. W każdym z tych miejsc, każdy z nas, na scenie, na widowni czy za kulisami, czytając, recytując, słuchając, rewidował może na swój sposób własne poczucie wolności. Z pewnością inaczej o tym myślała Angielka z Walii, inaczej Irlandka, inaczej Szkotka, inaczej Turkmeńczyk, wielokrotnie więziony w swoim dawnym kraju, inaczej poetka z Izraela – kraju w nieustannym stanie wojny z Palestyną.

Swoje rewolucyjne przemyślenia miałam i ja Polka, z perspektywy naszej nowej demokracji, może już nieco kapitalistycznie zblazowanej wobec świeżości europejskiej nadziei na Ukrainie. Ale też ja mieszkanka Rzeszowa, skąd o rzut kamieniem na Ukrainę, co wciąż nie przekłada się na krótką podróż. Zakończę to wspomnienie niedawnego festiwalu, swoim wierszem o podróżowaniu, bo dzięki idei podróży, nie będąc z natury podróżnikiem, mogłam odwiedzić kolejny zakątek świata z powodu i pod pretekstem poezji. Wykroczyć poza granice swojego konformizmu i irracjonalnego strachu. W tym symbolicznym geście znów pokazać, że „wolność poetycka, kreatywna potrzebuje czystej istnieniowości, bezrefleksyjności" – jak mówił Mykoła Riabczuk, ukraiński pisarz i eseista w książce *Bunt pokolenia* (rozmowy Oli Hnatiuk i Bogumiły Berdychowskiej z byłymi dysydentami ukraińskimi).

Mój wiersz, wśród wielu innych, ukazał się właśnie na Ukrainie, w dwujęzycznej książce pod tytułem *Troska / Турбота* i 21 października 2014 r. w hotelu Mir w Równem, w ramach festiwalu Terra Poetica odbyła się jej promocja dzięki zaangażowaniu poety Andreja Priemakowa, również uczestnika Festiwalu. Z tej okazji, przyjechał ze Lwowa tłumacz moich wierszy na język ukraiński i inicjator książki *Troska* Ołeksandr Gordon:

PODRÓŻOWAĆ TO ŻYĆ PODWÓJNIE

Żyć tu gdzie wciąż jest się znajomym zapachem
i gdzie odłożona gazeta na pierwszej stronie świata
a oprócz butów prawie nic się nie zmienia

i tam gdzie wszystko można nagle porzucić zapomnieć
z wyjątkiem nocy i cienia.

МАНДРУВАТИ – ЖИТИ ДВІЧІ

Жити тут де ти – завжди знайомий запах
тут газету розгорнуто на першій сторінці світу
а змінити можна лише взуття

тут раптом усе покинеш і забудеш
окрім ночі і тіні[1].

Krystyna Lenkowska

[1] K. Lenkowska, *Troska /Турбота*, przełożył na ukraiński Ołeksandr Gordon, malarstwo Franciszek Maśluszczak, Lwów 2014.

AUTORZY „FRAZY" ZAPROSILI NAS, PUBLIKACJE NADESŁANE I KOMUNIKATY

KAZIM ALI

Palestyńsko-amerykański poeta, prozaik, tłumacz, eseista, wykładowca uniwersytecki. Opublikował cztery zbiory poezji (m.in. *The Far Mosque, The Fortieth Day*), dwie książki autobiograficzne *Bright Felon: Autobiography and Cities* i *Sky Ward*, trzy zbiory esejów *Orange Alert: Essays on Poetry* i *Art and the Architecture of Silence, Fasting for Ramadan: Notes from a Spiritual Practice, Jean Valentine: This-World Company*. Tłumaczył na język angielski poezję Sohraba Sepehriego i powieść Marguerite Duras. Pracuje jako wykładowca Creative Writing i Komparatystyki Literackiej w Oberlin College oraz jest redaktorem w wydawnictwie Nightboat Books. Jest dyplomowanym nauczycielem Jivamukti Yoga.

ARKADIUSZ BAGŁAJEWSKI

Dr hab., prof. UMCS w Instytucie Filologii Polskiej, historyk literatury i krytyk literacki, redaktor kwartalnika literackiego „Kresy" (w redakcji pisma od początku do końca, tj. od 1989 do 2010 r.; w latach 1995–2010 jego redaktor naczelny). Zajmuje się romantyzmem (autor monografii *Ostatni romantyk. Twórczość liryczna Kornela Ujejskiego* i *Poezja „trzeciej epoki". O twórczości Zygmunta Krasińskiego w latach 1836–1843*) oraz współczesnością (*Mapy dwudziestolecia 1989–2009. Linie ciągłości*, 2012). Mieszka w Lublinie.

JOANNA BANACH

Ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Wrocławskim, a potem ten sam kierunek na Virginia Tech w Blacksburgu, w stanie Wirginia (USA). Od 1983 roku mieszka w Stanach Zjednoczonych. W latach 80. i 90. prowadziła zajęcia z pisania i literatury na Virginia Tech. Prowadzi zajęcia z pisania w Foothill College w Los Altos Hills. Publikowała swoje wiersze w kwartalniku „Kresy" w Polsce i w kwartalniku „Sulphur River" w Stanach Zjednoczonych. Od wielu lat mieszka w San Jose w Kalifornii.

MIŁOSZ BIEDRZYCKI

Ur. w 1967 r. w Koprze (Słowenia). Poeta, tłumacz, z wykształcenia i zawodu inżynier geofizyk. Opublikował 12 tomów poetyckich, m.in. *wygrzebane* (2007), *Sofostrofa i inne wiersze* (2007), *Życie równikowe* (2010), *Porumb* (2013). Wybory jego poezji ukazały się w Słowenii (2003) i w USA (*69*, 2010). Tłumacz poezji Tomaža Šalamuna (*Jabłoń*, 2004, *Pory roku*, 2013) i Jorie Graham (*Prześwity*, 2013, wspólnie z Ewą Chruściel). Mieszka w Krakowie.

ANNA BIELENDA

Studentka II roku studiów magisterskich na kierunku filologia polska UR.

ANNA BŁASIAK-HYDE

Tłumaczka z polskiego na angielski i z angielskiego na polski. Specjalizuje się w najnowszej literaturze polskiej (m.in. przetłumaczyła opublikowane w Wielkiej Brytanii powieści Mariusza

Czubaja *21:37*; Wioletty Grzegorzewskiej *Guguły* i Kai Malanowskiej *Człowiek-ptak*). Tłumaczy także literaturę dziecięcą, ścieżki dialogowe filmów, teksty związane z historią, historią sztuki, teatru i filmu. Jestem członkiem Translators.

ANDRZEJ BUSZA

Ur. w 1938 r. w Krakowie. Poeta, krytyk, autor opowiadań, historyk literatury angielskiej, tłumacz. W czasie wojny na Bliskim Wschodzie, w latach 1947–1965 w Anglii, gdzie studiował w St. Joseph's College, a następnie w University College w Londynie (anglistyka). Od 1965 r. w Kanadzie, gdzie został wykładowcą, a następnie profesorem literatury angielskiej na University of British Columbia w Vancouver. Był członkiem redakcji „Merkuriusza" i „Kontynentów". Laureat Nagrody Fundacji Kościelskich (1962), Fundacji im. W. i N. Turzańskich oraz Nagrody Literackiej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich za Granicą (Londyn 2013). Tworzy w języku polskim i angielskim. Opublikował zbiory wierszy: *Znaki wodne* (IL Paryż, 1969); *Astrologer in the Underground / Astrolog w metrze* (Athens 1971); dwa tomiki poezji w przekładach Bogdana Czaykowskiego *Głosy i refrakcje* (Berlin – Toronto 2001) i *Obrazki z życia Laquedema / Scenes from the Life of Laquedem* (Berlin –Toronto 2003). Przełożył na język angielski z B. Czaykowskim poezje Mirona Białoszewskiego *The Revolution of Things* (Washington 1974) oraz *Gathering Time: Five Modern Polish Elegies* – poematy Białoszewskiego, Iwaszkiewicza, Jastruna, Miłosza i Wierzyńskiego (Mission 1983). Jest znawcą twórczości Josepha Conrada. Ostatnio opublikował polsko-angielski wybór wierszy *Pełnia i przesilenie / Full Moon and Summer Solistice* (współautor Bogdan Czaykowski, Toronto – Rzeszów 2008), poemat *Kohelet* ze wstępem i adnotacjami Beaty Tarnowskiej (Toronto – Rzeszów 2008) oraz tomik *Niepewność* w przekładach Romana Sabo i Beaty Tarnowskiej (Toronto 2013).

TERESA CADER

Amerykańska poetka polskiego pochodzenia, autorka trzech książek poetyckich. Pierwsza z nich *The Paper Wasp* (*Papierowa Osa*) została nagrodzona przez Stowarzyszenie Poetów Amerykańskich, a druga *Guests* (*Goście*) otrzymała nagrodę „Journal". Jej trzecia książka *History of Hurricanes* (Historia Huraganów) została wydana przez Wydawnictwo Uniwersyteckie Northwestern w kwietniu 2009. Stypendystka National Endowment for the Arts, Bunting Institute z Harwardu, Poetry Society of America, Massachusetts Council on the Arts and Humanities, the Bread Loaf Writers oraz MacDowell. Uczy twórczego pisania na uniwersytecie w Lesley.

EWA CHRUŚCIEL

Ur. w 1972 r. Poetka i tłumaczka, pisze w języku polskim i angielskim. Zadebiutowała tomikiem *Furkot* (2003). W 2009 wydała tomik *Sopiłki* (Biblioteka „Frazy"). Polskie wiersze publikowała w: „Odrze", „Nowej Okolicy Poetów", „Studium", „Frazie," „Toposie", „Pracowni", „Zeszytach Literackich", „Tekstualiach"; amerykańskie w: „Boston Review", „Colorado Review", „Jubilat", „American Letters and Commentary" i „Aufgabe". W 2011 opublikowała w USA w języku angielskim tom prozy poetyckiej *Strata* (I miejsce w międzynarodowym konkursie Emergency Press). W 2014 ukaże się w USA po angielsku tom *Contraband of Hoopoe* (Omnidawn Press). Przełożyła (z Miłoszem Biedrzyckim), opatrzyła przedmową wybór wierszy amerykańskiej poetki Jorie Graham (Wrocław 2013). Wykłada literaturę w Colby-Sawyer College w New Hampshire w USA.

NADŻWAN DARWISZ

U. w 1978 r. w Palestynie. Z wykształcenia prawnik, który wolał zostać poetą, krytykiem i redaktorem. Pierwszy zbiór jego poezji ukazał się w 2000 r. W 2009 r. został laureatem festiwalu „Beirut 39", prezentującego najlepszych twórców literatury arabskiej do 39 roku życia. Jest redaktorem pisma „Min wa ila". W 2014 nakładem New York Books Review ukazał się wybór jego dotychczasowej twórczości. Z niego pochodzą prezentowane we „Frazie" teksty. Mieszka w Jerozolimie.

JACEK DEHNEL

Ur. w 1980 r. w Gdańsku. Poeta, prozaik, felietonista, tłumacz, malarz i rysownik. Autor m.in. tomów poezji: *Żywoty równoległe* (2004), *Brzytwa okamgnienia* (2007), *Ekran kontrolny* (2009); *Języki obce* (2013); tomów prozy: *Lala* (2006), *Balzakiana* (2008); *Saturn. Czarne obrazy z życia*

mężczyzn z rodziny Goya (2011), *Matka Makryna* (2014). Opublikował tomy przekłady wierszy Philipa Larkina, Kārlisa Vērdiņša, Edmunda White'a, Chaima Nachmana Bialika oraz powieść *Wielki Gatsby* F.S. Fitzgeralda. Laureat wielu nagród w konkursach literackich, Nagrody Fundacji Kościelskich (2005), Paszportu Polityki za rok 2006, Śląskiego Wawrzynu Literackiego za powieść *Balzakiana* (2009), nagrody kulturalnej miasta Gdańsk *Splendor Gedanensis* (2009). Jego wiersze i proza były tłumaczone m.in. na angielski, baskijski, francuski, gaelic, łotewski, niemiecki, słowacki, słoweński. Mieszka w Warszawie.

STANISŁAW DŁUSKI

Ur. w 1962 r. Poeta, krytyk literacki, historyk literatury polskiej, animator życia literackiego w Rzeszowie, współzałożyciel i redaktor naczelny pism „Fraza" i „Nowa Okolica Poetów". Opublikował tomy wierszy: *Stary dom* (1995, wyróżnienie za debiut w konkursie K. Iłłakowiczówny), *Dom i świat* (1998), *Samotny, zielony krawat* (2001), *Elegie dębowieckie* (2003), *Lamentacje syna ziemi* (2006), *Szczęśliwie powieszony* (2009). Jego wiersze znajdują się w antologiach poezji roczników 60. i poezji po roku 1989 oraz we włoskiej *La comunita dei vulcani, guarderno situlo-polacco di poesia* (2006). Tłumaczony także na język angielski, francuski i ukraiński. Członek SPP i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Wykładowca w Zakładzie Literatury Polskiej XX Wieku Uniwersytetu Rzeszowskiego. Opublikował książki *Egzystencja i metafizyka. O poezji Anny Kamieńskiej* (2002) i *Umarł Tyrteusz, niech żyje Orfeusz. Idee – wartości – poezja* (2014). Wkrótce ukaże się wybór jego wierszy. Mieszka w Rzeszowie.

JANUSZ DRZEWUCKI

Ur. w 1958 r. Poeta, krytyk literacki, dziennikarz, wydawca. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 1990 r. mieszka i pracuje w Warszawie. Dziennikarz „ITD" (1990), „Nowej Europy" (1992–1993) i „Rzeczpospolitej" (1993–2005). Redaktor naczelny wydawnictwa Czytelnik (2005–2012). Od roku 1983 publikuje na łamach miesięcznika „Twórczość", od 1996 jest członkiem jego zespołu redakcyjnego. Autor zbiorów wierszy: *Ulica Reformacka*, *Starożytny język*, *Podróż na południe*, *Światło września*, a także książek krytycznoliterackich: *Chaos i konwencja*, *Smaki słowa* oraz *Akropol i cebula. O Zbigniewie Herbercie*. Laureat nagród literackich im. Kazimiery Iłłakowiczówny, Stanisława Wyspiańskiego i Stanisława Piętaka. Ostatnio wydał *Wiersze wybrane* w Bibliotece Poetów LSW oraz nakładem Iskier tom poezji *Dwanaście dni*. Członek PEN Clubu, SPP oraz SDP.

ANDRZEJ DYBCZAK

Ur. w 1978 r. w Krynicy. Z wykształcenia etnolog. Autor książki i filmu dokumentalnego *Gugara*, opowiadających o życiu niewielkiej społeczności na Syberii. Nawet jeśli już podróżuje, stara się nie pisać reportaży. W 2012 r. w „Twórczości" opublikował prozę *Szkło*, owoc jego pobytu w Afganistanie i spotkania z rodziną afgańskich rzemieślników od wielu setek lat wytwarzających przedmioty ze szkła. Swoje teksty publikował także w: „Studium", „Lampie" i „Autoportrecie". Laureat nagrody Fundacji im. Kościelskich, uhonorowany nagrodą Złotego Lajkonika na 48. Krakowskim Festiwalu Filmowym. Mieszka w Krakowie.

DARIUSZ DZIURZYŃSKI

Ur. w 1973 r. w Warszawie. Poeta, literaturoznawca, tłumacz. Adiunkt w Instytucie Polonistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego. Debiutował w 1995 r. arkuszem poetyckim *Zguba*. Autor tomików *Epitafia* (2001), *Metrum* (2005), *Symultana* (2010) i *Epitafium. Remake* (2013). Współautor (z Alicją Ślusarską) wyboru poezji Boris Vian, *W hołdzie płetwom. Wybór wierszy / À nageoires. Choix de poèmes* (Gniezno 2011). Współpracownik pisma „RED", „Zeszytów Poetyckich" i „Przeglądu Filozoficzno-Literackiego". Publikował także na łamach pism: „Twórczość", „Odra", „Topos", „Portret", „Wyspa", „Tygiel Kultury" i „Helikopter". Laureat Warszawskiej Jesieni Poezji (1994), Łódzkiej Wiosny Poetów (1995), nagród w Konkursach „O Gałązkę Oliwną" (2003), im. C.K. Norwida (2008), „Przeciw Poetom" im. W. Gombrowicza (2008). Jego wiersze w przekładzie na język angielski ukazały się w antologii *Free Over Blood. New Polish Series* (Londyn 2010). Mieszka w Warszawie. Poetycka strona autorska: www.dariuszdziurzynski.pl.

JUSTYNA FRUZIŃSKA

Ur. w 1984 r. Adiunkt w Zakładzie Literatury Amerykańskiej Instytutu Anglistyki Uniwersytetu Łódzkiego, poetka i tłumaczka. Absolwentka Instytutu Studiów Żydowskich Paideia w Sztokholmie. Tłumaczy z hebrajskiego i angielskiego (m.in. Nurit Zarchi, Yaira Lipshitza) oraz z polskiego na angielski (Jerzego Jarniewicza, Mariusza Moronia i Macieja Roberta). Jej przekłady ukazały się w „Literaturze na Świecie", „Arteriach", „DeKadentzyi", kilkakrotnie we „Frazie". Opublikowała tomiki poetyckie: *Wiesz dobrze czego się boimy* (2008), *Erotyki na różne tematy* (2010) i *Jest czarna* (2012). Mieszka w Łodzi.

ANDRZEJ GAŁOWICZ

Ur. w 1958 r. Ukończył polonistykę na UJ w Krakowie, dr nauk humanistycznych. W 1981 wydał tomik poezji *Moi znajomi*. Publikował artykuły i wiersze w „Dunajcu", „Świtaniu", „Gazecie Krakowskiej", był też współpracownikiem „Super Nowości". Mieszka w Krośnie i pracuje jako polonista w I LO im. M. Kopernika. Opublikował książkę *Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego* (Kraków 2008).

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

Ur. w 1974 r. w Koziegłowach, pochodzi z Rzeniszowa. Poetka, prozaiczka, tłumaczka. Kilkanaście lat mieszkała w Częstochowie, gdzie ukończyła polonistykę na WSP, debiutowała na łamach lokalnych pism i przez kilka lat prowadziła wydawnictwo „Bulion". W roku 2006 wyemigrowała do Anglii. Autorka tomów poezji: *Wyobraźnia kontrolowana* (1998), *Parantele* (2003), *Orinoko* (2008), *Inne obroty* (Biblioteka „Frazy", Rzeszów – Toronto 2010), dwujęzycznego zbiór wierszy *Pamięć Smieny. Smena's Memory* (Londyn 2011, przeł. Marek Kaźmierski). Opublikował dwa tomy prozy *Notatki z wyspy* (2012) i *Guguły* (wyd. Czarne, 2014). Jej wiersze były publikowane w kilkunastu antologiach, m.in.: *Solistki. Antologia poezji kobiet 1989–2009* (Warszawa 2009), *Na końcu świata napisane. Autoportret współczesnej polskiej emigracji* (Chorzów 2008), *Free over Blood* (Londyn 2011) oraz na łamach pism literackich: „Zeszyty Literackie", „Tygiel Kultury", „Fraza", „Arterie", „Arkusz", „Kresy", „Studium". Jest laureatką nagród i wyróżnień w konkursach poetyckich, m.in. w 2008 r. Grand Prix „Tyskiej Zimy Poetyckiej". Obecnie mieszka w wiktoriańskim miasteczku Ryde na wyspie Wight.

ALICJA JAKUBOWSKA-OŻÓG

Historyk literatury, krytyk. Dr hab., prof. w Zakładzie Metodyki Nauczania Literatury i Języka Polskiego UR. Autorka książek: *Poezja emigracyjna Józefa Łobodowskiego* (2001) i *Poeta i świat. Twórczość literacka ks. Janusza A. Ihnatowicza* (2009). Redaktorka ponad dwudziestu książek, w tym m.in.: tomów poezji Janusza A. Ihnatowicza *Epigramat o nadziei i inne wiersze (1992-2003)* (2004), *Od czasu kto nas wyzwoli. Wiersze 1950–2006* (2007) i *Poezje zebrane* (2012), D. Filipczak *K+M+B* (2009), dwóch tomów *Dzieł* Jana Darowskiego *Unsere* i *Eseje*. W latach 1994–2010 współredagowała kolejne almanachy Ogólnopolskiej Biesiady Poetyckiej w Rzeszowie.

KRYSTYNA JANUSZEWSKA

Ur. w 1953 r. w Brzegu. Pisarka, malarka. Studiowała biologię na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1997 roku wysłała swoją prozę na konkurs ogłoszony przez „Twój Styl" (jurorami byli Krystyna Kofta i Tomasz Jastrun) i otrzymała pierwszą nagrodę. Rok później opowiadanie ukazało się w wydanym przez „Twój Styl" zbiorze *Historie prawdziwe*. Jest autorką powieści: *Przytulać kamienie* (2002), *Niebo ma kolor zielony* (2004), *Dolina Motyli. Trzy Światy, Rozbitek@ brzeg.pl* (nominacja do Nagrody Mediów Publicznych „Cogito") oraz *Ostatnia kwadra Księżyca*.

ANITA JARZYNA

Literaturoznawca, krytyk literacki. Obroniła pracę doktorską *Imaginauci. Pismo wyobraźni w poezji Bolesława Leśmiana, Józefa Czechowicza, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Tadeusza Nowaka*. Współredaktorka (z Joanną Roszak) książki zbiorowej *Scalone okładki. Szkice o twórczości Piotra Matywieckiego* (Lublin 2014). Publikowała m.in. w „Kresach", „Toposie", „Odrze", „Polonistyce".

MARIA JASTRZĘBSKA

Ur. w 1953 r. Warszawie. Poetka, tłumaczka, dramatopisarka, redaktorka i animatorka kultury. W roku 1957 jako czteroletnie dziecko wyemigrowała z rodziną do Londynu. W latach 1973–

1976 studiowała psychologię w Sussex. Opublikowała sześć książek poetyckich: *Postcards From Poland* (1991), *Home from Home* (2002), *Syrena* (2004), *I'll Be Back Before You Know It* (2009), *Everyday Angels* (2009), *At The Library of Memories* (2013) oraz sztukę teatralną *Dementia Diaries* (2011). Przetłumaczyła na język angielski z Aną Jelnikar wybór poezji słoweńskiego pisarza Iztoka Osojnika *Elsewhere* (2011). W roku 2010 stowarzyszenie Lewes Live Literature otrzymało grant z funduszu Wellcome Trust na dalszą pracę nad jej sztuką literacką *Dementia Diaries - Dziennik Demencji*, która była wystawiana na deskach brytyjskich teatrów (m.in. w Edynburgu, Cardiff, Londynie, Brighton, Southampton). W roku 2012 roku w ramach projektu „Pomiędzy dwoma światami - Poezja i przekład – (Between Two Worlds. Poetry and Translation) Biblioteka Brytyjska przygotowała dla archiwum nagrania kilkunastu wierszy poetki. Jej wiersze były tłumaczone na języki: polski, francuski, fiński, słoweński. Prowadziła warsztaty kreatywnego pisania, m.in. dla Grupy Literackiej KaMPe przy Związku Polskich Pisarzy Na Obczyźnie. Od kilkunastu lat mieszka w Brighton.

ANNA JAWORSKA

Studentka polonistyki i anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Do jej zainteresowań naukowych należą: współczesna poezja, powieść gotycka, literatura angielska XVIII i XIX wieku, dramaturgia Williama Shakespeare'a oraz językoznawstwo diachroniczne.

MARIUSZ KALANDYK

Ur. w 1963 r. Polonista, poeta, doktor nauk humanistycznych (praca doktorska: „Antropologia świata śródziemnomorskiego. Poezja Jarosława Marka Rymkiewicza"). Zadebiutował w 1997 tomikiem *Powrót Atanaryka*, za który otrzymał Nagrodę im. Kazimiery Iłłakowiczówny za najlepszy poetycki debiut roku. Opublikował także tomy: *Timbuktu - fuga* (2001, nominowany do Paszportu Polityki), *Karczma Rzym* (2006) i *Cmentarz gołębi* (2009). Pisuje także recenzje, prozę i felietony. Pracuje jako nauczyciel konsultant w Podkarpackim Centrum Edukacji Nauczycieli w Rzeszowie, gdzie założył i redaguje pismo dla nauczycieli „Kwartalnik Edukacyjny". Należał do redakcji „Frazy" i „Nowej Okolicy Poetów". Wkrótce ukaże się jego książka o twórczości Jarosława Marka Rymkiewicza.

RYSZARD KOŁODZIEJ

Ur. w 1967 r. w Krynicy, poeta i krytyk. Debiutował w „Twórczości"; publikował również w „Akcencie", „Arkuszu", „Nowej Okolicy Poetów" i „Toposie". W 2001 roku ogłosił tomik poetycki *Po tej stronie*. Mieszka w USA.

JOANNA KOSMALSKA

Tłumaczka, redaktorka pisma „DeKadentzya", krytyk literacki, pracownik naukowy w Katedrze Literatury i Kultury Brytyjskiej Uniwersytetu Łódzkiego. Inicjatorka międzynarodowego projektu badawczego „Polska literatura emigracyjna w Irlandii i Wielkiej Brytanii po roku 2004", który dzięki finansowaniu z Narodowego Centrum Nauki, współprowadzi od 2011 r. (www.emigracja.uni.lodz.pl).

KAREN KOVACIK

Ur. w 1959 r. Amerykańska poetka i tłumaczka polskiego pochodzenia. Jest poetką laureatus stanu Indiana. Opublikowała tomy poezji *Metropolis Burning*, *Beyond the Velvet Curtain* oraz *Nixon and I*. W 2013 r. wydawnictwo White Pine Press opublikowało tom Agnieszki Kuciak *Dalekie Kraje* w jej przekładzie na język angielski.

BERNADETTA KUCZERA-CHACHULSKA

Prof. zw., literaturoznawca, poetka. Pracuje w IBL PAN i UKSW, gdzie kieruje Katedrą Badań nad Romantyzmem i Twórczością Cypriana Norwida oraz Zakładem Aksjologii i Estetyki Literackiej. Zajmuje się literaturą romantyzmu i literaturą współczesną oraz estetyką literacką. Autorka książek: *O kategorii wysiłku w poezji Norwida* (1998), *Przemiany form i postaw elegijnych w poezji polskiej XIX wieku* (2002), *Norwida „przypowieść o pięknem" i inne szkice z pogranicza genologii i estetyki* (2008), *Z estetyki nieskończoności. Szkice o polskiej poezji (nie tylko) XX wieku* (2012). Redaktor naczelna pisma „Colloquia Litteraria". Opublikowała zbiory wierszy: *Aneks* (2005), *Gałązka z Dukli* (2009), *Fragmenty* (2009), *Hiob i inne figury* (2012).

WOJCIECH KUDYBA

Ur. w 1965 r. Poeta, historyk literatury, krytyk literacki. Ukończył filologię polską na KUL. Od 2008 pracuje na stanowisku profesora w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie (w latach 2009–2012 pełnił funkcję Dyrektora Instytutu). Jest także wykładowcą Studium Literacko-Artystycznego UJ, współpracownikiem pisma „Topos", członkiem krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Opublikował cztery zbiory wierszy: *Wierność w małej rzeczy* (1992), *Tyszowce i inne miasta* (2005), *Gorce Pana* (2007), *Ojciec się zmienia* (2011) oraz książek: *„Aby mowę chrześcijańską odtworzyć na nowo...". Norwida mówienie o Bogu* (2000), *Rana, która przyzywa Boga. O twórczości poetyckiej Janusza St. Pasierba* (2006), *Wiersze wobec Innego* (2012). Jest laureatem konkursów im. R. M. Rilkego i im. K. I. Gałczyńskiego (2003), Fundacji im. ks. Janusza Pasierba (2005, 2007), stypendystą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2005), Finalistą Nagrody Poetyckiej Orfeusz (2012). Mieszka w Nowym Sączu.

EDYTA KULCZAK

Ur. się we Włocławku, mieszka w Poznaniu. Jest absolwentką filologii polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pracuje jako nauczyciel języka polskiego. Pisze wiersze i krótkie formy prozatorskie. Wiersze prezentowała w wydawnictwach zbiorowych, antologiach, prasie literackiej i radiu. Debiutowała w 2009 r. książką poetycką *Anioły nie zawsze są białe*. W 2014 r. ukazał się jej drugi tomik poetycki *Kołysze się w tobie huśtawka*. Należy do poznańskiego Klubu Literackiego „Dąbrówka".

JACEK LECH

Ur. w 1984 r. w Gorlicach. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Literaturoznawca i animator kultury. Napisał pracę magisterską na temat związku mitu lucyferycznego z mistyką genezyjską na przykładzie *Samuela Zborowskiego* Juliusza Słowackiego. Doktorant na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Rzeszowskiego. Jego zainteresowania badawcze skupiają się na zagadnieniach związanych z polską prozą najnowszą. Przygotowuje rozprawę doktorską dotyczącą twórczości Andrzeja Stasiuka.

KRYSTYNA LENKOWSKA

Poetka, tłumaczka, krytyk, animatorka życia literackiego. Opublikowała dziewięć tomów poezji, m.in. *Sztuka białego* (2008), *Tato i inne miejsca* (2010), *Kry i wyspy* (2013), *Zaległy list do pryszczatego anioła / An Overdue Letter to a Pimple Angel* (2014). Wiersze, fragmenty prozy, tłumaczenia, eseje, noty i wywiady opublikowała w wielu pismach literackich w Polsce (m.in.: w „Akcencie", „Frazie", „Nowej Okolicy Poetów", „Pracowni", „Toposie", „Twórczości", „Tyglu Kultury", „Zeszytach Literackich"), w USA, w tłumaczeniu Ewy Hryniewicz-Yarbrough, (m.in. „Absinthe", „Boulevard", „Chelsea", „Confrontation"), na Ukrainie, w Rumunii i w Czechach. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W październiku 2014 r. we Lwowie ukazał się dwujęzyczny wybór jej poezji w przekładach na język ukraiński Ołeksandra Gordona. Mieszka w Rzeszowie.

MARGOSIA LICHOTA

Malarka, grafik, projektuje okładki do książek, m.in. dla wydawnictw: Scholar, Egmont i W.A.B. Wybrane prace własne zamieszcza pod adresem: www.margosialichota.blogspot.com

MAŁGORZATA ŁUKASZUK-PIEKARA

Literaturoznawca, krytyk literacki. Dr hab. prof. KUL. Kieruje Katedrą Krytyki Literackiej w Instytucie Filologii Polskiej KUL. Autorka książek: *„...I w kołysankę już przemieniony płacz...". Obiit natus est... w poezji Aleksandra Wata* (Londyn 1989), *„Niby ja...". Rzecz o poezji Mirona Białoszewskiego* (Lublin 1997), *Wizje splatane z historiami. Autobiografia liryczna poety* (Lublin 2001). Współredagowała tomy zbiorowe, m.in.: *Janusz St. Pasierb – poeta* (Warszawa 2003), *Wobec romantyzmu. Studia i szkice ofiarowane Profesor Danucie Paluchowskiej-Zamęcińskiej* (Lublin 2006), *Polska literatura współczesna wobec romantyzmu* (Lublin 2007).

KAZIMIERZ MACIĄG

Ur. 1965 r. Dr hab., prof. w Zakładzie Literatury Romantyzmu i Pozytywizmu UR, prodzie-

kan Wydziału Filologicznego, krytyk literacki, współpracownik „Frazy". Opublikował książki *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych"* (Rzeszów 2001) i *„Naczelnym u nas jest artystą". O legendzie Fryderyka Chopina w literaturze polskiej* (Rzeszów 2010). Mieszka w Rzeszowie.

ŁUKASZ MARCIŃCZAK

Ur. w 1971 r. w Łodzi. Filozof zafascynowany religią; w doktoracie pisał o Poncjuszu Piłacie i jego kulturowym paradygmacie. Redaguje Pismo Stowarzyszenia Absolwentów UMCS „AS UMCS"; stale współpracuje z „Akcentem". Opublikował zbiór rozmów z lubelskimi naukowcami i artystami *Świat trzeba przekręcić. Rozmowy o imponderabiliach* (2013) oraz wywiad rzekę z prof. J. Mizińską *Missisipi* (2014).

ANTONI MATUSZKIEWICZ

Ur. w 1945 r. we Lwowie. Ukończył historię na Uniwersytecie Wrocławskim. Poeta, prozaik, krytyk, animator życia kulturalnego związany z Dolnym Śląskiem. Debiutował w 1972 r. w miesięczniku „Odra". Autor kilkunastu książek poetyckich i prozatorskich, słuchowisk oraz redaktor almanachów literackich. Założył i prowadził pismo związku Solidarność „Niezależne Słowo" (1980–1981 i 1989–1990) oraz pismo artystyczne „Stronica Śnieżnicka" (1999–2000). Ostatnio opublikował *Arkusz bialski. Z wierszy 1996–2006* (2007) i *Opisanie małego świata* (Miniatura Kraków 2011). Mieszka w Martinkovicach niedaleko Broumova w Czechach.

TOMASZ MIELCAREK

Ur. w 1974 r. w Szczecinku. Poeta, tłumacz, dziennikarz niezależny. Publikował w: „Arteriach", „E-sztuce", „Frazie", „Odrze", „Poezji Dzisiaj", „Enterze" (Słowacja), „Melusine" (USA), „Dzienniku Polskim", „Białych Kronikach", „The Polish Observer" i „Gazecie Polonijnej" (Wielka Brytania). Obecny w wielu antologiach. Jego wiersze były przekładane na język angielski, niemiecki, rosyjski, białoruski i słowacki. Nagradzany i wyróżniany w konkursach w Polsce i Stanach Zjednoczonych. Laureat konkursu im. Jacka Bierezina (2013). Działa w londyńskiej grupie artystycznej KaMPe. Mieszka w Kenley.

RICHARD (Ryszard) MIRABEL

(1920–2007). Urodzony w Polsce, od 1937 r. przebywał w Kanadzie, gdzie studiował nauki humanistyczne. W pierwszych dniach II wojny światowej jako obywatel Polski wstąpił ochotniczo do Kanadyjskich Sił Lotniczych. Walczył pod dowództwem Królewskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, uczestnicząc m.in. w lotach na pomoc powstańczej Warszawie. Za zasługi wojenne otrzymał wiele polskich, brytyjskich i kanadyjskich odznaczeń. Zadebiutował jako dwunastoletni chłopiec w „Małym Przeglądzie", gazecie tworzonej przez dzieci dla dzieci, którą założył w Warszawie w 1926 r. Janusz Korczak. Wiersze, które pisał po angielsku mniej więcej od roku 1945, w 2013 r. ukazały się w tomie *Poems* (K&OHarbour, Vancouver) w opracowaniu kanadyjskiej polonistki dr Olgi Medvedevej-Nathoo.

MAREK NALEPA

Ur. w 1966 r. Dr hab., prof. UR, kierownik Zakładu Literatury Staropolskiej i Polskiego Oświecenia Instytutu Filologii Polskiej UR, znawca literatury epoki porozbiorowej, eseista. Autor książek: *Żałobny orszak poetów* (Rzeszów 2001), *„Takie życie dziś nasze, gdy Polska ustaje...". Pisarze stanisławowscy a upadek Rzeczpospolitej* (Wrocław 2002), *„Płyną godziny pomiędzy nadzieją a bojaźnią czułą". Polityczne i egzystencjalne rany Polaków ery porozbiorowej. Studia i teksty* (Rzeszów 2010), *Między żarliwością a zdradą. Studia i szkice o literaturze późnego Oświecenia* (Kraków 2010). Odnalazł, wybrał, opracował i przygotował do druku *Między rozpaczą i nadzieją. Antologię poezji porozbiorowej lat 1793–1806* (Kraków 2006), Hugona Kołłątaja *Nad snami, czyli Nad marzeniami nocnymi moje uwagi, w Josefstadzie dnia 8 i 9 sierpnia 1796* (Kraków 2007). Współredaktor dwutomowej publikacji *Poezja okolicznościowa w Polsce w latach 1730-1830* (Rzeszów 2014, Nagroda JM Rektora UAM w Poznaniu w kategorii najlepsza książka akademicka podczas 18 Dni Książki nie tylko Naukowej Poznań 2014). Eseje i teksty krytyczne na temat literatury współczesnej publikował we „Frazie", „Twórczości" i „Kresach". Mieszka w Rzeszowie.

DAMIAN NIEZGODA

Student filologii polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego (specjalizacja dziennikarska). Działa w Sekcji Literaturoznawców Studenckiego Koła Polonistów. Autor szkiców naukowych, wygłaszanych na uczelnianych konferencjach naukowych oraz artykułów publicystycznych. Przygotowuje pracę magisterską o polskiej recepcji Bohumila Hrabala.

ALEKSANDRA NIZIOŁ

Ur. w 1984 r. w Krasnymstawie. Absolwentka polonistyki, pisze reportaże, felietony i małe formy prozatorskie, które publikowała m.in. w czasopiśmie „Nestor". Jako dziennikarka, redaktorka i korektorka współpracowała z pismami: „Rzeczpospolita", „Dywiz", „Słow", „Puls Biznesu". Od dziesięciu lat mieszka i pracuje w Warszawie.

PAWEŁ NOWICKI

Ur. w 1964 r. w Gorlicach. Krytyk literacki, krytyk sztuki, poeta. Jest autorem tomów poezji *Magia codzienna* (Kraków 1998) i *Za oknem* (Kraków 2004) oraz tomu *Ars longa. Szkice, recenzje, eseje* (Gorlice 2013). W latach 1989–1999 pracownik naukowy Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Publikował w pismach naukowych „Principia" i „Kwartalnik Filozoficzny".

AMIR OR

Ur. w 1956 r. w Tel Awiwie, w rodzinie o polskich korzeniach. Izraelski poeta, prozaik i tłumacz. Mieszkał w Grecji, Holandii i w Indiach. Po powrocie do Izraela założył ośrodek terapii i medytacji w Jerozolimie. W 1988 r. ukończył filozofię, a następnie religioznawstwo na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. W latach 1993–1995 prowadził na uniwersytecie wykłady na temat greckiej religii, publikował także liczne eseje z pogranicza filozofii, literatury i historii sztuki. W 1990 r. z inicjatywy Ora oraz Irit Seli powstało stowarzyszenie na rzecz wspierania poezji w Izraelu „Helikon", które prowadzi działalność wydawniczą oraz kulturalno-dydaktyczną (m.in. wspierane przez ONZ w ramach akcji „Poeci dla Pokoju" projekty współpracy poetów języka hebrajskiego i arabskiego: warsztaty poetyckie, festiwale oraz antologie poezji). Or jest dyrektorem stowarzyszenia, jak i redaktorem naczelnym pisma „Helikon", poświęconego poezji współczesnej. Opublikował książki poetyckie: *Ani mabit me`ene ha`kofim* (Patrzę oczami małp, 1987); *Panim* (Twarze, 1990); *Pidjon ha`met* (Wykupywanie umarłych,1994); *Kacha* (Właśnie tak, 1995); *Szir* (Wiersz, 1996); *Jom* (Dzień, 1999); tom prozy poetyckiej *Szir Tahira* (Pieśń Tahiry, 2001); *Muze`on ha'zman* (Muzeum czasu, 2007) wraz z wersją angielską *The Museum of Time* (Manchester 2007), a także tomik poezji erotycznej *Ha`chaja sze`be`lew* (Bestia w sercu, 2010). Jego wiersze publikowane były w przekładach na około dwadzieścia języków, w tym po polsku w przekładach Beaty Tarnowskiej (tom *Wiersz*, Olsztyn 2006 i *Twarze*, Gołdap 2014) a także na łamach „Literatury na Świecie", „Frazy", „Portretu" i „FA-artu". Or jest autorem kilkunastu tomów przekładów poezji na język hebrajski, m.in. z języka greckiego, łacińskiego i angielskiego, a także z hebrajskiego na japoński (z Akiko Takahashi). Jego twórczość oryginalna i przekładowa była wielokrotnie nagradzana; w latach 1994–1997 otrzymał m.in. Nagrodę Premiera Izraela, Nagrodę Mordechaja Bernsteina za tom poetycki *Pidjon ha`met*, Nagrodę Ministra Kultury za przekłady klasycznej poezji greckiej oraz Literacką Nagrodę Bat-Jam. Jesienią 2014 r. gościł po raz pierwszy w Polsce, był m.in. gościem Festiwalu „Preteksty Kulturalne / Dziedzictwo Żydowskie" w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie.

GUSTAW OSTASZ

Historyk literatury, prof. zw. dr hab.; kierował Zakładem Literatury Polskiej XX wieku Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego. Obiektem jego uwagi badawczej jest literatura XX wieku – nade wszystko poezja – i obecność w niej tradycji romantyzmu. Autor książek historycznych i krytycznoliterackich, m.in.: *W cieniu „Herostratesa". O tradycjach romantycznych w poezji polskiej lat 1914-1939* (1993), *„Przeciwko smokom, jadom, kulom...". O poezji polskiej lat 1939-1945* (1998), *Filiacje, dialogi, spór z tradycją: szkice o literaturze polskiej XX wieku* (2001), *Imperatyw polskości: Kazimierza Wierzyńskiego „Wolność tragiczna"* (2003), *Mądrość liścia spadającego. Drobiazgi nie tylko poetyckie* (2008) i ponad stu innych prac. Mieszka w Rzeszowie.

IGOR OWCZAREK

Student kulturoznawstwa w Instytucie Kultury Współczesnej Uniwersytetu Łódzkiego. Interesuje się problematyką tożsamości w literaturze, literaturą małych ojczyzn, współczesną kulturą Izraela i komiksem reporterskim.

JANUSZ PASTERSKI

Ur. w 1964 r. Dr hab., prof. UR w Zakładzie Literatury Polskiej XX Wieku UR (od 2012 Dyrektor Instytutu Filologii Polskiej), poeta, historyk i krytyk literacki. Opublikował *Tristium Liber. O twórczości literackiej Stefana Napierskiego* (2000), *Inne wyzwania. Poezja Bogdana Czaykowskiego i Andrzeja Buszy w perspektywie wielokulturowości* (Rzeszów 2011) oraz tomy poezji *Plac Kromera* (Biecz 2009) i *Mity i kamienie* (Biblioteka „Frazy", Rzeszów 2013). Współredaktor dwutomowych publikacji *Proza polska na obczyźnie* (Rzeszów 2007) oraz *Inne dwudziestolecie 1989–2009* (Rzeszów 2010). Członek redakcji „Frazy", gdzie prowadzi dział poezji. Redaktor tomów poetyckich i antologii poezji studenckiej. Mieszka w Rzeszowie.

ALEKSANDRA PLUTA

Ur. W 1984 r. w Łodzi. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie La Sapienza w Rzymie oraz studiów podyplomowych z protokołu dyplomatycznego na Pontificia Universidad Católica de Chile. Autorka książek *Na fali historii. Wspomnienia Polaków w Chile* (2009), *Raul Nałęcz-Małachowski. Wspomnienia z dwóch kontynentów* (2012) oraz *Długa podróż w bardzo krótkim czasie. Biografia Andrzeja Bukowińskiego* (2013). Jej książki zostały przetłumaczone na język hiszpański i portugalski. Publikowała m.in. w „Odrze", „Chimerze", „Kulturze Liberalnej", „Ricie Baum", „Magazynie", „Kontraście". Tłumaczka języka włoskiego, hiszpańskiego i portugalskiego.

RAFAŁ POKRYWKA

Absolwent polonistyki i germanistyki Uniwersytetu Rzeszowskiego. Adiunkt w Instytucie Germanistyki UKW w Bydgoszczy. Autor pracy doktorskiej o polskim i niemieckojęzycznym pisarstwie autobiograficznym, współautor (z Lucyną Wille) podręcznika *Realistische Einführung in die Literaturwissenschaft*. Szkice i recenzje publikował we „Frazie" i w „Pamiętniku Literackim". Mieszka w Bydgoszczy.

EWELINA RADION

Ur. w 1975 r. Dr nauk humanistycznych, absolwentka polonistyki WSP w Rzeszowie (2000) i podyplomowych studiów interdyscyplinarnych i komparatystycznych UJ w Krakowie (2007). Publikowała w „Archives of Acoustics", „Guliwerze", „Ruchu Muzycznym", „Frazie", „Nowej Okolicy Poetów", w prasie lokalnej i wydawnictwach naukowych. Współredaktorka „Kamertonu". Autorka pracy doktorskiej „Twórczość Wiesława Kulikowskiego. Próba monografii", obronionej w 2014 r. na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Rzeszowskiego.

PAWEŁ WIKTOR RYŚ

Ur. w 1989 w Zakopanem. Poeta i krytyk. Doktorant polonistyki UJ. Zajmuje się podmiotowością zmultiplikowaną oraz szeroko rozumianą komunikacją. Publikował m.in. w „artPAPIERZE", „FA-arcie", „Krytyce Politycznej" i w wydawnictwach zwartych.

ROMAN SABO

Ur. w 1955 r. w Lesku. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. W 1980 wyjechał z Polski i po rocznym pobycie w Europie Zachodniej przeniósł się do Vancouver w Kanadzie. Uzyskał doktorat po studiach slawistycznych na UBC (Uniwersytecie British Columbia) i na Uniwersytecie w Toronto. Prowadzi przychodnię medyczną. Wiersze i eseje publikował m.in. w „Twórczości", „Akcencie" i w prasie polonijnej w USA i w Kanadzie. Opublikował tomik wierszy *Niech będzie* (2005). Wkrótce w Bibliotece „Frazy" ukaże się długo oczekiwany kolejny tom jego poezji.

ANDRZEJ STASIUK

Ur. w 1960 r. w Warszawie. Prozaik, poeta, eseista, autor sztuk teatralnych. Opublikował m.in. zbiory opowiadań *Mury Hebronu*, *Opowieści galicyjskie*, *Dukla*, powieści: *Biały kruk*, *Dziewięć*, *Taksim*, eseje podróżnicze: *Jadąc do Babadag*, *Fado*, *Dojczland*, *Wschód*. Jest laureatem

wielu nagród, m.in. Fundacji Kultury (1994), Fundacji im. Kościelskich (1995), Nike (2005), im. A. Fiedlera (2006). Uhonorowany srebrnym medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2005). Jego książki zostały przełożone na wiele języków. Z żoną Moniką Sznajderman prowadzi jedno z najlepszych polskich wydawnictw „Czarne", specjalizujące się w publikacji reportaży i wartościowej prozy środkowoeuropejskiej. Mieszka w Wołowcu w Beskidzie Niskim

GRZEGORZ STRUMYK

Ur. w Łodzi. Uczył się w szkole zawodowej stolarstwa, ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi, nie podjął studiów wybierając własną drogę kształcenia i twórczości. Pracował jako rysownik w muzeum, modelator w teatrze lalek, dekorator i grafik w empiku i domach kultury, plastyk w miejskich kinach, scenograf przy filmach krótkometrażowych. Przez cały ten okres tworzył obrazy, fotografie, asamblaże, zaczęły pojawiać się wiersze i opowiadania. Po debiucie książkowym w Stowarzyszeniu Literackim im. K.K. Baczyńskiego w Łodzi w 1992 roku zbiorem opowiadań *Zagłada fasoli* i w miesięczniku „Twórczość" opowiadaniem *Kilka lat wczoraj* zaczął coraz więcej czasu poświęcać pisaniu. Powstawały i wychodziły kolejne książki z prozą i poezją (m.in. *Łzy*, *Pigment*, *Patrzeć i patrzeć*, *Nierozpoznani*, *Le-rutki*). Co jakiś czas prezentuje swój dorobek malarski i fotograficzny, unikając przez wszystkie lata sytuacji, w których byłby postacią pierwszoplanową w zdarzeniach publicznych. Dawał wielokrotnie do zrozumienia, że jedynym prawdziwym, odpowiadającym mu kontaktem z ludźmi i światem są jego wypowiedzi poprzez sztukę i wybór przekazu artystycznego, formy literackiej lub wizualnej. Mieszka w Łodzi.

ROBERT SUWAŁA

Ur. w 1971 r. w Tychach. Z wykształcenia prawnik, ukończył Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Publikował swoje teksty w „Aspektach Filozoficzno-Prozatorskich", z którymi stale współpracuje, w „Kresach" i w „Akcencie". Miłośnik twórczości Brunona Schulza.

FLORIAN ŚMIEJA

Ur. w 1925 r. w Zabrzu. Poeta, tłumacz literatury hiszpańskiej, portugalskiej, iberoamerykańskiej. Od lat wojny mieszka poza krajem. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych członek młodoliterackiej poetyckiej grupy skupionej wokół pism „Merkuriusz Polski" i „Kontynenty", także ich redaktor. Emerytowany profesor Uniwersytetu w Ontario (Kanada). Po roku 1989 często przyjeżdża do Polski, gdzie prowadził m.in. zajęcia, seminaria i wykłady na iberystyce (głównie na Uniwersytecie Wrocławskim). Autor kilkunastu tomów wierszy (ostatni to *Późne notacje*, Toruń 2006), wielu tomów przekładów, a także kilku tomów autobiograficznych zapisków (m.in. *Zapiski o świcie*, Rzeszów 2012, seria „Archiwum Emigracji" wyd. UR). Mieszka w Mississauga City w Kanadzie.

BEATA TARNOWSKA

Literaturoznawczyni, tłumaczka; dr hab., prof. Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Autorka książek: *Geografia poetycka w powojennej twórczości Czesława Miłosza* (1996), *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty"* (2004), *Wokół „Kontynentów". Szkice i rozmowy z pisarzami* (2010). Opublikowała dwa tomy poezji Amira Ora we własnym przekładzie i opracowaniu *Wiersz* (2006) i *Twarze* (2014). Przygotowała krytyczne wydanie poematu Andrzeja Buszy *Kohelet* (2008). Przekłady z języka angielskiego i hebrajskiego, rozmowy z poetami, szkice krytyczne i recenzje publikowała m. in. na łamach: „Literatury na Świecie", „Frazy", „FA-artu", „Archiwum Emigracji", „Portretu" i „Borussi". Laureatka Nagrody Fundacji Wł. i N. Turzańskich (2007). Mieszka w Olsztynie.

KATARZYNA TURAJ-KALIŃSKA

Ur. w Łodzi, ale związana z Krakowem od wczesnego dzieciństwa. Obecnie mieszka w Brukseli. Z wykształcenia jest fizykiem. Uprawia poezję, prozę i eseistykę z odcieniem filozoficzno-przyrodniczym oraz twórczość dla dzieci. Ma na koncie kilkaset publikacji prasowych, m.in. w „Przekroju", „Dekadzie Literackiej", „Prestige" i „e-Prestige", „Zadrze" oraz autorskie cykle radiowe i telewizyjne. W latach 1995-2006 prowadziła popularną audycję o książkach w kra-

kowskim Radiu Alfa pt. „Popołudnie czytelnika" (od jesieni 2003 – „Poranek czytelnika"). W tłumaczeniach publikowała m.in. w Wielkiej Brytanii i Izraelu. Opublikowała tom wierszy *Klasztor żeński* (WL 1988), powieść *Słabość* (Ex-libris 1991), nowelę *Bliskie spotkanie* (Baran &Suszczyński 1997) oraz książki *Prometea* (2002) i *Bracia Strach i inne opowiadania* (Skrzat 2009). Jest także autorką książek dla dzieci: *Przepraszam, czy tu głaszczą?* (Skrzat 2004), *Narzekania Rzeki* (Literatura 2007), *Innocenty Białe Piórko* (Skrzat 2008).

JACEK UGLIK

Ur. w 1976 r. w Zielonej Górze. Filozof, poeta, eseista. Zajmuje się filozofią rosyjską XIX wieku. Pracuje jako adiunkt w Zakładzie Historii Filozofii Instytutu Filozofii Uniwersytetu Zielonogórskiego. Debiutował tomikiem *Jeszcze nie całkiem umarły* (Olsztyn 2005). Autor książek *Michała Bakunina filozofia negacji* (2007) i *Dostojewski, czyli rzecz o dramacie człowieka* (2014). W 2003 r. został laureatem pierwszej nagrody konkursu im. Andrzeja Wanata, organizowanego przez miesięcznik „Teatr". Współtwórca serwisu „Filozofia Rosyjska" www.filozofiarosyjska.uz.zgora.pl. Wybrane teksty własne publikuje pod adresem: www.blasfemia.blox.pl

EWA WIELGOSZ

Ur. w 1984 r. w Przemyślu, gdzie mieszka. Polonistka, poetka, absolwentka Uniwersytetu Rzeszowskiego, doktorantka na Wydziale Filologicznym UR, członkini Pracowni Badań i Dokumentacji Kultury Literackiej IFP UR, twórczyni cyfrowego Archiwum Józefa Wittlina. Wiersze, recenzje, szkice publikowała w „Nowej Okolicy Poetów", „Frazie", „Naszym Przemyślu", zbiorkach poetyckich „Doroczne Spotkania Poetów w Przemyślu" oraz publikacjach naukowych. Przygotowuje pracę doktorską o twórczości Józefa Wittlina.

ELŻBIETA WITTLIN LIPTON

Ur. w 1932 r., jedyna córka Józefa Wittlina. W 1940 r. opuściła z matką Polskę i przez Berlin, Brukselę, Francję, Hiszpanię i Portugalię dotarła na początku 1941 r. (już z ojcem) do Nowego Jorku. W USA studiowała sztukę, projektowanie wnętrz oraz teatr, w Hiszpanii poezję, historię sztuki oraz architekturę. Zajmuje się projektowaniem wnętrz oraz scenografii i kostiumów do przedstawień teatralnych oraz operowych. W 2011 r. była gościem honorowym Konferencji Wittlinowskiej, która odbywała się na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Wydała książkę wspomnieniową *From one Day to Another* (Madryt 2011), która ukazała się następnie w przekładzie na język polski (*Z dnia na dzień*, Toruń 2012). W 2014 roku ponownie odwiedziła Polskę, spotykając się z czytelnikami pism ojca i swoimi w Warszawie, Krakowie i Rzeszowie. Mieszka w Madrycie, gdzie projektuje, prowadzi kursy dla początkujących projektantów i promuje twórczość Józefa Wittlina.

JAN WOLSKI

Ur. w 1959 r. Adiunkt w Zakładzie Literatury Polskiej XX Wieku Instytutu Filologii Polskiej UR, krytyk literacki, tłumacz, wydawca, pasjonat sztuki książki, członek redakcji kwartalnika „Fraza". Opublikował książki: *Wacław Iwaniuk. Szkice do portretu emigracyjnego poety* (2002), *„Im dalej w czas, tym mocniej będzie świecił". Iwaniuk – Czechowicz* (2003), *Dotykanie wiersza* (2004), album o twórczości edytorskiej i graficznej Stanisława Gliwy *Pisanie książek bez użycie pióra* (2006), *Piotr Mordel – polski typograf i bibliofil w Berlinie* (Opole 2011, współautorka Maria Kalczyńska) oraz tomy przekładów pisarzy szwajcarskich: Flurina Speschy, Franza Hohlera, Hermanna Burgera i Luise Famos. Współredaktor i redaktor kilkunastu tomów zbiorowych, m.in.: *Poezja polska na obczyźnie. Studia i szkice* (2005), *Podróż w głąb pamięci. O Wacławie Iwaniuku szkice – wspomnienia – wiersze* (2005), *Dialog pogranicza kulturowego. Odrębność – wymiana – przenikanie – dialog* (2009), *Liryka żołnierska. Estetyka i wartości* (2011), *Miłosz listy pisze* (2011), *Miłosz. Tematy* (2011); *„Trzeba się trzymać pięknych przyzwyczajeń". Twórczość Jana Darowskiego* (2012), *Przyjemność i cierpienie. Genuss und Qual* (2014). Laureat Nagrody Miasta Rzeszowa w dziedzinie literatury (2004). Mieszka w Rzeszowie.

GRAŻYNA ZAMBRZYCKA

Ur. w 1956 r. w Olsztynie. Poetka i tłumaczka. Studiowała filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Opublikowała osiem tomów poetyckich, m.in. *Wiersze i pieśni* (Olsztyn 1993),

Opowiedzieć raz jeszcze (Vancouver 1995), *Godzina w katedrze* (Toronto 2008), *Bóg miodu* (Biblioteka „Frazy", Toronto – Rzeszów 2011). Laureatka nagrody Fundacji Wł. i N. Turzańskich (Toronto 2010). Od 1981 r. mieszka w Vancouver w Kanadzie.

MATYLDA ZATORSKA

Studentka filologii polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego (specjalizacja dziennikarska). Działa w Sekcji Literaturoznawców Studenckiego Koła Polonistów, jest autorką szkiców naukowych wygłaszanych na ogólnopolskich i uczelnianych konferencjach naukowych, recenzji i artykułów publicystycznych. Redaktorka czasopisma studentów UR „Melanż". Przygotowuje pracę magisterską na temat postaci kobiecych w najnowszej polskiej prozie historycznej.

EDWARD ZYMAN

Ur. w 1943 r. w Dobromierzu (woj. kieleckie). Poeta, prozaik, krytyk literacki, publicysta. Absolwent socjologii (UJ). Do chwili wyjazdu z Polski dziennikarz PR w Katowicach oraz redaktor wydawanego poza cenzurą „Tygodnika Katowickiego". Internowany w nocy z 12 na 13 grudnia 1981, rok spędza w więzieniach. Od marca 1983 r. mieszka z rodziną w Kanadzie. Wydał kilka tomików poetyckich m.in.: *Dzień ja co dzień* (1978), *Co za radość żyć* (1979), *W czyim obcym domu* (1981), *Jak noc, jak sen* (1987), *Z podręcznego leksykonu* (2006), tom felietonów *U Boga każdy błazen* (1987), zbiór pamfletów krytyczno-literackich *Metamorfozy głębin twoich. Polonijny parnas literacki* (2003), dwie książki biograficzne *Widzieć dalej niż dziś* (2004), *Przeznaczenie jest wyborem* (2005). Współredaktor pracy zbiorowej poświęconej Wacławowi Iwaniukowi *Podróż w głąb pamięci* (2005). Ostatnio opublikował monografie Fundacji im. Władysława i Nelly Turzańskich *Scalić oddalone* (Toronto 2008) oraz *Mosty z papieru. O życiu literackim, sytuacji pisarza i jego dzieła na obczyźnie na przykładzie działalności Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie w latach 1978-2008* (Toronto – Rzeszów 2010). Za tę książkę został w 2011 roku uhonorowany Nagrodą Stowarzyszenia Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Prezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, jeden z członków założycieli działającej w Toronto Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich.

ZAPROSILI NAS

Fundacja IN SITU oraz **Zespół Szkół Muzycznych im. Stanisława Moniuszki w Wałbrzychu** na koncert fortepianowy Piotra Zabrodzkiego *Impresje sokołowskie*, będący prologiem Festiwalu Sanatorium Dźwięku w Sokołowsku – aula Szkoły Muzycznej przy ulicy Moniuszki 41 w Wałbrzychu – 7.08.2014.

Galeria Pasaż w Iwoniczu Zdroju na: wernisaż wystawy malarstwa Susanne Hornbostel (Austria) – 13.08.2014; wystawę Aleksandry Bibrowicz-Sikorskiej *Białych żagli wspomnień czar* – listopad-grudzień 2014.

Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie na wernisaże: wystawy twórczości Krystyny Walc z okazji 20-lecia pracy w Amatorskim Klubie im. F. Brzdęka C – 20.08.2014; wystawy pokonkursowej XVI Międzynarodowego Niekonwencjonalnego Konkursu Fotograficznego Foto Odlot – 11.10.2014.

Muzeum Rzemiosła w Krośnie na: wystawę malarstwa Niny Rostkowskiej *Trzy godziny do zastanowienia* – Wieża Farna w Krośnie 21.08–30.09.2014; wernisaż wystawy scenografii Ewy Galak *JA i ja* – Galeria PodCieniami 14.10.2014; koncert *Muzyczne pejzaże jesieni* w wykonaniu nauczycieli i uczniów Społecznej Szkoły Muzycznej II st. w Krośnie – Galeria PodCieniami 23.11.2014; wernisaż wystawy fotografii dokumentalnej *Afganistan* – Galeria PodCieniami 4.12.2014.

Stara Drukarnia Pub Galeria w Rzeszowie na: koncert Quartetu Tomka Stężalskiego – 21.08.2014; koncert Quintetu Maćka Wojcieszuka – 28.08.2014; cykl imprez z okazji dziesiątych urodzin Starej Drukarni: koncert zespołu Manufactura – 4.09.2014; koncert zespołu Bossa Nova Quartet – 5.09.2014; koncert zespołu Leśna Quartet – 6.09.2014; wernisaż wystawy *Grafika Grafików edycja 10* – 11.09.2014; koncert zespołu Rzeszów Klezmer Band – 27.09.2014; koncert zespołu Rzeszów Klezmer Band – 11.10.2014; koncert Jamesa Haddocka – artysty i song-writera z Alaski –

22.11.2014; wernisaż wystawy rysunku Wojciecha Atamana *Kobieta kot z szang haju* – 30.10.2014; koncert Noise Trio – 23.10.2014; koncert Wojtka Tramowskiego & Tomka Stężalskiego – 6.11.2014; akcję wymiany książkowej *Ale mol!* – 9.11.2014; koncert szwajcarskiego gitarzysty Joe Colombo i polskiej wokalistki Kasi Skoczek – 15.11.2014.

Galeria Sztuki BWA w Krośnie i Muzeum Rzemiosła w Krośnie na: otwarcie wystawy i uroczystość wręczenia nagród laureatom 8. Biennale Tkaniny Artystycznej „Z krosna do Krosna" – 22.08.2014; wernisaż wystawy Józefiny Piotrowskiej-Szukalskiej *Lalka?* – 26.09.2014; wernisaż wystawy poplenerowej pleneru fotograficznego w ramach polsko-słowackiego projektu „Artystyczne rynki pogranicza – Bardejov i Krosno" – 17.10.2014; wernisaż wystawy *Stanisław Kucia 1937–1991* – 7.11.2014; finisaż wystawy Rudolfa Rabatina *Modlitwa malarza* – 12.12.2014.

Organizatorzy X Ogólnopolskiego Pleneru Malarskiego Boguchwała 2014 na wernisaż wystawy poplenerowej – PODR w Boguchwale 22.08.2014.

Galeria Sztuki Współczesnej Pastuła w Porębach Kupieńskich na: wystawę Iwony Demko *Procesja Wilgotnej Pani* – 23.08.2014; wystawę Maćka Wieczerzaka *Post(p)op* – 27.09.2014.

Galeria Główna u Attavantich w Jarosławiu na półfinisaż wystawy Joanny Janowskiej-Augustyn *Milczenie*. Rysunek / grafika – 23.08.2014.

Klub Stowarzyszenia Pisarzy Polskich do Underground Pub w Rzeszowie na: spektakl poetycko-muzyczny *Bieszczady i Stachura* (wiersze Jan Borcz, muzyka Mateusz Nocek, prowadzenie Stanisław Dłuski) – 28.08.2014; spektakl poetycko-muzyczny *W cieniu rajskiej jabłoni* (wiersze i proza Janusz Koryl, muzyka Mateusz Nocek, prowadzenie Stanisław Dłuski) – 23.09.2014; spotkanie poetyckie z Januszem Pasterskim (muzyka Jarosław Hajdaś, prowadzenie Stanisław Dłuski) – 28.10.2014; spotkanie poetyckie z Markiem Petrykowskim (wiersze czyta Jan Niemiaszek, prowadzenie Stanisław Dłuski) – 25.11.2014.

Galeria Sztuki Współczesnej w Przemyślu na: otwarcie wystawy Sławomira Tomana *Kwadratura koła* – 5.09.2014; Międzynarodowe Spotkanie Artystów Słonna Reedycja 2014 – Dom Ludowy we wsi Słonne k. Dubiecka 7–21.09.2014 (we współpracy z Towarzystwem Miłośników Ziemi Dubieckiej w Dubiecku) i wystawy towarzyszące: Jan Ferenc, *Zapiski ze Słonnego* – finisaż – Kresowy Dom Kultury w Dubiecku 13.09.2014; końcową prac uczestników Spotkań połączoną z koncertem *zbudź się, duszo moja, zbudź się, harfo i cytro!* w wykonaniu Michała Zatora i o. Mariusza Wójtowicza z okazji 10-lecia otwarcia Kresowego Domu Kultury w Dubiecku – 20.09.2014; wernisaż wystawy Janusza J. Cywickiego *Zgnieciony błękit. Instalacja* – 3.10.2014; otwarcie wystawy Janusza J. Cywickiego *Ściru Wciru i Bestia / Sytuacje – incydenty* – Muzeum Ziemi Przemyskiej 17.10.2014; wykład dwudziesty siódmy z cyklu *Wieczorne rozmowy o sztuce*: Grażyna Niezgoda, *Rembrandt. Bankructwo życia. Tryumf sztuki* – 21.10.2014; wystawę *Słonna Reedycja 2014. Międzynarodowe Spotkanie Artystów* (Wolfgang Brenner, Jan Ferenc, Maria Ferenc, Roderic Murray, Grażyna Niezgoda, Robert Rabiej, Marian Szajda, Rosa Tarruela, Rena Wota, Marzanna Wróblewska, Stanisława Zacharko, Andrzej Załecki, Janusz Jerzy Cywicki) – 31.10–18.11.2014; wykład dwudziesty ósmy z cyklu *Wieczorne rozmowy o sztuce*: Grażyna Niezgoda, *Mistyczna strona codzienności. Jan Vermeer i złoty wiek malarstwa holenderskiego* – 18.11.2014; wernisaż wystawy Reny Woty *Touch me please* – 21.11.2014; wykład dwudziesty dziewiąty z cyklu *Wieczorne rozmowy o sztuce*: Grażyna Niezgoda, *Bez troski ku gilotynie. O sztuce rokoka* – 16.12.2014; Artefakty 14 *Granice malarstwa* (Tomasz Baran, Bogdan Kokociński, Jan Szczepkowski, kurator Sławomir Toman) – 19.12.2014.

Galeria Sztuki Współczesnej w Przemyślu i Przemyskie Centrum Kultury i Nauki Zamek na wystawę *Konstrukcja – Dekonstrukcja* (kurator: Andrzej Gieraga i Małgorzata Dobrzyniecka-Kojder) – 5.09–14.10.2014.

BWA Galeria Sanocka na wernisaże wystaw: *Cudowne lata. Street Art z kolekcji vlepvnetu* – 5.09.2014; malarstwa Marii Malczewskiej-Bernhardt *Teatr życia* – 10.10.2014; malarstwa Beaty Bigaj *Więzi* –5.11.2014; XIV Łemkowskie Jeruzalem Notatki ze świata (Epifaniusz Drowniak – Nikifor, Edward Dwurnik, Stefan Telep, Grzegorz Sztwiertnia, Natalia Hładyk, Joanna Zemanek, Jerzy Dobrzański, Mateusz Budzyński, Serhij Petluk, Mychajło Barabasz, Tereza Barabasz, Tetiana Skoromna, Danyło Mowczan, Mychajło Kołodk, Oleksij Choroszko; kuratorki: Natalia Hładyk i Joanna Zemanek) – 12.12.2014.

Grupa Na Drabinie oraz Stowarzyszenie Ratowania Cerkwi w Baligrodzie na wystawę prac *Na Drabinie i Przyjaciele* w cerkwi pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny w Baligrodzie – sierpień–wrzesień 2014, finisaż – 6.09.2014.

Dyrektor Krośnieńskiej Biblioteki Publicznej na: otwarcie wystawy grafiki Judyty Kasprzyk – Salonik Artystyczny KBP 10.09.2014; otwarcie wystawy fotografii Tomasza Okoniewskiego – Salonik Artystyczny KBP 8.10.2014; spotkanie z pisarką, dziennikarką i scenarzystką Katarzyną Bondą – Salonik Artystyczny KBP 22.10.2014 (zorganizowane wspólnie ze Stowarzyszeniem Bibliotekarzy Polskich O/Krosno); otwarcie wystawy malarstwa Samira Baidy – Salonik Artystyczny KBP 12.11.2014; odczyt Adama Krzanowskiego „Mgr Jan Krzanowski (1921–1984). Krośnieński pedagog" – Czytelnia Główna KBP 3.12.2014 (zorganizowany we współpracy z Zarządem Głównym Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Krośnieńskiej).

Elektromontaż Rzeszów S.A., Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Rzeszowie do Galerii na Najwyższym Poziomie na otwarcie wystaw: fotografii Jerzego Wygody *Cmentarze wojenne 1914-1918* – 11.09.2014; instalacji malarskiej Kingi Cichowskiej-Szmulkiewicz *Parapetówka* – 22.10.2014; malarstwa Piotra Wójtowicza *Obrazy kreślone* – 27.11.2014; malarstwa Józefa Franczaka – 17.12.2014.

Dyrektor Muzeum Okręgowego w Rzeszowie oraz Preteksty Literackie na festiwal „Preteksty literackie / Dziedzictwo Żydowskie" w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa 2014: wykłady Marzeny Lorens poświęcone tradycjom żydowskim, spotkanie z izraelskim poetą Amirem Orem, koncert muzyki żydowskiej w wykonaniu Anny Gutkowskiej (skrzypce), wykład performatywny Agnieszki Kłos *Muzyka w Auschwitz*, koncert pieśni jidysz w wykonaniu Barbary Czerneckiej z Piwnicy pod Baranami, spotkanie Poeci w Grandzie – 13-14, 21.09. 2014.

Dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Rzeszowie na otwarcie wystaw: malarstwa Antoniego Fałata – 18.09.2014; prac Hanny Wojdały-Markowskiej *Obrazy, tkaniny – struktury, powidoki przenikanie* – 23.10.2014; malarstwa Magdaleny Gryski *Czarna fala* – 20.11.2014; *Obraz, grafika, rysunek, rzeźba roku 2014*, malarstwa i rzeźby Huberta Bujaka *Posthistoria* – 18.12.2014.

ICN Polfa Rzeszów S.A., Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych na otwarcie wystaw: malarstwa Timura Karima – 19.09.2014; batików Wiktorii Dubowik – 15.10.2014; wystawy VII Międzynarodowego Pleneru Malarskiego Wiśniowa 2014 *Wiśniowa pachnąca malarstwem* – 4.12.2014.

Podgórski Dom Kultury w Krakowie na wydarzenia w ramach Podgórskiej Jesieni Kulturalnej Poetyckiej: koncert Ryszard Krynicki & Rdzeń 2 *Wiersze, do których jestem najbardziej przywiązany* (prowadzenie Marta Półtorak) – 18.09.2014; spotkanie z Danutą Węgiel i jej fotograficznymi portretami polskich poetów *Utrwaleni bez gwarancji – Poeci* (prowadzenie Marta Półtorak) – 19.09.2014.

Galeria Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczki" w Kielcach na wernisaż wystawy malarstwa Łukasza Gila *Tajemnice rzeczywistości* – 19.09.2014.

Dyrektor i Zespół Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie na: premierę spektaklu *Hedda Gabler* w reż. Szymona Kaczmarka inaugurującą nowy sezon i obchody jubileuszu 70. rocznicy powstania rzeszowskiego teatru, premierze towarzyszył wernisaż wystawy poświęconej założycielce i pierwszej dyrektorce rzeszowskiej sceny *Wanda Siemaszkowa jako człowiek teatru* – 20.09 2014; Festiwal Nowego Teatru. 53. Rzeszowskie Spotkania Teatralne – 15-21.2014; spektakl *Stara kobieta wysiaduje* w reżyserii Jakuba Falkowskiego – 9.12.2014; spektakl *Balladyna* w reż. Radosława Rychcika – 12.12.2014.

SH Studio w Warszawie i Autor na wystawę malarstwa Sylwestra Stabryły *Stopklatki* – 2.10.2014.

Galeria Autograf w Warszawie na wernisaż wystawy rysunku i rzeźby Magdaleny Schreiber *Wierzę w zwierzę* (kurator Jacek Antoni Zieliński) – 4.10.2014.

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Lublinie na 4. Międzynarodowy Festiwal Literacki *Czas poetów 2014* – 4–6.10.2014.

Teatr Przedmieście w Rzeszowie na prezentację najnowszego autorskiego spektaklu Anety Adamskiej *Ja jestem...* – 5.10.2014; spektakl *Tchnienie* (scenariusz i reżyseria Aneta Adamska, występują Aneta Adamska i Maciej Szukała) – 19.10.2014; rzeszowską premierę *Requiem dla gospodyni* we-

dług dramatu W. Myśliwskiego (adaptacja A. Adamska i M. Szukała) w wykonaniu Amatorskiego Teatru Dramatycznego im. Józefa Żmudy pod kierownictwem Anety Adamskiej – 14.11.2014.
Prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie na wernisaż wystawy *Zbigniew Jan Krygowski. Malarstwo* w 110 rocznicę urodzin Artysty – Pałac Sztuki w Krakowie 16.10.2014.
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie do Wypożyczalni Muzycznej na spotkanie autorskie z Mariuszem Olbromskim *Kresy w literaturze* – promocję książki *Róża i kamień. Podróże na Kresy* i *„Śladami słów skrzydlatych". Pomniki poetów i pisarzy polskich na Kresach Południowych dawnej Rzeczpospolitej* – 28.10.2014; wernisaż powarsztatowej wystawy ikon i prelekcję o. dr Cypriana Moryca OFM z KUL-u – 16.11.2014.
Dyrektor Muzeum – Dwory Karwacjanów i Gładyszów w Gorlicach Zdzisław Thol, Kierownik Zagrody Maziarskiej w Łosiu z cerkwią w Bartnem Klaudia Zbiegień oraz Paweł Nowicki na *Wieczór poezji Jerzego Harasymowicza* (recytacja Przemysław Sejmicki, opracowanie muzyczne Bogusław Diduch i Wiesław Lewek) – cerkiew grekokatolicka p.w. świętych Kosmy i Damiana w Bartnem 19.10.2014.
Krystyna Lenkowska na swoje spotkanie autorskie w ramach Festiwalu Terra Poetica, promujące wydany w 2014 r. we Lwowie polsko-ukraiński wybór wiersze w przekładach Oleksandra Gordona *Turbota/Troska* – hotel MIR w Rivnem (Ukraina) – 21.10.2014.
Pracownicy i studenci Wydziału Sztuki UR na finisaż ostatniej wystawy prac uczestników II edycji Międzynarodowego Sympozjum Uczelni i Kierunków Artystycznych „Szymbark 2013" *Autentyczność w sztuce?* – Miejska Galeria Sztuki w Zespole Sztuk Plastycznych w Rzeszowie 23.10.2014.
Biblioteka Uniwersytetu Rzeszowskiego na otwarcie wystaw: Przemysława Pokrywki *Czarnowidzenie* – Czytelnia Prasy 5.11.2014; malarstwa i rzeźby Jana Siuty *Rytuał, Rytm, Harmonia* – Uniwersyteckie Centrum Innowacji i Transferu Wiedzy Techniczno-Przyrodniczej 3.12.2014.
Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego i Autorzy na wieczór pierwszy z cyklu „BUŁka z poezją" Maria Duszka i Marek Czuku *Forever Freienwill* – 13.11.2014.
Galeria Grafiki i Plakatu S.C. Nina Rozwadowska i Andrzej Sroka przy ul. Hożej 40 w Warszawie na wernisaż wystawy Henryka Wańka *Lekcja martwej natury, czyli raporty ze świata przedmiotów i form* – 15.11.2014.
Zakład Literatury Polskiej XX Wieku, Instytut Filologii Polskiej UR na Interdyscyplinarną Konferencję Naukową pod honorowym patronatem JM Rektora UR „I wojna światowa w literaturze i innych tekstach kultury. Reinterpretacje i dopełnienia" – Rzeszów 17–18.11.2014 i towarzyszącą jej wystawę fotografii Jerzego Wygody *Cmentarze wojenne Polski Południowo-Wschodniej 1914–1918* – Galeria na Pięterku IFP, listopad–grudzień 2014.
Społeczność Akademicka Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie na Spotkania ze sztuką - prezentację przestrzennej, interaktywnej książki Andrzeja Głowackiego *Archetyptura magicznej rzeczywistości (2014)* – 20.11.2014.
Muzeum Diecezjalne w Rzeszowie na otwarcie wystawy rzeźby Krzysztofa Brzuzana, które towarzyszą akwarele Lucjana Kani i fotografie Jacka Ziarny – 2.12.2014.
Stowarzyszenie Willa Decjusza na wernisaż wystawy malarstwa Aldony Mickiewicz *Et in Arcadia ego* – Willa Decjusza w Krakowie 2.12.2014.
Sekcja Młodej Plastyki Okręgu Rzeszowskiego ZPAP i Klubokawiarnia ORO na IV edycję przedświątecznej akcji wymiankowej *Podziel się z nami, artystami* pod hasłem *Barterem w kartele* – BWA w Rzeszowie 6.12.2014.
Muzeum Podkarpackie w Krośnie i Autor na wernisaż wystawy Ryszarda Kryńskiego *Malarstwo metafizyczne i rysunek groteskowy* – Pałac Biskupi 11.12.2015 (wystawa czynna do 25.02.2015).
Instytut Filologii Polskiej UR, Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza Oddział w Rzeszowie na spotkanie z prof. Czesławem Kłakiem, autorem książki *Pigoń* (wprowadzenie: Kazimierz Maciąg i Marek Stanisz) – Duża Aula budynku AO UR 11.12.2014.
Instytut Filologii Polskiej UR i Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie na ogólnopolską konferencję naukową „Wanda Siemaszkowa i jej teatr" – Uniwersytet Rzeszowski i Szajna Galeria w teatrze im. W. Siemaszkowej 12–13.12.2014.

Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Olkuszu na wernisaż wystawy Stanisława Białogłowicza – 12.12.2014.

Scena Propozycji Uniwersytetu Rzeszowskiego, Elektromontaż Rzeszów S.A., Podkarpackie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych na premierę spektaklu *Kynolog w rozterce* według Sławomira Mrożka – Galeria na Najwyższym Poziomie 15.12.2014.

PUBLIKACJE NADESŁANE

CZASOPISMA

„Akcent" 2014, nr 3 (137), 4 (138)
„Elewator" 2014, nr 3 (9), 4 (10)
„Kwartalnik Powiatu Olkuskiego" 2014, nr 2 (10), 3 (11)
„Nestor" 2014, nr 2 (28)
„Opcje" 2014, nr 1-2
„Pamiętnik Literacki", [Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie], Londyn 2014, t. XLVII.
„Prace Literaturoznwcze" (Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie) 2014, nr 2.
„Rita Baum" 2013, nr 30 2014, nr 33
„Topos" 2014, nr 4 (137), 5 (138)
„Twórczość" 2014, nr 8, 9, 10, 11, 12
„Zamojski Kwartalnik Kulturalny" 2014, nr 1 (118), 2 (119)
„Zeszyty Literackie" 2014, nr 3 (127)

POEZJA

Jolanta Baziak, *Pryma*, Biblioteka Bydgoskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 2014.

Jolanta Baziak, *Tercja*, Biblioteka Bydgoskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 2014.

Jolanta Baziak, *Kwinta*, Biblioteka Bydgoskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 2014.

Kazimierz Brakoniecki, *Amor fati*, Wyd. FORMA. 13 MUZ, Szczecin – Bezrzecze 2014.

Maciej Cisło, *Niższe studia*, Wyd. FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezy, Szczecin – Bezrzecze 2014.

Rudolf Tadeusz Czerniak, *Notatki niepokornej duszy*, Wyd. Literackie Białe Pióro, Warszawa 2014.

Adam Czerniawski, *Poezje zebrane*, Wyd. Norbertinum, Lublin 2014.

Zbigniew Dmitroca, *Baba Jaga na deskorolce*, ilustrowała Joanna Furgalińska, Wydawnictwo Egmont, Warszawa 2014.

Zbigniew Dmitroca, *Geoglify*, Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN, Lublin 2014.

Łucja Dudzińska, *MeMbrana. Cyrkulacje*, Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014.

Bogumiła Dziekan, *Kółko graniaste*, Wyd. „Tygiel Kultury", Łódź 2014.

Piotr Gajda, *Golem*, Wyd. Instytut Mikołowski, Mikołów 2014.

Jerzy Górzański, *Wszystko jest we wszystkim*. Biblioteka „Toposu", Sopot 2014.

Piotr Janicki, *Wyrazy uznania*, Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2014.

Jestem w kropli rosy. Almanach poetów Zespołu Szkół w Jeżowem, Wyd. Sztafeta, Stalowa Wola 2014.

Gabriela Kaszowska, *Podziemne ptaki* [arkusz poetycki], Wyd. Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2014.

Sławomir Andrzej Keller, *Filantropia ego*, Wyd. Astra, Łódź 2014.

Mieczysław Machnicki, *Jest tylko gradobicie i deszcz perseidów*, Biblioteka „Toposu", Sopot 2014.

Sławomir Matusz, *Piosenka o okienkach. Podwórko Szpilmana*, Biblioteka „Toposu", Sopot 2014.

Antoni Matuszkiewicz, *Piasek pokory*, bw, Puszczykowo 2014.

Antoni Matuszkiewicz, *Ultima Tholen*, czeski przekład i fotografie Věra Kopecká, Wyd. Maria, Nowa Ruda 2014.

Ryszard Mścisz, *Korytarze słów*, Wyd. Sztafeta, Stalowa Wola 2014.

Andrzej Niewiadomski, *Pan Optico. Wiersze trzech sezonów*, Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2014.

Ewa Elżbieta Nowakowska, *Nareszcie*, seria Tablice, Wydawnictwo Forma, Szczecin – Bezrzecze 2014.

Paweł Nowicki, *Magia codzienna*, Stowarzyszenie Twórcze Krakowski Klub Artystyczno-Literacki, Kraków 1998.

Paweł Nowicki, *Za oknem*, posłowie Ignacy S. Fiut, Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, Kraków 2004.

Amir Or, *Twarze*, Wybór, przekład, opracowanie i posłowie Beata Tarnowska, Wyd. Biblioteka Publiczna w Gołdapi, Gołdap 2014.

Małgorzata Południak, *Liczby nieparzyste*, Wyd. FORMA. Fundacja Literatury im. Henryka Berezy, Szczecin – Bezrzecze 2014.

Janusz Ryszkowski, *Stacja przedostatnia*, Biblioteka „Toposu", Sopot 2014.

Paweł Sarna, *Pokój na widoku*, Wydawnictwo FORMA, Szczecin – Bezrzecze 2014.

Dominik Sobol, *Marzeniodajnia*, Miejska Biblioteka Publiczna, Biała Podlaska 2014.

Janina Barbara Sokołowska, *Wiersze dawne i nowe*, Advert Studio, Chorzów 2014.

Katarzyna Szojda, *Bajko-nur, czyli nura w bajkę*, ilustratorzy: Irena Kiełtyka, Dorota Molenda, Wioletta Szrota-Stach, Zbyszek Karoń, Stowarzyszenia na Rzecz Oświaty, Kultury i Pomocy Społecznej „Wszyscy dla wszystkich" – Drukarnia Grafpress, Olkusz 2014.

Arnold Słucki, *Poezje wybrane*, Biblioteka Zapomnianych Poetów, t. 6, wybór Marta Chachulska, posłowie: Bernadetta Kuczera-Chachulska, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", Lublin 2014.

Stefan Wadzyński, *Stygnące litery*, Wyd. Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, Białystok 2014.

Bohdan Zadura, *Kropka nad i*, Biuro Literackie, Wrocław 2014.

Katarzyna Zdanowicz, *Ciemność resort Spa*, Biblioteka Poezji Współczesnej t. 66, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2014.

PROZA

Olgerd Dziechciarz, *Pakuska*, Graffpress, Olkusz [2014].

Bogusław Kierc, *Cię – mność*, Wyd. FORMA, 13 MUZ, Szczecin – Bezrzecze 2014.

Stanisław Kryczyński, *Wspomnienia, utwory poetyckie, eseje*, wstęp, wybór i opracowanie Grzegorz Czerwiński, *Studia Tatarskie* pod red. G. Czerwińskiego, *Colloquia Orientalia Białostocensia*, Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2014.

Michał Krzemkowski, *Epopeja arawijska*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo", Bydgoszcz 2012.

Miłka O. Malzahn, *Kosmos w Ritzu*, Wyd. FORMA. Fundacja Literatury im. H. Berezy, Szczecin – Bezrzecze 2014.

Agnieszka Masłowiecka, *Splątanie*, Wyd. FORMA. Fundacja Literatury im. H. Berezy, Szczecin – Bezrzecze 2014.

Jarosław Nowosad, *Czarny chevrolet (opowiadania)*, collage fotograficzny na okładce J. Nowosad, Galeria Literacka przy GSW BWA w Olkuszu, Grafpress, Olkusz 2013.

INNE

Józef Baran, Sławomir Mrożek, *Scenopis do wieczności (listy)*, posłowie Wojciech Ligęza, Zysk i s-ka, Poznań 2014.

Stanisław Białogłowicz, *Po jasnej stronie życia*, BWA Krosno 2014.

Tomasz Chomiszczak, *Mistrz ceremonii. Marian Pankowski – od filologii do rytuału*, Miejska Biblioteka Publiczna im. Grzegorza z Sanoka, Sanok 2014.

Ruth Eldar, *Ukryte skarby*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2014.

Anna Kronenberg, *Geopoetyka. Związki literatury i środowiska*, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego 2014.

Wojciech Kudyba, *Generacja źle obecna*, Biblioteka „Toposu", Sopot 2014.

Dawid Kujawa, *Videopoezja. Szkice*, Biblioteka „Opcji", Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych – Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2014.

Wojciech Ligęza, *Pod kreską. Teksty z lat 1996–2013*, Wstęp Janusz Szuber, Krakowska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pod red. Gabrieli Matuszek i Wojciecha Ligęzy, t. 12, Księgarnia Akademicka, Kraków 2014.

Literatura polsko-żydowska. Studia i szkice pod red. Eugenii Prokop-Janiec i Sławomira J. Żurka, Księgarnia Akademicka, Kraków 2011.

Marian Pankowski, *Lekcje mistrzowskie. Artykuły brukselskie o literaturze*, wybór, przekład, opracowanie i przedmowa Tomasz Chomiszczak, Miejska Biblioteka Publiczna im. Grzegorza z Sanoka, Sanok 2014.

„Podróże do serca islamu". Antologia międzywojennego reportażu polskich Tatarów, wybór, wstęp i opracowanie Grzegorz Czerwiński, „Studia Tatarskie" pod red. G. Czerwińskiego, Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 2014.

Scalane okładki. Szkice o twórczości Piotra Matywieckiego pod red. Anity Jarzyny i Joanny Roszak, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN", Lublin 2014.

Magdalena Śniedziewska, *Siedemnastowieczne malarstwo holenderskie w literaturze polskiej po roku 1918*, Monografie Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej, Wyd. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2014.

Jacek Uglik, *Dostojewski, czyli rzecz o dramacie człowieka*, Wyd. IFiS PAN, Warszawa 2014.

Zamieranie fikcji, redakcja Monika Ładoń, Grzegorz Olszański, Biblioteka „Opcji", Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych – Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2014.

Katarzyna Zdanowicz-Cyganiak, *Obce. Reaktywacja. Szkice*, Wyd. Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach, Katowice 2013.

KOMUNIKATY

X Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Kazimierza Ratonia

Po rozpatrzeniu 64 zestawów, które spełniły wymogi regulaminowe, jury w składzie: Magdalena Rabizo-Birek (przewodnicząca), Jacek Podsiadło i Krzysztof Śliwka, postanowiło przyznać I miejsce **Wojciechowi Roszkowskiemu** z Tykocina za zestaw wierszy opatrzony godłem „Budzenie do snu". II miejsce zdobył **Radosław Wiśniewski** z Kiełczowa za zestaw „Hare mental, mental hare, hare"; III miejsce przyznano **Karinie Stempel** z Wolbromia za zestaw opatrzony godłem „Eliot był buddystą". Wyróżnieniami uhonorowano:

Dorotę Grzesiak z Bytomia Odrzańskiego (godło „Każda rzeka"), **Dominika Sobola** z Terespola (godło „Tutejszy") i **Łucję Dudzińską** z Poznania (godło „Taki stan"). Jurorzy postanowili także

wskazać zestawy poetyckie, które zwróciły ich uwagę, ale nie zmieściły się w przewidzianej przez organizatorów puli nagród i wyróżnień. Są to zestawy opatrzone godłami: „ABC" (Ela Galoch z Turku), „Wiersz wiersza mego" (Katarzyna Zychla z Sieniawy-Żarska), „Tygrzyk" (Dorota Ryst z Warszawy), „Egle" (Robert Feszak z Bielska Białej), „bez bzu" (Czesław Markiewicz z Zielonej Góry). Finał konkursu odbył się 8 listopada 2014, a jego mecenasami byli: Starostwo Powiatowe w Olkuszu, Urząd Miasta w Olkuszu, Oficyna 21, wydawca tomu *Poezje* Kazimierza Ratonia oraz Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza". Redakcja „Frazy" jest patronem konkursu i wydawanych pod jego patronatem tomików poetyckich laureatów głównych nagrody.

Konkurs Literacki „Dzień ostatni, dzień pierwszy"

Miejska Biblioteka Publiczna Łódź – Polesie pod patronatem Pisma Artystyczno-Literackiego „Fraza" ogłasza Konkurs Literacki „Dzień ostatni, dzień pierwszy".

Do konkursu można zgłaszać niepublikowane wcześniej utwory literackie w formie: wspomnienia, opowiadania, dziennika, listów, zapisków. Tematyka utworu powinna dotyczyć okoliczności i zdarzeń prowadzących do decyzji o przerwaniu życia w różnego rodzaju uzależnieniach i momentu wychodzenia z uzależnień, pierwszego okresu uczenia się nowego życia wolnego od uzależnień. Organizator oczekuje utworów odważnie ukazujących fakty i emocje, bezkompromisowych w opisach, przedstawiających prawdę o życiu i jego powikłaniach. Utwory mogą opierać się na własnych przeżyciach, przeżyciach bliskich osób, rozmowach i relacjach innych osób uzależnionych, jak i przedstawiać wiarygodną fikcję literacką.

Utwory nie mogą przekraczać 5 stron maszynopisu. Powinny być przesłane w postaci papierowego wydruku lub pliku zapisanego na płycie CD w formacie rtf, bądź w obydwu naraz postaciach opatrzonych godłem, z dołączoną zaklejoną kopertą z nazwiskiem lub pseudonimem literackim składającym się z nazwiska i imienia, i adresem korespondencyjnym autora. Można też przesyłać utwory opatrzone godłem w postaci e-maila, a kopertę opatrzoną tym samym godłem z nazwiskiem i adresem autora w środku pocztą tradycyjną.

Ostateczny termin nadsyłania prac upływa z dniem: **30 września 2015.**

Prace oceni jury, w skład którego wchodzą pisarze.

Nagrodzone prace zostaną opublikowane w Piśmie Artystyczno-Literackim „Fraza" i uhonorowane nagrodami rzeczowymi.

Rozstrzygnięcie i wręczenie nagród nastąpi w listopadzie 2015 roku.

O dacie i miejscu uroczystego wręczenia nagród uczestniczy zostaną poinformowani listownie i drogą mailową lub telefoniczną. Istnieje też możliwość innego odbioru nagród po skontaktowaniu się z organizatorem i wyrażeniu swojego życzenia.

Utwory należy przysyłać na adres: Miejska Biblioteka Łódź – Polesie, ul A. Struga 33, 90-631 Łódź, z dopiskiem na kopercie: „konkurs" lub pocztą elektroniczną na adres ostatnipierwszy@o2.pl

Na wszelkie pytania związane z konkursem i tematyką konkursu czekamy pod numerem: 783 368 958 oraz adresem: ostatnipierwszy@o2.pl.

„Fraza" poleca:

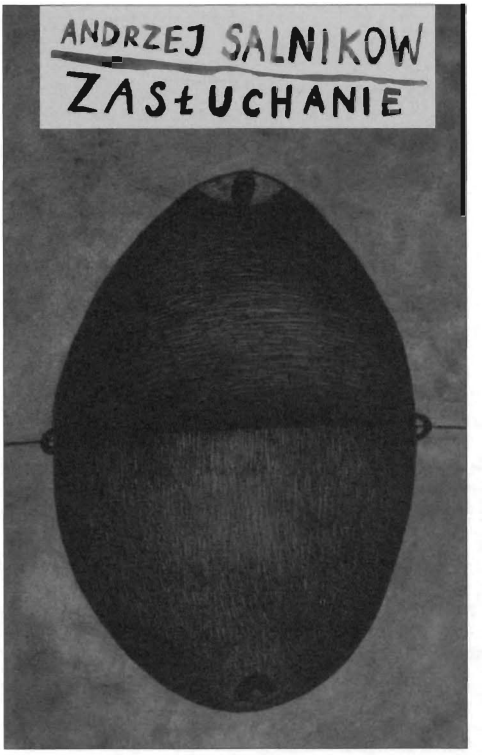

Andrzej Salnikow, *Zasłuchanie*, redakcja Jan Wolski, opracowanie graficzne Marek Pokrywka, [Biblioteka „Frazy": seria poetycka], Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza", Rzeszów 2014, ss. 48.

Andrzej Salnikow w swojej poezji ukazuje dwoistość człowieka, z jednej strony dążącego do niczym nieokiełznanej wolności, a z drugiej – do zakorzenienia.

Cena 12 zł

Wydawnictwa „Frazy", dawne i nowe numery pisma w cenie 10 zł można zamówić pod internetowym adresem fraza@univ.rzeszow.pl, dokonując opłaty na konto: PKO I/O Rzeszów 89 1020 4391 0000 6602 0043 7079.

CENA 10 zł (w tym VAT 0%)
nr indeksu 332593

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Poezja, proza (i rozmowy z) pisarzami z roczników 70. (Bieszczad, Brzoska, Dehnel, Dobies, Hebes, Odija, Shuty, Sławiński i inni). Przypomnienie Juliana PRZYBOSIA. Literatura niemieckojęzyczna i słowacka. Wiersze laureatów X Konkursu im. Ratonia oraz Bogdana FURTAKA, Magdaleny GAŁKOWSKIEJ Bogumiły JĘCEK, Agnieszki LISAK, Jana OWCZARKA, Sławomira PŁATKA Inge STAL, Grażyny SZYMCZYK, Krzysztofa TOMANKA i in. Proza: Dziechciarz, Jakobiszyn, Kobiela i inni. Festiwal Nowego Teatru w Rzeszowie. PLASTYKA laureaci nagrody im. Jerzego Panka, twórczość Jana SIUTY.